

DEIRDRE PURCELL

MARMUROWE OGRODY

Rozdział 1

Jeszcze nie jest za późno. Zadzwoń i powiedz, że w samolocie znajduje się bomba. Skorzystaj z budki telefonicznej, a potem wyjdź. Nigdy cię nie znajdą w tym tłumie.

Albo skłam, że proszone są o natychmiastowy powrót w ważnej sprawie rodzinnej.

Albo cokolwiek innego. Zrób coś!

Sophie usiłuje stłumić natarczywy wewnętrzny głos. Wzięła wolne przedpołudnie, aby odwiedzić Ribę i jej córkę na lotnisko, lecz natychmiast po lunchu miała wrócić do pracy. A potem, gdy już przeprowadziła je przez odprawę, robiąc dobrą minę aż po ostatni uśmiech i wesołe machnięcie ręką, uświadomiła sobie, że nie może odejść.

Wierci się na wysokim, twardym stołku przy kawiarnianym barze w hali odlotów, wpatrzona w wyblakłe fusy na dnie papierowego kubka. Chociaż dublińskie lotnisko znajduje się w stanie nieprzerwanej rozbudowy, tłumy pasażerów przewyższają liczebnie pojemność dodatkowych pomieszczeń i dłuższe pozostawanie w takim miejscu bywa niewygodne, zwłaszcza dla kogoś, kto tak jak ona nie znosi pośpiechu i wrzawy. Ale tkwi w miejscu. Zupełnie jakby ktoś ją przywiązał do tego samolotu liną holowniczą.

Chodź, no chodź. Masz jeszcze czas. O tu, za rogiem stoi cały rząd budek telefonicznych. Jeszcze nie wystartowały... A może podejdiesz do stanowiska odpraw i powiesz cokolwiek? Udasz, że zapomnieli o czymś niezbędnym...

Nie zauważa tego, lecz przyciąga wzrok innych oczekujących, i to nie ze względu na napięcie emocjonalne. Ze swą wrodzoną elegancją i spontanicznością, równoważącą ekspresyjną samoświadomość przyjaciółki, Sophie należy do tego rodzaju kobiet, które wyglądają jak z żurnala, nawet gdy owiną się starym prześcieradłem. Zostawiła płaszcz w samochodzie i ma na sobie tylko prostą granatową sukienkę oraz rdzawy zakiet z Dunnes Stores, który na kimś innym zdradzałby od razu swoją niską cenę.

Smukłość i gibkość Sophie są przeciwieństwem bujnych kształtów przyjaciółki. Wzrostu wyższego niż średni, o twarzy w kształcie serca i subtelnych rysach, ma jasne, niefarbowane włosy obcięte krótko, na chłopaka, ponieważ w ten sposób łatwiej je uczesać. Używa tuszu do rzęs i kredki do brwi wyłącznie dlatego, że uważa, iż bez nich jasne brwi i rzęsy upodabniają ją do różowookiego Królika z „Alicji w Krainie Czarów”.

Choć teraz, kiedy są razem, używanie imienia „Riba” stało się już nawykiem Sophie, w jej myślach przyjaciółka była i na zawsze miała pozostać Eily. Wychowywały się razem od

najmłodszych lat; matki woziły je razem na spacer, gdy jeszcze przedmieścia Dublinu, dokąd się przeprowadziły z centrum miasta, otaczały tereny rolnicze, a ptaki przewyższały liczebnie samochody na nowo powstałej siatce błotnistych, niewykończonych dróg, alejek, podjazdów, zaułków i uliczek.

Nawet po śmierci rodziców Eily, podczas zmiennych kolei losu, dwie najlepsze przyjaciółki bawiły się - gdy Eily wolno było się pobawić - sprzeczały, rywalizowały o szkolne wyróżnienia i o chłopców, wspólnie przeżywały rzeczywiste lub urojone koszmary, powierzały sobie szeptem fascynujące sekrety i uczyły jedna drugą, jak należy się całować. Ta przyjaźń tworzyła podwaliny ich przyszłego życia. Wspierały się nawzajem, gdy każda wychodziła za mąż, a potem Sophie została matką chrzestną Zeldy.

Pięć lat później, gdy Eily urodziła Donny'ego, Sophie zaciekle walczyła ze sobą, by okazać radość i udało się jej - prawie. Mimo to własna bezdzietność jest dla niej niewątpliwie najcięższym krzyżem, jaki musi dźwigać, i nie ma dnia, by w skrytości ducha nad tym nie ubolewała.

A zatem Eily i jej potomstwo są niemal jak rodzina dla Sophie, której rodzice przeprowadzili się do Nowej Zelandii, by zamieszkać blisko jednego z synów, jego żony i licznych dzieci; a także dość, choć nie nazbyt blisko jego brata bliźniaka, wiodącego otwarcie homoseksualny tryb życia w Sydney. Starła się nie odczuwać urazy, lecz ta ich chęć przebywania z wnuczętami wydawała się kolejnym przejawem potępienia dla jej własnej bezpłodności.

Dość tego! Sophie zdejmuje nogę z nogi i prostuje plecy. Minęły zaledwie dwa tygodnie nowego tysiąclecia, a ona już złamała przyrzeczenie, że przestanie się rozczulać nad sobą i omiecie swoje życie z pajęczyn.

- Cześć! Jeszcze tu jesteś?

Obraca się na taborecie i dostrzega Briana McMullana.

Mąż Eily walczył ze wszystkich sił przeciw tym - jak je nazwał - „karaibskim bzdurcom”, a punktem kulminacyjnym owej wojny stała się odmowa zawiezienia żony i córki na lotnisko. W końcu jednak się zjawił.

Stewardzi i stewardesy linii Air Tara - kobiety z włosami splecionymi w wytworne, acz nietwarzowe francuskie warkocze, mężczyźni w koszulach o kołnierzykach lśniących taką samą bielą jak zęby - przesuwiają się tam i z powrotem wąskim, gwarnym przejściem z minami osób kompetentnych, a zarazem znudzonych, dając sobie znaki oczyma i ruchami brwi.

- Wszystko w porządku, kochanie? - Riba wyciąga rękę w stronę córki. - Wygodnie ci? Nic cię nie boli?

- Nie zwracaj głowy... proszę! - Dziewiętnastoletnia Zelda, zbuntowana jak każda dziewczyna w jej wieku, odtrąca nieproszony gest i odwraca twarz od matki, pokazując tył głowy.

Riba wycofuje się z westchnieniem, napotyka spojrzenie kobiety zajmującej fotel tuż za córką i wznosi oczy ku niebu. Kobieta uśmiecha się ze zrozumieniem, a Riba, rozkoszując się bliskością pokrewnej macierzyńskiej duszy, sprawdza ponownie, czy w elastycznej kieszonce przed nią znajdują się jednorazowe strzykawki, które tam wcześniej umieściła. Tak, są bezpieczne. Lekarstwo zaś wstawiono do lodówki w kuchennej części samolotu. W trakcie kontroli na lotnisku miała z tym prawdziwe urwanie głowy i bez przerwy musiała pokazywać recepty i upoważnienia.

Myeloma multiplex. Słowa, które mogłyby się odnosić do kwiatu. Tak melodyjna nazwa dla tak potwornej choroby. Riba wzdyga się z odrazą, puszcza elastyczną kieszonkę i opada na siedzenie.

To naprawdę niesprawiedliwe. Przy ostrym zapaleniu wyrostka robaczkowego sprawa jest jasna. Bez pomocy medycznej -umierasz. Można by pomyśleć, że choroba Zeldy, szpiczak mnogi, nowotwór szpiku kostnego, bawi się z rodzajem ludzkim w kotka i myszkę. Nie ma dwóch osób o identycznych objawach ani takich, które reagowałyby w ten sam sposób na jakąkolwiek metodę leczenia, czy byłby nią przeszczep szpiku, czy najsilniej działające leki, z których najnowsze zawierają tak zwane odpowiedniki talidomidu. Riba za nic nie pozwoli, by coś takiego wniknęło w kruche ciało jej córki. Ma już po dziurki w nosie tradycyjnej medycyny i wszelkich lekarzy; ma dość wysłuchiwanie o ewentualnych szansach i zagrożeniach, a także o tym, że wszystko jest kwestią prób i błędów oraz oceny stopnia dopuszczalnego ryzyka. Nikt nie odważy się nawet na najbardziej nieśmiałe zapewnienie. Gdy człowiek żąda określenia ostatecznego terminu czy choćby przewidywanej prognozy, oczy wszystkich specjalistów umykają w bok.

W oczekiwaniu na śmierć wychudzone, udręczone ciało biednej Zeldy ukazuje straszliwe skutki uboczne towarzyszące każdej metodzie leczenia.

Kto mógłby winić Ribę za to, że postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce? I oddać je w ręce Jaya?

Obydwie z Zeldą już od długiej chwili siedzą w przedostatnim rzędzie foteli samolotu czarterowego; podróżnych wpuszczano na pokład zgodnie z numerami miejsc, licząc od tyłu. Po obu bokach i z przodu współpasażerowie, żywiłowo zagłuszając płynące z głośników

zawodzenie Enyi, zajmują miejsca i upychają podręczne bagaże w przepelnionych schowkach na górze. Schowki nad głową Riba już wcześniej okazały się zbyt ciasne, by pomieścić jej okazałą torebkę oraz torbę na ramię, a ponieważ ta ostatnia zajmuje całą powierzchnię pod siedzeniem z przodu, Riba musiała wepchnąć torebkę między siebie a poręcz siedzenia. Dla bezpieczeństwa przełożyła pasek na krzyż przez piersi i brzuch. Nie zamierza pozwolić, by dokuczyła jej ta drobna niewygodna. Dzisiaj nic nie może pójść źle.

Mają szczęście, że w tym terminie w ogóle udało im się kupić bilety. Ostatnio okres od połowy stycznia do połowy lutego to pełnia sezonu, jeśli chodzi o przeloty nad Atlantykiem - jak wyjaśnił pracownik biura podróży - przyczyniły się do tego zwłaszcza kupony i oferty za pół ceny firmy Tesco, Superklubu i Super Valu. Swego czasu Miami, koniec pierwszego etapu ich podróży, było dla Irlandczyków czymś w rodzaju ziemi obiecanej. Teraz, widząc wokół siebie chłopaków z kolczykami w uszach (bezrobotnych?) i tłumy kobiet z utlenionymi włosami, pociągające ukradkiem z flaszek schowanych w pojemnych torebkach, Riba myśli z żalem, że Ameryka stała się dostępnym dla większości disneyowskim światem, przez co podróż traci nieco na prestiżu. Kiedyś można się było chwalić lotem do Nowego Jorku, lecz te czasy już minęły. Nie żeby ona sama miała tu wiele do powiedzenia - przeciętność jest niewiele lepsza niż miernota.

Brian McMullan dostrzegł Sophie przypadkiem. Zobaczył ją przy barze, gdy zmierzał do hali odlotów w nadziei, że uda mu się przechytryć ochronę. Prowadzi niedużą firmę wynajmującą samochody, z zapleczem w Finglas i ekspozyturą na lotnisku, dzięki czemu posiada kartę identyfikacyjną.

- No i jak poszło? - Wsuwa się na stołek obok Sophie. - Pewnie są już w samolocie i przyjechałem za późno?

- Nie... nie spodziewałam się ciebie... Eily mówiła, że odprowadzasz dzisiaj samochód do Shannon.

Nie dziwi go jej zaskoczenie. Choć to wolny kraj, a sam Brian tolerował - acz z wysiłkiem - zauroczenie Eily Jayem Streetem i jego grupą, od początku wyrażał stanowczy sprzeciw wobec tej podróży, w przekonaniu, że włączenie Zeldy po świecie jest pozbawione sensu. Nie udało mu się temu zapobiec, co napawa go głęboką troską.

Piętnaście kilometrów za Dublinem, na drodze szybkiego ruchu, zawrócił z piskiem opon i pomknął w kierunku lotniska.

- Zmieniłem zdanie, choć wiedziałem, że już za późno. - Wpatruje się w nieszczęsną dziewczynę za barem, która, przytłoczona nadmiarem zamówień, postanowiła okazać sprzeciw, zwalniając tempo obsługiwanie klientów z powolnego do zółwiego. -

Zdecydowałem, że mimo wszystko przyjadę, może lot się opóźni albo coś... Nie przypuszczałem, że jeszcze cię tu zastanę.

- Bo właściwie powinnam już wracać. Mam być w pracy za godzinę, a jeżeli utknę w korku...

- Korki są dziś potworne. - Brian usiłuje przyciągnąć uwagę kelnerki, która mozolnie i bez pośpiechu rozrywa paznokciem kciuka opakowanie papierowych kubków. - Poważnie, muszą coś zrobić z dojazdem do lotniska. To zupełnie jak w jakiejś republice bananowej! Jedyna cholerna stolica w Unii Europejskiej bez linii metra łączącej miasto z lotniskiem. Myślałem, że w styczniu będzie tu spokojniej, a tymczasem nie mogłem się dostać na zarezerwowane miejsce i dopiero po dwudziestu pięciu minutach znalazłem wolne stanowisko na krótkoterminowym parkingu. - Zerka na Sophie, a potem wpatruje się w dłoń. - Ale się rozgadałem, co?

- Gadaj, ile chcesz. - Sophie otacza go ramieniem i obdarza przyjacielskim uściskiem. Bo przecież jest ich bliską przyjaciółką.

Odgrodzona chwilowo gładką, granatową płaszczyzną pleców stewardesy przepuszczającej pasażerów, Riba wpatruje się w obicie fotela tuż przed sobą i z niepokojem rozmyśla o skutkach syndromu klasy turystycznej, czy jak to tam określają. Ostatnio sporo o tym pisano w gazetach. Zakrzepy. Zgony. Zważywszy na stan zdrowia Zeldy, czy nie powinna była jednak wykosztować się na pierwszą klasę w lepszych liniach lotniczych? Choć pieniądze nie stanowią już tak wielkiego problemu jak na początku, należy uważać z wydatkami i dlatego o tym nie pomyślała.

Och, na miłość boską. Powstrzymuje napór czarnych myśli, nękających ją przez cały dzień, i beszta się w duchu, gdy stewardesa upycha w schowkach w przejściu wystające rękawy i paski toreb. W czym problem? Wszystko idzie jak z płatka.

Weźmy chociażby ich miejsca w samolocie. W pierwszej chwili przeraziło ją, że nie będą siedziały obok siebie, teraz jednak zrozumiała, że nie powinna była poddawać się zwątpieniu. Miejsca, które zajmują, są w istocie błogosławieństwem losu, jeśli można mówić o czymś takim w odniesieniu do klasy turystycznej. Siedząc obok przejścia, będą mogły rozprostować nogi i trochę się przespacerować, nie przeszkadzając śpiącym lub spożywającym posiłek współpasażerom. Owszem, Zeldy najprawdopodobniej zacznie psioczyć, że się ją zmusza do wstania i zrobienia kilku kroków. Powie, że jest zbyt zmęczona

i tak dalej, lecz Riba ją w końcu nakłoni. Łagodną perswazją. Żadnych scen. Tylko cierpliwość.

Przez pierwsze dwa miesiące po postawieniu diagnozy, na którą długo trzeba było czekać, nie do końca uświadamiała sobie konsekwencje choroby Zeldy. Lekarze poinformowali ją wreszcie, że szpiczak zazwyczaj atakuje osoby w starszym wieku. Niewielką pociechę stanowił dla Riby fakt, iż jej córka należy do wyjątkowych przypadków i że wcześniej na świecie stwierdzono zaledwie trzy podobne przypadki tej choroby u ludzi poniżej trzydziestki.

Głębokie oburzenie pomogło jej przezwyciężyć lęk: przecież coś takiego nie mogło się przydarzyć jej ślicznej, pełnej życia córce! W trakcie owych dwóch miesięcy, kiedy wykonywano dodatkowe badania i rozpoczęto chemioterapię, wpadła w wir gorączkowej aktywności. Czytała wszystko, co udało jej się znaleźć na temat tej choroby, wszelkie dostępne statystyki i biuletyny; ciągnęła nieszczęsną Zeldę do akupunkturzystów, refleksologów, siódmych synów siódmego syna, a nawet do pary Chińczyków praktykujących *qui gong*. Tkwiła u boku Donny'ego, gdy przeglądał witryny internetowe w poszukiwaniu najnowszych odkryć. Skwapliwie wychwytywała wszystkie (zresztą nieliczne) wypowiedzi tych, którzy przeżyli, i pisała do nich z prośbą o bliższe informacje. Tu jednak również nie znajdowała ulgi, ponieważ w długich i pełnych wzruszającej nadziei odpowiedziach, jakie otrzymywała, ofiary choroby godziły się ze swoim losem.

Riba pamiętała co do sekundy tamtą przełomową chwilę - decydujące spotkanie z zespołem lekarzy zajmujących się Zeldą, gdy otrzymali już wyniki wszystkich badań. Odbyło się ono w warunkach ze wszech miar nieodpowiednich, czyli w szpitalnym barku; i wciąż miała w nozdrzach cytrynową woń środka odkażającego, używanego do mycia podłóg.

Gdy wokół niej ludzie rozmawiali, pili herbatę i jedli gąbczaste kanapki, Riba wysłuchiwała przerażającego oświadczenia specjalisty, przyglądając się zgniecionemu foliowemu opakowaniu po duńskim cieście, zostawionemu na stoliku przez jakąś pielęgniarkę; a także spłowiętym kwietnym wzorom na ścianach, dyndającym stetoskopom i poszarzałej twarzy swego męża. Do dziś czuje chłód bijący od krzepkiej postaci Briana, któremu niezrozumienie, lęk i udręka odebrały mowę i wodził tylko oczyma po pełnych powagi obliczach, wyłaniających się sponad niedbale rozpiętych białych fartuchów.

Pod koniec spotkania, kiedy wreszcie zrozumiała, że na jej córkę wydano wyrok śmierci, poczuła się tak, jakby uderzyła z rozpędem w betonową ścianę i ten ból ją oszołomił. Dlaczego oni, dlaczego ona? Dlaczego właśnie ta zgrabna, piękna dziewczyna?

Przewyciężyła cierpienie i nie poddała się rozpacz. Już gdy czołowy specjalista mamrotał coś o limfocytach T, nowych szczepionkach poddawanych próbom klinicznym i rewelacyjnych badaniach amerykańskich, Riba cofała stopę znad przepaści, by rzucić się z największym entuzjazmem w objęcia Jaya Streeta. Jeśli medycyna, nawet alternatywna, spisała jej piękną córkę na straty, to była w błędzie, a ona sama, Riba, która zdążyła już uwierzyć bez zastrzeżeń w zdolności Jaya, polegające na kierowaniu wrodzonymi siłami regeneracyjnymi ludzkiego organizmu, przekuła tę wiarę w niezbitą pewność.

To, że Jay mieszkał na Karaibach, wiązało się z pewną niewygodą - ale trudno. Gdyby było trzeba, zawiozłaby Zeldę nawet na Księżyc.

- Czy mógłbym się z nimi skontaktować, choćby przez telefon komórkowy?

Sophie wpatruje się w Briana. To nie ten sam stanowczy, pewny siebie, twardogłowy mężczyzna, którego znała. Wysoki Brian McMullan o byczym karku i potężnych ramionach, ze strzechą rudoblonde włosów, promieniał zawsze siłą i wiarą we własne możliwości, więc jego lekkość wprawia w zakłopotanie. Sophie odwraca oczy.

- Sam dobrze wiesz, że w samolocie telefon musi być wyłączony.

To, że Brian podziela jej pragnienie, by powstrzymać ów obłęd, wytrąca ją z równowagi, lecz teraz, gdy nad sytuacją zapanował ktoś, kto ma do tego większe prawo, jej głos wewnętrzny umilkł i za to jest wdzięczna.

- Słuchaj - mówi pod wpływem impulsu - a może staniemy koło ogrodzenia i popatrzymy jak odlatują? Jeśli pojedziemy od razu, na pewno je zobaczymy. Znasz przecież Eily, nie musi cię widzieć, żeby wyczuć twoją obecność.

Brian posyła jej przelotny, znaczący uśmiech, który szybko gaśnie. Sophie dodaje bez namysłu:

- Zrób to dla własnego dobra. Może dzięki temu poczujesz się lepiej.

Brian nie rusza się ze stołka. Nadal wbija wzrok w swoje ręce, potężne i niezdarne, wciśnięte w kolana.

- Powinienem był je odwiedzić.

Sophie odsuwa kubek po kawie i wstaje.

- Pośpiesz się, bo przegapimy odlot. - Jest pewna, że przynajmniej w tym wypadku postąpią słusznie. - Pojedziemy twoim wozem. Jeśli choć raz zerkną przez okno, rozpoznają go i będą wiedziały, że się zjawisz.

Twarz Briana nareszcie się wypogadza. Codziennie ma do czynienia z oplami corsa, fiatami punto i fordami fiesta, lecz jego prywatny rydwan to czerwony mustang kabriolet, sprowadzony z Ameryki, którego utrzymanie kosztuje bająnskie sumy. Małżeństwo Briana i Eily mogło zacząć się psuć pod wpływem napięcia wywołanego chorobą Zeldy oraz - w jeszcze większym stopniu - wskutek uroku rzuconego przez Jaya Streeta, ale gdy chodzi o mustanga, Brian cieszy się entuzjastycznym poparciem żony. Eily uwielbia przejażdżki po Dublinie, podczas których pęd powietrza rozwiewa jej włosy i tarosi ubranie. Opowiada wszystkim, że dzięki temu czuje się bardzo kobieca, dodając, iż to zaskakujące, jak często zdarzają się w tym kraju dni bez deszczu. Raz tylko wspomniała Sophie, że Jay Street również jeździ kabrioletem. Oczywiście nie ma porównania. Jay ma rolls-royce'a.

- Dobra. Cieszę się, że cię spotkałem. Chodźmy. - Brian zrywa się ze stołka i śpieszy ku wyjściu, zostawiając Sophie, która chwyta torebkę i rusza w szaleńczy pościg, usiłując go dogonić.

Oho! Zerknąwszy na zegarek, Riba lekko sztywnieje: odlot opóźnia się już prawie o dwadzieścia pięć minut. Spogląda ku przedniej części samolotu. Nieźle. Niemal wszystkie miejsca są zajęte.

Oby tylko udało im się złapać połączenie. Będą jednak miały niewiele czasu. Nie zdobyła biletów na żaden bezpośredni lot z Miami na Karaiby - wszystkie bilety wykupione - więc dalej muszą lecieć liniami American Airlines do Nassau na Bahamach, potem czeka je kolejna długa podróż na Barbados, a stamtąd szybkie połączenie w postaci jakiegoś miniaturowego kutra. Dotrą na miejsce zupełnie wykończone nerwowo. Riba uważa jednak, że lepiej odbyć całą drogę za jednym zamachem, zamiast użerać się z bagażami w taksówkach i szukać noclegu w obcych hotelach. Zeldy by tego nie wytrzymała.

Naciągając zapięty pas, Riba wychyla się, by spojrzeć w okno, które zasłaniają jej sąsiedzi, i zaciska usta. Patrzcie tylko! Ci bagażowi wrzucają wszystko byle jak do ładowni. Nowe walizki jej i Zeldy, zakupione z dumą i tak pieczołowicie spakowane, mogą z łatwością zostać uszkodzone.

Odwraca się do córki, by podzielić się z nią tym spostrzeżeniem, lecz widzi jedynie tył jej głowy. Spod granatowej, lekko zsuniętej chustki wymykają się cienkie kosmyki przerzedzonych włosów, podobne do znaków zapytania.

Zelda zawsze była dumna ze swoich gęstych blond kędziorów, które odziedziczyła po ojcu. Ze wszystkiego, co ją spotkało, z całej straszliwej choroby, osłabienia i strachu, utrata włosów była dla niej najcięższa do zniesienia. Riba nie zwracałaby na to uwagi, gdyby nie

fakt, że od samego początku uparcie sprzeciwiała się stosowaniu chemioterapii. Uległa jednak, obezwładniona lękiem, a cenę za to zapłaciła biedna Zelda.

Odchyła się na oparcie fotela. Teraz już wszystko jest pod kontrolą. Wywołuje w myślach obraz tego, co zastaną na Wyspie Palm. Odprężenie. Zdrowie. Wolność. Rumieńce rozkwitające na woskowych policzkach córki; jej wychudłe kończyny nabierające ciała. Wizualizacja to potężna broń w arsenale pozytywnych środków oddziaływania, Jay przypisuje jej ogromne znaczenie.

Na myśl o Jayu ładną twarz Riby rozjaśnia szeroki uśmiech. Jej duże, ciemne oczy przymykają się w rozkoszy oczekiwania, gdy odgarnia ciemne włosy, lśniące i nietknięte farbą mimo nadchodzącej czterdziestki. Odrzuca wszelkie obawy dotyczące zakrzepów i różnych syndromów, zastrzeżenia męża i przyjaciół, wątpliwości w wyzdrowienie Zeldy, a tym bardziej szkód poczynionych w organizmie Zeldy przez substancje chemiczne, wlewane przez wypalonych zawodowo lekarzy-niedowiarków. Koncentrując się z całej mocy, utrzymuje obraz zdrowej córki i otwiera umysł na dodatnie wpływy pozytywnych myśli. Teraz już nic złego nie może się zdarzyć. I Zelda, i ona sama kroczą właściwą drogą. Oprócz Pana Boga, tylko Jay potrafi zaopiekować się chorą.

Riba zamyka oczy i marzy o spotkaniu z Jayem na jego rajskiej wyspie.

Na zewnątrz terminalu wichura rozwiera lodowate szczęki i dmie, plując deszczem ze śniegiem.

- Jezu, a to skąd się wzięło? - Brian zrzuca kożuszek i otula nim Sophie. - No weź, ja mam przynajmniej wełniany garnitur.

Odwraca się, wrzuca monety do automatu, pośpiesznie chwytając kwit i rusza pędem przez wielopiętrowy parking, ponownie zostawiając z tyłu Sophie, która usiłuje go dogonić.

Zaparkował wbrew przepisom, przy ścianie, tuż obok przerywanej żółtej linii; ale dopisało mu szczęście i nie założono blokady na koła mustanga. Auto stoi tuż przy wyjeździe, dzięki czemu obydwójce szybko wydostają się na zewnątrz.

Światła również im sprzyjają i po niecałych dziesięciu minutach od spotkania w terminalu znajdują miejsce między hiace a audi w zatoczce dla obserwatorów, tuż za ogrodzeniem lotniska.

- Odwieszysz mnie potem na parking? Zostawiłam tam samochód. - Sophie podnosi głos, by przekrzyczeć huk odrzutowca wzbijającego się w powietrze tuż przed nimi.

W całym zamieszaniu niemal zapomniała, że musi wrócić do pracy. Odruchowo dotyka kieszeni żakietu pod kozuchem, która okazuje się płaska i pusta. Zniknęła krzepiąca wypukłość komórki. W tym tygodniu ma się ukazać następny numer przyrodniczego miesięcznika „Wild Places”, w którym Sophie pracuje jako asystentka do wszystkiego, od czasu do czasu wykonując ilustracje. Dostała od redaktor naczelnej telefon, by w każdej chwili można się było z nią skontaktować. Na pewno zostawiła to cholerstwo w samochodzie. Znowu.

- Oczywiście, oczywiście, żaden problem. - Brian usiłuje coś dojrzeć przez ścianę deszczu ze śniegiem, bijącego falami o maskę mustanga. - Boże, co za pogoda. Zupełna katastrofa. Nie zobaczą nas.

- Zobaczą. Ona chyba siedzi przy oknie. Na pewno przez nie wygląda, żeby nie przeoczyć chwili startu.

- Nawet jeżeli któraś z nich siedzi przy oknie, - marudzi Brian - to niekoniecznie po tej stronie samolotu.

- Przestań już. - Chce położyć mu dłoń na ramieniu, lecz zaraz ją cofa. To byłoby protekcjonalne. Uśmiecha się pokrępiąco. - Co jeszcze możemy zrobić? Przecież naprawdę się staramy.

- Przepraszam. - Brian przygasa.

- Słyszałam, że macie mnóstwo pracy. - Michael, mąż Sophie i zastępca Briana twierdzi, iż po prostu padają z nóg. Nie da się ukryć, ostatnio jest bardzo zajęty.

Wprawdzie Brian nigdy się nie wzbogaci, lecz jego niewielka firma mimo ostrej konkurencji daje sobie radę na rynku, ponieważ - oprócz giganta Hertza -jako jedyna, oferuje pojazdy z ręcznym układem sterowania. Kilka lat temu intuicja podpowiedziała mu, że wśród niepełnosprawnych turystów, a nawet Irlandczyków, z pewnością znajdą się osoby zamożne - takie, które stać na opłacenie wysokiej stawki ubezpieczeniowej. Przerobił jedno ze swych pierwszych aut, po czym, głosząc hasło walki z dyskryminacją inwalidów, przyciągnął uwagę życzliwie nastawionego dziennikarza. Po artykule w prasie przyszła kolej na audycję radiową - i odtąd nie musiał się już reklamować. Niepełnosprawni mają rozbudowaną sieć kontaktów i choć zajmowanie się nimi jest pracochłonne, ta nisza rynkowa przynosi niezły zysk, a trzy firmowe samochody dostosowane do potrzeb inwalidów jeżdżą niemal bez przerwy, nie tylko w sezonie wakacyjnym, lecz przez cały rok.

Brian postukuje palcami w lśniące chromowane części kierownicy mustanga.

- Tak, zgadza się, jesteśmy zapracowani. Ale mogłem wziąć tydzień wolnego, nie byłoby z tym problemu. - Patrzy na nią, podczas gdy fale dźwiękowe wysłane przez

oddalający się odrzutowiec wciąż dudni o płócienny dach i wprawiają w drzenie solidną karoserię. - Myślisz, że wrócą?

Sophie jest zdumiona.

- Ależ oczywiście. A co, boisz się, że nie? Brian wbija wzrok w przednią szybę.

- Swoją drogą, głupio się nazywa ta wyspa. Co to za nazwa: Wyspa Palm? Przecież na każdej cholernej wyspie w tropikach rosną palmy. Nawiasem mówiąc, czy to Atlantyk, czy Morze Karaibskie? Bahamy leżą na Atlantyku, prawda?

- Wyspa Palm znajduje się bardzo daleko od Bahamów, daleko na południe. Właściwie to blisko równika. A zanim zadasz następne pytanie: tak, mówią tam po angielsku. Dzięki Amerykanom. - Sophie wpatruje się w niego z wyrzutem. Nie po raz pierwszy popełnił tę omyłkę. Zupełnie jakby, nie chcąc zapamiętać dokładnego położenia odludnej wyspy Streeta, mógł w ten sposób zetrzeć ją z powierzchni ziemi. Brian obawia się również, że jego żona podda się bez reszty wpływowi Jaya i osiadzie na stałe w jego tropikalnym raju, a ich ukochana córka tam umrze. Przez własny upór mógłby jej już nigdy nie zobaczyć. Teraz Sophie dotyka jego ramienia. - Leży na Morzu Karaibskim - mówi łagodnie.

Brian przesuwa dłońmi po kierownicy.

- Sytuacja zrobiła się ostatnio trochę, no, napięta i szczegóły wyleciały mi z głowy.

- Jedno przynajmniej wiesz na pewno. Nikt nie wątpi, że dla Eily nie ma nic ważniejszego niż dobro Zeldy.

Brian z posepną miną nadal wodzi palcami wokół kierownicy.

- Wiem - mówi cicho. - O tak, wiem o tym. - Odwraca głowę w stronę Sophie. - Czy popełniłem błąd? Uważasz, że powinienem był lecieć z nimi?

To ją wprawia w zakłopotanie. Jak ma odpowiedzieć, by nie okazać się nieojalną albo wobec niego, albo wobec najlepszej przyjaciółki? Brian wybawia ją z kłopotu, ponownie zwracając twarz ku szybie.

- Przepraszam. Nie musisz odpowiadać. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili, Sophie. Każde z nas.

- Na miłość boską, Brian, a od czego są przyjaciele?

Coś w jego tonie - a może w spojrzeniu? - sprawiło, że poczuła się nieswojo. Niewykluczone zresztą, że to z lekka klaustrofobiczna reakcja, wywołana siedzeniem w ciemnym, dusznym wnętrzu zamkniętego samochodu, przesyconym słodkawą mieszaniną; z zapachem skóry i rozgrzanego metalu łączy się słaba woń wody kolońskiej Briana i drażniący nozdrza smród wysokooktanowych spalin z dysz odrzutowca, który niedawno odleciał. Sophie odwraca się i uchyla okno.

Dobrze się składa. Inaczej bowiem mogłaby przeoczyć sunący wolno pasem startowym ku miejscu zatrzymania i widoczny nad obrzeżem niżej położonej części lotniska biały ogon, ozdobiony logo Air Tara - falującym kręgiem butelkowiezielonego koloru, mającym wyobrażać znicz.

- Spójrz - wskazuje go Brianowi - oto i one. I zaczyna się wypogadzać, w samą porę. Widzisz? - tryumfuje.

Rzeczywiście niebo się przejaśnia. Deszcz ze śniegiem, choć pada jeszcze na lotnisku, przesłaniając teraz ogon samolotu, oddala się od nich nad pobielającą ziemią. A dokładnie na wprost miejsca, w którym siedzą, widać tarczę słońca, podobną do starej, wytartej srebrnej monety, przeświecającej przez postrzępioną tkaninę szarej chmury nad pasem startowym.

Rozdział 2

Jest pora lunchu i Donny McMullan ze swym najlepszym przyjacielem Trevorem Jamesonem, odgradzeni od napływających bezładnymi falami odgłosów niedbałej gry w piłkę, przepychanek i ochrypłych wrzasków szkolnych kolegów, kryją się za kontenerem na gruz tuż obok boiska. Łapczywie zaciągają się dymem z niedopalonych papierosów, które zachowali od rana, kiedy szli razem do szkoły z przystanku autobusowego. Palenie jest tolerowane - z trudem - tylko u szóstoklasistów. Donny i Trevor mają po czternaście lat i są w przedostatniej klasie gimnazjum.

Po przelotnym śniegu z deszczem, który wsiąkł w nierówną powierzchnię boiska, ołowiane chmury zaczynają się rozpraszać i wygląda zza nich słońce. Chłopcy, oślepieni nagłym blaskiem, osłaniają dłońmi oczy i obserwują dwie mewy, nurkujące w powietrzu obok trzeciej, by zmusić ją do wypuszczenia z dzioba kęsa pożywienia. Obydwaj obserwują te powietrzne akrobacje, dopóki trzy ptaki, skrzeczając kłótnie nad dachem sali gimnastycznej, nie znikną w oddali; potem powracają do podjętego tematu.

Pod względem fizycznym Donny przypomina Briana. Jest wysoki jak na swój wiek - dość wysoki, by uchodzić za siedemnasto-, a nawet osiemnastolatka, co bardzo się przydaje jemu i jego kolegom, jeśli chodzi o fałszywe dowody tożsamości, zakup alkoholu i papierosów, a także wstęp na dyskoteki. Wrażenie dorosłości potęgują jeszcze urzędnicze okulary w metalowych oprawkach. Donny ich nie cierpi, lecz z powodu silnej krótkowzroczności musi je nosić.

Jego prawdziwy wiek zdradzają jednak niezgrabne, przypominające wieszak ramiona, które dopiero po osiągnięciu dojrzałości nabiorą tężyzny, oraz ręce i stopy o rozmiarach znacznie utrudniających prawidłową koordynację ruchów.

Trevor, drobne, chuderlawe przeciwieństwo tyczkowatego Donny'ego, ostrożnie gasi króciutki niedopałek i chowa go do kieszeni spodni.

- No więc, jak długo ich nie będzie?

- Nie wiem. - Donny wzrusza ramionami. - Ze dwa tygodnie. Może miesiąc. To zależy. - Ostentacyjnie przygląda się czubkowi własnego papierosa, z którego niewiele już zostało.

Trevor, nadrabiający inteligencją niedobór masy mięśniowej, zerka na przyjaciela i szybko odwraca oczy.

- Ona wyzdrowieje, stary. Mówię ci.

- Jasne. - Donny ponownie wzdusza ramionami. Upuszcza niedopałek, przydeptuje go i rozgląda się, sprawdzając, czy nikt go nie widzi, a potem zeszkrobuje peta z ziemi i wrzuca do kontenera. Dziarsko zaciera ręce i całkiem niezłe udaje pogodę ducha. - No to co robimy dziś wieczorem, Trev? One wyjechały, a tata ma spotkanie w interesach o siódmej, jak mi się wydaje, więc do jedenastej mogę robić, co chcę.

Trev przyznaje mu rację.

- Niezły pomysł, stary! Jak u ciebie z kasą?

Donny macha niedbale ręką i w tej samej chwili odzywa się dzwonek na lekcje.

- Mam dwie dychy. A jeszcze trochę zbierze się z drobnych. - Pobrząkuje monetami w kieszeniach, gdy obydwaj wymykają się zza kontenera i dołączają do zróżnicowanego pochodu uczniów, zmierzających ku salom lekcyjnym po drugiej stronie boiska.

- Świetnie! - pieje Trevor. - Ja mam co najmniej szesnaście. Nasze możliwości są praktycznie nieograniczone, stary.

- Hej, mam pomysł. - Donny zatrzymuje się tak nagle, że przyjaciel omal nie wpada na niego. - Chcesz się urwać z popołudniowych lekcji?

- Ale jak? Zostawiliśmy torby w klasie. - Trevor ma pewne wątpliwości.

- Nic się nie martw. Mogę udać, że Zelda znowu poczuła się gorzej i muszę jechać do szpitala. - Stuka palcem w kieszeń na piersi, gdzie trzyma telefon komórkowy. - Przecież tak naprawdę nie skłamię, no nie?

- Nie - odpowiada z wahaniem Trevor. - Ale co ze mną?

- Jestem tak wytracony z równowagi, że musisz mi towarzyszyć. - Otwarta twarz Donny'ego marszczy się w parodii miny skrzywdzonego chłopczyka i Trevor, który jeszcze nie przeszedł mutacji, chichocze głośno.

- Chyba warto spróbować.

- Racja - potwierdza Donny stanowczo. - Chodź, Trev. Zostało nam prawie jedenaście godzin. Miasto należy do nas.

W samolocie, który zatrzymał się przed odlotem na końcu pasa startowego, Riba nawiązała pogawędkę z pasażerami dzielącymi ją od okna, parą starszawych Amerykanów, wracających do kraju po długim pobycie u córki, która zaprosiła ich na Boże Narodzenie. Zażywny, spocony mężczyzna wydobywa portfel, w którym trzyma zdjęcia wnuków, i natychmiast je pokazuje.

- Pewnie, że nas wkurzyło, kiedy przenieśli zięcia do Irlandii, no ale co robić? My, stare pierniki, musimy się z tym pogodzić. Niech młodzi przejmą pałeczkę. - Zauważa wymuszony uśmiech Riby. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, Irlandia jest bardzo ładna.

- Tyle tu zieleni! - dorzuca jego żona.

Riba oddaje zdjęcia, a dziadek obrzuca je ostatnim rozkochanym spojrzeniem i chowa z powrotem.

- No pewnie, masa zieleni. Zupełnie jak w prospektach. Ale trochę za zimno. Wasze centralne ogrzewanie nawala, skarbie. - Wskazuje kciukiem okno, za którym wirują maleńkie, szare płatki. - Nikt nas nie uprzedził, że tu pada śnieg. Myśleliśmy, że chwilowo mamy go z głowy, jak mi Bóg miły, ale coś ci powiem, Ribo: wy tu w ogóle nie wiecie, co to jest prawdziwy śnieg. Żebyś tak wyszła na podjazd przy minus dwudziestu! - Żona szturcha go łokciem w żebra, więc zmienia temat, ciągnąc tym samym tonem: - Riba, he? To gaelickie imię?

Riba zastanawia się przez moment, czy nie opowiedzieć im o zmianie imienia, lecz odrzuca ten pomysł.

- Tak. - Energicznie kiwa głową. - To imię pewnej dawnej księżniczki.

Z trzeszczących głośników odzywa się flegmatycznym tonem kapitan, przerywając odpowiedź Amerykanina. Wygląda na to, że są drudzy w kolejce do odlotu, lecz dwa samoloty podchodzą teraz do lądowania. Powinni... yyy... ruszyć za cztery do pięciu minut. W tym czasie niech pasażerowie sprawdzą, czy ich... yyy... pasy są dobrze zapięte, niech usiądą wygodnie i odprężą się. Usłyszą kapitana ponownie, kiedy już... yyy... znajdą się w powietrzu.

Riba odwraca się do córki i nareszcie widzi twarz Zeldy, odpoczywającej z zamkniętymi oczyma. Aby uniknąć dalszej rozmowy z sąsiadami, również zamyka oczy i świadomie wprawia się w stan rozluźnienia, zaczynając od palców stóp i czując, jak rozkoszne ciepło obejmuje łydki, uda i brzuch. Owszem, jej imię jest imieniem dawnej księżniczki, lecz nie celtyckiej ani nawet europejskiej. W trakcie terapii regresywnej Jay odkrył, iż w poprzednim życiu była Etiopką królewskiej krwi, młodszą córką tamtejszego władcy. Imię „Riba” wypłynęło samo.

Poruszona tym odkryciem, Riba przewertowała encyklopedie i przetrząsnęła Internet w poszukiwaniu bliższych danych o owej księżniczce, lecz nic nie znalazła, nawet korzystając z pomocy miejscowej bibliotekarki. Jay miał na to odpowiedź: wyjaśnił, że z czasów prehistorycznych niewiele zachowało się źródeł pisanych i nie powinno jej dziwić, że brakuje informacji na temat tej właśnie rodziny panującej. „Wniknij głęboko we własną jaźń -

doradził łagodnie. - Czy to imię pasuje do ciebie? Czy brzmi właściwie?”. Zgodnie z zaleceniem wsłuchała się w siebie - i uznała, że imię brzmi jak najbardziej odpowiednio.

Później, w domu, stanęła przed lustrem, wpatrując się w swoje ciemne oczy i gładką, oliwkową cerę; odkrywała z narastającym podnieceniem, dlaczego nigdy nie czuła się swobodnie we własnej skórze. Weźmy na przykład typ strojów, które zawsze instynktownie wybierała - barwne kaftany i długie spódnice. Teraz wiedziała, że to nie przypadek. Nawet to drobne odkrycie niezmiernie ją poruszyło.

Nie, „Eily” nigdy nie brzmiało właściwie. Tak naprawdę nigdy nie, była Eileen. Nigdy.

Imiona odgrywają niezwykle istotną rolę, jeśli chodzi o podświadomiłość, czyż nie? Na przykład, nazywając córkę Zeldą, połączyła się z podświadomością Jaya na długo przed ich spotkaniem, gdy nie zdawała sobie jeszcze sprawy, jak wielkie ma to znaczenie. Nie czytała powieści F. Scotta Fitzgeralda i nadała córce imię wyszukane w książce dla dzieci, ponieważ brzmiało egzotycznie. W ogóle nie myślała o żonie pisarza.

Zelda miała prawie trzynaście lat, kiedy Riba odkryła, że Jay zachwyca się powieścią „Wielki Gatsby” i nawet wziął imię od jej bohatera. Zbieg okoliczności?

Raczej nie.

Jak nakłonić Briana, żeby się z tym pogodził? Przypięta do fotela, Riba czuje, że jej mięśnie sztywnieją na wspomnienie małżeńskich scysji, wywołanych faktem, iż zażyczyła sobie, by używano jej dawnego, prawdziwego imienia. W grę wchodziła również sprawa znacznie istotniejsza: akceptacja całościowej, a raczej holistycznej orientacji, jakiej nabrało jej życie, gdy wstąpiła do organizacji Jaya. Nie wątpiła, że gdyby udało jej się doprowadzić do bezpośredniego kontaktu obu mężczyzn, stosunek Briana do Jaya mógłby ulec zmianie. Ale nic z tego. „Jeśli będę szukał rady, jak prowadzić zdrowy tryb życia, pójdę do lekarza, psychiatry albo księdza - oświadczył drwiąco podczas pewnej ostrej sprzeczki. - Albo przespaceruję się po Phoenix Park i zadam kilka pytań gołębiom i wiewiórkom. Ten facet to zwykły cieśla, który struga waźniaka”.

Na próżno Riba zwracała mu uwagę, że Jezus także był cieślą.

Choć pocieszała się myślą, że głos proroka jest zazwyczaj głosem wołającego na puszczy, z upływem miesięcy i lat coraz bardziej słabła jej tolerancja wobec ciasnych poglądów męża i zaczęła w niej wzbierać uraza. Teraz czuła, że problemem Briana może być zwykła męska zazdrość. To nader prawdopodobne, iż ma do niej dziecinne pretensje o czas poświęcony rzeczom, które odwracają jej uwagę od niego.

Raz czy dwa posunął się nawet do sugestii, że Riba romansuje z Jayem. Nigdy się nie zniżyła do odpowiedzi na ów zarzut.

Jego podejrzliwość i nieustanne zrządzenie miały ten skutek uboczny, że aby sfinansować swe nowe życie, Riba musiała zdobywać pieniądze bez wiedzy Briana. Kursy Jaya Streeta, preparaty witaminowe i zdrowa żywność nie są tanie i żeby sobie na nie pozwolić, uciekała się do zawiłych wybiegów. Na przykład, płacąc gotówką przy codziennych zakupach spożywczych, zawsze można zgarnąć końcówkę do kieszeni. Nabrała również zwyczaju podawania zawyżonych cen ubrań i innych rzeczy, które kupowała dla siebie, rodziny lub domu i cichego przywłaszczania sobie nadwyżki. Irytowało ją, że musi przez cały czas pamiętać o usuwaniu metek i nalepek z cenami, lecz weszło jej to już w nawyk, tak jak nastawianie budzika co wieczór.

Kiedy Brian pytał ją, skąd bierze pieniądze na jakąś imprezę czy kurs, okłamywała go. Mówiła, że członkowie organizacji są zwolnieni z opłat. Zupełnie nie czuła się winna z powodu tych wykrętów. Bądź co bądź, pieniądź to rzecz nabyta. A odkąd Jay zaczął udoskonalać swoje metody, wyznawał zasadę, że jego organizacja i recepty na życie zostaną należycie docenione jedynie wówczas, gdy korzystanie z nich będzie słono kosztowało.

Riba ponownie się rozluźnia i przywołuje w myślach wizję Jaya poddającego ich córkę cudownej kuracji. Nigdy nie widziała samego procesu uzdrawiania - odbywa się to w cztery oczy i przy zamkniętych drzwiach - lecz wystarczy poczytać relacje chorych, zamieszczane w biuletynie organizacji „Wewnętrzne Drzwi”, by wiedzieć, że Jay posiada szczególny dar. Potrafił wyleczyć przewlekłe choroby, takie jak artretyzm. Ludzie pozbywali się nadwagi, wychodzili z ciężkiej depresji, cofał się u nich rak. A nawet osiągnęli wielkie sukcesy w interesach i choć nigdy nie wyjaśniano, na czym owe interesy polegały, Ribi to nie przeszkadzało, gdyż sama nie przejawia najmniejszego zainteresowania przedsiębiorczością.

Gdy tylko postanowiła powierzyć Jayowi kurację Zeldy, zdobyła adres kobiety, którą wyleczył z guza w piersi. Kobieta owa, blondynka w średnim wieku, o zmęczonych oczach i z ciemnymi odrostami, mieszkała z mężem, pochłoniętym oglądaniem kanału sportowego w telewizji, w niechlujnym, odrapanym domku w wiejskiej części hrabstwa Dublin.

Na niecierpliwie pytania Riby, co Jay mówił i robił, i w jaki sposób przystąpił do leczenia, odpowiadała niepewnie, choć bardzo starała się pomóc.

- Wiem tylko, że usiadł przy mnie i pokierował moimi myślami. Długo do mnie przemawiał, może nawet kilka godzin... przypominam sobie, że było już ciemno, kiedy wyszłam z pokoju. Przykro mi, ale nie pamiętam, co mówił. Pamiętam za to jego głos -

dodała po pauzie, a w jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia. - Ma przepiękny głos. No i to niezwykle wrażenie. Do dziś nie zapomniałam, jak cudownie się wtedy czułam, tak spokojnie, swobodnie i młodo. Zrobiłabym dla niego wszystko. - Nagły rumieniec zabarwił jej blade policzki. - Wszystko!

- Nie kładł na pani rąk? - Riba zawsze wyobrażała sobie, że uzdrawiająca moc Jaya kryje się w jego dłoniach.

- Nie - odrzekła tamta z lekkim wahaniem. - Nie wydaje mi się. Próbowałam sobie przypomnieć, ale wtedy przez cały czas byłam jakby w transie.

- Zahipnotyzował panią?

- Pytałam go o to, ale powiedział, że nie stosuje hipnozy. Że tylko sięgał w głąb mojego umysłu, a moc pochodzi ode mnie samej. - Zwróciła ku Ribie łzawe spojrzenie. - Co pani dolega, złotko?

Riba, która przede wszystkim pragnęła zyskać pewność, zignorowała pytanie.

- Na pewno jest pani wyleczona? Potwierdzili to lekarze?

- Nie posiadają się ze zdumienia. Oczywiście nie chcą powiedzieć nic konkretnego, wie pani, jacy oni są. Ale to ich zdumiewa. Do samej śmierci nie przestanę powtarzać, że warto było, choć on - tu wskazała niedbałym ruchem kciuka swego partnera życiowego, który tymczasem usnął - powiedział, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Nie zgadzałam się z nim, a poza tym to ja miałam raka, a nie on. Poszłam do banku i uzyskałam pożyczkę pod zastaw domu mojej mamy. - Zerknęła w stronę męża z miną mówiącą: „A widzisz?”.

Riba pozostała w kontakcie z tą zmęczoną życiem kobietą, której zmniejszony guz nadal - dzięki Bogu - zadziwiał lekarzy.

I dzięki Bogu za przyjaciół poznanych w organizacji. Spotykając się z ludźmi, którzy ją rozumieli, łatwiej znosiła drwiny cyników i niedowiarków, te słyszalne i te niesłyszalne.

Gwałtowny podmuch wprawiał w drżenie podłogę pod jej stopami, gdy pierwszy w kolejce odrzutowiec zaczął sunąć z hukiem po pasie startowym. Czując dreszcz podniecenia, Riba spojrzała na uśpioną Zeldę. Taka mizerna i zmęczona, biedna ptaszyna.

A teraz silniki ich samolotu zaczynają pracować na pełnych obrotach. Cudownie! Nareszcie ruszają w drogę! Riba rozluźnia mięśnie i skupia się na wizji córki, uleczonej i tryskającej zdrowiem. Obydwie znajdują się teraz pod opieką Jaya, na trajektorii prowadzącej do jego fizycznej obecności. Wszystko zapowiada się wspaniale. Włosy Zeldy odrosną, twarz nabierze kolorów, a wycieńczające, zjadliwe leki i środki przeciwbólowe wylądują w najbliższym sedesie.

Riba nie potrafi powstrzymać uśmiechu.

- No i już - zwraca się ku sąsiadom, pragnąc dzielić z nimi radość. Amerykanie trzymają się za ręce.

- No i już - mówi Brian do Sophie, gdy obydwójce wyciągają szyje, usiłując wypatrzeć samolot Tary na pasie za zasłoną mokrego śniegu. Ziemia dygocze, zza ogrodzenia dobiega stłumiony ryk silników. Brian opuszcza szybę w oknie mustanga. - Zaczyna padać śnieg.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. - Sophie nie jest do końca pewna, ale kto jej zaprzeczy. Najważniejsze, aby uspokoić męża Eily. - Nowoczesna aparatura lotnicza łatwo sobie poradzi z odrobiną śniegu. W każdym razie już ruszył i zaraz wystartuje.

Nasłuchują odgłosu włączanych silników, gdy wibrujące, basowe dźwięki poprzedniego samolotu cichną w oddali. Sophie przeciera zmęczone światłem i wysiłkiem oczy.

- Postaraj się nie martwić. Wrócą do ciebie całe i zdrowe. Zobaczysz. Może takie krótkie wakacje trochę pomogą Zeldzie? - Zerka na niego ukradkiem. Widzi, że ani trochę go nie przekonała.

Mimo temperatury panującej na zewnątrz również postanawia opuścić szybę, żeby się czymś zająć, i wypatruje samolotu. To prawdziwy cud, myśli, że te olbrzymie, ciężkie bryły metalu, obciążone paliwem, ludźmi, wyposażeniem, ładunkiem i bagażem, wzbijają się w powietrze z lekkością jaskółek. Ilekroć siada na fotelu w samolocie obok Michaela i zapina pasy, zawsze podczas startu kurczowo chwyta się poręczy, jakby chcąc zmniejszyć własny ciężar i dopomóc maszynie wznieść się w powietrze.

A jeśli chodzi o niekończący się pęd po pasie startowym, za każdym razem ogarnia ją lęk, że trzeszczący w szwach, nadmiernie obciążony samolot nie zdoła oderwać się od ziemi. Linie lotnicze nie kontrolują już tak jak dawniej wagi bagażu i ilekroć Sophie widzi rozmiary podręcznych toreb niektórych pasażerów, którzy z wyraźnym trudem stawiają je na taśmie, jej serce zaczyna walić mocniej.

Tak jak teraz, gdy wreszcie pojawia się samolot Eily i zbliża się do nich z hukiem. Silniki wyją, strumienie wody spływają z kadłuba. Skrzydła drgają przy każdym garbie na pasie startowym.

Niespodziewanie Brian wysiada z auta i przylepia się do ogrodzenia, rozstawiając szeroko nogi. Gorączkowo wymachuje ramionami, gdy obok przemykają mgliste, owalne otwory w kadłubie samolotu. Sophie również macha, wystawiwszy rękę przez otwarte okno i, choć czuje się trochę głupio, wyteża wzrok, usiłując wypatrzeć twarz.

Potężny ładunek uwolnionej energii przetacza się obok nich na niewiarygodnie małych kółkach, unosząc w dal to, co wydawało się ludzkimi twarzami. Pozostaje jedynie wierzyć, że ona sama, Brian i mustang byli widoczni na tle przemykającego krajobrazu. Częściowo w geście solidarności, lecz właściwie nie wiadomo dlaczego, Sophie wyskakuje z auta, by lepiej widzieć start samolotu.

Z estetycznego punktu widzenia, myśli, krzyżując ramiona na piersiach dla osłony przed naporem zimnego, wilgotnego powietrza, samolot jest brzydki. Kępny, przysadzisty kształt, ciągnący za sobą smugę oparów i dymu. A wszystkie wyziewy połykają króliki, lisy, nornice i myszy polne, które muszą dzielić łąki z tymi kopącymi, ryczącymi potworami.

Nadciąga kolejna chmura i Brian, nie czekając, aż koła samolotu oderwą się od ziemi, zawraca w stronę auta, ślizgając się na topniejących kryształkach śniegu i lodu między kępami zeschniętej trawy.

- Myślisz, że nas zobaczyły? - Usiłuje przekrzyczeć hałas.

- No pewnie, że tak. One...

Obydwoje odwracają się jednocześnie. To, co usłyszeli, mogło być wystrzałem dla odstraszenia ptaków, lecz wydawało się głośniejsze, dłuższe i zagłuszyło nawet huk silników. Na ułamek sekundy zapadła

cisza, a potem nastąpił kolejny, jednoznaczny odgłos wybuchu, poprzedzający serię zgrzytliwych, rozdzierających dźwięków, która trwa i trwa, i trwa...

W górę wznosi się płomienny, złowrogi grzyb, zabarwiony czernią. Wirowym lotem zbliża się jakiś przedmiot podobny do olbrzymiego, zniekształconego frisbee; zieleń i biel, zieleń i biel...

Brian odruchowo rzuca się ku Sophie i wciąga ją do rowu. Obydwoje padają na plecy tuż pod ogrodzeniem, gdy fragment ogona samolotu przecina łańcuchy o kilka kroków od nich i spada na hiace, mustanga i audi. Z traskiem i brzękiem część ogrodzenia wali się obojgu na głowy, grzebiąc ich pod stertą metalu i drutu i przygważdżając gradem odłamków.

Rozdział 3

Twarz Riby zastygła w wyrazie absolutnego zaskoczenia.

Nie od razu zdała sobie sprawę, co się dzieje, i nie zdołała nabrać dość oddechu, by krzyknąć. Płynęli sobie rozkosznie naprzód - zawsze odczuwała w takich chwilach coś w rodzaju seksualnego podniecenia - i nagle, bez uprzedzenia, usłyszała potworny łoskot. A potem następny, jeszcze głośniejszy. I zapadły smoliste ciemności.

Coś się stało z powietrzem: napało na nią, zgęstniałe, mrozące krew w żyłach, i chwyciło ją z boku, jakby usiłowało zerwać jej głowę z karku i oddzielić żebra od kręgosłupa. Poleciała w bok, uderzyła w coś twardego, choć sprężystego, i upadła, wciąż przypięta pasem do fotela. Legła na boku, a jej głowę i ramiona zasypały odłamki schowka na bagaż, który jeszcze przed chwilą znajdował się powyżej.

Teraz, jak przez grubą warstwę chmur, czuje, że świat się rozpada. Pieką ją usta, wypełnione palącym smakiem whisky. Komuś rozbiła się butelka. Riba usiłuje poruszyć głowę, lecz nie może; zaplątała się w coś miękkiego. Pewnie w czyjś płaszcz. Jej lewe oko pulsuje, jakby nabito je na szpikulec; dławiący, ostry smród paliwa zapiera dech, a prawe ramię, przygniecione ciężarem ciała, sprawia dziwne wrażenie, jakby należało do kogoś innego. Riba może poruszać nogami i lewą ręką - niczym więcej.

Czy tak właśnie czuli się jej rodzice tuż przed wypadkiem, w którym zginęli? Czy słyszeli podobnie ogłuszający hałas?

Ponieważ hałas, choć przytłumiony, jest nie do zniesienia.

Odbiera to wszystko w ułamku sekundy, tuż przed uświadomieniem sobie, że stały się ofiarami katastrofy lotniczej. Analiza tego wypadku może jednak poczekać, podobnie jak wyliczanie doznanych obrażeń. W tej chwili Riba nie czuje bólu, nie czuje nawet lęku. Zachowuje pełną świadomość. Musi dotrzeć do Zeldy.

W zawężonym polu widzenia Sophie świat uległ zmianie. Niepokój i zamęt zajęły miejsce uporządkowanych kątów, płaszczyzn, zapachów i dźwięków. Napierający, podbarwiony czerwienią mrok zaćmił światło dnia, a powietrze wypełniły smród i wycie. Przygniatające ją ciało męża przyjaciółki staje się osłoną przed odłamkami, które spadają - jak się wydaje - bardzo długo, lecz w rzeczywistości trwa to zaledwie pół minuty.

Brian leży nieruchomo. Głowę ma wykręconą pod nienaturalnym kątem, uchem do ziemi, a jego lewe ramię uciska jej pierś. Ciężar ów, połączony z fragmentami ogrodzenia i tego, co na nie spadło, przygniata Sophie do ziemi tak mocno, iż wydaje się jej, że zaraz pęknie jej kręgosłup. Boi się poruszyć, żeby nie spotęgować bólu.

Łoskot cichnie, a po krótkiej, upiornej pauzie inne odgłosy przybierają na sile, tworząc kakofoniczny chór niczym w domu wariatów. Słychać świst, trzask, męski głos krzyczący z oddali nieznośnie długo i przeraźliwie. A potem dźwięk syren jak z telewizora stojącego w jakimś odległym pokoju.

Sophie boi się wymówić imię Briana. Co będzie, jeśli jej nie odpowie?

Jeszcze nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów całej tej potworności. Samolot Eily wyleciał w powietrze. To po prostu absurdalne. Coś takiego nie mogło się zdarzyć.

Ale zapachy, dym, błyski ognia, trzaski w pobliżu i narastające wycie syren wydają się aż nadto rzeczywiste.

- Brian? - Sophie w końcu zbiera się na odwagę. - Brian?

Brian ani drgnie.

Teraz narasta w niej panika. On nie żyje. To przez nią zginął. Ona go tu ściągnęła. Co ma powiedzieć Eily?

Czy Eily także zginęła? Gdzie jest? A Zelda? Czy oni wszyscy nie żyją? Kto zawiadomi Donny'ego?

Rozgorączkowany umysł Sophie galopuje naprzód, a potem zatacza koło i wraca do jej obecnej sytuacji. Jezu, Jezu - a jeśli wokół niej leżą same trupy i tylko ona jedna pozostała przy życiu? Ratownicy zajmą się w pierwszej kolejności samolotem i pasem startowym. Kto pomyśli o grupie zabłąkanych obserwatorów za ogrodzeniem? Może nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby tu zajrzeć. Nikt jej nie usłyszy; udusi się, daremnie wzywając pomocy. Tłumi krzyk wzbierający głęboko w gardle. Któż usłyszy jej ciche wołanie w tym całym zgiełku?

Odsuwa od siebie tę myśl i skupia się ze wszystkich sił na własnym ciele. Żyje i musi obrócić to na swoją korzyść. Skoncentruj się, Sophie! Przygnieciona ciężarem, leciutko porusza każdą z czterech kończyn po kolei. Żadna nie jest złamana, a przynajmniej tak jej się wydaje.

Kręgosłup pozostaje unieruchomiony, lecz to niewątpliwie dlatego, że ciężar ogrodzenia przyciska ją do ziemi. Może za to poruszyć szyją. Z pewnością byłoby to niemożliwe, gdyby miała uszkodzony kręgosłup.

Podjmuje jeszcze jedną próbę.

- Brian? - Jej głos brzmi jak odległe krakanie wrony. Czeka. Nadal nie ma odpowiedzi. Zupełny bezruch.

Riba napiera z całych sił lewym ramieniem na to, co unieruchamia jej twarz i szyję - i przekonuje się, że jest zatrzaśnięta jak w szufladzie i może najwyżej unieść lub obrócić nieco głowę, by zaczerpnąć łyk tlenu - niezbędną odrobinę, dostępną jej płucom. Przesuwając się, zauważa, że nie tylko płaszcz przygniata jej twarz, lecz także coś w rodzaju siatki. Przypomina sobie o klatkach wewnątrz schowków, specjalnie zaprojektowanych, by zapobiec przemieszczaniu się bagaży. Musiała głową przebić tę siatkę, choć nie czuje bólu ani konkretnych guzów czy sińców.

Stopniowo do jej zamknięcia dociera zgiełk panujący na zewnątrz. Nie widzi światła - jej oczy pozostają ślepe - ale słyszy dźwiękową dysharmonię: trzaski i zgrzyty miazdżonego metalu, powtarzające się, ciche pyknięcia, przywodzące na myśl prażoną kukurydzę i z oddali głucho, zwielokrotnione wycie syren. Żadnych ludzkich krzyków, tylko ledwo słyszalny, lecz nieustanny jęk, dobiegający skądś z bliska.

Czuje na przemian gorące i lodowate podmuchy, omiatające jej nagą skórę. To ją intryguje. Na podróż włożyła wygodne spodnie od dresu. Czyżby się podarły? Po omacku wyciąga rękę - i tak, wyczuwa, że jej udo jest nagie. I wilgotne.

Wykręca unieruchomioną głowę najdalej jak może.

- Zeldo! - woła, lecz jakiś knebel tłumi jej głos. Dokonuje najwyższego wysiłku, czerpiąc powietrze, skąd się da. - Zeldo?

Wyteża słuch. Nikt nie odpowiada: „Mamo”. Natomiast z bliska wciąż dobiegają jęki, które po chwili zagłusza narastające wycie ciężkich pojazdów.

Riba zaczyna dygotać i nie jest to zwykły dygot, lecz potężne, nie-dające się opanować wstrząsy, które grożą ponownym pogrzebaniem pod ciężarem płaszcza, a w każdym razie tego czegoś, co przygniata jej twarz. Po wszystkim, przez co przeszła Zelda - środki chemiczne, leki, cała wojna psychologiczna, którą toczyli Riba i Brian - byłoby naprawdę nie do zniesienia, gdyby miała umrzeć właśnie teraz, kiedy znalazł się dla niej ratunek.

Wycie syren rozlega się coraz bliżej, a Riba, trzęsąc się w swoim więzieniu, modli się żarliwie - żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu - do Jezusa, Marii, do swego ciężko doświadczonego przez los anioła stróża. Modli się, by jej prośby dotarły do Jaya na wyspie i

by zwrócił ku niej dobrotliwe spojrzenie. Modli się, ofiarując własne życie w zamian za życie Zeldy.

Ostrożnie przebierając palcami prawej dłoni, niczym pajak odnóżami, Sophie przemieszcza rękę pod uciskającą ją klatką piersiową Briana i udaje jej się dosięgnąć spoczywającego tuż przy ciele lewego ramienia. Dobrze się składa, że leżą w rowie na mokrej ziemi i trawie, a nie na czymś twardym i sztywnym jak płonący pas startowy...

Jezu...

Odsuwa od siebie tę wizję i z całych sił napiera na pierś Briana dłońmi, rękami i ramionami, aż wreszcie może przesunąć się nieco w prawo i uwolnić spod jego ciężaru głowę, szyję i bark. Następnie, unosząc lekko kolana dla przeciwwagi, pracuje niemal całym ciałem. Dopiero wówczas przychodzi jej do głowy, że prawdopodobnie nie powinna była ruszać Briana. Za późno. Powoli, sprawdzając centymetr po centymetrze, czy jej plecy i biodra to wytrzymają, wyczołguje się spod niego i, dysząc ciężko, pada obok. Niebo przesłania jej łańcuch i jakiś olbrzymi przedmiot.

Sophie zbiera siły, by przekrzyczeć panujący wokół hałas.

- Na pomoc! Na pomoc! - Czeką chwilę, nasłuchując odpowiedzi. Słyszysz potężny, zlewający się ryk, wycie syren, nieustanne drobne wybuchy, krzyki mężczyzn - lecz jej położenie pozostaje bez zmiany.

Musi poradzić sobie sama.

Odpycha się mocno stopami i kolanami i wykorzystując zagłębienie pod sobą, zapiera się oburącz, uzyskuje odrobinę luzu tuż przy twarzy i wreszcie uwalnia głowę. Potem powolutku wypełza spod przygniatającego ją ciężaru i dźwiga się na nogi.

Tumult wokół Riby ciągle narasta. Dociera do niej teraz dźwięk wielu syren, choć tłumi go materiał spowijający jej głowę. O dziwo, mimo że nadal dygocze na całym ciele, nie odczuwa strachu. Zupełnie jakby normalny bieg jej myśli uległ zawieszeniu, dopóki nie będzie miała przed oczyma całości obrazu. Skupia się na Zeldzie.

Zelda, Zelda, Zelda...

Wykorzystując siłę woli, musi otoczyć Zeldę ochronną siecią.

Zelda... Zelda...

Wyobraża sobie córkę całą w złocie. W złotej, powłóczystej sukni królewskiej oblubienicy. Jej włosy zdobi wieniec. Jest zaróżowiona, promienna. W jej olśniewającym uśmiechu odbija się blask niezliczonych świec...

Riba nie martwi się już, że Zelda odeszła do lepszego świata. To nie było jej przeznaczone. Jeszcze nie. Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć, nie teraz, gdy jest pod opieką Jaya. Nie ma potrzeby wdawać się w niemądre, zuchwałe targi z Panem Bogiem.

Kłopoty mogą się pojawić jedynie w wypadku, gdyby Zelda została ranna. Jak to by wpłynęło na jej chorobę? Przypuśćmy, że złamała którąś z kruchych, porowatych kości. Albo się skaleczyła, tracąc cenną krew...

Przestań. Dość tego.

Zachowaj wiarę...

Jej koncentrację osłabiają dobiegający z bardzo bliska odgłos pracy potężnego silnika i pisk hamulców. Musi się postarać, żeby ją usłyszano, a przynajmniej dostrzeżono.

Zmienia przedmiot uwagi i skupia się całkowicie na dudniącym silniku. To ja... ja... przyjdźcie mi z pomocą...

Jej nogi, dalekie od doskonałości - za grube, prawdę powiedziawszy - są jedyną częścią ciała, której Riba nigdy nie wystawia na widok publiczny. W tym momencie jednak, oprócz lewej ręki, której ruchy są mocno ograniczone, nogi stanowią jedyny środek służący nawiązaniu kontaktu i chyba po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Riba nie dba o to, kto je zobaczy i co sobie o nich pomyśli, tylko wymachuje nimi z całych sił. Raz, drugi, trzeci... zgina kolana, prostuje, znowu zgina, kopie w powietrzu, posługując się nogami jak semaforem. Tutaj... tutaj... jestem tutaj.

Chwilę później, choć dudnienie silnika i tłumiąca dźwięki klatka, w której uwieźnia jej głowa, nie pozwalają rozróżnić słów, wie, że ktoś stoi obok i coś do niej mówi. Wolną lewą ręką Riba daje krzepiący - jak ma nadzieję - znak, unosząc kciuk. Zawój wokół jej twarzy przesuwa się nieco, a do tego dołącza się wrażenie kołysania, gdy ktoś chwyta za kawałek metalu, obejmujący jej głowę. Niewyraźnie słyszy męski głos. Mężczyzna prawdopodobnie krzyczy, lecz nie jest pewna, co; wydaje jej się, że brzmi to jak: „Spokojnie, paniusiu, spokojnie, paniusiu”. Knebel ponownie opada, gdy ratownik się oddala.

Mijają wieki, wypełnione pulsującym dudnieniem maszyny.

A potem mężczyzna wraca. Nie jest sam. Riba czuje więcej niż jedną parę rąk na swoim ciele. Bliżej niż silnik, znacznie bliżej, rozlega się przenikliwe, mechaniczne wycie, połączone z rozdzierającym zgrzytaniem. Sprzęt do cięcia metalu.

Riba kuli się odruchowo, lecz czyjeś ręce przytrzymują ją mocno. „Spokojnie, paniusiu”.

Czując mdłości i zawroty głowy, Sophie broni się przed widokiem czerwono-czarnej płataniny na pasie startowym, zahaczając o nią jedynie kątem oka, ale nie może uciec wzrokiem od spustoszeń w najbliższym otoczeniu. Wszystkie samochody obserwatorów zostały w mniejszym bądź większym stopniu uszkodzone, a fragment ogona - z tej perspektywy wręcz gigantyczny - spłaszczył audi i mustanga oraz doszczętnie zniszczył hiace. Zszokowani kierowcy innych aut, przeważnie osoby w średnim wieku, obchodzą owe trzy pojazdy, potykając się na pobojuwisku zasypanym odłamkami metalu, drutami, kablami, skrawkami obić i jakimiś kłaczkami, które, jakby naśladując niedawny deszcz ze śniegiem, fruwały wokół niesione wiatrem i opadają na ziemię, tworząc grube szare zaspę. Dwóch potencjalnych ratowników, zapłakanych i mamroczących coś do telefonów komórkowych, dotarło do hiace i zaczęło obmacywać zdeformowane drzwi po stronie kierowcy.

Nikt nie zauważył Sophie.

Mimo kłębow gęstego dymu widzi, że mężczyźni przy furgonetce daremnie się trudzą. Poskręcany fragment logo Tary wgniółł dach, tworząc w nim głęboką rysę w kształcie litery V i przygważdżając głowę i kark kierowcy, który osunął się na pogruchotaną kierownicę. Widać jego otwarte usta. Jest oczywiste, że biedak nie żyje.

Sophie czuje, że robi jej się niedobrze, ale myśli przede wszystkim o Brianie.

- Tutaj! - woła słabym głosem do mężczyzny, który usiłuje ściągnąć odłamki pokrywające maskę audi. - Proszę mi pomóc, tu jest przygnieciony człowiek. Potrzebuję pomocy!

Jakimś cudem ratownik słyszy wołanie. Podbiega i chwyta ją w chwili, gdy uginają się pod nią kolana.

- Niech pani siada - rozkazuje, siląc się na kategoryczny ton, lecz Sophie odpycha go od siebie.

- Nie, nic mi nie jest. Musimy go wydostać. Proszę. - Z trudem przełyka ślinę, pochyła głowę nisko między zdradzieckie kolana i wykonuje kilka głębokich wdechów, czekając, aż zawroty miną.

Mężczyzna rozgląda się rozpaczliwie.

- Chodźcie tutaj! - krzyczy w przestrzeń.

Widząc, że ktoś przejął dowodzenie, pozostali odrywają się od zgniecionych samochodów i ruszają na odsiecz uwięzionemu pod łańcuchami Brianowi. Ogrodzenie zostało rozerwane tylko w jednym miejscu, około trzech metrów w prawo od miejsca, w którym leży Brian. Po jego lewej stronie powraca do pionu i nadal otacza lotnisko, jak gdyby nic się nie stało.

Zanim Sophie odzyskuje nieco siły, by służyć jakąkolwiek pomocą tamtym, sześciu mężczyźn usuwa część gruzu i odłamków, a potem dwaj napierają plecami na pochyłą część siatki, reszta zaś, pod wodzą pierwszego ratownika - „Raz! I dwa! I trzy!” - podważa odcinek przygniatający Briana, wciąż niedającego znaku życia.

Sophie wkracza do akcji: gdy pod ogrodzeniem pojawia się odrobina luzu, wpełza tam, dociera do bezwładnego ciała i mocno chwyta za fałdy marynarki, zaciskając dłonie na materiale. Brian nie przywiązuje wagi do ubiorów i Sophie modli się, by ten garnitur należał do jego solidniejszych nabytków.

Przenikliwy zgrzyt urządzeń tnących metal tuż przy jej głowie wydaje się Ribie najpotworniejszym z wszystkich przerażających dźwięków, jakie dotychczas musiała znieść. Wznosi się i opada kakofonicznie, przewyciężając opór powłoki samolotu. Riba wykorzystuje całą siłę woli, by leżeć spokojnie, nie kopać i nie wrywać się z żelaznego uścisku dłoni przytrzymujących jej nogi.

Jej repertuar wizualizacji i technik relaksacyjnych zdążył się już wyczerpać. Mimo usilnych starań nie potrafi przywołać dalszych obrazów, które odwróciłyby jej uwagę od tej gehenny, i czuje teraz każdy podmuch gorąca, słyszy każdy przeszywający zgrzyt rozdieranego aluminium, wstrząsa nią każde drgnienie, chrzęst i trzask. Po raz pierwszy jest bliska utraty panowania nad sobą. A gdyby te ostrza się ześlizgnęły? Albo szczęki? Domyśla się, że te maszyny muszą mieć szczęki. Widzi je, rozdziawione jak u krokodyla, kłapiące tuż obok...

A Zelda... Czy przeżywa to samo?

Proszę, proszę - powtarza błagalnie, nie zwracając się do nikogo konkretnego i walcząc z coraz silniejszym przyływem hysterii. Proszę, proszę. Nieskładnie. Proszę...

W chwili, gdy myśli, że już dłużej tego nie wytrzyma, coś pęka z ogłuszającym hukiem. Dławiąca, miękka tkanina nagle opada i Riba, oślepiąca zatrutym, białym światłem dziennym, zachłystuje się cuchnącym, rozżarzonym powietrzem. Czuje dotyk rąk - nie wie,

jak wielu, ale poddaje się ich stanowczym manewrom, gdy ją podpierają i wyciągają z pułapki.

Ratownicy kładą ją na noszach, przytrzymują mocno, okrywają kocem... Ich twarze pod zbyt obszernymi kaskami są czarne i groteskowe. Wymachuje bezładnie ramionami, uderzając o nieprzyjemnie śliskie, gumowe kombinezony. Wszędzie wokół wyją syreny i unosi się odór rozgrzanych chemikaliów, gorszy nawet niż gryzące opary lotniczego paliwa.

Odwracając głowę i wrywając się z uchwytu tych wszystkich rąk, Riba dostrzega łukowate strugi piany, które bryzgają na to, co jeszcze niedawno było samolotem Tary, a teraz stało się ogromnym, spowitym w biel mauzoleum, oddalonym o jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt kroków. O dziwo, kabina pilotów - być może nieuszkodzona - obróciła się w bok i lekko uniosła do góry niczym dziarski łebek, wyglądający filuternie znad olbrzymiego, okaleczonego cielska.

- Nie-e! - krzyczy Riba i zrywa się z noszy. Musi odnaleźć Zeldę. Znowu usiłują ją przytrzymać, lecz wymyka się im, nie zważając na ból przeszywający ramię i kark, i biegnie z powrotem do miejsca, z którego ją wyniesiono. Musi dotrzeć do Zeldy.

Doganiają ją tuż przy zniszczonym kokonie, gdzie obydwie siedziały blisko siebie zaledwie chwilę temu. Przed ich niedawnymi miejscami rozpościera się pustka. Ogon samolotu, zgruchotany jak skorupka jajka, oderwał się od kadłuba. Fotel Zeldy jest pusty. Pozostałych brakuje albo też są puste.

Z wyjątkiem dwóch, sąsiadujących z jej własnym. Riba na moment zapomina o Zeldzie, a nogi się pod nią uginają.

Amerykanie, wyprostowani w odchylonych siedzeniach przy wgniecionym, powyginanym oknie, wciąż trzymają się za ręce. Żonie brakuje tylko połowy twarzy, natomiast w miejscu okrągłej głowy męża widnieje krwawe, nieregularne koło.

Riba zastyga w bezruchu, gdy do pary Amerykanów podbiegają dwaj strażacy z prześcieradłami. Jej opiekunowie stoją już tuż obok.

- Proszę z nami. - Ręce są silne, nie sposób się im oprzeć. - Musimy panią zawieźć do szpitala. I niech pani zdejmie tę torbę. - Czyjeś dłonie chwytają pas przewieszony przez jej pierś.

- Nie-e! - Z jakichś przyczyn Riba uważa, że rozstanie z torbą oznacza rezygnację z wszystkiego. Gotowa jest poświęcić dla niej życie i resztkę sił. Ale te wreszcie ją opuszczają, ustępując miejsca gęstniejącej ciemności.

Ratownicy chwytają Ribę, zanim upadnie na ziemię.

Brian przynajmniej oddycha. Stwierdzają to po wydobyciu go spod ogrodzenia. Ale zaraz potem wszystko tonie w zamęciu.

- Nie ruszajcie go.

- Czy ktoś wezwał pogotowie?

- Trzeba go zabrać z tej mokrej trawy.

- Nie. Na miłość boską, nie wolno go ruszać! Zaczekajcie na karetkę!

Wydaje się, że tylko skupiając uwagę na jednej osobie, można jakoś znieść ten wstrząs i strach. Może w ten sposób powstrzymają osuwanie się w otchłań. Może zajmując się czymś - albo kimś - tu i teraz, zdołają odnaleźć ład w całym tym chaosie i pokonać własny paniczny strach.

Jeden z mężczyzn zwraca się do Sophie.

- Jest pani jego żoną? Mamy go przenieść czy nie?

Wszyscy milkną wyczekująco, pozostawiając podjęcie decyzji osobie o większych uprawnieniach moralnych. Sophie wpatruje się w niespokojne, zrozpaczone twarze, otaczające ją kręgiem.

- Nie, nie jestem jego żoną. Jego żona jest... a może była... - Żółć podchodzi jej aż do nasady języka i musi odkaslnąć. Przetyka ślinę. - Przepraszam. Jego żona jest w tym samolocie. Jego córka również. Odprowadzaliśmy je.

Oniemiali, zwracają się ku potworności na pasie startowym i obserwują płomienną grę kolorów: czerwień, czerń, rdzawy brąz, migotliwe, błękitne i bursztynowe łuki, kreślone przez światła pojazdów służb ratunkowych, a za zasłoną dymu - smugi bieli, tryskające z węży strażackich i pokrywające ogniste piekło warstwą piany. Sophie, oszołomiona jak inni, zapomina chwilowo o Brianie i patrzy, dopóki ktoś nie zawoła, wyrażając ogólne przekonanie:

- Jezus, Maria, Józefie święty! Tego na pewno nikt nie przeżył. Wtedy czuje pierwsze prawdziwe ukłucie bólu. Eily nie żyje. Zgasło to irytujące, pełne rozmachu, tryskające energią życie.

I Zeldy. Biedna, Bogu ducha winna Zeldy, pionek na szachownicy dobrych chęci swojej matki. Ona także nie żyje. Dziewiętnastoletnia, skazana na śmierć i zabrana, choć jeszcze nie zdążyła się z tym pogodzić.

Nogi odmawiają Sophie posłuszeństwa i zanim ktokolwiek ruszy jej z pomocą, osuwa się na ziemię.

Jest pora kolacji. Donny i Trevor oglądają finalne sceny filmu „American Beauty”, powtarzanego w kinie studyjnym w mieście. Wyświetlane tam ambitne dzieła nigdy ich szczególnie nie interesowały, lecz nie mają nic przeciw amerykańskim pięknościom.

Popołudnie upłynęło im bardzo przyjemnie. Pojechali „Strzałą” aż do Howth i wspięli się na sam szczyt urwiska, spoglądając na morze i zapewniając się wzajemnie, jak to wspaniale zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Śmieszył ich ciężki los tych nieszczęsnych dupków, tkwiących teraz w dusznych klasach. Jedyne problem polegał na tym, że porywisty wiatr na górze uniemożliwiał zapalenie papierosów. Ponadto tyłki odpadały im z zimna. Czmychnęli więc z powrotem do wioski i schronili się w zadymionej frytkarni, gdzie spędzili błogą godzinę, napychając się batterburgerami i frytkami z curry, i wypijając morze herbaty ze styropianowych kubków.

Obżarstwo trwało po powrocie do centrum miasta, gdy postanowili wybrać się do kina. W tym wykwintnym przybytku nie sprzedawano czegoś tak ordynarnego jak popcorn, lecz i tak podłogę u ich stóp zaścierały dowody cukroholicznej orgii: papierki po czekoladzie, słomki, zgniecione plastikowe butelki. Obydwaj czuli się w tym pałacu marzeń jak w siódmym niebie, wdychając cudowny, lekko stęchły zapach obić, kurzu i starego aksamitu. Przy zaledwie kilku widzach na sali była to niemal prywatna projekcja. Popołudniowy seans dublińskich szejków.

W tej chwili jednak nie myśleli o jedzeniu ani o picu. Akcja filmu tak ich wciągnęła, że siedzieli nieruchomo i sztywno niczym kamienne posągi. Kevin Spacey za chwilę będzie się kochał z najpiękniejszą blondynką, jaką widzieli w życiu. Ta skóra. Te usta. Te włosy. To ciało... Bojąc się, by czar nie prysł, Donny nie ocierał nawet kropelek potu, które spływały mu do oczu ukrytych za szklami okularów.

O Boże... jego dłonie dotykają paska jej dzinsów, już go rozpinają, zaraz je z niej ściągnie...

O Boże...

- Kurde! - wykrzykują obaj chłopcy, jednocześnie wypuszczając oddech. Kevin Spacey stchórzył. Są tak wściekli na Kevina Spaceya, że nawet nie chce im się zostać do końca filmu.

Gdy wychodzą w wieczorny mrok, na ulicy kłębią się tłumy urzędników, śpieszących do autobusów i pociągów. Donny włącza komórkę.

Nie chcąc marnować takiej okazji jak wolna chata, obaj z Trevorem -który powiedział matce, że zostaje dłużej w szkole na posiedzeniu klubu dyskusyjnego - zwołali wcześniej kumpli na imprezę. Wkłada okulary i przygląda się bacznie małej migającej buźce na ekranie.

- Hej, super! Pięć wiadomości!

Podczas odsłuchiwania nagrań z poczty głosowej mina i postawa Donny'ego ulegają tak diametralnej i wyraźnej zmianie, że jego przyjaciel zaczyna się niepokoić.

- O co chodzi? Co się stało?

Rozdział 4

Omdlenie Riby trwało krótko, odzyskała przytomność w chwili, gdy wnoszono ją do karetki. Choć bolał ją bark, a twarz krwawiła obficie, nikt nie musiał jej mówić, że nie jest poważnie ranna - sama o tym wiedziała i całą uwagę skupiła na córce. Zaledwie karetka ruszyła z piskiem opon w stronę szpitala Beaumont, Riba zaczęła gorączkowo wypytywać sanitariuszy, gdzie jest Zelda i co się z nią stało. Władze lotniska zaczęły już jednak realizować plan awaryjny związany z katastrofą i każdy szpital w Dublinie i okolicach przyjmował rannych i zabitych, więc trudno było natrafić na jakikolwiek ślad.

Zanim nadeszła siódma wieczorem, Riba pogrążyła się w rozpaczy, siedząc w poczekalni oddziału nagłych wypadków szpitala Beaumont, ponieważ opuścił ją nie tylko Bóg, lecz także Jay Street oraz wyćwiczona zdolność pozytywnego myślenia. Teraz gotowa była zawrzeć pakt z samym szatanem, aby zapewnić córce bezpieczeństwo.

I wtedy z oszklonej dyżurki wybiegła pielęgniarka, podsuwając Ribie własny telefon komórkowy. Znalaziono Zeldę w szpitalu Matki Boskiej z Lourdes w Droghedzie, trzydzieści pięć kilometrów od stolicy.

Nieoczekiwana radość bywa takim samym wstrząsem jak boleść - i Riba, nie panując już nad sobą, oślepią łzami, zaczęła wystukiwać podany numer, lecz myliła się bez przerwy. Wreszcie w milczeniu oddała aparat pielęgniarce, która ją w tym wyręczyła.

Gdy Zelda w końcu się odezwała, Riba wciąż nie mogła wydobyć słowa. Każde włókienko nerwowe zdawało się zaciskać w jej gardle na dźwięk słabego, dalekiego głosu córki: „Halo, mamó! Mamó, jesteś tam?” - i dopiero po chwili wydusiła coś z siebie.

Nie potrafiłaby jednak, nawet minutę później, powtórzyć, co mówiła, ponieważ nic nie pamiętała. Teraz, gdy o tym myśli, odnosi wrażenie, że najprawdopodobniej szeptała w kółko imię Zeldy, pozostawiając córce prowadzenie rozmowy -jeśli można to tak nazwać. „Nie płacz, proszę cię, nie płacz. Nic mi nie jest, mamó, damę słowo. Ani draśnięcia”.

Wreszcie uspokoiła się na tyle, by uzgodnić, co dalej. Rano Zelda miała zostać przewieziona do szpitala onkologicznego, pod opiekę własnego lekarza prowadzącego, lecz na noc musiała zostać w Droghedzie.

- Mamó, dam ci ich do telefonu, dobrze? Żebyś powiedziała, jakie leki powinnam zażyć. Nie mogą się dodzwonić do moich lekarzy. Próbowalam telefonować do domu, ale nikt nie odbiera. Czy tata jest z tobą? Jesteś ranna?

- Absolutnie nie. Czuję się świetnie. - Budowanie spójnych zdań nadal sprawiało jej trudność, lecz jakoś się udało. - Nie wiem, gdzie jest tata. Pewnie przeżyje okropny wstrząs. Chyba już wie, co się stało. Miał dzisiaj jechać do Shannon. Odszuka nas. Teraz, jak sądzę, zajmuje się Donnym.

Zelda zaczęła płakać, zachłystując się jak czteroletnie dziecko, obudzone z koszmarne snu.

- Myślałam, że nie żyjesz, mamo. Myślałam, że nie żyjesz.

- Dzięki Bogu obie żyjemy, kochanie - wykrztusiła z siebie Riba.

- O Boże - szlochała Zelda - przepraszam, że zachowywałam się jak ostatnia kretynka.

- Wiem, że starałaś się, jak mogłaś, a gdy pomyślałam, że już cię nie zobaczę...

- Proszę, Zeldo, przestań. Jesteś najwspanialszą, najpiękniejszą córką na świecie.

Riba zdawała sobie sprawę, że w zatłoczonej poczekalni izby przyjęć wszyscy się na nią gapią, lecz zupełnie jej to nie obchodziło, gdy łączyła się z Zeldą w płaczu przez dzielące je trzydzieści pięć kilometrów.

Cztery z pięciu wiadomości w poczcie głosowej pochodziły od kumpli Donny'ego, którzy przyjęli zaproszenie na wieczorną imprezę. Piątą, z jakimiś bliżej nieokreślonymi odgłosami w tle - jak się później okazało, był to gwar głosów w holu wejściowym szpitala Mater - zostawił jego ojciec i z trudem dało się ją zrozumieć. Podawał numer telefonu. „Zadzwoń do mnie zaraz, gdy odsłuchasz tę wiadomość, dobra?”.

Następne dwie godziny okazały się istnym koszmarem, lecz Donny, na szczęście, miał przy sobie Trevora. Wśród wieczornego ruchu trąbiących i pełznących w korku samochodów, gdy Donny przetrwał wstrząsającą informację o tym, co się stało, Trevor porozumiał się ze swoim ojcem.

Pan Jameson, który pracował w centrum miasta, przyjechał po nich prosto z biura. Jako człowiek spokojny i logicznie myślący, zajął się wszystkim po kolei. Najpierw, wioząc chłopców do Mater, wysłuchał wiadomości radiowych i zaczął dzwonić pod numer telefonu kryzysowego, podawany co pięć minut, gdzie uzyskał w końcu informację, że matka Donny'ego przeżyła katastrofę i przebywa w Beaumont. Czekająca na zszycie rany ciętej nad okiem. Nie brzmiało to groźnie. Już na tym etapie Donny odczuł pewną ulgę. Zanim dotarli do szpitala, pan Jameson odszukał również Zeldę. I z nią było wszystko w porządku.

A potem stało się coś niesamowitego. Coś żenującego. Donny poczuł, że robi mu się niedobrze. Nie chciał zanieczyścić samochodu pana Jamesona, więc wykrztusił z siebie

prośbę, by się zatrzymali. Jechali akurat Gardiner Street i wokół było pełno ludzi, ale co mógł na to poradzić?

Wyskoczył z auta w samą porę, tuż zanim cała obfitość tego, co zjadł i wypił, chlusnęła jednym zawstydzająco długim strumieniem, podczas gdy pan Jameson podtrzymywał go za ramiona. Ludzie patrzyli na nich z oburzeniem, co było w dwójnasób upokarzające. Ale przynajmniej udało mu się trafić do kanału ściekowego.

- Lepiej ci teraz, synu? - Pan Jameson musiał mu pomóc wsiąść do auta, gdyż nagle kolana zaczęły się pod nim uginać. Dzięki Bogu, ojciec Trevora nie wałkował sprawy, co byłoby nie do zniesienia. Prawdę mówiąc, zachował się super. Donny nigdy by się tego po nim nie spodziewał.

Był pewien, że do końca życia nie zapomni tych paru godzin, które nastąpiły później. Zwłaszcza mazgajenia się. Płakał nawet tata, którego odnaleźli na oddziale rentgenologicznym, gdzie czekał na prześwietlenie głowy, szyi i ramion. Wcale nie wyglądał tak źle, choć był brudny i posiniaczony, miał rękę na temblaku i podarte ubranie. Gdy jednak usłyszał od Donny'ego, że mamie i Zeldzie nic poważnego się nie stało, zaczął beczeć jak małe dziecko. Trzeba było wiele wysiłku, żeby mu nie zawtórować.

Już to okazało się wystarczająco przykre, a wizyta w Beaumont dołożyła swoje. Donny, który nawet za milion funtów nie pozwoliłby nikomu zobaczyć, że płacze, na widok zakrwawionej twarzy matki poczuł łzy napływające do oczu. „Cicho, kochanie”. Leżąc na szpitalnym wózku, uniosła jedno ramię - z drugim coś było nie tak - by go przytulić, czemu, rzecz jasna, stawiał zdecydowany opór: wyrwał się i ruszył pośpiesznie w stronę automatu z napojami. Cieszył się, że ocalała, ale z przykrością oglądał ją w takim stanie. Znany dotychczas świat odwracał się od niego.

Zanim wrócił od automatu, zdołał jednak wziąć się w garść i gdy matka zawiadomiła go, że z Zeldą wszystko w porządku, mógł spokojnie powiedzieć, iż już o tym wie. A potem poinformował ją o tacie.

Nie wiedziała o niczym. Była wstrząśnięta; zupełnie ją zatkało, a jej fabryka łoż pracowała na pełnych obrotach. „Był tam? Został ranny? Jak ciężko? Dobrze się czuje? Znasz numer, pod który mogę do niego zadzwonić?”. Donny aż za dobrze pamiętał awantury o tę podróż, lecz oczywiście wiedział, że nie jest to właściwy czas na poruszanie owego tematu. Wkurzało go, że jest jedynym członkiem rodziny, który nie dostaje kręćka i nie leży w szpitalu.

A przynajmniej wydawało mu się, że go to wkurza - gdy jednak odpowiadał na pytania o tatę, a mama stopniowo się uspokajała, zaszło coś dziwnego. Poczuł się nieco lepiej

i odkrył, że bycie osobą dobrze poinformowaną i za coś odpowiedzialną wcale nie wydaje się drętwe i nudne. Choć taka postawa, zwłaszcza gdy w grę wchodziła matka - zresztą nie tylko ona - była czymś wyjątkowym, Donny przyłapał się na tym, że prostuje plecy bez czyjegokolwiek napominania. Ogarnął go tylko lekki niepokój, gdy jej podbródek znowu zaczął się trząść, a on już myślał, cholera, że niebezpieczeństwo minęło - dość się nasłuchał płaczu. Pośpiesznie podzielił się z nią wiadomością o cioci Sophie, której jeszcze nie odnalazł.

- Ale nic jej nie jest - dodał gorączkowo. - Tata tak powiedział. Chyba też trafiła do Mater, bo ją tam widział, tylko że ja nie miałem czasu za nią się rozejrzeć.

O tym najwyraźniej mama również nie wiedziała.

- Sophie także? - Przynajmniej zakręciła sikawki.

- Tak, była z tatą. Machali wam na pożegnanie.

- I wszystko z nią w porządku?

- Ma kilka siniaków i skaleczeń, ale poza tym tak, w porządku.

- Z tatą też? Jesteś pewien?

Ku jego konsternacji, w tej właśnie chwili kompletnie się rozkleiła, choć myślał, że wszystko jest pod kontrolą. Sytuacja zrobiła się rozpaczliwa, naprawdę rozpaczliwa, ponieważ kiedy mama tak płakała i zachowywała się - na miłość boską! - zupełnie jak dziecko, było mu coraz trudniej samemu się nie rozkleić. Nie mógł do tego dopuścić. Nie przy tych wszystkich broczących krwią ludziach, którzy jęczeli na materacach na podłodze.

- No już, już! - rzucił, poklepując ją jak kowboj, który uspokaja spłoszonego konia. Czuł, że jego twarz pokrywa się szkarłatem. - Nie płacz, mamo. Jestem przy tobie.

Prawdę mówiąc, choć się tego wstydził, z całego serca pragnął stąd wyjść. Fajnie grać rolę mężczyzny, ale wytrwanie w niej niełatwo przychodzi komuś, kto do tego nie przywykł.

Mama nadal płakała, lecz już ciszej, kiedy przyszedł po niego pan Jameson i pojechali razem do domu Trevora, skąd Donny'emu udało się dodzwonić do siostry, a pani Jameson usmażyła dla wszystkich gorę frytek.

I dopiero wtedy uświadomił sobie, że czterej koledzy prawdopodobnie rzucają teraz kamyczkami w okno jego pokoju, czekając na obiecaną imprezę.

- Przepraszam! Naprawdę bardzo przepraszam!

Cztery dni po katastrofie, na rogu Quays i Church Street, Sophie opuszcza szybę swojego auta, by usprawiedliwić się przed kurierem na motocyklu, któremu niechcący

zajechała drogę, on zaś gwałtownie skręcił i omal nie spadł z siodełka. Choć dzień jest ciepły, niemal wiosenny, opatulila się kilkoma warstwami białej wełny i musi teraz ściągnąć szalik, żeby było słychać jej głos.

Odpowiedź chłopaka zza grubej osłony kasku brzmi jednoznacznie: składa się z mocnych epitetów, podających w wątpliwość jej pochodzenie, umiejętność prowadzenia samochodu oraz prawo do istnienia. Kurier ponownie zapala silnik i odjeżdża, brzęcząc niczym rozwścieczona osa, lecz przedtem jeszcze daje kilka wymownych znaków palcem. Sophie ze znużeniem, resztką sił, zamyka okno. Nie ma do chłopaka pretensji, że się rozżłościł: całe zdarzenie było wyłącznie jej winą. Zawiodła ją koncentracja i mogła go nawet zabić.

Nigdy w życiu nie czuła się równie wyczerpana. Choć omdlenie po katastrofie okazało się krótkotrwałe i - o dziwo - wszystko skończyło się kilkoma sińcami na plecach i jednym na policzku, psychicznie czuje się kiepsko i ma kłopoty ze snem.

Jedzie właśnie w odwiedziny do Eily, lecz bez entuzjazmu. Nie dlatego, że obawia się czegoś naprawdę strasznego. Po prostu nie jest w nastroju, by znieść kolejną pogadankę na temat Jaya Streeta i jego poglądów, co może zaowocować całkowitym zerwaniem przyjaźni. Nie chce także rozmawiać o katastrofie. Jeśli Eily zacznie znowu opowiadać o cudach, tak jak rozwodziła się nad nimi przez telefon, Sophie chyba ją uderzy. Nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Jej umysł przyznaje, że ich ocalenie graniczyło z cudem, lecz uczucia tego nie potwierdzają. Nie dostrzega nawet - rzecz niezwykła - że miała szczęście. Dlatego w rozmowach telefonicznych z Eily pojawiło się napięcie - przynajmniej ze strony Sophie.

Wypadek, jak się zdaje, uwypuklił coś, co Sophie od pewnego czasu usiłowała ignorować. W głębi serca podejrzewa, że gdzieś, w jakiś sposób utraciła część - i to znaczącą część - dawnej przyjaciółki. Na tym nie koniec: owa strata naruszyła równowagę w obrębie ich zgranej czwórki. Ona i Michael, Brian i Eily razem i z osobna czuli się tak dobrze w swoim towarzystwie jeszcze kilka lat temu. Brakuje jej tego poczucia i chciałyby, żeby wróciło. Przypuszczalnie dlatego ciągle się stara.

Ostrożnie skręca w lewo przy Doyle's Corner. To zwleknięcie z odwiedzinami u Eily wydaje jej się jakąś nielojalnością. Przyjaciółki powinny akceptować się nawzajem razem z kurczakami, cudacznymi poglądami i tak dalej. Sophie potrafi dokładnie określić, kiedy ich przyjaźń natrafiła na pierwszą ukrytą rafę, choć długo nie zdawała sobie z tego sprawy.

Pewnego deszczowego weekendu przed siedmiu laty postanowiły wraz z Eily - gdy Riba była jeszcze zadowolona z tego imienia - zrobić coś konstruktywnego, by wyrwać się z rutyny, w jaką popadły. Zostawiwszy zatem Zeldę i Donny'ego pod opieką mężów, którzy od

razu zabrali dzieci na mecz rugby i pozwolili obojgu się zaziębić, obydwie wyruszyły na doroczną imprezę pod hasłem „Umysł, Ciało, Duch”, odbywającą się w salach wystawowych Royal Dublin Society w Ballsbridge. Żadna z nich nie mogła przewidzieć, jak wstrząsające skutki będzie miało pierwsze spotkanie Eily z Jayem Streetem.

W budynku panował ścisk. Większość osób, łącznie z Eily i Sophie, pociła się obficie i wszyscy starali się zdjąć ciepłe zimowe okrycia. Przewieszane przez ręce, dodatkowo uszczuplały przestrzeń między kolorowymi amatorskimi stoiskami, gdy tłumy ustawiały się w kolejkach do badania aury i wykrywania alergii, napierały zewsząd, by kupić uzdrawiające kryształki, lampiony, tabletki, proszki, witaminy i mikroelementy albo umówić się na konsultacje czy seanse terapeutyczne. Sophie, która spędziła ponad godzinę w kolejce, pragnąc zakosztować hinduskiego masażu głowy, oferowanego przez piękną młodą kobietę z ogoloną głową, w bluzie z frędzlami i skórzanymi rzemykami, potraktowała pobliskie stoisko, prowadzone przez pomocników Jaya Streeta, jako jedną z wielu ciekawostek, aczkolwiek - jak zauważyła - najefektowniej prezentowali swą ofertę. Centralny punkt stoiska, oświetlonego świecami i obwieszzonego błyszczącymi plakatami, stanowiło ogromne kolorowe zdjęcie Streeta w złotych ramach, otoczone dziesiątkami lampek wotywnych.

Ulotki dostarczały informacji o jego życiu. Urodzony w Chicago, w irlandzkiej rodzinie, miał zostać cieślą - lecz w wieku dwudziestu dwóch lat, wysłuchawszy wykładu koreańskiego mistyka o niemożliwym do wymówienia nazwisku, „poszedł za głosem natchnienia” i porzucił plac budowy, by kształcić się pod kierunkiem nowego mistrza, towarzysząc mu w podróżach po świecie, i wreszcie osiedlił się na kilka lat jako jego akolita w odludnym zakątku Korei Południowej. W roku 1981, po śmierci guru, czterdziestopięcioletni Jay powrócił do Chicago z zamiarem założenia własnej organizacji. Szybko znalazł klientelę spragnioną odpowiedzi na „kluczowe pytania” i poszukującą kontrpropozycji dla Jałowego trybu życia”, w który ich wtłoczono. Organizacja prosperowała, jej szeregi rosły, a dzięki „fenomenalnym wynikom” wkrótce poszerzyła ofertę o produkty i usługi prezentowane tamtego dnia na stoisku. Ludzie z szesnastu krajów, łącznie z Irlandią, „najbliższą jego sercu i dziedzictwu”, którą odwiedzał raz w roku od jedenastu lat, przyjmowali jego holistyczny system poglądów.

I tak dalej, i tak dalej.

Ze swego miejsca w przesuwającym się powoli ogonku Sophie zauważyła od razu zauroczenie przyjaciółki - nie samym hasłem Streeta („Możesz dokonać wszystkiego, jeśli w to uwierzysz”), lecz tym charyzmatycznym człowiekiem. Po masażu Sophie chwilami traciła przyjaciółkę z oczu i za każdym razem odnajdywała ją w nowo odkrytej Walhalli, pogrążoną

w rozmowie z kimś z obsługi albo wpatrzoną w przejrzystą, celuloidową zieleń oczu Jaya Streeta.

Wtedy Eily postawiła pierwszy stanowczy krok na swej ścieżce, tak irytującej dla wszystkich swych najbliższych.

Sophie zatrzymuje się na czerwonym świetle w Cabra, zazdrozcząc kierowcy czerwonego mondeo na lewym pasie. Mężczyzna z brzuszyskiem piwosza uderza dłońią w kierownicę w rytm ciężkiego rockowego dudnienia, wydobywającego się z jego stereo i dobrze słyszalnego mimo zamkniętego okna. Wygląda, jakby nie miał żadnych zmartwień.

Katastrofa wzbudziła w niej - oprócz innych emocji - poczucie winy i nie może się go wyzbyć. Przez cały czas czuje się winna z powodu samolotu, ludzi, którzy zginęli, cierpienia osieroconych najbliższych, jak gdyby to ona w jakiś sposób wywołała tę tragedię. Słyszając przypuszczenia, że samolot uderzył w coś, szykując się do startu, Sophie ma wrażenie, że powinna była to coś zauważyć i ostrzec wszystkich. Albo posłuchać cichego wewnętrznego głosu, który podpowiadał jej w barze kawowym na lotnisku, by złożyła fałszywe zawiadomienie o bombie. Może została by aresztowana, ale przynajmniej nikt by nie zginął. Oczywiście nie piśnie Eily ani słowa na ten temat. To by jeszcze pogłębiło rozdźwięk między nimi.

Ochłodzenie ich przyjaźni to niekoniecznie wina samej Eily, ponieważ pojawiło się coś nowego, coś, czego Sophie nie odważyłaby się analizować i do czego trudno jej się przyznać nawet przed samą sobą. Nawet tutaj, w samotności, w zamkniętym wnętrzu auta. Chodzi o nieznaczną zmianę jej stosunku do męża Eily, przy którym dotychczas nie odczuwała żadnego napięcia, zupełnie jakby był kobietą albo gejem.

Jest wdzięczna, że ocalał jej życie. Ale nie tylko. Choć w chwilach przebudzenia tłumy to doznanie, ostatnie niespokojne sny przypominają jej, co czuła, gdy ciężar ciała Briana przygniótł ją do ziemi. Przez żywe, wyraziste wspomnienie wszechogarniającego kataklizmu przebija wstrząsająco niestosowne, fizyczne odczucie.

Cały ten nonsens to z pewnością reperkusje katastrofy. Wypadek otworzył w niej jakąś szczelinę, przez którą wylały się myśli i emocje, tak bezładne i splątane, że nawet pozbieranie ich na nowo, nie mówiąc już o przywróceniu dawnego porządku, okazuje się trudnym zadaniem. Nic nie wydaje się takie samo jak przedtem. Bo teraz Sophie nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że jeszcze przed katastrofą, gdy Brian usiadł obok niej w barze kawowym na lotnisku, i potem, kiedy patrzyli na śnieg z wnętrza mustanga, uświadamiała sobie, że jest w towarzystwie silnego mężczyzny.

Musi to być wytwór niezrównoważonej wyobraźni, ponieważ wówczas niczego podobnego nie zauważyła. Lecz nawet w tej chwili czuje dotyk jego ramienia.

Światła się zmieniają i Sophie puszcza mondeo przodem, zanim sama ruszy.

- Proszę nic nie mówić mojej mamie, przynajmniej na razie. Zelda, w jednorazowej szpitalnej koszuli, okrywającej jej chudą postać, siedzi na krawędzi leżanki, na której przed chwilą badano wydolność jej nerek. W zwykłych okolicznościach życzliwej, zbliżającej się do wieku emerytalnego kobiecie, która robi te badania, nie przy-szłoby nawet do głowy, by wspominać pacjentce o wynikach - pozostawiłaby to wszechwładnym specjalistom - lecz wzięła tę młodą dziewczynę pod swoje skrzydła i współczuje jej. Nawiązała ponadto przyjazne kontakty z matką Zeldy.

- Wiadomość jest dobra, skarbie - mówi.

- Wiem. To świetnie. Ale zna pani mamę. Jeżeli usłyszy choć słowo otuchy, uzna, że jestem wyleczona i zacznie to rozgłaszać. To byłoby strasznie stresujące. Wolałabym, żeby jej pani nie mówiła. Proszę.

Bładoniebieskie oczy laborantki zdradzają lekkie zdziwienie.

- Ty tu rządzisz, młoda osobo. Wiesz, że nic bym jej nie powiedziała bez twojej zgody. Nawet tobie nie powinnam tego mówić. No, teraz włóż swoją własną ładną nocną koszulkę, a ja przyślę tu pielęgniarza z wózkiem.

Gdy wychodzi zamasztyłym krokiem, Zelda zsuwa się powoli z wysokiej leżanki i pochyla, by włożyć kaptcie. Choć miewa dobre dni, kiedy czuje przyływ optymizmu, często pragnie, żeby było już po wszystkim, żeby skończyła się ta udręka i każdy wrócił do normalnego życia. Jest zmęczona nieustannymi analizami krwi i szpiku, i badaniem co drugiego cholernego narządu w jej ciele. Jej dłonie i ramiona od codziennych nakłuć wyglądają jak poduszcзки do szpilek.

Zaczęło się całkiem niewinnie - od bólu w kolanie, chwilami potwornego, chwilami ledwo wyczuwalnego. Składała go na karb przeciążenia mięśni, spowodowanego noszeniem do szkoły i z powrotem ciężkiej torby z książkami. A potem, zanim zdążyła wybrać się do lekarza, by wykrył przyczynę bólów, złamała drugą nogę, przechodząc przez ulicę tuż przed domem.

W szpitalu, w którym zakładano jej gips, lekarze ją uspokajali: „Pobierzemy parę próbek krwi, Zeldo, żeby zobaczyć, dlaczego ta noga tak nagle się złamała” - ale teraz, z

perspektywy czasu, widzi, że dość wymijająco mówili o tym, co zobaczyli na zdjęciach rentgenowskich.

Półtora roku później wie już prawie wszystko o złośliwych plazmocytach, które nieustannie rozwijają się i mnożą, wydzielając jakieś okropne enzymy i pożerając jej kości. Postrzega je jako wrogą armię, maszerującą naprzód i niedającą się pokonać mimo największych wysiłków i chwilowych zwycięstw, takich jak dzisiejsze wyniki badania nerek.

Na początku reagowała w pozytywny sposób na namowy matki i jej pełnych dobrych chęci przyjaciół, którzy starali się ją przekonać, że odniesie zwycięstwo, jeśli tylko skupi wszystkie myśli na pobiciu owej armii.

Jej wola walki słabła jednak stopniowo, w miarę jak zachłanna armia maszerowała dalej i teraz Zeldę przepelniają znużenie połączone z obojętną zgodą na własny los. Niekiedy nawet dziewczyna życzy sobie, by armia przyspieszyła kroku i wykonała swoje zadanie - tak bardzo jest już zmęczona. Dniem i nocą sen okrywa jej głowę jak puchowa kołdra i odpędzenie go, gdy perspektywa wydaje się tak kusząca, wymaga nie lada wysiłku.

Podczas nerwowych, niemal histerycznych dni tuż po diagnozie Zeldy próbowała wyjaśnić pytającym, na czym polega jej choroba, lecz wkrótce miała dość wykrętnych tłumaczeń, nieporozumień i wypytywań. Dlatego teraz mówi każdemu z wyjątkiem bliskiej rodziny i przyjaciół, że cierpi na białaczkę. To do ludzi dociera. Nakręcono łzawe filmy na ten temat. Zbiórka pieniędzy jest pomysłem twórczym i przyciągającym uwagę, ludzie mają przyjaciół, którzy na to chorują albo ich dzieci zmarły przedwcześnie z tego powodu.

Istnieje jednak zasadnicza różnica między białaczką a szpiczakiem mnogim. Z niektórymi postaciami białaczki ludzie żyją, potrafią nawet wydłużyć swoje życie do niemal normalnej długości, lecz do stycznia 2001 roku nadal nie wynaleziono lekarstwa na chorobę Zeldy.

No dobrze, niekiedy udaje się na pewien czas zatrzymać jej postępy, ale nikt dotąd nie odkrył niezawodnej metody powstrzymania zachłannych komórek, pożerających krew, szpik kostny i wszystkie narządy.

Zelda wie, że może w każdej chwili Umrzeć na wylew, ponieważ jej krew jest zagęszczona przez nadmiar przeciwciał, powstały w wyniku działania enzymu osteoklastycznego, wytwarzanego z zapalem przez rozmnożoną armię wrogich komórek. Albo - ponieważ jej odmiana nowotworu wpływa na krzepliwość krwi - może nawet wykrwawić się na śmierć, gdyby pękła jej miednica lub kość udowa.

Istnieje jednak możliwość, że umrze z powodu niewydolności nerek, zatrutych nadmiarem wapnia, uwalnianego do krwiobiegu przez rozpuszczającą się masę kostną. Albo,

co bardziej prawdopodobne, ulegnie „zwykłej” infekcji, ponieważ nie tylko drapieżni przeciwnicy wychwytyją i pożerają jej białe i czerwone krwinki - chemioterapia również je niszczy. Zwykłe przeziębienie lub grypa mogą doprowadzić do śmiertelnego zapalenia płuc.

Zjawia się pielęgniarz, chłopak mniej więcej w jej wieku, i Zelda siada na wózku. Już się nie upiera, że sama przejdzie ten kawałek. Po co ćwiczyć mięśnie, które i tak są skazane na zagładę? Pielęgniarz zaczyna opowiadać coś o dyskotecie z ubiegłej nocy, lecz nie słysząc reakcji, milknie i popycha wózek jasno oświetlonym korytarzem w stronę windy.

Dyskoteki! No pewnie. Chciałaby mieć tyle szczęścia.

Wszyscy będą zdruzgotani, kiedy umrze. To naprawdę straszna odpowiedzialność - Zelda miała przedsmak tego, co się stanie, podczas owych koszmarnych godzin w szpitalu w Droghedzie, gdy nie mogła znaleźć taty ani Donny'ego i była pewna, że jej matka nie żyje.

Podczas katastrofy zaskoczenie wzięło w niej górę nad lękiem. Wybuch wyrwał ją z głębokiego snu i zanim się w pełni obudziła, została wciągnięta w hałaśliwy, bolesny wir, któremu towarzyszyło potężne szarpnięcie, wstrząsające każdą kością i każdym mięśniem z osobna. Teraz wie, że to hamował ogon samolotu.

Przypięta do siedzenia, w panującym wokół zamieszaniu i wrzawie zerknęła w stronę fotela matki, lecz zobaczyła tylko jej gołe nogi. Była zszokowana, teraz jednak, spoglądając wstecz, Zelda uświadamia sobie, że nawet nie krzyknęła. Zareagowała dopiero, gdy mężczyzna z sąsiedniego fotela wyciągnął ją na zewnątrz i wyprowadził na pole obok pasa startowego. Próbowwała wrócić do matki, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa - a potem przyjechali strażacy i karetki pogotowia, a ratownicy przejęli dowodzenie.

W drodze do szpitala dotarło do niej, co się naprawdę stało, i wpadła w panikę - zaczęła krzyczeć do sanitariuszy, żeby zatrzymali karetkę, bo musi odnaleźć matkę, aż wreszcie kierowca dowiedział się przez radio, że uratowano większość pasażerów z ogona samolotu.

Mimo to przed telefonem mamy przeżyła istne piekło.

Jej udreka trwała przynajmniej tylko parę godzin. Dla pozostałych członków rodziny umieranie Zeldy to elastyczna nić, która rozciąga się od tak dawna i stała się tak cienka, że wszyscy znaleźli się na granicy wytrzymałości. Dla niej to łatwiejsze niż dla nich, gdyż teraz widzi śmierć jako otulenie się na zawsze ciepłą kołdrą snu. Ale dla pozostałych wizje tego, co nastąpi, ciągły lęk, czuwanie i wyczekiwanie muszą być czymś strasznym. Gorszym niż rzeczywistość, gdy się objawia.

Zwłaszcza dla biednego Donny'ego. Co on czuje, wkraczając w najciekawszą część życia w takich warunkach? Choć próbuje to ukryć, gędząc ciągle o szkole i tym głupkowanym Trevorze, w głębi ducha cierpi i to widać.

Nikt z nich nie zdaje sobie sprawy, że ona wszystko wyczuwa -wszystko, co się w nich dzieje. To wzbudza w niej wyrzuty sumienia.

Ludzie opowiadają o dziełach Boga. No dobrze, ale dlaczego nie zadziałał, kiedy wreszcie miał szansę dać im wszystkim trochę luzu? To byłoby szybkie i czyste, zupełnie bezbolesne, a w dodatku zwolniłoby ją z odpowiedzialności za rozpacz innych. Czemu postanowił właśnie ją uratować z katastrofy? Zwłaszcza, że w tym samolocie znajdowało się tylu ludzi, przed którymi otwierało się całe życie. I były małe dzieci.

Są chwile, kiedy myśli o Bogu ze złością.

Choroba wykończy ją raczej prędzej niż później. Pogodziła się z tym, choć inni - z matką na czele - odrzucają taką możliwość.

Rozdział 5

W jasnej kuchni o ścianach w kojącym morskim kolorze Riba zerka na zegarek i po raz kolejny zamiera, przypominając sobie, że to nadal ta sama godzina - trzynasta trzydzieści cztery - którą wskazywał w zeszły poniedziałek. Ulegając przesądowi, postanowiła nie zanosić go do naprawy, dopóki Brian i Zelda nie wrócą do domu.

Krząta się po kuchni, poprawia pokrywkę na rondlu, sprawdza półki z warzywami, czy nie trzeba czegoś wyrzucić. Jej obrażenia dobrze się goją: w zwichniętym ramieniu, choć nie wróciło jeszcze do normy, odczuwa wyraźną poprawę, plastry nad lewym okiem ciągną i swędzą, co oznacza, że należałoby je usunąć, a w mięśniach odzywa się tylko echem daleki, tępy ból. Nawet popękane wargi i wewnątrz ust nie boją jej dzisiaj tak bardzo. Lekarz rodzinny odniósł się do niej wyjątkowo troskliwie, lecz odrzuciła wszystkie środki farmaceutyczne. Zamiast tego zażywała preparaty zawierające minerały i witaminy, zwłaszcza z grupy B i oczywiście witaminę E, a także cynk, selen i magnez z odrobiną fosforu. Jay oraz kursy, w których brała udział, dały jej duchową i emocjonalną siłę. Wcale się nie dziwi, że tak szybko wraca do zdrowia.

Obudziła się wczesnym rankiem z energią wystarczającą, by posprzątać cały dom, w związku z czym około kwadransa po dziewiątej sterta ścierek do naczyń, wyprasowanych i złożonych w równą kostkę, piętrzyła się dumnie na granitowym kuchennym blacie, chromowane okucia lśniły w świetle padającym z okna nad zlewem. Upiekła dwa tuziny słodkich bułek i wyłożyła je na blasze, by po ostygnięciu polać lukrem. Riba słynie ze swoich wypieków i uwielbia pławić się w ciepłej, drożdżowej woni, która napęlnia każde pomieszczenie zapowiedzią obfitości.

Wzbiera w niej jednak niepokój. Jest tak cicho, że słyszy elektroniczne „pyk, pyk” kuchenki. Kręci gałką kuchennego radia, szukając jakiejś przyjemnej muzyki, lecz natrafia wyłącznie na wiadomości.

„...Podczas dzisiejszej konferencji prasowej kierownictwo Air Tara stwierdziło, że...”

„...w trzecim dniu śledztwa...”

„...dziś wieczorem pani prezydent Mary McAleese weźmie udział w pogrzebie kolejnych sześciu...”

Jeden po drugim spikerzy recytują, tonem pełnym powagi, kolejne wersje tej samej historii, a w myślach Riby pojawia się nagle mimo woli obraz pełnych werwy, tlenionych

blondynek sięgających ukradkiem po wódkę zanim jeszcze zapięły pasy. Wyłącza radio. Niech Bóg ma w opiece ich dusze.

Nie jest bynajmniej osobą bez serca, ale Bóg - przy pomocy Jaya - oszczędził ją, by żyła dalej i radowała się Dziełem Stworzenia. A zatem to właśnie powinna czynić. Radować się Dziełem Stworzenia.

Odruchowo zwraca się ku smudze światła, wpadającej przez kuchenne okno i Bóg wynagradza ją widokiem dwóch szpaków o grzbietach połyskujących niczym miedź w blasku słońca. Balansują jak para cyrkowców na cienkich bezlistnych gałązkach wierzby płaczącej, szukając owadów w zakamarkach szorstkiej srebrzystej kory. Zasadziła to drzewo, by uczcić pierwszy ukończony z wyróżnieniem kurs w organizacji.

Dzięki Bogu poznała Jaya - w samą porę. Niektórzy, na przykład Brian i Sophie, dawali jej do zrozumienia, że stała się wyznawczynią fałszywego kultu. A nawet, że przeszła pranie mózgu. Że to, co głosi Street, jest kanonem egoizmu, całkowicie niezgodnym z religią - choć Jay żyje w harmonii z Jezusem i kocha Go równie mocno jak ona.

Pokażcie jej w Ewangelii miejsce, w którym nauki Jezusa różnią się od nauk Jaya. Czy On kiedykolwiek powiedział, że rozwijanie w maksymalnym stopniu własnych umiejętności i możliwości jest grzechem? Że nie należy zgłębiać i wyzwalać ukrytej siły wewnętrznej, by żyć pełnią życia i cieszyć się powodzeniem? Czyż Jego Ojciec nie obdarował nas życiem i pięknym światem dla naszej korzyści? Dlaczego ktoś miałby żałować jej tych kilku godzin spędzonych na pożytecznej pracy dla osiągnięcia wyższych celów?

Gdyby tylko zechcieli jej w tym towarzyszyć, nie żądałaby od życia nic więcej.

Wzdycha. Co teraz? Jest dopiero po jedenastej, za wcześnie na odwiedzin u Zeldy. Z powodu obchodów lekarskich szpital odnosi się niechętnie do wizyt przed porą lunchu. Uprzedziła już Briana, który leży z połamanymi zębami i lekkimi obrażeniami wewnętrznymi, że zajrzy do niego po południu.

Siada raptownie. No dobrze, Ribo, spójrz prawdzie w oczy. Czemu jeszcze nie odwiedziłaś męża? Ciągle znajdowałaś wymówki. Mówiłaś, że jesteś jeszcze za słaba, aby wychodzić z domu. Ale jakoś się zebrałaś, żeby zobaczyć Zeldę, i on o tym wie.

Druga półkula mózgu odpowiada: Boisz się, że przejrzy cię na wylot i odgadnie twoje plany, prawda? Boisz się, że będzie wściekły i zrobi wszystko, co w jego mocy, abyście obie nie udały się w tę podróż po raz drugi.

Gdy udało jej się skontaktować z Beaumont z Brianem w Mater, wiedziona niemądrym odruchem, płynącym z ulgi i zadowolenia, napomknęła nierozważnie o opiece Jaya. Lecz nawet przy tej odległości i zakłócającym rozmowę gwarze w tle wyczuła chłód ze

strony męża. Wyłączając telefon, znowu poczuła przypływ zdenerwowania. Cały Brian. W sprawie Jaya wykazuje nieprzewyciężony upór i nigdy, nawet w obliczu oczywistych dowodów, nie przyzna jej racji.

Riba ma ochotę nim potrząsnąć - i nie tylko nim. Ma ochotę chwytać za gardło każdego po kolei. Stanać na skrzynce przed Poczta Główną i wołać do przechodniów: „Widzicie? Widzicie? A nie mówiłam? Nikt, kto kontaktował się za moim pośrednictwem z Jayem Streetem, nie odniósł poważnych obrażeń. Wyjaśnijcie to, jeśli potraficie. Wy tłumaczcie mi, dlaczego jedenaścioro ocalałych pasażerów siedziało blisko mnie, w tylnej części samolotu...”.

Ponadto wpływ Jaya objął nawet parking obserwatorów, gdzie uległ zniszczeniu samochód Briana. Gdyby on i Sophie w nim siedzieli, zginęliby niewątpliwie, tak jak kierowcy aut zaparkowanych po obu stronach mustanga. Dlaczego wysiadł z tego samochodu tuż przed katastrofą? I on, i Sophie? Czy trzeba jeszcze innego dowodu, że Jay ich ochrania w cudowny sposób? Próbowła poruszyć ten temat w rozmowie telefonicznej z Brianem, on jednak wyszydził jej pomysł i podkreślił, że gdyby wybrała inne linie lotnicze, nie uczestniczyłyby w katastrofie. „Czemu ten twój czcigodny Jay cię nie uprzedził ani nie przestrzegł przed tą szaloną wyprawą?”.

Riba zignorowała to pytanie i nie kontynuowała tematu. Ale zawsze warto spróbować i będzie podejmowała próby do końca życia.

Co do Zeldy, choć lekarze trzymają ją pod czujną obserwacją na oddziale onkologicznym, nawet oni skłonni są przyznać, że cudem uratowała się z katastrofy. Teraz Riba nie ma żadnych wątpliwości, że przeznaczeniem jej córki jest całkowite wyleczenie. Im prędzej obydwie wsiądą w następny samolot lecący na Karaiby, tym wcześniej Zelda wróci do zdrowia, a oni wszyscy do normalnego życia.

To, oczywiście, zajmie nieco czasu, nawet jej. Riba przyznaje, że obecnie, niezależnie od umysłowej dyscypliny, jest tak samo jak każdy skłonna do retrospekcji i nietypowych zachowań. Na przykład, poprzedniego wieczoru wybuchnęła płaczem, oglądając finałową scenę z patriotycznym przemówieniem w wykonaniu Michaela Douglasa w „Miłości w Białym Domu”, zabawnym filmie z kilkoma wzruszającymi momentami. Łzy za nic nie chciały przestać płynąć i Riba płakała prawie przez pół godziny. Wzywała matkę, której prawie wcale nie pamiętała; słyszała słowa wydobywające się z jej własnych ust, bełkot bez znaczenia, w którym nieustannie padały: „bardzo mi przykro” i „proszę”, aż wreszcie wargi tak jej spierzchły, że już nie mogła nimi poruszać.

I jeszcze zapachy: nawet zwykłe domowe zapachy wybielacza, pasty, plastrów bekonu z grilla przypominają jej odór po katastrofie, woń chemikaliów, nafty, spalonych ciał i tkanin.

Jej najgorsze, a zarazem najbardziej wyraziste wspomnienie dotyczy jednak nieszczęsnych sąsiadów z samolotu, pary Amerykanów. Widzi ich - a raczej to, co z nich zostało - nie tylko po przebudzeniu, lecz także w chaotycznych snach. Za każdym razem zaczyna gwałtownie dygotać.

Teraz znowu sama myśl o nich wyprowadza ją z równowagi.

Po udzieleniu Ribie pomocy na oddziale nagłych wypadków poinformowano ją, że będzie mogła skorzystać z porady psychologa.

Poradzi sobie sama, uprzejme dzięki.

Przetrząsając swój zbiór nagrań, Riba zmusza się do wzięcia czterech głębokich oddechów, według zasad jogi. Potem, już spokojniejsza, staje nieruchomo i pozwala, by jej duch szybował w rytm wesołych, melodyjnych walców Straussa.

Tak lepiej. Teraz czuje się świetnie.

Obrzuca lśniąca kuchnię pełnym aprobaty spojrzeniem - i wtedy odzywa się ostry dzwonek telefonu wiszącego na ścianie przy tylnym wejściu. Riba waha się, czy go odebrać, gdyż odrzuca ten rodzaj tyranii. Bądź co bądź, ludzie jakoś sobie radzili przed wynalezieniem telefonu.

Po kolejnym dzwonku postanawia jednak odebrać i ścisza muzykę. Gdy przykłada słuchawkę do ucha, serce uderza jej mocniej. Nawet przy nowoczesnych światłowodach, satelitach czy cokolwiek tam mają, sekunda ciszy wskazuje, że dzwoni ktoś z zagranicy. Musi to być Jay.

- Halo?

- Halo, Riba?

Jej radość gaśnie. Głos należy do kobiety.

- Tak?

- Mówi Monica. Jay prosił, żebym się z tobą skontaktowała.

- Ach, jasne! To wspaniale! Jak się miewasz, Monico? - Jest to jedna z kobiet, przeważnie Amerykanek jak on sam, które współpracują z Jayem na wyspie.

- Znakomicie. - Przeciągający samogłoski głos z kalifornijskim akcentem brzmi bardzo młodo i wznosi się pod koniec niemal każdego zdania, jak gdyby zdobyły je pytajniki.

- Ale chcemy zapytać, co u ciebie? Bardzo się o ciebie niepokoimy, Ribo? I o Zeldę, oczywiście? Oglądaliśmy wiadomości - przeciąga głoski - w CNN parę dni temu?

Postanowiliśmy nie dzwonić od razu bezpośrednio do ciebie? Uzyskaliśmy informacje w centrali w Dublinie? Ci wszyscy biedacy? Jakże to straszne, Ribo?

Mimo całego wykszolenia, a także mimo wciąż odczuwanych reperkusji tego, przez co przeszła, Riba z dużym wysiłkiem powstrzymuje nagły przypływ zazdrości - więcej: zawiści. Budzi go owo poufale „my”. Kalifornica, jak ją w duchu nazywa Riba, jest olśniewającym i apetycznym okazem wysmukłej, długonogiej blondyny; jest również bardzo wysoka, tak strzelista, że w jej obecności - gdy spotkały się raz w trakcie podróży Jaya i jego świty po Irlandii - Riba czuła się niemal jak zdeformowana karlica.

- Tak, to było okropne - mówi, nadając głosowi trzeźwe i refleksyjne brzmienie. - Nie chciałabym przeżyć czegoś takiego drugi raz.

- Jak się czuje Zelda? Wspieramy ją codziennie, Ribo, o to nie musisz się martwić? Ale Jay chciałby wiedzieć, czy nadal zamierzacie przylecieć? Jest zaniepokojony.

Serce Riby zaczyna śpiewać.

- To naprawdę miło z jego strony, Monico. Przekaż mu, że zobaczy nas, gdy tylko będzie to fizycznie możliwe. - To znaczy, gdy Ribie uda się zamydląć oczy mężowi. - Co powinno nastąpić niebawem - dodaje stanowczym tonem.

- Przekażę. Bardzo się ucieszy. Kazał cię najserdeczniej pozdrowić.

- Pozdrów go także ode mnie.

Przy odwieszaniu słuchawki serce Riby śpiewa jeszcze głośniejsze. Jay ma zawsze tak wiele zajęć, a jednak najwyraźniej myślał o niej! Wiedziała o tym wcześniej, naturalnie, lecz teraz otrzymała potwierdzenie z pierwszej ręki. No, prawie. Niezupełnie to, ale też nieźle. Jak uściśnięcie dłoni człowieka, który ścisnął dłoń papieża.

- Och, kobieto, na miłość boską! Weź się w garść! - Zaskakuje ją brzmienie własnego głosu, dźwięczącego w cichej kuchni i znajduje dość wewnętrznej siły, by parsknąć śmiechem.

Ponownie podkręca muzykę.

I wówczas odzywa się dzwonek u drzwi.

Gdy w domu Eily cichnie słabe echo dzwonka, Sophie podziwia przyszczyżony trawnik, schludne rabatki, nieskazitelną biel bramy i krawężnika, połysk czarno-białych płytek na werandzie. Choć woli atmosferę lekkiego zaniedbania, otaczającą jej mały, pozbawiony ogrodu domek w pobliżu śródmieścia, potrafi zrozumieć, dlaczego

McMullanowie wybrali tę rozległą posesję na północnych obrzeżach miasta. Zamieszkiwane przez rodziny Marmurowe Ogrody sprzyjają wychowywaniu dzieci.

Przypomina sobie, jak w czwórkę przyjechali popatrzeć na dom w trakcie budowy - Eily i Brian ciułali pieniądze na zaliczkę - i jak stroili sobie żarty z nazwy osiedla, próbując powiązać ją z betonowym rumowiskiem, na którym stali. Pretensjonalne nazwy, często zapożyczone od zamków i rezydencji brytyjskiej rodziny królewskiej, rozpanoszyły się wówczas w nowych podmiejskich dzielnicach Dublinu za sprawą developerów, mających nadzieję, że skojarzenia z polowaniem na bażanty, górami we mgle i leśnymi dzwonekami odwrócą uwagę mieszkańców od niewykończonych chodników i ogrodów z warstwą gleby nie grubszą niż paznokieć. Sophie wpatruje się w mosiężny przycisk przy drzwiach. Czy powinna chwilę odczekać, zanim naciśnie go ponownie? Czy w ogóle powinna czekać? Może Eily leży jeszcze w łóżku.

Był czas, że nie wahałaby się ani chwili. A nawet zaczęłaby wołać przez otwór na listy.

Postanawia zadzwonić jeszcze raz, a jeśli nikt jej nie otworzy, pójść sobie.

Okazuje się to zbyt ciche, ponieważ drzwi się uchylają i staje w nich przyjaciółka we własnej osobie, ubrana w jaskrawoczerwony kaftan. Z głębi dobiegają melodyjne tony walca.

- Cześć.

- Sophie! - Eily jest najwyraźniej uszczęśliwiona. - Co za niespodzianka. Musiałam przeczuwać, że przyjdiesz, bo upiekłam ciasto. Wchodź! Nastawię wodę.

Mijając napis „Gdy uczeń jest gotowy, nauczyciel przybywa”, wymalowany bezpośrednio na ścianie stylizowanymi czarnymi literami wokół olbrzymiej fotografii Jaya Streeta, która króluje w korytarzu wejściowym, Sophie zastanawia się, jak na to reaguje Brian, kiedy wchodzi do domu. Ale zaraz odrzuca tę myśl. Nic jej do tego. Pyta o muzykę, którą sływać w tle.

- Strauss - Eily uśmiecha się przez ramię. - To „Walc cesarski”. Ładny, prawda? Świętuję dzisiaj. Trzeba uczcić nasze ocalenie...

- Wpadłam tylko na chwilę - przerywa Sophie. Są już w kuchni; ściąga czapkę z pomponem, szalik i rękawiczki i siada na krześle, które zajmowała przez lata przy stole Eily. - Wybieram się na parę godzin do pracy. Jak się czujesz? Twoje oko wygląda całkiem nieźle. Przypuszczałam, że będziesz miała twarz jak bokser po walce.

- Czuję się wyśmienicie! - Eily pokazuje zęby w uśmiechu. - A twoje siniaki, jak widzę, pięknie rozkwitają... zwłaszcza ten żółty odcień jest doskonały. Boli cię?

Sophie dotyka policzka.

- Trochę. Nie aż tak, jak na początku. Czasami o tym zapominam i gdy zerknę w lustro, mam wrażenie, że oglądam kreskówkę.

- Dużo kremu z witaminą E, Soph. Powinnaś go wypróbować.

- Mhm. - Choć Sophie zdaje sobie sprawę z leczniczych właściwości witaminy E, jej mruknięcie brzmi wymijająco. We wczesnym okresie zauroczenia Eily Jayem Streetem nie miała uprzedzeń i akceptowała wiele rzeczy. Teraz jednak odruchowo bojkotuje sugestie przyjaciółki, z nikłą nadzieją, że pewnego dnia Ribie coś zaświta. Mimo że protest wydaje się bezcelowy, czuje dzięki niemu, że coś robi.

Jeżeli nawet Eily to zauważyła, nie daje nic poznać po sobie.

- To tylko luźna propozycja, skarbie - rzuca pogodnie i odwraca się, by nalać wody do elektrycznego czajnika. - Mam go dużo, wystarczy, że powiesz słowo. Zresztą mniejsza o to. Jeszcze tydzień i obydwie wrócimy do normy. Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Szczerze mówiąc, po prostu zabijam czas, dopóki nie będę mogła pojechać do Zeldy.

- Jak ona się czuje?

Eily zwraca się ku przyjaciółce z radosnym wyrazem twarzy, podczas gdy woda spływa do zlewu.

- Och, Sophie, gdybyś ją widziała! Wyszła z tego bez jednego draśnięcia. Nie mogę się doczekać, żeby... - Jej twarz ściąga się raptownie. Zakręca kran i włącza czajnik. - Żeby ją mieć z powrotem w domu.

Sophie, nauczona doświadczeniem, rozładowuje niezręczną sytuację.

- Czy Brian ma się lepiej? Pomyślałam, że zajrzę do niego w porze lunchu.

- Ma się świetnie. Ale wiesz, jacy są mężczyźni. A on bynajmniej nie należy do potulnych pacjentów! Trudno go uspokoić.

- Nie byłaś jeszcze u niego? - Sophie powstrzymuje się od okazania zdziwienia, że Eily nie pomknęła w te pędy do Mater. Zamknij się. Zamknij się. Mówiłaś sobie przecież, że nic ci do tego!

- Nie. - Spoglądając przez okno na ogród, Eily ogrzewa dłonie nad czajnikiem. - Po prostu nie czułam się na siłach, wiesz. On to rozumie. Pojadę tam po południu. Nawet wybierałam się rano, ale... - Już drugi raz wyczulone ucho Sophie wychwytyje pauzę świadczącą, że Eily nie mówi tego, co zamierzała.

- Ogarnia mnie lęk, gdy pomyślę o niedzielnym nabożeństwie w intencji ofiar w kościele diecezjalnym - wtrąca, by wypełnić lukę w rozmowie. - Może poszłybyśmy razem?

Eily sztywnieje ledwo dostrzegalnie.

- No, może. Nie wiem. Nie jestem pewna, czy wytrzymam takie napięcie tragedii i rozpacz. Zobaczmy...

Poprzez dźwięki muzyki słyszą trzaśnięcie frontowych drzwi. Eily spogląda na zegar na kuchence.

- Dopiero kwadrans po jedenastej. - Marszczy brwi. - Donny? Zajęcia w szkole powinny trwać do wpół do piątej. Eily wyłącza muzykę i z holu dobiega charakterystyczne stuknięcie ciężkiej torby, rzuconej na podłogę.

- Jasne, że to on, łązega jeden! - Eily uśmiecha się ciepło. - Chyba powinnam go zamordować za to ciągle wagarowanie, ale, mój Boże, on nadal jest w szoku. Chodź tu, kochanie!

Sophie słyszy ciężkie kroki, a potem w drzwiach pojawia się wysoka sylwetka Donny'ego.

- Cześć. - Nie patrząc im w oczy, chłopak maszeruje prosto do lodówki i otwiera ją.

- Dlaczego tak wcześnie wróciłeś? - Wyrozumiały uśmiech nie znika z twarzy Eily, gdy spogląda na syna penetrującego zawartość lodówki. - Jest kawałek salami. Zrobić ci kanapkę?

- Sam sobie zrobię. Nie chcę salami, dziękuję. - Jego głos brzmi ponuro.

Eily siada, tłumiąc westchnienie.

- Oczywiście, kochanie, weź sobie wszystko, na co masz ochotę. - Zerka na Sophie, unosząc brwi, jakby szukała porozumienia z drugą dorosłą osobą. „Nastolatki!” Sophie ignoruje zachętę i czuje się nieswojo. Nie tylko z powodu krępującej, przytłaczającej obecności chłopaka w wieku dojrzewania. Odnosi wrażenie, że Donny jest wściekły, a jego matka zdaje się tego nie dostrzegać.

Gdy wpatrują się w jego szerokie plecy, Sophie słyszy nagle własny, dziarski głos:

- Zwolniłeś się z lekcji, Donny?

- Nie było dzisiaj lekcji - odpowiada burkliwie nastolatek.

- Tak? - Podczas gdy Eily wciąż uśmiecha się pobłaźliwie, Sophie walczy z irracjonalną narastającą irytacją, starając się, by jej głos brzmiał lekko i łagodnie. - A to czemu?

Donny wysuwa głowę z lodówki i - choć ma zajętą tylko jedną rękę, w której trzyma słoik masła fistaszkowego - z trzaskiem zamyka drzwi stopą wielką jak kajak, po czym obrzuca ciężkim spojrzeniem obydwie kobiety.

- Tylko ja i jeszcze jeden gościu przyszliśmy dzisiaj do szkoły. Czułem się jak idiota. - Wbija wzrok w matkę i Sophie z zaskoczeniem dostrzega płomień gniewu w szarych oczach, tak podobnych do oczu Briana. - Zdarzyła się katastrofa lotnicza, przypominasz sobie?

- Nie bądź niemądry. - Eily ponownie zerka na przyjaciółkę, tym razem cierpiętniczo. - Oczywiście, że sobie przypominam, Donny. Uczestniczyłam w niej.

- Nie ty jedna, wiesz? - Chłopak aż dygocze z gniewu. - Jedna z moich nauczycielek też siedziała w tym samolocie. Mówiłem ci. Ale ty tego oczywiście nie pamiętasz. - Robi krok w stronę matki, tak gwałtownie, że Sophie obawia się, iż uderzy Eily. Zatrzymuje się jednak, choć jego głos, świeżo po mutacji, łamie się niczym źle zagrane solo na trąbkę. - A żeby uprzedzić twoje pytanie, wracam do domu dopiero teraz, bo poszliśmy do Doktora Quirkeya. Jasne?

Sophie wie, że wyraźnie mu zabroniono odwiedzania Emporium Doktora Quirkeya, pasażu gier automatycznych, którego syreni głos wabi każdego ucznia w rejonie śródmieścia; cieszy się jednak, że Eily nie podejmuje wyzwania.

- Nie ma sprawy, kochanie. - Spojrzenie przyjaciółki pozostaje zupełnie spokojne.

Donny nie życzy sobie matczynej wyrozumiałości. Rozwścieczony, wrzeszczy na całe gardło:

- Pani Richmond zginęła! Nie żyje! Trevor wydzwaniał przez całą noc, bo chciał mi powiedzieć, że dzisiaj przed południem będzie pogrzeb, ale telefon był zajęty.

Pod jego furią kryje się szczery żal. Wybiega z kuchni i, przeskakując po dwa stopnie naraz, pędzi do swojego pokoju, przewracając po drodze krzesło.

Eily nie zdradza objawów poruszenia.

- Przepraszam cię. Przechodzi trudny okres, a od tej katastrofy... no cóż, musimy uzbroić się w cierpliwość. Zgubił swoją komórkę, biedaczek, w całym tym okropnym zamieszaniu. Kupiłam mu nową, ale jeszcze jej nie dostał... obawiam się, że wyleciało mi to z głowy.

Sophie, która siedzi bliżej, podnosi się, by postawić krzesło. „Biedny dzieciak”. Zerka na Eily, zastanawiając się, dlaczego sama przejmuje się cierpieniem Donny'ego bardziej niż jego własna matka. Fala gniewu, niespodziewana po spokojnym nastroju sprzed kilku minut, podchodzi jej do gardła, niemal zapierając dech. Sophie stawia opór. Nie ma z tym nic wspólnego. To, jak Eily odnosi się do syna i czy odwiedza męża w szpitalu, jest wyłącznie jej sprawą.

Naciąga rękawiczki i owija szyję szalikiem, myśląc, że nie warto było tego wszystkiego zdejmować. Chwyta czapkę.

- Na mnie już czas. Jak powiedziałam, wpadłam tylko na chwilę. Nie musisz mnie odprowadzać. Zajrzę tu jeszcze. Cieszę się, że wracasz do zdrowia. - Rusza szybko w stronę drzwi.

- Ależ oczywiście, że cię odprowadzę. - Eily wstaje i idzie za nią korytarzem. - A jak ty to znosisz? Masz jakieś dolegliwości?

- Czuję się doskonale. - Gniew, który tak ją zaskoczył, znika równie szybko, jak się pojawił, i teraz jest skonsternowana, a nawet zawstydzona. Stojąc już w progu, odwraca się impulsywnie i obejmuje przyjaciółkę, uważając, by nie urazić jej zwichniętego barku. - Mówiłam poważnie, Ribo. Jeżeli mogę w czymkolwiek pomóc albo po prostu będziesz miała ochotę pogadać, daj mi znać. Straszne z ciebie dziwadło, wiesz? Ale i tak cię kocham.

- Ja ciebie też! - śmieje się Eily.

Jej zaokrągloną, ciepłą twarz rozjaśnia charakterystyczny, krzywy uśmiech, gdy Sophie maszeruje ku bramie, zatrzymuje się i macha. Jakże ma nie kochać spontanicznej, wylewnej Eily, tak bezbronnej mimo pozorów pewności siebie? Gdyby Sophie kiedykolwiek znalazła się w poważnych tarapatach, gdyby groziło jej bankructwo lub areszt za obrazę moralności, ta kobieta byłaby pierwszą osobą, do której zwróciłaby się o pomoc.

Macha ponownie, wsiada do auta i wsuwa kluczyk w stacyjkę, ale jeszcze go nie przekreśla. Wpatruje się w burą, skąpo wyposażoną deskę rozdzielczą. Potem wyjmuje z torebki telefon komórkowy, wybiera numer redakcji i informuje Nancy, sekretarkę, że zaraz przyjedzie. Następnie, po chwili wahania, dzwoni do Michaela.

Od czasu katastrofy mąż Sophie jest wcieleniem słodyczy - robi wszystko, co trzeba, przytula ją, karmi, nadskakuje jej bez przerwy, troszczy się, by nie niepokoił jej dziennikarze czy ktokolwiek inny. Ale cała ta jego troska i uwaga wydają się jakieś przesadne.

- Halo? - rzuca Michael pośpiesznie, zdyszonym głosem.

- Cześć, to ja!

- Cześć, Soph, co słychać? Jesteś w domu?

- Nie. Pomyślałam sobie, że zajrzę do redakcji.

- Och, kochanie, na pewno czujesz się na siłach?

- Ależ oczywiście. Czuję się świetnie. Dostawałam już fioła od tego bezczynnego siedzenia w domu. To mi dobrze robi. Słyszę, że jesteś zasapany. Przeszkodziłam ci w czymś?

- Nie, skądże. Po prostu telefon został w jednym z samochodów i całe szczęście, że go znalazłem. Byłbym odjechał bez niego. Mówię ci, mamy tu teraz istny obłąd.

Komórka Sophie wydaje piszczący dźwięk. Ktoś próbuje się do niej dodzwonić. Michael zauważa krótką przerwę w połączeniu.

- Masz kogoś innego na linii?

- Odbiorę później. Słuchaj, chciałabym odwiedzić Briana w porze lunchu. Pójdiesz ze mną?

- Nie mogę, kochanie. Jak mówiłem, bez niego zrobił się tu prawdziwy dom wariatów. Gonię już w piętę. Pozdrów go ode mnie. Powiedz temu staremu łachmycie, że postaram się zajrzeć do niego wieczorem, a najdalej jutro.

- Dobrze.

- Na pewno wszystko w porządku, Soph? Jakoś tak dziwnie mówisz.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. - Sophie nie ma ochoty drażnić tematu. - Czuję się świetnie, daję słowo. Powinnam już jechać. W tym tygodniu ma się ukazać następny numer, a ja, łagodnie rzecz ujmując, nie przykładałam się ostatnio do pracy.

- Rozumiem, kochanie. - Michael jest już myślami gdzie indziej, co daje się wyczuć. - Do zobaczenia wieczorem. Kocham cię.

- A ja ciebie.

Rozłączają się i Sophie patrzy przez chwilę na mały zielony trapez nad przyciskami telefonu, gdzie widnieją kuszące, pochyłe literki: „1 wiadomość odebrana”. Ktokolwiek ją zostawił, będzie musiał zaczekać.

Rozdział 6

Dublin przywdział żałobne szaty. Na masztach wznoszących się rzędami wzdłuż rzeki Liffey wiszą ciężkie czarne prostokąty; trójkolorowe flagi opuszczono do połowy na kopule Four Courts, urzędach miejskich i innych gmachach publicznych. Nawet ruch pojazdów sprawia wrażenie bardziej powolnego, przytłoczonego żałobą niczym grubą warstwą szarego popiołu, tłumiącego zgiełk na ulicach miasta.

Ten smutny widok staje się niemal nie do zniesienia i Sophie, która musi przejechać na drugą stronę rzeki w drodze do pracy, chętnie opuszcza bardziej ruchliwe dzielnice, zagłębiając się w opłotki, gdzie promienie słońca prześwietlają niczym laser wąskie uliczki i zaułki. Gdy jej stary przyjaciel minicooper toczy się grzechotliwie po wybojach, nierównym bruku i nie do końca przystosowanych drogach, służących jako arterie wokół Arbour Hill, Sophie po raz kolejny odczuwa zadowolenie, że nakład „Wild Places”, choć utrzymujący się na stałym poziomie i oparty głównie na prenumeracie, nie wystarcza na przeniesienie redakcji do bardziej ekskluzywnej dzielnicy.

Zawsze bardzo lubiła te okolice, szeregi warsztatów samochodowych i drobnych jednoosobowych przedsiębiorstw, zwykłe puby i nie-porządne sklepiki. Podziwiała próby nadania indywidualnego charakteru pozbawionym ogródków tarasom: tu jaskrawa, kanarkowożółta markiza, ówdzie skrzynka z pierwiosnkami w nieprawdopodobnych kolorach lub wymyślna krata z kutego żelaza na oknie - wszystko zupełnie niedobrane do prostych, ciągnących się równym rzędem fasad z czerwonej cegły, lecz wspaniałe w swej krzykliwej ekscentryczności. Zawsze czuła się najswobodniej w tej niepozornej części Dublinu, gdzie dobry gust nie stał się jeszcze obowiązującym prawem, sąsiedzi nadal znają się po nazwisku i wciąż można dostać pół litra mleka na kreskę do czasu piątkowej wypłaty.

Przyśpieszone tempo zmian zachodzących w Dublinie budzi w Sophie mieszane uczucia. Jeszcze nie tak dawno temu nazwa „Boots” kojarzyła się mieszkańcom miasta z cudzoziemskim, lecz kuszącym rogiem obfitości, a Monsoon, Benetton oraz Marks&Spencer stanowiły cel wypraw po zakupy do Londynu i Belfastu. Choć, jak większość ludzi, Sophie docenia wygodę, niskie ceny i wybór towarów na ulicach i w centrach handlowych Dublinu, brakuje jej pogawędek, życzliwości i owej wiedzy o miejscowej klienteli, która sprawiała, że kobieta zza lady sięgała po wybrany produkt, jeszcze zanim się o niego poprosiło.

Nie zawraca sobie głowy zamykaniem samochodu, który zostawia przed łuszczącymi się drzwiami dwupokojowej siedziby czasopisma: kradzież minicoopera byłaby dla złodzieja stratą czasu, a prócz tego, mimo oznak świadczących o podnoszeniu statusu, dzielnicy udało się na razie uniknąć najgorszej, związanej z narkotykami plagi napadów i włamań, nękającej sąsiednie, świeżo wzbogacone okolice, takie jak Stoney-batter, Smithfield i Blessington Basin. Sophie klepie czule maskę auta, kierując się z pewną obawą w stronę biura. Michael i Brian, którzy często mają jakiś pojazd na zbyciu, nieustannie ją namawiają, by wymienić auto na lepsze, ona jednak nie chce tego zrobić. Lubi przypominający kosiarkę do trawy warkot silnika, okrągłe reflektory, podobne do zdziwionych oczu, przenikliwy, metaliczny dźwięk klaksonu.

- Cześć, Nancy! - wita drobną kobietę siedzącą przy komputerze pośrodku bałaganu panującego na redakcyjnym biurku.

Ponieważ Nancy, entuzjastka muzyki country i gospel, większość czasu spędza tu samotnie, ma wolną rękę, jeśli chodzi o wybór nagrań i stacji radiowych; w tej chwili głośno rozbrzmiewa radosna piosenka, która zapewnia, że „Jezus nas kocha”. No i bardzo dobrze, myśli Sophie nie po raz pierwszy, bo tylko ktoś taki jak Jezus potrafiłby znaleźć drogę do królestwa Nancy, które do złudzenia przypomina dom Doroty* w Kansas tuż po przejściu trąby powietrznej.

Nancy Madigan jest kobietą w bliżej nieokreślonym wieku i wygląda jak fistaszek ozdobiony dynamiczną trwałą ondulacją. Entuzjizm i niezmacona pogoda ducha rekompensują jej brak wprawy w dziedzinie dokumentacji i nowych technologii, a także kłóć się z dramatycznym spojrzeniem na własne życie. Wszyscy jej znajomi przeżywają nieustanny kryzys - chorobę, śmierć, rozwód, narodziny nieślubnego dziecka, cokolwiek by wymienić, Nancy zna każdy szczegół. Katastrofa lotnicza stanowi dla niej prawdziwą ucztę duchową, więc na widok Sophie natychmiast wyłącza muzykę.

- Och! O mój Boże, biedactwo, bardzo cię boli? - Zrywa się z krzesła, truchtem obiega biurko i zarzuca Sophie ramiona na szyję. - Boże! Aleś miała szczęście!

Sophie, która musiała się pochylić, aby odwzajemnić uścisk, uwalnia się z jej objęć i dotyka posiniaczonego policzka.

* Bohaterka powieści dla dzieci amerykańskiego Disarza L. Franka Bauma (1856-1919).

- Nie jest aż tak źle, jak się wydaje, naprawdę.

- Dzięki Bogu! - Nancy wybucha płaczem. - Dzięki Bogu! Dziękowałam Mu na kolanach za twoje ocalenie. I niech się zmiłuje nad tymi innymi nieszczęśnikami. - Ociera oczy wierzchem dłoni. - Okropność. Całe to latanie wydaje mi się niezgodne z prawami natury. - Obrzuca przejętym spojrzeniem Sophie, która, wzruszona lecz nieco zaniepokojona, zapobiega kolejnym uściskom, odwracając oczy od okrągłej, zaczerwienionej twarzy kobiety ku zamkniętym drzwiom gabinetu redaktor naczelnej.

- Jest tu gdzieś Imelda?

- N-nie. - Nancy hałaśliwie wydmuchuje nos. - Przepraszam, że tak się rozkleiłam. Nie, nie ma jej. Mówiła, że idzie na jakieś posiedzenie. Chodź. - Nieco rozpogodzona, zaczyna przekopywać sterty papierów na biurku. - Zaczekaj chwilę, gdzieś tu zatrzymałam całą masę wiadomości dla ciebie. Jeden moment. - Odwraca się ponownie. - Na pewno dobrze się czujesz? Dasz sobie radę? Może powinnaś wziąć urlop albo coś? - Ruchem kciuka wskazuje drzwi redaktorki. - Zatrudniłaby kogoś na zlecenie.

- Czuję się doskonale, naprawdę. - Sophie, z natury nieśmiała, nie cierpi być w centrum uwagi. - A te wiadomości? - zmusza się do uśmiechu. - Czy któreś z nich są pilne?

- Nie bardzo. Wyrazy współczucia, parę listów od różnych świrów, jak zwykle... ale jedna powinna cię zainteresować. Od obserwatorów ptaków. Jakieś niespotykane zjawisko na Wexford Slobs... nie pamiętam nazwy.

Sophie nie musi dzwonić do ornitologów. W „Irish Times” opisano już pojawienie się dudków w Wexford i jeśli Imelda nie wyśle tam ekipy, „Wild Places” nie będzie miało wiele do dodania. Dopisze się po prostu jedną linijkę do wcześniejszego artykułu.

Podchodzi do makiety wiszącej na zapleczu. „Wild Places” nie doszło jeszcze do etapu składu komputerowego, acz jest to technologia tania i łatwo dostępna. Redaktor naczelna, ekscentryczna, nieco gderliwa kobieta po sześćdziesiątce, woli tradycyjne metody pracy.

Sophie przygląda się bacznie jednej z własnych akwareli, przedstawiającej kunę leśną siedzącą na gałęzi. Umieszczono ją pośrodku głównego artykułu o irlandzkiej faunie i Sophie jest zadowolona, że Imelda dała w podpisie irlandzką nazwę zwierzęcia - cat crainn, czyli dosłownie „drzewny kot”. Przy bliższych oględzinach własne dzieło rozczarowuje, jak zwykle, krytyczne i surowe oko autorki. Choć musi przyznać, że udało jej się w pewnym stopniu uchwycić czujną, kocią pozycję i piękno zwierzęcia, ciemnobrązowe futerko nie ma należytego połysku, a białe podgardle i urocze jasne wnętrza uszu niedostatecznie kontrastują

z resztą. Ilekroć ktoś wyszydza jej samokrytycyzm - co często robią mąż i przyjaciele Sophie - przyznaje, że stawia sobie niestłuchane wysokie wymagania.

Podchodzi do swojego biurka, stanowiącego zazwyczaj wysepkę ładu na oceanie chaosu, lecz w czasie jej nieobecności oddanego we władanie Nancy. Siada, przysuwa sobie stos wycinków z gazet, faksów oraz wydruków ze stron internetowych i zaczyna czytać. Wyciek ropy zagraża wyspom Galapagos; prace archeologiczne wstrzymane z powodu odkrycia siedliska ginącego gatunku ciem...

I wtedy dzieje się coś bardzo dziwnego. Gdy Sophie usiłuje się skupić, litery wydruku zaczynają pływać i rozmazywać się przed jej oczyma, a w okolicy splotu słonecznego narasta coś, co można by określić jako brzęczyk. Zupełnie jakby prostowała się nagle ciasno skręcona sprężyna. Na domiar złego sztuczna boazeria przybita do ścian wydaje się przybliżać z wszystkich stron, jak gdyby pragnęła ją zmiażdżyć do spólki z żywiołową muzyką gospel, włączoną na nowo, lecz rozbrzmiewającą coraz głośniejsze... Coś wymknęło się spod kontroli. To „coś” odbiega od normy. Nabrzmiwa, puchnie, zaczyna wypełniać jej głowę. Sophie czuje, że oblewa ją zimny pot. Przerażona, wyławia swój biurkowy telefon spod stosu wycinków i wystukuje numer komórki Michaela. W następnej chwili odzywa się jego nagrany głos: „Tu Michael Dolan, firma wynajmu aut EconoCar. Jestem chwilowo nieosiągalny, proszę wybrać nasz stacjonarny numer...”.

Sophie odkłada słuchawkę. Niezależnie od zaległych terminów, nie może tu zostać ani chwili dłużej. Rzuca okiem na Nancy, która nadal wyszukuje i gromadzi kartki w pulchnej dłoni.

- Właśnie sobie przypominałam... - Zrywa się z krzesła i rusza

w stronę drzwi. - Przepraszam cię, Nancy, powiedz Imeldzie, że do niej zadzwonię.

Wybiega z redakcji i wsiada do auta, zanim tamta zdąży zareagować. Tuż przed zakretem зерka w lusterko wsteczne i zauważa stojącą w drzwiach biura Nancy, spoglądającą za nią z plikiem papierów w ręku. Może i jest wstrząśnięta zachowaniem Sophie, ale nie aż tak, jak ona sama.

Nieco później, nie pamiętając, którędy i jak długo tam jechała, Sophie biegnie co sił szpalerem bezlistnych kasztanowców rosnących wzdłuż jednej z bocznych alejek Phoenix Park. Zbyt szybko dociera do jej końca i przystaje, opierając się o gruzłowaty pień. Brak jej kondycji; czuje ból w klatce piersiowej i ogień w płucach, musi więc oprzeć dłonie na kolanach i pochylić głowę, by złapać oddech.

Po raz pierwszy zetknęła się z tą królewską aleją w dzieciństwie. Często w niedzielę albo w dniu czyichś urodzin rodzice zabierali ją, jej braci i Eily - którą traktowali jak

przybrane dziecko - do ogrodu zoologicznego umieszczonego w parku niczym egzotyczny klejnot na środku szerokiej dłoni. Podczas gdy bliźniacy podsuwali sobie nawzajem i realizowali tajemnicze pomysły, Eily zaś obserwowała w podnieceniu obce i niezwykle stworzenia, takie jak tygrysy, gepardy czy flamingi, Sophie dreptała potulnie wokół klatek i zagród jak posłuszna dziewczynka. Nie zdradziła nikomu, że nienawidzi żelaznych krat, nagich podłóg poszarpanych pazurami, igraszek lwów morskich i pingwinów, wykonujących sztuczki, by dostać kolację, monotonnych ruchów łba wyleniałego niedźwiedzia polarnego; ani że jej miękkie serce krwawi za każdym razem, gdy napotyka zrezygnowane spojrzenie zamkniętego w klatce szympansa lub znużonego życiem goryla.

Przynajmniej ostatnimi czasy ogród zoologiczny rozbudował się i zyskał większą przestrzeń, dzięki czemu bardziej przypomina „naturalne” siedlisko: na przykład, wielkie koty mogą poruszać się swobodnie - no, stosunkowo swobodnie - po trawiastych, przypominających busz dużych wybiegach z prawdziwymi drzewami, nadającymi się do ostrzenia pazurów. W czasach, gdy klatki były dość ciasne, zawsze odczuwała wielką ulgę, kiedy po wizycie w zoo wychodzili na rozległą, otwartą przestrzeń parku, gdzie wiewiórki cieszyły się taką samą wolnością jak ptaki. Zależnie od pory roku, podziwiali wiosenne kwiaty i muszelkowe obramowania rabatki w People's Park, biegali tam i z powrotem szerokimi, stromymi schodami przy pomniku Wellingtona, turlali się po trawiastych zboczach Magazine Fort albo podchodzili na palcach do stad płowej zwierzyny na rozległych, wietrznych łąkach Fifteen Acres.

Ulubioną porą roku była dla Sophie jesień, zwłaszcza październik, kiedy liście na drzewach zmieniały barwy i cały park zdawał się płonąć. Ta stosunkowo odludna aleja, ocieniona kasztanowcami, zawsze była jej ulubionym miejscem. Gdy rodzice spacerowali lub siedzieli na ławkach, pogrążeni w rozmowie, a bliźniacy i Eily strącali kasztany patykami, Sophie trzymała się na uboczu, podsłuchując, jak potężne drzewa szepczą o romansach i spiskach zawiązywanych w ich ścisłym otoczeniu.

Po chwili siada na najbliższej ławce i wbija oczy w ziemię, by nie napotkać ciekawskiego spojrzenia starszego mężczyzny, który ciągnie za sobą na smyczy zapasione, posapującego boksera.

Czeka.

Gdy człowiek z psem oddalają się poza zasięg wzroku, podejmuje próbę. Przerazające, mdlące, paniczne doznanie zelżało. Spogląda na zegarek, podczas gdy jej puls stopniowo wraca do normy. Zapowiadała, że odwiedzi Briana...

Pośpiesznie wyciąga komórkę z kieszeni dżinsów, odblokowuje klawisze i wybiera numer Michaela, lecz znowu słyszy nagrany głos. Po rozłączeniu się na ekranie miga informacja o otrzymanej wcześniej wiadomości, lecz Sophie odkłada odsłuchanie jej na później. Wstaje i wraca normalnym krokiem do miejsca, gdzie zaparkowała auto. Telefon, który nadal trzyma w dłoni, wydaje świergotliwy dźwięk, zanim jeszcze zdołała podejść do samochodu. Zerka na ekran. Dzwoni ktoś z redakcji. Wcisną klawisz.

- Halo?

- Sophie! - odzywa się energiczny głos redaktor naczelnej. - Cieszę się, że wracasz do zdrowia. Nie odebrałaś mojej wcześniejszej wiadomości?

- Przepraszam, Imeldo.

- Nie ma sprawy. Bardzo się cieszę, że już doszłaś do siebie. Dobrze, że ruszyłaś się z domu. To musiało być okropne. Mam pytanie: czy dasz radę zajrzeć tu po południu? Zwołujemy zebranie zespołu redakcyjnego.

- O... ależ oczywiście. - Sophie jest zdumiona. Przez wszystkie lata pracy uczestniczyła najwyżej w trzech zebraniach. Woli jednak nie wypytywać o nic szefowej. - Oczywiście - powtarza.

- Około trzeciej. Odpowiada ci? - Oczywiście.

Gdy się rozłączają, Sophie nie wie, co o tym myśleć. Zebrania nie leżą w zwyczaju Imeldy. Dyskutuje się, jeśli trzeba, o artykułach i makietach i wykonuje swoją robotę. Wszyscy - personel, dziennikarze, obserwatorzy ptaków i ssaków, entuzjaści flory i fauny, hodowcy owadów i ryb - w eklektycznym kręgu „Wild Places” dokładnie wiedzą, co i kiedy mają robić.

Obowiązuje prosta, trzyosobowa hierarchia. Nancy wykonuje wszystkie polecenia. Sophie, o stopień wyżej w hierarchii, porównuje nowiny przyrodnicze z różnych źródeł i łączy je w jednym obszernym podsumowaniu, obejmującym kilka stron i pełniącym funkcję najważniejszego artykułu, który skłania większość prenumeratorów do przekazywania rocznych bądź kwartalnych opłat; prócz tego robi zdjęcia, rysuje i maluje ilustracje. No i wreszcie jest Imelda, która przesiewa materiały - zamówione, niezamówione i stałe - a także planuje układ pisma, taki sam od kilkunastu lat. Pertraktuje z drukarzami i reklamodawcami, płaci rachunki. Decyzje Imeldy są szybkie i nieodwołalne. Od dwudziestu czterech lat „Wild Places” ukazuje się w pierwszy poniedziałek miesiąca. Ostateczny termin składania materiałów upływa o czwartej w poprzedzający wtorek. Nic dodać, nic ująć.

Przy tak prostym porządku Imelda nie bardzo widzi sens zwoływania zebrań. Uważa je za stratę czasu, za manewry mające na celu podtrzymanie dobrego mniemania ludzi o sobie

i odciąganie ich od rzetelnej pracy. Dziś jednak, jeśli wierzyć Nancy, bierze udział w dwóch zebraniach w odstępie kilku godzin. Co się, u licha, dzieje?

Sophie odkłada analizę tego ewenementu na później. Zmierzy się z nim, kiedy będzie musiała - za pięć trzecia, przed powrotem do redakcji. Wstrząsy, które dziś przeżyła, wystarczą jej na kilka najbliższych miesięcy.

Jej samokrytycyzm nie idzie w parze z ambicją: zdaje sobie sprawę, że powinna była zapewne wynieść się dawno temu z zalatujących stęchlizną okolic „Wild Places”, i chwilami ma niejasne poczucie winy na myśl o swojej bezczynności. Gdyby była porządną dziennikarką, wykorzystałaby każdą sposobność wypróbowania zdolności myślenia i umiejętności zawodowych. Dobrego dziennikarza napędza niepoohamowana ciekawość, cecha, której Sophie zawsze była pozbawiona.

Nie jest nawet prawdziwą miłośniczką przyrody; gdyby nią była, wyskakiwałaby codziennie z łóżka przed wschodem słońca i wędrowała po błotnistych polach, by słuchać ptasich chórów albo uwiecznić na zdjęciu żerującego zająca bądź lisicę z zakrwawionym pyskiem, czmychającą chyłkiem do nory. Tymczasem o tej porze po prostu przewraca się na drugi bok.

Choć wie, że mogłaby znaleźć coś znacznie lepszego, gdyby się postarała, jest zadowolona z tego, co ma. Praca w „Wild Places” oznacza spokojne życie, rozświetlane drobnymi tryumfami.

A przynajmniej było tak przed katastrofą lotniczą, bo potem wszystko się poprzekrzywiało i dotychczas nie wróciło do pionu.

Według oficjalnej witryny internetowej Phoenix Park - bezspornie oczko w głowie Dublinu - jest „ośrodkiem nauki i rekreacji na łonie natury, gaelickiego futbolu, polo, krykieta i innych sportów, a także koncertów. Obejmuje tysiąc pięćset siedemdziesiąt dwa akry naturalnego parku i ogrodów krajobrazowych”.

Niecałe półtora kilometra od miejsca, w którym Sophie wsiada do swojego auta, przy zarośniętej bocznej drodze niedaleko Ashtown Gate, „rekreacja na łonie natury” idzie pełną parą. Oddają się jej w gęstym poszyciu mąż Sophie i jedna z pracownic firmy EconoCar.

Złączeni w akcie pozamałżeńskiej rozkoszy, Michael Dolan i Yvonne Leonard - żywiołowa, ponętna dwudziestolatka, której filozofię życiową tworzą reguły w rodzaju: „Jestem tego warta” i „Po prostu to zrób!” - osiągają, by tak rzec, punkt kulminacyjny mijającego dnia. A przynajmniej Michael go osiąga. Yvonne nie odczuwa dziś szczególnego

zapału i, prawdę mówiąc, jedynie udaje zaangażowanie. Ma uczucie, jakby to był dalszy ciąg wizyty w siłowni. Świetna gimnastyka, lecz właściwie bez zakazanych emocji. Wolałaby nawet, żeby się pośpieszył, bo choć promienie słońca przenikają przez gęstą płataninę gałęzi nad ich głowami, jej nagie kolana drętwieją z zimna.

Sypia z Mickiem od jakichś trzech miesięcy. Wpadł jej w oko już we wrześniu, gdy tylko podjęła pracę w firmie, przyjmując rezerwacje. Po okresie upojnego flirtowania, ukradkowych spojrzeń i podniecających dwuznaczników - czyli, jej zdaniem, tego, co w romansie najlepsze - doszli do porozumienia po wieczorze spędzonym w pubie. Yvonne wie, że to nie będzie trwało wiecznie, i zaczyna mieć dość przyjeżdżania do tego cholernie niewygodnego i zimnego... no, lasu, na miłość boską. Mick upiera się, że hotel nie jest bezpiecznym miejscem, ponieważ w branży turystycznej aż się roi od jego znajomych.

Mimo że repertuar Michaela zaczyna się i kończy na pozycji misjonarskiej, seks z nim nadal pozostaje dość podniecający, a dopóki to trwa, co jej zależy? Mick jest przystojnym facetem, stosunkowo niezłym w tych sprawach, no i rozumie sytuację. Jeśli jednak pojawią się jakieś komplikacje, na przykład on poważnie się zaangażuje albo wtrąci się w to żona - rany boskie! - Yvonne natychmiast weźmie nogi za pas. A tymczasem carpe diem i tak dalej, jakby powiedział ten aktor, Robin Williams. Yvonne i jej przyjaciółka Collette przepadają za filmami z optymistycznym przesłaniem.

Tak, Mick jest w porządku. Szkoda, że żonaty. Yvonne przyłapała się ostatnio na zadawaniu sobie pytania, jak ten facet się zachowuje w domowych pieleszach?

Kila razy zdarzyło jej się igrać z ogniem: wybierała w nocy jego domowy numer. Oczywiście tylko w chwilach, gdy nie miała nic specjalnego do roboty. Po prostu chciała usłyszeć jego głos. Ponieważ nawet jeśli podnosi słuchawkę, ona natychmiast się rozłącza.

Jeżeli mówi „halo” tonem zdradzającym senność lub roztargnienie, Yvonne zaczyna się zastanawiać, czy on i jego żona nie są teraz w łóżku.

Daj spokój, Y! Nie rób się ckliwa. Jest jak jest i koniec. Przecież nieźle się bawisz.

Gdzie słyszała to carpe diem? W „Good Morning Vietnam” czy może w „Pani Doubtfire”? Gładząc kochanka i gryząc go lekko w ucho dla zachęty, Yvonne umila sobie czas szperaniem w pamięci.

Gdyby tak szef ich teraz zobaczył! Warto by utrzyć nosa temu sztywniakowi Brianowi McMullanowi. Podczas gdy Mick wciąż pompuje, jęcząc i dysząc, Yvonne uśmiecha się szerzej. Ten facet o niczym nie ma pojęcia. Nawet nie zagląda do pubu. Powinien nauczyć się trochę korzystać z życia.

Na początku rozważała pomysł zabawienia się w czwórkę, włączając Collette - która uważa, że Brian jest całkiem niezły - co wydawało się nieszkodliwą rozrywką. Wypuściła nawet próbną sondę, proponując od niechcienia, żeby wybrali się któregoś wieczoru do jednego z nocnych klubów ze striptizem. Brian nie chwycił przynęty, tylko zmarszczył brwi i popatrzył na Yvonne, jakby wyrosła jej druga głowa. „Nie sądzę, aby mojej żonie to odpowiadało”. Co za dziwadło!

Ejże! Nie. To nie była „Pani Doubtfire”. Nagłym ruchem wyrzuca biodra w górę i ścisiska Micka mocniej udami. Już wie, to było „Stowarzyszenie umarłych poetów”.

- Ach... ach... ach... ach... aaaaach!

W obawie, że przyciągnie czyjąś uwagę, Michael, nieświadom osiągniętego tuż pod nim drobnego tryumfu pamięci, tłumi ostatnie „ach” najlepiej jak potrafi. Pozwala sobie na chwilkę odprężenia, a potem z uznaniem całuje Yvonne. Dziewczyna wciąż ma zamknięte oczy, ale uśmiecha się, śliczne stworzenie, tym swoim pełnym satysfakcji uśmiechem, który zdążył poznać. Nie musi pytać, jak jej było.

- Boże, to cudowne - szepcze jej do ucha. - Jesteś fantastyczna, wiesz o tym?

Yvonne lekko kiwa głową.

- Jasne. - Unosi rękę i spogląda na zegarek. - Lepiej już wracajmy, kochanie.

Michael dźwiga się i poprawia ubranie. Zawsze wożą z sobą rolkę papierowych ręczników, by po wszystkim doprowadzić się do porządku i usunąć brudne ślady i teraz obydwójce z wprawą zabierają się do roboty. Opanowali to, prawdę mówiąc, do perfekcji. Michaela trapi jedynie myśl, że ktoś może odkryć ich ustronną polankę i będą musieli poszukać nowej kryjówki. Mając to na uwadze, za każdym razem bierze inny samochód i parkuje w różnej odległości od tego miejsca, żeby auto nie stanowiło wskazówki.

Klitka, w której mieszka Yvonne, zdecydowanie odpada. Był tam raz czy dwa, lecz o seksie nie ma mowy, bo ściany są cienkie jak z papieru, a pokój przylega do mieszkania właścicielki, starej jędzy, szczycającej się tym, że ma tylko przyzwoitych lokatorów i wyrzuciłaby Yvonne od razu, gdyby podejrzewała ją o jakieś figle-migle.

- Jak twoja żona zniosła tę straszną katastrofę? - Yvonne, która rozczesła już bujne jasne włosy, powracając do swej ulubionej fryzury aniołka Charliego, spogląda w lusterko puderniczki i pociąga usta szminką.

- Dobrze. Nawet zadziwiająco dobrze. - Podziw w głosie Michaela jest szczerzy. - Między nami mówiąc, nie przypuszczałem, że ma w sobie tyle siły.

- Wiesz, czuję się trochę dziwnie, kiedy robimy te rzeczy i w ogóle. - Yvonne wsuwa puderniczkę do kieszeni puchowej ocieplanej kamizeli.

Michael nachyla się i całuje ją w czoło jak dobry wujaszek.

- Tylko mi się nie martw. To ja powinienem myśleć o takich sprawach. Ty jesteś o wiele za młoda.

Uśmiecha się do niego z roztargnieniem.

- Jedźmy już, zanim zauważą, że nas nie ma. Któregoś dnia nas przyłapią, Mick, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie widzę powodu. Zachowujemy ostrożność. - Rozgląda się ostatni raz, sprawdzając, czy czegoś nie zostawili, a potem ponownie całuje Yvonne. - Wracamy do kieratu.

W drodze do samochodu dokonuje w myślach krótkiej analizy sytuacji. Jeśli chodzi o niego, ten układ może trwać wiecznie - a przynajmniej dopóki odpowiada im obojgu. Nikomu nie dzieje się krzywda - Sophie niczego nie podejrzewa i o niczym się nie dowie - a interesy EconoCar nie są w żaden sposób zagrożone. Pracownicy mają prawo do przerwy na lunch. Każdy ma do niej prawo.

Właściwie wyświadczają firmie przysługę. Stażystka, którą niedawno zatrudnili, zdobywa solidne doświadczenie zawodowe, czyż nie? Michael ciągle zapomina, jak ona się, do cholery, nazywa. Też jest niebrzydka.

Na razie zadowolona się w pełni tym, co ma. Poczciwa Yvonne, jakież z niej namiętne stworzenie!

Rozdział 7

Riba, siedząc przy łóżku Zeldy, delikatnie odgarnia wątle kosmyki - to, co pozostało z gęstych loków córki.

- Cierpliwości, kochanie - szepcze z czułością. - Już niedługo ci odrosną.

Okrywa wychudzone ramię dziewczyny szorstkim prześcieradłem, wzdrygając się lekko, gdy dociera do niej silna woń detergentu, która niczym chmara zarodników atakuje najwrażliwsze partie jej nozdrzy.

Nieruchomieje na chwilę, oczarowana urodą Zeldy. Błękitnawa skóra twarzy i szyi córki jest gładka i nieskazitelna jak atlas, blade usta wciąż są pełne, siateczka cienkich żyłek na powiekach wygląda jak namalowana przez skrupulatnego akwarelistę. Riba z wysiłkiem przełyka ślinę, by rozluźnić ściśnięte gardło. Gdyby coś miało jej się stać.

Powstrzymuje łzy i odchyła się na wysokie, twarde oparcie szpitalnego krzesła. Patrzy i czeka. Jeszcze wszystko będzie dobrze.

Widok separatki sprawia, że zaczynają ją świerzbic ręce. Oczywiście, szpital stara się jak może - ściany pomalowane są na jasny brzoskwiniowy kolor, a zasłony mają lawendowy wzór - ale chorzy potrzebują świec i kadzidełek, a także dodających otuchy, pobudzających zmysły przedmiotów, które pomogłyby im wrócić do zdrowia. Tutaj jednak lekarze nie życzą sobie przynoszenia takich rzeczy, nawet kwiatów. Twierdzą, że stan Zeldy wymaga sterylnych warunków i ścisłej kontroli wszystkiego, co ją bezpośrednio otacza.

Ten jeden raz Riba poddała się bez walki. Ale nie może się doczekać chwili, gdy jej córka zmieni otoczenie na bardziej holistycznie uzdrawiające.

Na pewnym etapie choroby specjaliści z tego szpitala napomknęli o ewentualnym przeniesieniu Zeldy do hospicjum. Riba zrobiła wówczas dziką awanturę, choć trzeba przyznać uczciwie, że słyszała same dobre rzeczy zarówno o Our Lady's w Harold's Cross, jak i o St Francis's w Raheny. Ale o tym nie ma i nie może być mowy, nie, nie i jeszcze raz nie. Pomyśleć tylko! Nawet gdyby Zeldą potrzebowała kiedykolwiek tego rodzaju opieki - co było wykluczone - z pewnością Riba nie umieściłaby jej wśród umierających ludzi.

Wpatrzona w śpiącą córkę, powraca myślami do wcześniejszej sceny w kuchni, z udziałem syna. Odczuwa skruchę. Zdjęcie słuchawki z widełek zaraz po powrocie do domu nie było chyba najlepszym pomysłem.

Skąd mogła wiedzieć?

Na swoją obronę może tylko wyjaśnić, że miała już dość natarczywych dziennikarzy oraz rozmaitych życzliwych i współczujących osób, spragnionych informacji z pierwszej ręki i drastycznych szczegółów. „To musiało być straszne - czy dużo pani pamięta? Co się stało - ile pani widziała? Jak do tego doszło? Czy dochodzenie już coś wykryło? Pozwie ich pani do sądu?”. Wydaje się czymś najzupełniej zrozumiałym, że człowiek zdejmując słuchawkę z widełek, by trochę odetchnąć od takiego stresu.

Kiedy odwiedzą ją funkcjonariusze prowadzący dochodzenie, powie im prawdę i nic ponadto. Żadnych teatralnych gestów. Jej przemyślana i ugruntowana opinia brzmi następująco: czy to ważne, jak do tego doszło? Stało się i już. A co się stało, to się nie odstanie, więc po co rozgrzebywać bez końca okropne szczegóły?

Bo właściwie cóż może powiedzieć? Dwa głośnie wybuchy, krótki lot w wyiębionym nagle powietrzu - i nic więcej nie wie, ponieważ leżała przygnieciona półką. A potem została wyciągnięta przez ratowników i odwieziona karetką do szpitala.

Na razie niech inni karmią media ponurymi szczegółami, którymi uważają za stosowne się podzielić. Riba czeka na właściwy moment. Opowie prawdziwą historię, historię cudu, w odpowiednim czasie, kiedy emocje osłabną i przycichnie medialna wrzawa, a ludzie będą skłonni słuchać uważniej.

Gdy zaś mowa o sądach, dochodzeniach i obrzydliwych towarzystwach ubezpieczeniowych, Riba zamierza jak zawsze pozostawić cały ten kram Brianowi. Krzywi się z niesmakiem. No dobrze, kiedyś trzeba będzie stawić czoło kwestii roszczeń i odszkodowania, ona jednak robi wszystko, by trzymać się z dala od nieprzyjemnych aspektów sprawy. Brian, który oczywiście wysunie własne żądanie, może sobie ubrudzić ręce, ale ona nie. Podpisze to, co jej podsuną, i na tym koniec.

Postanowiła zadbać o siebie na swój własny sposób i uważa, że na razie nieźle jej to wychodzi.

Przyznaje jednak, iż powinna była poświęcić więcej myśli, więcej uwagi Donny'emu. Oprócz wstrząsu, wywołanego tym, co się przydarzyło całej rodzinie, jego przygnębienie z powodu nauczycielki, której Riba nie znała, wydaje się głębokie i szczere.

W szpitalu zachowywał się wspaniale, naprawdę. Tak dorośle. Zapewne dopiero teraz zaczyna do niego docierać, co się stało. Biedny dzieciak.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, Riba uświadamia sobie, jak bardzo jej syn spoważniał od czasu, gdy zdiagnozowano chorobę Zeldy. Nie da się ukryć, że bieg wydarzeń nie ułatwiał ostatnio życia biednemu Donny'emu. Tak, będzie musiała troskliwiej się nim zająć. Na razie jedyne, co może dla niego zrobić, to wysłuchać i oddać jakąś drobną

przysługę. Na przykład po powrocie od Zeldy przyrządzi mu smaczną kanapkę i zaparzy kawę, a później pojedą razem odwiedzić Briana.

Prawdę mówiąc, skorzystają na tym obydwój. Mąż zapewne ma wielką ochotę ochrzanić ją za zabranie Zeldy do tego samolotu, ale obecność syna powstrzyma go od nierozsądnych wyrzutów.

Za zamkniętymi na klucz drzwiami swojego pokoju Donny leży na łóżku i patrzy w sufit. Nie chce mu się nawet włączyć wieży stereo. Wyjąwszy jeden czy dwa krótkie wybuchy, takie jak dzisiaj w kuchni, i on, i jego pokój trwają w milczeniu od dnia katastrofy.

W domu chłopiec jest raczej małomówny. A już z pewnością nie odkrywa kart - przynajmniej od czasu, gdy jego wkroczenie w wiek dojrzewania zbiegło się z ujawnieniem choroby Zeldy i cała uwaga dorosłych skupiła się na siostrze. Ostatnio, kiedy już wyjdzie ze swojego pokoju, snuje się po domu w oparach cichej, kipiącej urazy. Tak właśnie jest postrzegany, o czym wie, i gównu go to obchodzi.

Prawdę mówiąc, ogarnia go rozpacz. Nie przyznał się do tego nikomu, lecz odkąd zaczął stawiać pierwsze kroki, kochał i podziwiał swoją piękną, uzdolnioną siostrę. Choć pod każdym względem pragnie ją naśladować i ubolewa nad własnymi niedoskonałościami, wycofuje się ze współzawodnictwa w każdej dziedzinie, przewidując, że poniesie klęskę. Uznał, że nie ma co marzyć o uzyskaniu na świadectwie końcowym 525 punktów, jak ona, więc po prostu przestał się starać i teraz pod względem wyników w nauce przesuwają się coraz bliżej szarego końca.

Fakt faktem, że dla spokojnego z natury Donny'ego towarzystwo dynamicznych kolegów z klasy od początku stało się ciężką próbą. Gdy tylko podrośł tak, by zacząć się zastanawiać nad takimi sprawami, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pojawił się w tej rodzinie na doczepkę, gdyż jego stanowczym, a zarazem nieprzewidywalnym rodzicom wystarczała jedna wspaniała córka i wcale by się nie zmartwili, gdyby nie przyszedł na świat. Ponieważ nigdy nie domagał się uwagi i nie miewał napadów złego humoru, często pozostawiano go samemu sobie. Budował zamki z klocków Lego, później przerzucił się na „Małego konstruktora”, teraz zaś spędza całe godziny zamknięty w pokoju, wędrując po Internecie lub grając w gry komputerowe.

Wie, że rodzice go kochają i troszczą się o niego - pod względem materialnym niczego mu nie brakuje - ale w ich miłości można wyczuć pewne roztargnienie, a troska wydaje się automatyczna, zwłaszcza odkąd matka wkroczyła siedem lat temu na tę swoją

głupią „ścieżkę”, jak to nazywa, i między rodzicami zaczęły się tarcia i kwasy. Donny, ilekroć to słyszy, krąży w pobliżu i robi trochę hałasu, dając im do zrozumienia, że też tam jest, oni jednak nigdy nie zwracają na niego uwagi.

Ojciec naprawdę się starał - opłacił czesne w szkole, gdzie uprawiano grę w rugby, i ukrył rozczarowanie, kiedy Donny (umyślnie) dał się wyrzucić ze szkolnej drużyny. Co do mamy, rzuca mnóstwo kojących, czułych zdań w rodzaju: „Czy u mojego pięknego, ukochanego synka wszystko w porządku? Wiesz, że mama bardzo cię kocha, prawda?” i tym podobne kawałki, lecz Donny zauważa ze wzgardą, iż nawet w najbardziej wylewnym nastroju matka jest nieobecna, zatopiona we własnych myślach.

Najgorzej, że on także ją kocha. Nawet w trakcie kłótni, gdy doprowadza go do takiego szału, że chętnie by ją udusił, w jego sercu odzywa się dzika, bolesna miłość.

Radził sobie z tym wszystkim całkiem nieźle, dopóki Zelda nie wylądowała po raz pierwszy w szpitalu, kiedy skończył zaledwie trzynaście lat i dopadła go burza hormonów.

A potem przyszła katastrofa.

Część tego dnia zatarła mu się w pamięci, reszta jednak pozostaje tak wyrazista i prawdziwa, że nadal wywołuje w nim wstrząs. Jakimś sposobem Kevin Spacey i cudowna dziewczyna okryta płatkami czerwonych róż wpisali się w ów dzień. I ta krwista czerwień.

No dobrze, trzeba przyznać, że dał się wtedy ponieść emocjom, zwłaszcza po wiadomości od taty, gdy myślał, że mama i Zelda nie żyją. Mógł zostać sierotą i znaleźć się w domu dziecka.

Był to, rzecz jasna, jednorazowy wyskok; nie ma już mowy o żadnych emocjach. Ale jest zły. Z bliżej nieokreślonych przyczyn fakt, iż nikt z rodziny nie zginął, nie budzi w nim entuzjazmu, tylko furję -wobec nich wszystkich. Donny nie ma pojęcia dlaczego.

I właściwie nie chce wiedzieć. Łatwiej i przyjemniej zżymać się na nich, zwłaszcza na mamę, niż próbować zrozumieć różne inne rzeczy.

A teraz ma pełne prawo się wściekać. Jakby było mało tego, że mamuśka przychodzi na wywiadówki, wyglądając jak postać z serialu „Star Trek”, albo mówi czy robi coś totalnie psychicznego, to jeszcze odkłada słuchawkę telefonu. Dzisiaj gryzie Donny'ego przede wszystkim to, że znowu odstaje od reszty -jest jednym z dwóch cholernych uczniów w całej szkole, którzy nie poszli na pogrzeb.

Przynajmniej jeden człowiek na tej planecie go rozumie, a jest nim Trevor. Jego matka, jak sam twierdzi, też zachowuje się głupio, ale Donny niczego podobnego nie zauważył. Owszem, nudziara z niej, lecz w sumie Donny wolałby mieszkać z bezbarwnymi

Jamesonami niż w tym przybytku grozy. Przynajmniej zostawiliby go w spokoju i nie pytali bez przerwy, czy wszystko w porządku.

W porządku? Czego ona na to oczekuje? Kiedy matka zaczyna takie numery, on po prostu wychodzi z pokoju.

Zeskakuje z łóżka i włącza stereo. Bardzo głośno.

Nie wie, co jeszcze mógłby zrobić, więc z powrotem wali się na łóżko.

Przed katastrofą lekarstwem na wszystko było zatonięcie w tym, co płynie ze słuchawek, ale od kilku dni wszystko wokół wygląda inaczej. Ma ostrzejsze barwy, jak wizje Kevina Spaceya w „American Beauty”, tyle że wizje Donny'ego nie są rozkoszne - są obłąkane.

Apatycznie wyciąga spod siebie kołdrę i wpełza pod nią w ubraniu i butach, naciągając ją na uszy i pokazując światu tylko czubek nosa, oczy i wierzchołek głowy. Czuje szczypanie w oczach i pieczenie w nosie. Pod żadnym pozorem nie zamierza się rozplakać.

Oczy Briana rozszerzają się radośnie, gdy w drzwiach separatki staje Sophie, która - widząc przy nim lekarkę - cofa się niepewnie. - O, przepraszam! Przyjdę później.

Przejęty irracjonalnym lękiem, że Sophie zniknie, Brian wykrzykuje:

- Nie! Wejdz, proszę! - Podciąga się na poduszkach i krzywi, gdy nagły ból przeszywa jego klatkę piersiową. - Właśnie skończyliśmy, prawda, pani doktor?

- Tak. - Lekarka, Azjatka, uśmiecha się ujmująco. - To jeden z moich życiowych sukcesów - dodaje, zwracając się i do pacjenta, i do gościa. - Błyskawicznie wraca do zdrowia! Jest silny jak czołg!

Potem następuje salonowy taniec przy drzwiach, podczas którego jedna ustępuje miejsca, druga zaś ociąga się z jego zajęciem. Pani doktor wreszcie wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Nie wiedziałam, co mogłabym ci przynieść.

Sophie siada na krześle przy łóżku i wówczas Brian zauważa, że unika jego spojrzenia. Zaszło między nimi coś bardzo dziwnego, a dla niego jest to doznanie sprzed minuty, gdy otworzyła drzwi i stanęła w progu. Od katastrofy tak bardzo martwił się o rodzinę, zwłaszcza o Zeldę, że dopiero gdy zobaczył Sophie, uświadomił sobie, jak bardzo by cierpiał, gdyby coś jej się stało. Nie może jednak roztrząsać tego przy niej, prawda?

Zaczyna słuchać i dociera do niego, że Sophie trąkocze jak nakręcona.

- ...no więc to kłamstwo, nawet nie próbowałam ci niczego przynieść i tak przyszłam, z pustymi rękami. Przepraszam. W tej chwili nie mogę się w niczym połapać i, szczerze mówiąc, zaraz muszę iść. Moja szefowa zwołała zebranie, uwierzyłbyś w to? Sprawa musi być poważna. Od niepamiętnych czasów nie urządzano u nas żadnych zebrań. A ja mam długi artykuł do napisania. A jak ty się czujesz? - Ten słowotok jest u niej czymś zupełnie nietypowym.

- Jak się czuję? - Wbija w nią spojrzenie, a potem uśmiecha się szeroko. - Ta lekarka mówi prawdę. Jestem podłym, bezczelnym naciągaczem, który zajmuje szpitalne łóżko, podczas gdy wielu innych chorych o wiele bardziej na nie zasługuje. Słyszałem, że wypuszczą mnie w sobotę po południu.

- To dobrze. Świetnie. - Sophie z zapalem kiwa głową. - Eily będzie zachwycona. Na pewno bardzo za tobą tęskni.

- No tak. - Wzmianka o Eily budzi w nim w tej chwili, łagodnie mówiąc, mieszane uczucia. - Słuchaj - Brian ponownie podciąga się na poduszkach - dowiedziałem się tego i owego o Zeldzie i rozmawiałem z nią przez telefon, ale tak naprawdę, jak ona się czuje? Nie mogę się z nią zobaczyć i już dostaję od tego świra. Ale tobie, Soph, zawsze wierzę.

- Nie byłam u niej - wyznaje Sophie z rozgoryczeniem. - Przykro mi. Musiałam się uporać z własnymi drobnymi, głupimi problemami.

- Nie mów tak.

Zapada krępująca cisza, gdy żadne z nich nie wie, co powiedzieć. Wreszcie Sophie, szybko i głośno zapewnia Briana, że wierzy w to, co usłyszała od Eily.

- Tym razem naprawdę, słowo daję. Zeldą najwyraźniej nie odniosła najmniejszych obrażeń.

- Nie mogę przestać o niej myśleć.

To prawda, wielokrotnie budził się z myślą o córce, teraz jednak nie potrafi oderwać oczu od Sophie. Wygląda przecudownie, cała w bieli.

- Naprawdę, świetnie wyglądasz, Soph - mówi ciepło. - Eily wspomniała coś o sińcach na twarzy, ale spodziewałem się czegoś znacznie gorszego.

- Powinieneś spojrzeć na to od mojej strony! - odpowiada lekkim tonem, lecz ku zaskoczeniu Briana zrywa się i podchodzi do okna, choć widniejąca za nim szara ulica raczej nie dodaje natchnienia. - Miły pokój - rzuca nieuważnie. - Dobrze cię karmią?

- Muszą, przy sumach, jakie im płacę. - Brian wyczuwa napięcie między nimi, gdy Sophie, odwrócona plecami, ciągnie dalej, jakby nic nie słyszała.

- Zastanawiałam się, czy nie pójść na nabożeństwo w intencji ofiar. Bo na pewno nie wezmę udziału w żadnym pogrzebie.

- Och, nie. - Brian, który słucha wszystkich wiadomości w radiu i telewizji i wciąż na nowo przeżywa całą katastrofę, wzdryga się na myśl, że Sophie lub on sam mieliby stanąć przy grobach tych, którzy zginęli, podczas gdy on przeżył. - Nikt tego od ciebie nie wymaga, Sophie - mówi cicho. - To oczywiście tragedia, ale nie znaliśmy nikogo z nich.

- Mimo to czuję się winna. - Odwraca się do niego.

- Ja też - Brian spuszcza oczy.

Sophie nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielkie jest poczucie winy Briana - że nie okazał się bardziej stanowczy, nie zabronił żonie i córce wsiąść na pokład tego pechowego samolotu. Gdyby nie był takim oferumą, osoby, które kocha, nie znalazłyby się w tej sytuacji. A Sophie nie wylądowałaby z nim pod ogrodzeniem lotniska. Spogląda na nią.

- Wypiszą mnie pod koniec tygodnia, a gdy się tak głębiej zastanowić, masz rację. Ja chyba także powinienem pójść na tę mszę. Wszyscy powinniśmy pójść. Pomówię o tym z Eily. - Powodzenia, myśli, lecz nie wypowiada tego głośno. - A co na to Mick?

- Nie wiem. Zapytam go. - Zdejmuje czapkę i potrząsa włosami.

Zawsze podobały mu się włosy Sophie, lśniące jak u dziecka, świeżo umyte. Szczerze mówiąc, od początku podziwiał jej swobodne, niefrasobliwe podejście do strojów i wyglądu zewnętrznego. Zupełnie inne niż u jego żony. Łazienka po długotrwałych ablucjach Eily, myśli ponuro, przywodzi na myśl turecki burdel - tak przesycona jest wonią perfum, balsamów i zapachowych świec.

Uświadamia sobie, że Sophie wpatruje się w niego.

- Czas mi się dłuży, Soph - sili się na beztroski ton - i pewnie dlatego za dużo rozmyślam. Im prędzej stąd wyjdę, tym lepiej, bo to wszystko przewija mi się przez głowę jak puszczany ciągle od początku horror.

- Mnie też.

Zza mocnych drewnianych drzwi dobiega brzęk szklanek lub innych naczyń, wiezionych na wózku. Aby wypełnić ciszę panującą w pokoju, Brian zaczyna pleść, co mu ślina na język przyniesie i nagle zdaje sobie sprawę, że mówi o żonie.

- Według niej, mam oczekiwać potwora Frankensteina. I nie wygłaszać żadnych komentarzy, niezależnie od tego, jak bardzo wyda mi się okaleczona. To zadziwiająca kobieta - dodaje wieloznacznie.

- Istotnie. - Sophie wybiera najłagodniejszą interpretację. - Twoja Eily jest jedyna w swoim rodzaju. Czy bez niej mielibyśmy tyle rozrywki?

Śmiech, pełen sympatii dla żony Briana, łagodzi napięcie między nimi. Ale gdy tak pokpiwają z cech charakteru Eily, Brian ponownie czuje się nieswojo i znowu zaczyna im brakować słów.

- Wiem, że mieliśmy o tym nie rozmawiać - mówi cicho - ale nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich trumnach, pogrzebach, ofiarach i łzach. Czuję się przez to jak oszust. Dlaczego oni, a nie ja? Raz uważam się za największego szczęściarza na świecie, a innym razem myślę, że absolutnie na to nie zasłużyłem.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Sama też przez to przeszłam.

Ta rozmowa również się urywa. Brian próbuje stawić czoło sytuacji.

- Posłuchaj, Soph, musimy pogadać. - Gdy Sophie spuszcza oczy, ciągnie: - Eily nie powiedziała tego wprost, ale z jej zachowania wnioskuję, że nie zrezygnowała z wyjazdu. Że zamierza jeszcze raz narazić Zeldę na to samo.

- Nic mi o tym nie wspominała. - Sophie spogląda na niego. - Wiesz, że Eily dałaby się pokroić za Zeldę. Daj spokój, Brian. Przenigdy by jej nie skrzywdziła. Zawsze miała na względzie tylko jej dobro.

Uważał ją za swego sprzymierzeńca i teraz jest zaskoczony jej zapalczywym tonem.

- Wiem o tym - mówi powoli i wyraźnie. - Przyznaję to. Czemu tak jej bronisz? W głębi serca zdajesz sobie sprawę równie dobrze jak ja, że okazuje, delikatnie rzecz ujmując, brak rozsądku. Wspominasz o dobru Zeldy. Czy nie sądzisz, że ja także mam jej dobro na względzie?

- Ależ oczywiście... oczywiście... - Jej głos brzmi niepewnie. - Nie chciałam...

- Kwestia, w której mamy z Eily odmienne zdania - przerywa Brian z rosnącą desperacją - to definicja dobra Zeldy. Sądzę, a raczej sądziłem, że jesteś po mojej stronie. - Prośby i błagania nie leżą w jego naturze, lecz teraz zaczyna błagać. - Proszę cię, Sophie. Proszę. Moja jedyna córka umiera. Moja krew. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale głęboko w środku odczuwam potrzebę bycia z nią przez ten czas, jaki jeszcze nam pozostał. Czy nie moglibyśmy razem postarać się utrzymać Zeldę z daleka od tego skurwiela z Karaibów?

Sophie wpatruje się w niego.

- To nieuczciwe - mówi łagodnie. - Prosisz mnie, bym wzięła udział w zмовie przeciw mojej najlepszej przyjaciółce. Każesz mi wybierać między przyjaźnią z tobą a przyjaźnią z Eily.

- Ktoś musi przemówić jej do rozsądku. Mnie nie zechce słuchać, więc... proszę... - Urywa, gdy drzwi się otwierają i wchodzi jego żona.

Sophie natychmiast zrywa się z krzesła.

- Eil... Riba! Proszę, usiądź tutaj. Cześć, Donny! - Uśmiecha się pogodnie do chłopca, który ociężale wsuwa się za matką.

- Sophie! A więc przyszedł. - Eily odwraca się do męża. - Witaj, kochanie. Mój Boże, wyglądasz znakomicie! - Podchodzi do łóżka, nieśpiesznie całuje Briana w policzek, a potem siada obok i opasuje go ramieniem, roztaczając silny zapach Chanel numer 5.

Brian, z niejasnych przyczyn zakłopotany, przenosi spojrzenie na syna, który stoi twarzą do okna i naciska guziki Gameboya.

- Cześć, stary.

- Cześć, tato. - Chłopiec nie podnosi oczu. - Dostanę pieniądze na colę?

- Oczywiście, kochanie. - Eily otwiera torebkę i wyjmuję portmonetkę.

Gdy Donny chwyta oferowaną piątkę i wymyka się pośpiesznie, Brian zauważa z przykrością, że Sophie zerka na zegarek.

- Prawdę mówiąc, jeśli pozwolicie, lepiej już wrócę do redakcji. Wpadłam tylko na minutę, a wy macie dużo zaległości do nadrobienia.

- Przecież dopiero co przyszedł. - Brian podciąga się wyżej na poduszkach i znowu krzywi się z bólu.

Sophie bierze z łóżka swoją czapkę.

- Wiem. - Jej głos brzmi dziarsko. - Wpadnę tu jeszcze, obiecuję, choć jeśli masz wyjść w sobotę... - Pochyla się, by cmoknąć go w policzek, a potem mówi do Eily: - Wiele zawdzięczam twojemu mężowi, wiesz? Gdyby nie on, byłabym teraz dla was tylko miłym wspomnieniem. - Przesuwa się bokiem w stronę drzwi i Brian widzi wyraźnie, że Sophie marzy, by jak najprędzej wyjść. Otwiera drzwi, lecz zatrzymuje się w progu. - Zapomniałam cię zapytać, Eil... Ribo, jak się czuje Zelda? Odwiedziłaś ją?

Brian zauważa, że twarz żony łagodnieje.

- Spała i nie chciałam jej budzić, bo sen teraz najlepiej jej zrobi. Potrzebuje go jak najwięcej. To doskonały lekarz.

- A czy rozmawiałaś z jakimś prawdziwym lekarzem? - W jego tonie słychać nutę rozdrażnienia, której nie potrafi pohamować. Sophie gwałtownym ruchem naciąga czapkę niemal na oczy, lecz Eily zdaje się niczego nie dostrzegać.

- Nie, dzisiaj nie. Ale rozmawiałam z kilkoma pielęgniarkami i są z niej zadowolone. - Siada na krześle zwolnionym przez Sophie i splata ręce na kolanach, spoglądając to na męża, to na przyjaciółkę. - Zjada tyle, ile zdoła pomieścić, o każdej porze doby. Zostawiłam im opakowanie preparatu wspomagającego funkcjonowanie wątroby. Jay go zaleca.

Przez chwilę można odnieść wrażenie, że ściany szpitalnego pokoju zrobione są z samokurczącej się aluminiowej folii. Sophie pośpiesznie posyła małżonkom całusa.

- To świetnie, Ribo - rzuca. - Pogadajcie sobie. Mam masę pracy, jak się zapewne domyślacie, a niełatwo mi się na niej skupić.

- Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy - Brian unosi rękę w pożegnalnym geście.

- Tak, do zobaczenia, Soph - Eily również macha do przyjaciółki, lecz Sophie jest już za drzwiami.

Śpiesząc korytarzem do windy, Sophie czuje się jak Brutus przyłapany na gorącym uczynku przez Cezara tuż przed idami marcowymi.

Katastrofa poruszyła mętny osad na samym dnie jej duszy, a rozmowa z Brianem przebiegała w sposób dziwny i chaotyczny, jak gdyby rozdzielił ich grad słów, które potem opadły na ziemię niczym deszcz confetti.

Cokolwiek by to było, należy położyć temu kres, tu i teraz. Ileż ona ma lat, na miłość boską? I od jak dawna zna tego mężczyznę -i jego żonę? A ich córka, jej chrześniaczka, biedna, kochana Zelda?

Nie będzie odtąd miała nic wspólnego z jakimikolwiek dyskusjami o wyjazdach. Muszą to rozstrzygnąć między sobą.

Ale nie tylko ta sprawa ją dręczy - jest coś jeszcze, znacznie głębszego i mroczniejszego. Mówiąc o Zeldzie jako o swojej krwi czy czymś w tym rodzaju, Brian odstąpił najskrytszą udrękę Sophie. Zawsze pragnęła mieć dzieci, choćby jedno.

Starali się obydwójce z Michaeliem od lat. Poddali się upokarzającym badaniom, analizom i testom, po których powiedziano im, że fizycznie żadnemu z nich nic nie dolega i odesłano do domu, żeby próbowali dalej. Adopcja była wykluczona, bo mąż nie chciał nawet o tym słyszeć. Powiedział, że ma już dość psychologii i nie zamierza tolerować wywalania bebechów, którego żądają pracownicy socjalni, kiedy tylu krętaczy i durniów, najwyraźniej niezdatnych do rodzicielstwa, może się mnożyć niezależnie od wszystkiego.

Przez pewien czas Sophie próbowała stawiać mu czoło, lecz stopniowo traciła zapał i zamknęła głęboko w sercu wszechogarniającą tęsknotę. Michael, jak się wydawało, niezbyt się tym przejął, ale dla niej jego niedbała rezygnacja stała się końcem namiętnego związku i początkiem grzecznej znajomości. Na obecnym etapie Sophie nie miała pojęcia, co mąż myśli o dzieciach.

Z jej perspektywy niewrażliwość Michaela na jej poczucie zagubienia i sporadyczne napady zazdrości o Briana i Eily oddaliły ich od siebie. Jest przekonana, że nie potrafiłby zrozumieć jej ukrytego gniewu na Eily za beztroskie traktowanie takich darów natury jak córka i syn, za ustawienie Streeta na najwyższym piedestale - przynajmniej przed chorobą Zeldy. Zdaniem Sophie, przyjaciółka powinna była troszczyć się o oboje na wszelkie możliwe sposoby i dziękować za nich Bogu na klęczkach dzień i noc. Gdyby Zelda i Donny byli dziećmi Sophie, czuwałaby nad nimi jak lwica. Ale Eily to Eily, a przyjaźń oznacza akceptację. Winda wysadza Sophie w przytulnym, cichym holu, który przemierza niemal biegiem i z ulgą wdycha wilgotne, szare powietrze Eccles Street. Wsiada do samochodu, nie wdając się w dyskusję z funkcjonariuszką, która z bloczkiem mandatowym w dłoni przygląda się bacznie nalepce na przedniej szybie.

Sophie rusza z piskiem opon, a kobieta spogląda za nią, marszcząc brwi.

Wszystko jest miłą odmianą. Przez lata płynęła u boku Briana, Eily i ich dzieci przez stosunkowo płytką wodę, lecz od dnia katastrofy wszyscy błąkają się po omacku, nie wiedząc, gdzie postawić stopę.

Wszyscy z wyjątkiem Eily. Jej stopy, pomimo wstrząsów, które przeżyła i nadal przeżywa z powodu Zeldy, wydają się opierać niewzruszenie na mocnej opoście pewności.

Przez chwilę po wyjściu Sophie Riba i jej mąż wpatrują się bacznie w mahoniową okleinę drzwi, jak gdyby miały ujawnić czwartą tajemnicę Fatimy. Wreszcie Brian zdobywa się na optymistyczny ton:

- Dobrze wyglądasz, Eily. Znacznie lepiej, niż przypuszczałem. Riba, zadowolona z komplementu, wygładza rękaw żakietu z surowego jedwabiu.

- A czego się spodziewałeś?

- Sam nie wiem. - Brian wzrusza ramionami. - Może jakiejś mumii, obandażowanej od stóp do głów? Naprawdę ładnie wyglądasz. Do twarzy ci w tym kolorze.

- Widziałam tyle bandaży, że wystarczy mi na całe życie. - Wzdryga się lekko na to wspomnienie, lecz jego ocenę uważa za słuszną. Dzisiaj dołożyła wszelkich starań, by odwrócić uwagę od sińców na twarzy. Włożyła ciemnoczerwoną bluzkę i pasujący do niej różowy żakiet, a gdy obejrzała w lustrze efekt - proste, ciemne włosy, złote łańcuszki na szyi, długie klipsy z granatami, jasna cera i wydatny biust - nabrała otuchy. Wyszło wcale nieźle - jakby dopiero co wynurzyła się z wozu cygańskiej wróżki albo przywędrowała do szpitala z

bazaru w Maghrebie. Riba pochyla się, by zaprezentować mężowi wszelkie atrybuty kobiecości. - Porozmawiajmy lepiej o tobie. Jak się czujesz?

Jego twarz nie zdradza żadnych uczuć.

- Świetnie. Właściwie równie dobrze mógłbym leżeć w domu. Mam wrażenie, że znalazłem się tutaj z powodu fałszywego rozpoznania.

- Och, na miłość boską, przecież płacimy krocie na fundusz zdrowia! Jaki sens miałyby ubezpieczenie, gdybyśmy nie mogli z niego korzystać? - Riba potrząsa bujnymi włosami, świadoma, że mąż ją obserwuje.

Już zupełnie innym, miękkim tonem pyta ją, „po prostu z ciekawości”, dlaczego nie odwiedziła go wcześniej.

- Jaki jest prawdziwy powód, Eily? Riba unosi podbródek.

- Przecież przyszłam, prawda? I często rozmawialiśmy przez telefon.

- Eily... - Brian usiłuje podeprzeć się na łokciu.

Ona przerywa mu natychmiast, jak gdyby wyczuwając, do czego zmierza.

- Nie psuj wszystkiego. - Wstaje i podchodzi do telewizora, umieszczonego wysoko na konsoli. - Co teraz leci? - Rozgląda się za gazetą.

Brian zerka na zegarek seiko, który, o dziwo, nie przestał chodzić ani podczas katastrofy, ani później.

- Wiadomości.

- Gdzieś muszą dawać coś lepszego. Zobaczmy... - Siega po pilota i przerzuca kanały, pomijając reklamę mydła, talk show, kreskówki i informacje gospodarcze, aż wreszcie natrafia na ziarnisty, czarno-biały obraz na BBC 2. - Och! „Kacza zupa”! - Jest zachwycona. - Bracia Mara! A nie mówiłam? Przecież lubisz braci Mara.

Ogląda się przez ramię. Brian opiera się na poduszkach, oczy ma zamknięte.

- Jak sobie życzysz.

Riba wraca na krzesło i ujmuje dłoń męża, spoczywającą bezwładnie na narzucie. Rozgrzewa ją, nie słysząc protestów z jego strony, a potem masuje delikatnie, popatrując w telewizor i chichocząc ze ślapstickowych gagów.

Tak zastaje ich Donny, gdy wraca do separatki, popijając colę. Riba uśmiecha się promiennie, nie przestając gładzić ręki męża.

- Wszystko w porządku, kochanie? Widzę, że trafiłeś do bufetu.

- To z automatu. Zwracam ci resztę. - Donny rzuca na łóżko garść monet i gdy matka je zbiera, chłopiec spogląda z niepokojem na ojca. - Cześć, tato. Dobrze się czujesz? Może chcesz łyka? - Unosi puszkę.

- Dzięki, stary. Wszystko w porządku. - Brian wyzwala dłoń z uścisku Riby i sięga po puszkę. Pociąga łyk i oddaje resztę synowi. - Miałem kupę szczęścia, podobnie jak ciocia Sophie, ale o tym już wiesz.

- Aha - mamrocze Donny.

Stawia puszkę z napojem na parapecie i zaczyna naciskać guziki Gameboya. Po chwili jednak traci zainteresowanie grą i wraz z rodzicami wpatruje się w ekran telewizora, ukazujący niewyraźnie czarno-biały film braci Mara.

Riba sięga ponownie po dłoń Briana, lecz on już zdążył schować ramię pod kołdrę.

Rozdział 8

Mimo najlepszych chęci, by wejść do biura niedbałym krokiem za pięć trzecia, ciekawość zwyciężyła. Sophie siedziała najdłużej jak się dało nad kawą i kanapką w

pobliskim pubie, a zjawiwszy się w redakcji tuż po wpół do trzeciej, zastała rozgorączkowaną Nancy.

- Jest tam, rozmawia z nimi. Przyjechali dosłownie przed chwilą.

- Kto?

- Nie wiem, nie przedstawili się. Dwaj mężczyźni. Wypatrywała ich od rana, a oni tak po prostu sobie weszli... i zaczekaj tylko!

- Co masz na myśli?

- Zaczekaj. Nie chciałabym popsuć niespodzianki. - Niewysoka, ale krzepko zbudowana Nancy dygocze z podniecenia.

Sophie czuje niepokój. Zebranie z udziałem jej samej i Nancy? Odbiega to tak dalece od zwykłego zachowania Imeldy, że sprawa musi być bardzo poważna. Czy stracą pracę? W głębi serca zawsze się zastanawiała, jak to małe czasopismo zdołało przetrwać do tej pory. Przy cenie półtora funta za numer, z udziałem tych samych wiernych, acz drobnych reklamodawców interes wydaje się dość ryzykowny. Jej pensja to marne grosze, ale ponieważ odziedziczyli z Michaelem swój odrapany domek, nie muszą spłacać kredytu hipotecznego i mają niewielkie wydatki, dzięki czemu może pracować zgodnie z własnym rytmem i robić to, co lubi. Co będzie jednak, jeśli „Wild Places” zwinie działalność? Sophie potrafi kolacjonować i ilustrować artykuły o chrząszczach, ryjówkach i drozdach, lecz w głównym nurcie dziennikarstwa niemal każdy redaktor posiada znacznie wyższe kwalifikacje.

Mogłaby oczywiście poszukać innego zajęcia, ale w jej wieku i przy tym trybie życia, które przebiegało właściwie pod kloszem, nie ma najmniejszej ochoty rywalizować z agresywnymi, pewnymi siebie „pampersami”, napędzającymi irlandzką gospodarkę.

Nicznym sygnał ostrzegawczy odzywa się ból w posiniaczonej twarzy, gdy mija trzecia, a szefowa nadal się nie odzywa.

- Powiedziała, że o trzeciej. Przecież tak powiedziała. - Nancy zaczyna krążyć po pokoju. - Ty też to słyszałaś, prawda, Sophie?

Niezamężna, opiekująca się zniedołężniłą matką Nancy potrzebuje tej posady o wiele bardziej niż Sophie. Co teraz zrobi? Kto zatrudni sześćdziesięcioletnią kobietę? I gdzie, tak jak w „Wild Places”, tolerowano by jej specyficzne podejście do pracy biurowej?

- O, jesteś, Sophie! I ty, Nancy. To dobrze.

Obydwie zwracają się ku drzwiom, w których stoi Imelda.

Sophie bez zenady wlepia w nią oczy. Przepowiednie Nancy okazują się uzasadnione. Szefowa jest zarumieniona i podenerwowana, a nawet wytrącona z równowagi, co u kogoś tak zamkniętego w sobie jest zjawiskiem absolutnie nietypowym. Jeszcze bardziej

zaskakujące wrażenie wywiera jaskraworóżowa szminka i kwiecisty wiskozowy kostium, w który Imelda przyoblekła swą szczupłą, kościstą figurę. Szpakowate włosy, dotychczas okalające jej twarz niczym skłębiony wieniec, przylegają teraz do głowy, ściągnięte opaską.

- No więc wejdźcie. - Nieświadoma wrażenia, jakie jej osobliwy strój wywiera na podwładnych, zawraca w stronę gabinetu.

- Cóż, ostrzegałam cię. - Nerwowy grymas Nancy jest zaraźliwy i Sophie uśmiecha się do niej; ugrzęzły w tym razem i będzie, co ma być.

Z Nancy depczącą jej po piętach Sophie wkracza do gabinetu szefowej, która stoi za obszernym, odrapanym biurkiem, a jej nabłyszczone żelem włosy lśnią w promieniach słońca, wpadającego przez zapaćkane okno.

Pomieszczenie pachnie tak, jakby dopiero co ktoś wziął w nim prysznic; wyczuwa się woń drogiej wody kolońskiej. Jej źródło siedzi naprzeciw Imeldy - dwaj księgowi po trzydziestce, jeden w układającym się miękko garniturze na czarnym podkoszulku, drugi w markowych džinsach i nieskazitelnie białej bluzie, która mimo wszystko nie kryje wałka tłuszczu w pasie. Imelda wzdycha i ściąga z głowy absurdalną opaskę.

- Zapewne zdajecie sobie sprawę, że nasze pismo nie radzi sobie najlepiej. Wyjaśnię zatem, co nas czeka. - Jej głos brzmi spokojnie. - Ponieważ następny numer jest już opracowany, wydamy go, lecz to już ostatni. Znajdę sposób, żeby wypłacić wam pensje jeszcze za następny miesiąc, abyśmy mogły po sobie posprzątać, że się tak wyrażę. A jeśli jakimś cudem znajdziemy inwestora czy nawet kupca, no to kto wie? Możemy odzyskać dawną pozycję. Nie tracę nadziei, uwierzcie mi. - Wyras jej oczu przeczy jednak słowom; Imelda wpatruje się w porysowane biurko z dębowym blatem. - Bardzo mi przykro. Miałam nadzieję, że przekażę wam dobre wiadomości, zaplanowałam nawet małą uroczystość, lecz niestety muszę z niej zrezygnować. - Jej zmęczona twarz z zapadniętymi policzkami wygląda staro. - Bardzo mi przykro - powtarza cicho, podczas gdy księgowi przyglądają się swoim paznokciom. - Macie zapłaconą składkę ubezpieczeniową i dopilnuję, żebyście otrzymały wszelkie oficjalnie ustawowo zagwarantowane świadczenia.

Cisza w pokoju przypomina tykanie zegara, a Sophie uświadamia sobie, jak bardzo pragnie zachować tę niedocenioną pracę, którą właśnie traci. Odblaskowa szminka Imeldy wpełzła w zmarszczki rysujące się w kącikach jej ust i podkreśliła na różowo siatkę drobnych kresek.

- Mnie także jest przykro, Imeldo - odzywa się Sophie łagodnym tonem. - Wiem, że dla ciebie to jeszcze gorsze niż dla nas.

Redaktor naczelna kiwa głową. Sprawia wrażenie zrezygnowanej, jak gdyby - mimo dzielnego wymachiwania sztandarem i chybionej próby dodania sobie animuszu - wiedziała od początku, że poniesie porażkę.

- Postarajcie się tak nie zamartwiać. Może zjawi się ktoś z pieniędzmi?

Sophie zerka na księgowych, których twarze przybrały oficjalny, nieprzenikniony wyraz. Jeden uśmiecha się lekko i unosi brew, jakby dając Sophie do zrozumienia, że nie musi wstrzymywać oddechu. Budzi w niej irytację.

- To wartościowe czasopismo, Imeldo - mówi głośno i zdecydowanym ruchem podnosi się z krzesła. Obydwaj mężczyźni również wstają, gdy Sophie i Nancy wychodzą z pokoju.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Sophie zatrzymuje się pośrodku bałaganiarskiego, lecz sympatycznego sekretariatu.

- Chodź, Nancy - zwraca się do sekretarki, która odruchowo skierowała się do biurka i zaczęła przerzucać papiery, jak gdyby nic się nie stało. - Zabieraj płaszcz. Nie ma sensu tu siedzieć. Postawię ci kawę w pubie albo lepiej drinka. Potem wrócimy i nadgonimy robotę. Kiedy już ci dwaj sobie stąd pójda.

- Masz rację. - Nancy podchodzi do wieszaka i zdejmuje z ozdobnego drewnianego haczyka ocieplaną kurtkę. Gdy próbuje zaciągnąć zamek, Sophie zauważa, że drżą jej ręce.

Zelda odpoczywa cicho w szpitalnym łóżku. Przez ostatnie półtora roku tak często zdarzało jej się leżeć w grubej, szorstkiej pościeli, wybranej raczej z uwagi na wytrzymałość niż wygodę, że już nawet nie zauważa, iż włókna tkaniny drapią jej cienką, bezbronną skórę. To po prostu jeszcze jeden aspekt choroby, taki sam jak ospałość, łysienie i nieprzemijające uczucie zimna.

Ogólnie rzecz biorąc, podoba jej się w tym małym szpitalu, który stał się dla niej drugim domem. Docenia prosty, rzeczowy sposób, w jaki traktują ją pielęgniarki i nieśpieszną, rzetelną troskę lekarzy. Szczerze mówiąc, zdecydowanie woli przebywać tutaj niż we własnym domu, gdzie musi znosić nieustanne zapewnienia i sztuczną wesołość matki, nieudolnie skrywany lęk ojca, zakłopotanie i przygnębienie brata.

Najtrudniej poradzić sobie z matką. Zelda nie potrafi jej przekonać, że nie zanosi się na żaden przełom ani cud. Doskonale rozumie, dlaczego rozmaici Ludzie z Zewnątrz, którzy decydują o badaniach naukowych i przekazują na nie wielomilionowe fundusze, muszą

dokonywać wyborów. To oczywiste, że koncentrują się przede wszystkim na bardziej rozpowszechnionych śmiertelnych chorobach.

W zasadzie naprawdę by chciała, aby otaczający ją ludzie - i nie chodzi tylko o matkę - po prostu pogodzili się z losem i przestali krążyć po opłotkach, posługując się eufemizmem. Nawet lekarze, z jednym wyjątkiem, omijają prawdę i nieustannie napomykają o remisji lub jakości życia, zupełnie jakby była małym dzieckiem, które nie rozumie własnego trudnego położenia.

Wyjątek stanowi hematolog, łagodny Palestyńczyk o anielskim uśmiechu. Poprzedniego wieczora zjawił się przy jej łóżku, żeby przekazać najnowsze informacje.

- Jeśli tylko zyczysz sobie ich wysłuchać, Zeldo - powiedział cicho, przysiadając na jej łóżku.

- Oczywiście, że tak.

Zawsze lubiła jego melodyjną, acz nieco przyciężko akcentowaną angielszczyznę, lecz teraz skłamała. Gdzieś w głębi duszy katastrofa lotnicza zabrzmiała niczym ostatni dzwon po bitwie. Niewątpliwie stłumiła głąd informacji i przynajmniej w tym Zeldo zgadza się z matką. Od ostatniego poniedziałku przyznaje - choć z innych powodów - słuszność Eily, która uważa, że nie powinny pochopnie wkraczać na kolejne nowe ścieżki próżnych nadziei, wytyczane przez medycynę.

Dotychczas nie wyraziła głośno pragnienia, by pozostawiono ją w nieświadomości - a raczej pozwolono zachować resztki nieświadomości - zwłaszcza zaś nie mówiła o tym owemu życzliwemu hematologowi, który był wobec niej uczciwy, życzył jej jak najlepiej i, wychodząc ze słusznego założenia, że jest inteligentną, dorosłą osobą, zaznajomioną z medycznym żargonem, i umie śledzić przebieg własnej choroby, nigdy nie traktował jej protekcjonalnie.

- No cóż - zaczął - mam bardzo dobrą wiadomość: twój stan nie uległ pogorszeniu, ale, rzecz jasna, musimy być ostrożni. Dużo odpoczynku i witamin, a także słońca, jeśli w ogóle je zobaczymy!

- Pewnie zobaczymy, w lecie. Oczywiście, jeśli jeszcze tu będę.

- Obecnie nie widzę powodu, by miało być inaczej. - Jego szczerą, otwartą twarz wyklucza jakiegokolwiek wykręty.

- Ale jeżeli jestem w fazie remisji, to dlaczego nadal odczuwam ból?

- Czy w tej chwili także coś cię boli? Zeldo zaprzeczyła ruchem głowy.

- Teraz nie. A najzabawniejsze, że od czasu katastrofy bóle są znacznie rzadsze. Naprawdę można pęknąć ze śmiechu.

- Jest mnóstwo pytań, na które nie znamy odpowiedzi - odparł ze smutkiem lekarz. - Mogę tylko powiedzieć, że wszystkie nasze analizy wykazują, przynajmniej chwilowo, iż twoje złośliwe komórki nie robią złośliwych rzeczy. Może odpoczywają.

- Może - uśmiechnęła się Zelda. - Albo przeżyły zbyt wielki wstrząs, żeby podejmować jakieś akcje! A co to za papiery ma pan w rękach?

- Właśnie miałem powiedzieć. - Zaszeleścił kartkami. - To są najnowsze wyniki badań przeprowadzanych w Stanach Zjednoczonych, a moja druga dobra wiadomość dzisiejszego wieczoru brzmi następująco: w kilku przypadkach osiągnięto remisję, eksperymentując z bardzo wysokimi dawkami cytostatyków, tyle że połączonych z innymi lekami nowej generacji, przeszczepem szpiku kostnego bądź usunięciem, wyhodowaniem i przywróceniem pierwotnych hemocytoblastów, uzyskanych w drodze plazmaforezy. Rozumiesz mnie? To wyrwało Zeldę ze stanu rozluźnienia.

- Tak, oczywiście. - Nie musiała pytać o plazmaforezę, w trakcie której odwirowuje się z krwi osocze, lecz jej uwagę przykuło sformułowanie „wysokie dawki cytostatyków”. - Nie, dziękuję - powiedziała, ciesząc się, że jest już pełnoletnia i decyzja o przyjęciu lub odrzuceniu jakiegokolwiek metody leczenia należy do niej. - Postanowiłam całkowicie zrezygnować z chemioterapii. Jak długo trwają te remisje? - Nie chciała sprawić Palestyńczykowi zawodu.

- Jeszcze za wcześnie o tym mówić, ale sprawa wygląda obiecująco. Jeśli sobie życzysz, mogę ci wyjaśnić, na czym to polega.

- Nie, gdy w grę wchodzi chemia. - Zelda odruchowo przesunęła dłonią po swej żałośnie wyglądającej głowie, a potem, w obawie, że lekarz może przypisać jej odmowę rozważenia takiej terapii zwykłej próżności, uśmiechnęła się do niego. - To nie ma nic wspólnego z moim wyglądem. Daję słowo.

Czarująco odwzajemnił jej uśmiech.

- Dla mnie, moja droga, jesteś bardzo piękną młodą kobietą. Słyszac to uprzejme kłamstwo, Zelda otwarcie parsknęła śmiechem, a lekarz jej zawtórował.

- Wcale nie żartuję. - Po chwili spoważniał. - Widzę jednak, że na razie nie jesteś zainteresowana. Tak czy inaczej, to dopiero faza wstępna. Jak zaznaczyłem, Zeldo, przeprowadza się próby. Nie chcę sugerować, że mogłabyś poddać się takiemu leczeniu od jutra, nawet gdybyś się zgodziła. Ale może jeszcze na ten temat porozmawiamy.

- Jeśli ode mnie będzie zależało, na pewno nie! - Nadal się uśmiechała. Zawiazali coś w rodzaju spisku, w ramach którego lekarz opisywał wszelkie najnowsze osiągnięcia naukowe dotyczące jej choroby, Zelda zaś udawała, dla spokoju ich obojga, że ją to

cokolwiek obchodzi. Niezależnie od tego, co znowu wymyślono, była przekonana, że i tak jest za późno. A jej poglądy co do chemioterapii pozostały jednoznaczne. - Proszę mi powiedzieć - zaczęła powoli - ile czasu muszę tu spędzić tym razem? Sam pan mówi, że mój stan jest zadowalający, więc skoro lepiej już być nie może, po co mam zajmować łóżko? - Jej pytanie kryło w sobie pewien podtekst. W głębi duszy żywiła nadzieję, że pozwolą jej tu dłużej poleżeć w spokoju, by nie musiała bez przerwy patrzeć na udrękę rodziny.

Lekarz zdawał się to rozumieć. Zerknął na stojak z kroplówką i poprawił zacisk regulujący dopływ przezrzystego płynu do żyły w ręce Zeldy. Nie patrząc na nią, odrzekł:

- To, oczywiście, zależy od ciebie. Twoja matka wolałaby mieć cię w domu, żeby móc się tobą opiekować. I powiedziałem jej - zawahał się lekko - że możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz. - Ponownie sprawdził kroplówkę i spojrzał na dziewczynę z wyrazem współczucia w ciemnych oczach. - Ja bym jednak radził, żebyś tu jeszcze trochę została. Powinniśmy cię lepiej odżywić.

- Dziękuję. - Skinęła poważnie głową - Przemyślę to.

Po kilku uwagach natury ogólnej, łącznie z informacją, że nie zobaczą się przez kilka dni, ponieważ wyjeżdża z żoną na długi weekend, życzył jej dobrej nocy i wyszedł cicho, nie starając się wzbudzić w niej żalu, że odrzuciła zaproponowaną przez niego metodę leczenia, i pozostawiając wrażenie, iż ktoś naprawdę troszczy się o to, jak ona sama pragnie spędzić resztę swego życia.

Zelda uświadamia sobie, że za oknem zachodzi słońce i że dryfuje w stronę tak dobrze jej znanej strefy obrazów i myśli na pograniczu snu i jawy, gdzie rezygnacja ściera się z uczuciem żalu. Ponieważ kiedy widzi, jak bardzo wszyscy się przejmują - jej rodzina, „ciocia” Sophie i „wujek” Michael, garstka szkolnych przyjaciół, którzy mają dość odwagi i lojalności, by nadal ją odwiedzać, choć wciąga ich studenckie życie - ze względu na nich podejmuje walkę od nowa.

Aż nazbyt często wyobraża sobie ból i smutek towarzyszące jej pogrzebowi. Widzi ojca i biednego Donny'ego ze śladami łez na policzkach, jak niosą jej trumnę, za nimi zaś idzie kościelną nawą zdruzgotana matka, podtrzymywana przez zapłakanych przyjaciół. Widzi własnych znajomych, zakonnice, które ją uczyły, a nawet gamoniowatych kolegów Donny'ego, płaczących nad grobem.

Dlatego stara się trzymać. Ze względu na innych próbuje normalnie traktować obecną sytuację, a we wczesnym stadium choroby nawet żartowała z przyjaciółmi na temat śmierci. Mówiła im, że mogłaby napisać o śmierci pracę naukową, lecz reagowali tak emocjonalnie, że przestała.

Swoją drogą, żart był głupi, ponieważ nie miałyby szans nawet na licencjat.

Jak powiedziała hematologowi, zdumiewa ją to, że - pomijając środki przeciwbólowe - obecnie nie odczuwa bólu, za co jest szczerze wdzięczna. Dopiero gdy zachorowała, odkryła, że nieobecność bólu może być odrębnym fizycznym doznaniem. Jest to ciepłe uczucie elastyczności i swobody, z którego nikt - ona również - nie zdaje sobie sprawy, dopóki go nie utraci.

Okno jej separatki wychodzi na zachód i promienie zniżającego się słońca, wzmocnione przez szybę, padają prosto na łóżko. Rozkoszując się brakiem dolegliwości, Zelda lekko unosi twarz, by poczuć ciepło na powiekach i szyi. Pławi się w nim, dryfując w mgiełce, która może być drzemką, snem lub po prostu stopniową utratą zainteresowania otoczeniem. Jak gdyby trybiki i kółka w jej mózgu zaczynały zwalniać obroty.

Drzwi są uchylone i z korytarza dobiega szmer jakichś rozmów, ale nic jej nie obchodzi, o czym tamci ludzie dyskutują, nawet jeżeli dotyczy to jej samej.

Katastrofa, acz przerażająca, wydaje się teraz odległym epizodem, którego groza i znaczenie wyraźnie osłabły i który mógł się przydarzyć jakiejś innej Zeldzie. Moment uderzenia - łoskot i krzyki, gwałtowne wstrząsy, szarpnięcia i strach - odpływa gdzieś daleko, zamknięty w pęcherzu o grubych ściankach.

Czy tak właśnie się umiera? Jak samolot zrywający się z uwięzi, by w końcu poszybować swobodnie w przestrzeń?

Jak będzie wyglądała ta chwila, kiedy rozluźni się ostatni węzeł łączący ją z ziemią?

Oprócz cierpienia, jakiego jej odejście przysporzy tym, których kocha, Zelda żałuje jedynie tego, że nigdy tak naprawdę nie miała chłopaka i nie wie, jak to jest kochać się z kimś. Owszem, często zdarzały się obmacywanki po dyskotekach, lecz nie było to nic poważnego. Krążyli po Dublinie całą beztruską paczką, złożoną z przyjaciół obu płci, poprzestając na koleżeństwie. I żadna z dziewczyn nie straciła dziewictwa. Bardzo to zdumiało matkę Zeldy, która raz wzięła szesnastoletnią córkę na stronę i powiedziała, że zamówiła jej wizytę w poradni dla kobiet, żeby „ustawić te sprawy”. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia, gdy jej propozycja została odrzucona, a już zupełnie niepojęta wydawała jej się „nowa pruderia”, jak to określiła. „Oczywiście, że to wspaniałe, kochanie, naprawdę wspaniałe, cóż innego matka mogłaby powiedzieć? Mój Boże, wszyscy jesteście cudowni. A my byliśmy tacy niecierpliwi! Dzisiejsza młodzież jest po prostu niesamowita. Taka mądra i rozsądna. Kiedy pomyślę, jakie podejmowaliśmy ryzyko...” -Zelda wyczuła w tonie matki pewną przesadę.

Teraz żałuje, że była taka „rozsądna”, ponieważ seks na zawsze pozostanie dla niej tajemnicą. Nawet gdyby znalazła chłopaka, któremu by nie przeszkadzało, że stała się chrześzczącym workiem kości, nie czułaby się na siłach uczestniczyć w tego rodzaju akcie.

A zatem, niestety, podobnie jak zakonnice i stare panny z czasów młodości jej matki, będzie musiała umrzeć w nieświadomości.

Głosy na korytarzu milkną. Ktoś szerzej otwiera drzwi. Poprzez cudowne, złociste światło, spływające na powieki, Zelda wyczuwa czyjaś obecność. Jest jej dobrze i nie chce wracać do rzeczywistości. Najlepiej uda, że śpi.

Ale po chwili ktoś dotyka jej dłoni i słyszy niepewny głos brata:

- Zel? Śpisz?

Otwiera oczy. Twarz Donny'ego wydaje się drobniejsza, a jego okulary jak gdyby większe. W sercu Zeldy wzbierają współczucie i miłość, które skrzętnie ukrywa, żeby nie utrudniać mu życia.

- Cześć! - sili się na beztroski ton. - Przyszedłeś obejrzyć nowy odcinek Kojaka?

Donny z zażenowaniem przestępuje z nogi na nogę.

- No wiesz, wydaje mi się, że trochę ci włosy odrosły, odkąd cię ostatnio widziałem.

- Zupełnie nie umiesz kłamać. - Zelda śmieje się serdecznie, a twarz jej brata natychmiast się rozchmurza. Gdy siostra podciąga się do pozycji siedzącej, Donny przysuwa sobie krzesło i wydobywa reklamówkę z supermarketu.

- To dla ciebie. Zelda zagląda do torby.

- O! Winogrona! Tego mi właśnie brakowało. - Wysypuje owoce na łóżko. - Skąd wzięłeś pieniądze na taką ogromną kiść?

- Wyłudziłem.

- To mnie nie dziwi. Jesteś rozpuszczony jak dziadowski bicz, wiesz?

- I kto to mówi... - Donny urywa nagle, przygwożdżony wyrzutami sumienia. - Przepraszam, nie chciałem...

- Zamknij dziób. Masz rację, wyleguję się tu jak hrabianka i przez cały dzień nie mam nic do roboty, tylko jeść winogrona. Poczęstuj się. - Choć od dawna nie ma już na nic apetytu, odrywa boczną gałązkę, a z niej jeden owoc i wsuwa do ust. - No więc, braciszku, mów, co u ciebie nowego.

- Już dłużej nie wytrzymam w tym domu, Zel. Po prostu nie wytrzymam. - Okulary drżą mu na nosie, gdy ciągnie z narastającym wzburzeniem: - Ona mnie doprowadza do szału. Nie rozumiem, jak tata to znosi.

- Daj spokój, Donny - Zelda jest zadowolona, że rozmowa nie dotyczy jej osoby. - Nie czeplaj się mamy. Ciągłe się zamartwia, a to katastrofą, a to mną, różnymi rzeczami. Przejdzie jej. A jak się czuje tata? Widziałeś się z nim? Przez telefon jego głos brzmi całkiem nieźle.

- To inna sprawa. Czuje się świetnie, ma wyjść ze szpitala w weekend, pewnie w sobotę, ale ja nie wytrzymam z nimi ani chwili pod jednym dachem. To jak... jak - Całe jego ciało tężeje w poszukiwaniu odpowiedniego porównania.

- Jak wulkan gotów wybuchnąć lada chwila? Donny rozluźnia się lekko.

- Właśnie. A wszystko przez tego całego Streeta. Nienawidzę go!

- Przecież go nie znasz, Donny. - Broniąc Jaya, Zelda zdaje sobie sprawę z ironii losu. Jej brat, mimo swej niedojrzałości, również.

- Nie chrań, Zel, na miłość boską. Przecież sama nie miałaś ochoty lecieć do tego szamana. Mówiłaś, że po prostu brak ci już sił, żeby się z nią użerać.

- No tak, ale... - W powietrzu tkwi wyraźna sugestia, że rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych środków, choćby szamańskich rytuałów. Podczas gdy Donny skubie nerwowo poręcz krzesła, Zelda usiłuje skierować rozmowę na bezpieczniejszy tor. - Jak się miewa twoja dziewczyna?

- Jaka dziewczyna? To wcale nie jest moja dziewczyna. Każdemu to mówię, a nikt mi nie wierzy! - Wszyscy domownicy nieustannie robią sobie dowcipy z Fiony, koleżanki Donny'ego, że próbuje go złapać w małżeńskie sidła. - Jeżeli ona w ogóle jest czyjąś dziewczyną, to Trevora.

- O, czyżbym o czymś nie wiedziała?

- Pilnuj własnego nosa.

- No dobrze, dobrze. - Zelda unosi ręce. - Masz rację, to twoja sprawa. Próbowałam tylko podtrzymać rozmowę.

- Owszem, to moja sprawa. - Wciąż skubie poręcz. - Ale mamy nienawidzę. Odłożyła słuchawkę i przez to nie poszedłem na pogrzeb pani Richmond.

- Biedaczek. Mimo wszystko, może wyświadczyła ci przysługę, oszczędzając stresu. - Zelda połyka drugie winogrono. - Swoją drogą, myślałam, że nie cierpisz pani Richmond.

- Myliłaś się.

- Sam mi to powiedziałaś.

- To przez egzaminy. Okropnie mnie gnębiła. Ale tak naprawdę nie miałem do niej żalu. Zresztą nieważne.

- Musisz wykrzesać z siebie trochę więcej tolerancji, Donny.

- Jasne. - Chłopiec myśli już o czymś innym. - Słuchaj - odzywa się tonem tak wystudiowanym niedbałym, iż od razu wiadomo, że chce powiedzieć coś ważnego - wieczorem trafiłem w Internecie na informacje o szpiczaku i znalazłem, między innymi, wyniki nowych badań nad limfocytami T. Wiem, że mój szpik kostny nie nadaje się dla ciebie. Przyjmuję do wiadomości te kawałki o odrzuceniu przeszczepu, czy jak tam to nazywają, choć ni cholery nie wierzę w ich zakichane testy. Ale w Stanach robią dobrą robotę, Zel. Chcesz, żebym ci przyniósł wydruki? Mogliby wykorzystać twoje własne komórki, a jeśli się nie sprawdzą, komórki dawcy. Niewykluczone, że ja bym się nadał. To nie to samo, co szpik kostny. Musimy tylko przebadać nasze komórki. Żadna sprawa.

Nie patrzy na nią, ale siedzi pełen napięcia i Zelda, niepewna, w jaki sposób powinna to potraktować, przeżywa chwilę wahania. Jego propozycja, tuż po wzmiance hematologa o nowych badaniach, wydaje się wręcz niesamowitym zbiegiem okoliczności.

- Szczerze mówiąc, słyszałam już o tym - mówi cicho - choć niewiele. I zastanawiam się nad tą sprawą. Wielkie dzięki za propozycję. Naprawdę ją doceniam.

Donny uznaje jej reakcję za pozytywną i podejmuje temat.

- Bo widzisz, chociaż nie podają dokładnie, jak to jest przeprowadzane, wydaje mi się, że trochę tak, jak ze szpikiem kostnym. Trzeba unieszkodliwić twoje komórki i wszczepić ci pewną ilość moich. Najwyraźniej zdrowe komórki są czymś w rodzaju nauczycieli dla tych chorych. Tak przypuszczam. To brzmi dość prosto. Potem może mnie trochę boleć, ale to nic, przeżyję. To dla mnie drobnostka, naprawdę.

Jego twarz promienieje i jest tak pewien, że napełnia siostrę nową nadzieją, iż Zeldzie chce się płakać.

- Chyba wiesz, Donny, że to dopiero wstępne badania? I najprawdopodobniej przeprowadzane wyłącznie na zwierzętach?

- Mógłbym się dokładniej dowiedzieć.

- Nawet gdybyśmy uzyskali dostęp do tej terapii, byłaby bardzo ryzykowna. Nikt nie daje żadnych gwarancji, wiesz o tym.

- Tak, ale są leki, które bierzesz, żeby przeszczep się przyjął i tak dalej. We wszystkim tkwi jakieś ryzyko. - Donny podnosi głos. - Musimy coś zrobić, Zeldo. Nie można tak po prostu się poddać.

Widząc jego zawiedzioną minę, dziewczyna czuje się w obowiązku dać mu do zrozumienia, że traktuje go poważnie.

- No cóż, to niezupełnie tak, że nic nie robimy. W moim przypadku wszyscy zalecali regularną chemioterapię. Rozważali na pewnym etapie transplantację, ale nie chodziło tu

tylko o ciebie, w ogóle nie mogli znaleźć odpowiedniego dawcy. Pamiętasz? Tak czy inaczej, uważają, że w obecnym stadium to mi zapewne nie pomoże.

- Dlaczego? Dlaczego nie miałyby ci pomóc? - Znowu ogarnia go podniecenie; jego czoło pokrywają drobne kropelki potu. - Skąd mogą wiedzieć, jeśli nie spróbują? Słowo daję, Zel, pomówię o tym z tatą. On zrozumie. - Nieruchome spojrzenie siostry uświadamia mu, że nie połknęła haczyka i jego głos cichnie. - Zawsze warto spróbować - mamrocze. - Wstaje i podchodzi do okna. - Można się tu upiec. Pozwolisz, że otworzę? - Popycha je, lecz bezskutecznie.

- Wydaje mi się, że jest zamknięte na stałe.

- Co za cholerna głupota. Nie wiem, jak wytrzymujesz to gorąco.

- Gwałtownie uderza pięścią w ramę okienną i nagle wyrzuca z siebie: - Jesteś umierająca, tak czy nie? Zelda stara się nie okazać zaskoczenia.

- Hej, nie tak szybko! Jeszcze nie, braciszku. Przecież mnie widzisz, prawda? No i, bądź co bądź, przeżyłam katastrofę samolotową, więc nie może być ze mną aż tak źle.

Odwraca się twarzą do niej.

- Jesteś? - W jego tonie słychać teraz gniew. Nic go nie zniechęci i Zelda to dostrzega.

- Czy co jestem?

- Umierająca.

- Może. Prawdopodobnie. Nie wiem... proszę cię, Donny.

- Ile ci zostało czasu? - Brat nie ustępuje.

Zelda wyciąga się na wznak i patrzy w sufit.

- Nie wiem - odpowiada cicho. Chłopiec zawraca od okna i ponownie siada przy łóżku.

- Tydzień? Miesiąc? Rok? Przecież musieli ci to jakoś w przybliżeniu określić.

- Nie określili. Naprawdę. Ale nie ma sensu udawać, że czeka mnie świetlana przyszłość. - Zelda walczy z ogarniającą ją falą zmęczenia, lecz podejmuje ostatnią próbę nadania głosowi dziarskiego brzmienia i spogląda bratu prosto w oczy. - Z drugiej strony, i wcale nie wciskam ci kitu, wczoraj wieczorem był u mnie lekarz i też opowiadał, tak jak ty teraz, o nowych badaniach przeprowadzanych w Stanach. Naukowcy są dobrej myśli. - Już zaczyna rozważać na nowo wczorajszą decyzję w sprawie chemioterapii. Skłonna jest zrobić wszystko, byle tylko nie pogłębiał się ten wyraz w oczach jej brata.

- Jak dobrej? - Donny pochyla się naprzód tak raptownie, że jedna z jego stóp, nieskoordynowana z resztą ciała, zahacza o narzutę i winogrona spadają na podłogę. Ani on, ani Zelda nie próbują ich złapać.

- Bardzo dobrej. W końcu, jak wiesz, jestem fenomenem medycznym. Najmłodszy znany przypadek!

- Nie rób sobie żartów, Zel. To poważna sprawa.

- Przepraszam.

- Więc nie mamy wyboru. Musisz lecieć do Stanów.

Zelda patrzy na niego. Znużenie ogarniają z przemożną siłą. Musi zamknąć oczy. I choć się stara, nie potrafi podnieść głosu ponad szept.

- Pomyślę o tym. Obiecuję. - Jakoś udaje jej się unieść opadające powieki i wyciąga rękę, by dotknąć grzbietu jego dłoni, spoczywającej bezradnie na narzucie. - Robię, co mogę. Ostatnio prawie nie odczuwam bólu. Może to dobry znak. Dołożę wszelkich starań, ale nie pokładaj w tym zbyt wielkich nadziei, Donny.

Brat cofa rękę, jak gdyby w obawie, że go zdradzi. Jego wystające jabłko Adama podskakuje.

- Zmuszę rodziców, żeby cię wysłali do Stanów. Zmuszę ich.

- Porozmawiamy jeszcze o tym. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, wezwę pielęgniarkę. Czas na mój zastrzyk. Zapowiadałam się na całkiem niezłą ćpunkę, nie uważasz?

- Cicho bądź!

Uśmiecha się do niego najpogodniej jak potrafi.

- Obawiam się, że naprawdę jestem wyżęta. Muszę cię prosić, żebyś już poszedł, Donny. Mógłbyś nacisnąć dzwonek?

Nie wstając, chłopiec chwyta koniec przewodu i włącza dzwonek. Widać, że zmaga się z sobą, pragnąc powiedzieć coś jeszcze.

- Co, Donny? O co chodzi?

Zrywa się z krzesła i zaczyna gorączkowo zbierać rozsypane winogrona.

- O nic. Zupełnie o nic.

Kładzie owoce na szafce przy łóżku, odwraca się i, nie patrząc na siostrę, rusza szybko w stronę drzwi, mruknąwszy „do zobaczenia”. Zelda usiłuje się unieść i zawołać za nim, ale energia już ją opuściła.

Rozdział 9

Sophie Dolan! Skup się, na miłość boską!

Choć jest sama, Sophie pod wpływem irytacji wypowiada te słowa na głos. Znajduje się w ciasnej pakamerze, którą obydwójce z Michaeliem określają kpiąco jako jej „pracownię”. W tym pomieszczeniu o rozmiarach ściennej szafy, wciśniętym w załom u szczytu schodów, nie można postawić więcej niż jednego kroku między segregatorem, stołem kreślarskim,

taboret i biblioteczką. Na podstawie wybranych fotografii agencyjnych Sophie usiłuje skończyć cieniowany rysunek płetwala karłowatego, który, jako dodatek do mapy odcinków wybrzeża Irlandii, gdzie ostatnio zauważono tego ssaka, powinien być już się znaleźć na biurku redaktor naczelnej. Skomplikowana fałda, ciągnąca się od podgardla aż między płetwy, zupełnie jej nie wychodzi.

Od zaskakującego oświadczenia Imeldy - które, z perspektywy czasu, wcale nie wydaje się aż takim zaskoczeniem - Sophie powtarza sobie, że w obecnych czasach w Dublinie bardzo łatwo znaleźć pracę. Ale z godziny na godzinę wspomina z coraz większym sentymentem wygodną wegetację w tym skromnym pisemku, rutynowe czynności wykonywane na wycucie i w bezstresowej atmosferze, dziwactwa Nancy, a przede wszystkim swobodę, jaką się cieszyła. Przyznaje w duchu, że jej tryb życia, acz pełen uroku, sprzyjał lenistwu.

Uświadamia sobie również, że będzie jej brakowało szefowej. Wprawdzie Imelda aż promieniuje niezależnością, lecz Sophie wyczuwa od dawna, że zwierzchniczka nie jest chyba tak bezkompromisowa, jak można by sądzić po jej zachowaniu. Może powinna ją zaprosić na lunch albo coś w tym rodzaju? Biedaczka potrzebuje teraz psychicznej podpory.

Sophie spogląda z niesmakiem na ilustrację. Kusi ją, żeby machnąć ręką na precyzję i podbarwić rysunek - po co ta przesadna skrupulatność, skoro pismo i tak przestaje istnieć? Kogo obchodzi jedna ilustracja w ostatnim numerze?

- Nie. Przestań. To nie jest dobra praca, a ty uważasz się za profesjonalistkę. - Zgnięta rysunek w kulkę i wyrzuca. Będzie musiała zacząć od nowa.

W normalnych okolicznościach wykonałaby tę ilustrację z przyjemnością: fascynują ją wszelkie gatunki waleni i ciągle wkłada nowe wycinki i zdjęcia do specjalnego pudła, pękającego już w szwach. Jednym z jej największych pragnień jest obserwacja wielorybów u wybrzeży południowej Afryki lub w jakimś innym miejscu, gdzie panuje łagodny klimat i gdzie nie musiałaby wysiadywać na jakimś lodowatym cyplu w nadziei wypatrzenia czegoś w oddali. Od 1991 roku na morzach wokół Irlandii, uznanych oficjalnie za rezerwat, odnotowano pojawienie się dwudziestu czterech gatunków wielorybów, lecz Sophie nie wystarczają znajome stadka delfinów i morświnów oraz pojedyncze zabłąkane finwale, sejwale i płetwale karłowate, które podpłyną dostatecznie blisko, by udało się je sklasyfikować. Chciałaby znaleźć się w pobliżu, w wygodnej łodzi, kiedy fale przelewają się nad grzbietem dorosłego kaszalota lub gdy oblepiony pąklami wal z głośnym pluskiem zanurza się w wodzie po potężnym skoku. Przede wszystkim zaś pragnie choćby przelotnie zobaczyć zdumiewającego ogromem płetwala błękitnego.

Zerka na budzik ustawiony na segregatorze. Dochodzi południe. W normalnych okolicznościach Michael już by do niej zadzwonił, by opowiedzieć, jak zwykle, co porabia. Oczywiście, ponieważ Brian nadal leży w szpitalu, nie są to normalne okoliczności.

Zresztą po wczorajszej kłótni przy stole, której przygnębiające echa wciąż jeszcze pobrzmiwają w duszy Sophie, i tak nie powinna oczekiwać telefonu od męża.

Sprzeczką wybuchła ni stąd, ni zowąd. Rozmawiali o zamknięciu „Wild Places” i podczas gdy ona chciała, żeby rozejrzał się za kimś, kto byłby skłonny włożyć w pismo trochę pieniędzy, Michael widział w klęsce miesięcznika szansę dla żony.

- Daj spokój, Soph, to może być najlepsza rzecz, jaka ci się w życiu przytrafiła. Jesteś za dobra do tego szmatławca. Wykorzystywali cię przez lata.

Im mocniej obstawał przy swoich argumentach, z tym większym uporem wyliczała zalety pisma i broniła współpracowników, wiernych subskrybentów, systemu wartości związanego z wydawaniem niezależnego miesięcznika, poświęconego ekologii. Nie potrafiła zapomnieć pełnej smutku twarzy Nancy, gdy tamtego popołudnia popijały w pubie ciepławe piwo i każda usiłowała wymyślić jakieś pocrzepiające zdanie.

- Zawsze kieruje się... kierowało... względami etycznymi. Bardzo uważaliśmy, jakie reklamy drukujemy - rzuciła, już rozzłoszczona.

- Jasne - na Michaelu nie wywarło to najmniejszego wrażenia. - Uważaliście do tego stopnia, żeście splajtowali.

Spór rozgorzał błyskawicznie i, jak wydało się Sophie, irracjonalnie. Michael, zaczerwieniony z gniewu, przemawiał coraz bardziej sarkastycznym tonem.

- Szurnięci ekolodzy przykuwający się do drzew. Ratujmy wieloryby! Daruj sobie!

Zadzwonił telefon i Michael poszedł odebrać, podczas gdy Sophie kontynuowała w myślach wymianę zdań. Zazwyczaj w trakcie sprzeczek sztywniała albo robiła, co mogła, by rozładować sytuację - byle tylko zapanował spokój. Tym razem jednak nie zamierzała się poddać tak łatwo. Chodziło o jej życie, o jej miesięcznik. Prawdę mówiąc, ją samą zaskoczył własny entuzjazm wobec „Wild Places”.

Michael wrócił dość szybko.

- Kto dzwonił?

- Pomyłka - odparł krótko i zabrał się do jedzenia.

Sophie, której już wcześniej przemknęło przez głowę, że ostatnio pomyłki telefoniczne zdarzają się wyjątkowo często, teraz zaprzątnięta była jednak ważniejszymi sprawami. Odetchnęła głęboko.

- Posłuchaj, Michaelu - starała się nadać głosowi spokojne brzmienie - potrzeba nam więcej takich czasopism, nie mniej. Ta planeta się dusi.

To tylko podsyciło jego złość i cisnął sztucce na talerz.

- Niewykluczone, choć w moim przekonaniu ława przysięgłych nie wydała jeszcze wyroku w sprawie całego tego globalnego ocieplenia. Niemniej niczego tu nie zdołała jakieś zatechłe pisemko, którego nikt nie czyta.

- Nieprawda! - wybuchnęła. - To nieprawda. Mamy długą listę prenumeratorów...

- Czyżby? Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by coś wiedział o tej twojej cholernej gazetce.

- Na miłość boską, Michaelu, to nie jest turystyczna broszura. To coś poważniejszego.

- Aha, więc teraz patrzymy z góry na turystów? - Pochylił się w stronę Sophie tak, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Celując w nią palcem, niemal wypluł z siebie: - Pozwolę sobie zauważyć, Chodzący Wzorce Cnót, że właśnie owi turyści, którzy są obiektem szyderstw w oderwanym od rzeczywistości świecie mokradeł albo pieprzonych orlich gniazd, czy jak to tam nazywacie, dostarczyli jagnięciny do pieprzonej potrawy na twoim talerzu.

- Michael! - Sophie była wstrząśnięta, nie tylko wulgaryzmami, lecz także tempem, w jakim rozmowa przerodziła się w gwałtowną, bolesną sprzeczkę. - Co cię gnębi? - spytała cicho. - Tu nie chodzi o mój miesięcznik. Czy coś się stało?

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Poczuli, że piecze ją twarz i odruchowo przyłożyła dłoń do policzka. Michael usiadł prosto i odezwał się bardziej pojednawczym tonem:

- Przepraszam. Wiem, jak nie znosisz brzydkich słów. - Przesunął kawałek ziemniaka widelcem po talerzu. - Posłuchaj, Sophie, naprawdę mi przykro, że się tak wściekłem, zwłaszcza że przecież jeszcze nie czujesz się dobrze. Próbuję tylko ci pomóc. Jeśli chcesz ratować „Wild Places”, proszę bardzo, ale nie licz na mnie. I tak zawsze robisz, co ci się podoba. Guzik mnie to obchodzi. W każdym razie za twoją pensję nie dałoby się wyżyć nawet kanarka.

- To nie fair. - Znowu poczuła się dotknięta. - Zawsze mówiłeś, że pieniądze nie mają znaczenia.

- Tak, wiem. - Zawiesił głos. - To nas donikąd nie prowadzi i nie wydaje mi się, żebyś potrzebowała moich, rad. - Odsunął resztki kolacji i starannie położył sztucce na talerzu. - Nie chcę się z tobą kłócić, Sophie, naprawdę nie chcę. Przepraszam, że się uniosłem. Nie

powiniennem był mówić pewnych rzeczy. Jeśli nie masz nic przeciw temu, nie będę więcej jadł. Pooglądam telewizję.

Wstał od stołu i wyszedł z kuchni, Sophie zaś patrzyła za nim, przetrawiając jego trudne do przyjęcia, lecz w pewnym stopniu prawdziwe stwierdzenie, że stacją na coś więcej niż dotychczas.

Rozkład ich domu był prosty: pośrednicy z agencji nieruchomości opisywali go, nie bez pewnej przesady, jako „dwa pokoje na górze, dwa na dole”. Gdy zbudowano dom - ponad sto pięćdziesiąt lat temu - było to zwykłe mieszkanie rzemieślnika, z jednym wielofunkcyjnym obszernym pokojem dziennym na dole, dokąd wchodziło się frontowymi drzwiami i gdzie przyrządzano posiłki nad paleniskiem ogromnego, otwartego kominka. Drugie pomieszczenie, sypialnia na górze, zajmowało porównywalną powierzchnię a obydwie pokoje łączyły drewniane schody, wznoszące się od frontowego wejścia do kłapy w dachu. Do wygodki na zewnątrz szło się przez niewielkie podwórko.

Sophie i Michael wprowadzili pewne zmiany: dobudowali parter i piętérko od tyłu, wygospodarowali na dole miejsce na kuchnię z prawdziwego zdarzenia, a na górze urządzili drugą sypialnię, mikroskopijną pracownię Sophie oraz maleńką łazienkę.

Domek zachował jednak swój pierwotny urok, między innymi dzięki prostocie i barwom, uzyskanym w chwili natchnienia przez Sophie. Niewiele zabrała z domu rodziców - emigrantów, a ponadto nie lubiła zagraconych wnętrz, dlatego w jej małym królestwie, oprócz swobody, panowały ład i spokój. Pozostawiła oryginalne posadzki, wygładzone i wypolerowane obcasami wielu pokoleń, zasłaniając je tylko kolorowymi szmacianymi dywanikami z Nowej Anglii. Kanapy i fotele przykryła pikowanymi kołderkami i narzutami tkanymi przez Indian lub Meksykanów; pobieliała ściany i zawiesiła na nich swoje rysunki oraz akwarele, a także jeden cenny obraz olejny: pracę Charlesa Lamba z lat czterdziestych, przedstawiającą opustoszałe molo w Connemara w środku lata. Dostali go w prezencie ślubnym od Briana i Eily, którzy kupili ten obraz w Quays, zanim to miejsce stało się modne. Był to szczęśliwy wybór, ponieważ - cokolwiek myślał na ten temat Michael - stonowana paleta barw tego najbardziej idyllicznego irlandzkiego malarza sprawiała Sophie najwyższą przyjemność.

Jej dom zawsze pachniał z lekka mydłem. Miała jedną słabość: zawsze kupowała wyroby mydlarskie w specjalistycznym sklepie. Lubiała ich chłodną czystość, przywodzącą na myśl kąpiele z czasów dzieciństwa.

Całą tę ekspozycję dobrego smaku maści jeden wyjątek. Michael, który uwielbia samochody, nalegał, by zawiesić kalendarz firmy Audi na honorowym miejscu nad

kominkiem. A ponieważ w nic innego się nie wtrącał i dał jej we wszystkim wolną rękę, Sophie uznała, że to niewielka cena.

Kamienny mur dobudowanej kuchni jest tak gruby, że siedząc nad stygnącą potrawką i wspominając niespodziewaną kłótnię, ledwo usłyszała, że jej mąż ogląda „Milionerów”. Zebrało jej się na płacz. Michael był ostatnio bardzo rozdrażniony. Jakiego to powiedzenia używała jej matka? „Anioł na ulicy, a cierpią domownicy”. To doskonale pasowało do Michaela. Poza domem stawał się duszą towarzystwa, prezentując nonszalancki, błyskotliwy dowcip i obracając nawet własny męski szowinizm w zabawną autoironię. W domu jednak jego beztroska nabierała odcienia sarkazmu, a w ich wspólnym poczuciu humoru pojawiał się pewien rozdzwięk. Czy w ogóle jeszcze choć trochę się lubili?

Co miał na myśli, mówiąc, że Sophie zawsze robi to, co chce? Przecież tak nie jest. Sophie uważała się za uległą myszkę.

Powróciła do dzisiejszego dnia i związanych z nim zadań, czyli jednej z ostatnich - jeśli nie ostatniej w ogóle - ilustracji do pisma. Przypięła do blatu świeży arkusz papieru i zaczęła od nowa szkicować pletwala.

Riba nuci pod nosem, krzątając się po ciepłym zagraconym salonie. Omiata kurze, strzepuje poduszki, poprawia fotografie i przeciera je pieszczotliwie. Ubóstwia ten pokój i każdy element jego wyposażenia: miniaturowy żyrandol z różowego szkła, kominek z białego marmuru, z mosiężnymi rusztami i lśniąca osłona, mahoniową szafkę na telewizor, dyskretnie ukrywającą odbiornik, a nawet eklektyczną zbieraninę bibelotów i tanich staroci, mających wartość sentymentalną i dlatego nieusuwalnych, choć brakuje już miejsca na półkach i stoliku.

Bierze do ręki małe lustro, obramowane niebieską mozaiką. Dostała je w prezencie od Briana na początku małżeństwa, kiedy - wracając z pracy - często sprawiał jej drobne niespodzianki. Teraz uśmiecha się z czułością, przecierając je szmatką. To był miły okres, gdy najgorszą ewentualnością wydawał się lekki katar Zeldy czy małego Donny'ego albo zły humor męża po spotkaniu z jakimś przykrym turystą.

Ostatnio wszystko wydaje się większe i groźniejsze.

Uświadamia sobie, że wpatruje się w lustro. Z bliska sińce na jej twarzy i szew nad okiem wyglądają paskudnie; przebarwienia nabrały intensywniejszych kolorów. Przyglądając się im, przypomina sobie wczorajszą sprzeczkę w szpitalnej separacie. Niekiedy Brian bywa taki... taki... Nie może znaleźć właściwego słowa. Nieświadomy? Tak, bywa nieświadomy.

Na pewno oprzytomnieje. Wszyscy potrzebują czasu - lecz gdy chodzi o Zeldę, właśnie czas jest tym, czego im brakuje.

Odstawia lusterko na stolik pod lampkę i ostatni raz przesuwając po nim ściereczką. „Uwierz w to, a to się zdarzy”. Oddycha głęboko, czerpiąc tlen z każdego zakamarka pokoju. „Jeśli w to uwierzysz, już to masz”.

Owa magia jak zwykle działa - w kilka sekund umysł Riby się uspokaja i powraca owo pogodne piątkowe uczucie.

Przez całe życie Riba przepadała za piątkami i myślała o nich jako o tęczy dniach. Nie jest z natury rannym ptaszkiem, lecz w piątki wstawanie z łóżka wydaje się jakieś łatwiejsze. Przypuszcza, że wiąże się to ze wspomnieniami z lat szkolnych, gdy piątek stanowił zapowiedź dwóch wolnych dni. Był to również dzień wypłaty dla wuja i ciotki, u których się wychowywała. Uroczyście otwierali sejf w salonie i wypłacali sobie kwotę uznaną przez nich za uczciwe wynagrodzenie za tydzień pracy. Piątek oznaczał również smaczną, solidną kolację, mimo że jadło się rybę.

W to piątkowe przedpołudnie nawet strugi deszczu zalewające puste uliczki nie psują jej nastroju. Szok i przebliski wspomnień związanych z katastrofą przestały ją nękać, przynajmniej chwilowo. Jest ponadto przekonana, że stan córki, chociaż może nie uległ zauważalnej poprawie, niewątpliwie się ustabilizował. Ten sympatyczny lekarz z Palestyny dał Ribie powody, by w to wierzyć, gdy rozmawiała z nim przez telefon. I choć ma własne plany dotyczące zdrowia Zeldy, o których nie wspomina lekarzom ani pielęgniarce, nie protestowała, gdy powiedział, że zamierza przeprowadzić nowe badania.

Dzisiaj może już być tylko lepiej. Przeczuciwała to od razu po przebudzeniu i natychmiast wstała, by rozpocząć dzień od wielkiego pieczenia: bułeczki, szarlotka i dwa bochenki chleba, żytniego i białego. Wszystko stygnie teraz na specjalnych drucianych półkach w kuchni i dom pachnie jak francuska patisserie, a drobinki powietrza wirują, w rytm Straussowskiego walca, płynącego z odtwarzacza, który nastawiła na cały regulator.

Riba napawa się tą atmosferą. Staje pośrodku lśniącego czystością, drobnomieszczkańskiego saloniku o podłodze wyłożonej grubą, wzorzystą wykładziną w odcieniach zieleni i purpury. Oparłszy dłonie na biodrach, upewnia się, czy wszystko w porządku. Doskonale. Wszystko gra.

Instynkt zawsze popychał ją w kierunku światła i ciepła - kolejny dowód, jeśli ktoś go potrzebował, iż w poprzednim wcieleniu mieszkała w Afryce - i teraz, gdy nieustający deszcz z zasnutego ołowianymi chmurami nieba uderza o dach, Riba zbliża się do kaloryfera pod oknem, osłoniętego purpurowym aksamitem, a nie siatką, którą mają wszyscy sąsiedzi.

Odgradzona podwójną szybą, gratuluje sama sobie, wpatrując się marzycielskim wzrokiem w płytki strumień, rozlewający się z przepełnionego rynsztoka na całą szerokość ulicy. Może to egoistyczne z jej strony, lecz dziękuje swoim gwiazdom - i Bogu - że podczas gdy inni brną w potokach wody, ona znajduje schronienie

w przytulnym gniazdku, nasłuchując cichego postukiwania wewnątrz kaloryfera, na którym trzyma dłonie, i oddalonego szumu bojlera w kuchni, gdy termostat nakazał mu się włączyć.

Ostry dzwonek telefonu w holu wrywa ją z zadumy. Szybkim krokiem podchodzi do aparatu i podnosi słuchawkę. To z pewnością nie jest zła wiadomość.

- Halo?

- Dzień dobry, Ribo? Kalifornica. Drugi dzień z rzędu!

- Witaj, Monico, miło cię znowu słyszeć. Która tam u was godzina?

- Och, dopiero za piętnaście siódma. My tutaj, na Wu-pe, wstajemy wcześniej. - Kobieta chichocze cicho i gardłowo.

- Wu-pe? - Riba jest zbita z tropu.

- Wyspie Palm - wyjaśnia cierpliwie Kalifornica. - Myślmy o tobie i Zeldzie, o was wszystkich. Jak ona się dzisiaj czuje?

- Jeszcze u niej nie byłam. - Riba czuje lekką irytację. Nieznajomość tego skrótu, mimo przyjacielskiego tonu tamtej, w jakiś sposób stawia ją poza nawiasem. - Tu jest dopiero za kwadrans jedenasta, Monico - mówi chłodno - a ja zwykle odwiedzam Zeldę w porze lunchu. Ale dziękuję, że pytasz. Wczoraj czuła się bardzo dobrze. Była pogodna.

Amerykanka znowu chichocze.

- To cudownie. Ale jakoś wcale się nie dziwię, ciekawe czemu? Miałyście już okazję zastanowić się nad datą wyjazdu?

- Jeszcze nie. Widzisz, Brian nadal leży w szpitalu i... - Urywa. Skąd to ponaganie? Dlaczego ma się tłumaczyć przed tą kobietą? -Gdy będę znała datę, zawiadomię cię - kończy stanowczo.

- Tylko nie zwlekaj zbyt długo. Pogoda jest teraz fantastyczna, dość niska wilgotność, żadnego robactwa, bezwietrznie, a ocean przypomina dzisiaj oszlifowany szafir. No, ale bez tego waszego deszczu nie byłoby całej tej wspaniałej irlandzkiej zieleni.

Ribę uderza jak obuchem wspomnienie pary Amerykanów, którzy siedzieli obok niej w samolocie: jego mięsistych warg, jej fryzury, ich rodzinnych zdjęć. Stara się opanować mdłości, prawie nie rozumiejąc słów Kalifornicy, która plecie dalej o pięknie Irlandii i swoich peregrynacjach po zachodnich regionach.

- Są takie piękne, Ribo, takie dzikie. No cóż, muszę już kończyć. -Zaczyna się śpieszyć. - Wkrótce znowu pogadamy. Trzymaj się, skarbie. Jay kazał cię serdecznie pozdrowić.

- Pozdrów go również ode mnie. Nie zapomnisz?

- Jasne, że nie.

Mówią sobie „cześć”, lecz gdy Riba, krzywiąc się z niesmakiem, odkłada słuchawkę - Wu-pe, doprawdy! - prześladowają ją strzępki powracającego koszmaru. I coś jeszcze. Nielojalna, obrazoburcza wątpliwość. Jeśli Jay tak się nimi przejmuje, dlaczego sam nie zadzwonił?

Odpowiedź na to zdradliwe pytanie pojawia się natychmiast. Jay Street ma zbyt wiele ważnych spraw na głowie, by zajmować się indywidualnymi przypadkami. Wziął pod opiekę tysiące ludzi, nie tylko ją i Zeldę. Trzeba być niewdzięczną jędzą, żeby mieć takie podłe myśli.

Niespodziewanie czuje przeszywający ból w prawej ręce. Spogląda w dół: palce, zaciśnięte na milczącej słuchawce, chwycił skurcz. Odgina je siłą i skupia się mocno na tym, by odzyskać poczucie wspaniałego dnia.

Przysiada na stołeczku obok telefonu i patrzy przez okrągłe okno na nagie, przycięte pędy róż, chłostane deszczem i wiatrem. Musi opracować jakiś plan. Jak najlepiej zorganizować podróż? Jak przekonać Zeldę, by weszła na pokład samolotu tak niedługo po katastrofie? Czy to w ogóle uczciwe prosić ją o coś takiego?

Ależ oczywiście - w grze liczy się końcówka. Oczywiście, że powinna sama szukać dróg uzdrowienia. Riba przeczesuje włosy palcami. Szarpie je i zgarnia w kitkę, wiążąc kucyk u nasady karku. Są gęste, wręcz przesadnie gęste - jej palce pamiętają delikatne, żalodne kosmyki na głowie córki. Mimo to Zeldy jest tak silna, tak zrównoważona psychicznie... Riba nie posiada się z podziwu patrząc, jak jej córka radzi sobie z chorobą i skutkami katastrofy. W sytuacji zagrożenia zachowała się wspaniale. Każda matka byłaby dumna z takiej córki...

Zapewne trudniej będzie jej teraz zorganizować ich wyjazd dyskretnie, nie alarmując Briana i reszty świata.

Zostawia włosy w spokoju. Żaden konkretny plan nie przychodzi jej do głowy, ale na pewno coś wymyśli. Musi przekonać Zeldę - musi! Cóż ma do stracenia?

Odpowiedź brzmi: nic.

W najgorszym wypadku zyska trochę słońca, ozonu i nieskażonej żywności.

Riba podejmuje decyzję. Teraz albo nigdy. Pojedzie do biura podróży natychmiast, jeszcze dzisiaj. Siłą przekonania zatryumfuje nad sceptykami - a na wypadek gdyby Brian lub ktokolwiek inny próbował pokrzyżować jej plany, wykupi bezzwrotne bilety.

Rozdział 10

Odzywa się brzęczyk. Riba zajmuje czwarte miejsce w kolejce. Siedzi na twardym plastikowym krześle obok kilku innych osób i czeka, aż jej numer zostanie wyświetlony na elektronicznej taśmie nad głowami urzędników biura podróży. Strugi deszczu spływają po wielkiej okiennej szybie za jej plecami.

Zagłębia się w luksusowo wydanym wakacyjnym folderze, unikając spojrzeń innych klientów, zerkających z ciekawością na jej posiniaczoną twarz.

Bzzz! Jest trzecia.

Jeszcze przed wezwaniem do recepcji słyszy własne nazwisko, wymówione cichym głosem:

- Pani McMullan?

Odrywa się od prospektu zachwalającego uroki Malty i widzi przed sobą mężczyznę w średnim wieku, w koszuli z podwiniętymi rękawami.

- Słucham?

- Nazywam się Peter White. - Wyciąga rękę. - Jestem tu kierownikiem. Zechce pani przejść do mojego biura?

Riba nie czuje się zaskoczona. Jej aż nadto widoczne obrażenia mają tu niewiele do rzeczy; ludzie często ją zapamiętują, zapewne z powodu aury. Każdy ma aurę, oczywiście, lecz tylko ci, którzy ją zauważą, mogą sprawić, by działała na ich korzyść.

Podaje rękę mężczyźnie i idzie za nim, mijając drzwi wielkiego biura, krótkim korytarzem, do małego pomieszczenia bez okien, w którym biurko, segregatory i każdy możliwy blat zalegają sterty broszur. Mężczyzna przeprosza za bałagan - „To najgorętszy okres i mamy teraz prawdziwe urwanie głowy” - i wskazuje jej krzesło. Następnie zasiada w swoim fotelu i oznajmia:

- Niezmiernie mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło, pani McMullan. Jedna z naszych dziewcząt dała mi znać, że pani tu jest. Zapamiętała panią. Rozumie pani zapewne, że nasi pracownicy są wstrząśnięci - nic podobnego nigdy się nie wydarzyło. Oprócz pani leciało wówczas siedmioro naszych klientów. Dopiero dzisiaj rano otworzyliśmy agencję na nowo. Ale życie idzie naprzód: Tara wznawia loty po południu, uwierzyłaby pani? Mamy pasażerów lecących do Lanzarote. Jak się miewa pani córka? I mąż, oczywiście? Nie widzieliśmy się od lat, ale znam go od dawna. Byłem wstrząśnięty, gdy się dowiedziałem, że on także ucierpiał w tej katastrofie, a przecież nawet nie był w samolocie.

Riba dochodzi do wniosku, że im mniej będzie się mówiło o Brianie, tym lepiej - bo ten człowiek gotów do niego zatelefonować z wyrazami współczucia.

- Obydwoje czują się świetnie, dziękuję - mówi szybko. - Zelda jest, rzecz jasna, osłabiona i wytrącona z równowagi, ale w ten weekend ma wrócić ze szpitala. To był cud, wie pan? Prawdziwy cud. Naturalnie znajdujemy się pod bardzo dobrą opieką.

- Miło mi to słyszeć. Polisy ubezpieczeniowe mają obecnie dość szeroki zakres. Oczywiście, każdemu należy się to, za co zapłacił.

Riba już otwiera usta, by wyprowadzić go z błędu, lecz postanawia nie trwonić energii. Uśmiecha się szeroko.

- Bardzo panu dziękuję za kwiaty. Były boskie! - Tak się składa, że bukiet od biura podróży należał do największych i najozdobniejszych. - Jeszcze nie zaczęłam wysyłać kartek z podziękowaniami, ale to zrobię!

- Och, pani McMullan, doprawdy...

- Proszę mi mówić: Riba.

Czoło kierownika przecina na krótką chwilę zmarszczka, jak gdyby nie zrozumiał.

- Dziękuję, Ribo... cóż za niezwykle imię! Proszę, naprawdę nie przysyłaj nam żadnych kartek, przynajmniej tyle mogliśmy zrobić. - Jego ton staje się bardziej rzeczowy. - A zatem, jak przypuszczam, chodzi ci o informację? Masz przy sobie formularz polisy? Kontaktowałaś się z firmą?

- Ach, nie - Riba chichocze cicho - nie po to przyszłam. Tymi sprawami zajmuje się Brian.

Na twarzy kierownika pojawia się wyraz ulgi.

- Co więc możemy dla ciebie zrobić?

- Prawdę mówiąc, chciałabym jeszcze raz zarezerwować taki sam lot dla córki i siebie. Wykluczając, rzecz jasna, linie Air Tara. Chcemy lecieć w najwcześniejszym możliwym terminie. I proszę sprawdzić, czy są jakieś oferty specjalne w klasie biznesowej.

- No, znacznie lepiej! - Głos Sophie rozbrzmiewa donośnie w ciszy jej maleńkiej pracowni. Odpina nowy rysunek pływaka od deski i przygląda mu się krytycznie, obracając karton w różne strony w szarawym świetle, padającym z okna nad jej głową. Łabędzi śpiew dla „Wild Places”. A raczej: wielorybi śpiew.

Dobry czy zły, musi wystarczyć, ponieważ numer ma być zamknięty za dwa dni, a trzeba jeszcze opracować rubrykę. Sophie uśmiecha się niewesoło, wspominając słowa Imeldy: „Nie musi być dobre, byle było zaraz!”. W miarę zbliżania się nieprzekraczalnych terminów, redaktor naczelna coraz częściej mówi skrótowym, natarczywym, dziennikarskim stylem, jakby odgrywała rolę w serialu „Na pierwszej stronie”. Wygłasza komunały.

Sophie starannie umieszcza rysunek w skórzanej teczce razem ze zdjęciami, które Imelda może wykorzystać.

Wstaje i bierze torbę z aparatem fotograficznym. Dzień wcześniej, łapiąc oddech po szaleńczym biegu przez Phoenix Park, zwróciła uwagę na buk stojący samotnie na trawiastym

terenie po drugiej stronie drogi. Pozbawiony liści szkielet drzewa rysuje się tak przepysalnie i wyraźnie, że w wolnej chwili - i gdy Ustanie deszcz - chętnie by je sfotografowała na pamiątkę dla przyszłych pokoleń.

Jakich przyszłych pokoleń? Przed jej oczyma odżywa wizja dwóch gładkich, zadowolonych z siebie księgowych i nieoczekiwanie popada w fatalny nastrój. Jest zaskoczona jego gwałtownością i siłą - co w nią wstąpiło ostatnimi czasy? Najpierw Eily, a teraz to. Czy nieprzewidywalność zachowania jest zaraźliwa?

Z niewiadomych przyczyn Sophie, będąca zawsze ucieleśnieniem spokoju, aż się gotuje wewnątrz. Położenie, w jakim się znalazła, doprowadza ją do szału. Była lojalna wobec Imeldy, Nancy, „Wuja Toma” Cobleya, a nade wszystko wobec Eily, mimo jej wariackich pomysłów. I co teraz z tego ma prócz ewentualnych wrzodów żołądka? Kiedy wreszcie przyjdzie kolej na nią?

Patrzy na pokrowiec aparatu fotograficznego. Zrobi to czy nie?

W hierarchii drzew buk zajmuje u niej drugie miejsce, tuż za ulubionymi kasztanami - zapewne wpływają na to doświadczenia z dzieciństwa. Ogrody botaniczne w Glasnevin były celem rodzinnych niedzielnych wycieczek i dlatego również jesień stała się ulubioną porą roku Sophie - porą, gdy liście zmieniały barwę, a ona, jej bracia i Eily wykradali rudym wiewiórkom słodkie buczynowe orzeszki, zbierając je garściami pod olbrzymim starym drzewem na brzegu rzeki Tolka. Prawdziwe życie biegło wtedy poza szkołę - więzieniem, które człowiek musiał znosić między jednym latem a drugim.

Sophie postanawia iść za głosem instynktu i pstryknąć kilka zdjęć. Nie ma nic do stracenia. Przynajmniej czeka ją trochę frajdy.

Zbliżając się do frontowych drzwi zauważa, że słuchawka telefonu wisi krzywo - zapewne Michael źle ją odłożył poprzedniego wieczoru. Poprawia ją gwałtownym, wściekłym ruchem, a gdy otwiera frontowe drzwi, telefon zaczyna dzwonić. Po chwili wahania Sophie łapie za słuchawkę.

- Tak? - rzuca szybko, od razu dając do zrozumienia, że jest zajęta i nie ma czasu na długie rozmowy.

- To ty, ciociu?

Głos syna Eily z trudem przebija się przez krzyki i hałasy, a Sophie natychmiast łagodnieje. Zamyka drzwi i przysiada na stołku.

- Jak się masz, Donny? Gdzie jesteś? Sądząc po odgłosach, siedzisz w pubie i celebrowasz wigilię Bożego Narodzenia.

- Nie możemy wyjść, bo pada deszcz, więc musieliśmy wszyscy zostać w klasach.

Sophie doskonale potrafi sobie to wyobrazić. Spogląda na zegarek, świadoma, że czas nagli. Donny potrafi zadzwonić bez powodu, a kto wie, czy nie przeżywa młodzieńczego zadurzenia. Wspominając własny okres dojrzewania, zawsze była wrażliwa na uczucia, które tak łatwo zranić i teraz skupia się na problemach chłopca, nie na własnym złym nastroju, który zresztą gwałtownie znika.

- Wszystko w porządku, Donny? - pyta, gdy chłopak wciąż nie może wykrztusić słowa.

- Tak, ale... - Po krótkiej pauzie Donny wyrzuca z siebie pośpiesznie: - Czy moglibyśmy się dzisiaj spotkać, jak wyjdę ze szkoły? Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Nie mów o tym mojej mamie ani tacie, dobrze? Kiedy pogadamy, zrozumiesz dlaczego.

Wściekłość Sophie przypomina teraz odległy werbel, a ona sama zaczyna się wahać. Opuszczając separatkę Briana, postanowiła, że nie da się głębiej wciągnąć w grzęzawisko rodzinnych problemów Eily i dalsze komplikacje są ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła. Ale głos Donny'ego brzmi tak młodzieńczo i tak rozpaczliwie, że Sophie czuje, iż nie ma wyjścia, i umawiają się w Kylemore Cafe przy O'Connell Street o piątej po południu.

Energia, płynąca z napadu złości, przygasa. Sophie odkłada słuchawkę i siedzi, bawiąc się kółkiem na klucze, do którego jest doczepiony srebrny niedźwiadek - prezent od Michaela. Pamięta dzień, kiedy mąż podarował jej ten breloczek.

Było to mniej więcej cztery lata po ślubie. Brian nie założył jeszcze EconoCar i obydwaj z Michaelem pracowali w czarterowej linii lotniczej, specjalizującej się w organizowaniu przelotów do Irlandii zamieszkałych w Stanach Amerykanów i Irlandczyków. Tamtego ranka miasto, które zimą nawiedzają przeważnie opady śniegu z deszczem, takie jak w ubiegły poniedziałek, odkryło po przebudzeniu, że przysypał je na czterdzieści centymetrów prawdziwy śnieg.

W owej epoce, na długo przed donośnymi żądaniami nienasyconej gospodarki rynkowej, gdy już nadszedł taki zwariowany dzień, obywatele odsłaniali okna sypialni, spoglądali na białe ulice i ogrody, i zamiast pędzić do pracy, wskakiwali z powrotem do łóżek i włączali radia, by posłuchać podekscytowanego spikera z naprędce zorganizowanego „krajowego biura prognoz”. Skuleni pod ciepłymi kołdrami, przysłuchiwali się z zadowoleniem wyliczaniu zamkniętych szkół i odwołanych pociągów oraz wiadomościom, które podjazdy zostały, a które nie zostały posypane piaskiem, a także informacjom, że cała komunikacja miejska jest sparaliżowana.

Tamtego ranka obydwój z Michaelem wstali o zwykłej porze, a potem włączyli radio jak wszyscy inni i dowiedzieli się, że dublińskie lotnisko będzie zamknięte do popołudnia i że

wstrzymano wszelkie nocne loty ze Stanów w portach lotniczych na wschodnim wybrzeżu. Nie posiadając się z radości, wrócili natychmiast do ciepłego łóżka i kochali się żywiołowo niczym para niesfornych wagarowiczów. Wypili herbatę i zjedli grzanki, siedząc w skotłowanej pościeli, a potem kochali się drugi raz. O świcie następnego dnia, kiedy opóźnionych pasażerów uspokojono, podzielono na grupy i wyprawiono w drogę, Michael obudził śpiącą Sophie pocałunkiem i wręczył jej niedźwiadka.

- Pomyślałem, że ci się spodoba. Będzie ci przypominał ten atak zimy. Wprawdzie nie jest cały ze srebra, tylko posrebrzany, ale dopóki się kochamy, noś go przy sobie.

Od tamtej chwili wręcz zabobonnie pilnowała, żeby nie zgubić breloczka.

Co się dzieje z ich małżeństwem? Bezdzielnosć była, oczywiście, istotnym czynnikiem, lecz zdaniem Sophie dawno już zawarli w tej sprawie milczące porozumienie i tylko gdzieś w tle pozostał osad smutku.

Przez kilka lat czuli się szczęśliwi. Na początku wręcz nieprzytomnie szczęśliwi - w okresie gdy ich życiem rządził seks i najbardziej liczyły się werwa, humor i zniewalający urok Michaela. Nie dowierzając własnemu szczęściu - że ktoś tak powściągliwy i niedoświadczony w sprawach erotycznych, jak ona, wzbudził zainteresowanie przystojnego, cieszącego się powodzeniem u kobiet miłośnika dobrej zabawy - Sophie odnosiła wrażenie, że jest bohaterką jakiegoś szalonego romansu. Kochała go namiętnie, kochali się nawzajem tak mocno, że bez wysiłku przymykała oczy na jego mniej przyjemne cechy: na przykład skłonność do dąsów albo zniecierpliwienie jej brakiem ambicji zawodowych. W pierwszych latach nigdy nie narzekał na jej rozproszenie, którego teraz nieustannie się czepia.

Ostatnio wydłużyły się również przerwy w ich współżyciu. Rzadko kładli się do łóżka o tej samej porze, a jeśli już, to leżeli obok siebie w stanie nerwowego napięcia, dopóki któreś nie powiedziało pierwsze „dobranoc” i nie odwróciło się plecami.

Uczciwie mówiąc, obydwójce zachowywali się podobnie. Popęd seksualny osłabł nie tylko u niego, lecz i u niej. Reagowała wprawdzie przychylnie, kiedy - jeżeli w ogóle - ręce Michaela wyciągały się do niej, ale zazwyczaj czuła ulgę, mogąc po prostu spokojnie zasnąć.

A przynajmniej miała wrażenie, że jej popęd seksualny się zmniejszył, choć od czasu do czasu przyłapywała się na fantazjowaniu o innych mężczyznach. Na przykład...

Sophie powstrzymuje dalszy bieg myśli, zrywa się raptownie, wychodzi z domu i zatrząskuje za sobą drzwi. Seks zawsze przypominał węża-kusiciela z rajskiego ogrodu. Niewątpliwie był nim dla nich obojga i dopiero teraz rozumie, że mógł im przesłonić symptomy zasadniczej niezgodności charakterów.

Gonitwa myśli nie ustaje, gdy Sophie jedzie zalanymi wodą ulicami. Przynajmniej z jednym problemem nie musi się borykać. Jest absolutnie pewna, że mąż nigdy jej nie zdradził. Michael to typ wiecznego chłopca, spędzającego wieczory w pubie, w towarzystwie dawnych kolegów z drużyny rugby albo ze szkoły, których Sophie nie zna bliżej i nie pragnie poznać. Choć wie równie dobrze jak każdy, iż żona dowiaduje się ostatnia, byłaby niebotycznie zdumiona, gdyby się okazało, że mąż nie jest jej wierny. Bywa wybuchowy i nierozsądny, wiele mu można zarzucić, ale jest szczery. Jego brak zainteresowania seksem może się wiązać ze stresem. W kotle pod ciśnieniem, jakim jest bezdzielne małżeństwo, nie da się żyć, nie znając partnera na wylot, i Sophie wie, że pogodna, nonszalancka postawa Michaela jest w gruncie rzeczy tylko udawana.

Na przykład, solidność i pewność siebie jego przyjaciela, kolegi po fachu i szefa musi aż nazbyt wyraźnie przypominać Michaelowi, że zajmuje niższy szczebel drabiny. Choć mają z Brianem dobry kontakt, Sophie zdaje sobie sprawę, że jej mężowi wcale nie podoba się to, iż po tylu latach pracy nadal gra drugie skrzypce. Często wspominał o założeniu własnej firmy, luksusowego przedsiębiorstwa z umundurowanymi młodymi kobietami za kierownicą. Nie poczynił jednak żadnych kroków w tym kierunku, pielęgnując w sobie irracjonalną urazę do Briana. Ale czyż większość uraz nie jest irracjonalna? Sophie nie chce wyolbrzymiać sprawy i wierzy, że jedna szczerą rozmowa mogłaby wszystko wyjaśnić.

Ziarnko żwiru uwięzło pod wycieraczką i z denerwującym zgrzytaniem ociera się o przednią szybę. Choć Sophie nie potrafi pierwsza poruszyć tego tematu, ich małżeństwo często wydaje się cuchnąć niczym mokry pies.

Dla męża Sophie nie jest to zbyt udany dzień. Pomijając już uczucie niesmaku po wczorajszej awanturze, zaprzepścił szansę na intratny kontrakt dla EconoCar.

Przyjechał rano na lotnisko wyjątkowo wcześnie, by obsłużyć grupę pasażerów przylatujących zza Atlantyku o siódmej - cztery samochody kategorii C dla graczy w golfa - lecz wredny samolot, gnany pomyślnym wiatrem, wylądował godzinę przed czasem i klienci, nie zastawszy nikogo w okienku EconoCar, udali się do przedstawicielstwa firmy Avis w hali przylotów. Ponieważ zamawiano usługę w ostatniej chwili przez agenta z Chicago, który jeszcze nie przekazał zaliczki, wydawało się mało prawdopodobne, że firma ujrzy choć jednego dolara.

Michael zamierza odwiedzić później Briana i dochodzi do wniosku, że na razie zatrzyma tę złą nowinę dla siebie. Przyjaciel nie byłby uradowany.

A na dodatek Yvonne flirtuje z innym.

Terminal dublińskiego lotniska ulega przeobrażeniom. Znowu. W okresie ożywienia gospodarczego wydaje się, że remonty i rozbudowy następują jedno po drugim i Michael z trudem przypomina sobie czasy, gdy nie potykał się o tablice z napisem: „Przepraszamy za utrudnienia”, a odgłosy wiertarek nie zagłuszały rozmów telefonicznych z klientami. Przypadkowy podróżny nigdy by nie uwierzył, że zaledwie pięć dni temu zdarzyła się tu poważna katastrofa. Interesy, w tym budowlane, idą zwykłym trybem.

Przynajmniej pada tu trochę światła. Agencja EconoCar wcisnęła się z przodu hali, tuż przy wyjściu na postój taksówek, gdzie trafiają się klienci wynajmujący auta pod wpływem impulsu. Michaelowi żal nieszczęśników z innych firm, odgradzonych billboardami na tyłach i siedzących wśród desek ozdobionych płataniną przewodów; zdezorientowani klienci, którzy wcześniej dokonali rezerwacji, muszą ich szukać z pomocą długiego ciągu tymczasowych strzałek.

W tej chwili jednak głównym przedmiotem jego niepokoju jest sposób, w jaki Yvonne śmieje się i przekomarza z jednym z robotników, muskularnym młodym mężczyzną o wyzywającym spojrzeniu i z szopą kręconych czarnych włosów - nie tylko na głowie, lecz także na piersi, sądząc z tego, co widać w wycięciu roboczej bluzy. Dziewczyna pochyla się ku niemu, oparłszy łokcie o kontuar, a jej żakiet wybrzusza się kusząco na wysokości górnego guzika, który może nawet odpaść pod naporem tego, co przykrywa. Michael, aż nadto świadom faktu, iż jego sylwetka jest lekko sflaczała, a włosy siwieją mu na skroniach, nie może się wtrącić. Tkwi przy telefonie, wysłuchując pewnego starszawego półgłówka z małomiasteczkowej agencji, który głądzi bez końca o jednym nędznym wynajęciu fiata punto na sześć dni i wyobraża sobie, że powinni mu za to lizać buty z wdzięczności. Poprzez rozwlekłą anegdotę o poprzednim kliencie, przysłanym do EconoCar, Michael usiłuje podsłuchać, co mówi Yvonne, ale choć dzielą ich zaledwie trzy metry, odgłosy wiertarki i ogólny zgiełk panujący w hali uniemożliwiają mu to. Może wyłącznie piorunować dziewczynę spojrzeniem, ona jednak albo go nie widzi, albo celowo ignoruje.

Kiedy ostatnio śmiała się do niego w ten sposób? I patrzcie, jak gładzi palcami telefon. Co ona knuje?

Jakby nie wiedział.

Zanim udaje mu się wreszcie pozbyć agenta, żołądek ma tak ściśnięty, że aż czuje ból.

Cienki papier formularza, który wypełnia, drze się pod naciskiem długopisu, więc Michael musi go wyrzucić i zacząć od nowa. Robotnik budowlany w końcu sobie poszedł i Yvonne siedzi teraz przed terminalem komputerowym, którego zawitości Michael, ku swemu

rozgoryczeniu, jeszcze nie zgłębił. Ale właściwie czy kobiety nie są lepsze w maszynopisanu i tym podobnych rzeczach?

Związała dzisiaj swoje jasne włosy w koński ogon, który tańczy z boku na bok, a Michaela ogarnia znajoma gorączka. Smyk! Smyk! O Boże, ten rytm.

Usiłuje skupić się na nowym formularzu.

Nie bardzo może na nią naskoczyć i zacząć wypytywać, zwłaszcza tutaj - a przy tym naprawdę by wolał, żeby wiadomo-co w spodniach nie zdradzało go przy każdej okazji. Smyk! Smyk! Widzi przed sobą te cudownie gładkie plecy i wspaniałe tyłeczki.

Prześtań, Dolan. Natychmiast prześtań! Weź się w garść.

Ale przecież ma prawo wiedzieć, czy Yvonne zamierza go zostawić. Przynajmniej do tego z pewnością ma prawo.

Nie. Lepiej trzymać gębę na kłódkę. Nic tak nie odstraszy kobiety typu Yvonne, jak facet, który dyszy jej zazdrośnie w kark. Jeżeli nawet zamierzałaby go rzucić - Michael tak mocno przyciska długopis, że jest bliski podarcia następnego formularza - z morza można wyłowić mnóstwo innych rybek.

Jak gdyby na dany znak, wraca filigranowa stażystka, która odprowadzała do samochodu klienta na wózku.

- Witaj, promyczku - Michael podnosi głos, żeby Yvonne na pewno go usłyszała. - Ślicznie wyglądasz. Jak ci poszło?

Cholera jasna, ciągle nie może sobie przypomnieć, jak ona ma na imię. Bernie? Blaithin? Nie może jej o to pytać, na miłość boską, dziewczyna pracuje tu już dłużej niż tydzień...

Yvonne nawet się nie obejrzała.

Stażystka oblewa się rumieńcem, co natychmiast podnosi go na duchu; nie wiedział, że dziewczęta jeszcze potrafią się rumienić, przynajmniej poniżej trzydziestki. To właściwie urocze. Zanim jednak zdąży opowiedzieć mu o kliencie, przerywa im dawny znajomy Michaela, agent, który swego czasu podsyłał EconoCar masę klientów, a teraz odstrasza większość Irlandczyków. Michael wyciąga rękę.

- A niech to, czyżby Peter White? Jak się miewasz? Dawnośmy się nie widzieli. - Ściskają sobie dłonie. - Czy nie rośniemy w siłę? Wybierasz się do Cardiff?

Gdy wymieniają żartobliwe uwagi na temat kalendarza rozgrywek Irlandii i Walii na następny miesiąc oraz dobrej formy irlandzkiej drużyny, która znakomicie sobie radzi w tym sezonie, Michael zauważa kątem oka, że Yvonne wstaje od blatu i wychodzi tylnym wyjściem.

Może idzie do toalety. Albo na papierosa. Z drugiej strony jednak mogła umówić się z panem Wielką Klatą.

Uświadamia sobie nagle, że jego rozmówca umilkł i wyraźnie oczekuje odpowiedzi.

- Słucham? Wybacz, Peter, zamyśliłem się na chwilę.

- McMullan. Chciałbym, żebyś mu przekazał ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia. To wspaniały facet.

Michael uśmiecha się do niego, obserwując całą halę kątem oka.

- Jasne, przekażę mu, że o niego pytałeś. Jeszcze dzisiaj wybieram się do niego do Mater. Z tego, co wiem, wraca do zdrowia. Oczywiście, niełatwo dobić takiego twardziela.

- O, tak. - White z szerokim uśmiechem opiera się o kontuar. - Rany, Mick, pamiętasz nasze szkolne lata? Kiedy wszyscy chcieliśmy wstrząsnąć branżą turystyczną, zostać milionerami, prowadzić wielkie interesy? Spotkałeś ostatnio jakichś milionerów?

- Nic dodać, nic ująć. - Michael naprawdę lubi tego faceta i nie chce być nieuprzejmy, lecz najchętniej by się go pozbył. Aż go świerzbi, żeby wstać od biurka i sprawdzić, co zamierza Yvonne. Ale kumpel zupełnie się nie śpieszy.

- Zabawne, że wszyscy nadal siedzimy w tym biznesie. To zupełnie jak narkotyk, no nie?

- Chyba tak.

Michael trzyma długopis zawieszony nad formularzem i White, do którego to nareszcie dociera, prostuje się z godnością.

- Na mnie już czas, muszę odprowadzić cały tłum ludzi. Lanzarote. Wolałem tu przyjść osobiście. - Krzywi się. - Lecą Tarą, wyobrażasz sobie? No, w każdym razie przekaz staremu, że bardzo się zmartwiłem i życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia. - Zniża głos. - Sophie także, oczywiście. Słyszałem, że cudem uszła cało.

- Tak, ale czuje się świetnie. Aż trudno uwierzyć, ile mieli szczęścia. Słyszałeś o żonie i córce McMullana?

- Naturalnie, załatwiały podróż przez nasze biuro. Ta żona nawet była dziś rano u mnie. Dzielna kobieta. Niezwykłe imię... Riba, czy tak? Choć na liście pasażerów mamy inne.

Dla Michaela żona Briana McMullana mogłaby się nazywać Kicia-Kocia czy jakkolwiek tam chce; nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego przyjaciel robi o to tyle szumu.

- Tak, Riba - przyświadcza z roztargnieniem. Chwyta go kurcz w karku od ukradkowego rozglądania się po hali. Marzy, aby White zajął się wreszcie własnymi sprawami, ten jednak ciągnie uparcie:

- Powiem ci, że gdybym to ja przeżył taką katastrofę, choć jestem doświadczony i w ogóle, nieprędko bym znowu wsiadł do samolotu.

Trzeba jednak przyznać, że kiedy robiła nową rezerwację, wykluczyła Tarę. Podniosłem nieco standard usługi, użyłem znajomości w BA. W tych okolicznościach nie mogli odmówić. - Uśmiecha się. - No to na razie, stary! Wybierasz się do Cardiff?

- Owszem, bardzo bym chciał. Zapowiada się naprawdę nieźle. Trzymaj się!

Peter odchodzi, a Michael nie myśli bynajmniej o rozgrywkach rugby, tylko zaczyna się przesuwac ku wyjściu. Przystaje przy komputerze, przed którym stażystka spina papiery.

- Słuchaj, eee... - cholera, jak tej małej na imię? - zaraz wracam. Nie wynajmy przez ten czas wszystkiego, co mamy, dobrze? - Obdarza ją jednym ze swych najpromienniejszych uśmiechów.

Zarumieniona stażystka również uśmiecha się do niego.

Rozdział 11

McMullan, ubrany w dzinsy, sportową bluzę i białe adidas, leży na zasłanym szpitalnym łóżku. Wciąż nosi kołnierz ortopedyczny, choć ból zelżał do tego stopnia, że Brian ma nadzieję, iż już wkrótce będzie można go zdjąć.

Postanowił wypisać się ze szpitala, ale pielęgniarki nakłoniły go, by przed wyjściem porozmawiał jeszcze z lekarzem, który został już zawiadomiony i przyjdzie, gdy tylko

pozwole mu na to rozkład zajęć. Zirytowany tą zwłoką Brian bez zapału przegląda cztery kanały, odbierane przez jego telewizor bez śnieżenia, ale wybór przedstawia się dość żałośnie: okienko z wyceną antyków w magazynie kulturalnym, teleturniej, kreskówka dla dzieci albo Sky News. Nudy na pudy.

Nigdy nie potrafił wytrwać w bezruchu, więc wyłącza telewizor, dźwiga się z łóżka i podchodzi do okna, od którego dzieli go zaledwie kilka kroków.

Strata energii. Nie ma na co patrzeć. Dachy aut niczym paciorki nanizane na sznurek. Parasole. Mokre.

Wszystko gównie warte.

Gdzie się podziewa ten cholerny doktorzyna? Zupełnie jakby człowiek siedział w więzieniu.

Przez pierwsze dni po katastrofie był niewątpliwie otumaniony, teraz jednak jego mózg nadaje bez przerwy, jakby chciał nadrobić stracony czas. Przedstawia swoje stanowisko, a potem przytacza przeciwstawne argumenty w różnych sprawach, takich jak denny poziom programów telewizyjnych, globalne ocieplenie czy inwestycje giełdowe; widzi Zeldę, a ponieważ wywołuje to zbyt dotkliwy ból, wdaje się w zażarte spory z kolegami i klientami, jak gdyby znajdowali się tuż obok, i dyskutuje z politykami, którzy nie mają zielonego pojęcia o turystyce w ogóle, a o wynajmie samochodów w szczególności, lecz to im nie przeszkadza niszczyć tej branży podatkami i regulacjami. Następnie znowu martwi się o Zeldę, by po chwili skrócić w stronę Eily z jej drażniącymi dziwactwami, a także Donny'ego, rugby i lekarzy.

Oraz, rzecz jasna, Micka plus Sophie.

Naprawdę wyglądała urzekająco. Pragnął wziąć ją delikatnie w ramiona i osłaniać, by już nigdy nie stała jej się krzywda.

Przestań, McMullan. Tu chodzi o żonę innego mężczyzny...

O żonę Micka.

Mick. To dopiero cholerny kretyn. Ugania się za panienkami po całym lotnisku i nie tylko, nawet nie robiąc z tego sekretu, lecz udając przed samym sobą, że zachowuje dyskrecję. W dodatku zadaje się z takimi zdzirami jak Yvonne Leonard, która miała czelność podjąć próbę zwerbowania samego Briana dla jednej ze swych koszmarnych przyjaciółek. Brian wie, że gdyby miał taką żonę jak Mick, nie oglądałby się za innymi kobietami. Nigdy. Co nie oznacza, że w ogóle to robi. W każdym razie jeszcze nie.

Ta myśl wprawia go w zakłopotanie. Skup się na czymś innym. Szybko. Zaczyna niespokojnie przemierzać separatkę od ściany do ściany, wykorzystując wąski pas wolnej przestrzeni. Gdzie ten cholerny lekarz?

Brian zdaje sobie sprawę, że nie odznacza się zbyt głębokim umysłem. Uważa również, że nie jest szczególnie bystry, choć uzyskał dyplom szkoły średniej. Nie czyta żadnych książek, jego ulubionymi piosenkarzami są James Taylor i Cliff Richard i nie ma żadnego hobby z wyjątkiem rugby oraz samolotów i linii lotniczych, które budzą w nim niesłabnące zainteresowanie. Gdyby swego czasu miał dość rozumu i odwagi, zgłosiłby się do Aer Lingus, by uzyskać licencję pilota. Ale stchórzył i zamiast tego podjął szkolenie w ramach CERT, rządowego programu rozwoju turystyki i usług pokrewnych. Stamtąd był już tylko krok do wypożyczalni samochodów. Najlepsza rzecz po samolotach. W pewnym sensie. Dawniej nie stanowiło to problemu, ponieważ w rozmowach i dyskusjach potrafił bronić swoich poglądów.

Kiedy drogi jego i Eily zaczęły się rozchodzić, zniósł to z całym spokojem, przypuszczając, że żona kiedyś z tego wyrośnie. Choć mimo upływu lat nie tylko z tego nie wyrosła, lecz pograżyła się jeszcze głębiej, nie robił problemów, uznając słuszność zasady „co kto lubi”. Tak czy inaczej, jej pomysły, nawet niekonwencjonalne, nie odbijały się aż tak bardzo na życiu Briana.

Żyło mu się zatem stosunkowo szczęśliwie. Aż do dnia, w którym zdiagnozowano chorobę Zeldy.

Ostatnio jednak - a nawet, mówiąc szczerze, zanim jeszcze córka zachorowała - zauważył u siebie powracające dzień w dzień fale głębokiego niezadowolenia, nad którymi było mu coraz trudniej zapanować.

Zatrzymuje się i ponownie staje przy oknie, wpatrzony w strugi deszczu. A jakże. Zerka na zegarek. Da temu władcy oddziałów jeszcze dwadzieścia minut, a potem się stąd wynosi, bez względu na wszystko.

Muska palcami klamerki przy zapięciu czarnej bluzy - prezentu pod choinkę od Zeldy. Ten stan niezadowolenia z własnego losu uporczywie go prześladowuje.

Chodzi o wszystko: o bałagan rozrastający się w domu niczym grzyb, o to, że Eily nie odbiera telefonów, jeśli księżyc znajduje się w niewłaściwej kwadrze czy czymś tam, o nawet obowiązków w firmie, który kiedyś stanowił dla niego wyzwanie. I nagle okazuje się, że zupełnie nie ma z kim pogadać.

Chodzi o cały ten niesprawiedliwy, klaustrofobiczny świat. O Życie. Cholerne Życie. Brian potrzebuje przestrzeni, chce wreszcie odetchnąć, niech to szlag!

Nie przywykł do analizowania własnych uczuć i peszy go, że robi to teraz. Pewnie katastrofa tak na niego wpłynęła. Jak oni to nazywają? Uraz postresowy? Nerwica pourazowa? Wszystko jedno. Zawsze wyznawał pogląd, że facet musi grać takimi kartami, jakie dostał, robiąc, co w jego mocy, żeby nie wypaść z gry, i czekając na lepsze rozdanie.

Spogląda ponownie na zegarek: osiemnaście minut. Sięga po pilota i włącza telewizor. Jezu. Teraz mówią o kwiatkach.

Nie chodzi nawet o rozpacz i niemożność zrozumienia, dlaczego tak się stało, które dręczą go za każdym razem, ilekroć pomyśli o tym, co się dzieje z jego śliczną córką. W głębi duszy, choć skłonny jest obwiniać Eily o wszelkie nieszczęścia, wie, że jego żona ze swoimi zbzikowanymi pomysłami nie jest jedyną przyczyną problemów. W gruncie rzeczy to nie fair stawiać Eily pod pręgierzem. Ale Brian po prostu nie potrafi się opanować, do tego stopnia, że choćby karcił się surowo za nedorzeczne zachowanie, wszystko się w nim gotuje, ilekroć żona wchodzi do pokoju. I nie dlatego, że jest złą kobietą. Przeciwnie, mimo swojej szajby jest chyba aż za dobra dla kogoś takiego jak on. Podobnie jak Sophie dla Micka.

Twarz Briana łagodnieje na myśl o Sophie, ciepło otulonej jak...

Marszczy brwi, usiłując sobie przypomnieć, z czym mu się wczoraj skojarzyła, taka spowita w biel. Niestety, nic stosownego nie przychodzi mu do głowy. Biały króliczek? Przepysznie polukrowany bożonarodzeniowy tort?

W telewizji mówią o przebiśniegach. To jest to, wyglądała tak świeżo, jak kwitnący przebiśnieg. Rany, to porównanie zasługuje na Nobla.

Słyszając szczęknięcie otwieranych drzwi, Brian odwraca się sztywno, gdyż kołnierz krępuje jego ruchy.

- Czołem, stary. - Mick Dolan rzuca pudełko czekoladek Cadbury prosto na kolana Briana. - Częstuj się. Coś słodkiego dobrze ci zrobi.

Brian zwleka z wyłączeniem przebiśniegów, udając, że szuka właściwego guzika, choć jest to jedyny czerwony przycisk w pilocie. Nagłe pojawienie się przyjaciela w chwili, gdy wyobrażał sobie jego żonę, wytrąciło go z równowagi.

- Cześć, Mick - mówi najserdeczniejszym tonem, na jaki potrafi się zdobyć. - Dzięki Bogu! Przybywasz w samą porę. Wychodzę stąd za kilka minut. Podwieziesz mnie? Eily ma tu później zajrzeć, ale nie mogę tak długo czekać. Zadzwoń do niej i powiem, że spotkamy się u Zeldy. Klapnij sobie. - Wskazuje krzesło pod ścianą. - No więc - poprawia się niezdarnie - co słyhać na ranczo? Tęsknicie za mną?

- Jak za morową zarazą.

- Wielkie dzięki. - Brian uważnie przygląda się gościowi. Czyżby pod jego dziarskim tonem kryło się zdenerwowanie? A nawet chęć ucieczki? - Wszystko w porządku, Mick?

- Kto mówi, że nie?

Przyjaciel koncentruje uwagę na krześle, które przysuwa bliżej łóżka, a gdy siada, Brian już jest pewien, że Micka coś gryzie. Może po prostu udziela mu się nastrój kumpla. Brian ziewa, nieco dłużej niż musi.

- Nikt, oczywiście. Po prostu odniosłem wrażenie, że jesteś trochę spięty i tyle.

Mick również ziewa i podobnie jak Brian wydaje się przeciągać tę czynność.

- Bo haruję jak wół, przyjacielu. Rano, w południe i wieczorem wysługuję się różnym niewdzięcznikom. Dziwne, jakie to ziewanie jest zaraźliwe. - Rozsiada się wygodnie. - Muszę przyznać, że całkiem nieźle wyglądasz. A jak się miewa Eily? No i - tu taktownie zniża głos - biedna mała Zelda? Niestety, jeszcze się z nimi nie widziałem.

- Jadę do niej od razu, jak tylko stąd wyjdę. - Klatkę piersiową Briana przeszywa nagły ból, lecz jego gość zdaje się nie dostrzegać grymasu na twarzy przyjaciela.

- Eily to wspaniała kobieta - ciągnie Mick. - Mimo wszystko, muszę jej to przyznać. Ma sporo odwagi. I ty też, że pozwalasz im lecieć po tym, co się stało. Ja na twoim miejscu byłbym przerażony.

- O czym ty mówisz? - Brian ma uczucie, że krew krzepnie mu w żyłach. - Lecieć dokąd? - Wpatruje się w Micka i po chwili powtarza: - Lecieć dokąd?

Niecałą godzinę później Riba zrywa się ze strachem, gdy pchnięte mocno drzwi separatki Zeldy odbijają się od przytwierdzonej do podłogi gumowej blokady i w progu pojawia się potężna sylwetka Briana, który oddycha ciężko, jakby właśnie odbył wyczerpujący maraton. Albo starał się powściągnąć emocje.

- Tato! Wypisali cię! Nie spodziewałam się ciebie! - Zelda, równie zaskoczona jak jej matka, omal nie upuszcza filiżanki z gorącym napojem, którą właśnie podniosła z tacy. Siedzi owinięta kocem, wystawiając jedynie głowę i dłoń z naczyniem.

Riba, choć zbita z tropu wyraźną wściekłością męża, szybko odzyskuje równowagę.

- Wejdz, Brianie... co ci jest? - Podbiega, wciąga go do środka i zamyka drzwi. - Nie stój tak, strasznie wieje z tego korytarza.

Cofa się o krok, gdy Brian, nie zwracając na nią uwagi, rusza w stronę łóżka. Patrzy na córkę z czułością.

- Cześć, skarbie, jak się czujesz? Przepraszam - tu wskazuje kołnierz ortopedyczny - ale obawiam się, że nie mogę cię ucałować. Jutro zdejmę to cholerstwo i poślę do wszystkich diabłów.

- Czuję się świetnie, tato, naprawdę - Zelda odsłania w uśmiechu bezkrwiste dziąsła i zęby, przy których jej usta wydają się zbyt drobne. - Cudownie, że tu jesteś. - Odstawia białą filiżankę z grubej porcelany na spodek, chowa rękę pod koc i kładzie się na poduszkach. - Martwiłam się o ciebie, ale chyba niepotrzebnie. Wyglądasz zupełnie dobrze. Mama informowała mnie na bieżąco.

Brian muska przelotnym gestem chude ramię córki, lecz zaraz potem jego twarz znowu tężeje. Zwraca się do zaniepokojonej Riba surowym, zimnym jak stal tonem:

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

- O czym? - Riba czuje narastającą chęć ucieczki. Zdarzało się im już posprzeczać, a ostatnio w ich małżeństwie nie układa się najlepiej, lecz Brian, podobnie jak wielu rosnących mężczyzn, zazwyczaj jest łagodny i rzadko widywała go w takim stanie zimnej furii.

- Powiem ci, jak wyjdziemy. - Brian odwraca się do Zeldy. - Nic się nie martw, kochanie, za minutę wrócimy. - Po czym maszeruje ku drzwiom i omal nie wrywa ich z zawiasów.

- O co chodzi, mamó? - Oczy Zeldy w porcelanowobiałej twarzy wydają się nienaturalnie wielkie, gdy Riba, usiłując zyskać na czasie i kryjąc przerażenie, poprawia koc i otula nim córkę aż po brodę.

- Nie mam pojęcia, kochanie - sili się na uśmiech - ale z pewnością się dowiem, bez dwóch zdań. Ci mężczyźni! Bez przerwy dostarczają nam rozrywki. Okryj się ciepło i czekaj na nas.

Na korytarzu dostrzega Briana, odwróconego plecami. Mąż udaje, że podziwia morski pejzaż wiszący na ścianie, lecz słysząc, jak Riba wychodzi, odwraca się gwałtownym ruchem.

Riba truchleje.

Brian wpatruje się w nią spod zmarszczonych brwi i zaczyna prosto z mostu:

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, Eily?

Trafili na jedno z okienek w szpitalnym rozkładzie zajęć: do sal dostarczono podwieczorek i podczas gdy pacjenci jedzą, personel wycofał się do swoich pomieszczeń. Chwilowo więc mają korytarz tylko dla siebie.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Riba, starając się nie okazać lęku, prostuje plecy i odpowiada spokojnym tonem, czuje jednak głęboki niepokój. Brian podchodzi bliżej, jego

masywna sylwetka góruje nad nią. Jest przystojnym mężczyzną, ale czerwone plamy na jego twarzy stanowią przykry kontrast z gęstą strzechą słomianych włosów.

- Myślę, że wiesz - rzuca. - Prędeż Umrę, niż ci na to pozwolę. Jeśli ją gdziekolwiek ruszysz, Eily, zatłukę cię. Mówię poważnie. A na razie postaram się o zakaz sądowy.

- Ona jest moją córką - Riba odruchowo podejmuje walkę - i będę robiła to, co uznam dla niej za najlepsze. Nie dręcz mnie teraz, proszę cię. Kto ją wychowywał? Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowałyśmy? Ta twoja praca, samochody i piłka nożna! - W trakcie wymówek jej umysł gorączkowo usiłuje dociec, skąd Brian wie. Z pewnością nie od agenta biura podróży - zawiadomienie byłoby nieetyczne. I, swoją drogą, bezcelowe.

- Zostaw te bzdury. - Brian aż dygocze z gniewu. - Chyba nie opowiadałaś nikomu, jak zasuwalem w firmie, kiedy ty szalałaś mustangiem po Dublinie. I nie uskarżałaś się zbytnio, gdy wyjeżdżałaś z całym tym swoim towarzystwem do Costa Del Sol. A skoro już o tym mówimy, nikt mi nie proponuje pomocy w firmie, kiedy jesteśmy zajęci... ani nie zaciska pasa w chwilach kryzysu. Jak myślisz, skąd się biorą pieniądze na zapłacenie twoich rachunków, Eily? Może każdego ranka przechadzam się po ogrodzie i po prostu zrywam je z krzaków? - Jest już tak blisko, że Riba czuje nikłą woń środka odkażającego, wydzielającą się z jego kołnierza.

Obronnym gestem unosi dłoń ku szyi, lecz jej głos nadal brzmi spokojnie.

- Chodzi o pieniądze, Brianie? Mamy kłopoty finansowe?

- Oczywiście, że nie chodzi o pieniądze! - Wygląda, jakby miał lada chwila wybuchnąć i Ribę przerażają sama jego postura i gniew, kiedy mąż przysuwa do niej twarz, ledwie panując nad głosem. - Nigdy nie chodziło o pieprzone pieniądze i dobrze o tym wiesz. Czy kiedykolwiek byłem skąpy, czy odmawiałem wam czegoś, na co mieliście ochotę? Nigdy ci niczego nie wypominałem, Eily, i nie twierdzę, że żyjemy na krawędzi ubóstwa, choć, co cię może zdziwi, nie opływamy w gotówkę. Jak ci się wydaje, dlaczego tak haruję?

- Uspokój się, proszę. - Riba nie spuszcza z tonu. - To nie czas ani miejsce na rodzinne sprzeczki. Pomówimy o tym później, w domu. Zelda może cię usłyszeć.

- Czy ona o tym wie? Powiedziałaś jej?

Riba cofa się przed jego masywną, dygoczącą z wściekłości sylwetką.

- Tak się składa, że nie. Nie zdążyłam, bo właśnie się zjawiliś.

- Dzięki Bogu i za to.

Patrzą sobie w oczy i Riba skupia się z całych sił, otaczając go światłem i nadając gładką płynność powietrzu między nimi. Po chwili dręczącej niepewności Brian cofa się o krok.

- Mówiłem poważnie, Eily - oznajmia nieco spokojniejszym tonem. - Wcale nie żartuję. Nie wiemy, ile czasu zostało Zeldzie, i nie pozwolę jej włóczyć po świecie.

- Już rozmawialiśmy na ten temat.

- Owszem, a ta rozmowa będzie ostatnia, bo tym razem ci się nie uda. Powinienem być cię wcześniej powstrzymać i nigdy sobie tego nie wybaczę. Zelda mogła zginąć, obie mogłyście zginąć.

Riba wykorzystuje sposobność.

- Ale nie zginęłyśmy, Brianie! - W uniesieniu zapomina o zachowaniu fizycznego dystansu między nimi. - Czy nie pojmujesz dlaczego? Nic złego nie może nam się przydarzyć, bo... mamy ochronę. Gdybyś tylko zechciał otworzyć serce i wyłączyć ten swój mózg... - Uświadamia sobie, że popełniła błąd.

Brian odsuwa się od niej gwałtownie, jakby odsłoniła odrażające i zaraźliwe symptomy choroby skórnej.

- Przestań, Eily! - Opuszcza głowę jak atakujący byk. - Nie przeciągaj struny!

Riba porzuca temat. Na razie. I tak musi zamilknąć, ponieważ zza załomu korytarza wyłaniają się dwie kobiety, popychające wózki z tacami.

- Nie kłóćmy się, kochanie - szczebiocze przymilnie, skracając ponownie dystans i pojednawczym gestem kładąc mu dłoń na ramieniu. - Wracajmy do Zeldy. Będzie się martwiła i zastanawiała, o co nam chodzi. Wiesz, jak nienawidzi takich scen.

Brian spogląda na jej dłoń, lecz Riba wzmacnia otoczkę światła wokół niego i ponownie jej się udaje. Z zadowoleniem dostrzega, że czerwień odpływa z jego twarzy. Gdy jednak zawracają w stronę separatki, Brian ze złowieszczym spokojem zatrzymuje żonę.

- Mówiłem poważnie, Eily. Nie myśl, że to jeszcze jedna zwykła małżeńska sprzeczka.

- Oczywiście, że tak nie myślę. - Z uśmiechem klepie go po ramieniu.

Nie ma do niego pretensji. Podobnie jak ona, Brian również ma prawo postępować zgodnie z własnymi, aczkolwiek ograniczonymi przekonaniem. Uwięziony w pułapce tak zwanego zdrowego rozsądku, odrzuca jej próby wskazania mu lepszej drogi i można łatwo zrozumieć, dlaczego nie przyjmuje do wiadomości, że to najlepsza - i jedyna - szansa dla Zeldy.

Jeżeli myśli, że zdoła ją zastraszyć albo sterroryzować tak, by zrezygnowała z ratowania córki, to się myli: idąc za nim korytarzem, Riba błyskawicznie robi w myślach woltę. Całe szczęście, że nie wygadała się przed Zeldą - miała to właśnie zrobić, kiedy

wkroczył Brian. Wykazał się dużym wyczuciem czasu. Czy to nie fascynujące, jak działa jej ochrona?

- Już jesteśmy, kochanie. Przepraszamy. - Obydwoje z Brianem, nie patrząc sobie w oczy, zamieniają się miejscami przy łóżku córki.

- Co się stało, mamó? Tato? - Zelda jest wytrącona z równowagi, co było do przewidzenia.

- Nic, kochanie, wszystko w najlepszym porządku. Skończyłaś już? - Zabiera tacę i stawia ją na podłodze tuż przed drzwiami. - Poszło, jak zwykle, o pieniądze. Wiesz, że to najczęstsza przyczyna małżeńskich kłótni. - Uśmiecha się, przekonana, że Brian ją poprze, i siada obok niego. - Powiem ci, w czym jesteśmy zgodni. Przede wszystkim chcemy cię wydostać z tego szpitala i zabrać do domu, gdzie będziemy mogli odpowiednio się tobą zaopiekować i trochę cię wzmocnić. Mam rację, Brianie?

Gdy mąż sięga niezgrabnym ruchem po dłoń Zeldy, Riba gorączkowo obmyśla nowy plan. Widząc teraz, jak głęboki jest sprzeciw Briana, nie ma wyboru - musi działać samotnie i potajemnie. Byłoby nieuczciwie mieszać do tego biedną Zeldę, która nie powinna wiedzieć o niczym, dopóki nie pozostanie godzina do odlotu, a ojciec nie wróci bezpiecznie do pracy. Dzięki temu córka nie będzie musiała kłamać.

Umysł Riby pracuje bez wytchnienia. Trzeba się upewnić, że Briana nie ma przy okienku EconoCar na lotnisku, kiedy będą wsiadać do samolotu. Czy powinna jakoś odwrócić jego uwagę? Musi też zmienić biuro podróży; i zapewne lepiej nie płacić za bilety kartą kredytową.

Dostrzega, że wychudzona ręka Zeldy tonie w potężnej dłoni Briana. Jest niezmiernie ostrożny i trzyma ją tak lekko i delikatnie, jakby to był maleńki, skaleczony ptaszek. Riba czuje łzy napływające do oczu.

- Może odmówimy krótką modlitwę dziękczynną? Bądź co bądź spotykamy się wszyscy razem po raz pierwszy od dnia katastrofy.

Przesycony unoszącymi się woniami wilgotnej tkaniny, smażonej cebuli, hamburgerów, dymu papierosowego i kawy bar samoobsługowy Kylemore przy O'Connell Street wypełnia zróżnicowana klientela: grupki studentów i uczniów, starsze panie siedzące parami, zmęczeni sprawunkowicze i kilku robotników, zabijających czas między wyjściem z pracy o piątą a kinem o szóstą. Znajdują tu również chwilowe schronienie dwaj chudzi, obdarci mężczyźni, pieczołowicie przytrzymujący stopami sfatygowane plastikowe torby.

Każdy z nich siedzi sam przy stoliku, na którym stoi tylko filiżanka z niedopitą herbatą, zdaniem Sophie dawno wystygłą. Deszcz przestał padać, ale okna pokrywa skroplona para.

Sophie pragnęłaby jakoś odmienić ten lokal, zerwać płytki z podłogi i zastąpić je czymś jaśniejszym i bardziej fantastycznym. Przynajmniej naczynia nie są papierowe.

Jest już dziesięć po piątej, a Donny'ego ani śladu.

Siedząc przy oknie tuż koło wejścia, Sophie ma dobry widok na otoczoną wapiennymi stopniami fontannę Anny Livii pośrodku ulicy. Ten dar osoby prywatnej dla miasta jest przedmiotem drwin większości dublińczyków, którzy rzucają tam pojemniki po fast-foodach, puszki, butelki, niedopałki i jeszcze gorsze rzeczy. Sophie przejeżdżała obok niej tysiąc razy, kierując tylko krótkie, pełne niesmaku spojrzenia na cały ów śmietnik. Teraz jednak, gdy ma czas przyrzeć się uważniej, stwierdza, że fontanna wcale nie jest taka zła - zgrabna rzeźba z brązu, przedstawiająca rzekę Liffey jako pólężącą syrenę, po której woda spływa do sadzawki.

Było to trzecie z kolei jej ulubione miejsce spotkań, obok Clery's „pod zegarem” i Eason's, w czasach, gdy umawiała się na randki. Popija kawę i uśmiecha się lekko na wspomnienie, jak to razem z Eily, chwając się w swoich butach na koturnach, mijają pośpiesznie ten właśnie punkt w drodze na pierwszą podwójną randkę z Michaeliem i Briannem. Sophie nalegała na spotkanie w czwórkę, gdyż na tym etapie nie miała jeszcze przekonania do rugbyistów. W szkole przez cały okres dojrzewania inne dziewczyny ostrzegały ją, że ambicją każdego rugbyisty jest deflorowanie dziewczyc i przechwalanie się tym później w barach.

W rzeczywistości zabawa w klubie rugby, gdzie poprzedniego wieczoru poznały przyszyłych mężów, była zwieńczeniem ich pierwszej wyprawy w niezbadane pod względem towarzyskim rejony południowej części miasta i obie miały lekką treść.

A przynajmniej miała ją Sophie. To Eily, jak zawsze, zaproponowała odmianę. Znudzona klubami tenisowymi, do których zazwyczaj chodziły, podsunęła, żeby spróbować GAA. Szybko jednak rumiani hokeiści i futboliści okazali się zbyt prostaccy jak na jej gust i w końcu nakłoniła Sophie do wkroczenia w nieznane sfery graczy w rugby.

- Nie bądź takim tchórzem - przekonywała, spryskując włosy lakierem tak obficie, że Sophie omal nie zaczęła się dławić. - Czas rozwinąć skrzydła. Popadamy w okropną rutynę.

Temu nie dało się zaprzeczyć i nawet Sophie musiała przyznać, że w ich życie wkradła się nuda. A zatem, napięta lecz podekscytowana, wyperfumowana, z oczami podkreślonymi kredką, ruszyła niepewnie u boku przyjaciółki ku nowym niezdoznanym terenom na drugim końcu miasta.

Jak się okazało, na pierwszy rzut oka atmosfera w nieznanym klubie nie różniła się od tej, do której przywykły. Muzyka, na przykład, była identyczna. Później jednak zaczęły wychodzić na jaw drobne, subtelne różnice. Młodzi ludzie wydawali się tutaj głośniejsi, bardziej pewni siebie, przystojniejsi, o czyściejszej cerze i gęściejszych włosach, wyżsi niż znajomi Eily i Sophie, choć w przypadku dziewcząt trudno to było orzec na pewno z powodu butów na koturnach.

Już po kilku minutach Eily wypatrzyła zdobycz.

Wciąż stały niepewnie w pobliżu wejścia, gdy jej spojrzenie padło na Briana. Siedział z jakimś rozbawionym towarzystwem przy barze, emanując spokojem i pewnością siebie. Eily szturchnęła Sophie pod żebra.

- Oto dzisiejszy cel.

- Który? - Sophie, nadal zdezorientowana, próbowała coś dostrzec przez zawieszinę papierosowego dymu.

- Ten wysoki blondyn. O Boże! - pisnęła nagle Eily. - Spójrz w inną stronę, szybko. Zauważył, że na niego patrzymy!

Wybuchnęła perlistym śmiechem, zupełnie jakby usłyszała najzabawniejszy na świecie kawał. Odchyliła głowę, prężąc szyję i odsłaniając głębokie wycięcie dekoltu. Podstęp zadziałał, ponieważ upatrzonego obiekt zbliżył się do nich bardzo szybko. Towarzyszył mu drugi chłopak, ciemnowłosy i nie tak dobrze zbudowany, lecz mimo to przystojny.

Przedstawili się - ku zdumieniu Sophie i Eily, które przywykły do kiwnięcia głową lub, w najlepszym wypadku, niedbałego mruknięcia: „Zatańczysz?”.

Drugi chłopak, który nazywał się Michael Dolan, wykazał większą śmiałość niż jego kolega.

- Sophie? Co za staroświeckie imię. Miałem ciocię Sophie, a raczej ciocię-babcie. Au!

- W tym momencie dostał kopniaka od Briana, który posłał mu na dokładkę mordercze spojrzenie, lecz Michael bynajmniej nie spuścił z tonu. - Spokojnie, Brian, to był komplement. Przecież mówię o mojej krewnej, na miłość boską. - Bez dalszych wstępów, pewny zwycięstwa, ujął dłoń Sophie. - Masz ochotę zatańczyć, ciociu?

Poruszał się rytmicznie, acz konwencjonalnie, a ponieważ w tamtych czasach tańczyło się raczej obok siebie niż z sobą, Sophie mogła dobrze obejrzeć partnera. Spodobało jej się to, co zobaczyła. Jeśli nawet zamierzał pozbawić ją dziewictwa, nie okazywał tego. Zachowywała jednak ostrożność, pamiętając opowieści koleżanek.

- O rany, Sophie! - wykrzyknął pod koniec tańca. - Twardy z ciebie orzech do zgryzienia, ale ja lubię wyzwania. Też ci się spodobam, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Oczywiście, że jej się spodobał i parsknęła śmiechem, gdy żartobliwie wytknął jej pruderię graniczącą z ascezą i dobrodusznie wyśmiewał jej wrodzoną skromność. Wywierała na niego korzystny wpływ, ponieważ w jej obecności powstrzymywał się od wulgaryzmów. Spoglądając wstecz, Sophie zdaje sobie sprawę, że potraktował ją jak rzadki gatunek motyla i zwabił do siatki.

Z tych wspomnień wyrywa ją widok Donny'ego, pędzącego ulicą. Zadyszany, staje przy jej stoliku.

- Przepraszam za spóźnienie, ciociu - rzuca nerwowo - ale była kolejka do komputerów i dorwałem się do sieci dopiero pół godziny temu. Powinienem był pojechać do domu i skorzystać z własnego. Wybacz.

Sophie dostrzega gruby plik kartek formatu A4 w ręku chłopca.

- Spokojnie, Donny - uśmiecha się do niego - nie spóźniłeś się aż tak bardzo. Siadaj. Co ci zamówić?

Chłopiec ciska papiery na stolik.

- Sam sobie zamówię. Wezmę colę. - Po chwili wahania dodaje: -I może jeszcze hamburgera, dużego. Umieram z głodu. Jedna chwila, ciociu.

Sophie nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Odkąd Donny skończył dwanaście lat, zawsze myśli o jedzeniu albo ma je przy sobie. Patrzy na chłopaka, omijającego stoliki w drodze do kasy i szukającego pieniędzy w kieszeni. Włosy sterczą mu na wszystkie strony i przypomina niezgrabnego żrebaka, który nieoczekiwanie odkrył, że wyrasta na pełnokrwistego konia. Ma ochotę przygłodzić jego zmierzwione kosmyki, wyprostować kołnierzyk koszuli, poprawić kurtkę, marszczącą się na plecach. Zauważa, że buty Donny'ego są brudne i zniszczone - gdyby był jej synem, dawałaby mu co rano w skórę.

Bierze papiery, które rzucił na stół, i widzi, że są to wydruki komputerowe z internetowych stron, dotyczących szpiczaka mnogiego. Zaczyna je czytać, lecz choć skupia się na informacjach, niewiele w nich znajduje nowego; zanim Eily odwróciła się od tradycyjnej medycyny, przemierzyły wszelkie boczne drogi, sprawdziły najnowsze osiągnięcia na tym polu, napotykać za każdym razem barierę nie do pokonania. Szpiczak pozostaje nieuleczalny pomimo wszelkich badań, teorii i terapii, i można liczyć najwyżej na zahamowanie lub lekkie cofnięcie objawów. Przegląd wydruków Donny'ego nie wywołuje w niej optymizmu co do rokowań Zeldy. Jeden dotyczy leków nowej generacji, tak zwanych

inhibitorów proteosomowych, które zabijają komórki szpiczaka, a także inne złośliwe komórki, które wiążą się ze szpikiem kostnym i dlatego nie działa na nie chemioterapia. Jest to tylko rozwinięcie teorii, którą Sophie już zna, i zapewne upłyną lata, zanim udostępni się tę kurację szerszemu gronu pacjentów.

Jej oczy przyciąga słowo „talidomid”. „Talidomid uśmierca komórki nowotworowe, zmienia interakcje komórek szpiczaka i szpiku kostnego, przewycięża odporność komórek nowotworowych na chemioterapię, pobudza aktywność systemu immunologicznego pacjenta...”.

Donny wydrukował także wielostronicowe sprawozdanie z badań nad szczepionką. Sophie patrzy na ostatnią stronę i zauważa zaznaczone jaskraworóżowym markerem adnotacje, które sugerują, że nowe metody leczenia wydają się bardziej efektywne i mają mniej skutków ubocznych niż aktualnie dostępne metody terapii, a ponadto w znacznej mierze poprawiają jakość życia i wspomagają walkę o przetrwanie pacjentów ze szpiczakiem mnogim.

Nigdzie nie padło słowo „wyleczenie”. Sophie unosi wzrok; Donny zmierza w jej kierunku. Układa kartki w schludny prostokąt, przyglądając się tacy, którą trzyma chłopiec - sterta kurzych udek, frytki, szarlotka i olbrzymi kubek coca-coli. Pod badawczym spojrzeniem Sophie jego twarz oblewa się rumieńcem.

- No co? Właściwie nie jadłem lunchu. Odsuwa jego krzesło.

- Siadaj, skarbie. I na miłość boską, nie musisz się tłumaczyć. Jedz, ile zechcesz. Jesteś chudy jak szczapa! Szkoda, że nie pozwoliłeś mi zapłacić. Ile to wszystko kosztowało? Gdybym wiedziała, że aż tyle weźmiesz...

- O, ostatnio wiele się zmieniło i pieniądze nie stanowią problemu - odpowiada i rzuca się na jedzenie. - Najprawdopodobniej mógłbym zamówić przez telefon tyle biletów na koncerty, ile by mi się spodobało, i obciążyć kartę kredytową mamy albo taty, a nikt by nawet nie mrugnął okiem. O ile w ogóle cokolwiek by zauważyli. To właściwie żalosne.

Sophie czeka, podczas gdy Donny łąpczywie pochłania posiłek. Wreszcie, tak cicho, jak pozwala panujący wokół gwar, pyta:

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Chłopak przetyka to, co ma w ustach, i mówi z uniesieniem:

- Chciałbym, żebyś z nimi pomówiła, ciociu. Widziałem, że czytasz moje materiały. Zwróciłaś uwagę na ten fragment o pobieraniu limfocytów T od rodzeństwa? Specjalnie to zaznaczyłem.

- Tak, Donny...

Wpada jej w słowo, uniemożliwiając rozwinięcie myśli.

- To coś zupełnie nowego. Może nawet przełom, na który czekamy. Od początku śledzę te badania i widzę, że to nowa metoda, inna niż przeszczepy szpiku. - Bierze udko kurczaka, ale nie podnosi go do ust. - Chciałem oddać swój szpik, lecz najwyraźniej nikogo to nie interesuje. - Nie sposób nie zauważyć goryczy i desperacji chłopca. - Proszę cię, ciociu, porozmawiaj z nimi!

Sophie patrzy na niego i serce jej się kraje.

- Jeżeli to naprawdę nowa metoda, może powinieneś najpierw pomówić z tatą...

Donny wpatruje się w tacę.

- Nie ma po co. I tak nie zwróci uwagi. Bo to ona wszystkim steruje. Zresztą on leży w szpitalu, prawda? Dlatego prosiłem cię o spotkanie, ciociu. W tobie moja ostatnia nadzieja.

Rozdział 12

Następnego ranka, gdy tylko Brian wychodzi z domu, by się zająć własnymi sprawami, Riba zaczyna działać. Gorączkowo obmyśla plan i wszystko ma ustalone, przynajmniej teoretycznie. Decydującą rolę odgrywa czas.

Przez lata cierpiała w milczeniu, z wysiłkiem tłumiąc ziewanie, kiedy mąż w podnieceniu odczytywał jej głośno „ABC”, biblię linii lotniczych, i podziwiał system, dzięki któremu na samolot Air India z Bombaju mogą spokojnie zdążyć pasażerowie nocnego lotu z Singapuru. Opłacała jej się ta tolerancja, ponieważ przyswoiła sobie drogą osmozy umiejętność posługiwania się „ABC” i sięgnęła po rozkład, ledwie Brian poszedł na górę spać.

Zmieniła zdanie co do bezzwrotnych biletów. Po tym, co przeszły, będą potrzebowały wszelkich możliwych gwarancji i wygód. Zaslugują też na klasę biznesową. Mając w pamięci wczorajszą sprzeczkę, a także fakt, że Brian zarabia na wszystko ciężką pracą, Riba winszuje sobie, że zyskała kredyt zaufania, gdyż od początku małżeństwa rozważnie wydawała pieniądze - pomimo niewinnych kłamstw w kwestii gotówki, jakich wymaga członkostwo w organizacji Jaya. Obiecuje sobie, że po tej wyprawie będzie jeszcze rozważniejsza.

Szybki, potajemny telefon do miejscowej agencji ujawnia, że najlepszą okazją są w tej chwili przeloty liniami Air France przez Paryż i że połączenia dobrze funkcjonują. Riba i Zelda mogą dostać się na Wyspę Palm przez Paryż i Antiguę za dodatkowe czterysta dwadzieścia trzy funty szterlingi, czyli niecałe pięćset funtów irlandzkich. Śmieszna suma, doprawdy, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że

można się spodziewać odszkodowania za katastrofę. W skrzynce już zaczęły się pojawiać listy.

A zatem Riba odwołuje rezerwację w poprzednim biurze - które jeszcze nie dostarczyło biletów - i jedzie taksówką do centrum miasta. Wybrała agencję Thomasa Cooka naprzeciw Trinity College z uwagi na rozmiary lokalu, wystarczające - ma nadzieję - by mogła dokonać rezerwacji, unikając pytań jakiegoś dawnego kolegi Briana. Jej sińce już prawie znikły i nie powinny wzbudzić niczyjej ciekawości.

Ruch uliczny jest wyjątkowo mały. Riba znalazła się w mieście po raz pierwszy od katastrofy i dzięki wrażliwości na atmosferę i nastrój wyczuwa, że Dublin jeszcze się nie otrząsnął po tym szoku. Klienci sklepów, nawet ci młodszy, wydają się poruszać z mniejszą werwą, a stare kamienne mury Trinity College wyglądają posępnie mimo jaskrawego blasku słońca.

Wysiada z taksówki i zagląda przez okno do biura. Bardzo dobrze. Liczny, w większości wolny personel. Nieoczekiwanie ogarniają ją wątpliwości. Czy jej się uda? Czy

powinna podejmować tę próbę tak wcześnie? Abstrahując od Zeldy, czy ona sama będzie w stanie wejść na pokład samolotu?

Prostuje plecy. Z pewnością zdoła polecieć. Czyż nie istnieje powiedzenie, że jeśli się spadnie z konia, należy natychmiast dosiąść go z powrotem? Dziękuję także Bogu - i chroniącej ją sile - za to, że w samolocie Tary ani na chwilę nie wypuściła z rąk torebki, gdyż dzięki temu nie straciły paszportów razem z całym bagażem. Nie. To im było pisane.

Otwiera drzwi i posyła najmiłszy ze swych uśmiechów pracownicy, która prosi ją, by usiadła. Riba stara się zachowywać swobodnie, po-dając zapamiętane numery lotów i rodzaje połączeń linii Air France Liat, i skupiając się na przesyłaniu łagodnych komunikatów myślowych dziewczynie - młodej i ładnej, mówiącej z delikatnym szkockim akcentem.

- Tak, proszę pani - odpowiada agentka - są jeszcze wolne miejsca. Czy mam zarezerwować bilety?

- Bardzo proszę - Riba łaskawie kiwa głową. Dziewczyna patrzy w monitor.

- Jaka forma płatności?

To jest niepewny punkt. Riba bierze głęboki oddech.

- Czek - oświadcza stanowczo.

Na twarzy agentki odbija się wahanie. Zdejmuje dłonie z klawiatury

- Nie wiem, czy to będzie możliwe, proszę pani. Dzisiaj jest sobota. Mamy wprawdzie umowę dotyczącą przyjmowania czeków, ale banki są zamknięte, a przy rezerwacji na wtorek... potrzebujemy kilku dni, żeby rozliczyć pani czek.

- Rozumiem pani punkt widzenia. - Riba uśmiecha się miło, po czym, jakby właśnie jej to przyszło do głowy, dodaje: - Już wiem, może pani wziąć numer mojej karty kredytowej i gdyby, broń Boże, zdarzył się jakiś problem z czekiem, będziecie zabezpieczeni.

Dziewczyna nie kryje zdziwienia.

- Ale dlaczego nie chce pani skorzystać z karty?

Riba, przygotowana na to pytanie, zniża głos, co sprawia wrażenie, jakby powierzała swej rozmówczyni jakąś tajemnicę.

- Tak się składa, że ma to być niespodzianka dla mojej córki. - Pochyla się lekko. - Ona... niezbyt dobrze się czuje - znaczącym gestem dotyka głowy - i pomyśleliśmy, że przyda jej się trochę słońca. Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć, nie sprawia kłopotów ani nic w tym rodzaju, to po prostu drobne zaburzenia odżywiania, wie pani, o co chodzi, ale jednym z objawów jest lekka obsesja... no cóż, więcej niż lekka obsesja na tle pieniędzy. Uważa, że wszystkim nam grozi nędza, a ponieważ jest geniuszem informatycznym, nie da się jej oszukać. Bez przerwy surfuje po Internecie, sprawdza nasze transakcje w sieci i stan kont. -

Riba wzrusza ramionami, hipnotyzując dziewczynę spojrzeniem. - Nie chcę, żeby się za wcześnie dowiedziała, bo gotowa pomyśleć, że to zbyt duży wydatek i odmówić wyjazdu.

Wie, że jej wyjaśnienia brzmią dość dziwnie, ale mimo wysiłków nie potrafiła wymyślić nic lepszego w tym krótkim czasie, jaki upłynął od sprzeczki z Brianem. Ponownie uśmiecha się do dziewczyny, przeszywając ją głębokim spojrzeniem piwnych oczu i śląc w jej stronę pozytywne myśli, zdecydowana dopiąć swego siłą własnej osobowości. Agentka zaczyna się wahać.

- Chwileczkę, proszę pani, zobaczę, co da się zrobić.

Dziesięć minut później Riba z biletami w torebce maszeruje przez skwer obok uniwersytetu. Powoli wypuszcza powietrze, z uczuciem, że - podobnie jak miasto - bardzo długo wstrzymywała oddech.

Podchodzi do bankomatu Banku Irlandii i wypłaca pięćset funtów, maksymalną kwotę, na jaką pozwala jej karta. Następne pięćset podejmie na lotnisku, tuż przed wejściem na pokład samolotu. Tysiąc powinien im wystarczyć na nieprzewidziane wydatki. Wysepka Jaya leży w Trzecim Świecie - ileż można tam wydać?

Zamyślona Riba zaczyna przeglądać witryny sklepowe. Co przywieźć w prezencie Jayowi jako gospodarzowi? Z pewnością coś wartościowego...

Zimowe sobotnie przedpołudnia były niegdyś dla Sophie i jej męża porą relaksu: snuli się po domu, jedli ciepłe śniadanie, czytali weekendowe dodatki do gazet, a potem krążyli po miejscowym supermarkecie. Ale od jakichś dwóch lat, odkąd EconoCar zaczął dotrzymywać kroku krajowemu wzrostowi gospodarczemu, presja wzrosła i teraz sobota wyglądała tak samo, jak inne dni tygodnia.

Ten sobotni ranek okazał się słoneczny i wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku. Michael już dawno pojechał na lotnisko, a Sophie doszła do wniosku, że nie będzie smętnie łaziła z kąta w kąt, zamartwiając się utratą pracy. Dzień był prześliczny - nie mogła go zmarnować. Uzbierało się, na przykład, kilka rolek filmu do wywołania. Ubrała się szybko i w ostatniej chwili pojechała do Phoenix Park, by obfotografować do końca swój buk. Właściwie nie miało to już znaczenia, lecz z jakiegoś powodu zajmowanie się, acz bezcelowe, sprawami zawodowymi poprawiało jej samopoczucie.

Kwadrans po dziesiątej ostatnia rolka, wraz z czterema innymi, znajdowała się już w One Hour Photo w Ilac Centre, jednym z lepszych -jej zdaniem - punktów firmowych. Nigdy nie myślała o własnej ciemni: „Wild Places” nie należało do czasopism wydobywających

fotograficzne niuanse, a zresztą dlaczego nie miała skorzystać z postępu technicznego nowej ery? Jeszcze dziesięć czy dwanaście lat temu, przed pojawieniem się centrów handlowych i usług korespondencyjnych, żeby wywołać film, należało zanieść go do najbliższej drogerii i czekać nawet tydzień.

Kiedy otwiera drzwi po powrocie do domu, zrobiwszy po drodze zakupy spożywcze, potyka się o stertę ulotek reklamowych, dostarczonych w czasie jej nieobecności. Ten rodzaj poczty wzbudza w Sophie mieszane uczucia: nie znosi ich natarczywości, mierzi ją marnotrawienie zasobów naturalnych, nie potrafi jednak zdobyć się na to, by od razu wyrzucić wszystko do kosza. Nieco zawstydzona, przysiada i przegląda oferty, obejmujące przycinanie drzew, wywóz śmieci, budowę oranżerii, wymianę okien oraz sprzedaż trzech sztuk za cenę dwóch, co dotyczy wszelkich możliwych towarów, od mrożonych kurczaków po waciki pielęgnacyjne dla niemowląt. Wśród tych ofert znajdują się dwie gazety: lokalny dodatek okolicznościowy i biuletyn organizacji Jaya Streeta.

Sophie chowa zakupy, nalewa sobie filiżankę kawy, odkłada na bok gazety i siada z reklamami przy kuchennym stole. Przegląda je pobieżnie i drze wszystkie prócz jednej - amatorskiej oferty Tony'ego Złotej Rączki: układanie dachówek i kafelków, instalacje wodno-kanalizacyjne, stolarka, wywóz śmieci. Każda praca się opłaca. Przerzuciwszy numer biuletynu, zawierający jak zwykle wywiady, rozmazane fotografie i wyrazy poparcia dla działalności Streeta, zamierza wyrzucić go również do kosza, lecz jej uwagę przykuwa barwne ogłoszenie, które już wcześniej widziała. Poczesne miejsce zajmuje duża fotografia mistrza, stojącego bosą na piasku w białym garniturze i pod białym baldachimem na tle szmaragdowozielonego morza. Uśmiecha się dobrotliwie i rozpościera ręce w geście błogosławieństwa. Choć Street jest gładko ogolony, nowocześnie ubrany i ostrzyżony, na zdjęciu przypomina Jezusa ze świętych obrazków, które w dzieciństwie Sophie przechowywała między kartkami modlitewnika. Poniżej widnieje następujący tekst:

Zawrzyj związek małżeński lub odnów dawne przysięgi na rajskiej wyspie. Niechaj szum oceanu przypieczętuje Wasz związek. Powróć do POCZĄTKÓW dzięki prostej, czystej, lecz doniosłej uroczystości. ŻADNYCH KŁOPOTÓW przedtem ani potem. Wszelkie tutejsze formalności bierzemy na siebie. Wystarczą wam TE SAME dokumenty, których wymaga się przy zawieraniu małżeństwa w Irlandii oraz paszporty. Zakwaterowanie z pełnym wyżywieniem do dwóch tygodni w oddzielnych, krytych strzechą bungalowach wśród egzotycznych, dzikich lasów urzekającej wyspy. ALE Z WSZYSTKIMI WYGODAMI!

Podróż, zakwaterowanie i opłaty urzędowe w ramach jednej, łatwej do uiszczenia, uzgodnionej płatności. Przejazd z lotniska limuzyną, kwiaty, tort weselny i tradycyjna UCZTA WESELNA do 12 osób włączone w koszt. Muzyka (regionalny zespół perkusyjny), zdjęcia i nagrania wideo na życzenie. Dostępne również przeloty pierwszą klasą oraz luksusowe apartamenty. JESTEŚCIE TEGO WARCII! Ceremonie prowadzi OSOBIŚCIE Jay Street za oficjalnym zezwoleniem Biura Ślubów, Wyspa Palm.

Dalej podawano adresy kontaktowe w Irlandii. Ogłoszenie ma najwyraźniej charakter ogólny, ponieważ słowo „Irlandia” w tekście głównym wydrukowano słabszą czcionką.

Sophie zastanawia się nad typem ludzi, którzy pragną zostać sobie zaślubieni przez Jaya Streeta osobiście. Przypuszczalnie są to jego wyznawcy, gotowi wysupłać ciężko zarobione pieniądze, byle tylko znaleźć się przed obliczem swego charyzmatycznego mistrza. Ludzie, którzy bardziej wierzą w niego niż we własnych przyjaciół i krewnych. Tacy jak biedna, wrażliwa i bezbronna Eily.

Chcąc być szczerą, Sophie musi przyznać, że Jay Street dokonał jednego prawdziwego cudu: uwolnił Eily od skruchy i poczucia winy wobec tej pary kanciarzy, którzy ją wychowywali.

Gdy rodzice Eily zginęli w wypadku samochodowym, czworo z pięciorga krewnych, którzy mogli się nią zaopiekować, nie nadawało się do tego. Babka ze strony matki, wdowa po siedemdziesiątce, cierpiała na zaawansowany artretyzm, a choroba ta właściwie uniemożliwiała jej poruszanie się, z pewnością więc nie dałaby sobie rady z dzieckiem. Siostra matki była zakonnicą w angielskim klasztorze, a dwaj bracia ojca, kawalerowie i alkoholicy, mieszkali razem na brudnej i nędznej farmie w hrabstwie Mayo. Nawet gdyby mogli, nie chcieliby się podjąć wychowywania małej dziewczynki.

Za to trzeci wujek, żonaty lecz bezdzietny, prowadził sklepik z artykułami spożywczymi i gazetami w tej samej podmiejskiej dzielnicy Dublinu, w której mieszkały Eily i Sophie. Na początku wszystko wyglądało pięknie: dziecko w domu stanowiło atrakcję i wujostwo pławili się w wyrazach uznania ze strony przyjaciół, sąsiadów i klientów.

- Podziwiam was, żeście się zajęli tym biedactwem!

- No, a jakże by inaczej? Przecież to nasza krewniaczka.

Gdy jednak nowość się opatrzyła, a wystraszony, uległy brzdąc o oczach jak z bombonierki i bujnych ciemnych włosach przeobraził się w nieposłuszną dziesięciolatkę, mającą własny rozum, atmosfera wyraźnie się popsowała. Wuj wierzył w porzekadło dotyczące

karcenia niesfornych dzieci za pomocą różgi, w związku z czym wszelkie odszczekiwanie i zuchwałe spojrzenia były surowo karane. Wielokrotnie rodzina Sophie musiała pocieszać Eily, gdy wieczorami uciekała z domu, by u nich leczyć rany.

Wujostwo wysługiwali się podopieczną również w sklepie, czyniąc z niej darmową ekspedientkę i posługaczkę, przez co Eily zmuszona była odrabiać zadania domowe między jednym a drugim dzwonkiem kasy, ustawiając jednocześnie towary na półkach i taszcząc torby z zamówionymi artykułami, tak że w szkole nieustannie karano ją za nieprzystosowanie. Największy ruch panował w weekendy, zwłaszcza że był to jedyny sklep w okolicy otwarty w niedzielę, lecz choć krewni Eily niestychanie wydziwiali, ilekroć rodzina Sophie zapraszała ich podopieczną, nie wyrażali otwartego sprzeciwu, obawiając się, że zabrzmi on niedorzecznie.

Gdyby nie te chwile wytchnienia, Eily właściwie nie miałyby dzieciństwa.

Sklep nie istniał od dawna - został sprzedany sieci supermarketów, a wkrótce po ślubie Eily wuj i ciotka zmarli w odstępie sześciu tygodni: ciotka przeżyła kilka dni po wylewie, a wuja we własnym ogrodzie powalił atak serca.

Ustalono niebawem, że cały majątek zapisali na Kościół, a ponadto, z nieznanych przyczyn, Eily otrzymała część tej sumy, choć o nic się nie ubiegała.

Ku zdumieniu Sophie, jej przyjaciółka była przekonana, że to z własnej winy nie została uwzględniona w testamencie, ponieważ nie wchodziły w grę żadne inne okoliczności. Niezależnie od przeprowadzanych dyskusji i sporów, Eily zawsze czuła, że w jakiś sposób zawiodła swych opiekunów i że wykreślenie z testamentu oznaczało głęboką urazę wujostwa.

- Wiesz, że nie chodzi o pieniądze, Soph - tłumaczyła wciąż od nowa przy stole, to u siebie, to u Sophie. - Powinnam była ich częściej odwiedzać. W końcu zaopiekowali się mną, choć wcale nie musieli -mogłam wylądować w którejś z tych okropnych instytucji państwowych, a nawet nie było mnie przy nich, kiedy umierali.

- A jak mogłaś być? Obydwoje umarli niespodziewanie, a ty przecież odwiedziłaś ciocię w dniu śmierci.

- No tak, ale była nieprzytomna i nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności.

- Na pewno zdawała sobie sprawę, Eily. Sama wiesz, co mówią: że zmysł słuchu towarzyszy człowiekowi do samego końca.

- I w dodatku na jej pogrzebie - Eily nawet nie słuchała - powinnam była bardziej się przejąć. Nawet niespecjalnie płakałam. On pewnie pomyślał, że jestem niewdzięczną suką, pozbawioną serca. Musiał czuć się okropnie, nie mając na świecie nikogo prócz tych dwóch pijaków na wsi.

Dyskusje trwały, dopóki Sophie nie zdała sobie sprawy, iż wszelkie argumenty mijają się z celem, podobnie jak wytykanie, że tenże sam wuj był zajadłym, mściwym sadystą, który zamieniał życie swej wychowanki w piekło. Przyjaciółka po prostu nie mogła przewyciężyć tych niepojętych uczuć, a Sophie pozostało tylko słuchać i jak najmniej mówić.

Dopiero gdy Eily poznała Jaya Streeta i zaczęła z nim „współpracować”, pozbyła się owego wrażenia „niedokończonej sprawy” i znalazła spokój. To jedno trzeba było mu przyznać.

Prowadząc samochód, Brian odczuwa ból i żałuje, że tak pochopnie pozbył się sztywnego kołnierza ortopedycznego. Jak na ironię, ręczny układ sterowania chyba jeszcze pogarsza sprawę. Dlatego Brian z wyraźną ulgą parkuje przy krawężniku przed hotelem Gresham na O'Connell Street, gdzie -jeśli dopisało mu szczęście - powinien już czekać klient. Niewątpliwym atutem jest nalepka inwalidzka na przedniej szybie, stanowiąca mocny argument przeciw założeniu blokady na koła.

Rano na lotnisku panował spory ruch, ponieważ zjawilo się wielu uczestników pewnej konferencji - a Yvonne Leonard zadzwoniła, że jest chora. Tak czy inaczej, dostarczyłby samochód osobiście, gdyż wypożycza go za darmo, w ramach rewanżu za przysługę oddaną przez stałego klienta, który stracił nogę w wypadku na budowie, a po latach odniósł sukces jako przedsiębiorca budowlany.

Koniunkturze zaczęły towarzyszyć dodatkowe korzyści, takie jak miejsca na trybunie w Anfield. Pod choinkę Donny dostał, oprócz Gameboya i nowego zestawu stereo, zaklejoną kopertę, zawierającą zaproszenie na trybunę dla niego i osoby towarzyszącej. W zaproszeniu znalazła się informacja, iż zostaną odebrani z lotniska i odwiezieni na stadion, gdzie dostaną także „poczęstunek”. Ponadto - co stanowiło dodatkową atrakcję - mieli po meczu odwiedzić szatnię, w której Donny, gdyby los się do niego uśmiechnął, mógłby zostać przedstawiony swoim bohaterom, Fowlerowi i Owenowi.

Gdyby tylko na tym się skończyło! Sophie dostąpiła przywileju -jeśli można to tak określić - wglądu w zgromadzony przez przyjaciółkę zbiór „jayorabiliów”, czyli napisanych przez niego broszur i rozpraw, osobiście polecanych książek, odręcznych notatek, które udało jej się zagarnąć i które obłożyła pieczętówką w przezroczystą folię. Najcenniejszymi eksponatami w kolekcji Eily były dwa listy z podziękowaniami za przysługi, jakie oddała Jayowi, gdy wizytował swych wiernych zwolenników w Irlandii. Dobrze chociaż, że ten facet rzadko odwiedzał ich kraj, bo kto wie, co by się stało z Eily, gdyby miała z nim częstszy

osobisty kontakt? I tak uważa się za pełnomocniczkę Jaya w Irlandii, a może nawet na całym świecie.

Sophie wpycha biuletyn do kosza na śmieci i spogląda na zegar. Już prawie pora lunchu. Nie ma zbyt wiele do roboty - dokończenie artykułu, które jeszcze wczoraj rano wydawało się tak pilne, może poczekać do poniedziałku. W sumie lepiej wyskoczyć do miasta i sprawdzić, jak wyszły zdjęcia.

Szczęście sprzyja Brianowi: przedsiębiorca i jego żona czekają już na niego, więc rozmowa i formalności zajmują tylko kilka minut. Odprowadza ich do auta, a potem rusza w stronę postoju taksówek.

- Proszę na lotnisko - mówi taksówkarzowi i rozwiewa jego nadzieję na intratny kurs, każąc mu jechać trasą przez Ballymun, o kilka kilometrów krótszą niż dojazd autostradą.

- Jak pan sobie życzy, szefie!

Taksówkarz wciska guziki na liczniku. Mocno. Uruchamia silnik, dodaje gazu i wślizguje się w sznur samochodów, omal nie powodując ataku apopleksji u kierowcy wiekowego Morrisa Minora, któremu zajechał drogę.

Jest jeszcze bardziej zdegustowany, gdy Brian pod wpływem impulsu każe mu wjechać w Parnell Street, zamiast okrążyć Parnell Square.

- Niech pan się tu zatrzyma i zaczeka - mówi, kiedy taksówka znajduje się na wysokości wejścia do Ilac Centre. - Zaraz wracam. - Postanowił wpaść do księgarni Eason's i kupić parę kaset dla Zeldy.

Ostatnimi czasy, odkąd zdał sobie sprawę z własnej bezradności w obliczu choroby Zeldy, Brian miotał się rozpaczliwie i próbował zagłuszyć własne cierpienie, zasypując córkę prezentami, przeważnie dla niej nieprzydatnymi - jak biżuteria, której nie nosi, pluszowe zwierzątka, jasnoróżowa lizeska, a raz nawet dwa bilety lotnicze i karty wstępu na koncert U2 w Ameryce, na który choroba nie pozwoliła jej pojechać. Żona czyni mu z tego powodu wymówki, lecz nadaremnie. Bezczyne stanie z boku nie leży w jego naturze.

Najszybciej jak to możliwe przy jego obecnej niedyspozycji przemierza centrum handlowe i na chybił trafił wybiera kasety: Britney Spears, The Corrs, dźwiękowe nagranie powieści „Wichrowe Wzgórza”. Płaci przy kasie i zawraca w stronę wyjścia na Parnell Street. Ten głąb w taksówce pewnie blokuje ruch, ale to jego problem.

Mijając dużą oszkloną witrynę One Hour Photo, zatrzymuje się na widok znajomej postaci kobiecej. Stoi tuż za drzwiami, tyłem do niego i przegląda odebrane zdjęcia. Brian

podchodzi bliżej, aby się upewnić, a wówczas kobieta się odwraca i dostrzega go. Tak, to ona. Pośpiesznie wychodzi mu na spotkanie.

- Brian, co ty tu robisz? Kiedy opuściłeś szpital?

- Wczoraj. Mick ci nie powiedział? Podwoził mnie. Sophie marszczy brwi.

- Nie rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem ani dziś rano. Wrócił późno i wyszedł, zanim wstałam. - Wskazuje charakterystyczną

torbę z Eason's w zielone i niebieskie pasy. - Jak widzę, nie tracisz czasu. Mam nadzieję, że się zanadto nie forsujesz. Kupiłeś coś fajnego?

Brian spogląda na swoje zakupy.

- Och, to tylko drobiazgi dla Zeldy.

- Prawdę mówiąc - zaczyna powoli Sophie - dobrze się składa, że cię spotkałam. Chcę z tobą o czymś porozmawiać, a wołałam nie dzwonić do was do domu. Masz wolną chwilę?

Brian waha się lekko, myśląc o taksówce, dochodzi jednak do wniosku, że gburowaty taksówkarz może sobie dłużej poczekać. A jeśli nie zaczeka, to trudno. Na szczęście nie należy do facetów, których Brian zna z postoju na lotnisku.

- Jasne, czemu nie? - Uśmiecha się do Sophie. - Zadzwoń tylko do pracy. Jesteśmy teraz bardzo zajęci, ale wytrzymają bez mnie pół godziny.

Wchodzą po drewnianych schodkach, prowadzących do kafejki Jonathan's nad środkową częścią centrum. Na górze Brian rozmawia jeszcze przez komórkę z młodą stażystką. Dziewczyna niezłe sobie radzi. Mick jest gdzieś na terenie lotniska.

Rozmawiając, kiwa z uśmiechem głową, gdy Sophie pyta ruchem warg: „Kawa?” i wskazuje mu stolik.

- Co byśmy zrobili bez telefonów komórkowych? - Zdążyła już wypić jedną trzecią swojej kawy, kiedy Brian wreszcie kończy.

- No tak - potwierdza niewesoło, wciskając się w wąską przestrzeń między krzesłem a stolikiem. - Ale czasami cholernie uprzykrzają życie.

Gawędzą przez chwilę o zaletach i wadach telefonów komórkowych, a potem o dzisiejszej słonecznej pogodzie - i w trakcie tej pogawędki Brian zdaje sobie sprawę, że z każdą sekundą staje się bardziej spięty. Coraz trudniej mu patrzeć Sophie w oczy. Biały wełniany szalik ma owinięty wokół kołnierza jasnobrązowego płaszcza o lekko pomarańczowym odcieniu, uszytego z jakiegoś grubego materiału, który wydaje się sztywny, lecz zgrabnie przylega do jej talii i biustu. Brian nie zna się na modzie, więc nie wie, jak się nazywa ten materiał, ale uważa, że pięknie kontrastuje z bielą i podkreśla ciepły koloryt

twarzy Sophie. Zdjęła czapkę i jej włosy, lekko potargane, lśnią złociście w świetle kawiarnianych lampek.

Czy to nie zabawne, że im więcej kobieta zakrywa, tym usilniej mężczyzna usiłuje sobie wyobrazić, co jest pod spodem? Eily nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Według niej należy demonstrować swoje wdzięki, co czyni z dużym rozmachem. Nawet te cholerne namioty, w których chodzi po domu, mają głębokie dekolty.

Uświadamia sobie, że Sophie umilkła, lecz nie wie, co powiedzieć, ponieważ przestał słuchać. Speszony, grzebie w pamięci, usiłując coś sobie przypomnieć - cokolwiek.

- Masz przepiękny płaszcz - mówi desperacko. - Co to za materiał?

- Spilśniona wełna. Dziękuję. Jest ładny, prawda?

- Tak, bardzo.

Jednocześnie, jakby się umówili, obydwójce rozglądają się po świecącej pustkami kafejce. Patrzą na ogromne malowidła ścienne za kontuarem, na funkcjonalne stoliki i krzesła.

- Dość często bywam w Ilac - mówi Brian - ale tu na górze jestem pierwszy raz.

- „Z wszystkich barów na świecie musiała trafić akurat do mojego”.

- „Casablanca”. Sam nie wiem, ile już razy oglądałem ten film. Leci w telewizji co najmniej dwa razy w roku. Pamiętasz, jak wybraliśmy się całą czwórką do kina w Tramore w tamto okropne bankowe święto, kiedy ani na chwilę nie przestawało lać?

- Pamiętam - uśmiecha się Sophie. - Ten fatalny pensjonat, ten paskudny słony wiatr, który przeszywał nas na wylot. A kino...

- Tutaj przynajmniej pachnie nieco lepiej, a stoliki nie są stłoczone. To mi odpowiada.

- I jest jasno, dzięki Bogu. Nie znoszę ciemnych kawiarni. Ta drewniana podłoga też wygląda całkiem nieźle. To naprawdę mogłoby być sympatyczne miejsce. - Bawi się guzikiem płaszcza, spoglądając w górę na przeszklony sufit.

Ta błaha pogawędka zaczyna się wydawać Brianowi nieco surrealistyczna. Rozmawiają ze sobą jak para szkolnych przyjaciół, którzy nie widzieli się od ostatniego dnia nauki przed wielu laty. Szuka jakiegoś sposobu, by skierować rozmowę na bardziej naturalny, normalny tor.

- O mój Boże - mówi nagle - zupełnie zapomniałem. Twoja praca! Mick powiedział mi o tym dziś rano. To okropne. Bardzo mi przykro.

Sophie skupia się na swojej kawie.

- Niepotrzebnie - odpowiada cicho. - Michael uważa, że to najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przydarzyć. Że mnie trochę rozrusza.

Brian przeżywa chwilę wahania. Po czyjej stronie powinien stanąć? Wie, po czyjej chciałby, ale musi być uczciwy.

- W pewnym stopniu się z nim zgadzam - zaczyna z namysłem. - Oczywiście nie co do tego rozruszania, ale uważam, że mogłabyś znaleźć coś znacznie lepszego, Sophie.

- Czyżby? - Sophie nadal wpatruje się w filiżankę.

- Myślałaś już o tym, co chciałabyś robić? - Brian ma na końcu języka propozycję pracy w EconoCar, lecz powstrzymuje się w samą porę. To byłoby fatalne dla wszystkich. Weźmy choćby sytuację z Yvonne Leonard... Boże, miałby ochotę udusić Micka Dolana.

Sophie kręci głową i wreszcie spogląda na niego.

- Coś się znajdzie. W każdym razie sprawa nie jest bardzo pilna. Nie żyję przecież w nędzy i zapłacą mi za następny miesiąc.

Żeby czymś zająć ręce, choć zawsze pije kawę czarną i niesłodzoną, Brian sięga po cukier. Sophie jednocześnie robi to samo i ich ręce się stykają. Obydwoje cofają je natychmiast.

- Przepraszam.

- Przepraszam.

Jej spojrzenie ponownie wędruje w dół, a Brian gwałtownie szuka czegoś, co mógłby teraz powiedzieć, i z ulgą przypomina sobie, że znaleźli się tutaj z jej inicjatywy.

- A właściwie o czym chciałaś ze mną porozmawiać? To ją ożywiło.

- Chodzi o Donny'ego.

- Co? - Aż otwiera usta ze zdziwienia.

- Spotkałam się z nim. Słuchaj, Brian, to dla mnie trudne i wiem, że nie powinnam się wtrącać w cudze sprawy...

- Spotkałaś się z nim? - Brian nie posiada się ze zdumienia. - Oczywiście, że masz prawo się wtrącać, Soph, i nie mów tak. W czym problem? Coś jest z nim nie w porządku?

- Ta sytuacja z Zeldą kompletnie wytrąciła go z równowagi. - Jej ostry ton zbija go z tropu. - Wiem, wszyscy się denerwujemy - pochyła się lekko w przód - ale czy zdajesz sobie sprawę, że on codziennie przegląda w Internecie najnowsze teorie i sposoby leczenia szpiczaka? Że bez przerwy zgłasza się jako królik doświadczalny do przeszczepów i pozyskiwania komórek, do wszystkiego, co znajdzie, ale nikt na biedaka nie zwraca uwagi? Prosił, żebym z tobą porozmawiała. Podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę, żebyś go wysłuchał.

Brian usiłuje coś zrozumieć. Okruczem świadomości zarejestrował niejasno komputerową aktywność Donny'ego - pamięta nawet strzępki rozmowy o krwi i szpiku kostnym - lecz do tego stopnia pochłonęły go własny smutek, frustracja i prywatna wojna z

Eily, że niewiele uwagi poświęcił opowieściom syna, dochodząc do wniosku, że Donny postępuje w sposób typowy dla nastolatka i dobrze mu zrobi, jeśli uzna, że w tym wszystkim uczestniczy. Brian dostrzega, że Sophie wpatruje się w niego uważnie, z nieśmiałym, a zarazem surowym wyrazem twarzy. Przeczuiwa, że nie spodoba mu się to, co usłyszy.

- O co chodzi, Sophie? - pyta cicho. - Proszę, powiedz wreszcie.

- On ma rację, nikt go nie słucha. Skończył dopiero czternaście lat, ale jego uczucia są równie głębokie i silne jak nasze. Może nawet głębsze. Nie zrozum mnie źle, lecz wydaje mi się, że mimo wszystko trochę zaniedbujemy Donny'ego.

- A zwłaszcza Eily i ja, nieprawdaż? To przecież nasz syn. - Krzepkie i zdrowe serce Briana ściska się z bólu. Biedny chłopak, to oczywiste, że się przejmuje. Patrzy teraz w twarz Sophie. - Pomóż mi z tym, proszę cię. Pomóż mi.

Jej reakcja jest natychmiastowa i zdumiewająca. Zupełnie jakby ktoś jej groził, Sophie zrywa się z krzesła i chwyta torebkę oraz czapkę.

- Nie potrafię ci pomóc, Brianie. - Odwraca się w stronę wyjścia. - Poproś Eily, żeby ci pomogła.

I zbiega po schodach, zanim on zdąży się otrząsnąć.

Rozdział 13

Pani żartuje. Pani chyba, kurna, żartuje! - Yvonne wpatruje się w stojącą naprzeciw niej młodą kobietę. Segregatory, formularze, materiały biurowe, długopisy, pudełka z gumowymi rękawiczkami i środkami odkażającymi oraz inny śmieć zalegający półki -

wszystko to wydaje się nierealne. Cała sytuacja wydaje się nierealna. - Życzę sobie, kurna, dodatkowych badań.

- Ależ oczywiście. - Kobieta, cudzoziemka mówiąca poprawną angielszczyzną, choć z twardym akcentem, zachowuje spokój. - Jak najbardziej. Może zechce się pani porozumieć z lekarzem pierwszego kontaktu? Zapewniam jednak, że to nie pomyłka. Jest pani w dziewiątym, być może dziesiątym tygodniu ciąży. Powinna pani wziąć ulotkę i umówić się na następną wizytę. Trzeba zadbać o siebie. I o dziecko.

- Cholera jasna! - Pod Yvonne uginają się nogi i siada na rozchwianym krześle, jedynym w tym przybytku bez okien. Była ostatnio w złej formie, a brak menstruacji złożyła na karb złego odżywiania i nieprzespanych nocy. Przyszła tu tylko dlatego, że Collette, wszędzie upatrująca dramatów, nieustannie ją o to gnębiła. Aż do tej chwili trwała w przekonaniu, że wystarczy tonik z dodatkiem żelaza czy coś w tym rodzaju. Kiedy jesteś w dołku i świat wali ci się na głowę... i tak dalej.

Nie miałyby pretensji, gdyby nie to, że naprawdę uważała. No, przeważnie uważała - wiadomo, jak to jest: zapominasz o pigułce wieczorem i bierzesz ją nazajutrz rano, a potem nie pamiętasz, czy ją zażyłaś czy nie, więc łykasz dwie naraz i wstrzymujesz się na dobę, żeby nie przedawkować. To przez te cholerne minipigułki. Powinna była zażądać recepty na normalne tabletki antykoncepcyjne.

No cóż, jeśli komuś się wydaje, że ona utyje, zbrzydnie i zmarnuje sobie życie dla dziecka Micka Dolana, to bardzo się myli. Z całą pewnością. Jest młoda, ma całe życie przed sobą. Będzie musiał jej pomóc w pozbyciu się tego kłopotu. Jej samej na to nie stać. To on powinien zapłacić za najlepszą klinikę.

Patrzy z nienawiścią na młodą kobietę. Ta suka nie musi się martwić o przypadkową ciążę. Kto by na nią spojrział, z jej pryszczami, tłustymi włosami i zadowolonym wyrazem twarzy? Pewnie ją podnieca przekazywanie złych wiadomości. Pewnie myśli, że takie dziewczyny jak Yvonne są stupido i najgorszą szumowiną.

- Życzę sobie pomocy psychologa - mówi Yvonne. - Metoda niedyrektywna, czy jak to tam nazywacie.

Nasłuchiwała się już rozmaitych kazań i gładzenia na temat cholernych referendów w sprawie przerywania ciąży w tym cholernym zacofanym kraju - tej bananowej republice, bo inaczej nie da się go nazwać - i wie, że nikt jej nie poda adresów angielskich klinik, dopóki nie przebrnie przez to wszystko. Yvonne nie urodziła się wczoraj.

- Oczywiście - odpowiada młoda lekarka bez mrugnięcia okiem. - Umówię panią na wizytę.

Yvonne krzyżuje ramiona.

- Teraz.

Kobieta wbija w nią wzrok. Yvonne odpowiada tym samym - i zwycięża.

- Proszę za mną.

Wychodzą jedna za drugą z dusznego gabinetu.

Gdy Yvonne wraca do poczekalni, w której siedzi Collette, przypomina chmurę gradową.

- Boże, już myślałam, że umarłaś. Co jest grane? - Przyjaciółka zrywa się z krzesła.

- Muszę się napić - rzuca Yvonne. - Chodź, tam naprzeciwko jest bar.

Przemknawszy się między samochodami, docierają bezpiecznie do drzwi pubu, niedawno odnowionego, wyłożonego ciemną boazerią i ozdobionego wykończeniami z miedzi i mosiądzu, z podłogą wyłożoną ohydnyymi płytkami i z kamionkowymi słojami wystawionymi na kontuarze. O tej porze jest prawie pusto, jeśli nie liczyć kilku stałych klientów przy barze. Przyjaciółki zamawiają bacardi breeze i chipsy i siadają w kącie. Yvonne pociąga wielki łyk, a potem usiłuje zapalić papierosa zapalnikami, które odmawiają posłuszeństwa. Collette, nie mogąc już wytrzymać, daje upust ciekawości.

- Na miłość boską, wyduś to wreszcie z siebie. Co jest?

- Miałaś rację. - Usta Yvonne zaciskają się w brzydkim grymasie, gdy wypuszcza pierwszą smugę dymu. - Muszę jechać do Anglii i to szybko.

- Jezu Chryste! - Oczy przyjaciółki z emocji robią się okrągłe jak dwa księżycy w pełni. - To pewne?

- Dziesiąty tydzień. Swoją drogą, te ich porady... - Yvonne wykrzywia się jeszcze paskudniej, przedrzeźniając panią psycholog. - „Czy ojciec dziecka przyjdzie ci z pomocą, Yvonne?”, „Co do niego czujesz, Yvonne?”, „Jaki jest twój stosunek do dziecka, Yvonne?”, „Czy planowaliście trwały związek?”, „Jak sobie wyobrażasz jego reakcję?” - Jednym haustem łyka połowę swojego drinka. - A jak ona sobie, kurna, wyobraża jego cholerną reakcję? Jak facet może na to zareagować? Zwłaszcza kiedy jest, kurna, żonaty.

- Powiesz mu?

- A jak myślisz? Coś ty, głupia? Jasne, że mu powiem. Skąd bym wzięła tyle kasy? To on ponosi odpowiedzialność. I niech, kurna, nie myśli, że pójdę do jakiejś cholernej nory, gdzie się robi pokątne skrobanki. Nie ma mowy! - Zaciąga się dymem. - Zarezerwowałam miejsce w samolocie na wtorek, załatwią to w środę rano. To gdzieś w centrum Londynu. -

Stuka palcem w torebkę. Mam adres, a ponieważ nie minęło jeszcze dwanaście tygodni, nie powinno być problemu.

- No pewnie! - Collette bawi się wyśmienicie. - Zadzwoń do niego. Teraz, zaraz. Nie ma co tego odkładać, im dłużej będziesz zwlekać, tym trudniej ci to przyjdzie. - Podaje przyjaciółce swój telefon w pokrowcu ze sztucznej skóry ocelota. - Masz, możesz dzwonić z mojego, jeśli chcesz.

- Mam własną komórkę. - Yvonne nie waha się ani chwili.

Gdy Sophie wsiada do swojego minicoopera, odzywa się jej telefon. Na małym ekraniku nie wyświetla się żaden numer.

- Halo?

- Sophie, tu Brian - odzywa się cichy, niespokojny głos. - Nie rozłączaj się, proszę. Przepraszam, że cię przestraszyłem. Jeszcze dzisiaj porozmawiam z Donnym. Masz całkowitą rację, nie powinienem był zwracać się z tym do ciebie.

Sophie zaciska dłoń na telefonie. Jest zakłopotana. Zareagowała jak niemądra nastolatka, ale gdy zobaczyła, jaki Brian jest bezbronny, musiała uciec, żeby nie rzucić mu się na szyję.

Z trudem przełyka ślinę. W jakiś sposób zawiodła męża Eily i pragnie to naprawić.

- Przykro mi, że tak nagle wyszłam - mówi spokojnym, stanowczym tonem. - Po prostu czuję się tak samo bezradna jak wszyscy i nie miałam pojęcia, co ci poradzić. Ja też jestem wytracona z równowagi, w końcu to moja chrzestna córka, ale nie wiem, jak mogłabym pomóc. Bardzo tego żałuję.

Brian waha się przez chwilę.

- Ostatnio wszyscy zachowujemy się nieco dziwnie, z oczywistych powodów. Tak się składa, że mogłabyś coś dla nas zrobić.

Sophie zauważa, że użył zaimka „nas” i odczuwa ulgę.

- Co?

- Już dawno zamierzałem cię poprosić, ale wylatywało mi to z głowy albo nie było okazji. Czy zrobiłabyś Zeldzie parę zdjęć? Chciałbym... chcielibyśmy je mieć na wypadek... Mamy tylko wcześniejsze fotografie.

Sophie skwapliwie wykorzystuje tę sposobność.

- Oczywiście, Brianie - odpowiada. - W najbliższych dniach wpadnę do szpitala i zacznę pstrykać. Zapytaj tylko Zeldę, czy się zgadza, dobrze?

Personel EconoCar zupełnie nieźle dawał sobie radę w czasie nieobecności Briana, ale ustawiczny hałas, związany z niekończącymi się pracami remontowo-budowlanymi, który nie przeszkadzał mu zbytnio przed pobytem w szpitalu, drażni go teraz znacznie bardziej niż wcześniej.

Młodziutka stażystka niewątpliwie przyłożyła się do roboty: Brian bierze do rąk schludny plik wydruków i faktur, uzupełnionych nazwiskami klientów, datami oraz markami samochodów i obejmujących ostatnie pięć lat. Dziewczyna z niepokojem obserwuje szefa przerzucającego kartki.

- Mam nadzieję, panie McMullan, że nie zrobiłam niczego niewłaściwego - bąka. - To była moja inicjatywa. Pomyślałam, że warto trochę uaktualnić pańską bazę danych.

- Dzięki. - Brian uśmiecha się do niej. Przychodzi mu do głowy, że to dziecko, które ma najwyżej dziewiętnaście lat, jest warte trzy razy więcej niż bezczelna, wyrachowana Yvonne. - Wielkie dzięki - powtarza serdecznym tonem - a tak na marginesie, mam na imię Brian. Nie jesteśmy zwolennikami sztywnych zasad. Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Miałem, jak zapewne wiesz, inne sprawy na głowie. Kiedy wracasz do college'u?

- Za dwa tygodnie.

- Może byś została tydzień dłużej? Zapłacimy gotówką, oczywiście, a urząd nie musi wiedzieć o tym jednym marnym tygodniu. Czy zgodzisz się na sto pięćdziesiąt funtów?

- No pewnie! - W oczach dziewczyny pojawia się błysk, a jej policzki oblewa rumieniec. - Bardzo dziękuję.

- Świetnie! - Brian także jest zadowolony: spełnił dobry uczynek z korzyścią dla EconoCar.

Jego uśmiech przygasa, gdy po wyszukaniu w książce telefonicznej numeru biura Petera White'a dzwoni tam i dowiaduje się, że Eily go wyprzedziła i odwołała rezerwację. Postanawia się dodatkowo upewnić - nie zdziwiłoby go, gdyby spróbowała jeszcze raz z innym biurem podróży. Zawiadamia stażystkę, że zaraz wraca, podchodzi do bankomatu i wkłada kartę, by sprawdzić stan konta. Wszystko w porządku, pieniądze wróciły. Pod tym względem nie da się go oszukać: daleko mu do skąpstwa, ale kontroluje na bieżąco swoje finanse.

Zwycięstwo nie sprawia mu jednak żadnej satysfakcji i wraca do firmowego okienka z ponurą miną. Nie cierpi odgrywania roli detektywa amatora, lecz Eily nie pozostawia mu wyboru. Będzie musiał odtąd uważniej ją kontrolować. To wbrew jego naturze; nie odpowiada mu funkcja nadzorcy.

Wysłała dziewczynę na lunch, a po chwili dostrzega w drzwiach Micka, który usuwa się na bok, żeby ją przepuścić. Brian z zaskoczeniem uświadamia sobie, że serce zaczyna mu mocniej bić ze zdenerwowania. O co, do diabła chodzi? Weźmy się w garść, myśli, przecież nic się nie stało. Nic nie mogło się zmienić tylko dlatego, że Sophie i on przypadkiem wpadli na siebie.

- Cześć, Mick - mówi, wpatrując się w kartkę, wypełzającą powoli z faksu. - Spotkałem Sophie w mieście. Poszliśmy nawet na kawę.

- Naprawdę? Gdzie ją spotkałeś?

- W Ilac Centre. Była w One Hour Photo, a ja właśnie tamtędy przechodziłem, bo... Podnosi głowę znad faksu, gotów wdać się w długie, szczegółowe i zupełnie niepotrzebne wyjaśnienia, uświadamia sobie jednak, że, po pierwsze, byłaby to gruba przesada, a po drugie, jego przyjaciel nie zdradza szczególnego zainteresowania. Jeśli się nad tym zastanowić, Mick wygląda jak ktoś, kto właśnie zobaczył ducha. Brian oddziera kartkę. - Wszystko w porządku?

Wyraz twarzy kumpla przywodzi na myśl człowieka, któremu kazano odeprzeć zarzut, że jego babka się puszczała.

- O co ci chodzi?

- Sam nie wiem. - Brian przygląda mu się uważnie. - Jesteś jakiś nieswój. Szczerze mówiąc, marnie wyglądasz. Łapie cię jakieś choróbko? A może - uśmiecha się przekornie - zdarzyło się nowe nieszczęście? Na przykład, przepadła nam kolejna rezerwacja? - Rzuca tę aluzję żartobliwie; nie ma co płakać na rozlanym mlekiem, jemu również zdarzały się podobne błędy.

Mickowi najwyraźniej nie jest do śmiechu. Resztką koloru odpływa z jego twarzy.

- Aż tak źle? Mów, co jest? - Brian zaczyna się niepokoić.

- To nie ma nic wspólnego z samochodami... - Mick urywa na widok podchodzącej klientki z różowym formularzem potwierdzenia wynajmu samochodu, którą musi się zająć. Gdy klientka wreszcie rusza w stronę parkingu, Brian rozmawia z kimś innym; a później Mick odbiera telefon i wysłuchuje długich narzekań pewnej starszej pani, która zabłądziła gdzieś w środkowej Anglii. Zaraz potem z przerwy na lunch wraca stażystka.

Przez następną godzinę panuje taki ruch, że nie mają czasu zamienić słowa. Wreszcie, gdy przy okienku na chwilę robi się pusto, Brian odciąga przyjaciela na bok.

- O co chodzi, stary? Wyglądasz okropnie. Co się stało?

- Nic! Wszystko jest w najlepszym porządku!

Może Mick potrafi zamydlić oczy swojej żonie, ale Brian zna Michaela Dolana od dzieciństwa, i to na wylot. Widzi wyraźnie, że przyjaciel jest roztrzęsiony.

- Chwila, moment. - Brian zerka na harmonogram, z którego wynika, że przez następne czterdzieści minut nikt nie powinien się zjawić. - Teraz ty tu rządysz - zwraca się do stażystki - a gdyby wynikły jakieś problemy, jesteśmy tuż obok, w Zielonym Pokoju. Zgoda?

Dziewczyna uroczyście kiwa głową, a Brian gestem nakazuje Mickowi, żeby poszedł za nim.

Idąc za Brianem, Michael przygotowuje się w myślach do odpowiedzi na ewentualne pytania. Jego komórka zadzwoniła, kiedy siedział w kiblu, ale zupełnie się nie przejął, widząc na wyświetlaczu numer Yvonne. Podobno ma zwolnienie, ale kto ją tam wie?

- Halo? - zagruchał, nastawiając się na pyszną zabawę. Któż inny przyłapałby go ze spuszczonej spodniami?

Zmienił ton, gdy usłyszał jej rozwścieczony głos. Pomimo hysterii, nie od razu powiedziała, o co chodzi, a kiedy to wreszcie zrobiła, odebrał wiadomość w zwolnionym tempie. Poczul, że sztywnieją mu nogi, policzki, czoło, a nawet skóra na głowie. Jeśli pominąć jazgot, słowa Yvonne nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Wpadła w tarapaty. I uważała, że to jego wina.

Natychmiast uderzyły go jak obuchem możliwe reperkusje tej sprawy. Przede wszystkim Sophie. Na pewno się dowie - to przecież Dublin, a nie Londyn ani Nowy Jork; jeśli nawet Yvonne nic jej nie powie, zrobi to jakaś plotkara.

Pieniądze. Będzie musiał płacić na utrzymanie dziecka. Jak temu podoła przy swoich zarobkach, zwłaszcza że Sophie straciła pracę? I jak ona zareaguje na stały odpływ gotówki przez... ile lat? Osiemnaście czy dwadzieścia jeden? Nie śpią przecież na pieniądzach.

Lotnisko. To się rozniesie w mig po całym lotnisku. Mimo że nie jest pierwszy i nie będzie ostatni.

- Mick! Mick! - Piskliwy głos Yvonne przebija się przez obłok paniki. - Kurna, słyszysz mnie, Mick?

- Słyszę. Daj mi odetchnąć.

- Nie dam ci odetchnąć. I nie myśl sobie, że pozwolę się w coś takiego wpakować.

- Wpakować? - Dopiero po chwili Michael zrozumiał, o co jej chodzi. - Chcesz je usunąć?

- Ależ skąd, chcę z nim grać w Czarnego Piotrusia, z tobą i twoją żoną, i całym, kurna, sąsiedztwem na dokładkę. Oczywiście, że chcę usunąć.

Tętno Michaela wróciło do normy. Dzięki Bogu.

Ale...

Gdzieś głęboko, na samym dnie, coś w nim drgnęło.

Kiedy małżeństwo nie ma dzieci, cała uwaga otoczenia skupia się na kobiecie. Przyjaciółki gromadzą się wokół niej i gładzą jak kwoki, pełne współczucia, gotowe do pomocy i tak dalej. A mężczyzna? Po prostu spycha się go w kąt jak niepotrzebne narzędzie. Owszem, mężczyźni nie mówią o tych sprawach - Michael już sobie wyobraża siebie i Briana gruchających nad kołyską - ale to nie oznacza, że nic nie czują.

- Zaczekaj - zwrócił się do Yvonne. - Czy nie moglibyśmy tego dokładniej omówić?

To ją tylko dodatkowo rozwścieczyło: nie ma czego omawiać i niech nie myśli, że uda mu się wykręcić od odpowiedzialności.

Gdy Michael jej słuchał, jego serce toczyło walkę z głosem rozsądku.

Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, wyłożysz trochę kasy i nikt się o niczym nie dowie.

To twoje dziecko, twoja krew.

Przerwał rozmowę, kłamiąc, że ktoś do niego dzwoni. Obiecał się odezwać, gdy tylko znajdzie wolną chwilę. Ale nie zrobił tego, choć minęły już prawie dwie godziny.

Świta mu myśl, żeby się nie przyznawać do niczego Brianowi, który ostrożnie podchodzi do stolika z dwoma kuflami piwa - już sobie wyobraża jego protekcyjne: „a nie mówiłem” i tym podobne uwagi - ale musi to z siebie wyrzucić, po prostu musi, a tylko na Briana może liczyć.

Przyjaciel sadowi się na krześle i nie traci czasu.

- No dobra, o co chodzi? Przetrwaliśmy razem niejedną burzę. Czy to aż tak poważna sprawa?

Michael pociąga łyk piwa. Próbuje się roześmiać, lecz mu to nie wychodzi i w jego własnych uszach brzmi jak skowyt.

- Nie uwierzysz, ale znalazłem się w ślepym zaułku i to dosłownie pod ścianą. - Wykonuje wymowny gest. - Bum! - Widzi, że przyjaciel nic nie rozumie.

- Co masz na myśli? Jakież sprawy osobiste?

- Można to i tak określić. - Michael ponownie zmusza się do chichotu i ponosi porażkę, lecz trudno mu się wyzbyć zakorzenionej skłonności do nonszalancji. Wpatruje się

w swój kufel. - Uwierzyłbyś? Po tylu latach mam zostać ojcem. A może nie? Może będziemy w separacji. A może nie? Jak się zdaje, nie mam zbyt wielkiego wyboru.

Sophie w ciąży? Brian przeżywa wstrząs - przecież widział się z nią dosłownie przed chwilą. I czyżby Mick naprawdę wspomniał o separacji? Dlaczego, na miłość boską? Z ogromnym wysiłkiem zachowuje kamienną twarz, by nie zdradzić targających nim mieszanych uczuć.

Ale - myśli dwie sekundy później - teraz potrzebują jego przyjaźni. Obydwoje.

- Powinienem ci złożyć serdeczne gratulacje - mówi lojalnie. - Obydwoje przecież tego pragniecie. To znaczy, zawsze mi się wydawało, że podejmujecie próby. Od lat. Dlatego nie rozumiem, o co ci chodzi z tą separacją. - Milknie, uświadamiając sobie nagle, że dziecko może być upośledzone albo coś w tym rodzaju. Podobno to zawsze komplikuje stosunki małżeńskie. - O Boże. - Spontanicznym gestem wyciąga rękę, lecz cofa ją natychmiast, widząc, że przyjaciel z irytacją marszczy brwi. - Co jest, Mick? Czego nie załapałem?

- Na miłość boską - Michael wciąż patrzy na niego jak na idiotę - nie chodzi o Sophie, tylko o Yvonne! A ona chce usunąć ciążę. Problem w tym, że sam nie wiem, czy też tego chcę czy nie. Zresztą wszystko jedno, bo nie wydaje się, żebym miał coś do powiedzenia.

Pierwszą reakcją Briana jest uczucie przemożnej ulgi. Gdy tylko zdaje sobie z tego sprawę, ogarnia go wstyd, dostrzega jednak, że jego rozmówca - z którego twarzy zniknął typowy, nieco zarozumiały wyraz - nie zwraca uwagi na nic prócz własnego nieszczęścia i kreśli palcem uśmiechniętą buźkę w piwnej pianie.

- Widzisz, mój kwiatuszku, jest to zapewne pierwsza i ostatnia próba Micka Dolana, by zapewnić sobie nieśmiertelność.

Jego udawana beztroska wprawia Briana w zażenowanie. Wolałby, żeby przyjaciel dał sobie z tym spokój. Wtem Mick kryje głowę w dłoniach.

- Co ja mam zrobić? Nawet jeśli przekonam Yvonne, żeby urodziła, w co wątpię, słysząc jej sposób wyrażania się na ten temat, pozostaje jeszcze Sophie. Co mam powiedzieć Sophie? Ona nigdy się z tym nie pogodzi. Zostawi mnie, a to będzie dla mnie oznaczało ruinę. „Wybór Zofii”, cha, cha! Tak czy inaczej, jestem udupiony.

Po chwili milczenia Brian przezwycięża wrodzoną niechęć do czułościowych gestów i, choć z całego serca pragnąłby się znaleźć gdziekolwiek indziej, niezdarnie klepie przyjaciela po ramieniu.

- Coś wymyślimy, Mick. Jeśli chcesz, mogę porozmawiać z panną Leonard.

Ta propozycja wyrwała mu się mimo woli. Nie ma pojęcia, co mógłby zdziałać. Jest to po prostu instynktowny sposób niesienia pociechy zgębionemu człowiekowi; Brian ma naturę naprawiacza świata i nie uznaje nierozwiązywalnych problemów. Na wszystko można znaleźć radę, trzeba jej tylko poszukać. To zawsze zdawało egzamin - aż do choroby Zeldy.

Ku jego zgrozie Mick skwapliwie podchwytuje sugestię, biorąc ją za dobrą monetę.

- Zrobisz to? Jeszcze dzisiaj?

Brian żałuje, że nie trzymał gęby na kłódkę. Zatrudnił tę dziewczynę w okresie, gdy firma się rozwijała i brakowało rąk do pracy, ale nigdy nie polubił Yvonne. Nie potrafi jednak oprzeć się błagalnemu spojrzeniu przyjaciela.

- No dobrze - obiecuje niechętnie. - Muszę jeszcze zajrzeć do garażu, ale jeśli tam wszystko w porządku, załatwię to raz dwa. Lepiej mi powiedz, jak mam z nią rozmawiać. Tylko cholerny idiota dałby się tak złapać jak ty i sam o tym wiesz, więc nie będę się dłużej czepiał, lecz skoro już dzinn wyfrunął z butelki, czego ty właściwie chcesz, Mick? Jak mam to załatwić?

- Właśnie się zastanawiam. - Mick przeczesuje palcami włosy. - Weź pod uwagę, że dowiedziałem się o tym dopiero przed dwiema godzinami i jeszcze nie zdążyłem się oswoić z tą wieścią. Przede wszystkim mam mało czasu. Wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie zamierza zwlekać, a trudno myśleć logicznie z pistoletem przystawionym do głowy. - Nadal przeczesuje włosy dłońmi, a Brian dostrzega, że kropelka piany z guinnessa pozostała w szczecinie porastającej jego podbródek. Nie ma serca zwrócić Mickowi na to uwagi. Czeka, popijając z kufła. Nie bez powodu ten bar nazywa się Zielony Pokój: oświetlenie ma kolor zielonkawy i odbija się od stalowych fragmentów wystroju wnętrza, a twarz Micka Dolana wygląda blado i niezdrowo.

- To pewnie głupie - podejmuje Michael ze spuszczoną głową, zupełnie jakby przemawiał do swojego kufła - i nie przejmuj się, wiem, że nie mogę zjeść ciastka i zachować go jednocześnie. - Jego głos brzmi niepewnie. - Sophie by mi nie uwierzyła, bo już od dawna nie rozmawiamy na ten temat, ale jak pomyślę, że mógłbym mieć dziecko... Już o tym myślałem, lecz kiedy Sophie... te badania... - Urywa i pociąga łyk piwa. - A jednocześnie nie chcę skończyć jak te wszystkie nieszczęsne sukinsyny, co siedzą w kawalerkach i żyją się do ostatniego pensa na separacje i rozwody. - Wirywa mu się jęk. - Widzisz? Pragnę rzeczy niemożliwej.

Coś przykuło uwagę Briana.

- Jedno pytanie, Mick - zaczyna ostrożnie. - Mówisz o rozstaniu z Sophie i zamieszkaniu w kawalerce. Czy chodzi tylko o pieniądze?

Michael wpatruje się w niego z zaskoczeniem.

- Czyżbyś mi proponował pożyczkę?

- Nie... właściwie nie to miałem na myśli, ale jeżeli potrzebujesz pieniędzy...

Jego przyjaciel zdaje się wreszcie rozumieć, do czego Brian zmierza.

- Ach tak, przepraszam. Oczywiście, że nie o to mi chodziło, źle się wyraziłem. Jezu Chryste, rozpad małżeństwa to naprawdę przykra sprawa i warto wiedzieć, co cię czeka. Ilu znamy facetów, którzy siedzą w zakichanych kawalerkach i jedzą na kolację sardynki z puszki, fasolę w sosie pomidorowym albo danie na wynos z restauracji?

Brian nie wypowiada głośno własnej opinii o czymś, co wydaje mu się bezdennym egoizmem. W tej chwili musi się skupić na temacie rozmowy.

- Jeszcze się nie dowiedziałem, co mam przekazać Yvonne.

- Spróbuj ją przekonać, żeby tego nie robiła. - Jeśli nawet Michael wyczuł chłód po drugiej stronie stolika, nie daje tego po sobie poznać. - Wiem, że uznasz to za dziwactwo, jeśli wziąć pod uwagę mój tryb życia, ale jakoś nie potrafię pogodzić się z myślą, że ktoś unicestwi moje dziecko. Może jestem stuknięty? - Próbuje się roześmiać i znowu mu się nie udaje. Jego głos brzmi jednak mocniej. - Łatwo popierać prawo do aborcji, gdy człowiek rozmawia o tym w pubie i właśnie odbywa się referendum, ale kiedy cię to bezpośrednio dotyczy... - Chwyta Briana za ramię. - Słuchaj, powiedz jej, że jeśli zdecyduje się urodzić, będę jej pomagał przez cały czas. Zamierzam jej płacić. Nawet nie musi pracować, jeśli nie zechce.

- Zastanów się, Mick! Nie popieram przerywania ciąży, budzi we mnie odrazę, ale spójrz na to od innej strony. Jak zdołasz utrzymać ze swojej pensji dwa domy i dziecko? To dożywotnie zobowiązanie.

- Myślisz, że nie wiem? - Michael puszcza ramię przyjaciela i zwiesza głowę. - Będę musiał poszukać innej pracy. Albo drugiej pracy. To bagatela. Może skorzystam z twojej propozycji pożyczki. Najważniejsze to nie pozwolić jej wsiąść na ten prom. Albo do samolotu. Powiedziała mi wyraźnie, że życzy sobie najwyższego standardu.

- A co z Sophie? - Brian upija łyk piwa, by ukryć gniew, wywołany myślą o krzywdzie, jaką ten człowiek jej wyrządzi.

- Będę musiał jakoś to załatwić. Może to przełknie, jeśli uderzę we właściwą strunę. Trudno przewidzieć, ale niewykluczone. - Jego głos nie brzmi jednak zbyt pewnie.

W nadziei, że Sophie „to przełknie”, kryje się tak jawne okrucieństwo, że Brian ma chęć głośno zaprotestować, a nawet przyłożyć temu facetowi. Dochodzi jednak do wniosku, że już za dużo powiedział na temat Sophie.

- Wyjaśniłeś Yvonne to samo, co mnie?

- Próbowałem... tak mi się wydaje. Nie pamiętam dokładnie, a ona prawie nie dopuszczała mnie do słowa. W tej sprawie raczej nie wykazuje opanowania ani rozsądku.

- Ustalmy jedno, żeby nie było nieporozumień. - Brian starannie dobiera słowa. - Jeśli uda mi się przekonać Yvonne, żeby nie przerywała ciąży, ty zgadzasz się zawiadomić Sophie i ponieść konsekwencje?

- Muszę sobie jakoś z tym poradzić, prawda? Tak jak to widzę, trzeba przyjąć pewną hierarchię, a najpilniejszy problem stanowi Yvonne. Jest już nawet umówiona w klinice. Co do Sophie, hm... - Milknie z namysłem, a potem znowu podpira głowę dłońmi. - Dobry Jezu! Jak mogłem wplątać się w coś takiego?

Brian obawia się rzeczy niewyobrażalnej: jego przyjaciel, nonszalancki Mick, płytki Mick, Mick bufon i wrzód na tyłku oraz - i owszem - Mick dobry kumpel gotów jest się rozplakać. Rozgląda się ukradkiem, ale dzięki Bogu nikt na nich nie patrzy. Pociąga kolejny łyk z kufla, czekając, aż przyjaciel się opanuje. Bywały chwile, gdy - mimo przyjaźni - zastanawiał się nielogicznie, co piękna, utalentowana Sophie widzi w tym człowieku, i doszedł do wniosku, że podobnie jak w wypadku jego samego i Eily działa tu zasada przyciągania się przeciwieństw.

Wszystko wydawało się takie proste, kiedy byli młodzi.

Bardzo dobrze pamięta tę pierwszą potańcówkę w klubie rugbyistów, gdy wpadł Eily w oko. Na początku nie był pewien, ponieważ przechwycił jej spojrzenie z drugiego końca sali i odczytawszy w nim zachętę, pomyślał, że jest wyzywająca. Dziewczyny, które znał, przybierały podobne pozy, owszem, lecz nie aż tak jawnie i nie manifestowały w ten sposób swojej seksualności. Dekolt Eily sięgał niemal do pępka.

Już podczas pierwszego tańca odkrył jednak, że jej szczery, niestłumiony seksapil ma w sobie coś autentycznego i pociągającego. Miał prawie dwadzieścia lat i znudził go już nieciekawo korowód egoistycznych, niedożywionych dziewcząt, dających do zrozumienia, że może je zainteresować wyłącznie przystojny facet z samochodem, kasą i widokami na przyszłość - w tej kolejności. Wszystko inne, nawet osobowość i cechy charakteru, stanowiło kwestię drugorzędą.

Eily była inna. Nie ukrywała, że podoba jej się jako mężczyzna, lecz interesował ją również jako człowiek - Brian uznał to za dar słuchania - oczywiście na długo przed tymi wygłupami z Jayem Streetem. Jeszcze teraz, pomimo małżeńskich konfliktów, świetliste spojrzenie jej wielkich brązowych oczu działało na niego podniecająco.

Sophie była zagadkowa, ale już po pierwszej randce w czwórkę wyczuł, że mimo rezerwy, która wyraźnie odróżniała ją od wylewnej przyjaciółki, przewyższa ich obu liczbą szarych komórek. Naprawdę, to kobieta z klasą.

Patrząc na tego niedorajdę po drugiej stronie stołu, Brian odczuwa pogardę dla jego próżności i słabości. Dlaczego, mając w domu taką kobietę, Mick Dolan zadał się z tą głupią krową, Yvonne Leonard? Gdyby to on, Brian, żył z Sophie... Natychmiast tłumi tę myśl.

- Gdzie mieszka Yvonne?

Michael podaje mu adres i przychodzi mu do głowy kolejny pomysł.

- Czy Eily nie mogłaby z nią porozmawiać? Sam wiesz, jaka potrafi być przekonująca.

- Więc jednak nie chcesz, żebym do niej poszedł. - Brian czuje ulgę, lecz już po chwili wie, że przyjaciel mu nie odpuści.

- Ależ chcę - Mick jest zaniepokojony. - Proszę cię. I to jak najszybciej. Tylko że przydałoby się nam wsparcie Eily. Potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy, Brian.

Brianowi nie podoba się to „my”, które Michael coraz częściej wplata w rozmowę, lecz jego uwagę zaprzatają ważniejsze sprawy.

- Czy musisz w to wciągać Eily? Jak miałyby zachować tajemnicę przed Sophie? Są najbliższymi przyjaciółkami, Mick.

- To prawda.

Kątem oka Brian dostrzega, że jest wzywany do okienka. Kiwa na niego młoda stażystka, której twarz wyraża głębokie zaniepokojenie, obok zaś siedzi na wózku inwalidzkim zaczerwieniony klient w kowbojskim kapeluszu. Co się znowu stało?

- Muszę iść, Mick. - Brian pośpiesznie dopija piwo i wstaje. - Jeszcze o tym pogadamy. Nie martw się tak. Porozmawiam z Yvonne.

Choć nawet z daleka widać, że klient jest rozgniewany, Brian z ulgą kieruje się w jego stronę.

Rozdział 14

Spotkanie z Yvonne w jej przeraźliwie niechlujnym pokoju przy North Circular Road nie przebiegło pomyślnie. Sytuację pogarszały dodatkowo napastliwe uwagi wygłaszane

przez przyjaciółkę Yvonne, Collette, która - zdaniem Briana - wydawała się zachwycona rozwojem wydarzeń. Dolewanie oliwy do ognia niewątpliwie sprawiało jej przyjemność.

Jeszcze trudniejsza okazała się rozmowa telefoniczna, podczas której Brian zmuszony był przekazać przyjacielowi, że Yvonne zamierza poddać się zabiegowi w Anglii niezależnie od wszelkich próśb, obietnic i gróźb Micka. Uzgodniła termin w klinice, bilet na samolot linii Aer Lingus miał zostać opłacony i odebrany na lotnisku we wtorek w porze lunchu i w związku z tym poprosiła Briana o przekazanie informacji, że jeśli Mick nie zjawi się z gotówką w poniedziałek wieczorem lub we wtorek rano („Wcześniej! Powiedz mu, żeby przyszedł jak najwcześniej!” - zaznaczyła Collette), skontaktuje się z Sophie i „wyjaśni” sytuację.

- Ile mnie to będzie kosztowało?

Mimo kiepskiego połączenia i odgłosów prac remontowych w tle Brian słyszał, że biedny sukinsyn jest wytrącony z równowagi. Rozumiał go, choć zazwyczaj tego typu sytuacje budziły w nim złość - nikt, kto ma choć trochę rozumu, nie powinien się w coś takiego pakować.

- Tysiąc pięćset - odrzekł cicho, a ponieważ Michael milczał, dodał po chwili: - Słuchaj, jeśli jesteś splukany...

- Absolutnie nie. - Mimo to poprzez odgłosy młotków i wiertarek do Briana dotarło złołe westchnienie. - No dobrze, nie będę się wzbraniał. Ale zaczekajmy do poniedziałku, bo nadal mam zamiar jej to wyperswadować. Szczerze mówiąc, właśnie się do niej wybieram.

- Ja bym się na twoim miejscu powstrzymał. - Brian, pamiętając nastawienie Yvonne i jej przyjaciółki, zdobył się na najbardziej przekonujący ton. - Dzisiaj niczego nie osiągniesz, Mick, zwłaszcza że siedzi tam ta jej przyjaciółka.

- Collette? Nie denerwuj mnie. Ta mała...

- Posłuchaj mojej rady - przerwał Brian - i zostaw ją dziś w spokoju. Jak się prześpi, może ujrzy sprawę w innym świetle. Spróbuj trochę odpocząć. Twój głos brzmi tak, jakbyś miał lada chwila eksplodować. Dam ci pieniądze w poniedziałek albo nawet jutro, jeśli chcesz. Mogę je przynieść do kościoła.

Jęk Michaela zabrzmiał niemal jak krzyk.

- Chryste, zupełnie o tym zapomniałem. Przecież Sophie przypominała mi przedwczoraj i powiedziałem, że z nią pójdę. No nic, jakoś się wykręcę. To dobra okazja, żeby pomówić z Yvonne. Przecież ta krowa nie przyjdzie do niej w niedzielę rano... taką przynajmniej mam nadzieję. Nie wyobrażam sobie, żeby wygrzebała się z łóżka i popędziła do Yvonne. Czy Eily wybiera się na nabożeństwo?

Brian poczuł, że wsiąka coraz głębiej w brudne życie Micka Dolana.

- Chyba tak, choć jeszcze się waha. I wcale nie mam jej tego za złe. Zapowiada się dość ponura ceremonia. Bynajmniej nie oczekuję jej z utęsknieniem.

- No to dobrze. - Michael najwyraźniej nie słuchał. - To dobrze, że idzie, przynajmniej zatrzyma Sophie na parę godzin.

Gdy się pożegnali, Brian przez chwilę siedział nieruchomo, zły, że dał się uwikłać w tę sytuację, a jednocześnie świadom, że może za to winić wyłącznie siebie.

Teraz, tkwiąc w samochodzie przed drzwiami domu Yvonne, spogląda na swój telefon komórkowy. Co dalej?

- Dobra - mruczy do siebie, ciska aparat na siedzenie obok i wsuwa kluczyk do stacyjki. - Niechaj ten, kto jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem, czy jak to tam szło.

Nigdy poważnie nie zgrzeszył. Oczywiście zdarzały się pokusy - który mężczyzna nie bywa na nie narażony przez długie lata małżeństwa, zwłaszcza gdy pracuje na lotnisku, gdzie aż się roi od młodych, pięknych, wyzwolonych kobiet? W jego wypadku byłoby to nawet zrozumiałe, zważywszy na wyrachowany i uparty związek jego żony z tym krętaczem Streetem.

Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat Brian dwukrotnie znalazł się na skraju rajskiego ogrodu. Za każdym razem jednak pomyślał w ostatniej chwili o skutkach ubocznych, o Donnym i Zeldzie - i zamiast sięgnąć po zakazany owoc, schronił się w bezpieczne miejsce.

Ale teraz...

Sophie pojawiła się przed jego oczyma niczym słońce, w tym swoim dopasowanym płaszczu... co to był za materiał? Jakaś mamucia wełna czy coś w tym rodzaju?

Choć jest sam i ani mąż Sophie, ani nikt inny nie odczyta jego myśli, Brian rusza z piskiem opon, usiłując wyzbyć się wizji jej ciała, otulonego jasnobrażowym płaszczem.

Niedzielnny poranek wstał rześki i pogodny. Prześliczny dzień.

Kościół diecezjalny przy Marlborough Street od dawna był solą w oku dla wielu staroświeckich obywateli stolicy. Oczywiście wszystko jest w porządku, wypełnia należycie swoje zadanie, są tam ładne rzeźby, porządne stiuki nad ołtarzem i mnóstwo kolumn, lecz mimo wszystko to jedynie namiastka - nawet jego nazwa o tym świadczy.

W podupadłej części śródmieścia ludzie siedzą nad kuflami piwa i roztrzęsają, jak niesprawiedliwe jest życie.

Po drugiej stronie rzeki konkurencja objęła w posiadanie nie jedną, lecz aż dwie wspaniałe katedry - Christchurch i kościół Świętego Patryka - a ponadto może się poszczycić przynajmniej jedną osobistością światowej sławy, czyli dziekanem Swiftem. Obydwie prawdziwe katedry są przepysznymi średniowiecznymi budowlami, wypełnionymi dawną atmosferą, z historycznymi tablicami i pięknymi nagrobkami. Najgorzej, że obie były pierwotnie katolickie, dopóki ciemieżca nie zagarnął ich dla siebie i nie zatrzymał in saecula saeculorum. Tak brzmi legenda. Dokładność historyczna nie ma znaczenia.

Dublińczycy nie chcą jednak przyjąć do wiadomości, że hierarchowie katolicy odmówiliby przyjęcia tych dwóch wspaniałych protestanckich katedr, nawet gdyby Kościół im dopłacił i ozłocił każdą cegłę. Te rozległe dachy z całym ich blaszanym pokryciem i rynnami? Te iglice, stare kamienne mury, wymyślne mosiężne ozdoby, wymagające nieustannego polerowania? Kto się zgłosi na ochotnika? Kto i z czego to utrzyma?

Dla dublińczyka, wiecznie chowającego urazę, to nieistotne szczegóły. Prokatedra jest oczywiście w porządku, ale zdarzają się uroczystości wyjątkowe, które powinny się odbywać tylko w pełnoprawnej katedrze.

Ta uroczystość jest z pewnością wyjątkowa. Mimo rozmiarów świątyni nie wszyscy mogą się pomieścić w środku. Dwie trzecie ławek zarezerwowano dla bliskich krewnych ofiar, przedstawicieli władz oraz wysokich urzędników kościelnych i świeckich, a także dla garstki ocalonych i ich rodzin. Pozostałym udostępniono zaledwie kilka ławek z tyłu. Skończyło się na tym, że zamknięto dla ruchu Marlborough Street i zamontowano system nagłaśniający dla tych, którzy chcieliby oddać hołd zmarłym i wysłuchać nabożeństwa. Jak na ironię, temperatura wzrosła do poziomu niespotykanego tak wczesną wiosną i po drugiej stronie ulicy, przed gmachem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa uwijają się ptaki w fałszywym przekonaniu, że nadeszła już ciepła pora roku.

Rzesze ludzi zaskakują Sophie, czekającą w kolejce aut do wielopoziomowego parkingu przy Cathal Brugha Street. Jadąc na spotkanie Briana i Eily, przez całą drogę kipiała wewnętrznie na myśl o uniku Michaela, który wymigał się od nabożeństwa, tłumacząc to nawałem pracy. Gdyby było odwrotnie, dziękowałaby na klęczkach wszystkim możliwym bogom, łącznie z Sziwą i Gają, za uratowanie męża.

Praca, akurat, myśli wzgardliwie, posuwając się wolno ku barierce za starym, poobijanym oplem astrą. Koniec stycznia nie jest szczytem sezonu, a ponadto z weekendowym zapotrzebowaniem radzą sobie zazwyczaj dorywczy pracownicy przy wsparciu kogoś od Finglasa. Michael po prostu użył pretekstu, żeby ją ukarać.

I zawiadomił ją dopiero w ostatniej chwili.

Nie wdawała się w żadne sprzeczki, po prostu trzasnęła drzwiami, wsiadła do auta i wyładowała złość na skrzyni biegów. Mimo to, wściekając się i przedstawiając w myślach swoje argumenty, gdzieś w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jej reakcja była przesadna i po raz kolejny musiała przyznać, że w ich związku coś się bardzo popsuło, kto wie, czy nie z jej winy. Nigdy przedtem nie bywała taka drażliwa. Może to przedwczesna menopauza?

Parkuje wreszcie samochód i wraca pieszo na Marlborough Street. Na widok tłumów doznaje wstrząsu, który pomaga jej spojrzeć z dystansu na własną sytuację. Zazwyczaj, gdy Irlandczycy gromadzą się tłumnie, nawet na pogrzebie, w powietrzu jest aż gęsto od rozmów i plotek. Teraz dublińscy stoją w milczeniu po obu stronach ulicy, pozostawiając przejście dla dygnitarzy i żałobników. Przy braku odgłosów ruchu ulicznego ta cisza wytwarza własne brzmienie, gęsty, natężony szum, w którym kaszel rozchodzi się na odległość trzydziestu metrów. Sceneria uliczna kłóci się z pogodnym, rozświetlonym niebem i cała złość Sophie znika. Jeśli nawet jej mąż nie przyjechał, co z tego? Przynajmniej nie oplakują z Michaelem swoich bliskich, w przeciwieństwie do setek, a może tysięcy innych ludzi.

Gdy mija strefę czasowo zamkniętą dla ruchu kołowego, niektórzy przechodnie, widząc posiniaczoną twarz Sophie, w milczeniu podają jej rękę. Widzi, że jakimś mężczyźnie łzy napływają do oczu, i po raz kolejny odczuwa potworność tego, co zdarzyło się w ubiegły poniedziałek.

Wstrząśnięta, wspina się po zaniedbanych schodach i natychmiast dostrzega Briana, którego głowa i ramiona wynurzają się z tłumu po prawej stronie drzwi. Jej serce wyrывa się do niego - wydaje się taki zagubiony i uwięziony w garniturze z krawatem. Sophie rozgląda się w poszukiwaniu barwnego, pawiego przebłysku pośród całej tej czerni, brązów i szarości, lecz nie dostrzega Eily. Podchodzi do Briana i trąca go w ramię.

- Cześć!

- O! To ty, Sophie.

- Gdzie Eily? - Sophie ponownie się rozgląda. - Jakoś jej nie widzę.

- Wycofała się w ostatniej chwili - Brian przeciąga wskazującym palcem wzdłuż kołnierzyka koszuli. - Nie potrafiła stawić temu czoła. Rozumiem ją, bo sam się tego obawiam. Bardzo dzisiaj ciepło, prawda? Przypuszczam, że to nie tylko słońce, ale także wzywy ludzkich ciał.

- Istotnie jest ciepło... - zaczyna Sophie, lecz Brian jej przerywa.

- Tak - mówi - wybierała się na tę uroczystość, ale potem uznała, że odbędzie żałobę na swój własny sposób. Pojechała do szpitala. Umówiłem się tam z nią i spędzimy popołudnie z Zeldą. - Rozgląda się nerwowo. - No to jak, wchodzimy?

Zanim Sophie zdąży odpowiedzieć, podchodzi woźny z czarną przepaską na rękawie i wskazuje im miejsca. Idąc za nim, zastanawia się, dlaczego Brian nie pyta o przyczynę nieobecności przyjaciela.

- Michael ma dużo pracy - mówi.

Brian nie śpieszy z przeprosinami, choć jest w końcu przełożonym jej męża, lecz chwyta ją za łokieć i pomaga wejść do ławki. Nie włożyła płaszcza, ponieważ było na to zbyt ciepło, i dłoń mężczyzny na jej rękawie wydaje się ogromna, a przez cienką wełnę czuje ciepło jego palców. Siedząc obok niego, próbuje zapomnieć o wszystkim, o nim, o sobie, nawet o Michaelu - i skupić się na otoczeniu, na tym, dlaczego się tutaj znaleźli.

Katedra szybko wypełnia się ludźmi, lecz znowu zapada nietypowa cisza i podczas gdy pogoda przeciwstawia się panującemu nastrojowi, stłumione pastele wystroju wnętrza i płomyki świec na ołtarzu wydają się czymś niewłaściwym na tle ciemnych, poważnych ubiorów. Choć ekipa telewizyjna ukryła się za kolumnami, karnawałowa jaskrawość ich świateł podkreśla niestosowność tego, co robią. Ten kościół nadaje się do ślubów i chrzcin, myśli Sophie, a nie do czegoś takiego - i choć ze względu na okoliczności nie ma kwiatów, z wyjątkiem wiązanki białych lilii przed pulpitem, nie może oprzeć się pragnieniu, by podczas uroczystości żałobnej było nieco mroczniej.

Ich ławka stoi mniej więcej w połowie głównej nawy - wytarta mosiężna plakietka tuż przed Sophie domaga się modlitwy za niejakiego Jasa Gavana, pochowanego w roku 1842 - a rzędy oszołomionych ludzi siedzą cicho, bez hysterii i głośnego płaczu. Pewnie są w szoku, myśli Sophie, a potem zauważa malutkiego, może dwuipółletniego chłopczyka, który drepcze tam i z powrotem i pysznie się bawi, witając wszystkich i podając rączkę osobom siedzącym z brzegu po obu stronach nawy. Malec zatrzymuje się co pewien czas i popisuje, kręcąc się jak bąk, aż wreszcie zaczepia o kabel telewizyjny, potyka się i przewraca, ocierając kolano na posadzce. Podnosi go wysoka, smukła kobieta, niewiele młodsza niż Sophie.

Sophie spuszcza oczy, czując znajome ukłucie niespełnienia i zawiści. Nie będzie patrzyła na dziecko i jego matkę, o nie. Nie zamierza współczuć tej kobiecie, siedzącej wśród krewnych ofiar, co oznacza, że straciła kogoś bliskiego. Trzyma jednak w ramionach najwspanialszą rekompensatę. Sophie oddałaby wszystko, by móc przytulić takie małe stworzenie z pulchnymi nóżkami...

Są to destrukcyjne, niegodne uczucia i Sophie nienawidzi się za nie, zwłaszcza w tych okolicznościach. Zaczyna rozmyślać o swoim ostatnim felietonie dla „Wild Places”. Czy nie powinna zastąpić ginących derkaczy kawałkiem o wybijaniu fok u wybrzeży Szkocji? Obydwa tematy to oklepane samograje, ale foki bardziej trafiają do czytelnika.

Wyczuwa, że atmosfera się zagęszcza. Wszyscy wstają, więc ona również dźwiga się na nogi.

Pani prezydent Irlandii w czarnym kostiumie kroczy środkiem nawy; towarzyszą jej rodzina i osobisty asystent. Posuwają się powoli, gdyż pani prezydent często się zatrzymuje, by zamienić kilka słów z żałobnikami, których zauważa po drodze. Wreszcie zajmuje miejsce, hierarchowie, księża i ministranci otaczają ołtarz i rozpoczyna się msza, koncelebrowana przez dwóch arcybiskupów i ponad czterdziestu księży. Sophie bierze do ręki specjalnie wydrukowaną ulotkę.

Nie uczestniczyła w uroczystej sumie od czasów dzieciństwa, kiedy to podczas ceremonii bierzmowania zajmowała ławkę blisko tej, w której siedzi teraz. Zapomniała, jak kojąca może być liturgia, wspólne pochylanie głów, wonne obłoczki kadzideł, polifoniczny śpiew kościelnego chóru, który - zamiast wykonywać requiem jednego kompozytora - postanowił połączyć fragmenty dzieł Mozarta, Verdiego, O' Riady'ego i Faure'ego. Poddając się urokowi starego, głęboko zakorzonego rytuału, który pozwala zachować wspomnienia i koi znużoną duszę, dochodzi do wniosku, że śpiewana suma jest jednym z największych darów Kościoła katolickiego dla świata.

Gdy uroczystość ma się ku końcowi i grupa księży przemierza kościół, rozdając komunię, Sophie jest wstrząśnięta widokiem pobladłych twarzy i pozbawionych wyrazu oczu. Ona może stać z boku i traktować tę mszę w kategoriach sztuki lub krzepiącej tradycji, nie należy jednak do grona osób pogrążonych w smutku po utracie bliskich.

Jakieś staruszce, przesuwałej się bardzo powoli i z najwyższym trudem w kolejce tuż obok Sophie, pomaga kobieta w średnim wieku. Córka?

Kogo straciły? Ilu członków rodziny? Obydwie, spowite od stóp do głów w głęboką czerń, płaczą bez skrępowania. Staruszka potyka się i chwyta brzeg ławki Sophie dłonią wychudzoną i kościstą jak ptasia łapka. Ramię Sophie unosi się odruchowo w geście pomocy. Obejmuje zgarbione plecy i napotyka kruchość, budzącą obawę, iż nawet podparcie może się okazać niebezpieczne. Młodsza kobieta podtrzymuje staruszkę i obydwie spoglądają z wdzięcznością na Sophie.

Patrząc im w oczy, Sophie dostrzega niewyobrażalne cierpienie i już nie potrafi powstrzymać łez, więc płaczą razem.

W ciszy zapadłej po komunii wszystko wokół ołtarza nieruchomieje i po pauzie, podczas której słychać tylko szum najbliższej kamery, z chóru płyną dźwięki „In Paradisum” Faure'ego, wypełniając rozdarte serce Sophie.

Odczuwa dotkliwy ból, lecz czyste chłopięce głosy muszą przesywać serce staruszki, jej córki i innych żałobników niczym pchnięcia szpadą. Ci wszyscy podróżni, sunący pasem startowym z nadzieją i wyczekiwaniem, nieświadomi tego, co ich za chwilę spotka...

In paradisum deducant te angeli: in tuo adventu...

Niechaj aniołowie prowadzą cię do raju: na twe przybycie...

Te puste łóżka; te przedmioty wyrzucone w ostatniej, gorączkowej chwili z nadmiernie wypchanych walizek i ciśnięte niebacznie na bok przez synów, córki, żony i wnuczeta, nieświadomych, iż owe buty, torby i rozciągnięte pulowery wywołają potoki łez i staną się drogocennymi symbolami. Że tak wiele osób będzie tuliło je do twarzy i wdychało ich zapach, ostatni ślad utraconej obecności tych, co odeszli.

Ponad wspólnym mianownikiem żalu Sophie odczytuje pełne udręki myśli Briana i wie, że on również płacze. Wyobraża sobie nabożeństwo żałobne po śmierci Zeldy.

Ona także.

... suscipiant te martyres,
et perducant te
in civitatem sanctam Jerusalem.
...niechaj powitają cię męczennicy
i powiodą
do świętego miasta Jerozolimy.

Widzi Zeldę z piękną, promienną twarzą, okoloną jasnymi włosami, które odrosły i połyskują niczym płynący strumień. Młode, zdrowe ciało zmierza w radosnym uniesieniu ku światłom wielkiego miasta.

...chorus angelorum te suscipiant, et cum Lazaro quondam paupere, aeternam habeas requiem. ...niechaj cię powita chór anielski i z biednym Łazarzem wieczne ci odpoczywanie.

Sophie zawsze była wrażliwa na emocjonalne podteksty muzyki - i gdy końcowa nuta uduchowionego utworu rozwiewa się niczym mgła w rozszrebrzonym powietrzu, nie potrafi opanować łez. Brian odwraca się w jej stronę. Widzi jego twarz jak przez mgłę; instynkt każe jej wyciągnąć ku niemu ramiona. On najwyraźniej odczuwa to samo, lecz nagle odwraca się i chowa twarz w dłoniach, wspierając łokcie o mosiężną tabliczkę, upamiętniającą kogoś, kto zmarł dawno temu.

Sophie odczuwa dotkliwy ból w sercu i szuka chusteczki w torebce, podczas gdy ludzie z telewizji zajmują się swoją robotą, a arcybiskup Dublinu, stojący na marmurowej posadzce przed ołtarzem, wznosi dłoń do ostatniego błogosławieństwa. Wokół niego wyrasta las kapłańskich rąk, rozdzielających błogosławieństwa zbyt późne dla zmarłych i przynoszące niewielką pociechę tym, którzy przeżyli.

W pokoju Donny'ego rozbrzmiewają mocne rytmy i jeszcze mocniejsze teksty, a nagłośnienie sprawiłoby ból normalnym uszom, gdyby usłyszały, jak Eminem, kumpel zbuntowanych, rapuje „Stana”, przedstawiając swoje uczucia w sposób, który Donny'emu nawet nie przyszedłby do głowy. Co za historia! Ten facet jest genialny.

Donny, Trevor i ich wspólna przyjaciółka - choć żaden nie jest jej chłopakiem - Fiona urządzili sobie imprezę i właśnie każde z nich wytrąbiło swoją porcję zajzajeru, zabójczego koktajlu z kilku rodzajów alkoholi, podkradzionych z domowych barków i zmieszanych w plastikowych butelkach o litrowej pojemności, a potem dopełnionych do smaku seven-up. Drink Fiony jest najprostszy, bo wzmocniony jedynie whisky i resztką sherry, pozostała po Bożym Narodzeniu. Chętnie przystała na propozycję Donny'ego, ale woli nie urzynać się w trupa, bo idzie dzisiaj do babci na podwieczorek.

Zaczęli popijawę tuż po dwunastej, gdy starzy wyszli z domu, i teraz leżą w swobodnych pozach w pokoju Donny'ego, pomalowanym na jego dwa ulubione kolory: fiolet i czerń. Choć unikają bliskiego kontaktu, łączy ich świadomość, że robią coś skandalicznego. Coś, co niewątpliwie zbulwersowałoby rodziców.

- Ile mamy cz-czasu? - Drobny, chudy Trevor najgorzej z całej trójki reaguje na alkohol, zwłaszcza że jest to wybuchowa mieszanka wódki, ginu, brandy i malibu, czyli wszystkiego, co znalazł w domowym kredensie.

- Co najmniej do podwieczorku jesteśmy bezpieczni. Obydwoje wybierają się do szpitala. Powiedzieli, że wrócą dopiero po czwartej. -Donny chichocze, zdumiony brzmieniem własnego głosu.

Na tle natarczywej melorecytacji rapera jego słowa brzmią słabo i odległe, jakby wypowiedział je ktoś inny, jakiś małolat, który jeszcze nie przeszedł mutacji. Jest mnóstwo czasu. Całe wieki, żeby sprawdzić, jak to jest, i wytrzeźwieć, zanim dorośli wkroczą na powrót w ich życie.

Chce coś powiedzieć Trevorowi, temu strachajle, który jęczał, że rodzice go zabiją, jeśli się dowiedzą... Chce mu powiedzieć, że skoro okazał się takim dupkiem, nie zobaczy drużyny z Liverpoolu. Donny machał mu przed nosem kolejnymi biletami na trybunę w Anfield, drażniąc go i napawając się poczuciem władzy. Chciałby to zrobić jeszcze raz, ale mówienie sprawia mu pewien kłopot.

Nieważne. Ci, którzy przebyli wcześniej zajzajerowy szlak, mówili o swoich doświadczeniach z nabożną zgrozą, a Donny'emu na razie podoba się to, co przeżywa. Prócz braku kontroli nad emisją głosu prawie nic go nie zaskoczyło.

- Przekimamy tu jakąś godzinę - podejmuje z najwyższym wysiłkiem - a... a potem p-pójdziemy do parku. - Wymawia to słowo jak „pa-harku”. Przekomiczne. Chichot wzbiera w nim niczym gazy, lecą; nie wydobywa się na zewnątrz.

- Świetny pomysł. - To głos Trevora, lecz słowa brzmią dość niewyraźnie. Przyjaciel widocznie stracił kontakt z rzeczywistością, ale Donny nawet się na niego nie ogląda. Zbyt trudno mu odwrócić głowę.

Ostrzegano ich przed jutrzejszym kacem. Faktycznie, wielka sprawa. Na wszelki wypadek przygotowali sobie solpadeine. Co złego może się zdarzyć? Donny próbuje zatrzymać ulatującą myśl.

Tak czy siak, warto żyć dniem dzisiejszym - i oddaje się temu z przyjemnością. Krew pulsuje mu w czaszce, podbrzusze wydaje się płynne, kolana i nadgarstki sprawiają wrażenie wykonanych z gumy, jego mózg zaś przypomina jedną wielką, puchnącą gąbkę, która napęlnia się sporadycznie uczuciem ciepła i otepiałej wygody. Podstawowymi składnikami jego koktajlu są, podobnie jak u Trevora, wódka i gin, lecz z dodatkiem bourbonu i słodkiego martini, ponieważ jego matka lubi manhattany.

W sumie odczuwa znaczną ulgę. Znikły gdzieś kłótnie i napięcie między rodzicami, szpiczak i zwiastuny śmierci nad łóżkiem Zeldy, próby oddania szpiku kostnego lub hemocytoblastów, których nikt nie chce, a nawet nie życzy sobie o nich słuchać. Skończyło się poczucie odrzucenia.

Pozostali tylko przyjaciele, rytm i ten zawrót głowy, całkiem przyjemny, dopóki się nie usiłuje z nim walczyć. Gdy człowiek się odpręży, czuje się tak, jakby siedział na

kolorowym drewnianym koniku, który unosi się i opada łagodnie na dziecięcej karuzeli, pozbywając się za każdym okrążeniem jednego zmartwienia, ze szpiczakiem na końcu.

Zanim trójka przyjaciół zasiadła do picia, zabawiała się szperaniem w Internecie na komputerze Donny'ego, rewelacyjnym indigo imacu, zafundowanym przez tatę. Strony poświęcone szpiczakowi mnogiemu należą, rzecz jasna, do najczęściej odwiedzanych i Donny z uporem próbował je pokazać przyjaciołom, lecz okazało się to stratą czasu, ponieważ jego smutek przekraczał ich zdolności pojmowania, a współczucie odbierało im mowę. Sam musiał przebyć tę drogę.

Żeby ocalić twarz i udawać zwykłe surfowanie po sieci, zalogowali się na stronę aukcyjną E-Bay, ale nie znaleźli niczego podniecającego. W ogóle znaleźli niewiele: wyrosli już z głupich kanałów dyskusyjnych i tym podobnych rzeczy - i nawet tak zwane porno-strony okazały się nudne i przewidywalne. Jego mac nie ma zresztą odpowiedniej pojemności, by uporządkować ziarniste zdjęcia i filmy, które przez całe wieki nie chciały się pojawić na monitorze. Wylogowali się i przez godzinę grali w kilka gier: „Unreal Tournament”, „Klinton Honour Guard”, „Deus Ex” i podobne strzelaniny, które Trevor lubi, a w których zawsze wygrywa Fiona. Ale i to im się znudziło.

Dopiero wtedy przystąpili do poważnej działalności.

Teraz wszystko spowija mgła, lecz Donny zupełnie nie przejmując się faktem, że sufit jest tak daleko, coraz dalej. Ogląda się z łóżka na tamtych dwoje, sprawdzając, jak daleko odjechali na swoich poduchach. O dziwo, wcale nie tak daleko - toteż próbuje nawiązać z nimi kontakt, uśmiechnąć się, lecz mięśnie twarzy nie chcą go słuchać, więc daje za wygraną.

I tak niczego by nie zauważyli. Trevor leży na boku, ściskając kurczowo fałdy czarnego sztruku, jakby się bał, że spadnie; Fiona sprawia wrażenie uspionej lub głęboko odprężonej, spoczywając z głową odchyloną w tył i wyciągniętą szyją. Jej włosy, burza ognistych sprężynek, zazwyczaj ściągniętych ciasno w koński ogon, spływają na ramię swobodną czerwoną kaskadą. Zrzuciła buty i skarpetki i spod długiej spódnicy wystają bezwładne białe stopy, przywodzące na myśl dwa martwe ptaki. Nogi ma lekko rozchylone i Donny widzi mały biały trójkącik, niczym światełko na końcu mrocznego tunelu.

Majtki Fiony.

Przez opary alkoholu Donny czuje, że jego ciało ożywa. Odruchowo sięga do krocza, lecz zanadto mąci mu się w głowie, by potrafił stwierdzić, czy ma erekcję. Biały trójkącik błyska jak latarnia morska, wskazując drogę. Donny zsuwa się z łóżka i jakoś udaje mu się dotrzeć do wypchanej plastikowymi kulkami poduchy. Opada na podłogę i jego ręka wędruje pod spódnicę Fiony, a potem wzdłuż gładkiej, cieplej nogi -aż wreszcie napotyka to, czego

zawsze szukała. Fiona coś mruczy, ale nie stawia oporu, gdy jego palce - kierując się własną wolą - delikatnie odciągają gumkę i wsuwają się pod materiał. A później, nie do wiary, odnajdują wilgotną, ukrytą miękkość. Wydaje mu się to czymś zupełnie naturalnym, jak gdyby robił już podobne rzeczy milion razy.

Fiona porusza się lekko i dotyka jego włosów, jakby chciała je pogłodzić. Donny'emu się wydaje, że słyszy swoje imię. Wytęża słuch i docierają do niego słowa: „Biedny Donny, biedny chłopczyk”.

Wyczuwa jeszcze jakiś ruch w pokoju. Z drugiej strony zbliża się Trevor. Fiona ponownie się porusza. Trevor wydaje tak zabawne odgłosy, że Donny omal nie parska śmiechem. Uachch, uachch...

Śmiałby się, gdyby potrafił wydobyć z siebie głos.

Tuż przed zamknięciem oczu i odpłynięciem w niebyt widzi głowę Trevora za ramieniem Fiony i uświadamia sobie, że przyjaciel tuli się do jej pleców jak miś koala uczepiony grzbietu matki. Chciałby powiedzieć Trevorowi, żeby się odsunął, ale jest już za późno. Otacza go, niczym ciemne pierze, niesamowita cisza.

W odtwarzaczu Eminema zastępuje Puff Daddy, lecz żadne z trójki przyjaciół, złączonych w trójwymiarowej układance, już tego nie słyszy.

Rozdział 15

Riba wciela w życie plan wydostania Zeldy ze szpitala. Przyjechała taksówką mniej więcej o tej samej porze, o której jej mąż wchodził do kościoła. Zastąpił zniszczonego mustanga banalnym volvo i po ceremonii miał wrócić do domu, by mogli udać się do szpitala razem.

Nie poszła od razu do separatki Zeldy. Zatrzymała się na oddziale przyjęć i poprosiła o pilne podliczenie rachunku. Spotkało się to z protestami, jako że była niedziela, lecz Riba, nie tracąc spokoju, wyjaśniła łagodnym głosem, że jeśli zajdzie taka konieczność, obydwie z Ze-Idą opuszczą szpital bez płacenia. Wywołało to lekkie poruszenie wśród personelu i po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, ktoś podał Ribie przez okienko w zamkniętych drzwiach ręcznie spisany rachunek. Nawet na niego nie patrząc, wyciągnęła kartę kredytową. Nastąpiła kolejna zwłoka, kiedy gołębnice za drzwiami marudziły z autoryzacją i podobnymi rzeczami..

Teraz siedzi na fotelu w poczekalni. Zdążyła się już zaprzyjaźnić z figurką czarnego labradora, zdobiącą puszkę na datki na szkolenie psów przewodników dla ociemniałych, a w jej pamięci utrwalił się każdy szczegół holu wejściowego, każda plamka na wyfroterowanym linoleum, każdy płożący się pęd bluszczu i święte obrazki na tablicy ogłoszeń. Stara się wytrwać w skupieniu. Stopniowo wszystko się ułoży: trzeba wytrzymać tę minutę, a potem następną. I następną. Wierzyć. Ufać.

Wreszcie, choć cała operacja trwała ponad czterdzieści minut, wiara zostaje nagrodzona i Riba otrzymuje pokwitowania.

- Bardzo dziękuję i proszę przekazać moje wyrazy wdzięczności wszystkim pielęgniarkom i lekarzom. To dla was. - Z miłym uśmiechem wręcza im olbrzymie pudło czekoladek kupione na stacji obsługi, najlepsze, co mogła wymyślić w tak krótkim czasie i w świąteczny dzień.

Dotarłszy do separatki Zeldy, zauważa z radością, że odłączono kroplówkę, a jej córka nie leży w łóżku. Siedzi na krześle pod oknem, z pledem na kolanach. Gdy odwraca się i spogląda na matkę, blask słońca odbija się od srebrnych cekinów, zdobiących cygańską chustę, którą nosi na głowie, i przez chwilę wydaje się, że otacza ją pulsujące światło. Riba czuje, jak jej serce nagle pozbawione ciężaru, wznosi się niczym latawiec.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie. I czy to nie piękny dzień? - Pochyliła się i całuje chudy, sinawy policzek Zeldy. - Mam wspaniałą wiadomość - ciągnie. - Porozmawiałam z paroma lekarzami i mówią, że możesz jechać do domu. Teraz! Zaraz!

Zelda marszczy brwi.

- Ale dzisiaj nie ma hematologa... wyjechał na cały weekend.

- Owszem, ale pogawędziłam sobie bardzo miło z innymi lekarzami i wszyscy się zgodzili. - Riba poprawia pled na kolanach córki. - Posiedź tu chwilę, skarbie, naciesz się słońcem. To ci dobrze zrobi. -Rozgląda się po separacie, żeby nie patrzeć w wielkie, niespokojne oczy Zeldy. - O nieba, jak my to wszystko uprzątniemy?

- Mamo, proszę cię. Z kim rozmawiałaś?

- Odpocznij, kochanie. Ja zajmę się resztą. - Ale...

- Jak długo tu jesteś? Niecały tydzień? To jakiś absurd. - Riba krząta się po pokoju, nucąc głośno, robiąc porządki i zbierając rzeczy Zeldy. Zyskawszy pewność, że nie będzie dalszych pytań, wypowiada w myślach akt skruchy za swoje niewinne kłamstwo. Skłamała w słusznej sprawie: nawet sam Pan Bóg nie mógłby jej uczynić zarzutu. Jay uczy, że kłamstwa w słusznej sprawie nie są kłamstwami. Na przykład w hitlerowskich Niemczech, jeśli ktoś ukrywał Żydów i zeznał przed gestapo, że ich nie ukrywa, czy to się liczy jako kłamstwo? Oczywiście, że nie.

W mieszkaniu Yvonne Michael nie robi żadnych postępów. Prawdę mówiąc, sam jest zaszokowany własnym zachowaniem i może ona odbiera jakieś mieszane wibracje. No bo gdyby go zapytać, nawet tydzień temu, co by zrobił na wieść, że jego dziewczyna wpadła w tarapaty, spojrzalby na rozmówcę krzywym okiem i odrzekł bez wahania, że osobiście odprowadziłby ją na prom. Im prędzej, tym lepiej. A tymczasem przyszedł do tej dziewczyny i chce ją ubłagać, żeby nie zabijała jego dziecka.

Ku jego zgrozie, drzwi otworzyła Collette. W przeciwieństwie do Yvonne ciemnowłosa, tłusta w miejscach, gdzie Yvonne jest zaledwie zaokrąglona, zawsze kojarzyła się Michaelowi ze złowrogim, pryszczatym puddingiem bożonarodzeniowym. Wie, że to paskudny obraz, lecz zasłużyła nań po raz kolejny, gdy stanęła w progu, podparłszy się pod boki.

- Patrzcie państwo, kto przyszedł! - warknęła. A potem, rzuciła przez ramię: - Hej, Yvonne, mamy gościa!

Zanim zdołał wykonać jakikolwiek gest, odebrała kwiaty i odwróciła się na pięcie, pokazując mu plecy. Potem zaś, pogarszając i tak już niedobłą sytuację, cisnęła bukiet na łóżko, jakby to był byle wiecheć kupiony w kiosku.

Michael nie mógł jednak powiedzieć, żeby się wyniosła, ponieważ nie chciał tak od razu denerwować Yvonne - a raczej denerwować jej dodatkowo. Wstrząsnął nim jej wygląd: znikła gdzieś pewna siebie, wyzwolona dziewczyna, którą znał; jej twarz, której nigdy dotąd nie oglądał bez makijażu, była zaczerwieniona i podpuchnięta jak po płaczu, a sama Yvonne siedziała w fotelu, wpatrzona w podłogę. Choć na zewnątrz zrobiło się niezwykle ciepło, mieszkanie jest duszne i mroczne, oświetlone jedynie sufitową lampą. Zastłony na oknie są zaciągnięte.

Michael wolałby się podpalić niż usiąść przy puddingu, więc pozostało mu jedynie przyciągnąć sobie rozklekotany stołek spod kuchennego blatu, służącego jako stół, i odwrócić się plecami do Collette, by wyeliminować ją z rozmowy. Nie udaje mu się jednak nawiązać kontaktu z Yvonne: choć stara się, aby jego głos brzmiał łagodnie i troskliwie, dziewczyna odpowiada mu zaledwie gestami i monosylabami, albo zerka ponad jego ramieniem na przyjaciółkę.

Michael zaczyna tracić cierpliwość. Siedzi tu już prawie pół godziny, a Yvonne nawet nie spojrzała mu w oczy. Podejmuje jeszcze jedną próbę.

- Dlaczego to robisz, Yvonne? - Głupie pytanie, ale odczuwa coraz głębszą irytację. Chce zmusić dziewczynę do jakiegokolwiek reakcji.

Wzruszenie ramion.

- Może byś zaczekała z ostateczną decyzją, dopóki nie zaczniesz jaśniej myśleć?

Znowu wzruszenie ramion.

- Przynajmniej spróbuj mi wyjaśnić, jak się w tej chwili czujesz.

Przeczący ruch głowy.

Pudding na łóżku nie potrafi się dłużej powstrzymać.

- Słuchaj, Mick, nie widzisz, że ona już się zdecydowała? Po prostu dawaj kasę i zostaw nas w spokoju.

W tym momencie Michael ma dość.

- To nie do zniesienia. - Podnosi się ze stołka i staje przed Yvonne. - Ta sprawa dotyczy nas dwojga, nie jej i jeśli ona się stąd nie wyniesie, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać, wybij sobie z głowy moją pomoc, finansową czy jakąkolwiek inną. Mówię poważnie. Mniejsza o konsekwencje.

Yvonne nagle się ożywia.

- O, czyżby? A co z twoją żoną?

- Powiedz jej. - Zdaje sobie sprawę, że nie rozumuje jasno i nie jest do końca szczery, ale wszystko wydaje się lepsze niż dotychczasowa patowa sytuacja. - Powiedz jej, jeśli chcesz - powtarza. - Pewnie i tak będę musiał ją o wszystkim zawiadomić. To Dublin, a nie Nowy Jork i jeśli zrobisz skrobankę, za trzy tygodnie dowie się o tym całe lotnisko.

Yvonne waha się przez chwilę, a potem mówi:

- Collette, czy mogłabyś... nie masz nic przeciw temu? - Jej głos cichnie, nuta ożywienia znika.

Jajowata bryła usuwa się niechętnie, ostrzegając, że wróci za godzinę, i rzucając na odchodnym:

- Tylko jej nie zadreńczaj, Mick. I tak ma dość kłopotów. Pada ze zmęczenia i rzyga jak kot.

Gdy za Collette zatraskują się drzwi, Michael dochodzi do wniosku, że najrozsądniej będzie powstrzymać się od komentarzy. Siada na łóżku obok bukietu.

- Podobają ci się kwiaty?

- Są śliczne. Dziękuję. - Nieobecność przyjaciółki niewiele zmieniła; Yvonne ponownie zapadła w stan ponurej apatii.

Przez następne dziesięć minut nic nie może jej odwieść od podjętej decyzji. Żadne argumenty i perswazje nie wywierają na niej wrażenia. Zupełnie jakby została zahipnotyzowana, powtarza w kółko, że jedzie do Anglii.

W obliczu tej niewzruszonej, całkowitej obojętności Michael, który oczekiwał potężnej awantury - czy choćby burzliwej sprzeczki - obawia się, że poniesie porażkę. Spogląda na plastikowy zegar z kukułką, stojący na zagraconym gzymsie kominka. Ceremonia żałobna trwa już dość długo i zostało mu niewiele czasu - musi dotrzeć na lotnisko, by móc uwiarygodnić opowieść o nawale pracy, gdyby Sophie do niego zadzwoniła. Ma jednak pewne pole manewru dzięki telefonom komórkowym oraz faktowi, że ekipy remontowe nie pracują w niedzielę. Jeśli nawet nie zdąży, brak hałasów w tle nie powinien zaniepokoić żony.

Uspokaja się nieco i zmienia taktykę. Choć jeszcze nie do końca się pozbierał, wie, że składanie konkretnych propozycji w tej chwili byłoby głupotą. Samobójstwem. Przynajmniej dopóki on sam nie odetchnie przez chwilę.

Tak czy inaczej, z osobą pokroju Yvonne lepiej niczego nie komplikować. Żeby zyskać trochę czasu do namysłu, wstaje i podchodzi do okna - kwestia zaledwie czterech kroków. No dobra, Mick. Nie wszystko naraz. W pierwszej kolejności spróbuj ją powstrzymać przed wyjazdem do Anglii. Graj na zwłokę. Nie oglądając się, odsuwa zasłony i blask zalewa pokój.

- Duszno tutaj. Pozwolisz, że wpuszczę trochę powietrza? - Unosi połówkę okna i przez chwilę oddycha głęboko.

Pokój Yvonne, mieszczący się na pierwszym piętrze wysokiej kamienicy z czerwonej cegły i będący jednym z dziesięciu „lokalu mieszkalnych”, jest oddalony od ulicy i szczyci się widokiem na rozległy ogród, bardzo zaniedbany i zaśmiecony opakowaniami po fast-foodach, gruzem, kawałkami rur i odłamkami betonu i cegieł. Na samym środku stary wodotrysk, pozieleniał od porostów, prezentuje bujną czuprynę winobluszczu, spływającą do odkrytej misy.

Za zardzewiałymi prętami ogrodzenia North Circular Road wydaje się prawie zupełnie opustoszała, jeśli nie liczyć paru wlokących się aut oraz rodziny złożonej z młodej mamy, młodego taty, niemowlęcia w składanym wózku oraz brzdąca drepczącego z tyłu i w wielkim skupieniu ssącego lizaka. Zwykły niedzielny obrazek, jakże daleki od tego, o czym myśli Michael.

Wraca i przykłęka obok Yvonne jak pokorny wielbiciel. Kątem oka dostrzega na stoliku fiolkę z tabletkami, częściowo zasłoniętą kosmetykami, czystymi i zużytymi chusteczkami, filiżankami z niedopitą kawą oraz innymi drobiazgami. Bierze buteleczkę do ręki i stwierdza z ulgą, że to tylko valium - racjonalne wytłumaczenie bierności i zobojętnienia dziewczyny. Myśli szybko, że nie ma sensu wywierać zbyt mocnego nacisku.

- Posłuchaj, skarbie - unosi rękę, by pogłodzić opuszczoną głowę Yvonne - bardzo mi przykro, że jesteś taka nieszczęśliwa. Zrozum jedno, nie musisz nic robić w tej chwili ani nawet jutro, a już na pewno nie musisz się z niczym borykać samotnie. To dotyczy nas trojga: ciebie, mnie i dziecka. Pomyśl o naszym dziecku, skarbie. Przecież ono niczemu nie jest winne. Dlaczego chcesz je zabić, skoro jestem gotów zaopiekować się wami? Kocham cię, Yvonne, i wiem, że pokocham nasze małeństwo. Ty także, jeśli dasz mu szansę.

Dziewczyna unosi twarz, na której maluje się wyraz niedowierzania.

On sam również jest zaskoczony. Nigdy nie traktował lekko słowa „kocham” i wypowiadał je ostrożnie. Nie licząc, oczywiście, odruchu towarzyszącego powitaniom i pożegnaniom z Sophie oraz zakończeniu rozmów telefonicznych z nią.

Kobietom, z którymi nawiązuje się przelotny romans, można pochlebiać i mówić im to, co chcą usłyszeć, ale nie należy wspominać o miłości, choćby się tego domagały, bo wtedy człowiek prosi się o nieszczęście. Nie może jednak cofnąć tych słów, nie teraz, kiedy Yvonne wbija w niego oczy wielkie jak spodki.

Michael zmusza się, by odwzajemnić jej spojrzenie. Jeśli mu uwierzyła, istnieje szansa, że nie wyjedzie. Odkąd uroki małżeństwa nieco przybladły, nie tarzał się przecież w rozpuście, a dobrze wiadomo, jak bardzo sprzyja temu branża turystyczna: nietypowe, czasami nieprzewidywalne godziny pracy, atrakcyjne i niezależne młode kobiety. Mężczyzna musiałby być świętym - albo Brianem McMullanem - aby odrzucić tak bogatą ofertę. Zwłaszcza latem, gdy wszędzie widać tyle nagiego ciała, jest zupełnie tak, jakby się płynęło przez morze waty cukrowej. Kto się powstrzyma, by nie otworzyć ust i nie uszczknąć choćby kawałeczka?

Teraz, kiedy obydwójce wpatrują się w siebie, narasta w nim złość: romans z Yvonne - czy kimkolwiek innym - nie jest przecież jego wyłączną winą. Część odpowiedzialności spada również na Sophie, która nie potrafiła utrzymać jego zainteresowania.

Chodzi także o dziecko. Po latach uciążliwych badań i kuracji pojawia się żywy dowód, że to nie z nim coś jest nie tak. Zawsze podejrzewał, że Sophie nie do końca wierzy opiniom konowałów - a teraz może pokazać jej i całemu światu, że liczbie plemników w spermie Michaela Dolana nic nie można zarzucić.

Obydwójce wzdrgają się z zaskoczeniem, gdy kukułka wyskakuje ze swego domku, obwieszczając połowę godziny.

- Rany boskie! Czy to tak hałasuje przez całą noc? - Michaela zaczynają boleć kolana, dźwiga się więc i przysiada na poręczu fotela.

Yvonne nadal wpatruje się w niego.

- Można go zatrzymać... Naprawdę mnie kochasz? - Przerywa jej czkawka. - Nigdy tego nie mówiłeś.

Michael otacza ją ramieniem i przyciąga do siebie. W rozczochranych włosach dziewczyny widać ciemne odrosty, a promienie słońca, które wpadają przez otwarte okno, barwią jej głowę na kolor żółtka. Porównanie z jasnymi, lśniącymi włosami Sophie nasuwa się samo.

Odpycha ten obraz, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zaskoczony pragnieniem uratowania dziecka, zagalopował się i musi trochę zwolnić. Musi się zastanowić nad przyszłością i swoim dotychczasowym życiem. Musi pomyśleć i basta. Nowe wyzwanie.

Wydaje mu się teraz, że Sophie zawsze uważała się za lepszą od niego, ze swoimi drzewami, ptakami i tą śmieszną pracą, która prawie nie różniła się od hobby. Nigdy nie potrafiła go docenić. Harował przez okrągły rok, żeby zarobić na chleb. To nie ona musiała się martwić rachunkami za prąd albo tym, czy jakiś idiotyczny podatek albo strajk ogłoszony przez związki zawodowe nie odbije się na branży turystycznej.

Yvonne wtula się w zgięcie jego ramienia i Michaelowi świta nadzieja, że ta nagła uległość nie jest jedynie skutkiem zażytego valium. Być może uzyskał odroczenie egzekucji dla swojego dziecka.

Mick ją kocha. Otumaniony umysł Yvonne próbuje oswoić się z tą myślą. Nikt jej tego nie powiedział, do pewnego letniego dnia, kiedy skończyła szesnaście lat i obmacywał ją o rok młodszy chłopak, usiłując wepchnąć jej język do gardła i ściągnąć majtki przez głowę.

Trzeba przyznać, że kontakty z mężczyznami miała bardzo urozmaicone.

Stawiwszy skuteczny opór piętnastolatce, w tym samym roku straciła dziewictwo po dyskoteci w klubie rugbyistów z doświadczonym osiemnastoletnim studentem Blackrok College. Gdzieś w pobliżu Rathfarnham ochoczo i radośnie oddała mu się na tylnym siedzeniu beemera, którego pożyczył na ten wieczór od ojca.

W życiu rodzinnym Yvonne nie brakło problemów - ojciec alkoholik, zrozpaczona, zamknięta w sobie matka i dwójka starszego rodzeństwa, która czmychnęła z domu najwcześniej, jak mogła. Ona również, gdy tylko zaczęła trochę zarabiać, przeprowadziła się do wynajętego pokoju, gdzie znajdowała wytchnienie od przypominającego lunapark świata, pełnego mężczyzn, z których niemal każdy bardzo żywo reagował na jej wdzięki. Yvonne szybko się przekonała, ile może zdziałać odsłonięcie uda i stanik Wonderbra.

Okazało się również, że lepiej jej się układa ze starszymi mężczyznami niż z równolatkami, zwłaszcza jeśli ów mężczyzna jest kimś, jak Mick. Nie miałyby nawet nic przeciw małej randce z Brianem McMullanem, gdyby nie był takim sztywniakiem. A jeżeli Mick ją kot cha, jeżeli mogą stworzyć rodzinę... Chyba nie dostaje od tego wszystkiego kręćka?

Poprawia się w objęciach Micka i szuka właściwych pytań, które mogłaby mu zadać w związku z tą nową sytuacją. Przecież sprawą wygląda poważnie, naprawdę poważnie, jeśli żonaty mężczyzna wyznaje ci miłość. Tak czy nie?

Jej cholerny mózg nie chce zaskoczyć. Pewnie dlatego, że po każdym rzyganiu, bojąc się, iż jej żołądek wyrzucił także valium, brała kolejną tabletkę. Collette mówiła, że wszystko będzie w porządku, i miała rację. Splątany kłęb złości, zmartwienia i strachu skurczył się do rozmiarów maleńkiego, odległego punkciku.

Jakaś myśl pojawia się i znika - coś w związku z wyznaniem Micka, co koniecznie powinna rozważyć. Wreszcie udaje jej się pochwycić umykające skojarzenie. Tamten pierwszy chłopak zapewniał, że ją kocha, bo chciał, żeby szybciej zdjęła majtki; czy Mick powiedział jej to samo tylko po to, by postawić na swoim?

Yvonne zamyka oczy i opiera ciężką głowę na jego silnym ramieniu. Czy mimo wszystko nie byłoby cudownie, gdyby jakiś mężczyzna opiekował się nią, kochał ją, poświęcał jej uwagę i był dla niej dobry.

Może nawet byłoby miło zostać matką. Obdarzyć dziecko, chłopca czy dziewczynkę, miłością, której jej samej zawsze brakowało.

Boże, czemu nie potrafi jaśniej myśleć? Zdarzył jej się krótki przeblysłk, kiedy Mick mówił coś o żonie.

A może to ona sama o niej wspomniała? Tak trudno zebrać uciekające myśli... Chodzi o coś bardzo ważnego...

No właśnie. Chodzi o żonę.

- Powiesz swojej żonie, że ją zostawiasz? To znaczy, najlepiej zaraz. Jak ci brakuje ikry, sama jej powiem. To znaczy... - Myśl odpływa i Yvonne chwytą jej ostatni strzępek. - Nie ma mowy, Mick. Dopóki nie odejdiesz od żony, nie mam zamiaru... zamiaru...

Nie może znaleźć słów, nie potrafi wydobyć ich z siebie. Jest nieprawdopodobnie zmęczona. Chce po prostu spać, a gdy się obudzi, może zniknie cały ten pieprzony koszmar.

W pokoju Donny'ego panuje grobowa cisza. Trevor osunął się do tyłu i leży na plecach w pewnej odległości od dwojga przyjaciół, a z jego półotwartych ust wycieka na podłogę struzka wymiocin. Pozostała dwójka spoczywa spleciona w uścisku - ręka Donny'ego pod spódnicą Fiony, jej ramię owinięte wokół jego szyi. Oboje znajdują się w stanie bliskim letargu.

Jest za kwadrans trzecia i Zelda, która jak zwykle uległa namowom matki, siedzi kompletnie ubrana, gotowa opuścić tymczasowe schronienie. Zjadła lunch i pożegnała się z nielicznymi pielęgniarkami, pełniącymi dzisiaj dyżur. Sporządzono wykaz przyjmowanych przez nią leków, wypełniono formularze, a w separacie panuje ład i porządek. Mama zdjęła nawet pościel i złożyła ją w nogach łóżka, koce i poduszki zaś umieściła schludnie u wezgłowia.

- Ależ oczywiście, że to zrobię - upierała się, gdy Zelda zaczynała protestować, uznając jej działania za pewną przesadę. - Co w tym złego? Te biedne siostry padają z nóg, a dzisiaj jest ich mniej na dyżurze. No i nie spodziewały się, że tak prędko stąd wyjdiesz.

Wszelki opór byłby bezcelowy. Nie chciała jeszcze wracać do domu - naprawdę nie chciała - ale mama załamałaby się na samą wzmiankę o podobnej herezji. Z wszystkich zainteresowanych chyba tylko Zelda zdawała sobie sprawę, w jak wielkim stopniu jej stanowczą i zdeterminowaną matkę przenika lęk przed skutkami choroby córki i jak łatwo można osłabić ową determinację. Zelda nie mogłaby znieść takiej odpowiedzialności.

I tak mama i wszyscy wokół będą już wkrótce musieli stawić czoło czemuś znacznie gorszemu.

Teraz czekają tylko na tatę. Zelda ma nadzieję, że rodzice nie zaczną się kłócić. Naprawdę nie znosi, kiedy się o nią kłóca, i często żałuje, że nie może się rozdwoić tak, by mogła wyjechać z mamą na tę cholerną wyspę, a jednocześnie zostać pod opieką taty. Im prędzej umrze, tym prędzej będą to mieli za sobą i zaczną normalne, spokojne życie.

Było jej dobrze i jest im za to wdzięczna. Dzieci myślą tylko o zabawkach i wycieczkach, o wyprawach nad morze i przyjęciach urodzinowych. A przebieranki? Łatwo odgadnąć, że kostiumy Zeldy robiły furorę w kręgu rówieśniczek, jako istny sezam nasyconych barw i powiewnych tkanin - nie tylko odrzutów z garderoby matki, lecz specjalnie kupowanych resztek przepysznego brokatu, szyfonu czy woalu. Zelda przypomina sobie nawet, jak pewnego dnia mama wróciła z miasta, przywożąc tryumfalnie spory kawałek złotej lamy.

Nie może, rzecz jasna, wypowiadać się w imieniu Donny'ego, ale jej samej nie wytrąciło z równowagi zaangażowanie matki w działalność Jaya Streeta, ponieważ zaczęła żyć już własnym życiem, nawiązała wiele znajomości i wszechogarniająca macierzyńska opieka nie była jej potrzebna.

Od dnia katastrofy zaczęła sobie przypominać najwcześniejsze obrazki i doznania zmysłowe: smak skrawka obszycia, który ssała jeszcze długo po tym, jak podarł się jej kocyk, mocny zapach róż, gdy matka, która nie znosiła woni zasyпки dla niemowląt, pudrowała ją po kąpieli własnym talkiem; wibrowanie ręcznej kosiarki do trawy, gdy ojciec przemierzał trawnik w letnie soboty, nosząc córkę na barana. Stokrotka, zdumiewająca w dotyku gąbczastym środkiem i wilgotnymi płatkami; i chwila, gdy ciocia Sophie pokazała Zeldzie po raz pierwszy, jak się plecie wianek.

Dziewczyna zastanawia się, czy u wszystkich umierających pojawia się taki wizualno-dotykowy ciąg obrazków.

Uparcie powraca wspomnienie Pangura, białego kota przybłądy, który zawędrował do ogrodu pewnego dnia, kiedy miała niecałe trzy lata, wdrapał się do wózka i usiadł jej na kolanach. Zamiast się przerazić, jak każda normalna matka, że zwierzak podrapie albo nawet zadusi dziecko, mama Zeldy była zachwycona. „Wielkie nieba! To przecież Pangur Ban!” W ten sposób przybłąda otrzymał imię i pozwolono mu zostać. Podobnie jak jego imiennik, uwieczniony przez wczesnochrześcijańskiego kronikarza, któremu wiernie towarzyszył, kot okazał się wspaniałym kumplem i pozostał nim, dopóki - tak jak teraz Zelda - nie zachorował na raka. Różnicę stanowił jego podeszły wiek, oceniony przez weterynarza na mniej więcej szesnaście lat; w przeciwieństwie do niej żył dłużej niż przeciętny przedstawiciel swego gatunku.

Od pewnego czasu wrażenie bliskiej obecności Pangura staje się coraz silniejsze i Zelda - choć wie, że to dziwactwo i nikomu nawet o tym nie wspomina - zaczyna się zastanawiać, czy spotka go na tamtym świecie, czy jego duch przybył do niej jako zwiastun śmierci. Nie wyklucza możliwości, że istota tak wierna i przyjazna jak Pangur zasłużyła na wiekuiłą nagrodę.

Spogląda na matkę, przysypiającą w nagrzanym pokoju. Zwiedzioną na manowce, żyjącą złudzeniami, irytującą, męczącą, działającą na nerwy, egocentryczną i w ogóle nieznośną.

Serce Zeldy wzbiera miłością. Jakie będzie niebo bez mamy? Co one zrobią, jedna bez drugiej?

Rozdział 16

Hol hotelu Gresham w Dublinie jest przestronny i wygodny, wyłożony grubymi dywanami i wyposażony w miękkie fotele i kanapy. Dublinczycy, którzy nie hołdują najnowszym trendom, wolą umawiać się tutaj, niż łomotać butami po podłogach z gołych desek w modnych lokalach rozwijającego się dynamicznie miasta. W to wczesne niedzielne popołudnie hotel jest wręcz zatłoczony.

Brian przygląda się talerzykowi z ciasteczkami, stojącemu obok filiżanki stygnącej kawy. Przez ponad dwadzieścia lat bez skrupowania rozmawiał z tą kobietą na wspólne,

interesujące ich tematy: o rodzinach, firmie EconoCar, Donnym i Zeldzie, o braciach i rodzicach Sophie oraz braku tychże w wypadku Briana i Eily. Wspominali młode lata, zaśmiewali się z drobnych przewinień własnych i cudzych, marzyli o wspólnych wakacjach w jakimś egzotycznym miejscu, co się nigdy nie spełniło.

Katastrofa, która odwróciła porządek świata, położyła kres tym rozmowom. Napięcie dało o sobie znać już na O'Connell Street, podczas krótkiego spaceru i zanim dotarli do hotelu, niemal żałował, że zaprosił Sophie.

Nie może dłużej znieść tej ciszy.

- Czytałaś, co o tym wszystkim piszą w gazetach?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie potrafiłam się zmusić. Tak samo jak do słuchania radia i oglądania telewizji. To dla mnie zbyt trudne.

- Dla mnie też.

Brian z wysiłkiem przetyka ślinę, gdy ponownie nawiedza go wizja pogrzebu córki, ta, która pojawiła się w trakcie nabożeństwa żałobnego. Patrzy przy tym na delikatną dłoń Sophie, która odstawia filiżankę na spodek. Jest, jak zwykle, nieumalowana - a jeśli już, to nieznacznie - lecz pachnie perfumami. Siedząc tak naprzeciw niej, ubranej w ciemny żakiet i jedwabna bluzkę, Brian ostatecznie godzi się z myślą, że jest zakochany.

No właśnie. Pozwolił tej myśli uformować się w pełni, zamiast stłumić ją w zarodku i choć o tego rodzaju sprawach brukowce informują tłustym drukiem na pierwszych stronach, gdy chodzi o znanych ludzi, przyznanie się do miłości do Sophie przed samym sobą jest czymś prostym i naturalnym.

A nawet więcej niż naturalnym. Jest jak smuga światła w mroku, który ostatnio zaczął go ogarniać. Musi również przyznać, że proces ten trwa od pewnego czasu. Przypomina sobie różne drobne spostrzeżenia z ostatnich lat: kosmyk włosów Sophie opadający na policzek, żyłkę pulsującą na skroni i odruch kulenia ramion w chwilach zdenerwowania, jak gdyby pragnęła się pomniejszyć. Obserwując jej palce, bawiące się łyżeczką, Brian ukrywa swoje zakazane, przejmujące dreszczem uczucie, zrzucając z barków dręczące pytania. Policja nie czyta w ludzkich myślach, a prawo nie zabrania utajonej miłości. Nikomu nie dzieje się krzywda. Żadne granice nie zostały przekroczone.

I nie zostaną, jeśli zachowa ostrożność. Musi trzymać język za zębami i zachowywać się jak dorosły, odpowiedzialny człowiek. Uśmiecha się do niej.

- Powinniśmy zacząć się zbierać. Umówiłem się z Eily w szpitalu.

Sophie wstaje i odwzajemnia uśmiech.

Zamiast pojechać z Gresham prosto do cichego, pustego domu, Sophie - której emocje dochodzą do siódmego stopnia w skali Richtera - czuje potrzebę spaceru. Jak można się jej oprzeć w taki dzień? Wyrusza w stronę Dollymount, choć wie, że w niedzielę połowa Dublinu zapewne wpadnie na ten sam pomysł.

Jak należało się spodziewać, Clontarf Road jest całkowicie zapchana rodzinami i niedzielnymi kierowcami, zmierzającymi w stronę rezerwatu Buli Wall, parku Świętej Anny, Dollymount i półwyspu Howth. Sophie ma ochotę zawrócić, lecz - gnana potrzebą, by o niczym nie myśleć - kroczy uparcie Clontarf Road, wypełniając czas oglądaniem lśniących, wygładzonych przez fale tarasów po lewej stronie i podziwianiem symetrii kompleksów po prawej, za ujściem rzeki: strzelistych bliźniaczych kominów elektrowni Poolbeg, wyniosłych dźwigów, klockowatych magazynów oraz kryjących się w cieniu nadbudówek wielkich promów, kontenerowców i pękatych zbiorników, falujących na tle wybrzeża niczym sploty olbrzymiego węża morskiego. Sophie zawsze ceniła poczucie humoru przedstawiciela władz miejskich, który przed laty nazwał ten mulisty skrawek wybrzeża Błękitną Laguną i kazał zasadzić palmy w biegnącym równolegle pasie zieleni.

Trwa odpływ i gdy Sophie parkuje przy Dollymount Strand, morze jest zaledwie podłużnym skrawkiem światła blisko horyzontu, oddzielonym rozległą połacią zbitego, pofałdowanego piasku. Sophie wysiada z auta i głęboko wdycha ożywcze powietrze, niesione przez bryzę od strony wzgórza Howth. W ostatniej chwili wyjmuje z bagażnika torbę z aparatem fotograficznym. Niełatwo jest się wyzbyć zakorzenionych nawyków.

Już po kilku minutach marszu słyszy muzykę, która dolatuje od grupy ludzi - najwyraźniej Cyganów, sądząc z ich śniadej skóry i barwnych, wzorzystych chust i spódnic kobiet - wypełniającej kotlinę między wydrami. Sophie zna z widzenia część z nich jako ulicznych sprzedawców i artystów. Dołącza do kręgu widzów otaczającego muzykantów, żeby posłuchać. Jak większość dublińczyków, Sophie zauważała u Cyganów na ulicach miasta jedynie zacięte twarze i wyciągnięte w żebraczym geście ręce. Tutaj, z dala od codziennych zajęć, owi mężczyźni, kobiety i dzieci zachowują się swobodnie i wyśmienicie się bawią.

Podczas gdy akordeony, mandoliny i skrzypce wygrywają skoczne melodie, Sophie przykuca i dyskretnie wydobywa z torby aparat. Ustawia go i zaczyna pstrykać. Słyszac szmer przewijanego filmu, dwie skrzypaczki oglądają się przez ramię. Na widok Sophie uśmiechają się szeroko wprost do obiektywu. Żadna z nich nie ma ani jednego zęba, lecz ich

uśmiechy są zupełnie nieskrępowane i Sophie, raz po raz naciskając migawkę, wie, że co najmniej jedno z jej zdjęć będzie zasługiwało na nagrodę.

Oczywiście nie ma nic za darmo: gdy się prostuje, jedna ze starych Cyganek upuszcza swój instrument i, zwinna niczym pantera, chwyta ją za ramię, wyciągając drugą dłoń, zaskakująco gładką w porównaniu z resztą ciała.

- Powróżyć panience?

Wiedząc, że nie da się uniknąć uczciwej wymiany, Sophie szuka w torbie portmonetki.

- Dobrze, zgoda. - Kładzie na wysuniętej dłoni Cyganki parę monet, a kilkoro gapiów przysuwa się bliżej.

Kobieta wrzuca pieniądze do kieszeni, a potem przytrzymuje obie ręce Sophie w zdumiewająco mocnym uścisku. Pochyla się i obraca jej dłonie, poddając je skrupulatnym oględzinom. Unosi głowę gwałtownym ruchem i oznajmia rzeczowo, prosto z mostu:

- Nie ma dzieci.

Sophie czuje nagły ucisk w żołądku. Ceni sobie prywatność i ten drugorzędny popis budzi w niej zażenowanie. Dlatego, by jak najszybciej mieć to za sobą, odpowiada na pytanie, którego nie zadano.

- Nie. Nie mam dzieci.

Wróżka ponownie przygląda się jej dłoniom.

- W twoim życiu nastąpi wielka zmiana, paniusiu.

To brzmi standardowo i jest łatwiejsze do zniesienia, więc Sophie odpręża się nieco.

„Wyjdiesz za mąż przed końcem tego roku; spotkasz przystojnego bruneta; będziesz miała troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę; ktoś złamie ci serce, ale potem wszystko dobrze się ułoży...”. Choć wcześniej nikt nie wróżył jej z dłoni, zna ten schemat z opowieści Nancy, która - w daremnym oczekiwaniu na spełnienie przepowiedni - pozostaje w zażyłych kontaktach z pewną krynicą mądrości, urzędującą w skromnym mieszkaniu w centrum miasta.

- Coś jeszcze? - Dostrzega cyniczne uśmiechy gapiów. Wróżka wodzi kościstym palcem po jej prawej dłoni.

- Dwóch mężczyzn, jeden ciemny, jeden jasny. I jeszcze... - tu efektowna pauza - dziecko! - Wyciąga rękę. - Więcej pieniędzy, paniusiu!

Sophie cofa dłonie, odnosząc wrażenie, że w ciemnych oczach zamigotało współczucie.

- Nie. Wystarczy. Bardzo dziękuję.

Wycofując się z uczuciem, że jej jałowe łono zostało wystawione na widok publiczny, potyka się o twardą kępę traw. Wstaje z płonącymi policzkami i widzi, że wróżka czyta z kolejnej dłoni, a chętni utworzyli już kolejkę.

To spotkanie jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. Nie gadka o wielkiej zmianie w jej życiu, bo to powtarzają wszystkie wróżki, a nawet nie wzmianka o dwóch mężczyznach, choć tutaj coś było na rzeczy, gdyż Brian jest blondynem, a Michael ciemnym szatynem - ale skąd ta kobieta wiedziała, że Sophie nie ma dzieci?

Istnieje zapewne racjonalne wyjaśnienie: tym doświadczonym babciom wystarczy raz spojrzeć na kobiece ciało i już wiedzą wszystko.

Dziecko po tylu latach, tuż przed czterdziestką? Dziecko jej i Micka? Śmiechu warte.

Wychodzi na rozległą plażę, pełną dublińczyków, którzy grają w tenisa, kopią piłkę między zaimprovizowanymi bramkami i – lekceważąc lokalne rozporządzenia - spuszczaają podniecone psy ze smyczy. Od pokoleń Dollymount jest nie tylko jednym z zielonych płuc miasta, lecz także służy jako nieoficjalna trasa ćwiczebna dla adeptów nauki jazdy, którzy - niekiedy nawet czternastolatkiem - ścigają się z piskiem opon tam i z powrotem pod niespokojnym okiem samozwańcych instruktorów. Okiem ilustratorki Sophie widzi akwarelę, którą próbowało namalować już wielu amatorów: „Dollymount w pogodny dzień”.

Wszystko wygląda tak zwyczajnie.

Sophie przystaje i wpatruje się w morze, nie zwracając uwagi na okrzyki jakiegoś chłopca, który prosi, żeby kopnęła z powrotem piłkę, toczącą się w jej stronę. Nigdy więcej nie dopuści do spotkania sam na sam z mężem Eily i wstąpienia na niepewny grunt niedorzecznego młodzieńczego sentymentalizmu. Są przecież rozsądnymi ludźmi w średnim wieku.

Dzieciak, który nie doczekał się reakcji na swoją prośbę, pokazuje dwa palce i biegnie za piłką, Sophie jednak tego nie zauważa. Stada ptaków krąży nad jej głową i wyklócają się o smaczne kąski, gdy idzie dalej, usiłując wyrzucić z pamięci współczujące spojrzenie cygańskiej wróżki.

Riba i Zelda wciąż czekają na Briana.

- Może ci poczytać, Zeld? Chcesz? Zobaczmy, co tu mam. - Z przepastnych głębin torebki wydobywa Biblię, pomiętą broszurkę o aniołach oraz kieszonkowe wydanie „Proroka” Gibrana. Wybiera to ostatnie, przerzuca kartki i znajduje fragment, który czytała wielokrotnie i uznała za szczególnie budujący. - Posłuchaj tego. Kiedy sama zostaniesz

matką, w pełni zrozumiesz znaczenie tych słów. - I zaczyna cichym, podekscytowanym głosem:

Twoje dzieci nie są twymi dziećmi.
To synowie i córki stęsknionego Życia.
Powstały z ciebie, lecz nie dzięki tobie.
I choć są z tobą, nie do ciebie należą.
Możesz je obdarzyć miłością, ale nie myślami,
Gdyż mają własne myśli. Możesz gościć ich ciała,
Lecz nie dusze.
Ich dusze goszczą bowiem w domu jutra,
Którego nawet we śnie nie odwiedzisz...

Urywa, słysząc dźwięk, który brzmi jak łkanie.

- Co się stało, skarbie? O co chodzi?

- A jak myślisz, mammo? Czy specjalnie mnie dręczysz? Nigdy nie zostanę matką i dobrze o tym wiesz.

Riba odrzuca książkę na bok i wyciąga ręce, by objąć córkę, lecz Zelda odpycha ją gwałtownym ruchem, bardzo silnym jak na tak słabą istotę.

- Przestań. Mam już powyżej uszu tego udawania, że czeka mnie jakaś przyszłość. - Patrzy na matkę oczyma płonącymi niczym pochodnie w pobladłej twarzy. - Czemu po prostu nie zostawisz mnie w spokoju? Ja umieram, mammo. Po co się w to wtrącasz? Posłuchaj słów, które przed chwilą czytałaś. Posłuchaj! To moje życie, nie twoje. Nie jestem twoją własnością i potrafię sama podejmować decyzje. Walczę o życie tylko dla ciebie i taty, i jeszcze kilku osób - jej głos się załamuje - ale co ze mną? To bardzo trudne. Jestem taka zmęczona, chcę już odejść. To jest jak sen, mammo, zupełnie jakby się szło spać. - Zakrywa twarz dłońmi i szlocha głośno.

- Nie umrzesz, Zeldo - mówi spokojnie Riba, powstrzymując się całą siłą woli, by nie płakać razem z córką. - Wysłuchaj mnie uważnie. Nie umrzesz, ale musisz współdziałać. Musisz się wyzbyc tych wszystkich negatywnych myśli. - Ponownie wyciąga ramiona i tym razem nie napotyka oporu, więc przytula i kołysze wychudzone, drogie nade wszystko ciało

córki, tak samo, jak to robiła w czasach jej niemowlęctwa. - No już, wyrzuć to z siebie, ćśśś, już dobrze, powiedz, co ci leży na sercu, moje najukochańsze małeństwo.

- Nigdy nawet nie będę miała chłopaka - szłocha Zeldy, lecz po chwili się uspokaja i odsuwa od matki. - Przepraszam cię mamo, ale musisz zrozumieć, że bardzo trudno zachowywać przez cały czas dziarską minę.

- Rozumiem, kochanie, naprawdę rozumiem. Daję ci słowo, że niedługo poczujesz się lepiej. Naprawdę. Mam tu trochę różu... - Grzebie w torebce i tym razem wyciąga dużą kosmetyczkę w różowo-srebrne paski. - Chyba nie chcesz, żeby biedny tata pomylił cię z sierotką Marysią.

Mimo rozpaczy, Zeldy parska śmiechem.

- Co z tobą zrobić, mamo? Jesteś niepoprawna.

Riba również się śmieje, lecz gdy jej córka z przyjemnością poddaje się zabiegom upiększającym, musi nakazać sobie bezwzględny spokój, by nie zadrżały jej dłonie, w których trzyma waciki i pędzelek.

Dziesięć minut później wyglądają jednak mniej więcej normalnie, a w ciszy z korytarza słychać znajome, donośne kroki.

- Co jest? - zdumiony Brian przystaje w progu.

- Wychodzimy. - Riba uśmiecha się promiennie. - Zwalniają nas. Czy to nie cudowne? Już dawno jesteśmy gotowe, prawda, Zel? Mogłyśmy wezwać taksówkę, ale postanowiłyśmy poczekać na ciebie!

- Myślałem, że... - Jest oszołomiony. - Co powiedział lekarz prowadzący?

- Hematolog jest na urlopie, ale inni wyrażają zgodę. O co ci chodzi? Nie chcesz, żeby nasza córka wróciła do domu?

Nieczyste sumienie podsycy urazę i sprawia, że słowa Riby brzmią przekonująco. Po chwili wahania Brian bierze je za dobrą monetę. Odwraca się do Zeldy.

- Więc czujesz się trochę lepiej? Muszę przyznać, że świetnie wyglądasz.

Riba także uważa, że Zeldy, której chudość maskują workowate spodnie od dresu i obszerny sweter brzoskwiowego koloru, wygląda bardzo zdrowo. Barwna chusta nie tylko zakrywa łysinę, ale dodaje twarzy blasku. Makijaż, rzecz jasna, również robi swoje.

- Czuję się świetnie, tato. Trochę jestem zmęczona. Chętnie bym się zdrzemnęła... choć wyspałam się tu za wszystkie czasy! I wiesz, na co jeszcze mam ochotę? - Uśmiecha się szeroko. - Niedobrze mi od tej całej zdrowej żywności. Zjadłabym frytki od Burdocka. Czy jest otwarty w niedzielę?

Riba, która po raz kolejny zauważa, jak nienaturalnie wielkie wydają się usta Zeldy w jej skurczonej twarzy, nie może uwierzyć własnym uszom. Jest oczarowana. Oto najlepszy dowód, że Jay, Kalifornica i inni nie rzucają słów na wiatr. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Zelda z własnej inicjatywy upomniała się o jedzenie. Nawet jeśli zrobiła to tylko ze względu na ojca, i tak wykazała zadziwiającą energię.

- Wydaje mi się, że lokal w Phibsboro jest otwarty - wtrąca radośnie. -A jeśli nie, będziemy się dobijali, póki nam nie otworzą, prawda, Brianie?

Ten, zbierając rzeczy Zeldy, sprawia wrażenie uszczęśliwionego.

- Jasne, oczywiście. Chodźcie, zmykajmy stąd. - Sięga po torbę. - Jedziemy do Burdocka.

Gdy ruszają sprzed szpitala, trafiają na apogeum niedzielnych godzin szczytu. Rodzinne karawany, łącznie z dziadkami i wnukami, podążają w stronę gór, Killiney lub na północ, do Dollymount. Piękna pogoda skusiła również rowerzystów, biegaczy i spacerowiczów. Południowe dzielnice przejawiają nagłe ożywienie, jak gdyby obudziły się z długiego snu.

Gdy wreszcie przekraczają rzekę Liffey, w północnej części miasta panuje niemal taki sam ruch. Brian, który w normalnych okolicznościach psioczyłby przez całą drogę na korki i idiotów, którzy ostatnimi czasy zasiadają za kierownicą, jest dziwnie milczący. Riba nie zagaduje męża w obawie, że mogłaby mimowolnie zdradzić swoją tajemnicę. Gawędzi z Zeldą na błahe tematy, a potem cichnie, zadowolając się słuchaniem lekkiej muzyki, nadawanej przez radio. Długo czeka, aż Brian powie coś o uroczystości i w końcu dochodzi do wniosku, że powinna przynajmniej zapytać.

- Jak było? Bardzo ponuro? Msza zaczęła się w południe, więc chyba trwała długo? Właściwie o której godzinie przyjechałeś do szpitala?

Brian skręca w uliczkę obok biblioteki, prowadzącą na parking przy więzieniu Mountjoy.

- Po mszy poszliśmy z Sophie na kawę. Kretyn! - To ostatnie odnosi się do kierowcy discovery, który błyska długimi światłami, odniósłszy mylne wrażenie, że na tej wąskiej przestrzeni dwa samochody nie zdołają się minąć.

Riba pozwala mężowi skupić się na manewrze mijania i uśmiecha się pobłaźliwie, słysząc jego mamrotanie o pozerach jeżdżących prymitywnymi kupami złomu. Gdy Brian parkuje na wolnym miejscu między almerą a toyotą yaris, Riba z trudem powstrzymuje się od wygłoszenia uwagi, że ich nieodżałowany mustang, czerwony jak wóz strażacki, raczej nie

zaliczał się do skromnych, standardowych pojazdów. Odwraca głowę, by mrugnąć do Zeldy, lecz córka śpi zwinęta w kłębek na tylnym siedzeniu.

Jest tym rozczarowana, lecz nie zmartwiona. Opuszczenie szpitala bywa męczące, a haust świeżego powietrza działa jak narkotyk.

- Nie budźmy jej - mówi szeptem, kiedy Brian gasi silnik. - Idź po frytki. Możemy je zjeść tutaj albo zabrać do domu i podgrzać w mikrofalówce. - Zerka na zegarek. - Kup jedną porcję dla Donny'ego, dobrze? Powinien już wrócić. Powiedział, że wychodzi do Trevora na jakąś godzinę. - Chichocze. - Znasz go, wywęszy te frytki z daleka.

Brian idzie, a Riba odchyła się na oparcie siedzenia. Za przednią szybą widzi samotną mewę, szybującą swobodnie na tle różowawego nieba nad gmachem więzienia. Ten zdumiewający widok porusza ją do głębi - ptak najwyraźniej daje jej do zrozumienia, że w przeciwieństwie do swych nieszczęsnych, uwięzionych przy ziemi pobratymców jest wolny, tak jak ona i Zelda mogłyby być wolne, wznosząc się nad murami więzienia stworzonego przez ból i traumatyczne przeżycia.

Obserwując mewę, która zatacza w powietrzu szerokie ósemki, Riba dostrzega graffiti na przeciwległej ścianie. Między rozmaitymi jaskrawymi deklaracjami i sformułowaniami jakiś nieznany artysta pozostawił radosny napis: „Co może się udać, uda się na pewno. Pomyśl o tym”.

Riba się uśmiecha. Dzięki Ci, Boże. Ten napis czekał, by go zobaczyła właśnie teraz. Gdy człowiek wyczuli się na istniejące na tym świecie powiązania, zaczyna dostrzegać, jak wiele pozornie odległych zdarzeń, rzeczy i ludzi w zdumiewający sposób łączy się i zazębia z sobą. Brian kiedyś to zrozumie, z całą pewnością, zwłaszcza gdy zjawią się w domu po podróży i zobaczy cudownie odmienioną córkę.

Kiedy ojciec wraca do samochodu, otoczony kuszącym, wyrazistym aromatem, Zelda budzi się z drzemki i postanawiają zjeść zaimprovizowany posiłek na miejscu. Porcję Donny'ego można później podgrzać.

Jedzenie świeżo usmażonych frytek prosto z papierowej torebki jest wspaniałym przeżyciem: ciepło wyczuwane opuszkami palców, igiełki soli na wargach i to na poły rozkoszne, na poły grzeszne uczucie, że człowiek robi coś fantastycznego i bez wątplenia niezdrowego. Wbijając zęby w chrupiącą skórkę i odkrywając na nowo mączyste, gorące wnętrza, Riba doznaje zmysłowej satysfakcji. Ciemniejący błękit nad ich głowami przecinają teraz nie tylko różowe, lecz także łososiowe i złociste smugi.

- Popatrzcie - szepcze. - Czy to nie urzekające?

- Co? - Wędrując za jej spojrzeniem Brian, z ustami pełnymi frytek, zerka przez przednią szybę na wysokie kamienne mury więzienia. - Nic nie widzę.

- Spójrz w górę... na niebo.

- Owszem, ładne. - Ledwo rzuca tam okiem i ponownie zagłębia rękę w papierowej torbie.

Riba przygląda mu się z boku.

- Słowo daję! Nie wiem, co mam z tobą zrobić, zresztą nie tylko z tobą. Wokoło jest tyle cudów, na ziemi i na niebie, i zdumiewa mnie, jak wielu ludzi nie odrywa oczy od czubków własnych butów. Filister! - Szturcha go z czułością w żebra, a reakcja męża zbija ją z tropu, gdyż Brian wzdryga się gwałtownie, jakby sprawiła mu ból. - Och! Przepraszam.

- Nie ma za co, po prostu mnie zaskoczyłaś. - Ładuje do ust następną garść frytek.

- To naprawdę piękny widok, mamó - wtrąca z tylnego siedzenia Zelda, również z pełnymi ustami.

Riba postanawia nie drążyć tematu i przez następne kilka minut wszyscy zgodnie pochłaniają frytki, a szyby auta zachodzą parą. Rozkoszuje się ciszą, spokojem, atmosferą tego skromnego kokonu, w którym nie trzeba nic mówić, gdy razem oddają się miłemu zajęciu.

Pławiąc się w ciepłe owych doznań i pogryzając frytki, opuszcza okno, by lepiej widzieć niebo, na którym kolory ustępują miejsca szarości. To jest najważniejsze w życiu na naszym pięknym, danym przez Boga świecie i odtąd może być tylko lepiej. Przez następne trzydzieści sześć godzin należy zachować ostrożność i nie mówić nic Zeldzie, Sophie ani nikomu innemu.

Jeśli będzie czujna, wszystko się uda.

Brian zwija w kulkę zatłuszczoną, pustą torbę. Spogląda na żonę, która z zapałem porusza szczękami i starannie wybiera ostatnią frytką drobinki soli z dna torebki.

Gdy się poznali, fascynowało go zmysłowe podejście Eily do najprostszych potraw, jej cmoknięcia i oblizywanie warg, jej pomruki i zadowolone chrząknięcia towarzyszące oczekiwaniu, a następnie spożywaniu posiłku. Jedzenie jest dla niej przyjemnością. To, co wkłada do ust, powinno być apetyczne, sute, miłe dla oka i nozdrzy; wrzuca nawet dwie wiesienki do swego ulubionego koktajlu, ciemnego, aromatycznego manhattanu.

W pierwszych latach uważał to za urocze dziwactwo o lekko erotycznym zabarwieniu - jakby zwiastun innych apetytów - dopóki z biegiem czasu takie zachowanie nie, zaczęło go

nużyć i działać mu na nerwy. Droczył się z nią, pytając, czy się nie boi zanadto przybrać na wadze, na co niezmiennie przytaczała zgryźliwe stare porzekadło na temat dwóch ewentualności, jakie czekają z wiekiem ludzkie ciało: tusza albo zmarszczki. „A ja wolę to pierwsze, uprzejme dzięki!”.

Poglądy Briana na jedzenie są diametralnie odmienne i choć nigdy nie powie tego żonie, szkoda dla niego jej kulinarnych wysiłków. Jako dziecko nieznanymi rodziców, znalezione w brudnym kocyku przed wejściem do supermarketu, gdy liczył sobie nie więcej niż dobę, wychował się w kilku kolejnych rodzinach zastępczych, gdzie jedzenia było pod dostatkiem, lecz wszystko miało mdły smak i wszędzie zdawała się obowiązywać reguła: „im więcej, tym lepiej”.

Nawet w ostatniej i najlepszej rodzinie - tej, która posłała go do szkoły średniej prowadzącej drużynę rugby - matka nie wykazywała szczególnego polotu w kuchni. Dlatego pożywienie stało się dla Briana jedynie paliwem. Jesteś głodny, to jesz, i jeśli posiłek jako tako smakuje i wypełnia brzuch, nie warto stroić grymasów. A już z pewnością nie ma sensu tkwić godzinami w kuchni, przygotowując coś, co zniknie w ciągu kilku minut i zostanie tylko sterta brudnych naczyń.

Wie, że - przynajmniej pod tym względem - jest niewdzięcznym durniem: kiedy słyszy, jak inni faceci psioczą na mrożonki i zupy w proszku, którymi muszą się żywić, zdaje sobie sprawę, że powinien docenić talent kulinarny Eily i być wdzięcznym za jej starania.

Co Sophie myśli o jedzeniu? Zabawne, ale nigdy jej o to nie zapytał ani nawet nie zwrócił uwagi.

- Mniam, mniam! - Eily przesuwając językiem po wargach. - Dzięki, Brian, to było pyszne. Lepsze niż obiad w Gresham.

Brian omal nie wyskakuje ze skóry. Czyżby Eily czytała w jego myślach? Po chwili się uspokaja. Tego wyrażenia używa się w Dublinie dość często, ale zaskoczyło go w jej ustach. Pośpiesznie przekręca kluczyk w stacyjce.

- Hej, skoro i tak jesteśmy w mieście, może byśmy się wybrali do kina? Na pewno znajdzie się coś o piątej w Omniplexie. - Ogląda się na córkę. - Masz ochotę, Zeldy?

- A co z Donnym? - Riba zerka na zegar na desce rozdzielczej. - Pojedziemy po niego?

- Wiesz, jaki on jest - Brian śmieje się cicho. - Chciałbym sprawić przyjemność Zeldzie, a wątpię, czy zyczyłaby sobie oglądać eksplozję i zwisanie na drabince z helikoptera. Ale powinniśmy go przynajmniej zapytać. - Wyjmuje telefon komórkowy. - Zadzwoń do niego.

Ani komórka Donny'ego, ani domowy numer nie odpowiadają.

- Ha! - Brian chowa telefon pod deskę rozdzielczą. - Pewnie znowu te cholerne słuchawki. Nie wiem, ile razy mam mu powtarzać. Chyba go zamorduję. - Odwraca się ponownie do Zeldy. - No cóż, jego strata. Co ty na to, Zel?

- A jego frytki? - uśmiecha się Zeldą.

- Będą aż za dobre dla tego gówniarza. - Brian odwzajemnia uśmiech. - W każdym razie kuchenka mikrofalowa chyba nie ucieknie, no nie?

- W porządku, tato - Zeldą odchyła się na oparcie. - Czuję się trochę zmęczona, ale całe wieki nie byłam w kinie. Jedziemy!

Gdyby cisza miała barwę, ta, która w tej chwili panuje w pokoju Donny'ego, przybrałaby odcień ciemnego grafitu.

Rozdział 17

Przyjechaliśmy w samą porę. - Brian wygląda przez przednią szybę, mierząc spojrzeniem markizę nad multikinem w centrum handlowym Omni.

- Rozmyślałam się, tato. - Głos Zeldy z tylnego siedzenia brzmi słabo i zdradza wyczerpanie. - Jeśli się nie pogniewasz, wolałabym wrócić do domu.

Brian czuje się jak tępy, samolubny prostak.

- Oczywiście, skarbie - odpowiada pośpiesznie. - To była tylko luźna propozycja.

Wrzuca bieg i okrąża niewielkie rondo przed kinem.

Gdy dojeżdżają do Marmurowych Ogrodów, widzą na swoim podjeździe starą toyotę carinę. Gdy tylko Brian zatrzymuje się obok, wysiadają z niej kobieta i mężczyzna. Eily rozpoznaje ich od razu.

- To rodzice Fiony - mówi, otwierając drzwiczki. - Poznałam ich na tym okropnym zebraniu komitetu rodzicielskiego w październiku, opowiadałam ci. Dzień dobry! - woła.

Gdy podchodzą bliżej, Brian dostrzega ich zmarszczone czoła, choć nie potrafi dociec, czy jest to wyraz rozdrażnienia czy niepokoju. Pozostawia niespodziewanych gości Eily, sam zaś zajmuje się Zeldą i jej bagażem, a potem zamyka samochód.

Prendergastowie wciąż rozmawiają z Eily przed bramą i zbliżając się do nich, Brian słyszy koniec wypowiedzi kobiety.

- Więc to do niej niepodobne. Przecież wie, że mieliśmy jechać do babci do Siane. Droga zajmuje dobrą godzinę, a my naprawdę nie lubimy przyjeżdżać po zmroku. Moja matka się zamartwia nawet kilkuminutowym spóźnieniem.

- Skąd państwo wiecie, że ona tu jest? - Brian spogląda na ciemny dom. - Nigdzie się nie świeci. Na pewno powiedziała, że wybiera się do nas?

- Widzę jej rower. - Pulchna kobieta, ubrana w granatowy płaszcz przeciwdeszczowy i plastikowy kapelusz, wskazuje czerwony rower, częściowo zasłonięty przez krzew hortensji tuż za bramą. - Ona tu jest, bez dwóch zdań, tak jak mówiła przed wyjściem.

- A to było około wpół do pierwszej - wtrąca mąż, zupełnie łysy i chudy jak tyczka.

Eily otwiera bramę, z powątpiewaniem kręcąc głową.

- Może po prostu zostawiła rower i wybrali się dokądś razem. Ale proszę wejść... znają państwo mojego męża? Brianie, to są państwo Prendergast.

Brian pochyla głowę w ukłonie.

W domu Eily przystaje u stóp schodów i kładzie palec na ustach. Wszyscy nieruchomieją, nasłuchując. Odwraca się do nich.

- Nic. Ani szmeru. Gdyby tam byli, od razu byśmy wiedzieli, proszę mi wierzyć. Oni zawsze puszczają głośno muzykę. - Uśmiecha się promiennie. - Niech się państwo nie martwią. Na pewno gdzieś wyszli i lada chwila wrócą.

Przedstawia Zeldę, a potem nalega, by weszli do kuchni i napili się herbaty. „I mam domowe babeczki, a do nich świeżo zrobiony krem i konfitury truskawkowe”.

- Ja nie mogę, mam, przepraszam cię. Padam z nóg.

Brian uważnie przygląda się córce: sztuczne światło wydobywa brązowe smugi makijażu na policzkach, lecz rumieniec, który tak go uradował jeszcze w szpitalu, zniknął zupełnie i Zelda istotnie sprawia wrażenie wyczerpanej.

- Zabiorę twoje rzeczy na górę, Zel. - Przeprasza Prendergastów; - Za chwilę wracam.

Zerka po drodze na zamknięte drzwi pokoju Donny'ego. Olbrzymi plakat z liverpoolską drużyną piłkarską, zajmujący prawie całą powierzchnię drzwi, odkleił się z jednego boku i zwisa w dół. Może się podrzeć. Brian odnosi torby Zeldy i, wracając, starannie przylepia róg plakatu. Przyciska go mocno i nawet kilka razy uderza pięścią w miejscu, gdzie pozostały ślady zużytego blu-tacka. Z dołu dobiega beztrouski świergot Eily, odbijając się echem w cichym domu.

- Fiona to miła dziewczynka, wszyscy bardzo ją lubimy. Wierny, jak jest przywiązana do babci.

Brian odsuwa się od drzwi i patrzy, czy plakat nie odpada. Donny ostatnio zachowywał się nieznośnie, ale to zrozumiałe, jeśli wspomnieć bliską więź, jaka łączy go z siostrą. Bez zastanowienia decyduje, że po wycieczce do Anfield z którymś z kolegów - zapewne tym cherlawym Trevorem - urządzą sobie w najbliższej przyszłości wspólną wyprawę. Pierwsza klasa. Ojciec i syn. Kobietom wstęp wzbroniony.

Przystaje z wahaniem. Słyszy szcęknięcie filiżanek na dole. Niech to szlag! Siadają przy stole. Proszona herbatka jest ostatnią rzeczą, jakiej by w tej chwili pragnął, musi jednak okazać uprzejmość. Posiedzi najkrócej, jak się da, i ucieknie na lotnisko do błogosławionej papierkowej roboty, której normalnie nie znosi. Ma dobrą wymówkę: zbliża się miesięczny termin zapłacenia podatku VAT, a on z powodu pobytu w szpitalu nie zdążył jeszcze załatwić tej sprawy.

Schodzi do kuchni w nastroju dalekim od gościnności i po dziesięciu minutach pogawędki jest bliski obłędu. Gdy się zastanawia, jak długo jeszcze musi wytrzymać, zanim się grzecznie pożegna, z góry dobiega go przeraźliwy krzyk Zeldy.

Zrywa się z krzesła i w korytarzu słyszy kolejny krzyk, długi i wibrujący.

Nie zwracając uwagi na głosy sprzeciwu za plecami, Brian wbiega po schodach, biorąc po trzy stopnie naraz, Zdaje sobie sprawę, że pozostali stłoczyli się w holu i patrzą na niego, on jednak skupia uwagę na córce, stojącej w otwartych drzwiach pokoju Donny'ego. Na widok Briana Zelda przestaje krzyczeć, wciąga powietrze i mówi drżącym głosem:

- Tatusiu... tatusiu, oni wszyscy nie żyją! Nie żyją. Weszłam, żeby wziąć sobie płytę, a oni nie żyją.

Brian przeciska się obok niej i w ostrym świetle górnej lampy dostrzega na podłodze trzy zepsute manekiny. Jego nozdrza atakuje ostry smród wymiocin, alkoholu i chyba moczu. Ze względu na córkę zmusza się, by mówić spokojnym tonem:

- Powiedz mamie, żeby wezwała pogotowie. Żeby wykręciła trzy dziewiątki.

Gdy jednak klęka obok syna, Zelda nie rusza się z miejsca i z dłońmi przy ustach wpatruje się w żywy obraz, przypominający scenę z filmu: Donny trzyma rękę pod spódnicą Fiony, Trevor wplata palce w jej włosy.

- O Boże, o Boże, co on zrobił mojej córce?

Brian gwałtownie odwraca głowę i widzi bladą, wstrząśniętą twarz matki Fiony. Zrywa się i bezceremonialnie wypycha kobietę z pokoju, wbrew jej protestom.

- Proszę zejść na dół, sam się tym zajmę. Nie wykonuje jego polecenia i jęczy dalej.

Brian cofa się, klęka ponownie i przykłada ucho do klatki piersiowej Donny'ego. Czeka długo, ponieważ zawrozczenie pani Prendergast zagłusza wszelkie inne odgłosy i nie jest pewien, czy słaby dźwięk, który słyszy, to tętno syna czy pulsowanie jego własnej krwi. Dzięki Bogu! Przysiada na piętach. Jego syn żyje! Brian nie dba o to, kto widzi jego łzy.

Pośpiesznie wyciąga bezwładną rękę Donny'ego spod spódnicy dziewczyny, osłuchuje pozostałą dwójkę i stwierdza, że oddychają, aczkolwiek płytko i powoli. Z trudem przetyka ślinę.

- Nic im nie będzie - oznajmia, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

- Czy zadzwonić do doktora Murraya? Będzie tylko zastępca, bo jest niedziela.

Głos Eily dobiega tuż z za jego pleców, przyciszony, lecz nienaturalnie wysoki. Brian dźwiga się na nogi, podnosi Fionę i kładzie ją na łóżku Donny'ego. Zmienił zdanie, jeśli chodzi o wzywianie pogotowia. Wie dostatecznie dużo o skutkach nadużycia alkoholu, by przewidzieć, że lekarz pierwszego kontaktu zaleci odwiezienie dzieciaków do najbliższego szpitala, gdzie odeśpią swoje pod fachową obserwacją. Prawdopodobnie na materacach na podłodze. Wszyscy troje są krzepcy i zdrowi i z pewnością to przeżyją.

- Przede wszystkim trzeba ich ocucić i napoić - mówi. Opiera Donny'ego i Trevora o poduchy w takiej pozycji, by się nie zadławili, jeśli zwymiotują. Potem odwraca się do Eily, z wysiłkiem nadając głosowi zdecydowane brzmienie: - To nasza wina. - Ma na myśli również Prendergastów. - Są młodzi, wyjdą z tego, choć będą bardzo żałowali swojego wybryku. Apteka w Phisboro jest otwarta, pojedę tam i kupię kilka torebek dioralitu. - Patrzy na Eily. - Czy mamy seven-up, lemoniadę czy choćby colę?

- Chyba zostało kilka butelek napoju imbirowego. - Głos Eily, acz spokojny, jest wysoki i napięty niczym membrana.

- Niech będzie. Rozlej go do szklanek i zostaw na kilka minut, niech odgazuje, a potem dosyp po dwie łyżki cukru i łyżeczkę soli do każdej szklanki. Wróć najszybciej, jak się da.

- Dobrze. - Eily gestem wskazuje Prendergastom drogę przed sobą, lecz pani Prendergast wyraża sprzeciw.

- Chcę zostać z moją córką.

- Nic jej się nie stanie.

Kobieta waha się przez chwilę, po czym, spojrzawszy na Fionę, która wygląda jakby normalnie spała, wychodzi posłusznie.

W tej kryzysowej sytuacji Brian nie może nie podziwiać zimnej krwi Eily. Zwraca się do córki.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Zelda kiwa głową.

- Pójdę do siebie. Jesteś pewien, że wszystko będzie z nimi w porządku?

- W porządku? Gorzko tego pożałują, zapamiętaj moje słowa. Będą ciężko chorzy. Tak ciężko, że przez długi, długi czas nie tkną ani kropli alkoholu. Idź odpocząć, skarbie. Zajrzę do ciebie niedługo.

Zelda wychodzi, a Brian, czując, że uginają się pod nim kolana, otwiera okno, by wpuścić do dusznego pokoju trochę świeżego powietrza. Oddycha głęboko, wpatrując się w ciemność. Jakże cienka linia odgradza życie od śmierci.

- Ty płaczesz.

Nie słyszał, jak Eily weszła do pokoju.

- Czuję się świetnie. - Nie odwraca głowy. - Zaraz pojedę do apteki. Tylko złapię oddech.

Wyczuwa jej wahanie, a potem bezgłośnie, oddalające się kroki. Z jednym wyjątkiem - Jaya Streeta - Eily zawsze wiedziała, kiedy wywierać nacisk, a kiedy lepiej odpuścić. Od początku ją za to podziwiał.

Nietrudno zauważyć, skąd się wzięła mała pociągająca powierzchowność Trevora Jamesona. Obydwoje jego rodzice są bladzi, poważni i noszą okulary; ojciec jest informatykiem i prowadzi badania nad oprogramowaniem, matka pracuje w dziale księgowości rządowego Departamentu Przedsiębiorczości i Zatrudnienia. Na to, co się stało, zareagowali głębokim strapieniem i zboląłymi minami, dalekimi od wstrząsu i gniewu, które nadal napływają falami od siedzących w salonie Prendergastów. Brian wyruszył na

poszukiwanie otwartej apteki, podczas gdy reszta czeka na przyjazd lekarza; McMullanowie ulegli twardym żądaniom pozostałych rodziców. Ta doraźna narada trwa już ponad trzy kwadranse i Riba zaczyna mieć dość. Spłaca wprawdzie słowny haracz, lecz im dłużej kolejne zdania brzęczą nad jej głową niczym chmara ohydnych czarnych much, tym silniejszą odczuwa pokusę, by wstać i powiedzieć im wszystkim, żeby sobie wreszcie poszli.

O co ten cały szum? Oczywiście to, co się wydarzyło, jest niesmaczne i godne ubolewania, ale -jak napomknął wcześniej Brian - stanowi jednocześnie swoisty rytuał i, dzięki Bogu, trójki młodych ludzi, którzy śpią teraz na górze w oddzielnych łózkach, nie czeka nic straszniejszego niż monsturalny kac. Sama zrobiła coś podobnego, będąc mniej więcej w tym samym wieku, choć może nie w tak spektakularny sposób. Z drugiej strony, sądząc po reakcji, czworo nieprzewidzianych gości raczej nie ma tego rodzaju doświadczeń.

Najbardziej przejęta wydaje się matka Fiony - nie tylko pijaństwem, lecz także tym, co uparcie określa jako seksualną napaść na swoją niewinną córkę. W jej tyradzie pojawiają się mniej lub bardziej zawołowane groźby zgłoszenia sprawy na policję, do oddziału dla ofiar wykorzystywania seksualnego w Rotunda Hospital oraz do poradni dla ofiar gwałtu.

Aby uchronić siebie, Zeldę i całą domową atmosferę przed tymi nawarstwiającymi się konfliktami, Riba stosuje psychiczny fortel: wizualnie zmniejsza pozostałą czwórkę, tak że stają się dwuwymiarowymi ludzikami z patyków. Ta zdolność to prawdziwe błogosławieństwo w nieprzyjemnych sytuacjach: widzi teraz całą czwórkę jako kilkunastocentymetrowych karzełków, wymachujących cienkimi rączkami i nóżkami, a ich głosy przypominają piski myszy. Przytakując ruchem głowy ich szczebiotom, dolewa sobie śmietanki do kawy. Czy to nie cudowne, jak gęsta masa wiruje na ciemnej powierzchni, zanim zatonie?

Riba pogrąża się w rozmyślaniach, jaki prezent kupić Jayowi. Nie ma sensu szukać w wolnoślowym sklepie dobrego trunku, nawet najrzadszej, najdroższej marki - Jay nie zatruwa organizmu alkoholem.

Uświadamia sobie, że patyczkowate ludziki przestały popiskiwać i patrzą na nią. Nie ma pojęcia, co powinna teraz powiedzieć. Uśmiecha się ze zrozumieniem do pani Prendergast, która wsuwa witkowate palce w kiepsko ufarbowane włosy, pragnąc zapewne unaocznić wszystkim, jak bardzo się denerwuje.

- Brian powinien wrócić lada chwila - mówi Riba z uśmiechem. W pierwszej aptece dostał tylko cztery torebki dioralitu i pojechał szukać dalej.

Dobrze, że go tu teraz nie ma, myśli z czułością, podczas gdy jej goście podejmują rozmowę. W takich sytuacjach jest zupełnie bezradny. Nie miałby cierpliwości do czworga

obcych ludzi siedzących w jego salonie, zwłaszcza gdy jedna z tych osób wysuwa poważne oskarżenia pod adresem jego syna. Jeszcze tylko kilka godzin... Zagarnia tę wiedzę dla siebie, niczym zabawkę-przytulankę. Zachowanie Donny'ego martwi ją, oczywiście, ale nic mu nie będzie. Już ona się o to zatroszczy.

Kolejna przerwa w popiskiwanu. Riba podnosi dwa dzbanki.

- Czy ktoś chce herbaty? A może kawy?

Zostawiwszy film do wywołania w One Hour Photo po drodze z Dollymount, Sophie wchodzi do domu i zastaje męża przed telewizorem, oglądającego mecz z nogami opartymi na stoliku. O dziwo, dźwięk jest ściszony, choć zazwyczaj podczas meczu bywał podkręcany na pełny regulator.

- Cześć - mówi Michael, sięgając po pilota, a jej odpowiedź grzęźnie w nagłej powodzi decybeli.

Cudownie, myśli Sophie. Znowu się obraził. Nic go nie obchodzi, jak przebiegło nabożeństwo i czy bardzo się zdenerwowała.

No więc wcale się nie zdenerwowała. Zamiast go objąć lub choćby zapytać, czy dobrze się czuje, jak zrobiłaby w normalnych okolicznościach, zrzuca buty, rozsypując piasek, i idzie prosto na górę, żeby odłożyć na miejsce sprzęt fotograficzny. Przecierając obiektyw i pieczołowicie odkładając wszystko na miejsce, Sophie podejmuje stanowczą decyzję, że urządzi sobie własną ciemnię. Myśli o tym za każdym razem, ilekroć porusza ją któreś ze zrobionych zdjęć, tak jak tym razem dwie Cyganki, lecz dotychczas z czystego lenistwa przymykała oczy.

Bolą ją plecy, nogi i stopy - musiała przejść po plaży ponad piętnaście kilometrów. Żołądek również się odzywa, dając jej do zrozumienia, że od rana nic nie jadła, wyjąwszy jednego herbatnika podczas spotkania z Brianem w hotelu Gresham. Brian... który przycesał niesforną czuprynę i wtoczył potężne piało w garnitur...

Dość. Poprzestań na tym. Nie ma sensu myśleć o Brianie.

Pomyśl lepiej o jedzeniu. Powinna w tej chwili zejść na dół i przygotować jakiś posiłek. Z drugiej strony jednak zupełnie nie chce jej się nic pichcić. Zaproponuje Michaelowi, żeby poszli do jakiejś restauracji.

Nasłuchuje. Głos komentatora zaledwie szemrze - Michael znowu ściszył telewizor. Najwyraźniej przedtem chciał jej dać po nosie. Czy potrafi znieść jego dąsy, gdy usiądą naprzeciw siebie przy stole?

Może jego nastrój nie ma z nią nic wspólnego. Może miał ciężki dzień w pracy. Wątpliwości powinny przemawiać na jego korzyść. Sophie z determinacją wstaje ze stołka i cicho schodzi do salonu. Widzi tylko czubek głowy męża nad oparciem obrotowego fotela.

- Michael?

- Hm? - Jego ręka sięga po leżącego na stoliku pilota, lecz tym razem zatrzymuje się w pół drogi.

- Umieram z głodu - mówi szybko Sophie. - Miałbyś ochotę coś zjeść?

Nie odwraca się do niej, ale ruch łokcia wskazuje, że spogląda na zegarek.

- Jest dopiero po piątej. Nie za wcześnie?

- Nic nie jadłam od rana. Jestem głodna i powiem szczerze, że mdli mnie na samą myśl o sterczeniu przy kuchence.

- Jasne. Jak sobie życzysz. - Michael z ciężkim westchnieniem wyłącza telewizor. - Dokąd chcesz iść?

- Prawdę mówiąc, wszystko mi jedno. - Sama jest zaskoczona własnym ostrym tonem.

Jej mąż chyba również, gdyż natychmiast odkłada pilota i zrywa się z fotela.

- Dobrze już, dobrze, nie gorączkuj się.

Jego uwaga na temat wczesnej pory okazała się uzasadniona, ponieważ żadna restauracja nie jest jeszcze gotowa do serwowania kolacji. Ku zdumieniu Sophie, w trakcie poszukiwań Michael sprawia wrażenie raczej strapionego niż rozłoszczonego. Zazwyczaj szybko traci cierpliwość i wyśmiewa brak zdolności organizacyjnych żony, dziś jednak towarzyszy jej bez słowa skargi.

W końcu lądują w Eddie Rocket's w Phibsboro, gdzie Sophie zamawia olbrzymiego hamburgera.

Wybór jest słuszny: hałaśliwe, wielokulturowe otoczenie zaciera fakt, że nie rozmawiają z sobą. Podobnie jak miejsca, które zajmują: wolne były tylko dwa stołki przy barze i siedząc tak obok siebie, mogą zatuszować swoje oddalenie, przyglądając się potrawom rzuconym na rozgrzane patelnie i sałatkom wygrzebywanym z pojemników.

Ukradkiem obserwuje męża, który - pogrążony w myślach - bawi się kawałkiem nacho, zanurzając go w misce chili, ale nie wkładając do ust. Jakim pojedynczym przymiotnikiem mogłaby określić Michaela? Wzrostem niemal dorównuje Brianowi, lecz jest od niego szczuplejszy - jak wilczarz irlandzki w porównaniu z wodołazem. Śmigły. Tak, właśnie. Michael jest śmigły, a Brian mocny.

Przestał udawać, że je, i wpatruje się teraz w chłopaka wybierającego surówkę z białej kapusty z pojemnika i nakładającego ją na talerz.

Sophie zadaje sobie pytanie, czy Michael czuje się samotny w tym małżeństwie, równie samotny, jak ona czasami. W tej chwili niewątpliwie sprawia takie wrażenie -jak gdyby znajdował się pośrodku zamkniętej strefy, której zarysy są niemal widoczne, niczym pole siłowe w komiksie science fiction. Teraz, w zatłoczonym hałaśliwym lokalu korci ją, by przekroczyć tę granicę, objąć go, przytulić i zapytać, co się stało.

Michael zsuwa się z barowego stołka.

- Idę do kibla - mówi i nastrój pryska.

W sumie dobrze się składa: jest zmęczona i dość już ma na dzisiaj psychologicznego pomieszania z poplątaniem. Zaczyna dziwaczyć jak Eily.

Tak a propos, powinna wreszcie skontaktować się z przyjaciółką.

Po posiłku Michael, zupełnie jakby odczytał jej myśli, proponuje odwiedziny u Eily i Briana. „Już całe wieki się nie widzieliśmy”.

W pierwszej chwili Sophie protestuje, wymawiając się zmęczeniem. Michael, który wedle wszystkich oznak odpędził dręczące myśli, nie chce jej słuchać i choć dałaby wiele, żeby uniknąć spotkania z Brianem, nie potrafi wymyślić żadnego sensownego usprawiedliwienia, które nie piętnowałoby jej jako osoby nieczułej i samolubnej.

- Ale nie będziemy długo siedzieli, dobrze? - prosi, gdy wsiadają do nowiutkiego opla astry. - Nie żartuję, naprawdę padam z nóg.

Tuż po siódmej zatrzymują się przed domem McMullanów. Wszystkie zasłony są zaciągnięte, lecz pali się światło na ganku.

- Wpadniemy tylko na chwilę. Obiecujesz? - Sophie zostaje z tyłu, gdy podchodzą do drzwi.

- Och, daj spokój. - Michael z irytacją naciska guzik dzwonka.

Rozdział 18

Dom w dzielnicy zwanej Marmurowymi Ogrodami odzyskał spokój. Lekarz, przy pomocy sześciorga rodziców, zdołał przywrócić młodym ludziom przytomność - przynajmniej chwilowo - i zalecił im dużo płynów, długi sen oraz porządną reprymendę. Dziesięć minut później, po krótkiej, szeptanej naradzie, Prendergastowie i Jamesonowie

wynieśli swoje potomstwo, ku niekłamanej uldze Briana. W tej chwili Donny i Zelda śpią na górze, Eily gotuje w kuchni zupę na jutro i wszystko tonie w błogosławionej ciszy.

Brian siedzi w „swoim” fotelu w salonie i przegląda niedzielną gazetę, gdy odzywa się dzwonek u drzwi. Wiedząc, że Eily nie otworzy, klnie pod nosem i dźwiga się na nogi.

Gdy otwiera drzwi, serce skacze mu w piersi. W progu stoją Mick i Sophie - on uśmiechnięty, ona ukryta w cieniu, tak że nie sposób odczytać wyrazu jej twarzy.

- Patrzcie państwo, kto to przyszedł - odzywa się jowialnie, mając nadzieję, że ci dwoje nie potrafią odgadywać ludzkich myśli. - Wejdźcie. Eily pichci coś w kuchni.

- My tylko na chwilę. Jak się czuje Zelda? - Michael zdejmuje krótki kożuszek. - Kiedy wraca?

- Zabawne, że pytasz. - Unikając oczu Sophie, Brian bierze kożuszek i jej płaszcz. - Jest już u siebie na górze, dałbyś wiarę? To było dość nieoczekiwane, ale cudownie mieć ją z powrotem w domu.

- Wspaniale, Brian. Zajrzę do Eily. - Sophie kieruje się w głąb korytarza, podczas gdy Brian ujmuje Michaela za ramię i prowadzi go do salonu.

- Zostawimy je na chwilę, co? Wolałbym, żeby to Eily opowiedziała jej o naszym małym dramacie. Usiądźmy tutaj.

- Jakim dramacie?

Słuchając o tym, co się wydarzyło, Michael przestaje marszczyć czoło i tylko uśmiecha się krzywo.

- Jezu, to mi przypomina moje młode lata. Biedny chłopak. Nie chciałbym się znaleźć w jego skórze jutro rano.

- Nic mu nie będzie, ale chętnie bym go stłukł na kwaśne jabłko. Tylko tego nam jeszcze brakowało. - Brian zniża głos. - Co się stało? Mów szybko, zanim dziewczyny wrócą.

To, co słyszy, bynajmniej go nie raduje: przyjaciel tłumaczy nieskładnie, że chyba przekonał Yvonne, by urodziła dziecko, lecz najprawdopodobniej będzie musiał powiedzieć o wszystkim Sophie.

- Chryste! - Brian jest wstrząśnięty, a przynajmniej tak mu się wydaje, powinien być wstrząśnięty. - Nie możesz. To ją zabije... na miłość boską, twoje małżeństwo się rozpadnie.

Wypowiedziawszy te słowa, uświadamia sobie, że jego przyjaciel nie ma innego wyjścia - musi wyznać prawdę. Pewien ich wspólny znajomy prowadził podwójne życie, płacąc jednak za to rozstrojem nerwowym, a Brian zanic nie potrafił spojrzeć w oczy jego żonie.

Otwiera usta, by skorygować tę uwagę, lecz Michael odzywa się wojowniczym tonem:

- Więc uważasz, że powinienem ot tak, pozwolić Yvonne wyjechać i zabić mojego dzieciaka? Ona nie jest zła, naprawdę, tylko zdezorientowana. To całkiem miła dziewczyna, gdy ją bliżej poznać.

Brian powstrzymuje się od komentarza, że Mick poznał ją bliżej nieco zbyt szybko i w głupi sposób. Nakłania za to przyjaciela, by dobrze się jeszcze zastanowił. Przynajmniej wszyscy zyskają możliwość złapania oddechu.

- Na razie siedź cicho - perswaduje. - Zaczekaj trochę. Te sprawy czasami rozwiązują się same.

- To nie takie proste. - Michael wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. - Yvonne nie będzie czekać, jestem tego pewien. Sama powie o wszystkim Sophie. - Zatrzymuje się nagle. - Właściwie nie mam racji. To jest proste. Aż zatrważająco proste. Wóz albo przewóz, Brian. Albo odejdę od Sophie i zaopiekuję się nimi obydwójkiem, albo Yvonne zabije nasze dziecko. - Odwraca się do przyjaciela i dodaje przyciszonym głosem: - Prawdę mówiąc, dałem jej do zrozumienia, że tak zrobię.

Brian, zauważywszy, że „nasze dziecko” zastąpiło „ono” i „dzieciaka”, początkowo złożył reakcję Micka na karb paniki, jaką tego typu sytuacja musiałaby wywołać w każdym żonatym mężczyźnie. Ogarnia go irracjonalny gniew.

- Rozumiem. - Z trudem hamuje wybuch. - Powiedziałeś więc Yvonne Leonard, że opuścisz żonę?

- Och, nie potrafię tego sprecyzować. - Michael opada na fotel. - Po prostu rozmowa przybrała taki obrót. Wydaje mi się, że Yvonne tak to rozumiała.

- A czy właśnie tak zamierzasz postąpić? Michael podrywa głowę.

- Nie bardzo mi się podoba twój ton. Nie siedzę na ławie oskarżonych. Przyszedłem do ciebie jak do przyjaciela. Miałem nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Brian puszcza mimo uszu te słowa, tchnące nieznośnym zadufaniem. W pewnym sensie Mick ma rację, a on zachowuje się jak Wielki Inkwizytor - ale kto obroni Sophie?

- Rozumiem cię - odpowiada cicho - i wiem, że walczysz o swoje dziecko. Jest dla ciebie ważne, jak dla każdego mężczyzny. Pomyśl jednak, Mick, co będzie czuła twoja żona. To wspinała kobieta.

- Tak, tak - Michael zrywa się z fotela. - Wszyscy kochają Sophie. Mam już dość tego, że ludzie patrzą na mnie jak na potwora. Nie znasz jej, Brian, to istna Królowa Śniegu. - Uderza pięścią w oparcie sofy. - Nie zawsze tak było, zwłaszcza na początku, kiedy bzykaliśmy się jak króliki, wiesz, jak to jest, ale się zmieniła i teraz, słowo daję, zachowuje się jak lodowa dziewica. A ja jestem normalnym mężczyzną.

Brian czuje wzbierającą wściekłość. Podnosi się z krzesła i staje twarzą w twarz z przyjacielem, tłumiąc przemożną chęć dania mu po pysku.

- Jesteś idiotą, Mick. Kompletnym, pieprzonym idiotą. Sam sobie nawarzyłeś tego piwa. Uganiaś się za dziwkami od lat i nie waż się obwiniać o to swojej żony. Postawiłeś mnie w sytuacji bez wyjścia, ty samolubny kutasie. Mówię dokładnie to, co myślę, głupi dupku. - Mocno popycha Michaela w pierś, tak że ten pada na starannie ułożone przez Eily poduszki na sofie. - Teraz zamknij dziób i nie wyrażaj się w ten sposób o Sophie.

Gdy Michael gapi się na niego z otwartymi ustami, Brian czuje ucisk w klatce piersiowej. Zachowuje się inaczej niż zwykle, reaguje ślepo i instynktownie. Potężny konflikt: z jednej strony musi ze względu na Sophie walczyć o jej małżeństwo, z drugiej zdaje sobie sprawę z własnej dwulicowości, gdy napada na Micka, by uspokoić sumienie. Jeśli się rozejdą mimo jego wysiłków, nikt nie powie, że Brian miał z tym cokolwiek wspólnego albo że dostrzegł i wykorzystał sposobność.

Zanim którykolwiek z nich zdążył otworzyć usta, słyszą kroki żon, zbliżające się od strony kuchni. Brian pośpiesznie wraca na fotel.

- Opowiadałam Sophie o biednym Donnym. - Eily dźwiga kubek z lodem. - Niezbyt to przyjemne, ale taka już jest młodzież. Ktoś ma ochotę na drinka? Albo filiżankę herbaty? Mam też ciasteczka z rodzynekami, prosto z piekarnika. Może się skusicie?

Wszyscy proszą o alkohol, więc Eily wyjmuje z kredensu butelki i szklanki i zaczyna nalewać, zakłócając ciszę pobrzękiwaniem i chlupotem. W pewnej chwili odwraca się, marszcząc czoło, i widzi, że wszyscy wpatrują się w nią z napięciem, zupełnie jakby przeprowadzała skomplikowany zabieg chirurgiczny.

- Co się stało? Odjęło wam mowę?

- To był męczący dzień.

- Jestem wyczerpana, prawdę mówiąc.

Michael i Sophie odzywają się niemal jednocześnie. Eily wraca do przyrządzania drinków.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Macie rację, ten dzień był pełen wrażeń. Coś mocniejszego dobrze nam zrobi. - Rozdaje drinki: gin z tonikiem dla Michaela i Sophie oraz whisky dla Briana, po czym siada na kanapie obok Micka i zwilża wargi w oczekiwaniu pierwszego łyku manhattanu. - Jakie to przyjemne. Zbyt rzadko spotykamy się tak w czwórkę, nie sądzicie? - Uśmiecha się do wszystkich. - Na zdrowie!

- Na zdrowie - odpowiadają przyciszonymi głosami i unoszą szklanki do ust.

Znowu zapada milczenie i po chwili Eily obrzuca towarzystwo krzywym spojrzeniem.

- Mój Boże, można by pomyśleć, że jesteśmy na stypie. Co się z wami dzisiaj dzieje?
- To, co się wydarzyło, wcale mnie nie dziwi. - Głos Sophie brzmi prowokująco. Jej spojrzenie kieruje się w stronę Briana. - Czy wspomniałeś, że rozmawiał ze mną?

Brian zerka na żonę.

- Jeszcze nie zdążyłem, ale to zrobię.

- Co? - Eily patrzy to na męża, to na przyjaciółkę. - Kto z tobą rozmawiał?

- Donny. - Sophie nie odrywa oczu od Briana.

- Donny? - Eily jest wyraźnie zaskoczona. - Nic mi nie mówiłaś, Soph. Czego chciał?

- Żeby mu poświęcić trochę uwagi - oznajmia Brian bez namysłu.

- Posłuchaj, Eily. Jutrzejszy dzień możemy spisać na straty. Żadne z nich nie będzie w stanie pójść do szkoły. Ale we wtorek musimy usiąść i porozmawiać z Donnym. Chłopak czuje się zupełnie odrzucony. O to głównie chodziło, prawda, Sophie?

Twarz Eily przybiera poważny wyraz.

- Wtorek. Masz rację, Brianie, on nas potrzebuje. Biedny Donny.

- Odwraca się. - Ktoś ma jeszcze ochotę na drinka?

Wszyscy odmawiają, a Brian patrzy na Michaela.

- Co myślisz o meczu? - pyta nieco za głośno, zważywszy na rozmiary pokoju.

Michael marszczy brwi.

- O jakim meczu?

- Pierwszym w tym sezonie, głąbie. Transmitowała go telewizja. Mówiłaś, że będziesz oglądał.

- Ach, faktycznie. No cóż, nie obejrzałem go. Pojechaliśmy na kolację do Eddie Rocket's.

W głosie Michaela pobrzmiewa sarkazm i Brian dostrzega kątem oka, że Sophie sztywnieje, a potem się rozluźnia, jak gdyby zamierzała zaprotestować, ale się rozmyśliła. Mimo uprzedniej odmowy wstaje, by nalać sobie następnego drinka. Za jego plecami Eily odzywa się karcącym tonem.

- Dzieci, dzieci! Nie dokuczajmy sobie. Cokolwiek się dzieje, zacznijmy od nowa. Powinniśmy być zadowoleni. Mamy za sobą straszny tydzień. Wypijmy za życie, miłość i przyszłość.

Brian odwraca się i widzi żonę wznoszącą szklanę, ze zdecydowanym wyrazem twarzy i zarumienionymi policzkami, na które pada złociste światło lampy ze stolika. Uśmiecha się z czułością - mimo wszelkich zastrzeżeń nie można nie podziwiać jej wytrwałości i odwagi. Skłania lekko głowę i unosi własną szklanę w toaście.

Co on sobie właściwie myśli, do diabła? Ślubował miłość i opiekę tej promiennej kobiecie. Owszem, jest lekko stuknięta, ale to przecież jego żona - ich drogi życiowe połączyły się nierozzerwalnie. Czyżby przeżywał swoisty kryzys wieku średniego?

Męczą się jeszcze przez pół godziny i w końcu Sophie z Michaeliem wychodzą, wymawiając się zmęczeniem i zapewniając, że chcieli wpaść tylko na chwilę.

W nocy, już w łóżku, Eily napomyka o dzisiejszej dziwnej atmosferze. Uważa, że wszyscy czworo - a przynajmniej troje - odczuli nie tylko wpływ katastrofy, lecz także ponury osad konfrontacji z Prendergastami i Jamesonami.

- Te złe uczucia wciąż unoszą się w powietrzu. - Z cichym szelestem odwraca się plecami do męża i układa wygodnie na boku. - Czy to nie zdumiewające, że Donny zdecydował się spotkać z Sophie? Tak czy inaczej, masz rację. Ekstra specjalna uwaga. Zaczniemy od rana. - Ziewa. - Będzie jej potrzebował i to jeszcze jak!

- Eily? - Brian dotyka jej pleców.

- Mmm?

- Mogłabyś usiąść? Chcę z tobą poważnie porozmawiać. Odwraca się gwałtownym ruchem, ku jego zaskoczeniu.

- O co chodzi?

Czy mu się wydaje, że Eily ma się na baczności? Rozstrzygnięcie tej kwestii musi zostawić na później, gdyż jego żona już podkłada sobie poduszki pod kark.

- Słuchaj, Brianie, wiem, że postępek Donny'ego jest godny potępienia. Ale spójrz na to od jaśniejszej strony. Biedak będzie miał jutro takiego kaca, że zapewne już nigdy więcej tego nie zrobi. Musimy to potraktować jako nauczkę. Szkoda, że tamci rodzice inaczej się zapatrują na tę sprawę. Brak im wyobraźni. - Z westchnieniem opada na poduszki.

- Nie chodzi o jego pijaństwo. - Brian unosi się na łokciu, by spojrzeć jej prosto w oczy. - Nasz syn był tak zdesperowany, że zwrócił się do Sophie, ponieważ uznał, że z nami nie da się rozmawiać. Weź to pod uwagę, Eily.

Gdy przekazuje jej ze szczegółami wszystko, co usłyszał od Sophie, Eily słucha uważnie, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. Potem zamyka oczy.

- Biedny Donny. Mój biedny, kochany synek.

- Co teraz zrobimy?

- A co możemy zrobić? Znaleźliśmy się wszyscy w wyjątkowej sytuacji. Z konieczności, nie z wyboru. Dołożymy wszelkich starań, ale on z pewnością rozumie, że w tej chwili najważniejsza jest Zelda.

- Naturalnie, że to rozumie. I jest już wystarczająco dojrzały, aby można było z nim porozmawiać. Postaram się skontaktować go z którymś z lekarzy. Musimy traktować go poważniej, pozwolić mu w tym wszystkim uczestniczyć. Przykro mi to mówić, Eily, ale ta historia z Jayem Streetem odsunęła cię od syna.

- Och, więc o to ci chodzi, tak? Nie możesz się powstrzymać, prawda? Jak zwykle, Jay jest wszystkiemu winien.

- Nie! - Brianowi udaje się zapanować nad sobą. - Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o Donny'ego. Proszę cię, Eily. Jutro nie będzie się do niczego nadawał, więc jutro odpada. Ale zatrzymaj go w domu również we wtorek i okaż mu prawdziwe zainteresowanie. Ja zadzwonię parę razy, a może nawet uda mi się wcześniej wyrwać z pracy. To ty jesteś mu potrzebna. Niech poczuje, że ci na nim zależy.

- On wie, że mi na nim zależy. - Eily zaczyna lekko gładzić tors męża. - Rozmawiamy przez cały czas.

- Wcale nie. - Brian ma wrażenie, że odbiegają od tematu. Sięga po jej rękę i przytrzymuje ją. - Przepraszam, nie chcę się z tobą sprzeczać. Porozumienie powinno działać w obie strony, a ty, mimo całej swojej troski i dobrych chęci, zbyt wiele mówisz, Eily, i za mało słuchasz. W gruncie rzeczy nie słuchasz żadnego z nas, i to co najmniej od kilku lat. Udajesz tylko, że poświęcasz nam uwagę. Dociera do ciebie wyłącznie to, co chcesz usłyszeć. Czasami czuję się tak, jakbym rzucał grochem o ścianę. - Widzi, że jest gotowa zaprotestować. - Na miłość boską, wysłuchaj mnie choć raz. Nasza córka umiera, Eily, a nasz syn jest głęboko nieszczęśliwy i zdesperowany. Spójrz prawdzie w oczy. Proszę. Dla naszego dobra. Wróć do rzeczywistego świata, zamiast... zamiast... - Szuka odpowiedniego słowa, podczas gdy żona wpatruje się w niego ciemnymi oczyma, połyskującymi spod rzęs. - Żyjesz w krainie ułudy, Eily - podejmuje, chwytając ją za ramiona i niemal nią potrząsając. - Zejdź z obłoków na ziemię. Potrzebujemy cię. Cała rodzina cię potrzebuje. Ta libacja w każdym razie dowodzi, jak bardzo jesteś potrzebna Donny'emu.

Eily łagodnie zdejmuje dłoń Briana z ramion. Obejmuje go za szyję i całuje w usta, a potem mówi cicho, patrząc mu w oczy:

- Ukochany, najdroższy Brianie, ja nie żyję, jak to ująłeś, w krainie ułudy. To ty nie chcesz nas słuchać, ty i całe zastępy głuchych ludzi, którzy ugrzęźli w destrukcyjnych schematach myślowych. Gdybyś tylko zechciał się od nich uwolnić i wysłuchać tego, co mamy do przekazania. Życie może być cudowne, jest cudowne, jeśli zaakceptujesz to, co ma do zaoferowania.

Pocałunkiem zamyka usta Brianowi, gryząc go lekko i wsuwając mu język między wargi w sposób, który zawsze go rozpalał. Potem ujmując jego niestawiającą oporu rękę i kładzie na swoim biodrze, poruszając się przy tym tak, że miękki, śliski materiał nocnej koszuli okrywającej ciepłe ciało przyjemnie drażni wnętrze jego dłoni i wywołuje mrowienie w piersi i podbrzuszu.

Eily jest doświadczoną i utalentowaną kochanką, a w tej chwili wykorzystuje wszystkie swoje umiejętności, by go uwieść, Brian zdaje sobie z tego sprawę, lecz zdradza go własne ciało. Nie potrafi jej się oprzeć i choć wie, że ulega jakiejś manipulacji, krew w jego żyłach zaczyna krążyć w przyspieszonym tempie i nie jest już w stanie prowadzić żadnej cholernej wojny psychologicznej.

Dwie godziny później Michael leży bezsennie w łóżku u boku Sophie, słysząc jej głęboki, regularny oddech. W głębi serca zawsze przeczuwał, że do tego dojdzie. Przedtem miał szczęście. Kobiety, które przewijały się przez jego łóżko, znikwały zbyt łatwo, nie wywołując zamętu i prawie nie zakłócając jego trybu życia. Teraz przeciągnął strunę i spotkała go naprawdę poniżająca niespodzianka.

Nigdy nie szczyił się bujną wyobraźnią, jaką ma jego żona, lecz choć praktyka w tej dziedzinie jest mu obca, usiłuje teraz wyobrazić sobie życie w trwałym związku z Yvonne Leonard. Jakby to ujęła Eily, usiłuje „zwizualizować” całą sprawę, lecz choćby się nie wiadomo jak starał, widzi głównie jędrne pośladki dziewczyny i jej bujny biust - a nawet ten obraz nie podnieca go tak jak zwykle. Beznadziejna sprawa. Będzie musiał po prostu wykazać maksymalną czujność i jakoś przez to przebrnąć. Obraca się na drugi bok, ostrożnie, by nie obudzić Sophie. Jedno wie na pewno. Życie z Yvonne, jeśli już do tego dojdzie, z pewnością okaże się nieprzewidywalne.

Czy wyobraża sobie Yvonne, godzącą się bez szemrania z telefoniczną informacją o jego późnym powrocie?

Będzie dobiegał pięćdziesiątki, kiedy ona jeszcze nie skończy trzydziestki - czterdzieści dziewięć lat to jednak znacznie więcej niż dwadzieścia dziewięć - a Yvonne ma w sobie tyle energii... Kobiety dysponują niewyczerpanymi zapasami i Michael zastanawiał się często, dlaczego ich energia nie maleje, lecz nawet zwiększa się z wiekiem; Jak to się dzieje? Czy zdoła dotrzymać kroku Yvonne? Czy ona, na przykład, nie zażąda, by poszli razem do nocnego klubu albo na koncert muzyki pop? Czy nie potraktuje go jak starego piernika?

Ale za to, mimo wszystko, będą mieli dziecko, małego szkraba, który powie do niego „tato”. Dziecko, które on sam zabierze kiedyś do Glasgow na mecz drużyny Celtics albo, ubrane w kożuszek z owczej skóry, na Lansdowne Road czy nawet do Twickers na międzynarodowe rozgrywki.

Nie muszą na tym poprzestać; mogą mieć drugie dziecko, dziewczynkę, co byłoby nawet niezłe. Wspinałaby się na kolana ojca, dawała mu buzi i uważała go za wyrocznię we wszystkich sprawach. Byłby dla niej bohaterem, przynajmniej dopóki nie osiągnęłaby obecnego wieku Yvonne.

Niech to szlag trafi! Michael usiłuje odsunąć te kliwe obrazki, lecz bezskutecznie. Są bardzo ładne, w przeciwieństwie do wizji angielskiej kliniki z wiaderkami, gąbkami i czymś tam jeszcze, czego używają.

Czuje, że musi koniecznie porozmawiać z Yvonne. Bez powodu - po prostu chce z nią pogadać. Żeby się uspokoić.

Ostrożnie wymyka się z łóżka i na palcach opuszcza sypialnię, zamykając za sobą drzwi.

Na dole przezornie włącza telewizor, nie ustawiając zbyt głośno dźwięku, i wybiera z telefonu komórkowego numer Yvonne.

Sophie, na pół rozbudzona przez wymykającego się chyłkiem z łóżka Michaela, rozmyśla przez chwilę, czy otworzyć oczy czy nie. Nie słyszała budzika.

Idąc na kompromis, otwiera jedno oko i spogląda na czerwone cyferki elektronicznego zegarka. Dopiero dwadzieścia po drugiej - od zmierzenia się z następnym dniem dzielą ją jeszcze całe godziny. Zadowolona, mości się sennie w ciepłym zagłębieniu, czekając, aż szum spuszczonej wody zapowie powrót męża.

Gdy to nie następuje, umysł Sophie zaczyna dryfować w kierunku jawy. Jakieś dziwne dźwięki budzą ją całkowicie. Czy jej się zdaje, czy naprawdę w nocnej ciszy, panującej w domu i na ulicy, dobiegają z dołu stłumione głosy? Siada i nasłuchuje. Tak. To głosy.

Co się tam dzieje?

Wyskakuje z łóżka, wsuwa stopy w pantofle i schodzi do salonu.

- Michael?

Przystaje w drzwiach. Michael stoi tyłem do niej i do telewizora. Trzyma przy uchu telefon komórkowy. Sophie odruchowo zerka na zegarek: jest druga dwadzieścia pięć.

Michael odwraca się do niej i na jego zatroskanej twarzy pojawia się natychmiast promienny uśmiech. Macha do żony, słuchając rozmówcy, a potem wzrusza ramionami, unosi brwi jak spiskowiec i przekazuje jej coś ruchem warg. Z kim on, u licha, rozmawia o tej porze? Zaintrygowana, wchodzi na górę, zrzuca pantofle i wsuwa się do ciepłego łóżka.

Dwie minuty później Michael przytula się do jej pleców.

- Jezus, tam na dole można zamarznąć. Musimy coś zrobić z centralnym ogrzewaniem, Soph. Zupełna Syberia.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z Brianem. - Michael przysuwa się jeszcze bliżej i mocno otacza ją ramionami. - Nie mógł zasnąć i przysłał mi SMS, więc oddzwoniłem.

W głowie Sophie zapala się czerwone alarmowe światełko.

- Brian McMullan?

- A czy znasz innych Brianów, którzy przysyłałoby mi po nocy SMS-y? Jeśli tak, to ilu? Oczywiście, że McMullan.

Sophie stara się nie zdradzić swoich myśli.

- Chyba nadal cię nie rozumiem. Brian wysłał ci SMS w środku nocy, bo nie mógł zasnąć?

Michael przytula ją mocniej.

- Nie, głuptasie, wiadomość dotyczyła przedpołudniowej rezerwacji. Miałem ją odebrać, kiedy wstanę. Ale odebrałem wcześniej, bo też nie mogłem spać, a skoro Brian miał telefon pod ręką, postanowiłem oddzwonić. Rozumiesz? - Całuje ją w kark. - Tam, w salonie, poczułem się nagle taki samotny. Zostawmy w spokoju Briana McMullana z jego obsesjami i pomówmy o czymś prawdziwym. Jak, na przykład, moja reakcja na twój ciepły tyłeczek.

Napiera na nią i podnosi jej nocną koszulę aż do talii, odsłaniając uda. Przyciska ją jeszcze mocniej, obejmując dłońmi jej piersi.

- Sophie, Sophie...

Jest zaskoczona pożądaniem, które wyczuwa w jego dotyku. Mick staje się tak natarczywy, tak gorący, że aż w jakiś sposób nierzeczywisty.

Jeszcze dziesięć minut temu zupełnie nie myślała o seksie, ale już od tak dawna... Jest to winna i jemu i sobie.

Dlatego angażuje nie tylko ciało, lecz także wyobraźnię, by odpowiedzieć na jego gorączkowe pieszczoty. Odrzuca wszelkie inne myśli i odwraca się ku niemu. Wtula się w ciało męża i pod wpływem narastającego pożądania wsuwa dłoń w jego włosy. Tak delikatne... zupełnie inne niż twarda strzecha Briana McMullana.

Sophie podejmuje olbrzymi wysiłek. Strząsa z siebie i wyrzuca z łóżka cielesną obecność Briana McMullana.

- Michael! Och, Michael, tak...

Kochają się gwałtownie, jak gdyby byli obcymi ludźmi, którzy nagle odnaleźli drogę do siebie. Albo jakby tonęli i szukali ostatniej deski ratunku.

Rozdział 19

Poniedziałkowy poranek wstaje wietrzny i zimny; Ribę przenika dreszcz, gdy unosi kuchenne rolety. Choć mija ósma, nadal jest ciemno, a ciężkie wiszące chmury zapowiadają opady śniegu. Zupełnie jak w zeszły poniedziałek, dokładnie tydzień temu. Znowu śnieg, właśnie dzisiaj - czy to nie fascynujące? Czyżby naprawdę minął dopiero tydzień? Wydawałoby się, że raczej tysiąclecie.

Ponownie wstrząsa nią dreszcz, więc kieruje myśli ku czemuś przyjemniejszemu. Na przykład ku życiodajnemu słońcu, które właśnie w tej chwili szykuje się, by skapać w ciepłym blasku Wyspę Palm. Pozostała zaledwie doba...

Rozsadza ją chęć podzielenia się nowinami: chowanie tajemnic przed Brianem czy kimkolwiek innym jest sprzeczne z jej naturą, teraz jednak spisała się pod tym względem na medal. Narzuca sweter na jeden ze swoich kaftanów, kupionych z uwagi na jaskrawe, pierwotne barwy na nowym afrykańskim placu targowym przy Moore Street i ogrzewa dłonie nad czajnikiem, czekając, aż włączy się centralne ogrzewanie.

Brian, dzięki Bogu, wyjechał już do pracy, zostawiając ją w spokoju i stwarzając możliwość poczynienia pewnych dyskretnych przygotowań. W myślach zdążyła wybrać garderobę i inne rzeczy, które zabierają ze sobą - jest ich, oczywiście, niewiele, nie tylko dlatego, że niewiele im potrzeba, lecz także dlatego, że niewiele mają, ponieważ ich walizki kupione specjalnie na wyprawę w tropiki spłonęły w samolocie.

Mimowolnie Riba zerka na kuchenny blat, gdzie niczym złośliwy grzyb rośnie sterta listów i formularzy pochodzących z rozmaitych firm ubezpieczeniowych, linii lotniczych, a nawet władz lotniska. Nie przeczytała ich dokładnie. Zrobi to kiedyś, oczywiście. Niewątpliwie już wkrótce. Przejrzała listy i adresowane do niej dokumenty, lecz nie potrafi stawić czoła ich tonowi i zawilości. Może Brian rzuci na nie okiem i powie jej, gdzie podpisać, co mówić. Dokumenty jego i Zeldy spoczywają w segregatorze na podeście schodów. Dziwne, że jeszcze ich nie przejrzał - zazwyczaj świetnie sobie radzi z praktyczną stroną rzeczywistości. Biedaczek. On także przeżywa katusze.

Ale czy tej nocy nie zmienił się w tygrysa?

Oczywiście, jakże by inaczej - przy takiej kochance jak ona. Przypominając sobie, jak łatwo jej poszło, Riba uśmiecha się z satysfakcją i wsuwa dwie kromki chleba do tosterka. Seks zawsze ją ożywia i pobudza, do tego stopnia, że jeszcze w nocy, kiedy Brian już dawno usnął, musiała się powstrzymać, żeby nie wyskoczyć z łóżka i nie zająć czymś konstruktywnym, na przykład pieczeniem ciasta, czyszczeniem mebli czy choćby sprawdzaniem w świetle latarki, co kiełkuje w ogrodzie. Oparła się, rzecz jasna, temu pragnieniu i po prostu odprężyła, wsłuchując się w ciche pochrapywanie Briana i szum własnej krwi, gdy tak leżała nasycona i zadowolona w swoim przytulnym łóżku.

Dobry seks to najlepsza forma terapii: rano, po niespełna pięciu godzinach snu, Riba czuje się może nie do końca wypoczęta, lecz za to pełna energii i całkowicie rozbudzona. Gdy ostatni raz przed zaśnięciem spojrzała na zegarek, dochodziła trzecia.

Co powinna spakować? Kilka bluzek z krótkimi rękawami i spódnice dla Zeldy, lekarstwa, które wkrótce - dzięki Bogu - nie będą już potrzebne, kolorowe kaftany dla siebie, ręczniki plażowe, przybory toaletowe, bieliznę, kasety i odtwarzacz. To mniej więcej wszystko. Na wyspie mogą kupić kremy do opalania, kostiumy kąpielowe i klapki, choć Zelda wstydzi się swego wychudzonego ciała i nie wiadomo, czy zechce je odsłonić.

W tej chwili, rzecz jasna, nie ma to żadnego znaczenia; należy przede wszystkim znaleźć się w samolocie, bez zakłóceń, opóźnień i niepostrzeżenia. Byłoby cudownie podzielić się z kimś tymi emocjami. Czy może zaufać Sophie?

Zalewa herbatę wrzątkiem, przykrywa imbryk ocieplaczem i czeka aż się zaparzy. Grubo smaruje grzanki masłem, odkrawa skórki, kroi obie kromki chleba po przekątnej i układa je na niebieskim porcelanowym talerzyku o ząbkowanym brzegu. Pośrodku każdego trójkąta umieszcza łyżeczkę domowego dżemu truskawkowo-pomarańczowego i przez chwilę rozkoszuje się widokiem różowych smużek, spływających prosto w złociste plamy roztopionego masła.

- Nie śpisz już, kochanie? - Trzymając oburącz niewielką tacę, popycha stopą drzwi pokoju córki. W środku jest ciemno i bardzo ciepło: ponieważ Zelda ustawicznie marznie, olejowy grzejnik był u niej włączony przez całą noc. Z łóżka nie dobiega żadna odpowiedź i sztylet lęku wbija się w radosny nastrój Riby. - Zeldo! Zeldo! - woła, a raczej krzyczy.

- Co? - Dziewczyna siada raptownie, rozrzucając pościel. - Co się stało?

Riba słania się pod ciężarem tacy, skądinąd naprawdę lekkiej.

- To tylko ja, kochanie - mówi głosem zdławionym przez ulgę, z trudem chwytając oddech. - Przepraszam, że cię wystraszyłam. Przyniosłam ci śniadanie. - Stawia tacę na stoliku przy łóżku i zapala lampę.

Paniczny lęk blednie niczym zły sen, gdy w padającym z boku świetle dostrzega na głowie córki złociste punkciki i uświadamia sobie z radością, że w sąsiedztwie długich, rzadkich kosmyków wyrasta meszek, jak na skórcie brzoskwini.

- Och, Zeldo.

Choć córka się odsuwa, Riba nie może się powstrzymać i całuje ją w tę okrytą świeżym meszkiem głowę. Chmurna twarz córki skłania ją do strategicznego odwrotu; napomyka tylko, że za chwilę przyniesie leki. Ma charakter po ojcu, myśli Riba, zbliżając się na palcach do drzwi pokoju Donny'ego, które następnie uchyla na kilkanaście centymetrów.

Wewnątrz jest lodowato, w przeciwieństwie do tropikalnej temperatury panującej w sypialni Zeldy. Mimo otwartego okna zapach przypomina Ribie małpiarnię w dublińskim

ogrodzie zoologicznym, odwiedzanym w dzieciństwie. Odzywa się szeptem, wymawiając imię Donny'ego i pytając, czy czuje się na siłach wypić tyk herbaty.

- A może wolałbyś sobie jeszcze pospać, skarbie?

W odpowiedzi Donny naciąga kołdrę na głowę, więc Riba na palcach wycofuje się za próg.

Znalazłszy się z powrotem w kuchni, zauważa na niebie szare smugi, tak blade, że niemal białe - i tak, te chmury zwiastują śnieg. Ale co z tego? Wkrótce ona i Zelda znajdą się z dala od zimna. Wszystko idzie zgodnie z planem. „To, co ma się udać, na pewno się uda”. Sam Jay Street mógłby napisać coś podobnego. Riba uśmiecha się na wspomnienie pierwszego spotkania ze swoim idolem. Pamięta każdy szczegół, każdą chwilę.

Niedługo po odwiedzeniu w towarzystwie Sophie wystawy „Umysł, ciało, duch” Jay przyjechał do Irlandii na szeroko reklamowany cykl spotkań, ona zaś przyszła na jeden z jego otwartych wykładów w dusznej sali hotelowej w południowej części miasta. Zważywszy na kampanię reklamową, zdziwiło ją nieco, że zjawilo się tak niewiele osób -najwyżej czterdzieści, głównie kobiety. Dziewczyna z Ameryki Południowej przedstawiła go w sposób tak czolobitny, że Eily, pomimo pozytywnego nastawienia, nabrała poważnych wątpliwości. Najwyraźniej nie potrafił tylko chodzić po wodzie i rozmnażać ryb.

A potem zjawił się on sam, przeszedł cicho wśród słuchających i zajął miejsce przy mównicy. Nie odzywał się przez co najmniej cztery, a nawet pięć minut - mierzył tylko zebranych łagodnym, hipnotyzującym spojrzeniem zielonych oczu. Włosy miał ścięte na krótko i konserwatywnie, był ubrany w prosty, jasnobrązowy golf oraz nieco ciemniejsze spodnie. Eily odniosła wrażenie, że od tego człowieka płynie blask, który ogarnia ich wszystkich. Jaśniał coraz mocniej, stając się swoistą odwrotnością zaćmienia i pochłaniając brudnożółte światło tandetnego elektrycznego kandelabru, zwisającego z sufitu pozbawionej okien sali. Czuła ciepło tego blasku na policzkach i czole, podczas gdy atmosfera stopniowo gęstniała, a napięcie przywodziło na myśl sprężynę nakręcanego zegarka. Nikt się nie poruszył, nikt nawet nie zakaszał. Sama Eily ledwie ośmielała się oddychać. Czuła się tak, jakby tonęła i została wciągnięta pod wodę, do innego świata gdzieś poniżej poplamionego dywanu, do miejsca wypełnionego niega-snącym blaskiem, gdzie nie ma rzeczy niemożliwych.

A potem Jay przemówił głębokimi melodyjnym głosem z akcentem ze środkowego zachodu, głosem, który wkrótce tak dobrze poznała.

- W tej chwili czujecie, jak otwierają się wasze umysły Odkrywacie swój nieograniczony potencjał i jest to cudowne doznanie, gdy uświadamiacie sobie, że otaczają

was światło, miłość i zrozumienie. Tak powinniście się czuć każdego ranka i każdej godziny każdego dnia.

Uwolniona z zaciskającej się pętli ciszy, Eily nabrała wówczas powietrza, z uczuciem, że jest to pierwszy oddech ludzkiej istoty na ziemi. Jak gdyby po tym wstępie miała stanąć przed obliczem Boga.

Mówiąc bardziej prozaicznie, gdy Jay kontynuował swą przemowę w tym samym duchu, poczuła, że słuchanie jego nauk po raz pierwszy jest jak zanurzenie się w głębinach własnego umysłu. Każde słowo brzmiało tak trafnie - jak gdyby wiedziała to wszystko od samego początku, lecz była zbyt zaślepiona, by coś zrozumieć. Niezwykłe i niezmiernie podniecające przeżycie. Zupełnie jakby urodziła się spowita błoną i dopiero słowa Jaya pomogły ją zerwać i zostawić z boku - skurczoną pozostałość po mglistym, niepełnym życiu, które Eily wiodła do tej pory.

Szukając potwierdzenia, zwróciła się do kobiety stojącej obok i zobaczyła, że jej twarz jest mokra od łez. Mocno chwyciła ją za rękę, na co kobieta odpowiedziała uściskiem i obie słuchały dalej.

Eily zamknęła oczy, by lepiej się skupić na przesłaniu zawartym w słowach Jaya i przez następne pół godziny utwierdziła się w pierwotnej opinii, że w głębi duszy od początku знаła te fundamentalne prawdy. Nie używał wymyślnego filozoficznego żargonu, tylko zwykłych słów i zwrotów, popartych rozległym doświadczeniem ze Stanów Zjednoczonych - lecz to, co opisywał i obiecywał, jeśli słuchacze zastosują się do jego wskazówek, przekażą owe nauki dalej i nakłonią innych, by się przyłączyli, brzmiało tak urzekająco, że nie sposób było mu się oprzeć ani odrzucić cudownych darów, jakie przynosił.

Tamtego dnia Eily narodziła się na nowo. Pragnęła wdrapać się na dach budynku Poczty Głównej i wykrzyknąć te rewelacje tysiącom ludzi. Wszyscy powinni się dowiedzieć, ile radości ich czeka, jeśli tylko zrzucą pęta nawyków myślowych i pozwolą swym duszom i umysłem rozkwitnąć w pełni.

Zaczęła od zapisania się do organizacji, wpłaciła składki na następne prelekcje i zgłosiła się na ochotnika, by pomóc Jayowi w rozwijaniu raczkującej działalności na terenie Irlandii. Wybrała z notesu adresy wszystkich osób, które mogłyby skorzystać z oferty i zobowiązała się podjąć próbę ich zwerbowania. Inni wokół niej ustawiali się w kolejkach, by zrobić to samo.

Okazało się, że szkolenie dotyczy głównie public relations - ze wzmiankami na temat właściwego żywienia, refleksologii i ziołolecznictwa - oraz sposobów przyciągnięcia innych ludzi, ponieważ, jak wyjaśnili pierwszego dnia opiekunowie, którzy przylecieli z Jayem,

dopiero gdy organizacja osiągnie w Irlandii tak zwaną „masę krytyczną”, będą mogli prowadzić takie kursy, jak w Stanach: dotyczące diety, zdrowia psychicznego, duchowego uzdrowienia, rozpoznawania aury, świadomego oddychania, reiki i tak dalej. Tymczasem należało wykorzystać nauki Jaya jako podstawowy przewodnik. Eily zabrała do domu gruby plik tekstów mistrza odbitych na ksero.

Podczas tych wstępnych procedur Jay krążył po sali, sprawując dyskretny nadzór nad nowymi uczniami. Zbliżywszy się do Eily, uściśnił jej dłoń i zerknął na plaketkę z imieniem.

- Czuję dzisiaj, że nasz pobyt w Irlandii okaże się bardzo owocny. Dziękuję, że przysłałaś. Wkraczasz w nowe życie, Eileen.

Omam nie zemdląca i podziękowała Bogu, że ubrała się w miarę przyzwoicie. Zdawała sobie sprawę, że Jay każdemu dziękuje w podobny sposób, lecz gdy się do niej odezwał, poczuła, iż traktuje ją serdeczniej niż pozostałych, że ją wyróżnia. Zajrzał jej w oczy tak głęboko i trzymał jej rękę tak czule, że po prostu nie mogło być inaczej.

Oczywiście gdy wróciła do domu, przepełniona zachwytem i gotowa entuzjastycznie podzielić się dobrą nowiną, napotkała barierę cynizmu. Przez siedem wspaniałych lat od tamtego spotkania nic się pod tym względem nie zmieniło, lecz mimo rozczarowania rosnącym oporem bliskich nie zniechęciła się ani na chwilę. Choć musiała właściwie zejść do podziemia, była przekonana, że rodzina i znajomi, nawet ci, z którymi utrzymywała sporadyczny kontakt, czerpią korzyść z nauk Jaya po prostu przebywając w jej obecności. Przed prawdą nie da się uciec i nawet gdy staje się obiektem szyderstw, samo otarcie się o nią potrafi zdziałać cuda. Wraz z członkostwem w organizacji Eily otrzymała dar cierpliwości. Poniosła porażkę, nie zdoławszy zwerbować nikogo z rodziny ani nawet Sophie, która swego czasu sama mogła przystąpić do ruchu. Udało jej się jednak z kilkorgiem znajomych - jeszcze z czasów szkolnych - z którymi na szczęście nie straciła kontaktu.

Teraz, co jest dla niej cenną nagrodą, ilekroć Jay przyjeżdża do Irlandii, dzwoni do niej jako do jednej z pierwszych osób. Dwa razy nawet jadła z nim kolację w hotelu, choć przyjemność tę mąciła nieco obecność Kalifornicy i reszty kobiecej gwardii przybocznej.

Spogląda na zegarek firmy Swatch, odrzucony przez Donny'ego jako dziecinny. Wzięła go z pokoju syna, niedługo po katastrofie. Nie może się doczekać, by zawiadomić Jaya o rychłym przylocie swoim i Zeldy. Musi się podzielić dobrą nowiną, bo inaczej pęknie. Pora jest jeszcze nieco zbyt wczesna, by dzwonić na wyspę. Ale przecież Kalifornica powiedziała, że wstają wcześnie. Zapewne aby oglądać wschód słońca nad łagodnymi turkusowymi falami. Riba pogrąża się w marzeniach o przyjaznych delfinach i różowym niebie.

Och, nie. Sophie jęczy, słysząc, że na dole dzwoni telefon. Mrużąc oczy, spogląda na czerwone cyferki zegarka: 8.44. Na miłość boską, kto telefonuje do niej o tej porze? W odróżnieniu od większości rówieśników, Sophie uparcie hołduje graniczącej już z mitem regule, że w Dublinie życie zaczyna się o dziewiątej rano.

Miała rozkoszny sen, w którym jakiś olbrzym bez twarzy zabrał ją do łodzi i kołysał łagodnie i bezpiecznie. A może łódź kołysała się sama na spokojnym morzu? Sophie chce się dowiedzieć, jak to właściwie jest, ale obrazy jej umykają i gdy odzywa się drugi ostry dzwonek, sen znika. Okazuje się, że telefonuje Eily.

- Przepraszam cię, kochanie, mam nadzieję, że to nie za wcześnie?

- Ależ skąd, Eil... Ribo! - Sophie jest zadowolona, że wideotelefony nie znalazły się jeszcze w powszechnym użyciu. Lepiej, że Eily nie widzi jej miny. - Co słychać?

- Czy mogę ci zaufać, Sophie? Potrafisz utrzymać tajemnicę? Muszę się komuś zwierzyć, inaczej chyba pęknę, a poza tym może będę potrzebowała twojej pomocy.

Teraz Sophie jest w pełni rozbudzona i czujna. Rozmawia z najlepszą przyjaciółką, której mąż stał się ostatnio bohaterem jej fantazji. Poczucie winy wywołuje irracjonalną złość. Nie chce słuchać zwierzeń Eily, przynajmniej nie w tej chwili.

- Zanim cokolwiek powiesz, Eily - wrywa się jej - czy masz coś przeciw temu, żebyśmy wreszcie dały sobie spokój z tą Ribą? Czuję się nieswojo, używając tego imienia. Już od dawna.

Proszę, jednak powiedziała to w końcu!

W słuchawce zapada pełna urazy cisza i Sophie natychmiast żałuje swojego wybuchu. Z trudem powstrzymuje się od cofnięcia prośby. Nie da się tego zrobić, a ponadto naprawdę nie znosiła używania dwóch imion i zwracania się do Eily per „Riba”, podczas gdy do wszystkich, łącznie z mężem przyjaciółki, mówiła o niej „Eily”.

- W porządku. - Głos Eily brzmi spokojnie jak zawsze i Sophie ogarnia dziwne przygnębienie.

- Przepraszam, ale naprawdę...

- Nie musisz się tłumaczyć ani przeproszać, nie ma takiej potrzeby. To twoja decyzja i uznaję ją. - Eily mówi rzeczowym tonem, nawet z pewną werwą. - Wracając do kwestii, dlaczego dzwonię, po prostu strasznie chciałabym pogadać. Od wieków nie ucięłyśmy sobie uczciwej pogawędki. Może wpadniesz do mnie na kawę? Donny i Zel będą w domu, ale w swoich pokojach. - Wyczuwając wahanie przyjaciółki, dodaje: - No, przecież znajdziesz pół godziny? Upiekę coś. Możesz zajrzeć, gdy będziesz jechała do redakcji.

Sophie zaciska palce na słuchawce. Brian musiał powiedzieć Eily o likwidacji „Wild Places”... ale czy na pewno?

- Pojadę do redakcji - odpowiada cicho - tylko po to, żeby uprzątnąć swoje biurko.

- Ach tak, oczywiście. Biedactwo. Tak, Brian mi wspominał. Ale to ci wyjdzie na dobre, Soph. Istnieją pewne prawidłowości, których nie dostrzegamy. Sama się przekonasz. Za miesiąc będziesz się dziwiła, dlaczego tkwiłaś tam tak długo. Jesteś taka zdolna, tyle masz do zaoferowania i teraz, gdy otworzyły się przed tobą drzwi, na pewno trafi ci się doskonała praca. Więc wpadnij na małą filiżankę, zgoda?

Sophie nie potrafi znaleźć rozsądnej wymówki.

- Dobrze - zgadza się - będę mniej więcej za półtorej godziny. Muszę odebrać zdjęcia na mieście, a potem przyjadę. Ale tylko na kilka minut.

Odłożywszy słuchawkę, wydaje głośny jęk. Jakim cudem narobiła sobie takiego bigosu? Przygląda się własnemu życiu: straciła niewymagającą i dobrze znaną pracę, jej życie intymne dryfuje po nieznanym, niezbadanych wodach, wieloletnia przyjaźń, którą sobie ceni, obfituje w niepokojące komplikacje, łącznie z nieuczciwością.

Och, dajże spokój! Zrzuca nocną koszulę i wbiega na górę po schodach, a następnie odkręca prysznic na cały regulator i wchodzi do kabiny, podstawiając twarz pod dobroczynne igielki gorącej wody. Mimo to, gdy jej ciało pławi się z lubością w parze i ciepłe, Sophie nie może uciec od własnych myśli, które wyskakują jedna po drugiej w jej głowie niczym ceny podliczane na staromodnej kasie sklepowej.

Pierwsze pojawia się wspomnienie minionej nocy, gdy kochali się z Michaelem zaskakująco gwałtownie i ze ślełą namiętnością.

Zbyt ślepa, w tym problem. Choć wstyd jej to przyznać, patrząc wstecz, odnosi wrażenie, iż parzyli się niemal jak zwierzęta. Sophie nie potrafi się oprzeć przypuszczeniu, że folgując w ten sposób požądaniu, nie tyle próbowali rozdmuchać! dawny płomień, ile - przynajmniej na kilka minut - wymazać z pamięci coś nowego. Powinna pomówić o tym otwarcie z Michaelem, aczkolwiek tak bardzo oddalili się od siebie, że trudno im będzie powrócić na bezpieczny, spokojny grunt, na którym można by poruszyć temat ich związku.

Czy to wyłącznie jej wina? Czy całkowicie przestała kochać męża, czy - uczynkiem lub zaniechaniem - odepchnęła go od siebie?

Aby się ukarać - albo przerwać te rozmyślenia - Sophie gwałtownym ruchem przekręca kurek i puszcza zimną wodę. Wydaje głośny okrzyk, gdy jej zszokowane ciało protestuje ostro. Znosi torturę przez pół minuty, po czym zakręca wodę. Przynajmniej fizycznie czuje się nieco lepiej, gdy wkłada stosunkowo ciepły frotowy szlafrok.

Ubiera się w wytarte dżinsy i luźny granatowy pulower Michaela, tak miękki, że go sobie przywłaszczyła. W ostatniej chwili przekopuje się przez jedną z szuflad toaletki i wyciąga jedwabny szalik, biały w niebieskie bławatki. Dostała go od Eily na Gwiazdkę i ma nadzieję, że posłuży jako oznaka pokuty za uszczypliwość, z jaką potraktowała przyjaciółkę przez telefon. Co z tego, że Eily zapomniała o jej gównianym wymówieniu? Prawdopodobnie ma rację: z czasem trafi się coś lepszego. A jeśli imię „Riba” ją uszczęśliwia, to w czym problem? Prawdziwa przyjaciółka zwracałaby się do niej nawet per „Mahatmo Gandhi”, gdyby tego Eily właśnie pragnęła.

Wychodząc z domu, Sophie trzaska frontowymi drzwiami tak mocno, że ze starej mosiężnej skrzynki na listy odpada śrubka.

Michael i Yvonne siedzą w holu hotelu Skylon przy Drumcondra Road. Michael, który ma dostarczyć samochód klientowi do hotelu na drugim krańcu miasta, jest podenerwowany. Któryś raz z rzędu zerka na zegarek.

Boi się również, że ktoś ich zauważy. Hol z barem mieści się od frontu i często zaglądają tu ludzie, których zna z lotniska. Yvonne nie jest już zamroczone środkiem uspokajającym i narzeka na niewyraźny, tępy ból w zatokach i pod oczodołami. Zaczyna tracić cierpliwość.

- Słuchaj, Mick, jesteś tu ze mną czy nie? Bo jeśli nie, to wychodzę. To był twój pomysł, żeby się tu spotkać, nie mój i jeżeli wolisz znaleźć się gdzie indziej, powiedz od razu! Nawiasem mówiąc, nie przepadam za telefonami o drugiej w nocy. Mogłam już spać.

- Ale nie spałaś. - Michael zdobywa się na błądy uśmiech. - Nie odchodź. Po prostu chciałem się upewnić, czy nadal się zgadzamy. Nie zmieniłaś znowu zdania, prawda? - Myśli, że tego ranka Yvonne wygląda całkiem nieźle. Umyła włosy i zrobiła sobie makijaż.

- Nie patrz na mnie, jakbym ci zabiła matkę. - Odzyskała też w pewnym stopniu dawną werwę. - To ty mnie przekonałeś, pamiętasz? Kto przyszedł do mojego mieszkania? Kto bez przerwy wydzwania, że aż mi się robi, kurna, niedobrze od dźwięku komórki?

Michael przeżywa chwilę wahania: to, co dwanaście godzin temu wydawało się osiągalne i logiczne, a nawet odrobinę podniecające, teraz nastęcza poważne trudności. Na myśl o rozstaniu z żoną ogarnia go lęk. Nie zdążył jeszcze dokładnie przeanalizować swoich uczuć do Sophie. Ta dramatyczna sytuacja niewątpliwie zmusi go wkrótce do zadania sobie poważnego pytania, czy właściwie jeszcze kocha żonę, na razie jednak koncentruje się wyłącznie na bieżących, pilnych sprawach, które uosabia siedząca przy nim dziewczyna, a

także na własnym osuwaniu się w sferę chaosu. Co powiedzą ludzie? I jak zareaguje jego świętoszkowaty szef? Brian darzy Sophie najwyższym

szacunkiem, a ponadto Michael już sobie wyobraża atmosferę w pracy, te chichoty, współczujące spojrzenia, opowiadanie się po tej czy innej stronie. Wprawdzie w Irlandii dawno już minęło średniowiecze, tuż pod powierzchnią jednak wciąż kołaczą się resztki purytanizmu.

Więc najprawdopodobniej pracę też będzie musiał zmienić.

Nie przywykł do autoanaliz; jego życie, płynące dotychczas tak beztrąsko, utknęło w martwym punkcie. Ponieważ niezależnie od tego, jak ciężkie czekają go przejścia i jak ponure ma przed sobą perspektywy, czuje, że zakiełkowało w nim coś cennego, co rośnie jednocześnie z nowym życiem w ciele Yvonne. Jest to uczucie tak niezwykle, że jeszcze nie potrafi go ubrać w słowa, dotyczy bowiem czegoś delikatnego, co przypomina kwiatki o cienkich łodyżkach, które czasami sprzedają w kwiaciarni na lotnisku, te o dość silnym, korzennym zapachu.

- Jak się nazywają te kwiaty, wiesz które, białe, żółte i fioletowe, takie kruche? - Próbuje je opisać ruchami palców. - Znasz je, mają długie łodyżki, a z nich wyrasta coś w rodzaju kieliszków.

- Frezje? - Patrzy na niego jak na wariata.

- Właśnie - Michael tryumfuje. - Frezje. Przepraszam cię, Yvonne, po prostu coś mi przyszło do głowy. - Łagodnie bierze ją za rękę. - Jesteś taka młoda. Nie masz pojęcia, co to znaczy długoletnie małżeństwo.

Pełne usta dziewczyny zaciskają się w cienką, zdecydowaną kreskę.

- Posłuchaj. Wiem, że nie będzie ci łatwo, ale to twój problem, nie mój. No więc, zrobisz to czy nie? Mówiłeś serio ostatniej nocy czy po prostu chciałeś postawić na swoim? Zamierzasz jej powiedzieć? Bo jeśli nie...

- Powiem jej. - Michael popada w spokojny fatalizm. - Dziś wieczorem.

Yvonne wyjmuje z kieszeni kawałek papieru i podaje Michaelowi. Na kartce widnieją litery i cyfry: potwierdzenie rezerwacji na jutrzejszy lot.

- Przyjrzyj się. Powinniśmy to zachować na pamiątkę. I może pokazać dziecku, żeby je utemperować, kiedy podrośnie i zacznie się stawiać. - Przez jej twarz przemyka cień lęku, który szybko ustępuje miejsca promiennemu uśmiechowi, gdy dawna zuchwała Yvonne przekrzywia głowę i bierze Michaela pod ramię. - Popatrz tylko na nas! Collette pewnie pomyśli, kurna, że zupełnie mi odbiło. Sama zaczynam tak myśleć.

Swoje zdanie na temat Collette Michael zachowuje dla siebie.

- Nie pożałujesz tego - mówi i ku swemu zaskoczeniu wierzy we własne słowa. Cokolwiek się stanie, zamierza chronić tę kruchą frezję, którą sam stworzył.

Rozdział 20

Jednostronny telefoniczny spór z przyjaciółką wciąż tkwi Sophie w głowie, gdy zatrzymuje auto przed bramą domu Eily. Zwlekając z wejściem, jeszcze raz otwiera teczkę ze zdjęciami, które wcześniej odebrała. Już po pierwszym, pobieżnym przejrzeniu ich w punkcie fotograficznym zachwyciła ją seria z Cygankami.

Przerzuca pozostałe i krytycznym okiem przygląda się tamtym fotografiom. Tak, nie myliła się: te zdjęcia mają w sobie coś szczególnego. Sophie nie uważa się za następczynię lorda Snowdona, ale tu widzi coś więcej niż cykl dziwacznych fotek przedstawiających dwie bezzębne kobiety, które przyjemnie spędzają wolny dzień. Jej obiektyw uchwycił w wyrazie

ich twarzy jakieś radosne: „Mam cię!”, jak gdyby znały pewną tajemnicę, którą może się kiedyś podzielać, lecz nie teraz. Nawet sposób, w jaki światło pada na twardą starą skórę, nadaje fotografiom malarski, trójwymiarowy charakter. Sophie dotyka palcem twarzy wróżki. Dziecko? Czy to możliwe, by ostatniej nocy poczęli z Michaeliem dziecko?

Usiłuje odpędzić tę fantastyczną myśl, lecz gdy wpatruje się w ciemne, budzące niepokój oczy i przypomina sobie zwierzęce zapamiętanie, z jakim się kochali tej nocy, przyciska wolną rękę do brzucha, jakby ten gest mógł w nim odkryć nowe życie.

Wkłada fotografie z powrotem do teczki i wysiada z samochodu. W ostatniej chwili łapie torbę z aparatem. To równie dobra pora jak każda inna, by wreszcie zrobić kilka zdjęć Zeldzie, co może się nawet okazać wybawieniem.

Kiedy Eily otwiera drzwi, Sophie zdobywa się na szeroki, promienny uśmiech i natychmiast pociąga nosem.

- Mój Boże, już czuję zapach twoich wypieków. Tak właśnie powinien pachnieć dom.

- Dzięki. - Eily, której zarumieniona twarz nie wygląda korzystnie w zestawieniu z jaskrawoczerwonymi zawijasami na kaftanie, uśmiecha się w odpowiedzi. - O, nosisz mój szalik... i widzę, że zabrałaś aparat.

Sophie nie udaje się wyjaśnić, po co go wzięła, ponieważ Eily odwraca się i maszeruje w stronę kuchni, gdzie - pozostawiając gościa, by zajął stałe miejsce przy stole - zaczyna wyciągać babeczki z piekarnika i kładzie je na drucianym stojaku, by ostygły.

Wszystko wydaje się takie normalne: muzyka, z całym bogactwem instrumentów smyczkowych, płynie z magnetofonu, lodówka wtóruje mruczeniem, na kuchennej płytce bulgocze gulasz, którego woń miesza się z zapachem ciasta. Ktoś z zewnątrz nie domyśliłby się, jak dramatyczna sytuacja panuje w tych ścianach.

- Świetnie wyglądasz. Bardzo mi się podoba ten kolor. - Pamięć o długoletniej przyjaźni skłania Sophie do dalszych prób zawarcia zgody.

- Aha! - Zręcznymi ruchami palców o czerwonych paznokciach Eily ustawia ciastka w równych rzędach. - Dzięki żywym barwom człowiek zawsze wygląda lepiej, kiedy jest trochę zmęczony, nie uważasz? A skoro już o tym mowa, muszę się napić wyciągu z żeńszenia. Usnęłam dopiero po trzeciej w nocy. Brian, naturalnie, chrapał jak lokomotywa. On to ma sen! - Uśmiechnęła się czule na wspomnienie męża, a Sophie czym prędzej odpędza od siebie wizję Briana w łóżku.

- Co to za muzyka? - pyta pośpiesznie.

- Walc „Złoto i srebro” Franza Lehara. Uroczy, nieprawdaż? Wszyscy myślą, że skomponował go Strauss. Pytanie w sam raz do teleturnieju. Widziałaś „Wesołą wdówkę”?

- Niezbyt często chodzimy do teatru.

Cała Eily, myśli Sophie. Złoto i srebro, pewnie. Jedno dziecko umierające, drugie tak udęczone, że omal nie zatrało się na śmierć alkoholem, a ona krąży po domu jak gdyby nigdy nic, obnosząc na sobie wszystkie barwy tęczy i słuchając perlistych walców. Gdyby istniała melodia pod tytułem „Smaragdy i diamenty”, puściłaby ją teraz na pewno. Sophie karci się w duchu, wstrząśnięta własną kądliwością. Czyżby po prostu zazdrościła przyjaciółce poczucia własnej wartości i tego jej zmysłowego postrzegania świata?

A może zazdrości Eily czego innego - na przykład, że jest żoną Briana McMullana? Sophie, poruszona, skupia się na zręcznych ruchach przyjaciółki, manewrującej tacą. Zapas ciastek wydaje się niewyczerpany.

- Niestety, pieczenie to sztuka, której nie zdołałam opanować -mówi. - Ty jesteś w tym świetna. Jak się dzisiaj czuje Zelda? Czy mogę teraz zrobić jej te zdjęcia, o które prosił Brian?

Od dalszego ciągu tej męczącej wymiany zdań wybawia ją sama zainteresowana, która pojawia się niczym zjawa na progu kuchni, ubrana tylko w nocną koszulę. Po raz pierwszy od bardzo dawna Sophie widzi ją w czymś innym niż gruby sweter albo szlafrok i z bólem stwierdza, że dziewczyna jest chuda jak szkielet.

- Jak się miewa moja ulubiona chrześniaczka? - Z nadzieją, że jej twarz nie zdradza wstrząsu, podchodzi do Zeldy i obejmuje ją delikatnie, żeby nie urazić sterczących kości. Gdy ją puszcza, czuje płynący od głowy dziewczyny jabłkowy zapach; najwidoczniej brała prysznic. - Właśnie mówiłyśmy o tobie. Co ty na to, żebyśmy pstryknęła ci kilka zdjęć? - Nie chcąc, by Zelda dopatrywała się w tym jakiegoś szczególnego znaczenia, dodaje pogodnie: - Zamierzam o to prosić wszystkich znajomych. Potrzebna mi praktyka! Ponieważ nie mam pracy, muszę zdobywać nowe umiejętności.

Jeśli nawet Zelda wyczuwa podstęp, nie daje tego po sobie poznać.

- Żaden problem, ciociu. - Wzrusza ramionami. - Kiedy tylko chcesz.

- Może teraz? U ciebie w pokoju?

- Jasne, nie ma sprawy. A propos, przykro mi z powodu twojej pracy. Dowiedziałam się od mamy. To okropne. - Podchodzi do zlewu, a Sophie odczuwa wstyd, przypominając sobie, że posadziła Eily o brak zainteresowania.

- Przed chwilą wyjęłam te babeczki z piekarnika - zwraca się Eily do córki. - Zjesz jedną?

- Nie, mam, dziękuję. No więc, przyjdź, kiedy zechcesz, ciociu. Tylko wrzucę coś na siebie. - Zelda napełnia szklanę wodą i wychodzi z kuchni. Sophie sięga po torbę z aparatem.

Dziesięć minut później patrzy przez celownik optyczny na słaby, wysiłony uśmiech Zeldy, upodabniający ją do dzielnej ofiary głodu z ulotki organizacji humanitarnej. Sophie nie jest w stanie tego znieść, więc, najdelikatniej jak potrafi, mówi dziewczynie, żeby się rozluźniła i że nie musi się uśmiechać.

Choć taktownie unika zbliżeń, dostrzega również przez obiektyw coś, czego rodzice prawdopodobnie nie widzą: że pod ustępliwością chorej kryje się zubożenie. Zelda wie, że umiera, i rozumie, że te fotografie będą zapewne towarzyszyły jej nekrologom. Zaprzestała walki. Właściwie śmierć zdaje się otaczać jej postać niczym przejrzysta aura i pstrykanie zdjęć wymaga od Sophie ogromnego wysiłku woli.

Po sesji, gdy pakuje film i aparat, zauważa, że jej chrzestna córka wpatruje się w nią uważnie, pragnąc coś powiedzieć.

- O co chodzi, Zel?

- Przekażesz im coś ode mnie, ciociu?

- Oczywiście, wszystko. - Sophie ogarnia nagły lęk.

- Powiedz im, że dla nich jest to o wiele trudniejsze niż dla mnie. Wiem o tym. I przykro mi, że muszą przechodzić przez coś takiego.

- Dlaczego sama im nie powiesz?

- Nie mogę. Pewnych rzeczy po prostu nie mogę powiedzieć. Zupełnie by się załamali. Muszę podtrzymywać ich na duchu.

Sophie ze ściśniętym gardłem całuje ją pośpiesznie.

- Przekażę im. Może nie w tej chwili, ale obiecuję, że przekażę. Teraz odpocznij trochę.

Wychodzi szybkim krokiem, idzie prosto do łazienki Eily i zamyka drzwi na klucz. Odkręca obydwie kurki. Nie mając odwagi spojrzeć w lustro nad umywalką, raz po raz przełyka ślinę, dopóki nie odzyskuje panowania nad sobą. Potem, na wypadek gdyby ktoś nasłuchiwał, spuszcza wodę w toalecie, myje ręce, zakręca kurki i schodzi na dół. Eily czeka na nią.

- No i jak poszło?

- Znakomicie. - Sophie ponownie przełyka ślinę. - Posłuchaj, Eily...

- Chcę ci coś powiedzieć, Sophie - przerywa przyjaciółka. - Jesteś jedyną osobą, której postanowiłam zaufać. - Ma taki wyraz twarzy, jakby wręczała komuś drogocenną perłę.

Sophie wcale nie pragnie być tą osobą. Przytłacza ją już wystarczająco dużo tajemnic dotyczących tej rodziny. Została jednak złapana w potrzask.

- Jakaś dobra wiadomość?

- Czy dobra? O, tak... a przynajmniej mam nadzieję, że uznasz ją za taką. Nie zgadniesz. - Zawiesza głos dla większego efektu, po czym oznajmia jednym tchem: - Zel i ja wylatujemy jutro rano. Załatwiłam już bilety i wszystko. Tym razem lecimy przez Paryż.

Przygnębienie Sophie w jednej chwili przeradza się w gniew. Każdym nerwem wyczuwa, że ta podróż to wielki błąd. Dziewczyna na górze jest taka dzielna - ta kobieta na nią nie zasługuje. Co więcej, bycie powiernicą obydwójga zwaśnionych rodziców wydaje się w najwyższym stopniu nieuczciwe.

- To po prostu nie do wiary. - Wie, że reaguje zbyt mocno, i czuje, że zaczyna dygotać z gniewu, lecz nie może milczeć. - Postępujesz w sposób skrajnie nieodpowiedzialny. Najłagodniej mówiąc, wykazujesz brak rozeznania, ale jeśli mam być szczerą, ocierasz się o karalne zaniedbywanie obowiązków rodzicielskich.

- Co proszę? - W pierwszej chwili ten wybuch wstrząsnął Eily, teraz jednak uruchomiła swoje mechanizmy obronne i jej twarz przybiera kamienny wyraz.

Sophie nie zamierza wysłuchiwać żadnych argumentów.

- Zrozumiałaś wszystko i dobrze wiesz, o czym mówię! - Stara się nie podnosić zbyt głośno, tak by nie docierał na górę. - Żeby wlec Zeldę w jej stanie przez pół świata... i to, jak sądzą wszyscy prócz ciebie, zupełnie niepotrzebnie.

Milknie. W oczach Eily pojawia się znany Sophie szklisty, nieprzenikniony wyraz. Nawet odległość między nimi dwiema wydaje się większa.

Sophie odruchowo postępuje o krok naprzód, lecz powstrzymuje się od fizycznego kontaktu. Ze względu na Zeldę musi próbować dalej, więc zmusza się do zachowania spokoju. W dodatku przypomina sobie spojrzenie Briana, który dzień wcześniej zwierzył się jej ze swoich obaw.

- Przepraszam - mówi ciszej. - Przykro mi, że ujęłam to w taki sposób. Nie chcę być nieuprzejma ani wtrącać się w nie swoje sprawy, ale ty sama poruszyłaś ten temat, dlatego muszę ci powiedzieć, co czuję. Wysłuchaj mnie, Eily, proszę cię. Dotychczas tylko krążyłam wokół problemu, sytuacja jednak stała się zbyt poważna, żeby dalej stosować uniki. Jeszcze nigdy nie sprzeciwiłam ci się tak otwarcie, dlatego chyba zdajesz sobie sprawę, jak głęboko mnie to przejmuje. Zeldą jest moją chrzestną córką i mam wobec niej pewne zobowiązania. Jestem naprawdę przekonana, że w tym stanie taka podróż ją zabije. - Urywa z wahaniem. Przyjaciółka stoi nieruchomo i sztywno, z zamkniętymi oczyma, jak wyłączona. Opierając się

chęci potrząśnięcia nią, Sophie nabiera tchu i następne zdania wypowiada szybko i pewnie. - Ponadto uważam, że to źle robić coś takiego za plecami Briana. Jest jej ojcem, również ma obowiązek się o nią troszczyć i należy brać pod uwagę jego życzenia.

Uświadamia sobie, że jej prawa dłoń się poci i dzieje się z nią coś dziwnego. Spoglądając w dół, dostrzega, że trzyma słoik z dżemem,;

Nie pamięta, by brała go do ręki, i patrzy na niego, jakby to był odłamek księżycowej skały, pozostawiony przez posłańca z innej planety,

- Otwórz oczy, proszę.

Eily ani drgnie. Sophie ostrożnie odstawia słoik.

- No to dobrze, nie otwieraj. Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałam, ale nie jest mi przykro, że powiedziałam to, co powiedziałam. Ponieważ mówiłam szczerze, Eily. Koniec końców, decyzja należy do ciebie i choć bardzo źle się z tym czuję, uszanuję twoją prośbę o dyskrecję. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz, jakie to nieuczciwe wobec mnie.

- Skończyłaś?

Eily znowu ma otwarte oczy i mimo ich obojętnego wyrazu Sophie wie, że przyjaciółka jest skonsternowana. Szukając szczeliny w jej zbroi, idzie na całość.

- Nie, nie skończyłam. Bo w tej całej sprawie nasuwa się jeszcze jedno pytanie: co z Donnym? On również jest twoim dzieckiem. Po tym, co się wczoraj stało, a co w moim przekonaniu było wołaniem o pomoc, zamierzasz tak po prostu zostawić go i odlecieć?

- Zostaje z nim Brian.

- On potrzebuje obojga rodziców, Eily. I bardzo potrzebuje ciebie. Swoją drogą, jak twoim zdaniem Brian ma sobie z tym wszystkim poradzić? Niedawno przeżył katastrofę samolotową. Jest i tak załamany z powodu Zeldy. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, co zrobiłaś.

- Nie tylko on przeżył katastrofę...

- Myślę, że powinnaś się dobrze zastanowić - przerywa Sophie, zanim przyjaciółka zbyt się rozpędzi, - Nie działaj pochopnie. I nie gniewaj się, że tak mówię, ale spróbuj odpowiedzieć sobie na pytanie, czy robisz to dla niej, czy dla siebie.

Eily odwraca się i poprawia ciastka na tacy.

- Lepiej już idź, Sophie.

Sophie patrzy na jej pulchne plecy i kaskadę lśniących czarnych włosów.

- Chcesz, żebym ci tylko potakiwała, Eily? Cóż by wówczas ze mnie była za przyjaciółka? - To wywołuje nieznaczną reakcję, którą Sophie stara się wykorzystać. - Wiem, że jesteś na mnie zła, i przykro mi z powodu moich słów, ale naprawdę ogarnął mnie gniew.

Już wychodzę, ale gdy sobie pójde, przemyślisz to, co powiedziałam? Proszę cię, Eily. - Po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi, całkowicie traci cierpliwość. - Och, to beznadziejne. Widzę, że marnuję tylko energię. - Ale dalsze słowa płyną niepowstrzymanie. - Tak jak obiecałam,

dochowam tajemnicy i nie powiem nikomu, co zamierzasz zrobić, choć wszystko się we mnie burzy. Tylko proszę, cokolwiek stanie się w przyszłości z tobą, Zeldą czy kimkolwiek, kto istnieje w twoim życiu, nigdy więcej w nic mnie nie wciągaj. Naprawdę mi to nie odpowiada, a gdyby Brian odkrył, że wiedziałam i go nie uprzedziłam, zapewne nigdy by się do mnie nie odezwał. I miałby rację.

Gdy tylko za Sophie zatrząskują się frontowe drzwi, Riba przestaje wciąż na nowo układać ciastka, zostawiając je w idealnie równych szeregach niczym miniaturowy pułk. Siada przy kuchennym stole. To ci dopiero przyjaciółka! Jak mogła się tak pomylić? Poniosły ją emocje. Przynajmniej Sophie dotrzyma słowa i nie powie nikomu: pod tym względem można jej zaufać.

A zatem pozostały tylko we dwie, ona i Zelda przeciw reszcie świata.

Za oknem zaczyna cicho padać śnieg. Kasetka z walcami, cudownie wytłumiająca inne dźwięki, dawno się już wyłączyła i Riba słyszy czyjeś kroki na górze. Nie potrafi odgadnąć, czy to Zelda czy Donny, skupia się więc na cichym bulgotaniu gulaszu duszącego się na wolnym ogniu.

Tuż obok włącza się z sykiem wiszący na ścianie gazowy bojler. Drgnąwszy, Riba wstaje i przeciąga się powoli, a potem sięga w roztargnieniu po ciepłą babeczkę i wpycha ją całą do ust. Bez masła nie czuje prawie żadnego smaku prócz mąki; ostra soda szczypie delikatne wnętrze jamy ustnej. Wypełnione usta przeszkadzają w dokładnym gryzieniu i musi przełykać duże, dławiące kęsy.

Jej gardło się buntuje i Riba w ostatniej chwili dociera do zlewu, gdzie wymiotuje, dopóki ma czym.

Dyszy, czując strumienie łez płynące po policzkach i bolesny skurcz mięśni, cofa się o krok, a potem odkręca oba kurki do oporu i leje do zlewu płyn do mycia naczyń, powstrzymując się dopiero gdy piana wyrasta ponad krawędź i omal nie ścieka na podłogę. Czym prędzej wciąga gumowe rękawiczki i zaczyna myć, czyścić, wyżymać ścierkę i znowu szorować stalowe komory domestosem, aż wreszcie błyszczące jak lustro komory zlewu spełniają jej wymagania.

Gdy już wszystko jest nieskazitelnie czyste, ściąga rękawice i mocno przyciska dłonie do splotu słonecznego. Stoi, wpatrując się w śnieg, którego płatki wirują łagodnie za oknem. Oddycha głęboko, odliczając każde wciągnięcie powietrza, i niemal czuje, jak opadające płatki chłodzą jej policzki i pokrywają białą zaczerwienioną skórę.

Wraz z odzyskanym spokojem pojawia się determinacja. Riba wychodzi na korytarz, zabiera telefon i wraca do ciepłej kuchni, ciągnąc za sobą długi przewód. Nie musi szukać numeru i już po chwili przy jej uchu odzywa się czysty, wyraźny sygnał, zupełnie jakby telefon dzwonił w sąsiednim pokoju, a nie tysiące kilometrów stąd, za dwoma oceanami. Gdy ktoś podnosi słuchawkę, Riba prosi Jaya.

- To ważna sprawa.

- Kto dzwoni, jeśli mogę spytać?

Zachwycający, śpiewny akcent dodaje jej otuchy: niewątpliwie podjęła słuszną decyzję. Wyobraża sobie dziewczynę z kwiatami hibiskusa we włosach. A może uroczynu.

- Proszę przekazać, że Riba. Muszę porozmawiać z nim osobiście.

- Proszę chwilę poczekać. - Dziewczyna się rozłącza i miejsce jej głosu zajmuje pogodna wersja „The Wonder of You” Elvisa w wykonaniu zespołu instrumentów blaszanych.

Riba zaczyna nucić do wtóru. Gdy w słuchawce znowu odzywa się głos, jej serce uderza mocniej, lecz natychmiast powraca do stałego rytmu. To nie Jay, to Kalifornica.

- Ribo, masz dla nas nowiny? Przylatujecie?

- Tak, Monico, lecimy jutro. Za chwilę podam ci godziny, ale najpierw muszę porozmawiać z Jayem. Zastałam go?

- To wspaniała wiadomość, Ribo, jesteś taka dzielna, mimo tego wszystkiego, co przeszłaś. Ale czemu się tu dziwić? Przecież należysz do naszych irlandzkich wojowniczek, czyż nie? Powtórzę mu.

- Zastałam go, Monico? - Riba nadaje głosowi stanowcze brzmienie.

- Czy nie mógłby oddzwonić? Właśnie medytuje w domku na plaży.

- Będę naprawdę wdzięczna, jeśli poprosisz go do telefonu. - Drażni ją, że musi w ten sposób prosić jedną z samozwańczych asystentek Jaya, otaczających go na wyspie ciasnym kordonem. - Mogę poczekać - dodaje chłodno. Pal licho rachunek.

Kalifornica niechętnie daje za wygraną.

- To może trochę potrwać, ale pójdę po niego. Już się cieszę na twój przyjazd, złotko.

Sama jesteś złotko, myśli Riba wzgardliwie, gdy steelband powraca z pełną siłą.

Śnieg pada coraz gęściej. Jest naturalnie bardzo ładny, ale przez niego mogą być problemy z jutrzejszymi lotami. Czyż nie byłby to szczyt ironii, gdyby - po szczęśliwym pokonaniu wszystkich przeszkód - odwołano ich lot z Dublinu? Bibę przeszywa dreszcz: strach nawet o tym myśleć. Oczywiście, że nic podobnego się nie zdarzy.

Gdy tak minuta wlecze się za minutą, podstępnie wraca do niej wspomnienie sprzeczki z przyjaciółką. Jak śmiała powiedzieć te wszystkie okropne rzeczy? Jasne, łatwo tak mówić komuś, kto nie ma dzieci. Co Sophie może wiedzieć o lęku przed utratą córki?

Głęboko w niej kiełkuje jednak ziarnko niepokoju. Czy to możliwe, że te uwagi kryją w sobie część prawdy? Że jest złą matką, złą żoną? Bo przecież sprzeczka z tego właśnie wynikła. Czy błądzi, dopuszcza się karygodnego zaniedbania i tak dalej, jak mówiła Sophie? Na tle „The Wonder of You” pojawiają się i znikają obrazy, których od półtora roku wysiłkiem woli nie dopuszczała do siebie.

Zelda w trumnie, z nienaturalnie uróżowanymi policzkami, a wokół białe atłasowe falbanki...

Zapadnięte oczodoły córki...

Czarny, czarny deszcz, padający na świeżo wykopany grób...

- Nie! Nie! Precz!

Przerażona, wypowiada te słowa głośno, zrywając się z krzesła i gwałtownymi ruchami wolnej ręki odgania żalobne wizje, jakby to były wielkie, straszne ptaszyska. Skupia się ponownie na śniegu, który sypie za oknem, i próbuje odróżnić poszczególne płatki, takie piękne, czyste i świeże.

Świat wraca do równowagi. W słuchawce rozbrzmiewa głęboki, spokojny głos Jaya.

- Riba! Podobno już jutro cię zobaczymy?

Uczucia, które wezbrały w jej sercu, wybuchają niczym gejzer. Ich radosny chór brzmi równie dźwięcznie i wesoło jak grający zespół.

- Tak, Jay, to prawda - odpowiada. - Zastukamy do twoich drzwi około ósmej wieczorem waszego czasu. Nie mogę się doczekać, ale na razie jest coś, o czym bardzo chciałabym z tobą porozmawiać. Masz wolną chwilę?

- Dla ciebie? Zawsze!

Jego cichy, krzepiący śmiech budzi w niej dreszcz emocji i Riba zaczyna opowiadać o wszystkim - o kłótni z Sophie i nienawistnych słowach przyjaciółki, o tym, jak martwi się o Zeldę. Oczywiście nie wyolbrzymia stanu córki, choć ma jeszcze świeżo w pamięci cmentarne wizje. Wyjaśnia po prostu, że Zelda jest bardzo ciężko chora i że leki, aczkolwiek niezbędne i skuteczne, dramatycznie pogarszają jej samopoczucie.

Jay nie przerywa monologu, a gdy Riba kończy, mówi jej, żeby się nie martwiła. Sugestywnym tonem, takim samym, jak tamtego dnia,

kiedy go poznała, tłumaczy cierpliwie, że powinna ufać biegowi rzeczy. Że Donny jest pod opieką, podobnie jak Brian i Zelda, „i jak twoja przyjaciółka, i jej mąż. Każdemu, kto jest związany z tobą, Ribo, zapewniasz ochronę. Nawet zniechęceni siedem razy dziennie, musimy pozostać otwarci i wznieść się ponad samych siebie. Życie jest piękne świat jest piękny, a my powinniśmy wykazać tolerancję wobec tych którzy jeszcze w to nie wierzą. Nie zapominaj, że opluwano nawet samego Jezusa, lecz On ocierał twarz i szedł naprzód. Wiesz, jak powinnaś postąpić, Ribo... co ci mówi głos serca?”

- Abym jak najszybciej wsiadła z Zeldą do samolotu - odpowiada radośnie Riba, nie mając już żadnych wątpliwości. -I przywiozła ją do ciebie.

- Podjęłaś słuszną decyzję. Czekamy z niecierpliwością. Przylatujesz w najodpowiedniejszym momencie. Czy Monica powiedziała ci o uczcie weselnej w następny weekend?

- Nie, Jay, ale to znakomicie. - Choć słyszy o tym po raz pierwszy i nie wątpi, że uroczystość będzie wspaniała, jej myśli krążą wokół spraw innych niż wesele: - Jest tylko jeden problem... - Urywa z wahaniem i choć w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ją podsłuchać zniża głos niemal do szeptu. - Dopóki nie dotrzemy na miejsce, musimy zachować naszą podróż w tajemnicy, zgoda? Znasz sposób myślenia mojego męża. Nie chciałabym, żeby ktoś od was zadzwonił tu z jakimś pytaniem czy czymś w tym rodzaju. Uprzedzisz wszystkich?

Wyczuwa uśmiech w jego głosie, gdy Jay wyraża zgodę.

- Sama musisz pozafatwiać własne sprawy, Ribo, ale nie obawiaj się, nikt nie piśnie słowa. Cieszę się, że cię zobaczę.

- Ja także... Ciągle czekasz, Jay?

- Naturalnie, moja droga. Wystarczy, że kiwniesz swoim uroczym palcem.

To ich drobny prywatny żart. Kiedyś, w odległej przeszłości, Jay był żonaty, lecz od wielu lat nie utrzymuje kontaktów z żoną i żyje obecnie w celibacie, wychodząc z założenia, że - podobnie jak katolicki ksiądz - dzięki temu bardziej się skoncentruje na pracy. Niemniej prowadzi z Ribą stałą grę, w której obydwójce udają, że pewnego dnia ich znajomość wzbogaci się o aspekt fizyczny. Jest w tym coś rozkosznie intymnego i Riba uwielbia te niewinne kłamstwa.

Głos Jaya ulega zmianie, staje się rzeczowy.

- Skoro już rozmawiamy, czy wyświadcysz mi drobną przysługę?

- Cokolwiek zechcesz. - W tej chwili Riba gotowa byłaby zawinąć się w dywan i wysłać pocztą lotniczą do Timbuktu, gdyby sobie tego zażyczył.

- Mam nadzieję, że nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu, ale czy mógłbym cię prosić, żebyś odwiedziła moją ciocię May w domu opieki? Nie mamy w Irlandii żadnych żyjących krewnych, a dzisiaj przypadają jej dziewięćdziesiąte urodziny. Chciałbym, żeby wiedziała, że o niej myślę. Wszyscy tutaj o niej myślimy. Prawdę mówiąc, właśnie o niej medytowałem, gdy mnie zawiadomiono, że telefonujesz. Jest wspaniałą starszą damą, ostatnią z sióstr mojej matki. W małym domku w hrabstwie Mayo mieszkało ich dziewięćoro, Ribo, i tylko ona nie wyemigrowała. Pozostał jeszcze jeden wuj w Chicago. To było wspaniałe pokolenie.

Gdy Riba godzi się spełnić tę prośbę i przynosi sobie kartkę i długopis, by zanotować nazwę domu, do kuchni wchodzi Donny, blade i potargany. Powłócząc nogami, zbliża się do zlewu i nalewa wody do czajnika. Włącza go i wpatruje się ponurym wzrokiem w śnieg za oknem.

Riba kończy pisać, powtarza głośno adres, a potem żegna się z Jayem, nie używając jego imienia, i odkłada słuchawkę ruchem tak ostrożnym, jakby była zrobiona z najcieńszego, najdelikatniejszego szklanego włókna. Znowu czuje się jak młoda dziewczyna, Jay zawsze wywiera na nią taki wpływ. Cały stres, troski i głupie nawyki myślowe topnieją niczym śnieg na ciepłej szybie. Po rozmowie z Jayem wszystko staje się proste.

Już ruszając sprzed domu Eily, Sophie żałuje swojego zachowania wobec przyjaciółki. Było prostackie, przesadne i najprawdopodobniej wyrządziło nieodwracalne szkody przyjaźni, która przetrwała dziesięciolecia. Przypominając sobie sztywne plecy urażonej przyjaciółki, słyszy własny, wrogi i karcący głos, który rozbrzmiewa w aucie groźnie i równie donośnie jak kasety Eily. Umysł Sophie wie, że to nie ona zawiniła tam, w kuchni, serce jednak chciałoby wszystko cofnąć i powiedzieć Eily, że ją kocha.

Choć to bezsensowne, Sophie tęskni za dawnymi pewnikami, za tym, co było przed katastrofą - lub za amnezją.

W połowie drogi do redakcji odczuwa impuls, by wrócić do domu i położyć się do łóżka. Ale nie może tego zrobić biednej Imeldzie - choć czy właściwie warto z taką skrupulatnością dostarczać jakiś cholerny artykuł, który guzik kogokolwiek obchodzi? Michael ma rację.

Coś, co od dłuższej chwili nie dawało jej spokoju, przybiera konkretny kształt.

Trzecia. Trzecia w nocy.

Eily wspomniała, że Brian głośno chrapał o trzeciej w nocy. Czy jednak Michael nie rozmawiał z nim mniej więcej o tej porze? Zanim wrócił do łóżka? Zanim się kochali?

Skupia się, by „zobaczyć” cyferki na wyświetlaczu zegarka w chwili, gdy się obudziła i dostrzegła, że Michaela nie ma obok. Była bez wątpienia druga dwadzieścia. Jest tego pewna, ponieważ cyfry dają razem cztery. W charakterze prezentu urodzinowego Eily zaciągnęła ją pewnego razu do numerolożki i choć Sophie była i pozostała sceptyczna wobec tej tak zwanej nauki, przypominającej wróżbiarstwo, owa kobieta wydawała się bardzo pewna swoich racji i przez to sugestywna. Dla Sophie najważniejszą liczbą, opartą na dacie urodzenia - 9 kwietnia, dziewiąty dzień czwartego miesiąca - okazała się czwórka. Dziewięć plus cztery równa się trzynastcie, a to z kolei sprowadza się do czterech.

Z jakichś powodów analiza numerologiczna utkwiała jej w pamięci i od tamtego dnia dodawała po kryjomu rozmaite liczby, które gdzieś spostrzegła. Choć może to zabrzmieć w stylu Eily, liczba cztery dziwnie często pojawiała się w znaczący sposób na jej drodze. Na przykład numer rejestracyjny minicoopera, czyli 5701. Po dodaniu suma wynosi 13, co sprowadza się do czterech. Podobnie jak 31, numer ich domu. Być może wszystkie ludzkie istoty potrzebują takich kamieni probierczych, a nawet złudnych nadziei, aby nadać sens przypadkom rządzącym ich życiem - i może ona sama jest pod względem tego rodzaju skłonności bliższa Eily, niż jej się wydawało.

Stojąc w sznurze samochodów na czerwonym świetle, Sophie otwiera torebkę, by wyjąć telefon komórkowy, lecz wtedy auto przed nią rusza. Jeśli znajdzie wolną chwilę, zadzwoni do Michaela z redakcji. Tymczasem przetrawia odkrycie, że skłamał.

Jeśli rzeczywiście skłamał. Musi być sprawiedliwa.

Przed redakcją gasi silnik i zamierza wysiąść, by wejść do budynku, lecz zastyga w miejscu. Eily z pewnością wymieniła trzecią nad ranem. I z całą pewnością powiedziała, że chrapał już od dłuższego czasu. Była to błaża, rzucona od niechcienia uwaga, więc czemu przyjaciółka miałaby kłamać?

Michael powiedział, że odebrał od Briana wiadomość tekstową dotyczącą jakiejś rezerwacji - ponieważ Brian nie mógł spać. Choć Sophie nie jest z natury podejrzliwa, nie potrafi odpędzić myśli, że coś tu się poważnie nie zgadza.

Ponownie uruchamia silnik, wykonuje ryzykowny manewr zawracania i kieruje się z Arbour Hill w stronę lotniska. Śnieg sypie coraz gęściej.

Rozdział 21

Odłożywszy słuchawkę po rozmowie z Jayem, Riba podchodzi do syna i obejmuje go czule.

- Jak się czujesz, kochanie? Pod psem?

- A jak myślisz? - Choć raz Donny nie strząsa jej ramienia. Spogląda na matkę bacznie przekrwionymi oczyma. - Kto dzwonił?

- Boisz się, że to w związku z tobą?

- A nie? Ze szkoły czy coś w tym rodzaju?

- Nie. - Uśmiecha się do niego. - Uspokój się. Po prostu rozmawiałam ze znajomym.

Donny zwiesza głowę.

- W skali od jednego do dziesięciu, jak bardzo wszyscy są na mnie wkurzeni?

Wygląda tak dziecinnie i tak pokornie, że Riba, która zupełnie się na niego nie gniewa, nie potrafi teraz nawet udawać. Gładzi plecy syna między łopatkami okrężnymi ruchami dłoni, tak jak to robiła w okresie jego niemowlęctwa, żeby mu się odbiło po karmieniu. Donny zasłania ręką oczy.

- Nic, ale to nic nie pamiętam, mamó, od chwili kiedy weszliśmy do mojego pokoju. Mgliście kojarzę muzykę, a potem, że zrobiło się ciemno i piłem jakieś świństwo. Jedyne, co sobie wyraźnie przypominam, to że nastawiłem Eminema, a dzisiaj obudziłem się około piątej rano, strasznie chory. Nigdy w życiu nie czułem się tak koszmarnie. Słowo daję, nigdy więcej nie wypiję ani kropli, mówię poważnie! - Odslania oczy. - Przepraszam, mamó. Naprawdę. Czy tata wie? Co powiedział? I co się stało z tamtymi? Pewnie mają straszne kłopoty? Fiona... rodzice ją zabijają. Dzwoniła może?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw trzeba cię postawić na nogi.

- Gdy się odsuwa, Donny chwyta ją za rękę.

- Jak będziesz dzisiaj u Zeldy, nic jej nie mów. To by ją zdenerwowało. Woda w czajniku wrze, co ratuje Ribę przed wyznaniem prawdy.

Łagodzenie fizycznych dolegliwości Donny'ego jest łatwym zadaniem. To coś, czym może pokierować, rusza zatem do akcji.

- Usiądź, skarbie. Wiem, że nie masz ochoty na jedzenie, ale zrobię ci grzanekę do herbaty. Bez skórki, bez masła, dobrze? Tata uważa, że jutro też powinieneś zostać w domu - dodaje od niechcienia. - Co ty na to?

- Nie wiem. Zobaczę. Myślę, że do jutra już mi przejdzie.

- Pewnie tak. - Jej głos brzmi pogodnie i rzeczowo. - Nie kładź się teraz do łóżka, żebyś mógł zasnąć wieczorem. Potraktuj ten dzień ulgowo i wcześniej połóż się spać. - Posyła mu współczujący uśmiech.

- Sen jest wspaniałym lekarzem i jutro rano będziesz się czuł o niebo lepiej, możesz mi wierzyć. Sama przez to przeszłam w twoim wieku.

- Serce jej się ściska, gdy patrzy na jego ziemistą, znękaną twarz. - Nie zadrećzaj się, skarbie. Porozmawiamy o tym później, a na razie, niestety, muszę na chwilę wyjść.

Mówiąc te słowa, Riba, choć szczerze przejęta stanem syna, przeprowadza w myślach całą serię kalkulacji. Dom opieki znajduje się w Dalkey, czyli nie tylko na drugim końcu miasta, ale właściwie w sąsiednim hrabstwie. Brian nie może nabrać najmniejszych podejrzeń, a już na pewno nie można mu powiedzieć o prośbie Jaya, Riba musi zatem zdążyć tam i z powrotem przed porą obiadu. Ponieważ zabrał samochód, będzie musiała dojechać do Dart taksówką.

I jeszcze trzeba podać Zeldzie lekarstwo. Czy może zaufać Donny'emu, że tego dopilnuje podczas jej nieobecności? Biedaczek. Wygląda tak żałośnie.

Rzeczowym tonem, bez dramatyzowania, informuje go, że Zelda jest już w domu i że to ona znalazła ich leżących na podłodze w jego pokoju. Na twarzy Donny'ego maluje się przerażenie.

- Nie przejmuj się tak - uspokaja go Riba. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ani tobie, ani jej nic się nie stało. Czuje się dzisiaj świetnie, naprawdę. Powinieneś pójść do niej na górę, gdy tylko wypijesz herbatę. Nawiasem mówiąc - dodaje, jakby w tej chwili przyszło jej to do głowy - Zelda musi zażyć lekarstwo mniej więcej za godzinę, a ja, jak ci wspomniałam, mam pewną sprawę do załatwienia. - Zawiesza głos, a potem powtarza słowa Jaya: - Czy wyświadczysz mi drobną przysługę?

Michael przestępuje z nogi na nogę.

- Zadzwoiłeś do mnie nad ranem. A właściwie przysłałeś SMS w sprawie rezerwacji i to ja oddzwoniłem do ciebie. Mniej więcej o wpół do trzeciej. Kapujesz?

Brian patrzy spode łba na ten bełkoczący kłębek nerwów, cień człowieka, którego zna od wczesnej młodości. Aczkolwiek nietrudno odgadnąć, co się dzieje, wciąganie go w te sprawy budzi w nim bezbrzeżną irytację i nie zamierza niczego Mickowi ułatwiać.

- O co ci chodzi?

Stoją przed okienkiem EconoCar na lotnisku i Briana nic nie obchodzi, czy ktoś ich usłyszy. Pomijając już jego dezaprobatę wobec całej sytuacji, w którą ci tak zwani kochankowie się wplątali, nie jest w tej chwili przychylnie usposobiony do żadnego z nich, a zwłaszcza do Yvonne. Rano odsłuchiwał w poczcie głosowej wiadomość od niej, że nie przyjdzie do pracy, ponieważ złapała jakiegoś wirusa. Ładny wirus!

- Przestań udawać tępaka. - Wzburzenie Michaela narasta. -Wiesz, o co mi chodzi. Gdyby ktoś pytał, rozmawialiśmy przez komórkę.

Brian stara się zapanować nad sobą.

- Nie wciągaj mnie w swoje matactwa, Mick. Nie popieram tego, to nieuczciwe.

- Wiem, że to nieuczciwe. Wiem, ale proszę, daj mi jeszcze dzień. Wytrzymaj ten jeden dzień. O nic więcej nie będę cię prosił. Nie będziesz musiał nic dla nas robić, bo wszystko i tak wyjdzie na jaw.

Pierwszą reakcją Briana jest niedowierzanie.

- Jak to, wyjdzie na jaw? Chcesz powiedzieć Sophie?

- Dziś wieczorem. Obiecałem Yvonne.

- Obiecałeś Yvonne? A co z Sophie? Zresztą nieważne. Odbierz to, jeśli łaska.

Ostatnie słowa odnoszą się do dzwoniącego tuż obok telefonu. Stażystka i drugi pracownik, który zwykle zajmuje się dostarczaniem aut, są zajęci przy innych aparatach. Brian musi się zdobyć na ogromny wysiłek, żeby nie powiedzieć czegoś, czego z pewnością by później żałował, rusza zatem przez zatłoczoną halę w kierunku punktu informacyjnego, gdzie ma odebrać wykaz zamówień. Jak w ogóle Mick śmie wykorzystywać go w charakterze sojusznika przeciw Sophie?

Z drugiej strony, co może zrobić lub powiedzieć, nie zdradzając przy tym uczuć, których nie wolno mu zdradzić i na które nie powinien był sobie pozwolić? Brian ma ochotę kopnąć najbliższego turystę.

Dotarłszy do informacji, ogląda się przez ramię. No jasne, ten żaloszny sukinsyn dalej stoi tam, gdzie stał. Cholera, pewnie w ogóle nie odebrał telefonu. I prawdopodobnie przepadła przez niego kolejna rezerwacja. Niech to szlag!

W drodze powrotnej do okienka, czytając wykaz, Brian zderza się z wózkiem bagażowym popychanym przez nobliwą starszą panią i jedna z jej staroświeckich walizek zsuwa się na ziemię.

- Bardzo przepraszam, mam nadzieję, że nic się nie stłukło.

Pochylając się, by podnieść walizkę i umieścić ją z powrotem na wózku, zerka w stronę okienka EconoCar. Tym razem obok Micka dostrzega Sophie i czuje ucisk w żołądku. Co ona tu robi, u licha?

Ponownie przeprosza spowitą w czerń staruszkę, która patrzy na niego tak, jakby był wyjątkowo ohydny gatunek robaka. Gdy kobieta odchodzi, utykając, Brian robi krok w kierunku okienka i nagle orientuje się z gestów tamtych dwojga, że między Sophie a Mickiem wybuchła sprzeczka. Jezu! Czyżby ten podlec powiedział jej o wszystkim tutaj, przy ludziach? W samym sercu dublińskiego lotniska?

Brian zawraca w stronę ruchomych schodów i jedzie na górę, do hali przylotów, gdzie mieszczą się bary i restauracje.

Dopóki nie zobaczyła Michaela stojącego przed okienkiem EconoCar, Sophie z rozmysłem koncentrowała się na swojej przyszłości -a raczej jej braku - w związku z zamknięciem „Wild Places”, a nie na czekającej ją konfrontacji z mężem. Mimo wszystko mogło istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie jego kłamstwa i nie powinna z góry osądzać Micka.

Tak naprawdę to nigdy nie przejawiała szczególnych ambicji dziennikarskich: musiała przyznać, acz bardzo niechętnie, że pod tym względem Michael miał rację. Może coś takiego było jej potrzebne, by wreszcie wzięła się w garść.

Gdy rozejdzie się wieść o upadku miesięcznika, inne redakcje z pewnością nie będą się kwapiły, by zatrudnić zwolnionych pracowników. Imelda obstawała wprawdzie od początku przy wstąpieniu całego zespołu do związku, więc Sophie należała do Związku Zawodowego Dziennikarzy, lecz nigdy nie uczestniczyła w żadnym zebraniu i nie miała pojęcia, czy można oczekiwać jakiejś pomocy z tej strony. Raczej w to wątpiła. Nie przypominała sobie, by związek zajmował się szukaniem pracy dla swoich członków, a zatem mogła liczyć najwyżej na statutową odprawę, co do reszty zaś była skazana na siebie. Wybiła godzina przebudzenia.

No więc dobrze. Cała naprzód. Przypuśćmy, że jakaś dobra wróżka czeka, by machnąć różdżką i spełnić jej życzenie. O jakim zawodzie lub dziedzinie sztuki marzy? Co tak naprawdę chciałaby zrobić z resztą swojego życia? Co dałoby jej najwięcej satysfakcji?

Nie, to brzmiało nierealnie; Sophie zeszła na ziemię. Co właściwie potrafi robić?

Ostrożnie kierując minicoopera na drogę szybkiego ruchu, prowadzącą do lotniska, wpatrywała się w przednią szybę, za którą wirowały płatki śniegu, i podliczała swoje umiejętności. Potrafiła pisać na komputerze, posługiwać się edytorem tekstów, rysować - a już na pewno wykonywać wierne kopie, robić zdjęcia, sklejać artykuły z innych czasopism w coś w rodzaju relacji, opracowywać podpisy, a może nawet pisać własne teksty.

Do tego dochodziła fascynacja światem przyrody - to, co Michael wzgardliwie nazywał „szurniętą ekologią”. Choć taka postawa wzbogacała życie, nie można jej raczej zaliczyć do umiejętności zawodowych ani wyobrazić sobie, w jaki sposób ją zaprezentować, ubiegając się o pracę.

Prawdę mówiąc, Sophie nie posiadała kwalifikacji w żadnej dziedzinie.

Skręciła gwałtownie, by ominąć przejechanego kota - a może młodego lisa - który był na tyle lekkomyślny, że próbował przebiec na drugą stronę.

Ta żałosna lista niedostatecznych umiejętności i własny brak siły przebicia napełniły ją niesmakiem. Czym Sophie Dolan mogła się pochwalić po prawie czterdziestu latach spędzonych na tym świecie? Bezpłodna kobieta, która nie zdołała nawet przekazać swoich genów.

Z drugiej strony musiała przyznać, że nieco przesadziła z tym samobiczowaniem. Pomijając bezdzietność, jej dotychczasowe życie miało swój urok, przynajmniej w sferze zawodowej. Wędrując swobodnie po nieco monotonych szpaltach „Wild Places”, nie

musiała się szczególnie wysilać, aby zadowolić szefową - wystarczyło znaleźć kilka pomysłów na artykuły, żeby Imelda mogła je zamówić, skompilować określoną liczbę stron, skleić własną rubrykę, dołożyć parę przyzwoitych ilustracji i zdjęć i opatrzyć je podpisami. Jeżeli Sophie nie pojawiała się w redakcji, zakładano, że wyjechała w teren, co istotnie najczęściej robiła. Z upodobaniem.

Im dłużej o tym rozmyślała, tym dobitniej uświadamiała sobie, jak wyjątkowa trafiła jej się synekura. Podobnej posady nie znajdzie nigdy i wyobrażając sobie dziennikarską dżunglę wokół oazy spokoju, jaką było ich skromne pisemko, coraz wyraźniej zaczynała rozumieć, że wcale nie przepada za dziennikarstwem - dała się unieść nurtowi i po drodze zaczepiła o „Wild Places”, a później nie miała ani siły, ani chęci się uwolnić.

W porządku. Tyle, jeśli idzie o przeszłość. Patrz w przyszłość, Sophie.

Na rondzie przy lotnisku zapaliły się czerwone światła i czekając w sznurze aut, przyglądała się ustawionemu pośrodku wysepki ogromnemu, a zarazem wysmukłemu kształtowi z nierdzewnej stali. Zawsze jej się podobał i choć podobno miał symbolizować precyzyjną konstrukcję skrzydła samolotu, w jej oczach nigdy nie był niczym innym niż sobą. Śnieg padał teraz nieco rzadziej i blade przebłyski słońca odbijały się przelotnie od stalowego obiektu, który zdawał się wzbijać w powietrze niczym rozmigotane tornado, przesłonięte szarawym wirem śnieżnym płatków.

Sophie zazdrościła artystom, zwłaszcza w chwilach takich jak ta. To musi być wspaniałe uczucie, gdy rodzi się pomysł, utrwalaony później na płótnie albo w postaci rzeźby, te zaś pozostają na zawsze jako wyraz i sposób przekazania czyichś myśli i talentu. Sophie Dolan, artystka - zastanowiła się, czy to do niej pasuje. Uznała, że nie. Podobnie jak większość dublińczyków, którzy nie zaliczali się do cyganerii artystycznej, odwiedziła w życiu zaledwie parę oficjalnych wystaw, a jedna z nich nie pokazywała obrazów ani rzeźb, lecz zamglone, dziwaczne fotografie.

Oglądając „prawdziwą” wystawę w Hallward, piwnicznej galerii przy Merrion Square, wdała się w pogawędkę z właścicielką, życzliwą kobietą, która nie wywierała na nią najmniejszego nacisku - wręcz przeciwnie, pozwoliła bez przeszkód wędrować, z katalogiem w rękę przez artystyczną krainę czarów. Zwracając katalog, Sophie zebrała się na odwagę i zapytała o obraz Charlesa Lamba, będący jej własnością, i opisała najlepiej, jak potrafiła, jego wymiary i całą resztę.

- Ile byłby wart? Oczywiście nie myślę o sprzedaży, jestem po prostu ciekawa.

Ku swemu zdziwieniu usłyszała, że na aukcji cena obrazu mogłaby osiągnąć pięć tysięcy funtów.

- Zależy od kupującego, rzecz jasna. Może mniej, może trochę więcej, trudno powiedzieć, bo rynek jest niepewny, ale ceny rosną. Musiałabym zobaczyć obraz, oczywiście, lecz Lamb zawsze dobrze się sprzedaje. I już nie żyje. To zawsze pomaga.

Tak naprawdę Sophie upodobała sobie fotografię. W myślach przetwarzała wciąż na nowo celuloidowe portrety Cyganek. Te zdjęcia były naprawdę pierwszorzędne, mogła je zachować na przyszłość, podobnie jak ową fotografię buka. Udało jej się uchwycić żywą, zawiłą strukturę drzewa, równie ponadczasową jak rzeźba, na którą w tej chwili patrzyła.

A jeszcze w zeszłym roku zrobiła serię fotografii dwóch kucyków w Phoenix Park. Zrzuciły swoich jeźdźców i rozkoszowały się chwilową swobodą, śmigając wśród parkowego stada płowej zwierzyny i płosząc ją gwałtownie. Te zdjęcia też wyszły niezłe.

Mimo to była tylko amatorką, a między pewną predyspozycją i szczęśliwym wyborem modelu a zawodowymi umiejętnościami istniała przepaść. Czy nie jest już za późno, żeby się tym poważnie zająć? I czy wystarczy jej odwagi? Miała do wyboru mnóstwo rozmaitych kursów. Stolica nowoczesnego europejskiego kraju, pękająca w szwach od college'ów i instytucji oferujących studia i kursy, prezentowała jej bogatą ofertę i należało skorzystać z tych możliwości. Czemu nie miałyby studiować? Robiło to - i robi - mnóstwo kobiet w średnim wieku. Ponieważ dysponowała sprawnym umysłem, miała nawet pewną przewagę.

Gdyby tak spróbowała swoich sił w fotografii - czy ich na to stać? Czy Michael to zaakceptuje? Zapewne tak, skoro nieustannie wytyka jej brak ambicji. Z narastającym podnieceniem Sophie rozwijała tę wizję. Prawdopodobnie będzie musiała zrezygnować z wielu nawyków, lecz na to była przygotowana. „Nadchodzi zmiana. Wielka zmiana, paniusiu...”. Czy wróżka naprawdę coś dostrzegła, czy może Sophie czepiała się czegoś, o czym w skrytości ducha marzyła? Na przykład tego gadania o dziecku.

Wzięła się w garść, gdy zapaliło się wreszcie zielone światło. Może już dość tego ciągłego odwoływania się do męża jako najwyższego autorytetu - Michael to, Michael tamto, Michael mówi. Musiała zacząć żyć na własną rękę.

Michael! Jej serce zabiło gwałtownie. Rozmyślając o wielkich zmianach w swoim życiu, zapomniała na chwilę, dlaczego siedzi teraz za kierownicą i wpatruje się w przysłonięte płatkami śniegu rondo przed lotniskiem. Musi się skupić.

Zauważyła go natychmiast, gdy weszła do hali przylotów. Teraz wpatruje się w jego zakłopotaną, czerwoną twarz. Usiłował jej wmówić, że pomyliła godzinę, lecz ona wie, że skłamał. Rozpoznaje to nieomylnie, zupełnie jak odgłosy wiertarki, dobiegające zza

przegrody ze sklejki, ustawionej kilka metrów dalej. Ten koszmarny dźwięk w pełni wyraża zamęt panujący w jej głowie.

W okienku urzęduje dwójka młodych ludzi - chłopak, którego poznała na bożonarodzeniowym przyjęciu, i dziewczyna, znacznie młodsza. Obydwoje nastawiają uszu, udając przy tym, że pracują.

- Proszę cię, nie traktuj mnie jak idiotkę albo jak dziecko. Co jest grane? - pyta spokojnym tonem, choć wewnątrz aż się gotuje.

Jej mąż, wyraźnie zakłopotany, zerka na współpracowników i chwytą ją za ramię.

- Chodźmy stąd. Musimy porozmawiać. Napijmy się kawy na gorze.

- Dlaczego nie możemy porozmawiać tutaj?

Zgrzytliwe odgłosy przybierają na sile, a co gorsza, ziemia zdaje się umykać spod nóg, grożąc upadkiem. Sophie trzyma się mocno podłoża podszwami butów. Pragnie przylgnąć na zawsze do tego kawałka płyty, który wzięła w posiadanie. Tylko to jest dla niej teraz ważne: stały grunt pod nogami.

- Nie chcę kawy - mówi, trwając uparcie na swoim przyczółku, wokół którego rozbijają się jedna po drugiej fale podróżnych z wózkami. Gdyby ruszyła się stąd choć o krok, rozpląnęłaby się w powietrzu razem z płatkami śniegu, nieświadomymi swego przeznaczenia, gdy tak spadają niczym krople deszczu na szybę.

- Idę na kawę. Jeśli chcesz się przyłączyć, bardzo proszę. Odchodzi. Sophie obawia się, że pierwszy krok ją zabije, rusza jednak za mężem, posłuszna nakazowi rozsądku.

Nie jest aż tak głupia, by myśleć, że to tylko niewinne kłamstwo, mające na celu ukrycie na przykład gości zaproszonych na przyjęcie-niespodziankę. Gdyby nawet tak myślała, rozbiegane oczy męża pozbawiłyby ją złudzeń. Niezależnie od tego, co Mick wymyśli po drodze, Sophie wyśledzi wszystkie wykręty. Być może nie powinna dociekać prawdy, wiele kobiet odradziłoby jej takie działania, lecz niech będzie, co ma być. Ciekawość przewycięża wszystko, nawet paniczny lęk. Reszta przyjdzie później.

W kolejce do ruchomych schodów nawiedza ją okropne przecucie. Ponownie zaczyna się zastanawiać, czy warto się tak męczyć. Czy w ogóle jeszcze lubi swojego męża, nie wspominając o kochaniu? I kiedy jej uczucie zaczęło gasnąć?

Gdy Michael idzie po kawę, Sophie rozważa w skrócie dodatnie strony zachowania bierności. Mogłaby pominąć całą sprawę milczeniem, przyjmując jego wersję wydarzeń i obydwójce człapałoby naprzód. Urzekająca perspektywa. I tak utrata pracy wprowadziła wystarczający zamęt w jej życiu. Ponadto naprawa zerwanych więzów przyjaźni będzie wymagała niemałego wysiłku.

I jeszcze ten nagły i niebezpieczny rozbłysk uczuć między nią a Brianem. Sophie dziękuje Bogu, że obydwójce są rozsądnymi ludźmi. Przeczekają to, a potem, może już niebawem, nawiążą normalne przyjacielskie kontakty. To, co zaszło między nimi, można złożyć na karb wspólnie przeżytej katastrofy. Takie doświadczenie wiąże ludzi na zawsze, a ponadto - choć Sophie nie bardzo chce o tym myśleć - istnieje między nimi tajemna umowa w sprawie Zeldy.

Aby się z tym wszystkim zmierzyć, Sophie potrzebuje podpory w postaci pewnego związku małżeńskiego. Po co więc zadawać ryzykowne pytania? W końcu każdy ma prawo do prywatności i własnego życia.

Przy następnym stoliku trzy dziewczyny wysmarowane samoopalaczami i obwieszone tandetną biżuterią przekrzykują się, snując opowieści o wakacjach na Wyspach Kanaryjskich. Sophie zazdrości im dobrego samopoczucia i nieskomplikowanej wizji świata; jej mąż zbliża się do stolika wolnym krokiem, niosąc kawę tak ostrożnie, jakby rozlanie choć jednej kropli oznaczało wytoczenie z żył własnej krwi.

Rozdział 22

Masz kogoś, prawda? Sophie postanawia zaoszczędzić Mickowi trudu i odwieść go od kłamstwa. Pragnie w ten sposób ułatwić życie nie jemu, lecz sobie. Zna Michaela na tyle dobrze, że jej najgorsze podejrzenia sprawdzają się jeszcze przed pierwszym łykiem kawy. Zbyt wiele kłopotu sprawia mu otworzenie torebeczki z cukrem. Sophie wie, że trafiła w dziesiątkę, ponieważ jej mąż otwiera usta, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

- C... co masz na myśli?

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Przeliterować ci to? I-N-N-A K-O-B-I-E-T-A...

O dziwo, Michael się rozluźnia. Unikając oczu Sophie, podnosi filiżankę i wypija spory łyk nieosłodzonej kawy, po czym ostrożnie odstawia naczynie na spodek.

Sophie, chwilowo zbита z tropu, odzyskuje równowagę. Ta restauracja, kompletnie pozbawiona intymności, wygody i klasy, wywołuje w niej prymitywny odruch objęcia

filiżanki dłonią, tak, jakby nie miała uszka. Obejmuje ją mocno i, ku swemu zdumieniu, czerpie z niej siłę i pewność.

- Rozumiem - mówi. Teraz chce się tylko dowiedzieć kto, dlaczego, gdzie, kiedy i jak. Jak często. Oraz - to bardzo ważne - kto jeszcze o tym wie.

Trzy dziewczyny przy sąsiednim stoliku zaśmiewają się z jakiegoś dowcipu i Michael odwraca głowę w ich stronę. Uwaga Sophie skupia się tylko na jednym i choć docierają do niej dźwięki z zewnątrz, wybuch śmiechu i panujący wokół gwar przycichły do poziomu cichego pstrykania, usłyszanego kiedyś w detektorze wychwytyjącym sygnały od nietoperzy. Zupełnie jakby wszechświat skurczył się do rozmiarów kropki, a poza nią nie ma nic. Liczy się tylko ta jedna kwestia, którą należy rozstrzygnąć w ramach małżeńskiej tragikomedii. Sophie nie jest jeszcze przygotowana do ostatniego aktu.

- Wybrałeś naprawdę świetny moment - mówi cicho - zważywszy na to, że właśnie straciłam pracę.

Michael zwraca się ku niej gwałtownym ruchem, korzystając ze sposobności, by odsunąć coś, czego nie da się odroczyć.

- Wiesz, że bardzo mi przykro, Sophie - zapewnia żarliwie. - Mam nadzieję, że wiesz. Wprawdzie mówiłem o „Wild Places”, że to w sumie gówniane pisemko, ale jest mi naprawdę przykro...

- Kto to jest? - przerywa mu Sophie. - Jak ona się nazywa? Michael spuszcza oczy, kuląc się jak zbity pies. Sophie dostrzega drobne zadrapanie na jego policzku. Z całą pewnością nie skaleczył się przy goleniu. Czyjeś paznokcie? Czuje gorycz i pieczenie w gardle.

- Zadałam ci pytanie.

- Słuchaj, Soph, nawet nie wiesz, jak strasznie mi przykro. Nie chcieliśmy, żeby tak wyszło.

No i proszę. Prosto z mostu. Wreszcie padło to „my”. Mimo braku doświadczenia w takich sprawach, Sophie podświadomie oczekiwała czegoś w tym rodzaju. Kiedy w równaniu pojawia się słowo „my”, wszystko się zamyka. To już koniec.

Pełne zrozumienie tego faktu zostawia na później, razem z urazą i oskarżeniami, bólem i upokorzeniem. Teraz chce przede wszystkim wiedzieć - i zazdrość przewycięża nawet jej poczucie własnej godności.

- Nie ma sensu tego ukrywać, Michael, w końcu mieszkamy w Dublinie. I tak się dowiem. Kto to jest?

- Poznałaś ją - mówi Mick cichym, zawstydzonym głosem. - Może nie pamiętasz. Na bożonarodzeniowym przyjęciu. Nazywa się Yvonne Leonard.

Ten cios trafia w czułe miejsce. Mimo wszystko Sophie miała nadzieję, że panienka Michaela ma choć trochę stylu.

- Yvonne Leonard? Pamiętam ją doskonale, to ta lala z...

- Przestań - przerywa Michael, odzyskawszy energię. - Nie obrażaj jej, Sophie. Bardzo mi przykro, nie wiesz nawet, jak bardzo, ale to było nieuniknione.

- Nieuniknione? - Jest zadowolona, że może otwarcie dać upust wrogości. Widzi, że trzy dziewczyny przy sąsiednim stoliku zamieniły się w słuch, lecz guzik ją to obchodzi. Michael natomiast zniża głos.

- Tak, nieuniknione! Czy z łaski swojej mogłabyś mówić ciszej? Ludzie słuchają, na miłość boską!

- To ty wybrałaś miejsce spotkania, nie ja. - Wypowiadając te słowa, uświadamia sobie, że kawiarnia na lotnisku jest odpowiednim miejscem, jeśli chodzi o śmierć małżeństwa: wyjścia i wejścia, powitania i pożegnania, nadzieje, marzenia i zerwania - a wszystko podbudowane kiepskimi posiłkami i byle jaką obsługą. - Naprawdę, Michael, mało mnie obchodzi, kto słucha. To nie ja wdałam się w romans. Ale chciałabym otrzymać odpowiedź na kilka pytań. Chyba to mi się należy po tylu latach.

- Wolałbym nie przytaczać szczegółów. Kiedyś mi za to podziękujesz. Posłuchaj, Soph... - Wyciąga rękę, lecz ona natychmiast cofa dłonie.

- Powiedziałaś: nieuniknione. Dlaczego? Co takiego zrobiłam, żeby to się stało nieuniknione?

Michael wpatruje się w blat stołu, zasypany okruchami pozostawionymi przez poprzednich gości.

- To może cię tylko jeszcze bardziej zranić - odpowiada cicho. Ale niepowstrzymany język Sophie nie chce zamilknąć.

- Poradzę sobie z własnymi uczuciami, dziękuję bardzo. Powiedz mi tylko, co zrobiłam złego.

- Nic złego nie zrobiłaś, Sophie. Zupełnie nic. Jesteś dobrą, nie, wspaniałą kobietą. Nie zasłużyłem na ciebie.

- Och, dajże spokój! - Wie, że traci panowanie nad sobą, ale zupełnie jej to nie obchodzi. - Jeśli jestem taka cudowna, po co to robisz? Żeby dać się wyżyć twoim cholernym gonadom, tak? Nic dziwnego, że wybrałaś taką sukę.

- Ostrzegałem cię. - Michael zrywa się z krzesła. - Prosiłem, żebyś jej nie obrażała, bo ona zostanie niedługo...

- Twoją kochanką? Konkubina? - Sophie również wstaje, ku widocznej ucieście trzech dziewcząt przy sąsiednim stoliku. - No kim, Michael? Bo chyba się nie ożenisz z tą małą kurewką. Ile ona ma lat? Siedemnaście? Osiemnaście? Jak długo zostanie z tobą? - Patrzą sobie w oczy ponad stołem, a ponieważ Michael już nie protestuje, ciało Sophie wypełnia się czarnym śluzem. - Chcesz się z nią ożenić? - Fala czarnego śluzu podcina jej kolana i Sophie opada na krzesło. Zastąpi ją nastoletnia lalunia, utleniona na blond i z dekoltem do pępka.

- Przestań, Sophie, nie upokarzaj się, naprawdę nie chcę cię oglądać w tym stanie. - Mick kładzie dłoń na jej ramieniu, ona zaś strząsa ją gwałtownie. - Przestań - powtarza cicho.

Trzy panienki przy sąsiednim stoliku przestały już nawet udawać, że zajmują się własnymi sprawami i z otwartymi ustami obserwują pantomimę rozgrywającą się tuż przed ich nosami. Michael odwraca się od żony, przerażając dziewczyny samym swoim wyglądem.

- Byłbym wam wdzięczny, dziewczęta, gdybyście zechciały pilnować własnego nosa.

Nastolatki odwracają głowy, unosząc brwi. Sophie myśli, że w tym tandetnym otoczeniu akurat ta trójka świetnie pasuje jako świadkowie końcowego etapu związku.

Podnosi oczy, spoglądając w dobrze znaną twarz Michaela. Mała blizna tuż pod nosem - wynik starcia podczas meczu rugby; niesforny kosmyk włosów nad czołem, worki pod oczami, nadające jego obliczu dwuznaczny wyraz. Jej umysł działa niezależnie od woli i zapisuje rysy męża w pamięci, zanim znikną jej z oczu.

Widzi, że Michael ma na końcu języka jakieś doniosłe oświadczenie. Niewątpliwie taki czy inny banał, jak to on - czy raczej „oni” -nie mogą już znieść tej udręki, ale chce zadać jak najmniej bólu, ma nadzieję, że zostaną przyjaciółmi i tym podobne bzdury. Sophie nie życzy sobie tego wysłuchiwać. Wbijają oczy w przepierzenie ustawione parę kroków dalej.

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Do ósmej wieczorem twoje rzeczy zostaną spakowane. Proszę, abyś się wcześniej nie pokazywał. Nie będzie mnie w domu. Już nigdy nie chcę cię widzieć na oczy.

Znowu pojawia się to uczucie rozproszenia. Zupełnie jakby przemawiała przez nią jakaś inna kobieta. Ale obie pragną, żeby sobie poszedł.

- I proszę, zostaw klucze. Porozumiemy się za pośrednictwem adwokatów, za kilka dni. Skontaktuję się z tobą w pracy.

- Może przez komórkę?

- Tak, może. Muszę się oswoić z tą myślą. A teraz już idź, proszę.

Narasta w niej lęk, że jeśli Michael wypowie choć jedno słowo więcej, jej głowa zacznie pękać, pokażą się podłużne bruzdy i za chwilę będzie przypominała postać ze starego, pociemniałego malowidła, wiszącego w zapomnianym kącie muzeum.

Nie patrzy na niego i raczej wyczuwa niż dostrzega jego wahanie, a potem lekkie rozpozgodzenie. Jakiegokolwiek frazesy zamierzał wygłosić, zrezygnował z nich.

Jej przeczucie sprawdza się tylko częściowo, gdyż Michael przysuwa się bliżej, zasłaniając trzy harpie przy sąsiednim stoliku.

- Dobrze się czujesz, Soph? Dasz sobie radę?

- Klucze. Nie zapomnij zostawić kluczy. - Sophie czuje, że długo już nie wytrzyma.

Michael ponownie się waha.

- Cokolwiek o mnie myślisz, Soph, podziwiam cię. Może po prostu jesteś dla mnie za dobra.

- Czy mógłbyś, na miłość boską, wreszcie sobie pójść? Michael zwiesza głowę, raz jeszcze mamrocze, jak mu przykro, po czym odwraca się i pośpiesznie wychodzi. Sophie nie odprowadza go spojrzeniem; z jej serca, duszy i umysłu odpływają wszelkie uczucia, pozostawiając pustkę. Nie czuje i nie myśli absolutnie nic.

Spogląda na trzy dziewczyny, które już przestały się interesować jej problemami i teraz dyskutują, kto jest lepszy w łóżku: Anglicy czy Holendrzy.

Tym razem to ona podsłuchuje. Pierwsza rozmówczyni opowiada się za Holendrami, pozostałe dwie za Anglikami, ponieważ - jak stwierdza jedna z dziewcząt - przynajmniej starają się uprawiać coś w rodzaju gry wstępnej.

- Chyba że są naćpani. A wtedy i tak wszystko jedno, bo nie ma mowy, żeby takiemu stanął.

To wywołuje paroksyzm wesołości. Sophie uświadamia sobie, że niedawno, zaledwie przed paroma godzinami, doszła do przekonania, iż jej mąż, mimo rozlicznych wad, przynajmniej jest jej wierny. Choć to niedorzeczne, uśmiecha się, słysząc chichoty przy sąsiednim stoliku. Ma do wyboru: uśmiechnąć się albo załamać ostatecznie.

Kilka kroków za plecami Sophie siedzi Brian McMullan - czwarty świadek pełnej napięcia rozmowy obojga. Zobaczył ich w chwili, gdy usiadł przy stoliku ze swoją kawą i ciastkiem.

Jedno i drugie stoi przed nim nietknięte.

Gdy tylko Michael wymaszerował z kawiarni, Brian już podrywał się z krzesła, aby podbiec do Sophie; uświadomił sobie jednak, że byłoby to postępowanie nieuczciwe i niewczesne, a przy tym nieodwracalne. Cokolwiek może się wydarzyć w przyszłości, nie

wolno mu się wtrącać. Musi pozostawić sprawy własnemu biegowi. Postawiony przed wyborem: pragnienie czy obowiązek, dał zwyciężyć obowiązkowi.

Teraz, gdy Sophie siedzi sztywno wyprostowana na krześle, Brian podejmuje coś w rodzaju prywatnej loterii. Jeśli się obejrzy i go zauważy, odpowie jej. A jeśli się nie obejrzy i nie popatrzy na niego, zostawi ją w spokoju.

Cierpi razem z nią, wpatrzony w jej sztywne plecy, gdy sekundy mijają jedna po drugiej.

Sophie ani drgnie.

Tuż obok trzy tłustawe dziewczyny z przesadnym makijażem, ubrane w krótkie spódniczki i kuse podkoszulki, odslaniające fałszywą opaleniznę, wstają od stolika i zbierają się do wyjścia. Głośno omawiają wspólne wakacje, podczas których najwyraźniej nikt im niczego nie będzie zabraniał. Brian odczuwa zazdrość.

Skupia uwagę na sztywnych plecach Sophie. Mimo szczytnych zamiarów pragnie teraz, żeby się odwróciła. Do diabła z loterią. No, Sophie, proszę cię, obejrzyj się, tu jestem.

Odprowadza wzrokiem trzy wesołe turystki. Wstaje, bierze torebkę...

Jestem tutaj... Obejrzyj się...

Nie rozglądając się na boki, idzie za dziewczętami w stronę ruchomych schodów. Wyciąga dłoń ku przesuwającej się poręczy...

Decyzje, loterie, szlachetne postanowienia - wszystko bierze w łeb, gdy Sophie staje nad ruchomymi schodami. Nogi Briana poruszają się niezależnie od jego woli. Uświadamia sobie, że gotów jest ruszyć za nią. Robi nawet pierwszy krok, lecz w ostatniej chwili ulega głosowi rozsądku.

Jak pływak chwytający się koła ratunkowego, chwyta mocno za brzeg stolika i czeka, aż Sophie zniknie mu z oczu.

Śnieg zmienił się w gęstą, szarą mżawkę i Sophie - której organizm wykonuje normalne funkcje, jak na przykład oddychanie i chodzenie - czuje się niczym automat, zmierzając w stronę parkingu. Udaje jej się, mimo zeszywniałych palców, wrzucić monety do parkomatu, nie rozsypując ich po chodniku. Rusza do redakcji, nie obdarzając tym razem srebrzystego skrzydła na rondzie ani jednym spojrzeniem. Mocno obejmuje kierownicę, trzymając się lewego pasa przez całą drogę do Whitehall, podczas gdy inni kierowcy wyprzedzają ją wzgardliwie. Skręca w prawo w Botanic Avenue, potem w lewo w Mobhi

Road i znowu w prawo, by ominąć stary szpital Richmond. Omal nie powoduje wypadku na skrzyżowaniu z Manor Street, gdy kieruje się ku Arbour Hill, ponieważ nie zauważa czerwonych świateł. Potem jednak zatrzymuje się przykładowo przed każdym znakiem „Stop” w bocznych uliczkach, jakby w jej świecie wszystko nadal toczyło się normalnie.

Tymczasem praktyczne problemy, którym zmuszona będzie stawić czoło, czekają w szeregu na obrzeżach świadomości, gotowe zaabsorbować jej umysł. Rozpoznaje je wszystkie, razem i z osobna: pieniądze, wydatki, dochody, nowa praca - w tej chwili stająca się koniecznością - dom, prawnicy, podział majątku i znowu pieniądze. Koniec z pojedynczymi skarpetkami, od których para zaginęła w praniu, z podniesioną deską od sedesu, z irytującym chrapaniem, ze zgrzytem klucza przekręcanego w zamku frontowych drzwi.

Samotność.

Przynajmniej nie wchodzi w grę dzieci. Cóż za precyzja i skuteczność!

W redakcji „Wild Places” nigdzie nie dostrzega Imeldy - drzwi jej gabinetu są otwarte, a biurko przybrało wygląd opuszczonego domu, którego właściciel zmarł nagle. W istocie redakcja przypomina zakład pogrzebowy, a Nancy pełni w nim funkcję głównej zarządzającej, pakując w żałobnej atmosferze archiwalne numery pisma, nieaktualne faksy i inne nikomu już niepotrzebne rzeczy. Nawet muzyka gospel, dobiegająca cicho z jej przenośnego radiomagnetofonu, brzmi jakoś smutno i niemrawo. Niemniej Nancy, jak to ona, stara się myśleć pozytywnie. Choć nie może mieć pewności, przypuszcza, że Imelda uczestniczy w jakimś zebraniu - prawdopodobnie z udziałem nowych inwestorów.

Sophie, która wie, że sekretarka musi jak najszybciej znaleźć nową pracę z uwagi na swoją sytuację domową, zdaje sobie również sprawę z tego, że żaden rozsądny inwestor nie weźmie na barki anachronicznego, bankrutującego czasopisma. Wyrwana ze stanu otępienia szuka sposobu, by pomóc Nancy albo przynajmniej złagodzić cios. Nie jest to łatwe zadanie. W zestawieniu z luksusowymi ilustrowanymi pismami, takimi jak na przykład „Wild Ireland” i rozmaite zagraniczne magazyny, rozpychające się na półkach kiosków, „Wild Places” nie ma najmniejszych szans. To właściwie cud, że miesięcznik przetrwał tak długo.

Najwyższy czas skupić się na konkretach.

- Słuchaj, Nancy - mówi pod wpływem impulsu - niczego nie obiecuję, ale postaram się załatwić ci pracę na lotnisku. Przynajmniej na lato; zaczynają przyjmować nowych pracowników w lutym, czyli już za dwa tygodnie. A potem... kto wie? Zawsze to jakiś początek. To może trochę potrwać, ale na pewno coś wymyślę. Chcesz, żebym spróbowała? - Przynajmniej tyle Michael jest jej winien. Oczywiście nie w tej chwili, lecz nieco później, gdy

będzie się czuła na siłach stawić mu czoło. Jeśli nie zechce jej pomóc, Sophie zwróci się do Briana.

- Co miałabym robić na lotnisku? Nigdy nie miałam do czynienia z branżą turystyczną.

- To nieważne. - Sophie zapala się do tematu, który odrywa ją od własnych kłopotów.
- Mówimy o zwykłym okienku, EconoCar albo innej firmy, może to zresztą być nawet kiosk ze słodyczami czy coś w tym rodzaju. Właściwie - ciągnie z coraz głębszym przekonaniem - u Michaela pracuje pewna stażystka, która niedługo odejdzie, a ktoś na tym stanowisku jest im potrzebny. Będą zapewne chcieli jak najszybciej przyjąć kogoś na jej miejsce. Tym razem za normalną pensję. Nie martw się, dasz sobie radę. Jesteś znakomitą organizatorką.

- Naprawdę? - Nancy skwapliwie podchwytuje pomysł, Sophie zaś zaczyna wierzyć we własne słowa, zapominając chwilowo o dziwactwach tamtej.

- Marnowałaś się tutaj przez te wszystkie lata - dodaje. - W końcu czy to takie trudne, wynajmować ludziom samochody? Chodzi głównie o papierkową robotę. Z pewnością okaże się mniej skomplikowana niż comiesięczne opracowanie numeru czasopisma.

Nancy podbiega i zarzuca jej ramiona na szyję.

- Och, Sophie! Co ja bym zrobiła bez ciebie? Jesteś taka dobra... ale czy mąż na pewno nie weźmie ci tego za złe? Nie będzie się czuł w żaden sposób zobowiązany?

Jej ulga jest tak wyczuwalna i wzruszająca, że omal nie przebija wатовanej otoczki wokół serca Sophie.

- Nie będzie miał żadnych pretensji - odpowiada lekkim tonem - ale musisz zostawić w domu ten cholerny radiomagnetofon.

Pomijając ton, dobrze się składa, że Nancy, która właśnie się odwróciła, żeby otrzeć oczy, nie zwraca uwagi na ponury wyraz twarzy Sophie - ani teraz, ani później, gdy składa jej ostatni felieton.

Zajmuje to godzinę, potem zaś Sophie, nie chcąc przedłużać udręki, pośpiesznie ściska Nancy, przyrzekając, że odezwie się do niej za kilka dni z informacją „jak sprawy stoją”, i ucieka z redakcji.

Pierwszym uczuciem jest gniew. Kilka minut po powrocie do domu Sophie gorączkowo upycha w walizkach i podręcznych torbach marynarki, krawaty, spodnie, koszule, piżamy, bieliznę i przybory toaletowe Michaela, dorzucając nawet zawartość kosza z rzeczami do prania. Niczego nie składa i ma nadzieję, że jego cenna garderoba skłębi się i pogniecie. To, co nie mieści się do walizek, ładuje w czarnych plastikowych workach na śmieci.

Uporawszy się z ubraniami, przechodzi do kolekcji komiksów „Far Side” i kufli, plaketek i medali zdobytych w szkolnych meczach rugby, adidasów i kijów golfowych oraz wazonu z waterfordzkiego szkła, który wygrał w jakimś knajpianym quizie. Dokłada wszystko do odzieży z cichą nadzieją, że choć część rzeczy się zniszczy. Gdy już nie widzi nic więcej - w każdym razie żadnych ruchomości - cofa się o kilka kroków i mierzy spojrzeniem bezładną stertę pod ścianą obok frontowych drzwi. Niektóre z czarnych worków się naddały. To dobrze. Odpowiedni akcent. „Życie zamknięte w czarnym plastiku” autorstwa Sophie Dolan. Świetny tytuł. Ma ochotę pobiec po aparat, by utrwalić tę chwilę.

Jej gniew gaśnie jak zdmuchnięta świeca, a wraz z nim ustępuje przyływ energii. Senność ogarnia ją niczym nieustępliwa, mroczna fala. Sophie chwyta marker leżący koło telefonu, bazgrze na kartce z bloczku słowa: „Proszę o klucze!” i kładzie ją na stercie pakunków. Następnie, zamiast wyjść z domu, jak wcześniej planowała, mozolnie wdrapuje się po schodach na górę i kładzie w ubraniu do łóżka. Teraz już tylko jej łóżka.

Ostatnią czynnością, jaką wykonuje przed pogrążeniem się w niebyt, jest ściągnięcie z palca obrączki i ciśnięcie jej w ciemny kąt -wszystko jedno, gdzie upadnie. Jeśli wciągnie ją odkurzaczem podczas następnego sprzątania - gdy tylko zbierze siły - to trudno. A właściwie tak byłoby najlepiej. Najodpowiedniejsze miejsce. Wśród kurzu i śmieci w ciemnym wnętrzu worka z brązowego papieru...

Nie do wiary, ale natychmiast zapada w sen bez marzeń.

Gdy się budzi, czerwone cyferki zegarka przy łóżku wskazują ósmą trzydzieści dwie. Przez chwilę jest zdezorientowana, a potem wspomnienia wydarzeń minionego dnia zalewają ją gwałtowną falą. Wygrzebuje się z łóżka i zbiega na dół.

Stos rzeczy Michaela zniknął spod frontowych drzwi. Na odwrocie jej kartki widnieją nabazgrane słowa: „Jest mi bardzo, bardzo przykro”. Obok leżą klucze - a jedno i drugie Michael umieścił dokładnie na środku stolika ze szklanym blatem.

Sophie siada na fotelu i włącza telewizor, ścisząc go tak, że głos jest ledwo słyszalny. Przez następne trzy godziny nie rusza się z miejsca i pstryka pilotem, zmieniając kanały i nie zwracając uwagi, co ogląda.

Kiedy oświadczyła, że już nigdy nie chce go widzieć na oczy, mówiła poważnie. Jej rozsądek podtrzymuje tę decyzję, lecz uczucia wychwytyują każdy krok na zewnątrz, każdy pisk opon samochodu hamującego w deszczu, każde skrzypnięcie mogące wskazywać, że Michael podkrada się do frontowych drzwi, zamierzając błagać ją o przebaczenie. Powinien przynajmniej zadzwonić. Jest sukinsynem, ale dlaczego nie dzwoni?

Nastawiając uszu, by nie przegapić dzwonka telefonu, słyszy każdy domowy dźwięk na tle przytłumionego szemrania telewizora - nagłą ciszę po wyłączeniu się lodówki, posykiwanie kaloryfera - i każda minuta wydaje się jej tygodniem, a godziny ciągną się w nieskończoność. Przez cały czas analizuje wydarzenia tego dies horribilis, odkąd przed dwunastoma godzinami odebrała telefon od Eily.

Około północy, choć nie jest głodna, czuje, że powinna coś zjeść, i przegląda w myślach zawartość lodówki. Ale choć uczucie fizycznego bezwładu i zastygającego krążenia budzi w niej odrazę, nie jest w stanie się poruszyć.

Dręczy ją przede wszystkim niewiedza, gdzie jest Michael i co robi, choć zdaje sobie sprawę, że dzieje się tak z powodu rozstania - ostatnimi czasy, gdy każde zajmowało się własnymi sprawami, rzadko poświęcała myśl jego działaniom lub miejscu pobytu.

Musi wreszcie wstać z tego fotela. Musi. Zaczęła już w niego wrastać, napastliwie i uparcie jak bluszcz.

Wstanie. Za chwilę. Jest przecież dużą dziewczynką. W końcu codziennie rozpada się jakieś małżeństwo. Miała całkowitą słuszość, wyrzucając Michaela z domu od razu i nie czekając, aż jej mocniej dokopie.

To on ją zostawił, oczywiście, lecz przynajmniej we własnych oczach odzyskała odrobinę godności.

Dobry Boże, jak długo potrwa to uczucie dezorientacji i gwałtowne wahania między rozpaczą a gorączkowym uniesieniem? Po raz kolejny jej spojrzenie pada na klucze, które zostawił. Ich metalowe stopy wybijają szyderczy rytm na blacie stolika wewnątrz grobowca, jakim stał się salon.

Rozdział 23

Marmurowych Ogrodach Riba rozsuwa zasłony w swoim salonie i widzi za oknem bury, wilgotny wtorkowy poranek. Dzięki Bogu, nie pada śnieg. Zapowiadano w prognozach przejaśnienia około południa, lecz dla niej i Zeldy nie ma to znaczenia, ponieważ o tej porze ludzka rzeka będzie je niosła przez oszklone tunele portu lotniczego Charlesa de Gaulle'a.

Słyszy, jak na górze Brian - daj mu Boże zdrowie - płucze usta miętowym płynem, którego używa co rano w złudnym przekonaniu, że dzięki temu wzmocni zęby. Riba uśmiecha się z czułością: małżeństwa rzadko opierają się na wielkich sprawach, przeważnie czerpią siłę ze znajomych drobiazgów i gdyby kiedykolwiek mieli się rozstać z Brianem, co jest raczej mało prawdopodobne, najbardziej by jej brakowało tego odgłosu obwieszczającego początek nowego dnia.

Swoją drogą, Brian jest dzisiaj w dziwnym nastroju - nie przejawia wprawdzie rozdrażnienia, lecz nie wydaje się również spokojny. Jest jakiś roztargniony. Właśnie tak,

roztargniony. Zważywszy na okoliczności, nieźle się składa, myśli Riba, wracając do kuchni, gdzie czeka na tacy śniadanie Zeldy, złożone z soku, płatków ze śmietaną i banana pokrojonego w cienkie plasterki. Szczerze mówiąc, nieuwaga Briana jest jej bardzo na rękę, gdyż dzięki temu nie dostrzeże niczego niezwykłego w jej zachowaniu - na przykład, że po kąpieli przebrała się w szlafrok. Rozkłada lekarstwa do plastikowych pojemniczków, dodając ostrożnie jeszcze jedną kapsułkę środka przeciwbólowego. Ryzyko jest minimalne, ponieważ teraz wie już niemal tyle co lekarze o interakcjach wszelkich leków, które przyjmuje jej córka.

Zanosi śniadanie na górę, rozsuwa zasłony w pokoju Zeldy i budzi ją. Potem wchodzi do małżeńskiej sypialni i stuka w drzwi przyległej łazienki.

- Śniadanie za dziesięć minut, skarbie!

Wymyka się, nie czekając na odpowiedź. Brian musi na szczęście pojechać dziś wcześniej na lotnisko, więc będzie się śpieszył i nie zacznie jej wypytywać o Donny'ego.

Na dole zajmuje się zwykłymi drobiazgami: wyciska sok z pomarańczy dla Briana, wsypuje do ekspresu jego ulubiony gatunek kawy, wkłada kromki chleba do tosterka. Wszelkie wyrzuty sumienia z powodu oszustwa tłumi w niej z łatwością świadomość, dlaczego musi kłamać. Czekając aż kawa się zaparzy, Riba zamyka oczy i wyobraża sobie Zeldę siedzącą przy stole, który ugina się od tropikalnych owoców i warzyw z upraw ekologicznych - żywności gorąco polecanej każdemu przez Jaya, lecz będącej w Dublinie kosztownym luksusem. Widzi córkę zażywającą lecznicze witaminy i minerały, antyutleniacze i odżywcze substancje zalecone przez Jaya. Przywołuje również wizję samej siebie przed drzwiami lśniącej nieskazitelną bielą, wpatrzonych w spokojne Morze Karaibskie i świadomej, że w pokoju za jej plecami Jay poddaje jej córkę działaniu swej energii psychicznej. Widzi zaróżowione policzki i promienne oczy Zeldy opuszczającej pokój.

Do kuchni wpada Brian, roztaczając wokół siebie zapach cytrusowej wody po goleniu i zmuszając Ribę do przerwania wizualizacji.

- Jak się dzisiaj czujesz, kochanie?

- Zupełnie nieźle. Nie mam czasu jeść śniadania. Jest już kawa? Aczkolwiek Brian wyraźnie się śpieszy, jego głos brzmi przyjaźnie, jak zwykle. Mimo to Riba nie może oprzeć się wrażeniu, że mąż przebywa myślami gdzie indziej. Gdy wypija sok i nalewa sobie kawy do kubka, Riba postanawia nie ryzykować i odwraca się w stronę zlewozmywaka.

- Powinieneś coś zjeść.

- Później przekaszę coś ciepłego.

Mija pół minuty i Riba słyszy stuk pustego kubka, odstawianego na kuchenny blat.

- No to na razie, Eily. Wrócę dzisiaj wcześniej. Powodzenia. Może zabierzesz Donny'ego do jakiejś restauracji na lunch?

- Zobaczą... Nie chciałabym zostawiać Zeldy samej.

- No dobrze, ale pamiętaj, o czym rozmawialiśmy, dobrze? Poświęć mu jak najwięcej uwagi i spróbuj go jakoś podbudować.

- Spokojna głowa. - Riba woli się nie odwracać. Odkręca kurek z zimną wodą. - Miłego dnia.

- Nawzajem.

Brian wychodzi i mimo jego nieco dziwnego nastroju wszystko jest jak zwykle. A raczej tak to dotąd wyglądało. Ponieważ gdy tylko zatraskują się frontowe drzwi, Riba zakręca kurek i biegnie w stronę schodów.

Zza otwartych drzwi sąsiedniego pokoju Zeldy, z ustami wypchanymi bananem i słodką śmietanką, wychwytuje namowy i pochlebstwa, jakimi mama stara się nakłonić jej brata, by poszedł do szkoły. Słyszy jęki, przekleństwa i wyrazy sprzeciwu Donny'ego. Jego niechęć do opuszczenia łóżka nie wynika z niedawnego pijackiego wybryku - to codzienność.

Odgryza następny kęs, zamyka oczy i układa głowę w ciepłym dołku na poduszce, rozkoszując się jej miękkością. Z jakiegoś powodu, zapewne przez te wszystkie lekarstwa, jej organizm domaga się zwiększonych dawek cukru i soli.

Nie jest pewna, czy zamieniłaby się miejscami z bratem. Z jednej strony, Donny ma całe życie przed sobą; z drugiej, czekają go jeszcze cztery długie lata w tej sprzyjającej wścigowi szczurów instytucji zwanej szkołą. Nic dziwnego, że mianem szkoły nazywa się również ujeżdżanie koni. Dla niej, na szczęście, ten etap życia już się zakończył.

Choć nigdy nie zwierzyła się z tego, rodzicom, nienawidziła szkoły. Była lubiana i świetnie radziła sobie z nauką, lecz źle się czuła w szkole i potraktowała świadectwo jej ukończenia jako przepustkę do lepszego życia. Nikt nie okazywał jej jawnej wrogości, ale nie znosiła panującej dyscypliny, mundurków, a zwłaszcza wymagań, którymi prześladowano co bystrzejszych uczniów. Zupełnie jakby trzeba było zdobywać punkty dla szkoły, nie dla siebie - i jeśli ktoś tego dokonał, górował nad innymi, podbudowując swój prestiż.

Jedynymi przedmiotami, których uczyła się chętnie, były literatura angielska i francuska. Reszta sprowadzała się do wkuwania, wkuwania i jeszcze raz wkuwania. Jaki sens, na przykład, miało uczenie się trygonometrii? Albo poznawanie dzieł poetów piszących po gaelicku - ten przedmiot Zeldy odrzuciła nieodwołalnie, gdy tylko postawiła ostatnią kropkę

na swojej końcowej pracy egzaminacyjnej. Szkołę średnią opuszczała z radością. Nie zamierzała nigdy w życiu studiować czegoś, co jej nie odpowiadało, i pragnęła przez następny rok podróżować po Australii, Grecji, wschodniej Europie, a nawet Ameryce Południowej. Chciała zarobić przez lato na bilet lotniczy i całą wycieczkę. Jej tata, poczciwy człowiek, na pewno by dołożył parę groszy.

Tak myślała, zanim szpiczak uniósł złowrogi łeb.

Tradycyjny, codzienny rytuał ma się ku końcowi. Choć niecenzuralne okrzyki Donny'ego są stłumione i prawie niesłyszalne - zapewne schował głowę pod poduszkę - wiadomo z grubsza, o co mu chodzi: matka natychmiast ma się wynieść z jego pokoju.

Następny ruch należy do mamy. Zelda bez trudu rozpoznaje jej szybkie kroki. Słoniowaty tupot Donny'ego rozlegnie się dopiero za chwilę.

- Wszystko w porządku, kochanie? - Riba staje w progu jej pokoju.

- Jak najbardziej, mamó. - Zelda unosi do ust łyżkę płatków. Przypuszcza, że matka odejdzie, lecz ona staje przy łóżku i podnosi pusty plastikowy kubek.

- Wspaniale! Zażyłaś całe lekarstwo.

Z sąsiedniego pokoju dobiega głuchy odgłos - łups! - co oznacza, że Donny wyszedł. To pobudza matkę do działania.

- Chwileczkę, kochanie, wyprawię go i zaraz wrócę po tacę.

Następne pół godziny upływa w Marmurowych Ogrodach w normalnym rytmie. Nie do końca świadoma, co się dzieje - matka biega tam i z powrotem po schodach i tłucze się w swoim pokoju głośniejsz niż zwykle - Zelda kończy śniadanie, o tyle, o ile może. Dzień wydaje się szary i posepny, ponieważ nadal jest ciemno. Właściwie pogoda nie powinna jej obchodzić, lecz z bliżej nieokreślonych przyczyn, nawet w najgorszym stanie nastrój dziewczyny zależy od tego, czy niebo za oknem jest niebieskie czy szare. Mości się wygodnie pod kołdrą; w końcu i tak nie ma po co wstawać...

Drzwi otwierają się i zamykają, wpuszczając prąd powietrza, gdy Donny w końcu wychodzi do szkoły. Zaraz potem na schodach rozbrzmiewają kroki matki.

Zelda zamyka oczy. Nie ma ochoty na rozmowę ani nawet na masaż. Chce, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju i pozwolili rozkoszować się brakiem bólu. Ma wrażenie, jakby pływała w powietrzu; te pigułki, które jej ostatnio przepisano, naprawdę działają. W nocnym klubie zrobiłyby furorę.

- Zel?

- Mmm? - Dostrzega cię nad łóżkiem i słyszy zdyszany głos matki. Może gdyby nie otwierała oczu... ale musi przesunąć nogi, żeby zrobić jej miejsce. Następuje chwila naprężonego milczenia.

- Otwórz oczy, kochanie, musimy porozmawiać.

- Może później, mamo? Jestem okropnie śpiąca. - Zelda wcale nie przesadza. Sen zaczyna ją okrywać niczym błękitny płaszcz. Czuje dotyk matczynej dłoni na czole.

- Niestety, kochanie, nie mogę czekać. Bo szykuję wielką niespodziankę dla ciebie... dla nas obu.

Zelda otwiera oczy i natychmiast budzi się w niej czujność, ponieważ widzi utkwione w sobie brązowe spojrzenie, które dobrze zna, i wie, że zwiastuje ono odejście od utartego schematu.

- Co? O co chodzi, mamo?

- Posłuchaj - głos matki brzmi cicho i przejmująco - wiem, że zawiadamiam cię tuż przed faktem, ale zgadnij, co się stało?

- Na miłość boską - Zelda z trudem unosi się na łokciu - daj sobie spokój z dramatycznymi wstawkami.

Mimo to matka przedłuża napięcie.

- Czy nie chciałabyś wstać - szepcze wreszcie - włożyć coś na siebie i pojechać ze mną na lotnisko? Teraz, zaraz.

Zelda marszczy brwi.

- Nie rozumiem. Po co miałabym jechać na lotnisko? Czy to ma być jakaś niespodzianka dla taty?

- Nie, to nie jest niespodzianka dla taty. Znajdziemy się w hali odpraw, nie przylotów, ponieważ, moja ukochana, najdroższa córeczko, wsiądziemy do samolotu lecącego do Paryża, a potem udamy się w dalszą podróż, tę, w którą wyruszyliśmy osiem dni temu. Na Karaiby.

Zelda zauważa, że matka nie ma na sobie jednego ze swoich kolorowych kaftanów, lecz kostium. To, co powiedziała, brzmi tak szokująco, że aż traci sens.

- To ma być żart, oczywiście?

- Nie. Nie żartuję. Mam tu nasze bilety i paszporty, jesteśmy spakowane, choć niewiele nam potrzeba. Wszystko gotowe. Musisz tylko, kochanie, wstać z łóżka, umyć się i ubrać. Teraz jest za kwadrans ósma. Taksówka przyjedzie dokładnie za czterdzieści pięć minut. Nawiasem mówiąc, tym razem lecimy pierwszą klasą. Liniami Air France. Zaslugujemy na to, nie uważasz?

- Ale, mamo...

- Byłoby dobrze, gdybyś się trochę pośpieszyła. Chcesz zabrać coś specjalnego? Chyba pomyślałam o wszystkim, ale gdy będziesz się szykowała, mogłabym...

- Mamo! - Oburzenie to zbyt łagodne słowo, by określić emocje

Zelda. - Nawet o tym nie myśl. Przeżyliśmy katastrofę lotniczą, ty i ja, więc jak możesz w ogóle rozważać podróż samolotem już teraz, tak prędko?

- Znasz to powiedzenie, że jeśli się spadnie z konia, trzeba od razu wsiąść na niego z powrotem?

-Ale...

- Muszę przyznać, że też jestem trochę zdenerwowana. Możemy się denerwować razem.

Zelda nie wierzy w ani jedno słowo: twarz matki zdradza jedynie podniecenie, ani śladu zdenerwowania.

Szczerze mówiąc, Zelda również się nie denerwuje. Cóż dla niej znaczy kolejna katastrofa? Najwyżej skróconą drogę do błogosławionej nieświadomości, gdzie nie trzeba dokonywać wyboru ani prowadzić bolesnych, kłamliwych rozmów. To zapewne nienaturalne i niedorzeczne, ale czy jest coś naturalnego w tej całej sytuacji i w zachowaniu jej szurniętej matki?

O czym myślisz? Nie bierz tego pod uwagę nawet przez chwilę... Wzburzenie słabnie i czuje się teraz głęboko zmęczona. Błękitna peleryna snu, która zsunęła się pod wpływem wstrząsu wywołanego słowami matki, zaczyna otulać ją od nowa. Głowa Zeldy opada na poduszkę.

- Masz bzika, mamo - mówi cicho. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak, ale to miły bzik. Proszę cię, zrób to, kochanie. Bo inaczej... - Mimo szerokiego, zachęcającego uśmiechu, usta matki drżą niepokojąco, a w jej niezwykłych oczach pojawia się lęk.

Zelda nie potrafi tego znieść.

- Mamo, proszę, nie patrz na mnie w ten sposób.

- Nic na to nie poradzę.

Gdy jej matka wyciąga ligninową chusteczkę z pudełka przy łóżku, Zelda wpada w panikę. Nigdy nie widziała matki w nastroju innym niż pogodna pewność siebie. Stara się myśleć racjonalnie. Za pierwszym razem zgodziła się lecieć nie tylko dlatego, że Riba w końcu przewyciężyła jej opór i łatwiej było ulec niż walczyć, ale także dlatego, że właściwie nie miała nic do stracenia. A ponieważ i tak nie będzie mogła zrealizować swoich planów dotyczących podróżowania po świecie, czy nie warto zobaczyć przed śmiercią choć jednej

egzotycznej wyspy? Miło byłoby ogrzać zziębnięte kości w promieniach słońca, czyż nie? Zelda przypomina sobie mętnie, co mówił sympatyczny lekarz o słońcu i witaminach. Przynajmniej on zaaprobowałby zapewne ten pomysł.

Niemniej propozycja matki wydaje się zwariowana - równie zwariowana jak ów Jay Street, o którym Zelda słyszy nieustannie, odkąd zaczęła zwracać uwagę na to, co tak naprawdę mówią dorośli. Ale w końcu cóż on jej może zrobić złego? Mama wierzy w niego tak gorąco, że Zelda - choć nie przypuszcza, by mógł jej w jakikolwiek sposób pomóc - uważa, iż ten człowiek nie przyczyni się do jej wcześniejszego zgonu.

Jeśli już o tym mowa, czy taka podróż może jej zaszkodzić? Zapropionowano jej darmowe wakacje na Karaibach. Czy ktoś o zdrowych zmysłach odmówiłby darmowych wakacji? Czy nie lepiej wyjechać, niż leżeć tutaj i patrzeć na ten cholerny szary deszcz?

Podczas gdy wszystkie te myśli przemykają jej przez głowę, Riba wbija w nią wielkie, przestraszone oczy. Zelda podejmuje ostatnią próbę.

- Jeśli się zgodzę, a on mi nie pomoże, czy zostawisz mnie w spokoju?

Jej matka, z twarzą rozświetloną nadzieją, mnie w dłoniach chusteczkę.

- Pomoże ci... och, Zel, dziękuję. Zobaczysz, że ci pomoże. Zelda wpatruje się w nią uporczywie, wkładając w to spojrzenie całą swą energię i w końcu, ten jeden raz, brązowe oczy umykają w bok.

- Oczywiście, Zeldo. - Jej głos brzmi cicho. - Będzie, jak sobie życzysz.

- Dasz mi spokój i więcej nie będziesz się wtrącać. Obiecujesz?

- Obiecuję.

Jeśli nawet ta podróż mnie zabije, no to co? - myśli teraz dziewczyna. Wielkie rzeczy. Znużonym gestem unosi kołdrę, którą matka chwytła radośnie, pomagając Zeldzie wstać.

- Idź, przygotuj się do drogi. Ja tylko uprzątnę tacę i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku.

- Wiem, że tego pożałuję... - Zelda rusza niepewnym krokiem w stronę łazienki, lecz zatrzymuje się nagle. - Zaraz, chwileczkę. Donny i tata nie przyszli się pożegnać. Cały ten pośpiech... co jest grane, mamó? Czy oni w ogóle wiedzą?

Matka przerywa śłanie łóżka i odwraca się do niej.

- Nie. Nie wiedzą. Twój tata poruszyłby niebo i ziemię, żeby zapobiec temu wyjazdowi. Napisałam do nich obu listy.

Zelda ma ochotę ją uderzyć. Teraz wie, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Ale Riba zbliża się o krok i dodaje błagalnym tonem:

- Dadzą sobie radę... Zostawiłam im pełną lodówkę. Dostrzegając w jej oczach przerażenie, Zelda ponownie czuje się przytłoczona bólem matki, świadomością, jak to jest przyglądać się bezradnie powolnemu konaniu córki.

- To nie w porządku, mammo. Wcale mi się to nie podoba. - Ale sprawa jest już przegrana.

Nie mogąc znieść ciszy panującej w domu, Sophie pojechała do redakcji „Wild Places” wczesnym rankiem, wcześniej niż kiedykolwiek, gdy tam pracowała.

Teraz dochodzi jedenasta, a ona żałuje impulsu, który ją tu przygnał, ponieważ w grobowej atmosferze wszystkie trzy - ona, Imelda z twarzą pokrytą szkarłatnym rumieńcem i zrozpaczona, rozczochrana Nancy - napełniają worki na śmieci pożółkłymi faksami i starymi wydrukami.

Nancy nieoczekiwanie przerywa robotę.

- Jak ci poszło wczoraj na spotkaniu z inwestorami?

- Jakimi inwestorami? - Imelda ogląda się przez ramię, ściskając naręcze papierów.

Nadal ubiera się dziwacznie: dziś ma na sobie ciemnozieloną tweedową spódnicę oraz jaskrawożółtą bluzkę z falbankami, uszytą z jakiegoś prześwitującego sztucznego materiału. Sophie domyśla się, że szefowa zrobiła zakupy w jednym ze sklepików z używaną odzieżą, które rozpleniły się w okolicy niczym dziecięca wysypka.

Nancy jest zbita z tropu.

- Przepraszam... myślałam, że...

Imelda wykonuje gwałtowny wymach nogą i kopie pierwszy z brzegu worek tak mocno, że go rozrywa i wywraca do góry nogami. Obydwie pracownice obserwują w lęklwym zdumieniu napad szału, w trakcie którego ich szefowa rozrzuca i rozkopuje na boki papiery, zszywacze, a nawet wiatrak, jakby to byli śmiertelni wrogowie. Takiej Imeldy dotychczas nie znały.

Burza cichnie równie szybko, jak wybuchła, i szefowa, nieco zadyszana, staje pośrodku swego królestwa.

- Przepraszam was, dziewczyny. Po prostu na chwilę straciłam panowanie nad sobą.

- Dobrze się czujesz? - Sophie jest niezmiernie żal Imeldy, stojącej pośrodku pokoju niczym oszołomiony ptak w jaskrawej godowej szacie.

- Świetnie. Przepraszam was, po prostu...

- Coś się trafi. Wymyślisz coś. - Głos Nancy zamiera niepewnie.

Szefowa wzrusza ramionami, odwraca się i zaczyna zawiązywać jeden z czarnych worków.

Sophie również się odwraca. Biedna Imelda. Biedna Nancy. Nie, do cholery - biedna Sophie! Porzuca worek, do którego ładowała papiery i po raz setny sprawdza wyświetlacz komórki. Zero. Żadnych wiadomości.

Nic jej nie broni zatelefonować do Michaela. Może tylko duma.

Czemu nie zadzwonić do Briana? Jest najzupełniej pewna, że Michael już mu o wszystkim opowiedział, lecz z pewnością przedstawił sytuację jedynie od swojej strony. Sophie przez chwilę rozważa ten pomysł.

Wychodzi nawet na zewnątrz i zaczyna wybierać numer Briana, lecz przerywa w połowie. Nie. Zdecydowanie. Nie teraz, kiedy jest jeszcze taka obolała. Zwierzenia byłyby czymś nieuczciwym. Także wobec Eily.

Wraca do budynku, odkłada telefon do torebki i chwytą pierwszy z brzegu worek na śmieci.

Biedna Sophie, jak ona sobie radzi po utracie pracy? Serce Riby wypełnia się współczuciem, choć wciąż pamięta niedawną sprzeczkę. Pozostawiwszy Zeldę w poczekalni pierwszej klasy, rozgląda się po błyszczącym, przepastnym wnętrzu wolnoctowego kompleksu handlowego na lotnisku Charlesa de Gaulle'a, szukając prezentu dla Jaya, czegoś naprawdę ładnego, lecz nie pretensjonalnego - może zegarek od Breitlinga?

Za drogo, nawet tutaj.

Nie powinna roztrząsać słów Sophie, dotyczących Jaya. Wszystko skończy się dobrze. Riba podziela jego pogląd, że zawsze warto szukać studni pod powierzchnią ziemi, a ludzie tacy jak oni muszą tylko pokopać.

Oddała się od biżuterii w stronę odzieży. Niemal natychmiast dostrzega w jednym z okien wystawowych jedwabną koszulę, rozłożoną tak, jak tylko Francuzi potrafią, miękką, perłowszarą, w odzieniu, który nawet Sophie mógłby się spodobać. Kosztuje sto sześćdziesiąt funtów. Suma absolutnie znikoma w porównaniu z tym, co ona i Zelda otrzymają w zamian. Riba płaci bez oporów kartą kredytową.

Chowając kartę do portfela, uśmiecha się na widok staroświeckiego świętego obrazka, który ciocia May dała jej dla Jaya wraz z podziękowaniem za jego dobre myśli. Chrystus jako Dobry Pasterz. Bardzo stosowne, nawet jeśli staruszka wyciągnęła ten obrazek na chybił trafił

ze swego wypchanego modlitewnika. „Masz, daj to temu smarkaczowi i pozdrów go ode mnie”.

Riba uśmiecha się pobłaźliwie. Ci staruszkowie i ich dziwactwa!

Wyobraża sobie Jaya w tej koszuli, wracając pośpiesznie do miejsca, w którym zostawiła Zeldę.

Rozdział 24

To musi być to, co niektórzy określają mianem „głębokich mroków ducha”. Piekielna noc, najdłuższa w życiu Briana.

Krażąc po salonie i przeklinając własną głupotę i ślepotę, przystaje na chwilę, bierze pilota i przerzuca kanały telewizyjne: same bzdury, krzykliwa tandeta, gadające głowy, głupkowaci komicy, żałosne oferty opowiadające łzawe historyjki nieszczercze wzruszonym gospodarzom programów, wymachujące włóczniami hordy półnagich liliputów z kośćmi w nozdrzach - to film dokumentalny o jakimś buszu. Brian wyłącza telewizor i rzuca pilota w róg kanapy.

Na pewno pojawiły się jakieś sygnały, nie była przecież aż tak sprytna... a jednak chyba była. Po raz kolejny sięga po list. „Mój najdroższy, ukochany Brianie, gdy będziesz

czytał te słowa...”. Bla, bla, bla, ma nadzieję, że ją zrozumie, czeka go później wielka radość, bla, bla...

Zakładając, że żona mogła wyjść dokądś z Donnym na cały dzień, nie denerwował się specjalnie, że nikt nie podnosi słuchawki, gdy zgodnie z obietnicą dzwonił kilkakrotnie do domu, by się dowiedzieć, co słycać. Teraz wie, że powinien był zwrócić baczniejszą uwagę na wewnętrzny głos, który podpowiadał mu, że Eily nie zostawiłaby Zeldy samej na tak długo - a nawet gdyby, to córka przynajmniej raz odebrałaby telefon.

Wówczas jednak doszedł do wniosku, że dziewczyna jest odurzona lekami albo ma na uszach słuchawki i słucha muzyki.

Psiakrew, trzeba było od razu wrócić do domu. Gdyby to zrobił, mógłby zdążyć na ten lot do Paryża. Albo przynajmniej zatelefonować.

Bogu niech będą dzięki za nieoficjalne kontakty w branży turystycznej. Ryzykując utratę pracy, jego kumpel wyszukał przez system komputerowy rezerwację Eily, więc Brian mógł prześledzić trasę podróży, choć nie zdążył już zatrzymać żony. Tak czy inaczej, Zeldą jest pełnoletnia, ma paszport i niewątpliwie wszystko odbyło się za jej zgodą. Mimo miotającej nim furii Brian nigdy by nie uwierzył, że Eily przyłożyła córce pistolet do skroni i zmusiła ją do wyjazdu na Wyspę Palm.

W głębi duszy odczuwa pewien podziw dla żony i docenia jej nieustępliwość. Zaplanowała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Aby mu oszczędzić detektywistycznych dociekań, przyznała się nawet w liście, w jaki sposób wykombinowała pieniądze na nowe bilety. Właściwie napisała mu o wszystkim, z wyjątkiem planowanej trasy i godziny odlotu.

Nie mając zielonego pojęcia, że dom jest kompletnie pusty, Brian zagłębił się po uszy w sprawy cholernego EconoCar. I tak musiał harować za dwóch. Dziękował Bogu za niepełnosprawnych - nie tylko stanowili lojalną klientelę, lecz mieli równie lojalnych krewnych, którzy wynajmowali zwykłe samochody i jak na styczeń, firma notowała niespotykane wysokie obroty.

Nawet dobrze się złożyło, że był tak zajęty - oderwało go to od przygnębiających spraw. Ale gdyby tylko wiedział!

I co ma teraz zrobić z Mickiem i Yvonne? Mick zasługuje na potępienie. O tak, ze wszech miar. Prześladowany wizją Sophie upokorzonej przez własnego męża w miejscu publicznym, Brian ostatecznie traci szacunek dla przyjaciela. Zęby przekazywać żonie tego rodzaju wiadomość w takim miejscu...

No dobrze, rozumie jego dezorientację z powodu dziecka. Sam nigdy nie podejrzewał się o ojcowskie zapędy, dopóki Eily nie zaszła w ciążę. A potem - Boże, ten natłok zdumiewających, obezwładniających uczuć...

Pośpiesznie rozrzuca poduszki na sofie, znajduje pilota i włącza telewizor. Gdzie, u licha, podziewa się Donny? Już prawie północ, a on jeszcze nie wrócił do domu. Chyba go zabije, gdy tylko go dorwie.

Nie. Nie zrobi tego. Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli Donny się wkurzył, ma do tego pełne prawo.

Sophie spędziła dzień na bezcelowym, pełnym napięcia miotaniu się z kąta w kąt. Pojechała do redakcji „Wild Places” i mniej więcej po godzinie uznała, że nie ma po co tam siedzieć - ostatni numer poszedł do drukarni, zrobiono już gruntowne porządki, a przez ten czas, jaki im pozostał, obydwie z Nancy zdążą posprzątać wszystko do połysku. Pojechała do miasta, gdzie - obejrzawszy obłązione przez tłumy klientów sklepy - postanowiła pójść do kina na „101 dalmatyńczyków”. Wyszła jednak w połowie filmu, nie mogąc się skupić. Nie chciała od razu wracać do domu, by siedzieć przy milczącym telefonie, więc wybrała się na zakupy do sklepów z odzieżą, lecz dała sobie z tym spokój - nigdy jej to nie interesowało, a tym bardziej teraz.

Zbliża się północ, a Sophie, zwinięta w kłębek w fotelu, od kilku godzin wsłuchuje się w ciszę. Gdy nagle odzywa się dzwonek u drzwi, aż podskakuje ze strachu.

To na pewno Michael.

Mimo że cały czas czekała na jakiś znak od niego, przejmuje ją nagły lęk. Otworzyć czy nie? Wiadomo, że ktoś jest w domu, ponieważ pali się światło. Widać je przez półkoliste okienko nad frontowymi drzwiami.

Dzwonek odzywa się ponownie i Sophie po chwili wahania podnosi się niezgrabnie z fotela.

To nie Michael stoi w progu - tylko Donny. Sophie odczuwa zarazem rozczarowanie i ulgę.

- Wejdz, Donny, co tu robisz, na miłość boską? Co się stało?

Jakby nie wiedziała!

Zapomina o własnych problemach, gdy chłopak wybucha na cały pokój. Nie wróci do tego zakichanego domu, nigdy, przenigdy! Gównu ich obchodzi, co się z nim stanie, więc oni też gównu go obchodzą...

Po chwili, nieco spokojniejszy, z kubkiem herbaty w dłoni, pokazuje jej list od matki: „Najdroższy, ukochany synku...”.

Sophie pobieżnie przegląda list, wiedząc, że banały, jakimi przyjaciółka usprawiedliwia takie potraktowanie chłopca, wzbudzą w niej jeszcze silniejszy gniew i jeśli przypisze im zbyt wielkie znaczenie, będzie gardziła Eily przez resztę życia. Donny'emu na nic się to nie przyda.

Musi zachować dystans. Musi ponownie zadać sobie pytanie, co by zrobiła, gdyby Zelda była jej rodzoną córką, jedyną i ukochaną, nie tylko chrzestną. Gdyby szczerze wierzyła, że czary-mary Jaya Streeta są dla niej jedyną szansą, czy nie zlekceważyłaby wszelkich innych obowiązków?

Musi jednak pozostać bezstronna i zrównoważona, zwłaszcza że w trakcie czytania zdaje sobie sprawę z narastającej czujności Donny'ego.

- Będę z tobą szczerą - zaczyna łagodnie, oddając list. - Rozumiem, dlaczego twoja mama tak postąpiła. Zelda jest bardzo chora, naprawdę poważnie i nie mogłabym z ręką na sercu powiedzieć, że nie postąpiłabym tak samo, gdyby to była moja córka, a ja bym szczerze wierzyła, że to jej ostatnia szansa.

- Ale ciociu... - Donny milknie. Jego zgnębiona twarz zmiękczyłaby najtwardsze serce, lecz Sophie panuje nad sobą ze względu na niego i na Briana.

- Wiem, że czujesz się okropnie. Naprawdę cię rozumiem. Czasami nie możemy zrobić nic innego, tylko pogodzić się z rzeczywistością. Biedaku, tak się starałeś, szukałeś w Internecie i w ogóle...

To przebija pancerz Donny'ego i po policzkach chłopca spływają łzy, skapując mu z podbródka. Płacze nie jak dziecko, lecz jak zagubiony, wystraszony i oszukany nastolatek, nie próbując nawet ukryć ani powściągnąć rozpacz. Odkąd wkroczył w wiek dojrzewania, przestał panować nad zbyt długimi kończynami i masywnym ciałem, a jego obecność w tym domu zawsze wydawała się nie na miejscu. Teraz po prostu ją przeraża - jego szloch rozbija pokój na milion brzęczących odłamków.

- Ona umrze. Już nigdy jej nie zobaczę... nawet się z nią nie pożegnałem. Nigdy tego mamie nie wybaczę. Nawet nie pozwoliła mi się z nią pożegnać...

Sophie, siedząca dotychczas naprzeciwko, wstaje i siada tuż obok Donny'ego na sofie. Otacza go ramieniem i wyjmując mu z ręki kubek z herbatą, który odstawia na stolik. Mocno, choć może niezgrabnie, przytula chłopca, wciąż trzęsącego się od płaczu. Jego szorstka czupryna, zupełnie taka sama, jak Briana, drapie ją w podbródek. Zbiera jej się na płacz - ze

współczucia dla niego, dla nich wszystkich, dla całego świata - ale jeśli podda się emocjom, przegrają obydwój.

Burza cichnie powoli, a gdy już naprawdę zbliża się do końca, Sophie zostawia Donny'ego i idzie do kuchni po chusteczki.

- Masz. - Wręcza mu pudełko i odwraca się, wiedząc, że jego żal lada chwila ustąpi miejsca zawstydzeniu. - Chcesz jeszcze herbaty? Bo ta już pewnie wystygła.

Nie śpieszy się z zaparzeniem nowej, a gdy ją wreszcie zanoszą do pokoju, Donny panuje nad sobą, choć ma purpurowe policzki.

- Przepraszam, ciociu - bąka, biorąc od niej kubek. - Nie powinienem był tu przychodzić.

- Ależ oczywiście, że tak. Dokąd miałbyś pójść?

- Nie jestem dzieckiem i nie powinienem...

- Daj spokój i przestań się przejmować. To dla nas wszystkich ciężki okres. - Siada i spogląda w głąb swojego kubka. - Myślę, że trzeba zadzwonić do twojego taty. Na pewno szaleje z niepokoju. - Podchodzi do telefonu, podnosi aparat i podsuwa go Donny'emu. - Może ty to zrobisz?

- Nie, ciociu... proszę. - Chłopiec jest przerażony.

- Dobrze. Ale zgadzasz się, że trzeba mu powiedzieć? Donny załośnie kiwa głową.

Stojąc pośrodku salonu, Brian usiłuje się skupić na najważniejszych doniesieniach Sky News. Nic ciekawego. Jak co dzień, awantury w najbardziej zapalnych punktach świata. I nowy zamęt w rodzinie królewskiej.

Czy został jeszcze ktoś, do kogo mógłby zadzwonić? Telefonował już do wszystkich - do Jamesonów, do Prendergastów, u których usłyszał od matki Fiony że nigdy nie wpuści Donny'ego za próg domu; do różnych osób wyszukanych w notatniku Eily.

Może powinien zadzwonić na policję? Wstrzymywał się w obawie, że syn nigdy mu tego nie wybaczy. Jest szansa, że zaszył się w jakiejś mecie, znanej tylko nastolatkom. Może u kolegi, którego numeru telefonu żadni rodzice nie mają. Brian sam robił podobne rzeczy w tym wieku, kiedy chciał się ukryć.

Jeszcze przez jakiś czas nie zawiadomi policji. Usiłuje skupić się na wiadomościach. Angola. Nie, dziękuję.

Gasi telewizor i spogląda na zegarek. Eily i Zelda niedługo wylądują na tej cholernej wyspie, pewnie w ciągu najbliższej godziny. Według rozkładu lotów powinny już opuścić

Antigüe, chyba że samolot się spóźnił. Brian stracił fortunę, próbując kilkakrotnie i bezskutecznie wywołać je na lotnisku. Albo ich tam nie było, albo Eily celowo się nie zgłaszała.

Ludzie Streeta, jak można się domyślić, również nie udzielili mu zadowalających informacji. Owszem, oczekują jego żony, przekażą jej, żeby zadzwoniła, przykro im, ale nic więcej nie mogą zrobić. Gniew Briana, podsycany bezradnością, skupia się teraz na pieprzonym Jayu Streecie, lecz akurat nie ma go pod ręką, więc kopie jedno z obitych kwiecistym perkalem krzesel Eily. Zawsze nienawidził tych cholernych mebli. Styl rustykalny zupełnie nie pasuje do nowoczesnego bliźniaka.

Gdy tylko załatwi sprawę z Donnym, osobiście poleci za Eily i ochrzani tego oszusta. Do diabła z pracą! Niech Mick Dolan się przekona, co naprawdę oznacza odpowiedzialność. Szefowanie przez kilka dni, kiedy Brian leżał w szpitalu, lecz można się było z nim skonsultować, to jedno. Czym innym jest prawdziwe zarządzanie firmą, gdy szef znajduje się w miejscu odległym o tysiące kilometrów. To mu przeszkodzi w budowaniu miłego gniazdka - po wszystkim, co zrobił Sophie.

Żeby się czymś zająć, Brian bierze ze stolika rozkład lotów, siada i zaczyna planować własną podróż na Wyspę Palm. Najdogodniej wygląda trasa przez Gatwick i wyspę St. Lucia. Przerzuca kartki. Może polecieć Continentalem przez Nowy Jork? Sprawdziwszy kilka innych połączeń, zakładających przesiadki, a nawet noclegi, ciska rozkład w ką. Zbyt wiele możliwości do wyboru. Przydałby się dostęp do Galileo lub jakiegoś innego komputerowego systemu rezerwacji. Mijają minuty, a myśli Briana krążą nieustannie wokół obiektów jego niepokoju i gniewu: Donny'ego, Jaya Streeta, żony, całego świata. Wstaje i ponownie zaczyna chodzić po pokoju. Może zadzwonić do Sophie? Ona by zrozumiała...

Nie. Lepiej nie.

Rozpacz i frustracja sprawiają, że łamie jedną ze swoich podstawowych zasad - nie pić w samotności - i nalewa sobie sporą porcję whisky, gdy dzwoni telefon.

Spogląda na aparat z nagłym lękiem. Eily? Raczej nie. Z rozkładu wynika, że jeszcze nie wylądowały, a nie dzwoniłaby do niego, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie w miejscu, do którego chciała dotrzeć. Nie. To musi mieć coś wspólnego z Donnym. Proszę, dobry Boże, proszę, niech to nie będą złe wieści o Donnym...

Stewardesa odsuwa drzwi i Riba, której wydawało się dotychczas, że odczuwa błogie ciepło, ma wrażenie, że podmuch wilgotnego gorąca z płyty lotniska, wionący jej prosto w

twarz, płynie z wnętrza jakiegoś grilla. Bardzo jej się to podoba. Wręcz jest zachwycona. Oto nagroda za całe użeranie, jakie musiała przejść, by zająć te miejsca z przodu w trakcie przesiadki na Antigui.

Przesiadły się zresztą dość wcześnie. Te małe samoloty, latające z wyspy na wyspę, przypominają prywatne autobusy - startują, gdy mają komplet pasażerów i nie trzymają się rozkładu.

Gdy stewardesa wyciąga schodki, Riba pochyla się i spogląda po raz pierwszy na Wyspę Palm. Nic szczególnego - połatany asfalt i walący się budynek, najwyraźniej pełniący funkcję terminalu. A przed nim czeka dwóch bagażowych, umilając sobie czas pogawędką.

Spójrzcie tylko na to niebo! - myśli z podziwem Riba. Słusznie pisano w książkach, że mrok spada na Karaibach niczym cios miecza. Zaledwie przed chwilą, może dziesięć minut temu, patrzyła przez okienko na błękitny ocean i białe grzywy fal, połyskujące w słońcu. Teraz słońce zaszło, pozostawiając krwiste smugi, które ścielą się po obu stronach baraku.

Hej! A tam wyrasta spośród rzadkiej, zrudziałej trawy pierwsza w jej życiu prawdziwa, tropikalna palma! Rysuje się na tle gęstniejącego zmierzchu zupełnie jak w filmach albo turystycznych broszurach, reklamujących słoneczne wakacje. „Czarowny wieczór na Południowym Pacyfiku”. Wprawdzie to Karaiby, ale Riba i tak jest niezmiernie podekscytowana: otwarcie drzwi samolotu kojarzy jej się z uniesieniem kurtyny przed jakimś egzotycznym widowiskiem. Odwraca się do córki.

- Obudź się, Zel! Jesteśmy na miejscu.

Widzi, że z głowy Zeldy zsunęła się lekko chustka i poprawia ją, zanim rozepnie pas bezpieczeństwa obejmujący zapadnięty brzuch córki.

Zelda otwiera oczy, mętne od snu, ale nie wykonuje żadnego ruchu. Patrzy na matkę przez chwilę, a potem mówi:

- Nie mogę. Nie chcę.

- Czego nie chcesz, kochanie? Przecież już nie śpisz. Chodź, pomogę ci.

Zelda z jękiem opuszcza powieki.

- No, Zel, otwórz oczy. Stewardesa czeka, żebyśmy wysiadły. -Zdaje sobie sprawę, że przemawia jak do małego dziecka, lecz stewardesa naprawdę wpatruje się w nie wyczekująco. Riba obdarza dziewczynę swym najpiękniejszym uśmiechem. - Za chwilę wstaniemy, proszę się nami nie przejmować, niech inni pasażerowie wysiądą pierwsi.

- Czy życzy pani sobie fotela na kółkach? - Śpiewny akcent tej kobiety brzmi w uszach Riby jak piękna muzyka. - Nie otrzymałam zgłoszenia, ale jeśli zechce pani zaczekać, wystaram się o wózek.

Riba uśmiecha się szerzej.

- To bardzo miło z pani strony. Proszę sobie nie robić kłopotu. Ona się obudzi, tylko to chwilę potrwa. Damy sobie doskonale radę. Odbiliśmy bardzo długą podróż i córka jest trochę zmęczona. Widzi pani, przyleciałyśmy aż z Irlandii.

Stewardesa uśmiecha się uprzejmie i daje znak pozostałym pasażerom, by przechodzili do przodu. Riba, która oczekiwała wykrzykników na temat Irlandii, czuje się nieco rozczarowana obojętnością tamtej. Głaszcze czoło córki, budząc ją łagodnie, a potem nachyla się i całuje ją w policzek.

- Hej, śpiąca królowo, pobudka! Serio, kochanie, musisz się obudzić.

Wreszcie Zelda ponownie otwiera oczy i rozgląda się po wnętrzu samolotu, już opustoszałym.

- Mamo, gdzie my, u licha, jesteśmy?

- Nie pamiętasz, kochanie? Dotarliśmy na miejsce. Witaj na Wyspie Palm. Straciliśmy ponad tydzień, ale w końcu nam się udało. Czyż to nie wspaniałe?

Zelda prostuje się gwałtownie i przykładła dłoń do czoła.

- O Boże, czuję się parszywie.

- Nic się nie martw. Zaraz będziemy na miejscu. To tylko dziesięć minut jazdy, o ile wiem, a potem zajmiemy się tobą. Mamy mnóstwo czasu. Myśl o tym cudownym spokoju i słońcu, skarbie.

Pomagając Zeldzie zejść po niskich stopniach, Riba tłumi wzbierające w niej niczym fala poczucie winy. Brian i Donny z całą pewnością już wiedzą, gdzie się obydwie znajdują. Prawdę mówiąc, gdy czekały w Antigui na ostatnie połączenie, usłyszała imiona swoje i Zeldy, wywoływane przez megafony. To na pewno Brian ich szukał. Na szczęście córka, która przespała większą część podróży, była zbyt senna, by zwrócić na to uwagę, Riba zaś nie zareagowała na wezwanie, nie chcąc, aby jacyś wścibscy ludzie wtykali nos w jej sprawy.

Zapewne Brian zatelefonował również z pogroźkami do ośrodka.

Niech tam. Ona musi się skupić na celu i myśleć pozytywnie. Stawiając stopę na asfaltowym pasie, czuje się bardzo szczęśliwa. Już zaraz spotka się z Jayem i będzie mogła przekazać sprawy w jego ręce. Jay zajmie się wszystkim.

Brian podnosi słuchawkę dopiero po czwartym dzwonku. Spokojnym, rzeczowym tonem Sophie informuje go krótko, że Donny jest u niej.

- Chcesz, żebym go odwiozła do domu?

- Nie. - Ulga przyprawia Briana o zawrót głowy. - Zatrzymaj go, Sophie. Zaraz przyjadę.

- On mnie zamorduje. - Donny wpatruje się w nią rozszerzonymi oczyma. - Uziemi mnie na całe tygodnie.

- Nie ma mowy, już ja się o to postaram. Wysłuchaj mnie, Donny, twój tata jest niewątpliwie jeszcze bardziej wytracony z równowagi

niż ty. Musicie po prostu wspierać się nawzajem pod nieobecność mamy i Zeldy. Nie jesteś już dzieckiem, sam to powiedziałeś, a ta sprawa wymaga od ciebie dojrzałości. Musisz dorosnąć, może nawet zbyt szybko. Ojciec cię potrzebuje, w pewnym sensie chyba bardziej niż ty jego.

Widzi, że trąciła właściwą strunę. Donny nieco się rozchmurza.

- Tak, masz rację. Muszę być dla mamy wyrozumiały. Po prostu robi to, co uważa za słuszne. Stara się.

- Podobnie jak my wszyscy.

Wypija łyk herbaty i rozgląda się po pokoju.

- O której wróci wujek Michael? Widziałem go dzisiaj w Bewley's.

- Naprawdę? - Serce Sophie, wyczerpane niedawnymi przeżyciami, zaczyna bić mocniej.

- Aha. - Odprężenie po napadzie płaczu rozwiązuje Donny'emu język. - Zastanawiałem się, czy nie podejść, ale jakoś nie miałem ochoty. Chyba na kogoś czekał, bo ciągle zerkał na drzwi. Myślałem, że na ciebie. W sumie cieszę się, że go tu nie było, kiedy się rozkleiłem.

Jeśli czekał na nią, to znaczy, że jeszcze razem nie mieszkają.

- Czy ta osoba przyszła? - Sophie ma nadzieję, że jej ton brzmi swobodnie.

- Nie wiem, bo my wyszliśmy wcześniej. Sophie czuje, że musi zmienić temat.

- Z kim tam byłeś?

- Z pewną znajomą. - W głosie chłopca pojawia się nuta rezerwy.

- Ojej! - Sophie zdobywa się na uśmiech. - Czyżbym popełniła gafę? Byłeś z przyjaciółką?

Donny wpatruje się w swoje niezgrabne dłonie.

- Niezupełnie, to po prostu taka jedna dziewczyna, którą znam, Fiona Prendergast. Właściwie nie wolno nam się widywać, jej rodzice uważają mnie za jakiegoś zbrojeńca czy coś. - Na jego twarzy pojawia się wyraz oburzenia i Sophie, choć zadowolona ze zmiany tematu, dochodzi do wniosku, że dalsze pytania byłyby nietaktem: bez wątpienia chodzi o tę

samą Fionę, z którą przyłapano jej młodego przyjaciela pijanego i w kompromitującej sytuacji.

Bierze do ręki pilota.

- Może pooglądamy telewizję, zanim twój tata przyjedzie? Znajdują film dokumentalny o Pigmejach z Afryki Równikowej.

Sophie siada wygodnie i koncentruje się z całej mocy na poważnym, kojącym głosem lektora i bujnej zieleni krajobrazu.

- Wielkie nieba! Spójrz, Zel... o, tam. - Czy dała się ponieść wyobraźni, czy naprawdę dostrzegła w świetle reflektorów parę błyszczących żółtych oczu? Co to mogło być? Niewątpliwie jakieś rzadkie zwierzę. Riba postanowiła niezłomnie rozkoszować się każdą chwilą tej wspaniałej wyprawy.

Czuła się odrobinę rozczarowana, że Jay nie zjawił się osobiście na lotnisku, lecz nie pozwoliła, by zmaćniło to jej radość i zachwyt. Spotka się z nim bez świadków. Mają wiele do omówienia. Rozglądając się za nim, dostrzegła platynową głowę Kalifornicy, wyróżniającą się spośród ciemnowłosego tłumu, i dzięki temu mogła się zmobilizować, by na powitanie uściskać tę kobietę.

Jadą otwartym samochodem terenowym i najwyraźniej znajdują się na głównej trasie wylotowej z lotniska, która jest wąską, zrytą koleinami gruntową drogą.

- Na wyspie nie ma zbyt wielu pojazdów - wyjaśnia Kalifornica, leniwie i wyniośle przeciągając samogłoski - więc obawiam się, że trudno tu o dobrą drogę. Mam nadzieję, że Zeldą nie rzuca za bardzo. - Te słowa skierowane są bezpośrednio do dziewczyny, która siedzi obok na przednim siedzeniu.

- Wszystko w porządku. - Mimo to Zelda, która od chwili opuszczenia samolotu jest całkowicie rozbudzona, otula się ciasno swoją lekką kurtką, jak gdyby było jej zimno.

Riba pochyla się w stronę córki.

- Dać ci moją kurtkę, kochanie? Strasznie mi gorąco.

Dziewczyna odmawia, lecz Riba i tak ściąga okrycie. Choć pęd powietrza dmucha jej w twarz, zaczyna się pocić i czuje się nieprzyjemnie lepka. Dochodzi do wniosku, że to wina jej stroju. Marzy o prysznicu i przebraniu się w coś lekkiego i bawełnianego.

- Czy tu zawsze jest tak gorąco? - pyta, przekrzykując warkot silnika.

- To przez wilgotność powietrza! Przyzwyczaisz się! - odkrzykuje Amerykanka. - Ja już prawie jej nie odczuwam. A Stany kojarzą mi się teraz wręcz z Arktyką.

Riba odchyła się na winylowe oparcie siedzenia i wbija spojrzenie w aksamitną ciemność. Po lewej dostrzega odświeżone przybrany i migoczący światłami statek

wycieczkowy, po prawej rozpościera się gęsty las. Nie widać księżycy, lecz całe niebo nad jej głową usiane jest porzrzucanymi bezładnie iskierkami gwiazd.

Jej serce śpiewa ze szczęścia. Gdy Zelda nabierze nieco sił, mogłyby wybrać się na wycieczkę na inne wysepki tego archipelagu, który

oglądała tyle razy w atlasie Briana. Mają takie urocze nazwy. Biała Wyspa, Wyspa Wschodzącego Księżyca, Piaszczysty Atol, Plaża Flory - może je recytować z pamięci. Wyspa Palm, największa z nich, pełni funkcję nieoficjalnej stolicy, a niektóre z mniejszych wysepek stanowią własność prywatną, lecz inne, niezamieszkane, są dostępne. To musi być wspaniałe przeżycie, popłynąć na jedną z nich i - jak piszą w książkach - pozostawić po sobie tylko ślady stóp.

Dojazd do ośrodka zajmuje niecałe dziesięć minut. Białe parterowe domki, luźno rozstawione w kształcie podkowy, otaczają plażę. Między plażą a najdalszym krańcem podkowy rozpościera się trawiasty czworobok, z którego trzech stron stoją drewniane ławy, krzesła i ogrodowe fotele, czwarta zaś, najbliższa morza, jest pusta.

- Tu się odbywają większe zgromadzenia - wyjaśnia Kalifornica. - Również ceremonie ślubne. - Wskazuje spiętrzoną w rogu stertę zaokrąglonych drewnianych elementów. - Popatrz, tam leżą łuki. Są mocne, muszą posłużyć więcej niż raz. Ustawimy je jutro, ale kwiatami przystroimy dopiero w piątek rano. Jesteś w tym dobra, Ribo, możesz nam pomóc. - Gasi silnik, gdy samochód wtacza się na miejsce oznaczone napisem: „Dżip” między starym beetle'em a rolls-royce'em ze składanym dachem.

Emocje Riby sięgają zenitu. To auto Jaya - mówił o nim niemal takim tonem, jakim mężczyzna mówi o ukochanej kobiecie.

- Kto bierze ślub w tę sobotę? - pyta w ciszy, która zapadła po wyłączeniu silnika.

- Ludzie, których Jay określa jako, towarzystwo mieszane. - Kalifornica chichocze z czułością. - Żadnych Irlandczyków, niestety, nie tym razem, ale zjechali się z całego świata. Cztery pary ze Stanów, dwie miejscowe i po jednej z Anglii, Niemiec, Australii oraz, dałabyś wiarę? Z Hongkongu! Jak wiesz, to nasze nowe przedsięwzięcie i wszyscy jesteśmy niesamowicie przejęci. Odzew okazał się zdumiewający. Ostatnim chętnym musieliśmy odmówić, bo chcieliśmy ograniczyć się do dziesięciu par, żeby sprawdzić, jak to będzie wyglądało w praktyce. Naprawdę, możliwości wydają się nieograniczone. Każdy chciałby wziąć ślub w naszym rajku. Mogą skosztować małżeństwo w prześlicznych leśnych okrągłaczkach, krytych strzechą. Jay kazał je zbudować według ilustracji z książki o południowej Afryce. No więc jak, moje małże? - Amerykanka sięga do tyłu i chwyta jedną z toreb. - Idziemy?

Riba za żadne skarby nie przyzna się do ignorancji w kwestii „okrągłaczków”.

- Cudownie! Ale nie zatrzymali się tutaj?

- Ależ skąd. Wynajęliśmy dla nich kwatery w mieście na okres przed ślubem i po nim, gdyby jednak chcieli, mogą zatrzymać się na dwa tygodnie w swoim leśnym Edenie. Ten ośrodek, Ribo, jest tylko dla nas, członków organizacji. Chodźmy! - Z wdziękiem gazeli wyskakuje z dżipa.

- Wspaniale. - Żeby nie być gorszą, Riba skacze na drugą stronę i wykręca sobie kostkę. Stara się nie zwracać uwagi na przeszywający ból i nasłuchuje. Wyobrażała sobie, że Morze Karaibskie będzie przypominało lagunę, ale nie. Mimo bezwietrznej pogody słyszy cichy, uporczywy szum fal uderzających o kamyki. Wyciąga rękę do córki, żeby pomóc jej wsiąść.

- Jesteś zmęczona, skarbie?

- Wykończona, mamó. Muszę się położyć. - Rzeczywiście, w nikłym świetle twarz Zeldy wydaje się popielata i Riba z największą ostrożnością sprowadza córkę z wysokiego stopnia.

- Zaraz was zamelduję i pokażę wam domek.

Kalifornica rusza przodem, a jej długie nogi pokonują odległość między samochodem a budynkiem recepcji mniej więcej w dwie sekundy. Czując złowrogie pulsowanie w kostce, Riba rusza za nią, podtrzymując Zeldę. Nie zamartwia się przesadnie znużeniem córki. Przecież mają za sobą wyczerpującą podróż. Brnąc powoli piaszczystą ścieżką, Riba stara się nie kuleć i rozgląda się na boki. Z uśmiechem kiwa głową dwóm kobietom, najwyraźniej mieszkankom ośrodka, siedzącym na ławce i pograżonym w cichej rozmowie. One również uśmiechają się w odpowiedzi i machają przyjaźnie. Pobyt zapowiada się fantastycznie - i z pewnością jest tu więcej ludzi. Ale gdzie jest Jay? Który dom należy do niego?

Przeprowadza Zeldę obok czegoś w rodzaju altany oplecionej bluszczem i dużymi kwiatami, stulonymi na noc, tak że nie widać, jakiego są koloru. Może to uroczyn albo jacaranda, myśli radośnie, rozkoszując się brzmieniem tych nazw.

Wchodzą do jednopokojowego domku, w którym na biurku stoi komputerowy terminal. Ów widok sprawia jej przykrość. Wtargnięcie nowoczesnej techniki do tego rajku jest dla Riby bolesnym zaskoczeniem - myślała, że tutaj, w miejscu wybranym przez Jaya, będzie panowała bardziej swobodna, naturalna atmosfera.

Z drugiej strony, dlaczego komputer miałby jej przeszkadzać? To po prostu nowoczesny wynalazek, pokrewnym telefonom i faksom, przeciw którym nie ma nic.

Sadzając Zeldę na zielonkawoniebieskim krześle, Riba stanowczo opiera się uczuciu zniechęcenia. Przecież to oczywiste, że potrzebują środków komunikacji.

- Gdzie są wszyscy? - pyta.

- W mieście z Jayem. - Amerykanka wystukuje coś na klawiaturze i wpatruje się w monitor.

- A więc pobierze się dziesięć par? - Riba zaczyna się trochę martwić, że Zelda już dłużej nie wytrzyma. Ma zamknięte oczy i głowa jej opada. Riba delikatnie podpira dłonią głowę córki. Zelda nie otwiera oczu.

- Aha. - Kalifornica odczytuje to, co wpisała do komputera. - To będzie fantastyczne, Ribo, nie mogłaś wybrać lepszego momentu. Zeldzie też się spodoba. A teraz, jak będzie z opłatą?

Pytanie jest wstrząsające w swej prostocie. Ribie nawet nie przyszło do głowy, że ona i jej córka mogą być na wyspie Jaya kimś innym niż honorowymi gośćmi. Wbija zdumione spojrzenie w lalkowatą twarz za monitorem komputera.

- Słucham?

Kalifornica uśmiecha się życzliwie.

- Gotówka czy karta kredytowa?

Rozdział 25

Film dokumentalny jest ciekawy i wciąga Sophie, więc gdy odzywa się drugi tej nocy dzwonek do drzwi, w jej głowie nie wirują już niespokojne myśli. Tym razem nie waha się ani chwili - trzymając nerwy na wodzy, wręcza pilota Donny'emu, który natychmiast wzmacnia dźwięk telewizora. Sophie pocieszająco klepie chłopca po ramieniu.

- Nic się nie martw, przecież cię nie zje. Nie pozwolę mu.

- Cześć. - Żółtawe światło ulicznej latarni wydobywa głębokie zmarszczki, które troska i zmęczenie wyryły na twarzy Briana. Mimo krzepkiej postury wygląda kiepsko, jakby dawno nie jadł porządnego posiłku.

Sophie nie ma litości dla samej siebie. Jest żoną najlepszego przyjaciela tego człowieka.

- Wejdz - mówi takim tonem, jak gdyby Brian po prostu spóźnił się na przyjęcie w gronie przyjaciół. - Oglądamy świetny film. - Zabrzmiało to bardzo rzeczowo. Ogląda się przez ramię na Donny'ego, który siedzi zgarbiony i czujny, wbijając spojrzenie w ekran. - Bądź dla niego wyrozumiały, Brianie, przeżywa trudny okres. Poza tym przyrzekłam mu, że nie będzie miał przykrości.

- Dzięki Bogu, że przyszedł tutaj. - Brian przekracza próg, strzepując krople deszczu z rękawów płaszcza. - Nie martw się, chcę tylko zabrać go do domu. Przykro mi, że zostałeś w to wplątana, Sophie, ale jak się okazuje, mam poważniejsze zmartwienia niż Donny. Przypuszczam, że już wiesz.

- Tak. - Sophie zamyka drzwi.

- Zamierzam polecieć za nimi - mówi cicho Brian, zerkając na syna, by się upewnić, że głośna ścieżka dźwiękowa filmu uniemożliwia podsłuchiwanie - gdy tylko załatwię najpilniejsze sprawy. - Wskazuje Donny'ego ruchem głowy.

- Mogę lecieć z tobą? - Sophie uświadamia sobie, że to nie do końca żart. Tak przyjemnie byłoby zostawić wszystko i spędzić tydzień w jakimś słonecznym miejscu. Choćby na cholernej Wyspie Palm.

- Mówisz poważnie?

- No nie, jasne, że nie. - Uśmiecha się. - Zresztą i tak mnie na to nie stać, nie w tej chwili.

Brian waha się przez moment. Patrzy w stronę Donny'ego, który ściszył telewizor, choć udaje pochłoniętego tym, co ogląda.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale jeśli chodzi o ciebie i Micka...

- Istotnie, to nie twój problem - przerywa szybko Sophie. - Przepraszam, nie zamierzałam być szorstka, ale nie chcę o tym rozmawiać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Oczywiście Michael mu powiedział. Albo Yvonne. Cały świat już wie, że Sophie Dolan została potraktowana przez swojego męża jak zużyta chusteczka do nosa. Nie może się jednak powstrzymać: - Od jak dawna wiesz?

- Od niezbyt dawna... - Chce coś dodać, lecz Sophie powstrzymuje go gestem. Jego natychmiastowa, szczerza reakcja świadczy, że Brian mówi prawdę. Tak czy inaczej, co by dało roztrząsanie sprawy? Ona zaś nie ma zamiaru się przed nim upokarzać, okazując, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Jej głos brzmi dziarsko, gdy pyta, jak przystało na panią domu:

- Napijcie się herbaty? A może kawy? Brian pojmuje aluzję.

- Nie, Soph, dzięki. Musimy wracać do domu. Jestem wykończony. - Podchodzi do syna. - A ten głuptas wstaje rano do szkoły. Na miłość boską, Donny, nigdy więcej tego nie rób. Nigdy. Jeszcze pół godziny i dzwoniłbym na policję. - Trzepie syna po uchu, lecz niezbyt mocno.

Donny sprawia wrażenie, jakby miał się znowu rozpłakać, ale to zaraz mija.

- Przepraszam, tato. - Wyłącza telewizor i wstaje.

Sophie po raz pierwszy zauważa, że chłopak niemal dorównuje ojcu wzrostem. To sprawia, że czuje się nieswojo. Zaczyna paplać, pragnąc, by obaj sobie poszli; mówi im, że teraz, po zamknięciu „Wild Places”, rozważa zajęcie się na serio fotografią.

- Świetny pomysł, Sophie, jesteś o wiele lepsza, niż ci się wydaje. Właściwie dobrze się stało, że zamknięto ten twój miesięcznik - komentuje Brian.

Czyżby jedyną osobą, którą zadowalała praca w „Wild Places”, była ona sama? Przypomina sobie o danej Nancy obietnicy znalezienia jej pracy w EconoCar.

- Pamiętasz Nancy? Poznałeś ją u nas na gwiazdkowym przyjęciu w zeszłym roku.

- Drobną kobietą z burzą włosów? Owszem, pamiętam. - Kwestia jej zatrudnienia budzi w nim wątpliwości. - W jej wieku, Soph? - Ulega, widząc jej wyraz oczu. - No dobrze, porozmawiam z nią.

Wreszcie wychodzą, a Sophie macha im wesoło, zamyka frontowe drzwi i opiera się o nie, słysząc oddalające się kroki, gdy ojciec i syn pośpiesznie maszerują do samochodu, by schronić się przed deszczem. Potem rozlega się trzask zamykanych drzwiczek, warkot uruchamianego silnika, milknący stopniowo i wreszcie znowu cisza - i samotność.

Sophie czuje gwałtowne zmęczenie, ale ponieważ wie, że nie zaśnie, wraca na miejsce, z którego wstała, gdy przyszedł Brian. Włącza telewizor. Otwarty Uniwersytet, matematyka. Coś niezrozumiałego, w sam raz dla niej w tym momencie.

Jakiś czas później, gdy zaczyna zapadać w drzemkę, słyszy ciche pukanie do frontowych drzwi. W pierwszej chwili myśli, że to z telewizora, później, że ma omamy słuchowe - ale pukanie się powtarza.

Zrywa się gwałtownie i w bojowym nastroju rusza ku drzwiom. Jeżeli Michaelowi się zdaje, że może teraz wrócić, merdając ogonem...

W progu stoi Brian.

Uniesionym ramieniem opiera się o drzwi i patrzy prosto na nią. Jest całkowicie opanowany, jak gdyby zjawienie się w jej domu o trzeciej nad ranem było w ich życiu czymś zupełnie normalnym. Nawet bruzdy na jego twarzy wygładziły się nieco.

- To nie ma sensu, Sophie. Mogę wejść?

Kołnierz płaszcza ma podniesiony, w jasnych włosach błyszczą kropelki deszczu. Sophie usiłuje zyskać na czasie.

- A co z Donnym? Zostawiłeś go samego?

- Donny śpi bezpiecznie w łóżku. Ma już czternaście lat, jak wiesz, wystarczająco dużo, by pilnować innych dzieci, może więc przez chwilę popilnować sam siebie. - Uśmiecha się ironicznie. - W zeszłym tygodniu sprawdzałem baterie w czujnikach przeciwpożarowych. W całym domu. Jeden jest na podeście tuż obok jego pokoju.

- W czujnikach? Brian, nie chodziło mi o...

- Więc mogę wejść?

Sophie musi podjąć decyzję. Może go zaprosić albo wyprosić - i jedno, i drugie będzie miało nieodwracalne skutki. Obydwoje stąpają po

bardzo kruchym lodzie. To będzie katastrofa. Bez sensu. Komuś stanie się krzywda. Może nawet wszystkim stanie się krzywda.

- Wejdz - mówi po prostu.

Mija ją w drzwiach, uważając, by się o nią nie otrzeć. Sophie wpatruje się w postrzępione płachty deszczu, które falują w żółtym świetle latarni, jakby i one były spóźnionymi gośćmi, ociągającymi się z przekroczeniem jej progu.

- Wiesz, co to oznacza?

- Wiem aż za dobrze.

Brian kopnięciem zamyka drzwi i bierze ją w ramiona. Szum deszczu cichnie, wszelkie dylematy tracą znaczenie, gdy jego usta przywierają mocno do jej warg. Czuje się lekka jak kłębuszek waty, jak gdyby oderwane fragmenty jej fizycznego ja unosiły się w podmuchach wiatru.

Docierają do kanapy i osuwają się na nią - a potem, kiedy wreszcie osiągną szczyt, Sophie nie odczuwa najmniejszego wstydu z powodu tej zdrady. To nie seks, nawet nie kochanie się - to całkowite spełnienie. Coś takiego było jej przeznaczone.

Jej własny, niepohamowany krzyk brzmi w jej uszach jak śpiew syreny.

On także wydaje przeciągły, chrapliwy jęk, przepojony ekstazą, którą w innej sytuacji można by pomylić z udręką.

Monotonnemu pluskaniu deszczu na zewnątrz wtóruje kap-kap wody z nieszczęlnego kranu w kącie niechlujnego pokoju Yvonne. Michael siedzi przy oknie, wpatrując się w ulicę oczyma pozbawionymi wyrazu. Za jego plecami Yvonne oddycha głośno przez sen.

Wymówiono jej mieszkanie - właścicielka wysłedziła, jak wchodził - więc, nie mając nic do stracenia, poszli do łóżka. Kochali się bez zapału, gdyż jego myśli nie przestawały krążyć wokół narosłych ostatnimi czasy problemów, ona zaś była marudna, niezadowolona i wymagająca. Potem, gdy ją zapytał, co jest nie tak, szturchnęła go w żebra.

- A jak myślisz? Przez ciebie nie tylko wpadłam w tarapaty, ale w dodatku muszę szukać mieszkania.

- Przynajmniej tego nie powinnaś żałować. To okropna nora. - Michael pomyślał ze smutkiem o chłodnych, czystych pomieszczeniach domu urządzonego przez Sophie.

- Mick, na miłość boską, nie rób takiej miny. To tylko moje hormony. - Zaśmiała się niefrasobliwie. - Lepiej się z tym pogódź. Jeśli, rzecz jasna, ciągle chcesz ze mną być.

Przytulił ją w odpowiedzi, żeby nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

Michael słyszy za sobą ciche chrapnięcie i szelest pościeli, gdy Yvonne przewraca się na drugi bok w wąskim łóżku. Ogląda się przez ramię: z otwartymi ustami i rozrzuconymi na poduszce włosami dziewczyna wygląda na jeszcze młodszą, niż jest, a jej zuchwałość gdzieś zniknęła. Powracając do kontemplacji zalanej deszczem ulicy, zaciąga się dymem z papierosa. Rzucił palenie ponad dziesięć lat temu i dzisiaj przy pierwszym papierosie omal się nie udławił, ale nie zrezygnował i dotychczas wypalił piętnaście - każdego następnego z większą łatwością niż poprzedniego.

Może im się ułożyć? Kto wie? On wie tylko, że nagły przyptyw opiekuńczych uczuć wobec przyszłego potomka po prostu zbił go z nóg. Jest to coś prawdziwego, coś, z czym nigdy się jeszcze nie zetknął. Coś, co kazało mu przekreślić dom, pracę, wszystko. Czas pokaże, czy ten zdumiewający stan ducha potrwa dłużej, ale po raz pierwszy w życiu Mick Dolan zamierza pójść za głosem instynktu.

Owszem, odtąd już zawsze będzie musiał żyć z zalegającym w głębi duszy osadem wstrętu do samego siebie. Zdradził Sophie, która - wbrew jego powierzchownym sądom o zadzieraniu nosa i tak dalej - jest dobrą, łagodną kobietą i marzy o dziecku. Gdy się dowie, będzie zdruzgotana, bardziej nawet niż jego odejściem, a zawiadomienie jej wydaje mu się najtrudniejszą rzeczą w życiu, czymś jeszcze gorszym niż wczorajsza koszmar na lotnisku. Jak sobie z tym poradzi?

- Hej! Gdzie jesteś? Wracaj do łóżka. - Zaspany głos Yvonne brzmi chrapliwie.

Michael parska śmiechem. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. W jego wypadku dosłownie.

- Co cię tak bawi? - Jest już niemal rozbudzona.

Michael unosi połówkę okna i wyrzuca niedopałek na zaśmiecony trawnik.

- Nic. Nie zrozumiesz tego.

- Może sprawdzisz?

- Jasne, że sprawdzę - Michael podchodzi do sfatygowanego łóżka, kładzie się i mocno przytula ją do siebie, usiłując wyczuć podbrzuszem, co się dzieje u niej w tym samym rejonie.

- Au! Przecież ja śpię. - Yvonne próbuje wysunąć się z jego objęć. Tym razem śmiech Michaela jest wymuszony, niepewny. Całując ją, uświadamia sobie, że ma wilgotne oczy. Nie zdarzyło mu się to od czasów dzieciństwa.

- No, chodź tu. - Wsuwa język w jej ucho, a potem wchodzi w nią delikatniej niż zwykle, bo zastanawia się przelotnie, jak dziecko zareaguje na tak bliską obecność ojca.

- Jezu, która godzina? Czy ty pracujesz na akord? - Ale odpowiada na jego pieszczoty.

Kiedy wije się pod nim i jęczy, Michael myśli, że powinien pójść po drugą paczkę papierosów. Rano będzie ich potrzebował.

Riba wpatruje się z niedowierzaniem w Kalifornię, która trzyma dłonie nad klawiaturą wciąż z tym samym, przyklejonym uśmiechem.

- Prze... przepraszam - bąka, a po chwili odzyskuje, choć nie w pełni, poczucie własnej godności. Gotówka czy karta, no rzeczywiście. Co ta kobieta sobie wyobraża? - Może porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Wyjaśnię tę sprawę z Jayem.

- Powodzenia, skarbie. - Niewzruszona Amerykanka śmieje się beztrósco. - Wiesz, jaki on jest, Ribo. Myśli tylko o sprawach duchowych, nie znosi tej parszywej papierkowej roboty, jak to określa. - Uderza w kilka klawiszy. - Oczywiście, że to może poczekać do jutra, nie ma problemu. - Wstaje od biurka. - Biedna Zelda jest już chyba u kresu sił. Pewnie po całej tej podróży chętnie byście wzięły prysznic. Chodźcie za mną. Przeznaczylimy dla was dalszy bungalow, gdzie jest naprawdę cicho i rano słychać tylko morze. - Śmieje się, chwytając dwie torby. - Wyśpij się dobrze, Ribo. Przez następnych kilka dni będzie tu panował spory ruch.

Rusza dziarskim krokiem, podczas gdy Riba pomaga Zeldzie wstać, z trudem opanowując chęć podziurawienia małą igielką gładkich, porcelanowych policzków Kalifornicy. Jest niemal równie zmęczona jak jej chora córka.

- Jeszcze tylko chwila, kochanie, a potem do łóżeczka. Czy to nie cudowne?

- Mamo, ja nie mogę iść. Naprawdę...

Ciało Zeldy, choć tak niewiele waży, staje się nagle ciężkie, ponieważ nogi przestały je podtrzymywać. Wysuwa się z objęć matki na ziemię i przyjmuje pozycję płodu, podciągając kolana.

- Monica!

Amerykanka porzuca torby i biegnie z powrotem.

- Boże, to okropne. Mam wezwać pomoc? Chcesz ją zawieźć do Szpitala? A może do tutejszej amerykańskiej kliniki? Mamy z nią dobre kontakty.

- Nie trzeba, ona przyjdzie do siebie. Jest po prostu bardzo osłabiona. Pomóż mi tylko zaprowadzić ją do domku. Zabrałam lekarstwa i wiem, czego jej potrzeba. Dostaniemy trochę pitnej wody z lodem?

- Ależ oczywiście, Ribo. W lodówce znajdziesz kawę, krakersy, owoce, zwykły zestaw dla gości. Aha, nawiasem mówiąc, mamy pewne trudności z obsługą, więc zechciej wybaczyć, ale nie będzie sprzątanina aż do dnia waszego wyjazdu. Zabierzmy ją do domku. - Pomaga Ribi dźwignąć bezwładną Zeldę na nogi.

Wyobrażając sobie przybycie do rajy, Riba widziała Zeldę przeobrażoną, jasną i radosną, nie taką...

Tłumi te defetystyczne myśli, gdy we dwie prowadzą jej półprzytomną córkę do bungalowu. To tylko chwilowa słabość. Zelda dobrze się wyśpi, a później czeka ją uzdrowienie. Tak będzie.

Gdy wchodzi do bungalowu, Amerykanka zapala górne światło. Pokój jest skromnie umeblowany, stoi w nim jedno podwójne łóżko i dwa pojedyncze, w rogu mieści się wnęka kuchenna, a za ścianą mała łazienka. Razem kładą Zeldę na podwójnym łożu, upewniają się, że leży wygodnie, po czym Kalifornica zniża głos do szeptu.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, Ribo, zawołaj mnie. Mieszkam w pierwszym domku na prawo od recepcji. Zajrzę później, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Dzięki, Monico. - Riba rozgląda się po pokoju. - Gdzie jest telefon? - Gdy skończy zajmować się Zeldą, będzie musiała stawić czoło Brianowi.

- Tu nie ma telefonów. - W głosie kobiety pobrzmiwa karcąca nuta. - W recepcji, owszem, ale nie w pokojach. Jesteśmy tu po to, by uciec od stresów, a nie, by je pogłębiać, nieprawdaż? Chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła? Albo możesz sama przyjść i skorzystać z telefonu naturalnie.

- Nie, nie rób sobie kłopotu. Dziękuję. Spokojnie mogę poczekać do jutra. - Brian będzie musiał uzbroić się w cierpliwość. Zna miejsce ich pobytu.

Po wyjściu Amerykanki Riba rozbiera Zeldę, obleka jej kruche, wychudzone ciało w koszulę nocną, którą spakowała do podręcznej torby, a potem podtrzymuje głowę córki i wsuwa jej do ust tabletki, jedną po drugiej. Wcześniej zrzuciła buty i terakotowe płytki przyjemnie chłodzą jej obolałe, spuchnięte stopy. Drażni ją jednak rwanie w kostce, a choć wiatrak pod sufitem zaczął się cicho obracać w chwili zapalenia światła, powietrze w pokoju jest ciężkie od wilgoci.

Gdy wszystkie pigułki znikają, Riba wyjmuje pojemnik na lód z zamrażalnika i schładza kostkami lodu trochę wody. Moczy w niej róg ręcznika, wyżyma i przeciera spocone czoło, policzki, szyję i klatkę piersiową córki, tak jak to robiła we wczesnym dzieciństwie Zeldy i Donny'ego, kiedy mieli gorączkę. Potem podciąga wyżej okrycie i całuje Zeldę na dobranoc.

- Śpij dobrze, kochanie, i niech ci się przyśni jutrzejszy dzień -szepcze. - Jutro będzie wspaniale.

Dziewczyna nie reaguje i już po chwili jej regularny oddech świadczy o głębokim śnie.

Riba z czułością gładzi jej policzek. Miłość do dzieci jest czymś tak zdumiewającym, tak nieoczekiwanym, zwłaszcza na początku; jest uczuciem przepojonym lękiem, ponieważ w chwili gdy opuszczają łono matki, są już dla niej stracone - mogą ulec wypadkowi, wybrać innych ludzi, zapragnąć oddzielnego życia, jak gdyby matka była ich wrogiem. Choć starasz się ufać i poddawać biegowi wydarzeń, zdradziecka wyobraźnia podsuwa ci wizje dzieci ginących pod kołami samochodu, dryfujących pod powierzchnią rzeki, kanału czy morza i sinych i martwych, wybałuszających puste, niewidzące oczy po przedawkowaniu heroiny. Nigdy jednak wyobraźnia Riby nie posunęła się do takiej grozy, jak powoli zabijająca choroba. Teraz również się przed tym cofa. Jutro, jutro, jutro - powtarza to słowo niczym mantrę, aby przekonać samą siebie, że nie popełniła fatalnej omyłki.

Dźwiga się na nogi i wsypuje resztkę lodu do ręcznika. Zbyt zmęczona, by rozpakować bagaże, zdejmuje nieświeże ubranie, owija kostkę ręcznikiem z lodem i wkłada nogę do plastikowej torby. Potem wsuwa się nago pod okrycie na jednym z pozostałych łóżek i patrzy w sufit, na trzy drewniane łopatki wiatraka, osadzone w mosiądzu. Ulga, jaką przynoszą, jest wprawdzie minimalna, ale przynajmniej trochę poruszają gęste, ciężkie powietrze. Właściwie powinna podejść do drzwi i zgasić światło, ale czy wtedy wiatrak nie przestanie działać?

Gdzieś w środku czuje narastające, obce jej przygnębienie i choć za nic nie chce nazwać tego uczucia, by go nie podsycać, musi przyznać, że sposób, w jaki ją przyjęto, nie tylko ją rozczarował, ale również nieco upokorzył.

Gdzie jest Jay? W porządku, może nie mógł przyjechać na lotnisko, ale dlaczego nie powitał ich w ośrodku? Riba powtarza sobie, że zapewne musiał załatwić jakieś bardzo pilne sprawy, wie jednak, że miał na to cały dzień. Podała mu godzinę przylotu i żaden lot nie był opóźniony.

No i jeszcze to pytanie: „gotówka czy karta?”. Czy ma tu być traktowana jak zwykła, płacąca za pobyt turystka?

Nigdy w to nie uwierzy. Nie przy tej szczególnej więzi, łączącej ją z Jayem. Nie, nie, nie, nie, nie! Z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie. Panna Długie Nogi po prostu się pomyliła - Jay, któremu jak zwykle uleciały z głowy przyziemne szczegóły, zapomniał ją uprzedzić. Kiedy Riba z nim porozmawia, on szepnie słówko Monice i wszystko się wyjaśni. Powinna zaczekać na niego i jak najszybciej omówić tę sprawę.

Mimo że zdołała stłumić obawy, Riba nie może wyzbyć się dotkliwego poczucia zawodu. Nie tak miało być. Nie tak, żeby znalazły się z Zeldą na końcu szeregu identycznych bungalowów, wśród czterech białych ścian, które - choć świeżo odmalowane - są zupełnie puste, jeśli nie liczyć portretu Jaya oraz listy pouczeń, jak postępować w razie pożaru. Nawet meble, fornirowane zagłówki, tandetne szafy, białe plastikowe krzesła i okrągły biały stół na zewnątrz wyglądają zupełnie jak w tanim pokoju hotelowym na którymś zatłoczonym europejskim costa.

Obydwie z Zeldą powinny z kwiatami we włosach iść bosą po czystym piasku na radosne spotkanie z Jayem. Powinny zamieszkać w kolorowym, pięknym pokoju, ozdobionym fascynującymi rękodzielami tubylców i okolonym werandą, z której można podziwiać zachody słońca nad ametystowym morzem.

Jay powinien patrzeć jej głęboko w oczy, zaglądając prosto w duszę i przynosząc pokrzepienie.

Riba uparcie przywołuje pierwotną wizję. Jest po prostu zmęczona i tyle. Dotrzyma obietnicy danej Zeldzie, a jutro w blasku słońca, gdy wróci Jay, wszystko będzie wyglądało cudownie.

Tuż przed zapadnięciem w głęboki sen na poły przypomina sobie, a na poły już śni o cici May i domu opieki, do którego dotarła po dwóch godzinach skomplikowanej jazdy przez zakorkowane miasto - o półkoliście ustawionych fotelach z zagłówkami, zajmowanych przez skurczonych staruszków w beznadziejnym stanie, ożywionych na jej widok. O ptasiej

twarży cioci May, z której wзираły podejrzliwe oczka, małe i ciemne jak porzeczeki, i którą ocieniał przekrzywiony papierowy kapelusz, umieszczony na głowie staruszki w najlepszych intencjach przez kogoś z personelu. O jej wzgardliwym potraktowaniu życzeń i wyrazów miłości Jaya. „Gdzie jest jego kartka urodzinowa, jeśli aż tak go to obchodzi?” - ciocia May była swego czasu nauczycielką i zachowała autorytatywny ton, typowy dla przedstawicieli tego zawodu.

W swoim półśnie Riba, świadoma, że słucha jej parlamentarne zgromadzenie wiekowych uszu, wyjaśnia - tak jak uczyniła to na jawie - że Jay naprawdę nie musi wysyłać kartek. Że moc zawarta w jego myślach i medytacjach przynosi skutki o wiele bardziej zbawienne niż kawałek kolorowego kartonu, sprzedawany dla zysku przez międzynarodową korporację. Ale ciocia May nie chce tego słuchać. Zaciska na ramieniu Riby chude, szponiaste palce, a jej drżący głos nabiera jadowitej energii.

- Baniałuki, duby smalone! Medytacje, akurat! Wyspa Palm! Co za bzdury! Dzięki Bogu, że jego biedna matka tego nie dożyła. Miał dobry fach, w Ameryce tacy fachowcy zawsze znajdują pracę. - Opada na oparcie fotela z jadowitym prychnięciem.

W senne marzenia wkrada się rzeczywistość, gdy z zewnątrz dobiegają odgłosy zatraskiwanych drzwiczek, śmiechy i przyciszone rozmowy. Zapewne wrócił Jay. Riba pragnie wstać z łóżka i pobiec mu na spotkanie, lecz coś ją powstrzymuje. Wykrzywione palce cioci May wczepiły się mocno w jej kostkę, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

Ściany rozstępują się nagle i Riba widzi Jaya, ubranego w żółto-białe szaty, krocącego w jej stronę. Jay rozpościera ramiona, a w jednej ręce trzyma młotek. Riba chce się uwolnić od cioci May, lecz szponiaste dłonie nie znają litości i im rozpaczliwiej próbuje się wyrwać, tym głębiej i boleśniej zaciskają się na jej kostce.

Jest tak wyczerpana, że sen w końcu zwycięża nad wszystkimi obrazami i doznaniem.

Leżąc z głową na piersi Briana, Sophie oczekuje miazdzącego poczucia winy i wyrzutów sumienia, lecz nic podobnego się nie pojawia. Przeciwnie, czuje się lekko, jest jej ciepło i wygodnie, jak gdyby kochanie się z mężem najlepszej przyjaciółki i odpoczynek u jego boku dla nikogo prócz nich nie miały znaczenia.

- Wiem, że to niemożliwe, zwłaszcza teraz, ale naprawdę szkoda. Żałuję, że nie polecisz ze mną. - Jego głos dudni tuż przy jej uchu.

- Postaraj się nie martwić. - Sophie muska go ustami. - Kto wie, może niesprawiedliwie oceniamy tego Streeta. W każdym razie Zeldzie przyda się trochę słońca i zmiana otoczenia.

Nigdy nie spała z innym mężczyzną niż Michael. Teraz przesuwa palcami wzdłuż spoconej piersi Briana, znacznie szerszej niż tors jej męża. Całuje złociste włoski, rosnące wokół jego sutków.

- Powiniennem już iść - Brian mówi szeptem, choć nikt prócz niej nie może go usłyszeć.

- Tak, chyba powinienes.

Żadne z nich się nie porusza i leżą na kanapie wtuleni w siebie niczym podwójny posąg, jeśli nie liczyć delikatnego ruchu palca Sophie.

- Myślisz, że to przez katastrofę? - Musi zapamiętać każdy szczegół, ponieważ ten ich pierwszy raz może być ostatnim. A może nie? - Czy to po prostu stan podwyższonej świadomości, spowodowany wspólnym traumatycznym przeżyciem? - Dobry Boże, myśli, mówię zupełnie jak Eily.

- Chodzi ci o nerwicę pourazową? - Brian śmieje się sucho. - Jeśli dzięki niej seks staje się tak wspaniały, to proszę o następną katastrofę.

- Nie mówisz poważnie.

- Oczywiście, że nie. Posłuchaj, Sophie, wiem, że to szaleństwo, obydwójce wiemy, ale nie roztrząsajmy sprawy. Po prostu cieszymy się tym, co jest. - Całuje ją z zadziwiającą delikatnością, zaledwie muskając ustami jej wargi.

- Masz rację - odpowiada Sophie i dodaje leniwie: - Ponieważ żadne z nas nie pali, może chciałbyś się czegoś napić? Mam chyba whisky, brandy i gin. A może piwo?

- Poproszę o whisky.

- Już podaję. - Cmoka go w policzek, wyplątuje się z jego objęć i rusza do kuchni. O dziwo, choć czuje jego spojrzenie, nie krępuje jej własna nagość; przeciwnie, pełen uznania wzrok wędrujący po jej ciele sprawia jej przyjemność.

Gdy czekali z Donnym na przyjazd Briana, przestawiła wskaźnik temperatury na piecu centralnego ogrzewania i nie chciało jej się ustawiać go na nowo, więc w całym domu panuje temperatura jak w piekarniku. Na dodatek deszcz odgradza ich od reszty świata, osłaniając chwilowo ich problemy.

Wyjmuje szklanki z suszarki, a gdy wraca z dwiema porcjami whisky, zastaje Briana w niezwyklej pozie. Jedną nogę opiera o poręcz, drugą zwiesza bezwładnie i wpatruje się z namysłem w wygasły kominek. Przy jego masywnych kształtach mógłby zostać modelem

jednego z tych wiktoriańskich malarzy, którzy ukochali mitologię; ktoś z pewnością wzięby go za Jowisza. No dobrze, Sophie wycofuje się z tego skojarzenia, owszem, przesadziła, ale i tak postanawia wszystko zapamiętać.

Słyszając, że wraca, Brian odsuwa się, by zrobić jej miejsce i natychmiast przyjmuje pozę zwykłego, dużego Briana. Jej kochanek. Sophie nie potrafi przejść nad tym do porządku.

Przez następne piętnaście minut obydwój milczą, otuleni jednym kocem i sącą wolno swoje drinki. A potem Sophie spogląda z roztargnieniem na kalendarz audi, o którym zapomniła, pakując rzeczy Michaela. Usunie to dzisiaj, najpóźniej jutro. Zauważa że podręczny zegar wskazuje za pięć czwartą.

- O Boże. - Zrywa się gwałtownie i szturcha Briana w żebra, -Wiesz, która godzina? Powinniśmy się wstydzić.

- Istotnie. - Przez chwilę sprawia wrażenie, jakby chciał ją pocałować i zacząć wszystko od początku.

- Nie - mówi stanowczym tonem Sophie, stawiając szklankę na podłodze. - Musisz być przy Donnym, kiedy się obudzi.

Całują się, lecz spokojnie, bo znają już nawzajem swoje usta. A potem nadchodzi jej kolej, by oglądać jego nagość, gdy Brian rusza po schodach do łazienki. Podobają jej się jego mocne nogi i szeroki kark, nie gruby, lecz umięśniony. Jak będzie wyglądał po pięćdziesiątce? Po sześćdziesiątce? Choć obaj są mniej więcej tego samego wzrostu, Brian - w przeciwieństwie do Michaela - zdaje się wypełniać przestrzeń.

Sophie pogrąża się w marzeniach. Jest w ciemni, dawniej znanej jako gabinet, i wywołuje serię zdjęć przed zbliżającą się wystawą. Słyszy zgrzyt klucza w zamku i - pozostawiając fotografie samym sobie, choćby nawet miały ulec zniszczeniu - zbiega na dół, by powitać w domu tego wysokiego, silnego mężczyznę.

Boże Wszechmogący! W myślach daje sobie klapsa, słyszając, że Brian wychodzi z łazienki. Naprawdę traci kontrolę nad emocjami.

Zjawia się w salonie już ubrany i gdy zawiązuje sznurowadła butów, Sophie czuje, że ten mężczyzna jej się wymyka. Przy drugim buciu jest już właściwie nieobecny. Sophie ma na końcu języka pytanie, kiedy się znowu zobaczą, lecz godzi się z tym, co nieuniknione, widząc wyraz jego twarzy, już nie tak szczery i otwarty jak przedtem, lecz zatroskany.

- Jedź ostrożnie. - Otula się mocniej kocem, choć nie jest jej zimno.

- Postaram się. - Po chwili wahania Brian dodaje cicho: - Wiesz, zamierzam zwolnić Yvonne choćby nie wiem co się miało dziać, bez względu na prawa pracownicze. Zrobię to dla ciebie.

Sophie tłumy odruch współczucia wobec dziewczyny, która straci pracę.

- Dziękuję ci. - Może później złagodnieje, teraz jednak cieszy się, że zostanie pomszczona.

- Nie powinienem go usprawiedliwiać i właściwie nie wiem, dlaczego to mówię, bo naprawdę uważam go za dupka, ale on nie jest w tej chwili zdolny do logicznego myślenia. Wpadł jak śliwka w kompot. Sama myśl, że po tylu latach będzie miał dziecko...

- Dziecko? - Ciepło zdaje się wyciekać z pokoju przez ściany; gardło i dłonie Sophie drętwieją jak na mrozie.

Brian wpatruje się w nią, wstrząśnięty. - Nic nie wiesz? Nie powiedział ci?

Rozdział 26

Po wyjściu Briana Sophie nagle zdaje sobie sprawę, że gapi się na denerwujący kalendarz, zawieszony przez jej męża nad kominkiem i proponujący grę „Znajdź audi” - żółty znaczek firmowy, ukryty wśród identycznie wyglądających taksówek w kamiennym wąwozie wieżowców Nowego Jorku. Oczywiście już dawno wypatrzyła właściwy samochód, więc gra jako taka straciła dla niej sens. Mimo to nie przestaje wpatrywać się w zwarte szeregi musztardowych pojazdów. Jak oni to zrobili? Zapewne zastosowali jakąś technikę komputerową zwielokrotniającą obraz, a potem podłożyli pod to nowojorską ulicę. Będzie musiała się nauczyć takich metod, gdy rozpocznie nowe życie jako adeptka sztuki fotograficznej.

Odrętwienie, które zaczęło się od dłoni i gardła, ogarnia całe jej ciało. Sophie widzi swoje jałowe łono jako ciemną, pustą jaskinię, pełną zamarzniętych porostów i skurczonych, na poły obumarłych grzybów.

Jej pierwszą reakcją na wiadomość o dziecku Michaela była zgroza - że Brian wie o tym, a ona nie. Oczywiście, to nie ma nic do rzeczy. Niemniej odtrąciła jego wyciągnięte ramiona.

- Nie, Brianie, lepiej jedź do domu. Proszę. Nic mi nie będzie. Po prostu chciałabym się położyć.

Wyszedł zdenerwowany i pełen poczucia winy, wymógłszy na niej obietnicę, że zadzwoni do niego, gdy tylko się obudzi.

- Chcę wiedzieć, czy z tobą wszystko w porządku. Proszę cię, Sophie. Wybaczysz mi?

- Co tu jest do wybaczenia? - Przezornie odsunęła się poza zasięg jego ramion. - Przecież to nie ty zrobiłeś jej brzuch.

A jednak nierozsądnie obwiniała posłańca przynoszącego złe wieści i mimo jego prób naprawienia wyrządzonej przykrości chciała, żeby sobie poszedł. Wreszcie, ciągle przepraszając, pojechał do domu.

Sophie wyciąga rękę i zrywa kalendarz ze ściany ruchem tak gwałtownym, że haczyk wylatuje razem z kawałkiem tynku.

Przy swoim zamiłowaniu do ładu i porządku zdaje sobie sprawę, że nie będzie mogła długo patrzeć na tę brzydką dziurę, zdejmując więc ulubiony pejzaż Charlesa Lamba z przeciwległej ściany, po czym - używając mosiężnej miseczki jako młotka - wbija z powrotem haczyk i zawiesza obraz na miejscu kalendarza.

Na ścianie, gdzie wisiał Lamb, powstaje luka. Sophie chwytą jedną z własnych akwareli i przymierza się do zawieszenia jej na miejscu pejzażu, lecz daje sobie spokój. Dochodzi piąta rano, a ona, zupełnie naga, wiesz obraz. Jest naga, cudzołożną, bezrobotną, opuszczoną, bezdzietną kobietą wieszającą obraz.

Sophie upuszcza akwarelę na podłogę. I tak jest to bezwartościowy bohomas. Zwiija się w kłębek na sofie i otula kocem, starając się zająć jak najmniej miejsca.

Leżąc w łóżku, Brian słyszy, jak otwierają się drzwi pokoju Donny'ego i chłopiec idzie do łazienki. Spogląda na fosforyzujące cyferki budzika. Dochodzi siódma - czas wstać, pojechać do pracy i podjąć niemożliwe wyzwanie.

Odwleka moment, w którym będzie musiał się zmierzyć z tym pochmurnym dniem. Odczuwa przemożne znużenie. W jego umyśle na przemian pojawiają się wizje córki leżącej wśród szczątków samolotu na wybrzeżu jakiejś bezludnej wyspy oraz wstrząśniętej twarzy Sophie, gdy wygadał się o dziecku.

Winiła jego, oczywiście. To naturalne, że poczuła się dotknięta, iż wiedział o wszystkim wcześniej niż ona. Ten jego długi język. Nie ma co wmawiać sobie, że Sophie i tak dowiedziałyby się prędzej czy później. Zachował się jak półgłówek, jak ostatni głąb i nie zdziwiłby się, gdyby nie zapomniała mu tego do końca życia.

Może i dobrze, że tak się stało. Trudno nawet wyobrazić sobie komplikacje, jakie mógłby spowodować romans z Sophie Dolan. Mimo to Brian wciąż pamięta delikatne linie jej ciała, zupełnie inne niż bujne kształty Eily, i czuje subtelny cytrusowy zapach, odległy o lata świetlne od wschodnich piżmowych perfum, którymi skrapia się jego żona.

Czy to typowe dla mężczyzn? Brian nie potrafi sobie wyobrazić, by Eily - czy jakakolwiek znana mu kobieta - wspominała seksualne zbliżenie, gdy wokół jest tyle osobistych dramatów i wstrząsów.

Jego pociąg do Sophie ma charakter nie tylko fizyczny... ale czy rzeczywiście? Skąd może wiedzieć, zważywszy na stan, w jakim się znajduje. Gdyby był, na przykład, beznogim żebrakiem siedzącym w ryszotku w Kalkucie, czy potrafiłby dokonać tak subtelnych rozróżnień? Historie miłosne to luksus, na który stać tylko ludzi zdrowych emocjonalnie i fizycznie.

A on sam? Ma ładny dom z wszelkimi nowoczesnymi udogodnieniami, dostęp do niezbędnych artykułów spożywczych, towarów i usług, porządną choć odrobinę stukniętą żonę i dwoje wspaniałych dzieci. Jeśli nawet jedno z tych dzieci jest skazane na przedwczesną śmierć, umrze z godnością i w komfortowych warunkach, nie w nędzy i bólu, a jemu i Eily pozostanie drugie, cieszące się doskonałym zdrowiem.

Nie mają jednak większego sensu próby strofowania się w duchu, że w porównaniu z ciężkim życiem biedaków z Trzeciego Świata jego sytuacja przedstawia się wręcz różowo. On sam wcale tak nie uważa.

- O Boże! - jęczy, przewracając się na łóżku i wciskając głowę między dwie poduszki, by uciszyć wirujące myśli. Mimo to gdy nasłuchuje, czy Donny nie wychodzi z łazienki, w jego głowie dokonuje się analiza katalogu problemów, rozwiązań, wyborów. Zbyt wiele problemów, żadnych rozwiązań, trudne wybory.

- Cholera! - Sprężyny protestują głośno, gdy Brian podrywa się do pozycji siedzącej i spuszcza zdrętwiałe nogi poza krawędź łóżka. Koniec z tymi bzdurami. - Wstawaj, McMullan

i weź się w garść. - Po drodze stuka w drzwi łazienki. - Hej, stary! Będę robił kawę, napijesz się?

Nie słysząc odpowiedzi, wzrusza tylko ramionami. Jest zbyt zmęczony i zatroskany, by dłużej nalegać. Zaparzy kawę, a Donny, jeśli zechce, może sobie nalać. Czy ci kanciarze na wyspie mają dość przyzwoitości, by o tej porze odebrać telefon?

Słuchając cichego perkotania ekspresu, Brian wertuje rozkład lotów - częściowo chcąc się oderwać od dręczących myśli, częściowo z przyczyn praktycznych, by wyszukać najkorzystniejsze połączenia z Wyspą Palm. Rozważa właśnie możliwości oferowane przez lotnisko Schiphol - propozycje linii KLM wydają się najmniej uciążliwe - gdy przez szum ekspresu do jego uszu dociera jakiś łoskot na górze.

- Donny!

Rzuca rozkład, wybiega z kuchni i pędzi na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Kiedy dzieci były małe, obydwójce z Eily zgadzali się co do jednej rzeczy: że najgorsze, co może usłyszeć ktoś z rodziców, to nagły łoskot lub głucho uderzenie, po którym zamiast płaczu następuje cisza. Przynajmniej pod tym względem sytuacja przedstawia się inaczej: hałasy dobiegające z pokoju Donny'ego świadczą, że lokator nie tylko żyje, ale wręcz kipi energią. Po prostu demoluje pomieszczenie. Brian popycha drzwi. Okazują się zamknięte od wewnątrz.

- Donny! - Uderza w nie pięścią. - Otwieraj natychmiast! Po krótkiej pauzie rozlega się okrzyk:

- Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju!

- Donny, przestań. - Brian ponownie wali w drzwi, za którymi słychać kolejne łomoty.
- Przestań, synu. Otwórz!

Znowu cisza, a potem ciężkie kroki i zgrzyt klucza w zamku. Drzwi uchylają się odrobinę.

- Czego chcesz? Mówiłem, żebyś mnie zostawił w spokoju. - Wyraz twarzy Donny'ego zdradza wahanie między agresją a rozpaczą.

Zmęczony mózg Briana wyostrza czujność. W tej chwili nadmierna surowość może wyrządzić szkody nie do naprawienia.

- Chcę się tylko upewnić, że z tobą wszystko w porządku. Strasznie tu hałasowałeś. Wpuścisz mnie?

- Nie. Idź sobie. Nic mi nie jest i w ogóle to nie twoja sprawa. Brian ma na końcu języka ciętą odpowiedź, że owszem, to jego cholerna sprawa, ponieważ to on zapłacił za

każdy przedmiot w pokoju, hamuje się jednak i cofa o krok, stwarzając pewien dystans między nimi.

- Nie wygłupiaj się, Donny, prędzej czy później będziesz musiał mnie wypuścić.

- Nie. To mój pokój.

- Cokolwiek zrobiłeś, nie będę cię gnębił. Ani prześladował. To dla nas wszystkich bardzo trudny czas.

Choć drzwi pozostają w tej samej pozycji, pojednawczy ton ojca wyraźnie zbija chłopca z tropu.

- Dostaniesz szalu.

- Nie dostanę, obiecuję. - Wyciąga rękę i przez szczelinę w drzwiach dotyka ramienia Donny'ego, jedynego oprócz głowy widocznego fragmentu jego postaci. Przeciera oczy i dodaje: - Nie opowiadam ci głodnych kawałków, naprawdę, ale daję słowo, że nie wiem, jakim cudem tak długo wytrzymałeś. Podziwiam cię, bo sam nie najlepiej sobie z tym wszystkim radzę. - Brian spogląda na syna. - Mówiąc szczerze, dostaję już od tego obłędu.

Donny otwiera usta, lecz zaraz je zamyka, walcząc ze łzami. Brian sam jest bliski płaczu, gdy patrzy na tego młodego głuptasa, tak przybitego, zagubionego i przerażonego, że chowa się jak żółw w skorupie.

- Musimy grać w tej samej drużynie - mówi miękko. - Proszę cię, synu.

Po krótkim wahaniu Donny spuszcza głowę i otwiera drzwi.

Rzeczywistość okazuje się gorsza, niż Brian oczekiwał. W ciągu niecałej minuty jego syn zdążył rozbić wszystko, co było do rozbicia i porzucić wszystko, co dało się ruszyć - jedynie łóżko, biurko i ścienna szafa pozostały nietknięte. Książki, papiery, pościel, ubrania i buty tworzą stertę na tym, co pozostało z ukochanej wieży stereo Donny'ego; roztrzaskał również krzesło, a choć komputerowy monitor i drukarka ocalały, klawiatura - najwyraźniej podrzucona w górę z wielką siłą - zwisa pod zwariowanym kątem z lampy pod sufitem, zaczepiona o kłosz. Powyrywał kable z kontaktów i rozdarł sztruksowy pokrowiec na jednej z wypchanych poduch, więc całe pobjowisko jest przysypane białymi kulkami.

- Och, Donny, twoje stereo... - Brian podnosi odłamany kawałek obudowy i pomimo obietnicy, że nie będzie się wściekał, z najwyższym trudem powstrzymuje się od gwałtownej reakcji. Jak teraz zachowałaby się Eily? Spokojnie, co do tego nie ma wątpliwości.

Wiedząc, że jest bacznie obserwowany, odwraca się do syna:

- Słuchaj, kiepsko to wygląda, ale pewnie nie jest aż tak źle, jak się wydaje. Chodźmy na dół. Później pomogę ci posprzątać.

- Przecież musisz jechać do pracy.

- Do diabła z pracą. Bywają ważniejsze sprawy. Chodź na śniadanie. Powinniśmy porozmawiać, ale tak poważnie. - Opuszcza pokój i schodzi na dół.

Dziesięć minut później siedzą we dwóch przy kuchennym stole, na którym stoi śniadanie w postaci kawy i tostów.

- Czy ona naprawdę umrze? - Ton chłopca jest wystudiowane obojętne.

Brian zdaje sobie sprawę, że wykrety nie mają sensu.

- Tak, Donny. Przypuszczam, że tak.

- Kiedy? - Donny nie odrywa oczu od talerza. - Czy jeszcze ją zobaczę?

- Zobaczysz ją - odpowiada cicho Brian, przysięgając sobie w duchu, że spełni tę obietnicę. - Choćbym miał popełnić morderstwo.

- Lecę z tobą.

Brian jest tak zaskoczony, że nie potrafi tego ukryć.

- Skąd wiesz, że zamierzam tam polecieć?

- Przecież cię znam. - Donny wzrusza ramionami. - Poza tym słyszałem, jak o tym mówiła cioci Sophie. Wczoraj w nocy.

Brian odchyła się na oparcie krzesła. Dla niego - co wydaje się absurdalne, zważywszy na wzrost chłopca - syn nadal ma cztery lata, a nie czternaście. Nie dziwi go samo podsłuchiwanie, bo wszystkie dzieci podsłuchują, lecz fakt, że Donny wyciąga wnioski jak ktoś dorosły.

- Nie możesz ze mną lecieć - mówi niepewnie. - To byłoby nierozsądne.

- Dlaczego? Jeśli nie polecę, zostanę tu sam. Nie boisz się, że rozwalę cały dom, tak jak przed chwilą mój pokój? - Donny znowu zaczyna się denerwować.

- Oczywiście, że nie. I nie zostaniesz sam. Tego bym ci nie zrobił. Umówimy się z kimś, może z cocią Sophie? Albo z Jamesonami?

- Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że w sobotę wybieramy się z Trevem do Anfield.

- O mój Boże - Brian, który zupełnie zapomniał o liverpoolskich rozgrywkach, uderza się dłonią w czoło. - Donny, bardzo cię przepraszam!

Jego syna nie interesują jednak żadne przeprosiny.

- Nikt nigdy o mnie nie pamięta.

Brian może się jedynie domyślać, jak głęboko sięga cierpienie tego dzieciaka. Niemniej jest przekonany, że podróż na Wyspę Palm wywarłaby na Donny'ego niekorzystny wpływ. Przynajmniej w tej chwili. Musi najpierw zbadać grunt, zanim narazi syna na

wstrząsy -w najgorszym razie ściągnie go później. Ale chłopak ma prawo wiedzieć o wszystkim.

- Dobrze - mówi cicho. - Możesz ze mną lecieć, bez problemu, to tylko kilka dni, żeby je tu ściągnąć z powrotem. Dzisiaj jest środa. Wrócimy wszyscy najpóźniej w przyszły wtorek.

Zmyśla na poczekaniu. Pomijając ewentualne obicie mordy Jayowi Streetowi i wyrwanie żony i córki z jego łap, nie ułożył szczegółowego planu działania. Nie wie nawet, jak długo tam zostanie - wbrew temu, co właśnie powiedział synowi.

- Z drugiej strony, szkoda byłoby przepuścić Anfield - odzywa się z namysłem, jakby właśnie się nad tym zastanawiał. - Tak czy inaczej, choć wiem, jakie to dla ciebie trudne, spróbuj się nie martwić - dodaje z nadzieją, że jego głos brzmi przekonująco. - Jeśli będę miał cokolwiek do powiedzenia, ona nie umrze ani dzisiaj, ani jutro, ani w tym tygodniu czy miesiącu. Zaufaj mi i posłuchaj, bo kto wie, może mama ma rację? Próbowaliśmy już wszystkiego, ale może ta metoda okaże się skuteczna? Ciepło i słońce mogą wywrzeć korzystny wpływ na Zeldę, a już na pewno nie zaszkodzą.

- Nie wypróbowaliśmy wszystkiego. - W oczach Donny'ego zapalają się iskry. - Zaczekaj. - Odbiega od stołu i zjawia się z powrotem po kilkadziesiąt sekund, dźwigając naręcze wymiętych i ponaddzieranych kartek wydruku. - Sprawdziłem każdą informację, która wiąże się ze szpiczakiem. Nie zrobiliśmy wszystkiego, tato. Spytaj cocię Sophie. Mówiłem jej o tym. Są nowe rodzaje terapii.

- Ale lekarze twierdzą...

- W tym właśnie problem. - Głos Donny'ego aż drży z emocji. - Ty w ogóle sam nic nie robisz, tato, tylko zostawiasz wszystko lekarzom. Irlandzkim lekarzom. Mam tu najnowsze wyniki amerykańskich badań. Czy przynajmniej rzucisz na nie okiem? Proszę cię, tato... proszę.

- Dobrze. Oczywiście, że przeczytam - Brian spogląda z przerażeniem na stertę pogniecionych kartek. - Jeśli zdołam je pozbiierać do kupy.

Donny nie zamierza zrezygnować.

- Są ponumerowane.

- Przeczytam je, obiecuję. A teraz najwyższy czas coś postanowić. Zacznijmy od tego, co najważniejsze. Czy czujesz się na siłach pójść dzisiaj do szkoły? A co do tej drugiej sprawy, podejmijmy szybką decyzję. Anfield czy cholerna Wyspa Palm?

- Mógłbym się zastanowić? - Traktowany jak dorosły Donny stara się sprostać wymaganiom. - To zajmie tylko kilka minut. Ubiorę się, a potem ci powiem. - Urywa. -

Przepraszam za ten pokój, tato. Nie musisz mi pomagać, sam wszystko posprzątam i zapłacę za szkody z kieszonkowego.

- Najpierw sprawdźmy, ile to będzie kosztowało - Brian uśmiecha się krzywo. - Zanim spłacisz choć część należności, będziesz starszy ode mnie.

Donny reaguje uśmiechem i nagle rumieni się gwałtownie.

- Naprawdę mnie podziwiasz czy tylko tak gadałeś?

- Naprawdę.

Chłopak waha się przez chwilę, a potem z okrzykiem: „Przeczytaj to koniecznie!” opuszcza kuchnię. Brian, wyczerpany do granic możliwości, zaczyna robić rachunek sumienia. Czyżby jego syn miał słuszość? Czy on sam zrobił wystarczająco dużo dla córki? Czy poruszył niebo i ziemię, by ją uratować?

Czy może - na zasadzie „lepiej nic nie widzieć i nie słyszeć” - okazał się do tego stopnia pozbawiony wyższych uczuć, że całą brudną robotę zrzucił na żonę i czternastoletniego syna?

Bierze pierwszą od góry kartkę ze sterty komputerowych wydruków i wygładza zagięcia. „Silnie działające aminobifostaty... inhibitory proteosomowe... czynnik wzrostu endotelicznego naczyń włosowatych... dostępne są obecnie leki hamujące tworzenie się nowych warstw śródbłonna, takie jak inhibitory angiogenetyczne... leki te są testowane w laboratoriach i wkrótce powinny zostać poddane ocenie klinicznej... bardzo obiecujące wyniki badań...”. Strona po stronie przerzuca informacje o „postępach w pracach badawczych”, szczepionkach i metodach leczenia, które zostaną wkrótce „poddane próbom klinicznym”.

Wpada mu w oko fragment wyraźnie zaznaczony jaskraworóżowym markerem: „Obecnie istnieje możliwość pobrania odpornych limfocytów T od pacjentów lub ich rodzeństwa i przysposobienia ich w warunkach laboratoryjnych do rozpoznania i niszczenia komórek szpiczaka. Tak przygotowane limfocyty T mogą następnie być wszczepiane pacjentom w celu wspomoczenia reakcji obronnych systemu immunologicznego przeciw komórkom nowotworowym...”.

Na końcu znajduje się adres kontaktowy dla zainteresowanych tematem.

Brian ponownie przerzuca strony wydruku, zatrzymując się od czasu do czasu, by rozszyfrować niektóre obce mu terminy, lecz nie znajduje niczego konkretnego - jedynie „zachęcające” wyniki badań, prognozy i nadzieje. To samo słyszał już wcześniej od lekarzy zajmujących się Zeldą.

Biedny Donny. Kluczowe słowa w tym wszystkim to „wkrótce, możliwość i obiecujące wyniki”. Nie pada żadna wzmianka o wyleczeniu, jedynie o poprawie jakości życia i szansach jego wydłużenia.

Przepełniony poczuciem winy, Brian zaczyna się modlić. Nie jest człowiekiem pobożnym ani nawet religijnym i wie, że stąpa po niepewnym gruncie, lecz jego modlitwa, choć egoistyczna, płynie, jak u dziecka, prosto z serca. Proszę Cię, Boże, wiem, że nie powinienem liczyć na ratunek dla Zeldy, ale niech Donny nie leci ze mną na Karaiby, bo i tak będę miał wystarczająco dużo spraw na głowie bez konieczności zajmowania się zbuntowanym nastolatkiem. I proszę jeszcze o jedną łaskę, Panie Boże. Przysięgam, że jeśli mi jej udzielisz, nigdy więcej o nic Cię nie poproszę. Jeśli chłopiec postanowi zostać i pojechać na mecz, niech nie zechce zamieszkać u Sophie. Jak ona, w jej sytuacji, dałaby sobie z nim radę? Nie powinienem był tego proponować, po prostu głupio palnąłem...

Wstaje od stołu. Modlić się w tej chwili? Zbyt dużo zważyło się na niego - zbyt wiele myśli, zbyt wiele emocji. Zanim kompletnie postrada zmysły, musi się zmobilizować przed czekającym go ważnym dniem. Zbiera pomięte kartki wydruku układa je starannie, a potem wstawia talerze i kubki do zlewu i odkręca obydwie kurki, hałasując przy tym niemiłosiernie - do tego stopnia, że nie słyszy kroków Donny'ego i wzdryga się gwałtownie, czując lekkie klepięcie w ramię. Syn stoi za nim, ubrany tylko w bokserki i podkoszulek.

- Już się zdecydowałem, tato.

- Szybki jesteś - Brian zakręca kurki.

- Zostanę, jeśli nie masz nic przeciw temu. To znaczy, jeśli naprawdę nie jestem ci tam potrzebny i będę mógł, jak mówiłeś, zobaczyć się jeszcze z Zeldą.

- Jakoś sobie poradzę, synu. - Dzięki Ci, Boże. - Nie o to chodzi, że nie chciałbym cię mieć przy sobie, oczywiście bardzo bym chciał, żebyśmy znaleźli się wszyscy razem, ale to nie wycieczka, tylko szybki przelot tam i z powrotem. Wiesz już, gdzie chcesz nocować?

Donny udaje, że się namyśla.

- Najwygodniej byłoby zatrzymać się u Trevora, nie sądzisz, tato? Skoro i tak obaj jedziemy na mecz...

- Dobra myśl. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Donny patrzy na poskładane kartki.

- Przeczytałeś je już?

- Tak. - Brian wyciera dłonie w ścierkę do naczyń. - Jeszcze o tym porozmawiamy, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to dopiero faza prób, z których tak naprawdę nic nie wynika? - Powstrzymuje się przed napomknięciem, że nigdzie nie ma mowy o skutecznym lekarstwie.

- Tak, wiem - Donny zaczyna się niecierpliwić - ale czy zwróciłeś uwagę na ten fragment o rodzeństwie, które może oddać swoje limfocyty? Amerykanie mają możliwości techniczne, tato.

- Wiem i obiecuję ci, że jeszcze przyjrę się temu dokładniej, zgoda? - Brian rozpaczliwie szuka sposobu, w jaki mógłby zawiadomić Donny'ego, że zdaniem hematologa ta terapia raczej nie pomogłaby Zeldzie,

- Obiecujesz? - Na twarzy chłopaka maluje się przejmujący wyraz nadziei i ulgi. - Jestem do dyspozycji, tato.

- Wiem. - Brianowi ściska się serce. Choć nie żałuje, że ukrył przed Donnym niektóre aspekty choroby i leczenia Zeldy, bo musiał przecież podjąć rodzicielską decyzję i ocenić, jak wiele dzieciak potrafi znieść, ten stos wydruków poruszył go do głębi. Ten chłopiec okazał się dojrzałszy, niż można było przypuszczać. Przeżywa chwilę wahania. - Usiądź, synu - mówi wreszcie.

Donny wykonuje polecenie, Brian zaś, z najwyższą niechęcią, siada naprzeciw niego i delikatnie tłumaczy to, z czym sam zdążył się już pogodzić: że w obecnej chwili badania, na które chłopiec tak liczy, są ściśle teoretyczne. I choć wiele z nich zapowiada się bardzo obiecująco - co do tego masz rację, Donny - obecnie jeszcze nie uzyskano żadnych wyników potwierdzonych i oficjalnie uznanych przez ministerstwo zdrowia jakiegokolwiek kraju.

Nie ma sensu tego ciągnąć, to zbyt stresujące dla nich obu; Donny zaciska usta i drży na całym ciele, a Brian z najwyższym trudem panuje nad własnymi emocjami. Donny najwyraźniej zrozumiał, że cokolwiek się zdarzy, dla jego siostry będzie już zapewne zbyt późno. Płaczący ojciec to ostatnia rzecz, jakiej mu potrzeba, więc Brian wstaje i odwraca się ponownie w stronę zlewu.

- Tyle wiem - rzuca przez ramię, starając się panować nad głosem, gdy podejmuje zmywanie. - Pewnie nie znam wyników najnowszych badań. Odtąd będę informował cię na bieżąco, przyrzekam. Zgoda? - Nie słysząc odpowiedzi, zbiera siły, by spojrzeć synowi w oczy. - Zgoda?

Donny siedzi sztywno, wpatrzony w stół. Brian ma ochotę porwać go w ramiona i ukołysać, jak w czasach, gdy chłopiec był malutki. Instynkt podpowiada mu jednak, że nie powinien tego robić - nie tylko dlatego, że w tym niewdzięcznym wieku Donny niewątpliwie odrzuciłby taki czułościowy gest, ale także dlatego, że chłopak sam musi przez to przejść. Nie da się oszczędzić mu tego cierpienia. Aby mu podsunąć konkretny przedmiot protestu, Brian zmusza się do zmiany tonu.

- Jest jeszcze jedna sprawa, synu - mówi beznamiętnie. - Czy moglibyśmy porozmawiać o przedwczorajszym wieczorze?

Podstęp się udaje. Donny podrywa głowę i czerwienieje.

- To było okropne, tato, wiem, ale przysięgam, że więcej czegoś takiego nie zrobię.

- Mam nadzieję. - Brian utrzymuje cierpki ton. - Muszę cię zapytać, czy tamtej nocy coś zaszło między tobą a Fiona? Jej rodzice bardzo się martwią.

- Co? - Rumieniec Donny'ego ciemnieje. - Co mówią?

- Nie atakuję cię, po prostu pytam, jak mężczyzna mężczyznę. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Nic się nie stało, tato, ale...

- Ale jeśli tak, to tego nie pamiętasz? Donny, którego twarz jest już purpurowa, kiwa potakująco głową.

- Nie będę ci prawil kazań, synu - w skrytości ducha Brian dostrzega ironię kryjącą się w tej sytuacji - i wierzę, że nic między wami nie zaszło, ale musisz uważać z tym cholernym alkoholem. Zniszczył wielu porządnych ludzi.

- Wiem, tato.

Rumieniec Donny'ego blednie i Brian dochodzi do wniosku, że należy już dać spokój. Widzi jednak, że chłopak chce jeszcze coś powiedzieć.

- Co jest? Strzelaj.

- W nocy zajrzałem do twojego pokoju, a ciebie tam nie było.

- No bo... poszedłem na spacer.

O Boże, zaczynają się kłamstwa. W dodatku Donny nie bardzo w nie wierzy. - O wpół do trzeciej nad ranem?

- Co w tym dziwnego? - Brian starannie składa ścierkę, zmuszając się do normalnego tonu. - Przez to wszystko, co się ostatnio dzieje, nie mogłem spać, kiedy przywiozłem cię do domu. Ja również jestem wytrącony z równowagi.

- Twojego samochodu też nie widziałem.

- Pojechałem do Dollymount. Spacerowałem po plaży.

- Rozumiem. - Donny nie podnosi oczu. Brian wstrzymuje oddech, patrząc, jak chłopiec z całej siły stara się mu uwierzyć. Wreszcie Donny spogląda mu w twarz. - No dobra! Zadzwoń do rodziców Trevora jeszcze przed południem?

Brian obejmuje syna i mocno przytula. Zakłopotany Donny nie odwzajemnia uścisku.

- Co cię naszło, tato?

- Przykro mi, że czułeś się taki osamotniony. Nie powinniśmy byli do tego dopuścić.

Chłopiec zaczyna się wyrywać, krzywiąc twarz.

- Tato, na miłość boską - jest teraz wyraźnie wzburzony - puść mnie, muszę zaraz wyjść do szkoły.

Odsuwa się, a potem wybiega z kuchni, podczas gdy Brian stoi nieruchomo, wstrząśnięty. Jeśli modlitwy tak szybko zostają wysłuchane, może powinien był jednak poprosić o uzdrowienie Zeldy.

Dźwięk telefonu budzi Sophie, śpiącą głęboko w kokonie z koca. Zegar wskazuje, że jest dopiero dwadzieścia po siódmej. Zdziwiona wpatruje się w żółtą tarczę: coś tu jest nie tak. Po chwili uświadamia sobie, że zamiast reklamowego kalendarza nad kominkiem wisi pejzaż Charlesa Lamba. Przytomnieje nagle, zupełnie jakby weszła pod lodowaty prysznic. Telefon nadal dzwoni. Sophie wyplątuje się z koca i podchodzi do aparatu.

- Słucham?

- Sophie? Mówi Michael. - Jego głos wydaje się zdyszany i stłumiony, jak gdyby zasłaniał dłonią słuchawkę.

Sophie, mimo wzburzenia, jest jeszcze zbyt zaspana, by przekazać mu przez telefon całą odczuwaną agresję.

- Czego chcesz?

- Czy możemy się spotkać? Musimy porozmawiać.

- Nie mamy o czym. - Senność opuszcza ją całkowicie.

- Proszę cię, Soph. Jesteśmy sobie nawzajem winni choćby kilka słów wyjaśnienia. Musimy przedyskutować pewną sprawę.

Sophie milczy. Czekwała na telefon od niego od kilku dni i nocy, a teraz nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć temu człowiekowi, zwłaszcza gdy dowiedziała się o dziecku. Mimo to jakiś pierwotny instynkt popycha ją do konfrontacji.

- Sophie? Sophie? Jesteś tam? - dopytuje się gorączkowo Michael.

Wewnętrzny konflikt przybiera na sile. Sophie nienawidzi Michaela szczerze i głęboko, a jednocześnie go kocha. Przynajmniej tak jej się wydaje - jeśli proste połączenie wzajemnej bliskości, przywiązania i przyzwyczajenia można nazwać miłością. Z drugiej strony, pamiętając jeszcze dotyk Briana McMullana, jak może być czegokolwiek pewna?

- Sophie?

- O której godzinie?

- Co powiesz na porę lunchu? Mogłabyś przyjechać na lotnisko?

- Nie ma mowy. - Wzbiera w niej gniew. Jak Michael w ogóle śmie proponować spotkanie na lotnisku, gdzie jego koledzy zaczną się z niej wyśmiewać za plecami lub, co gorsza, litować się nad nią? Ponadto Brian też tam będzie.

- No więc gdzie?

Sophie wychwytuje uchem szum płynącej wody. Czy Michael dzwoni z łazienki?

- Gdzie jesteś?

- Nieważne - ucina pośpiesznie. - Wyznacz miejsce. Będę mógł się wyrwać najwyżej na godzinę. Mam mnóstwo zaległych spraw do nadrobienia, bo wczoraj wziąłem wolne. Nie mogę sobie dzisiaj pozwolić na bumelkę.

- Regency - Sophie wymienia pierwszy hotel, jaki jej przyszedł do głowy, znajdujący się przy głównej drodze prowadzącej na lotnisko. Chyba zwariowała. Zmusza się do spokoju i umawia z Michaelem na pierwszą po południu.

Gdy się rozłączają, wraca na sofę i ponownie otula się kocem. Jej serce bije w przyspieszonym rytmie. Nie, nie kocha swego męża ani go nie nienawidzi. Teraz to ktoś bez znaczenia.

Nienawidzi świata. Nienawidzi tego całego uniwersum, które uczyniło ją bezpłodną, odebrało jej pracę i męża, a potem - w tym samym tygodniu - skłoniło do złamania przysięgi małżeńskiej.

Odczuwa przy tym dziką zazdrość. Przez tyle lat poddawała się bolesnym i kosztownym badaniom i kuracjom - i co z tego wynikło? Nic. A tymczasem taka panienska Leonard beztrząsco rozkłada nogi i od razu zachodzi w ciążę.

Sophie gorzko żałuje, że zapłaciła cygańskiej wróżce. Pomyśleć tylko, iż przez chwilę hołubiła w sobie myśl, że to ona sama może być w ciąży.

Podciąga kolana pod brodę. Nie będzie płakała i nie da za wygraną. Ma większe niż ktokolwiek na świecie - a już z pewnością większe niż Yvonne Leonard - prawa do tego dziecka.

Rozdział 27

Riba budzi się - podobnie jak oddalona od niej o tysiące kilometrów Sophie - z uczuciem dezorientacji. Choć jest przykryta tylko cienkim prześcieradłem, jej skórę pokrywa lepki, nieprzyjemny pot, swędzi ją głowa, a w powietrzu rozlega się cichy, miarowy szmer. Uświadamia sobie nagle, gdzie się znajduje. Jest na wyspie i słyszy szum fal, uderzających o brzeg w pobliżu bungalowu.

Zegarek Donny'ego pokazuje dwadzieścia minut po szóstej. Czy w Irlandii jest teraz dwadzieścia po drugiej czy dwadzieścia po dziesiątej? Zelda powinna przyjmować leki o

ściśle określonych porach, lecz zmęczenie spowalnia myśli Riby. Różnica wynosi cztery godziny do tyłu. Czyli teraz w Irlandii jest dziesiąta dwadzieścia.

Dźwignięcie się z łóżka wymaga wysiłku. Zerkając na Zeldę, śpiącą z rozchyłonymi ustami, uświadamia sobie, że właśnie tak jej córka będzie wyglądała po śmierci, zanim ją przygotują do trumny...

Skąd się biorą takie myśli? Riba otrząsa się z makabrycznych wizji. Co się z nią dzieje? Udało jej się dotrzeć tu, na rajską wyspę, ma Jaya w zasięgu ręki i wkrótce się z nim spotka. Jay dokona cudu i wszystko będzie dobrze. Skąd zatem bierze się ten nastrój przygnębienia?

Rusza pośpiesznie w stronę łazienki, wchodzi pod prysznic i odkręca kurki do oporu, zamierzając postać tam długą chwilę. Niestety, z sitka cieknie tylko wąż, brunatna strużka.

Trudno. Nie ma się czym denerwować. Tuż za progiem rozpościera się morze, a Zeldzie nic się nie stanie, jeśli zażyje lekarstwa pięć minut później. Riba nie otwiera nawet walizki, wciąga tylko na siebie bawełnianą koszulę nocną i przekracza próg, dotykając stopami piasku.

Jej samopoczucie natychmiast się poprawia. Świeże, chłodne powietrze owiewa jej spoconą skórę, a aksamitny błękit Karaibów, podkreślony śmietankową pianą fal, kontrastuje z bladoniebieskim niebem. Złamany jednym białym akcentem w postaci statku wycieczkowego stojącego na kotwicy mniej więcej kilometr od brzegu, rozciąga się aż po widnokrąg niczym zwierciadło. Cienka smuga różowych i łososiowych chmur zwiastuje rychły powrót słońca. Któż mógłby się czuć nieszczęśliwy w taki poranek? Bez wahania Riba rusza naprzód, dostrzegając, że plaża opada stromo w dół, tak że wystarczają dwie sekundy, by zanurzyć się w oczyszczających falach, które podpływają pod jej koszulę i unoszą włosy na głowie.

Wynurza się po chwili i kładzie na plecach. Cudowne uczucie, po prostu cudowne. Wielka misa nieba zdaje się ją ogarniać i pochłaniać, napełniając lekkością i swobodą. Nic dziwnego, że Jay wolał to niż skrajności klimatyczne Środkowego Zachodu. Nawet gdyby go nie znała, Riba byłaby gotowa natychmiast zamienić irlandzką mżawkę i zimową szarość na ten rajski ogród. Właśnie coś takiego Bóg przeznaczył człowiekowi.

Leniwym ruchem obraca głowę, by przyjrzeć się nowym krajobrazom. Dostrzega drobne białe sylwetki na pokładzie liniowca - to załoga szykuje się do przyjęcia pasażerów. Po tej stronie jedynym skrawkiem lądu w zasięgu wzroku jest górzysta, gęsto zalesiona wysepka, której zielone zbocza wydają się całkowicie bezludne. Z drugiej strony Riba widzi podobny gęsty las nad półkolistą plażą na Wyspie Palm, powyżej zaś nagi grzbiet góry.

Musi zatelefonować do Briana. Jak najszybciej. Gdy tylko skończy zajmować się Zeldą.

Jak poprowadzi tę rozmowę? Nie przygotowała się do niej. Może tylko powiedzieć, że zrobiła to, co uważa za najlepsze dla córki. Przecież tak jest, wbrew temu, co usłyszała od Sophie...

Uczucie błęgiego odprężenia zaczyna opadać, lecz Riba wciąż unosi się na falach, odwołując chwilę, gdy będzie musiała wrócić na ląd. Zauważa kobietę w jasnozielonym stroju, zmierzającą powoli z wiadrem i zmywakiem na kijku w stronę domku po przeciwnej stronie plaży. W pobliżu pojawiają się dwie czy nawet trzy osoby, z których jedna - mężczyzna, ubrany, jak się wydaje, wyłącznie w bokserki - wykonuje wymachy i skręty tułowia, wyprężając się, a następnie robi skłony w prawo i w lewo. Kalifornica miała słuszną intuicję, gdy napomknęła, że życie na wyspie zaczyna się wczesnym, rankiem.

Wtem dostrzega mężczyznę, zmierzającego zdecydowanym krokiem w stronę morza. Rozpoznałaby go wszędzie. To Jay Street.

Riba, której umiejętności pływackie są - łagodnie mówiąc - średnie, omal nie wpada z podniecenia pod wodę. Ma ochotę zawołać Jaya, ale nie przy tych ludziach. Dlatego po prostu w milczeniu obserwuje go, wchodzącego bez wahania w fale, które następnie rozgarnia spokojnymi, miarowymi ruchami. Jak gdyby na dany znak, słoneczne półkole wznosi się ponad horyzont, a spod cienkiego baldachimu obłoków wydobywa się srebrzystozłota smuga światła, padająca na wodę i obejmująca statek, który połyskuje niczym korab zesłany prosto z niebios. Oczarowana Riba zwraca twarz ku błogosławionym promieniom. Potem spogląda ponownie w stronę Jaya. Rozpalona wyobraźnia podsuwa jej wizję migotliwej smugi światła, które ściele mu się pod stopy.

Złudzenie trwa zaledwie pół minuty, a potem blask się rozprasza wzdłuż linii chmur i fal oceanu. Liniowiec powraca do wymiarów zwykłego statku pasażerskiego, a połyskliwe morze wygląda jak na obrazku w broszurze zachwalającej słoneczne wakacje. Jay zaś staje się zwykłym sprawnym pływakiem, odbywającym poranną kąpiel.

Tyle że nie jest ot, takim sobie pływakiem. Zmierza wciąż w stronę wschodzącego słońca i poza zasięg ludzkiego wzroku, lecz mimo to Riba odczuwa pokusę, by go zawołać - aby Jay, słysząc jej głos, odwrócił się z zaskoczeniem i radością i popłynął w jej stronę.

No cóż, w pewnej chwili będzie musiał się odwrócić, a ona zdąży się do tego przygotować.

Podpływa do brzegu i wygładza mokrą koszulę, naciągając ją na brzuchu i udach, by nie robić z siebie przedstawienia, w razie gdyby ktoś patrzył. Wraca pośpiesznie do

bungalowu, gdzie wyciera się ręcznikiem i cicho otwiera walizkę, z której wyciąga najmniej pomięty kaftan. Wkłada go, wyżyma włosy i przesuwa po nich grzebieniem. Upewnia się, że Zelda nadal śpi, i ponownie wymyka się z domku. Przysiada na granicy przypiływu, obserwując i czekając. Jay powraca, rozgarniając wodę zdecydowanymi ruchami ramion, powolnymi jak obrót koła.

Riba wie, w jaki sposób mu się ukaże - wilgotne ciemne włosy, schnące w podmuchach wiatru, kolana podciągnięte pod brodę i ukryte pod zieloną szatą, osłaniającą nogi i inne fizyczne niedoskonałości.

Dostrzega ją dopiero w chwili, gdy dotyka stopami płycizny i wstaje. - No, no! - Uśmiecha się szeroko, a na jego torsie połyskują krople

wody. - Spójrzcie tylko, co słońce nam dzisiaj przyniosło! - Otrząsając wodę z twarzy i uszu, wychodzi na brzeg i jednym silnym ruchem ręki podrywa ją na nogi. - Ribo, jak miło cię tu widzieć!

Pachnie solą i słońcem; nie zważając, że zamoczy jej ubranie, otacza ją ramionami.

- Cześć, Jay. Dawno się nie widzieliśmy. - Gdy Riba oddaje uścisk, reszta świata przestaje dla niej istnieć.

- Dobrze się czujesz? Obiecałaś, że zadzwonisz i nie zadzwoniłaś. - W głosie Briana pobrzmiwa gorączkowa nuta. - Właśnie miałem odłożyć słuchawkę. Na pewno nic ci nie jest?

Od telefonu Michaela Sophie siedziała bez ruchu, a w jej głowie kłębiły się burzliwe myśli. Zastanawiała się, czy podnieść słuchawkę, lecz telefon nie przestawał dzwonić, działając na nerwy.

- Wszystko w porządku, Brianie, nie martw się o mnie. Po prostu muszę się zmierzyć z pewnymi sprawami.

- Może się spotkamy? Na przykład na lunchu?

- Przepraszam, ale umówiłam się z Michaeliem - Sophie myśli z ironią, że ostatnimi czasy jest po prostu rozrywana.

- O, wybacz. - Brian wydaje się speszony. - Nie pomyślałem o tym.

- Może spotkamy się później, po południu? - Czy to naprawdę jej głos?

Brian ochoczo podchwytuje propozycję.

- Świetnie, świetnie. Może w Half-Way House... nie, chyba nie tam. - Usiłuje roześmiać się niefrasobliwie, lecz łamie mu się głos. Chrząka donośnie. - Wiesz, gdzie jest Brian Boru?

Half-Way House w pobliżu Phoenix Park to pub, do którego chodzili w czwórkę; Brian Boru na granicy między Philsboro a Glasnevin jest lokalem, który Sophie zna zaledwie pobieżnie. Nie powinna się umawiać z mężem Eily ani tam, ani nigdzie indziej. Mimo to słyszy własny głos, ustalający szczegóły. Słyszy starannie wyważone odpowiedzi ich obydwójga, zupełnie jakby spotykali się w Brian Boru regularnie, a to, co zrobili kilka godzin wcześniej, nie miało znaczenia.

Odłożywszy słuchawkę, Sophie stoi przez chwilę i spogląda na milczący telefon. Pod stolikiem leży jej but. Skąd tam się wziął? Rozgląda się za drugim do pary i dostrzega go pośrodku pokoju, tuż obok bluzki, którą miała na sobie poprzedniej nocy. Owija się kocem i obchodzi pokój, uprzątając rozmaite drobiazgi. Poprawiając poduszki na sofie, znajduje guzik od koszuli Briana i wszystkie wspomnienia powracają.

Sophie rumieni się po korzonki włosów, nie wiedząc, czy to ze wstydu, pożądania czy rozgoryczenia. Nigdy nie zrobią tego z Brianem po raz drugi. To jedno z postanowień, jakie podjęła, trzęsąc się z zimna i wściekłości na sofie.

Kto wie, co się zdarzy w przyszłości? Teraz obowiązki wobec Eily, Zeldy i Donny'ego przeważają nad cielesnymi pragnieniami czy romantycznymi wzlotami. To, co było, pozostanie dla nich miłym wspomnieniem, które ona zamknie w prywatnej szkatułce swego umysłu. Ból też tam zamknie.

Może to i dobrze, że zgodziła się na spotkanie, ponieważ powie mu, co postanowiła. Powinni być wobec siebie uczciwi.

Nie jest to jedyne postanowienie, jakie Sophie podjęła w ciągu tej godziny. To, czego doświadczyła, uświadomiło jej coś, co od lat usiłowała od siebie odsunąć - fakt, że podstawy jej małżeństwa legły w gruzach. Nie może za to winić wyłącznie Michaela, bo co ona sama ostatnio zrobiła? Czy w ogóle miała pojęcie, co czuje jej mąż? Rozczarowana własną bezdzietnością, maszerowała przez życie na oślep, niewiele widząc i słysząc, a czując jeszcze mniej.

Z popiołów, w których utkwiała dawna niezdecydowana Sophie, wyłoniła się teraz nowa, bardziej stanowcza i zdeterminowana. Ta Sophie ma pewne plany.

Przynajmniej tak jej się obecnie wydaje:

Czeka ją interesujący dzień.

- Chyba nie mówisz poważnie? Powiedz, że mnie nabierasz! - Oczy Collette są okrągłe ze zdziwienia i sceptyczne.

Yvonne, która znowu wzięła w pracy wolny dzień, z irytacją zaciąga się dymem z papierosa.

- Nie proszę cię o radę, Collette, po prostu chciałam pogadać. Czy możesz się, do cholery, zamknąć i posłuchać? Który już raz, kurna, pytasz mnie, czy nie żartuję. Odszedł od niej i teraz jest ze mną. Mówi, że mnie kocha, ale to pewnie tylko ze względu na dziecko. Dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Zostawił ją, bez dwóch zdań. Nie żartuję, wbij to sobie do tej swojej tępej głowy.

Collette, która aktualnie rozgląda się za nową pracą, dzięki czemu ma dużo czasu dla przyjaciółki, czuje się urażona. Chwyta torebkę.

- Jeśli tak podchodzisz do sprawy, to mam ciekawsze zajęcia.

- Przepraszam! - Yvonne natychmiast pokorniej. - To przez te hormony. Dostaję od nich świra. Słowo daję, Collette, przez większość czasu jestem nabuzowana... to muszą być hormony, no nie? I są chwile, kiedy mam ochotę pognać w te pędy do kliniki. Mówię ci, nie chciałybyś się znaleźć w mojej skórze. Nie życzyłabym czegoś takiego najgorszemu wrogowi.
- Zaciąga się głęboko, szukając w tym ulgi. - No więc przepraszam cię. Nie gniewasz się?

Udobruchana Collette pakuje do ust kilka chipsów.

- Nie ma o czym mówić, wszystko w porządku.

Siedzą w pubie Flowering Tide, gdzie panuje ruch typowy dla pory lunchu. Choć sama się do tego przyczynia, Yvonne wołałaby, żeby lokal był mniej zadymiony. To pewnie też wina ciąży. Nienawidzi tego stanu, tych dziwnych, sprzecznych uczuć, połączonych z kołącą się nadal w jej głowie myślą o aborcji. Zupełnie jakby znajdowała się na jakiejś cholernej huśtawce albo na łodzi pozbawionej wiosła.

Owszem, odpuściła wtorkowy lot do Londynu, ale to dopiero środa i jeszcze nie jest za późno.

- No więc, jak myślisz, Collette? - Wydmuchuje dym wysoko w powietrze, jakby dzięki temu mogła zmniejszyć panujący w barze zaduch. - Odbiło mi czy nie?

- Wiem, że to głupie pytanie, i nie urwij mi głowy, ale czy ty go kochasz?

Yvonne prychnęła.

- A niby skąd mam wiedzieć? Kiedyś wydawało mi się, że jestem zakochana w tym cymbale z Killiney, pamiętasz go? - Obie uśmiechają się na wspomnienie krótkiej, acz namiętej przygody miłosnej Yvonne ze studentem Trinity College, który uważał się za

trockistę, dopóki nie zawalił egzaminów na pierwszym roku, co pociągnęło za sobą utratę przywilejów. - Skąd to w ogóle można wiedzieć? - Yvonne poważnieje. - Mówi, że mnie kocha, ale naprawdę mam wrażenie, że chodzi mu nie o mnie, tylko o dziecko. Nawet nieźle się dogadujemy, tylko że między wspólnym życiem a małym bara-bara dwa razy w tygodniu jest jednak cholerna różnica. Do końca tego tygodnia muszę się wynieść z mieszkania.

- Pieprzeni właściciele,

- No. Mogą robić, co im się podoba, i nikogo to nie obchodzi.

- Właśnie.

Yvonne przypomina sobie, jak to jeszcze niedawno zdarzało jej się leżeć bezsennie w łóżku i rozmyślać o Micku i jego żonie, a nawet telefonować do niego. To chyba coś oznacza. Czy zachowywałaby się w ten sposób, gdyby nie budził w niej żadnych uczuć?

- Dobrze się czujesz? Chcesz jeszcze jednego drinka? - Collette wskazuje stojące przed nimi puste szklanki.

- Za chwilę. - Yvonne podąża za biegiem własnych myśli. - To naprawdę niezły facet i przystojny jak na swój wiek, ale... to znowu inna sprawa, Collette. Pomyśl tylko, ile ja mam lat, a ile on. Przecież Michael ma czterdzieć na karku! Ludzie pomyślą, że jest dziadkiem tego dzieciaka. Chciałabyś się pokazywać w towarzystwie dziadka?

Zastanawiają się nad tym przez chwilę. W pubie robi się coraz tłoczniej i Collette musi się nieco przesunąć, by zrobić miejsce dwóm nieco zużyтым adeptom szkoły teatralnej, przybyłym najprawdopodobniej z Abbey Theatre po drugiej stronie ulicy. Taksuje ich jednym szybkim spojrzeniem i ponownie zwraca się do przyjaciółki.

- No wiesz, w naszych czasach czterdziestka to jeszcze nie starość. Ważniejsze, że ty widzisz w tym jakąś szansę. Wiesz, co o nim myślę, więc nie musimy o tym rozmawiać. Chodzi o ciebie. Bo, na przykład, jak on zareaguje na pieluchy i tak dalej? Czy faktycznie przestanie się szlajać po barach i zawiezie cię na spotkanie Klubu Młodych Matek, zamiast odwiedzać nocne lokale przy Leeson Street? - Powoli kręci głową. - Prawdę mówiąc, zupełnie mnie zatkało, kiedy mi powiedziałaś, że on tak się przejmuje tym dzieckiem. Nigdy na to nie wyglądał.

- Też tak myślę. Niczego nie da się przewidzieć, no nie?

- A twoja rodzina? Powiedziałaś już rodzicom?

- Akurat! - prycha ponownie Yvonne. - Co im do tego, jeśli wolno spytać? Mogę sobie wyobrazić, co by powiedzieli, gdyby ojciec choć na chwilę wytrzeźwiał, a matka wyciągnęła głowę z piasku. Nawet mi o nich nie wspominaj. Ale chwila, moment - coś jej przychodzi do głowy - przecież my też będziemy rodziną, no nie? Sama to rozegram, pochwalę się

dzieciakiem i w ogóle. Pierwszy wnuk, powinni się tym przejąć, jak myślisz? Chyba się ucieszą?

- Pewnie. - Collette energicznie kiwa głową. - Bo przecież zaprosisz ich na Boże Narodzenie, na chrzciny, urodziny i tak dalej?

- Pewnie tak. Ale mnie, cholera jasna, też się coś należy. Jeśli się zgodzę, będę miała wesele jak z bajki.

- A ja moją sukienkę druhny. Słuchaj, cokolwiek postanowisz, lepiej zdecyduj się jak najprędzej. Czas ucieka. A on myśli, że wszystko już ustalone, tak?

- Chyba tak. Zaczął mnie inaczej traktować w łóżku. Delikatniej. Zupełnie jakby nie chciał uszkodzić dziecka. - Yvonne znużonym gestem gasi papierosa w stojącej przed nią popielniczce. - Niech to szlag! W górę, w dół, tu, tam, tak, nie, być może... Zupełnie nie wiem, co robić. Jak ci powiedziałam, w jednej chwili jestem młodą mamusią, a w następnej tą samą rozrywkową dziewczyną, co zawsze.

- A teraz? Jak się czujesz teraz? Powiedz od razu, bez namysłu.

- Jak nieodkryta Ibiza. Wymieniają skonsternowane spojrzenia.

- Musisz to i owo przemyśleć, Yvonne. - Collette zwiija w kulkę pustą torebkę po chipsach.

Yvonne ściska jej ramię.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś. Jesteś dobrą kumpelką.

- Nie ma sprawy. Chcesz jeszcze jednego?

Gdy Collette zamawia u kelnera następnego drinka, Yvonne uświadamia sobie, że nikt nie pomoże jej podjąć decyzji. Fajnie jest pogadać, ale myśli wciąż wirują, doprowadzając ją do obłądu. Nieważne na jak długo, dała się jednak zbajerować mężczyźnie, któremu bardzo zależy na dziecku.

I nie chodzi tylko o Michaela: im dłużej ma to dziecko w swoim łonie, tym częściej myśli o nim jako o żywej istocie, nie o problemie. Już po kilku dniach trudno traktować je jak coś, co można spuścić z wodą. Na pewno się zdenerwuje, jeśli zmieni decyzję - znowu te przekłete hormony - więc jeśli zamierza to zrobić, musi to nastąpić jak najszybciej.

Zerka na Collette, która mierzy poządlwym spojrzeniem znajomego faceta przy kontuarze. Yvonne go rozpoznaje: gra drobną rolę w mydlanej operze i faktycznie nadaje się do łóżka.

Cholera, nie ma z nią nic wspólnego! Jej zasada to opieranie się na konkretach. Przynajmniej na razie. Wtem coś przychodzi jej do głowy.

- Hej, Collette?

- Hmm? - Collette odwraca oczy od obiektu pożądania.
- Może to zegar biologiczny?
- Co?
- No wiesz... sam fakt, że o tym myślę.
- Na miłość boską! - Przyjaciółka parska śmiechem. - W twoim wieku? Dajże spokój.
- Rzeczywiście. - Yvonne się uśmiecha. - To tylko taka luźna myśl. Masz zupełną słuszność.
- Więc co zamierzasz zrobić?
- Przestań mnie naciskać. - Ale gdy pojawiają się ich drinki i obydwie wznoszą szklanki, wahadło nad głową dziecka w łonie Yvonne nie przestaje się kołysać.

W komfortowej sali barowej hotelu Regency również jest tłoczno. I ciemno - idealne warunki, by określić sytuację między Sophie i jej mężem.

Chwilowo sama - ponieważ Michael, zamówiwszy drinki, poszedł do toalety - unosi do ust szklankę wody mineralnej, lecz odstawia ją nietkniętą na stolik. Nowo zdobyta determinacja przetrwała przynajmniej dotychczas. Sophie nawet nie odczuwa złości, choć przed chwilą, gdy mąż wszedł do lokalu, wezbrał w niej nagły gniew. Zaraz potem doznała nieprzyzwoitej satysfakcji, widząc jego udreżoną twarz i cienie pod oczami. Bardzo dobrze, pomyślała bezlitośnie. Cierp, cierp jak najwięcej! Ale powitała go z chłodną uprzejmością.

Teraz, gdy Michael wraca do stolika, Sophie taksuje go spojrzeniem, jakby go widziała po raz pierwszy. Wysoki, dobrze zbudowany, lecz nie otyły, wygląda na swoje lata - ale nie starzej. W jego krokach można dostrzec pewność siebie.

Pewność siebie oszusta - wystarczy zauważyć jego rozbiegane oczy. Czy kupiłabyś używany samochód od tego człowieka? Gniew znowu wystawia głowę. To dobrze, myśli Sophie, dzięki temu nie zbczę z kursu. Musi jednak wziąć się mocno w karby.

- Widzę, że znowu zacząłeś palić?
- Mhm. - Siadając, kładzie na stoliku jednorazową zapalniczkę i dwie paczki papierosów. Jedna z paczek jest świeża i Michael przez chwile zajmuje ręce odwijaniem celofanu. - Posłuchaj, Sophie - zaczyna niepewnie - wiem, co czujesz, ale czy dasz mi jedną minutę? Wytłumaczę ci...
- Żadne tłumaczenia nie są potrzebne. Ani wskazane. Wszystko jest zupełnie jasne. - Sophie czuje napięcie mięśni u podstawy kręgosłupa, lecz prostuje się i przenosi ciężar na oparcie krzesła. Nie może dać mu poznać, jak bardzo jest zdenerwowana; musi zachować

spokój, by zrealizować swój plan. - Jeśli jednak koniecznie chcesz szukać usprawiedliwienia dla czegoś, co się nie da usprawiedliwić, to proszę, nie krępuj się. - Widzi, że jej lodowaty ton go onieśmiela. - No, mów - dorzuca z nadzieją, że zabrzmie to nieco bardziej pojednawczo. - Słucham cię.

- Wiem, że to zupełnie nieodpowiednia chwila na takie wyznania i nie będę miał ci za złe, jeśli zaraz wstaniesz i wyjdiesz, ale teraz, gdy jest już za późno, zrozumiałem, że nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kochałam ciebie.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Powiedziałem, że wiem, jak niestosownie brzmią moje słowa w tych okolicznościach, ale to, co robię, ma swoją przyczynę. Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co teraz usłyszysz, będzie dla ciebie bardzo przykre, Soph, lecz mnie również nie jest łatwo o tym mówić.

Ich fotele są ustawione prostopadle i Sophie, świadoma, że Michael się w nią wpatruje, odwraca oczy i spogląda na mosiężny kinkiet na ścianie nad sofą stojącą tuż obok. Nie zamierza mu niczego ułatwiać; byłoby to zbyt daleko idące ustępstwo. Zapada cisza, która wydaje się głośna; po chwili Sophie zaczyna dzwonić w uszach.

- Mów, słucham cię.

- Yvonne jest w ciąży. Będzie miała dziecko.

Te słowa ponownie nią wstrząsają, lecz zachowuje spokój. Obserwując Michaela kątem oka, zauważa, że gdy już wyrzucił to z siebie, oklapł i jak gdyby zmałał. Dziękuje Bogu, że była na to przygotowana.

- Rozumiem - mówi, odwracając głowę i patrząc mu w oczy. - Zakładam, iż jesteś pewien, że to twoje dziecko? Bo o ile mi wiadomo, ta mała dziwka sypia z kim popadnie.

- To ci się udało, nie ma co.

Widzi, że trafiła w czuły punkt, choć trochę żałuje swojej niewybrednej uwagi. Jest zbulwersowana własnym zachowaniem, lecz powoduje nią w tej chwili niczym nieskażony gniew, niemal upajający, trochę jak jazda na łyżwach na krawędzi przepaści z jednoczesną świadomością, że tor jest prosty i bezpieczny. Pozwala Michaelowi na kilkuminutowe, chaotyczne wyjaśnienia, gdy jednak wyrывa mu się, że zamieszkał z damą swego serca, ponieważ inaczej usunęłyby ciążę, Sophie ponownie doznaje wstrząsu.

- Nie mogę do tego dopuścić, Soph, to przecież moje dziecko.

- To oczywisty szantaż - przerywa mu - ale nie muszę ci tego mówić. W każdym razie możesz sobie darować dalszy ciąg, bo ja już wcześniej wiedziałam o dziecku. Wiem o nim od wczoraj. - Spokojnie sięga po szklanę, podczas gdy Michael gapi się na nią, oniemiały. -

Muszę przyznać, że nie zachwyca mnie fakt, iż jestem ostatnią osobą, którą o tym informujesz.

- Kto ci powiedział?

- Nieważne. To nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie...

- Żadnego. - Wbija w niego twarde spojrzenie. - Czemu nie zapytasz Yvonne?

Nigdy w życiu Sophie nie zachowywała się w ten sposób, lecz musi wypluć zuchwałe słowa, które wypełniają jej usta niczym piana.

Michaelowi trzęsą się ręce, gdy podnosi swój kufel, i gdyby nie musiała kontynuować tego, co zaczęła, byłoby jej go nawet żal.

- Oczywiście nie przemyślałam tej sprawy do końca, miałam zbyt mało czasu, ale chcę ci złożyć pewną propozycję.

- Co takiego? - Patrzy na nią, wciąż jeszcze zaskoczony.

- Propozycję. Wysłuchasz mnie? - pyta, aczkolwiek widzi, że cała uwaga Michaela skupiona jest na niej. - Mam silne przeczucie, że panna Leonard nie podziela twoich nowo odkrytych instynktów rodzicielskich. Przeciwnie, zważywszy na jej wiek oraz styl życia, podejrzewam, iż gdy tylko pojawią się pierwsze rysy na lśniącej budce dzieciennego wózczyka, czmychnie w siną dal, zostawiając cię z ręką w nocniku. Gra słów niezamierzona. - Sophie nabiera tchu. - Moja propozycja brzmi następująco. Niezależnie od tego, co nastąpi, nasze małżeństwo już nie istnieje, zdaję sobie z tego sprawę. Nie mieszkamy jednak w Anglii ani w Ameryce i jak zapewne wiesz, irlandzkie prawo nie pozwala ci rozwieść się ze mną przed upływem czterech lat. Jeśli nie wyrażę zgody, sprawa jeszcze się przeciągnie i może się okazać dla ciebie bardzo kłopotliwa. Bądź co bądź, pozostaję obecnie na twoim utrzymaniu. Nie mam żadnych kwalifikacji. O ile mi wiadomo, wysokość alimentów rośnie proporcjonalnie do stażu małżeńskiego. A my byliśmy małżeństwem przez prawie dwadzieścia lat. To nakłada na ciebie poważne zobowiązania, Michael. - Całą tę wiedzę zawdzięcza Nancy. Słuchała jej opowieści uważniej, niż jej się wydawało. Trochę ubarwiła swoje wyjaśnienia, ale tylko trochę i z pewnością nie w kwestiach zasadniczych. Rozwód po irlandzku, gdyby do niego doszło, daje jej przewagę.

Czuje satysfakcję na widok rozszerzających się oczu Michaela.

- Nie zrobię tego - podejmuje cichym głosem. - Obiecuję całkowitą współpracę. Dom, oczywiście, zatrzymam, ponieważ jednak zamierzam jak najszybciej znaleźć pracę, nie będę naciskała cię o alimenty. Przynajmniej nie na dłuższą metę. Pod warunkiem... - Zawodzą ją nerwy i musi napić się wody.

Michael wybałusza oczy, usiłując dojść do siebie.

- Nawet nie wspomniałem o rozwodzie, kto mówi o rozwodzie?

- Ja. - Sophie odzyskuje pewność siebie. Wypija jeszcze parę łyków. Bycie jędzą daje wiele satysfakcji, każda kobieta powinna tego spróbować przynajmniej raz. Wie, że później nie obejdzie się bez żalu i czarnych myśli, ale w tej chwili widok przerażonej twarzy męża sprawia jej przyjemność. - Chyba nie myślisz, że to małżeństwo ma szansę przetrwać? Czego się spodziewałaś po naszym dzisiejszym spotkaniu? Że zacznę płakać i prosić, abys wrócił do domu?

Michael kręci głową. Oczy ma nadal jak spodki.

- Nie, co to, to nie.

- Tak też przypuszczałam, uczciwie mówiąc. Zapewne wydawało ci się, że wszystko mi wytłumaczysz, a pocziwa stara Sophie jak zawsze zrozumie. Ale to nieważne. Oto, co proponuję. - Sophie mocniej obejmuje palcami szklanke. - Żeby zrzekła się dziecka zaraz po urodzeniu, a wtedy my je zaadoptujemy. Konkretnie, ponieważ jesteś biologicznym ojcem, tylko ja będę musiała ubiegać się o prawną adopcję. Nasze małżeństwo nie zostanie jeszcze rozwiązane, więc jeśli Yvonne wyrazi zgodę, władze nie znajdą żadnych podstaw do odmowy. Znowu Nancy.

- A potem - ciągnie - kiedy już uzyskamy wszelkie prawa do dziecka, nie będziesz miał wobec mnie żadnych obowiązków, aczkolwiek przypuszczam, że twój zdecydowany pociąg do ojcostwa skłoni cię do wspierania potomka. Możemy ustalić wspólną opiekę i twoje prawo do kontaktów, tak częstych, jak zechcesz.

- A jeśli ona się nie zgodzi?

- Zgodzi się, jeśli zaproponujesz jej pieniądze.

- Jakie pieniądze?

- Moją rekompensatę za katastrofę lotniczą. W całości. Podpiszę wszelkie konieczne dokumenty.

Michael pada na oparcie fotela.

Sophie odwraca głowę, dając mu czas, by to przetrawił. Tylko udaje spokój. W głębi serca pragnie dokopać ile wlezie i jemu, i tej jego dziwce. Jednocześnie bardzo się boi, że nie zdoła pokochać dziecka poczętego w tak bolesnych dla niej okolicznościach. Mimo to pragnie je mieć tak mocno, że to pragnienie wypiera wszystko inne. Gotowa byłaby w tym celu uwić miłosne gniazdko dla swojego męża i Yvonne, oddać im ostatnią koszulę, nawet własny dom. Ale nie zamierza ujawniać głębin własnej rozpaczki.

- No więc? - ponagliła chłodno. - Wiem, że to, co proponuję, może ci się wydawać nieco dziwaczne, ale taka sytuacja zdarza się nie po raz pierwszy. Czytałam o znacznie dziwniejszych rzeczach w tych brukowcach, które znosisz... które znosiłeś do domu.

- A jeśli ona jednak zdecyduje się przerwać ciążę? - Przynajmniej zaczął to rozważać; mówi ledwie słyszalnym szeptem.

- To już zależy od ciebie. Możesz jej powiedzieć, że w grę wchodzi pokaźna suma - improwizuje. Nie porozumiała się jeszcze z adwokatem i nie ma pojęcia, ile wyniesie jej odszkodowanie.

- A jeśli ona nie zrzeknie się dziecka? Jeśli zechce je zatrzymać?

- Nie przemyślałam tego do końca, Michaelu. Wydaje mi się jednak, że je odda. - Sophie patrzy na niego spod ściągniętych brwi. - I tobie chyba też tak się wydaje.

Rozdział 28

Jak tam podróż? - Jay, wyraźnie uradowany widokiem Riby, wypuszcza ją z mokrego, silnego uścisku. Stoją na samym brzegu migotliwego morza.

Riba z czułością zauważa, jak przejrzyste wydają się w blasku słońca jego zielone oczy.

- Świetnie, dziękuję. Widzę, że ciągle masz tę okropną mormońską fryzurę?

- Cóż mogę rzec? Ostatnimi czasy bardzo porządnie się prowadzę. - Rusza plażą w stronę domków i Riba musi podbiec, by dotrzymać mu kroku.

- Odwiedziłam ciocię May, tak jak prosiłeś. Twoje życzenia sprawiły jej wielką radość. Dała mi dla ciebie święty obrazek. Jak na swój wiek jest w doskonałej formie, nie uważasz?

- O tak, bez wątpienia. A jak się miewa twoja córka?

- Jeśli mam być szczerą, Jay - Riba ma lekką zadyszkę, lecz brnie z uporem przez miękki, syпки piasek - jest wyczerpana. To była męcząca podróż, ale teraz, gdy już tu przyleciała, wszystko na pewno ułoży się doskonale.

- Przyprowadź ją na śniadanie. To najlepszy posiłek dnia. Jadamy wspólnie, na pewno wam się to spodoba. Do zobaczenia.

Rusza biegiem, spod jego stóp tryskają fontanny piasku, a Riba zostaje z tyłu, łapiąc oddech.

W bungalowie Zelda budzi się długo i równie długo zażywa leki. Potem upiera się, że zatuszuje swoje wychudzenie, wkładając któryś z kaftanów Riby. Odrzuca jeden po drugim, aż wreszcie znajduje taki, który jej odpowiada. Riba powstrzymuje się od komentarza, że o wiele za duży kaftan zwisa niczym namiot na wieszaku - i zapewnia córkę, iż do twarzy jej w tym żywym, koralowym odcieniu, który pasuje do kapelusza w kolorze khaki, spakowanego w przyływie natchnienia i zastępującego teraz odwieczne chustki.

W końcu Zelda jest gotowa i gdy wychodzą prosto w blask słońca, rozgląda się, osłaniając oczy.

- Och, mamó, popatrz! - Wskazuje pasażerski liniowiec, przeglądający się w połyskliwej zielonej wodzie jak wysmukły, biały narcyz. - Jaki piękny statek!

- Tak, widzę. - Riba, usiłując powstrzymać łzy napływające do oczu, poprawia srebrną wstążkę na paczuszce z koszulą, którą kupiła dla Jaya na paryskim lotnisku. Warto było odbyć tę męczącą podróż: po raz pierwszy od bardzo dawna Zelda okazuje radosne podniecenie. Ujmuje rękę córki i wsuwa sobie pod ramię. - Któregoś dnia, kochanie, popłyniemy sobie na wycieczkę.

- A co tam leży? - Zelda wskazuje stertę drewnianych elementów, piętrzącą się na trawie.

- Nie mówiłam ci? Czekają nas bardzo miła uroczystość. W sobotę odbędzie się tu wspólny ślub dziesięciu par i uczta weselna. Jesteśmy zaproszone, Zel, to będzie ważne wydarzenie. Może potem przyjdzie kolej na ciebie? Może złapiesz bukiet jakiejś panny młodej?

- No tak, jasne! - Zelda robi żartobliwie gniewną minę. - Będę czekała z niecierpliwością.

Niewątpliwie jest dzisiaj w lepszej formie, myśli Riba, gdy brną powoli przez piasek w stronę miejsca, z którego dobiega przyciszony gwar. Utwierdza się - choć tak naprawdę wcale nie musi - w przekonaniu, że słusznie postąpiły, przylatując na wyspę.

Wkraczają na wąską ścieżkę między dwoma bungalowami i po chwili okazuje się, że głosy dobiegają zza kolistego drewnianego ogrodzenia o wysokości około trzech metrów, zbudowanego z pali, wyglądających jak przycięte słupy telefoniczne. Za bramą wejściową, w której bez trudu zmieściłby się słoń, Riba i jej córka widzą coś w rodzaju padoku. Pośrodku stoi długi stół na kozłach, a po obu jego stronach zasiada około dwudziestu osób o rozmaitych odcieniach skóry - przeważnie opaleni biali. I przeważnie płci żeńskiej.

Oczy Riby kierują się w stronę Jaya - ubranego w olśniewająco białą koszulę i luźne spodnie - który króluje u szczytu stołu, pochłonięty rozmową z piękną dziewczyną o orientalnym typie urody. Wydaje się, że ich nie zauważył.

Riba rusza ku niemu, prowadząc Zeldę, lecz wówczas cholerna Kalifornica zrywa się z miejsca i doskakuje do nich.

- Ribo! Zeldo! Witajcie w naszej bomie. Mój Boże, Zeldo, wyglądasz dzisiaj nieporównanie lepiej. Czyż nie cudowny mamy dzień? A nie mówiłam, Ribo? - Ujmuje Ribę mocno pod rękę i prowadzi ku środkowym miejscom przy stole. Siedzący przesuwają się uprzejmie.

- Tak, piękna pogoda. - Riba wysiłkiem woli powściąga irytację, uśmiecha się do zebranych osób i pomaga Zeldzie przekroczyć ławę, wsuwając jednocześnie paczkę z koszulą pod stół, żeby nie rzuciła się w oczy. - Jak to nazwałaś, Monico? Bo-coś tam?

- Bo-ma. - Kalifornica podkreśla sylaby ruchami pełnych, ponętnych warg. - To określenie pochodzi z południowej Afryki. Oznacza miejsce pod gołym niebem, gdzie się piecze upolowaną zwierzynę czy coś w tym guście. Ale naprawdę pasuje do naszej wyspy, nie sądzisz? W sobotę urządzimy tu ucztę weselną. - Podsuwa Ribie i Zeldzie miskę z sałatką owocową i paczuski z płatkami Kellogg's. - Smacznego! Pozwólcie, że was zapoznam z sąsiadami.

Riba przedstawia się ludziom siedzącym obok i naprzeciw niej przy stole, uśmiechając się i kiwając głową. Czuje lekkie ukłucie rozczarowania, że Jay dotychczas nie zwrócił na nią uwagi. Tłumi jednak emocje; dlaczego niby miałyby zostać wyróżniona? To oczywiste, że on nie może nikogo faworyzować.

Karci się w duchu za egocentryzm. Taki już jest Jay: zawsze sprawiedliwy. Teraz poświęca całą uwagę dziewczynie, z którą rozmawia. To jedna z cech jego charakteru, ta, którą posiadają tylko nieliczne jednostki, takie jak papież, Bill Clinton czy dalajlama. Gdy z kimś rozmawia, ta osoba czuje, że jest dla niego najważniejsza na świecie. Trzeba po prostu uzbroić się w cierpliwość.

Riba wdaje się w pogawędkę z nowymi znajomymi, którzy - jak odkrywa - w większości przyjechali z Kalifornii. Carmen, siedząca tuż obok po lewej stronie, wygląda niemal jak klon Moniki - blondynka o wydatnych ustach i żyrafich nogach, choć jej włosy nie są proste i gładkie, lecz skręcone w długie loki. Ona również uważa się za szczególnie bliską Jayowi i jest o niego zazdrosna.

- Jaka ty jesteś wysoka! Ile masz wzrostu? - Riba próbuje nawiązać przyjazny kontakt.

- Metr osiemdziesiąt dwa - Carmen błyska w uśmiechu rzędem idealnie białych koronek na zębach. - Jay lubi wysokie kobiety.

- Wiem - Riba odwzajemnia uśmiech. - I ciemnowłose. Jego mama była brunetką.

Carmen odwraca się do sąsiada po drugiej stronie. Riba, choć skruszona, odnosi wrażenie, że ta kobieta sama się o to prosiła. Nie wierzy, by jej kręcone włosy były dziełem natury. Podskakują przy każdym poruszeniu głowy. Ta kobieta jest żywą reklamą szamponu.

- Promienie słońca padają prosto na ciebie, kochanie. - Poprawia rondo kapelusza Zeldy. - Czy to nie cudowne?

Spotyka się z Jayem w cztery oczy jeszcze tego samego przedpołudnia, tuż po ułożeniu córki do drzemki. Odczuwa euforię. Widzi już u Zeldy wyraźną poprawę. Zjadła obfite śniadanie i Riba ma wrażenie, że nawet po tych kilku minutach - choć rondo kapelusza ograniczało dostęp słońca - blade policzki dziewczyny nabrały nieco koloru.

Wychodzi z bungalowu, zamierzając przemknąć się w jakieś ciche, słoneczne miejsce. Mrugając w oślepiającym świetle, dostrzega, że ślubne łuki zaczynają już tworzyć krąg, aczkolwiek - przypuszczała, że tutejszy ośrodek jest czymś w rodzaju komuny czy kibucu - zauważa teraz ze zdziwieniem, że przy budowie nie pracują jej znajomi, lecz mieszkańcy wyspy. Zapomina o nich na widok Jaya wyłaniającego się z recepcji.

- Jay! Zaczekaj chwilę!

Zaczyna biec, lecz po chwili zwalnia, nie chcąc, by dostrzegł jej niezgrabne łydki. W dodatku piasek i ból w kostce jeszcze ją wstrzymują.

- Riba! - Uśmiecha się do niej. - Powinienem chyba odwiedzić Zeldę?

- O tak, jeśli możesz! Wprawdzie teraz śpi, ale to tylko drzemka, zaraz ją obudzę. Och, Jay, tak się cieszę, że znalazłyśmy się pod twoją opieką! Teraz już wszystko będzie dobrze. Ale - zniża głos, choć tuż za ich plecami warczą mechaniczne piły - chciałabym o czymś z tobą porozmawiać, jeśli się nie pogniewasz. To sprawa osobista.

- Ależ oczywiście. Chodźmy do mojego biura.

Wprowadza ją do niewielkiego pokoju tuż za recepcją, umeblowanego nadzwyczaj skromnie: są tu stół, na którym leży wyłącznie kwadratowy terminarz, oraz dwa krzesła i puf

pokryty białym jedwabiem. Naprzeciw, na półce z książkami, stoją dwa tomy: Biblia oraz poprawne w skórę wydanie „Tybetańskiej Księgi Żywych i Zmarłych”. W oknach nie ma szyb, a powietrze wydaje się czyste i świeże, zupełnie inne niż w jej bungalowie.

- Tu jest cudownie, Jay. Czy to tu medytujesz?

- Czasami, ale najczęściej w domku na plaży.

- Och, bardzo bym chciała zobaczyć ten domek! - Zawiesza głos, oczekując zaproszenia, które jednak nie pada. Po chwili podejmuje: - Mam nadzieję, że zaszło tu jakieś nieporozumienie, Jay. Chodzi o pieniądze. Monica myśli chyba, że jesteśmy... och, doprawdy nie wiem, co ona myśli! Wyobraź sobie, że spytała, czy płacimy gotówką, czy kartą kredytową! - Riba wybucha śmiechem, traktując to jako żart, by zaoszczędzić Jayowi zażenowania z powodu nietaktu popełnionego przez jego pracownicę.

Ale jej śmiech szybko cichnie. Coś tu jest nie w porządku. Zamiast jej zawtórować, Jay patrzy na nią, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- Te sprawy zostawiam dziewczętom - mówi cicho. - Nie wtrącam się. - Po chwili wahania dodaje: - Ponieważ jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi, Ribo, powiem ci, co zrobię... ale nikomu o tym nie mów, bo mnie zabiją. Zaproponuję ci połowę najniższej ceny, dwanaście tysięcy za was obie. Z dziewczętami jakoś sobie poradzę. Oczywiście nie musicie pilnować dwutygodniowego terminu, parę dni więcej to nie problem. - Śmieje się. - Ale żadnych zwrotów, jeśli wyjedziesz wcześniej!

Od początku przepadała za jego swobodnym, głębokim śmiechem. To on nauczył ją się śmiać, wydobywać z głębin własnej duszy Boży dar radości. Mimo to, podobnie jak on sam wcześniej, teraz ona nie rozumie żartu i wpatruje się w Jaya, zupełnie zbita z tropu.

- Myślałam, że będziemy twoimi gośćmi. Zaprosiłeś nas... wydawało mi się... - Milknie, uświadamiając sobie, że to ona popełniła gafę.

- Oczywiście, że was zaprosiłem, lecz masz słusność, zaszło tu pewne nieporozumienie. Sądziłem, że wiesz, na czym opiera się nasza działalność tutaj, na wyspie. Nie jesteśmy instytucją charytatywną. - Jego melodyjny, fascynujący głos, zmiękczający spółgłoski w sposób typowy dla amerykańskiego Środkowego Zachodu, brzmi kojąco. - Nawet sobie nie wyobrażasz, Ribo, ile wszystko kosztuje w takim miejscu jak to. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, ale sama woda i kanalizacja. .. Och, Boże! - Wzdycha lekko. - Nie cierpię rozmów o pieniądzach. Powiem Monice i Carmen, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i uzgodnimy to między sobą, dobrze? Nie muszą znać szczegółów. Najlepszym rozwiązaniem będzie chyba czek wystawiony na moje nazwisko.

Riba może mu tylko przytaknąć. Rozpaczliwie próbuje nadać sens całej tej sytuacji. Mimo wszystko przecież to ona się pomyliła, wyciągnęła niemądre, pochopne wnioski. To oczywiste, że Jay ma rachunki do zapłacenia. Wystarczy spojrzeć, ilu miejscowych zatrudnia. Ci ludzie nie pracują za darmo.

Chyba oszalała, zakładając, że będą tu siedziały na jego koszt, jak pasożyty. Pięćdziesiąt procent to niezła oferta. Naprawdę niezła. Właściwie wspaniała, niezależnie od punktu widzenia. To będzie ich tajemnica, strzeżona przed tą Gorgoną i jej podobną do Meduzy koleżanką.

- Dziękuję, Jay. - Riba rozciąga usta w szerokim, wymuszonym uśmiechu. - Niestety, nie mam przy sobie książeczki czekowej. - Przynajmniej Jay wykazuje amerykańską prostoliniowość, gdy chodzi o pieniądze. Gdyby znajdowali się w Irlandii, krążyliby wokół tematu.

- Ribo - pochyła się ku niej nad biurkiem, wciągając ją w zieloną głębię swych oczu - od kiedy my się znamy?

- Od dawna. - Riba szybko dochodzi do siebie. Żadna cena nie jest zbyt wysoka, gdy w grę wchodzi zdrowie Zeldy. - Dziękuję ci - powtarza.

Jay odchyła się na oparcie krzesła z miną wyrażającą lekki niesmak.

- Dobrze, że mamy to już z głowy. - Wstaje i płynnym ruchem zgarnia książki z półki. - Odwiedzimy Zeldę?

Na zewnątrz świeże, wonne powietrze przywraca Ribie dobry humor. Szybki krok Jaya zmusza ją do truchtu, gdy mijają pracującą ekipę i kierują się w stronę bungalowu.

- Co tam słychać w Irlandii? - pyta Jay.

- To i owo się zmieniło, ale nie mogę narzekać. Podobno nie ma bezrobocia, gospodarka rozkwita i tak dalej.

- Naprawdę muszę znaleźć czas, żeby wkrótce odwiedzić ten kraj. Ale ja kocham słońce, Ribo. Nie wyobrażasz sobie, jakie bywają zimy w Chicago! Nade wszystko pragnęłam wyrwać się stamtąd. A teraz trudno mi zostawić to wszystko. - Leniwym ruchem ręki ogarnia swoje małe, słoneczne, morskie i piaszczyste królestwo.

- Rozumiem cię, Jay. - Riba, wyczerpana tempem marszu, potyka się o przysypany piaskiem kamień. Jay wyciąga ramię, by ją podtrzymać. - Dzięki.

- Nie ma za co. - Jay podejmuje szybkie tempo. - W przyszłym miesiącu mam wygłosić cykl odczytów dla członków naszej organizacji w Kanadzie. Mój Boże, to prawie Arktyka! - Na widok jego miny Riba parska śmiechem.

Są już niemal przed jej bungalowem.

- Który z tych domków należy do ciebie?

W odpowiedzi Jay wskazuje gestem strome urwisko, osłaniające brzeg od zachodu.

- Żaden. Mieszkam w domku na plaży, tam jest miło i spokojnie.

Nie rozwija tematu i Riba, jak przedtem nie czuła się zaproszona, tak teraz nie czuje się uprawniona do zadawania dalszych pytań.

Gdy dochodzą do drzwi jej bungalowu, Jay zatrzymuje się tuż przed progiem.

- Jeszcze jedno - mówi cicho. - Muszę wyznać, że na widok Zeldy przeżyliśmy wstrząs, choć Monica mnie w pewnym stopniu przygotowała. Mówiłaś nam, że jej stan wyraźnie się poprawia.

Riba marszczy brwi.

- Bo tak jest. Zwłaszcza dzisiaj odniosłam wrażenie, że nastąpiła znaczna...

- W takim razie rzućmy okiem, dobrze? - Jay zwraca się ku drzwiom z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

W ciemnym pomieszczeniu, w którym unosi się nikła woń lawendy z olejków i mikstur Riby, obecność Zeldy zdradza jedynie niewielkie wybrzuszenie pod przykryciem, przywodzące na myśl świeżo przysypany grób. Dziewczyna oddycha szybko i płytko.

- Obudź się, kochanie - Riba kuca obok łóżka. - Przyszedł Jay. Chce zamienić z tobą kilka słów.

Zelda powoli otwiera oczy, a Riba, widząc jej wysiłek, jest bliska paniki. To, co przed chwilą powiedział Jay, wytrąciło ją z równowagi.

- Możesz usiąść, skarbie?

- Wolałbym porozmawiać z Zeldą sam na sam, Ribo - odzywa się Jay zza jej pleców - jeśli się zgodzisz.

Riba nie do końca się zgadza, lecz pomaga córce unieść się do pozycji siedzącej i zostawia tych dwoje samych. W końcu Jay wie najlepiej. Przed wyjściem zabiera prezent, który dla niego przywiozła. Chce mu go wręczyć w cztery oczy i widzieć jego zachwyty.

Cicho zamyka drzwi, siada na jednym z plastikowych krzeseł, kładzie paczkę na kolanach i obserwuje małe pasażerskie łódki, śmigające między liniowcem a jakimś portem na wybrzeżu. Widzi rzędy głów w łodziach kursujących tam i z powrotem. Próbuje sobie wyobrazić oczekiwania turystów. Niektórzy mają naprawdę łatwe życie. Opłacają biuro podróży, które zapisuje ich na dwutygodniową wycieczkę i koniec, kropka. Kiedy ostatnio sprawy przedstawiały się dla niej tak prosto?

Otrząsa się z tych cikliwych bredni, zamyka oczy i poddaje swą wygłodniałą irlandzką twarz słonecznym pocałunkom. Właśnie tak to sobie wyobrażała: Jay i Zelda w domku, ona

przed drzwiami, a kilka kroków dalej zielonkawoniebieskie, szemrzące fale, które leniwym ruchem wyginają grzbiety ku niebu.

Nie słyszy, jak Jay wychodzi, i dopiero jego dotknięcie wyrywa ją z zadumy.

- No i jak? - Badając spojrzeniem jego twarz, podsuwa mu krzesło. - Co myślisz?

Jay siada obok niej, kładąc sobie na kolanach Biblię i tybetańską księgę w równym, geometrycznym układzie.

- Porozmawialiśmy sobie, a potem zasnęła. - Nieoczekiwanie wyciąga ręce i ujmuje jej twarz obiema dłońmi. Czując jego silny, ciepły dotyk, Riba w uniesieniu zapomina o wszystkim i dopiero następane słowa sprowadzają ją na ziemię.

- Wysłuchaj mnie, Ribo - mówi Jay łagodnym tonem. - Myślę, że należy ją przenieść do kliniki. To bardzo dobry, nowoczesny szpital i zajmą się nią tam, jak należy.

Riba wlepia w niego oczy; jego głos nabiera głębokiego, niemal hipnotyzującego zabarwienia, takiego jak podczas wykładów i kursów. Jego palce zdają się wpijać w jej skórę jak w miękką glinę.

- Jest bardzo chora i pozostawienie jej tutaj byłoby postępowaniem nieodpowiedzialnym. Jesteśmy, oczywiście, przygotowani do udzielania pomocy w nagłych wypadkach, ale nie zatrudniamy personelu medycznego przez całą dobę.

Ze względu na Zeldę i samą siebie Riba zbiera siły i odpycha jego ręce.

- Nie! Przebyliśmy z Zeldą tak daleką drogę i przecież dopiero co przyleciałyśmy. Sam nas zaprosiłeś. Wyraźnie powiedziałeś przez telefon, że spróbujesz jej pomóc. - Mimo determinacji wzbiera w niej panika, ponieważ stoi przed nią człowiek, który był ich celem, ostatnią deską ratunku. W jej głosie pojawia się błagalna nuta. - Przede wszystkim jest zmęczona. Daj jej kilka dni, proszę.

- To twoja córka - odpowiada Jay łagodnym tonem - i znasz ją lepiej niż ktokolwiek z nas, więc zaczekamy dzień czy dwa. Oczywiście dołożymy wszelkich starań. Poświęcę jej całą moją dzisiejszą medytację. Jedno tylko musisz zrozumieć, Ribo. - Ujmuje jej dłoń. - Nie może tu przebywać podczas uroczystości weselnych.

- Ale ona tak się na to cieszyła... i ja także...

- Spróbuj spojrzeć na tę sprawę z naszego punktu widzenia, moja droga. Zelda jest chora, ciężko chora. A jeśli coś jej się stanie? Wyobrażasz sobie, jaki by to wywołało zamęt? Te pary również przyleciały tu z daleka i to dla nich ważny dzień. Pomyśl, Ribo, jak sama byś się czuła, gdyby jakieś przykre wydarzenie zakłóciło twój piękny ślub z Brianem. Ci ludzie liczą na nas i nie chcielibyśmy im popsuć tego dnia, nieprawdaż? Bądź co bądź, potrzebujemy ich dobrej opinii na nasz temat, by usłyszeli ją inni i przyłączyli się do nas. Nie - rozluźnia

uścisk i stanowczym gestem poklepuje ją po ręce - uważam, że najlepiej będzie zawieźć ją do szpitala. Jesteście, naturalnie, ubezpieczone?

Patrzy na nią, nie zważając na pełen niedowierzania wyraz twarzy Riby. W jego urzekających zielonych oczach wciąż tli się coś, co przypisywała do tej chwili trosce o nią i jej córkę.

- Czego ode mnie oczekiwałaś, Ribo? - pyta miękko Jay. - Ona jest bardzo chora. Potrzebuje specjalistycznej opieki.

- Myślałam, że się nią zajmiesz. Rozmawialiśmy o tym. Że spróbujesz ją uzdrowić, a przynajmniej poprawić jej stan. Te wszystkie artykuły. .. cudowne przypadki...

Jay wzrusza ramionami.

- Ribo, obydwójce wiemy, że nie odpowiadam za to, co ludzie o mnie piszą.

- A twoje wspaniałe prelekcje, twoje wywiady, to, co mówiłeś, kiedy pracowaliśmy razem, to, co dla mnie zrobiłeś? Moc umysłu, nieograniczona moc naszego umysłu... - Riba walczy rozpaczliwie, podczas gdy mur jej wiary kruszy się i rozpada, a spod cegieł wзира tandetna ściana, pozbawiona jakichkolwiek punktów oparcia.

- Nieograniczona, owszem - potwierdza Jay. - Możliwości wyćwiczonego umysłu są nieograniczone. Być może, mimo wszystko, zdołamy jej w jakiś sposób pomóc, a z pewnością będziemy się starali. Tak jak powiedziałem, każdą chwilę dzisiejszej medytacji poświęcę biednej małej Zeldzie.

- Dietetyka. Prowadzi się przecież nowe badania w tej dziedzinie? Ty sam nad tym pracujesz.

- Prace badawcze ciągle trwają, ciągle osiąga się nowe wyniki. I owszem, na uniwersytetach i w różnych instytucjach bada się związki między chorobami a sposobem odżywiania. Zwracamy na to baczność, zwłaszcza w świetle najnowszych odkryć. - Zapala się do tematu. - To jest cudowna planeta, Ribo. Wszystko, czego potrzebujemy, rośnie tu na wyciągnięcie ręki i już niebawem, kto wie, może nawet osiągniemy nieśmiertelność? A z pewnością będziemy żyli znacznie dłużej i zdrowiej.

- Spróbujemy wszystkiego, Jay, naprawdę wszystkiego. Proszę. Nie odsyłaj jej stąd. Wyciągnęłam Zeldę ze szpitala, żeby ją przywieźć do ciebie.

Jay prostuje się i spogląda na nią.

- W pełni cię popieram, Ribo, i głęboko ci współczuję. Zeldzie także, oczywiście. Uczynimy, co w naszej mocy. Jesteśmy, jak widzisz, bardzo zajęci - wskazuje zaaferowanych robotników - ale damy z siebie wszystko, i dziś, i jutro. Osobiście przygotuję dla niej zestaw

suplementów witaminowych, z którego może skorzystać już dzisiaj. Ale w piątek, Ribo, musi się przenieść do kliniki. Przykro mi. Po prostu nie mogę podejmować takiego ryzyka.

Pochyla się i całuje ją w policzek. Półprzytomnie, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co robi, wręcza mu koszulę.

- To dla ciebie.

- Co to jest? - Jay przyjmuje pakunek.

- Nic takiego, skromny prezent. Żeby wyrazić ci wdzięczność. Po chwili wahania wsuwa paczkę pod pachę.

- Jesteś bardzo dobra. Bardzo ci dziękuję. A teraz już pójdę. Postaraj się nie martwić, Ribo. Zelda będzie obecna w moich myślach i modlitwie. Wszyscy będziemy się modlili.

Umysł płata jej figle, odwlekając analizę stanu ducha. Podziwia kanty starannie odprasowanych spodni Jaya, ich świeżą, zimną biel, zastanawiając się, kto pierze i prasuje jego ubrania. Raczej nie on sam, ponieważ - jeśli dobrze pamięta - w bardziej beztroskich chwilach zwykł się przyznawać, że do prac domowych ma dwie lewe ręce. Musi mieć już sześćdziesiąt parę lat, myśli, zauważając nie po raz pierwszy, że dzięki rygorystycznym ćwiczeniom fizycznym oraz starannej diecie z suplementami Jay jest doskonale zbudowany. O tak, może być żywą reklamą organizacji - proporcjonalne ciało, zdyscyplinowany umysł. Jak często to powtarzał i uczył tego, starając się przekonać ludzi?

Gdy jednak znika jej z oczu, ogarnia ją zgroza, podsycana ponurymi opowieściami o niebotycznych kosztach amerykańskiej opieki medycznej. Riba nie ma żadnego ubezpieczenia. Nawet za bilety nie zapłaciła kartą kredytową, co mogłoby im trochę pomóc...

Wiedziała, rzecz jasna, że Zelda nie ma szans w żadnym towarzystwie ubezpieczeniowym. Przed poprzednią podróżą skłamała Brianowi, że ma polisę specjalnego towarzystwa z Anglii, on zaś był na nią tak wściekły, że nie wypytywał o szczegóły. Tym razem nawet nie próbowała nic mówić.

Względy finansowe wydają się jednak nieważne w porównaniu z faktem, iż pozostawiono ją samą sobie w świecie, który rozsypał się w proch; ze świadomością, że ona i jej córka zostały odrzucone, właściwie wmiecione pod dywan przez osobę, której najbardziej ufała - nawet bardziej niż własnemu mężowi. Słońce nad jej głową piecze teraz i pali, a rosnące wzdłuż plaży palmy mają zamiast liści potworne macki, które wyciągają się ku niej, by ją udusić.

Walcząc z napływającymi falami rozpacz, Riba z wysiłkiem podnosi się z krzesła. W kostce odzywa się stłumiony, tępy ból, gdy - utykając lekko - wraca do bungalowu, by

sprawdzić, jak się czuje Zelda. Przykłęka z trudem przy łóżku i gładzi wilgotny policzek córki.

- Nie martw się, kochanie - szepcze. - Damy sobie radę.

Najmniejszy ruch w firmie EconoCar panuje zwykle w środy - Brian zdążył się przekonać, że nawet w styczniu jest to dzień rozdzielający początek i koniec „długich weekendów”. Dzisiaj był wdzięczny za ten spokój, gdy zaczął telefonować - najpierw do matki Trevora, która chętnie zgodziła się przyjąć Donny'ego, a potem do linii lotniczych. Przed jedenastą miał potwierdzony przelot na Wyspę Palm przez Atlantę i Caracas liniami Delta.

Siedzi przy biurku, starając się zrobić przed wyjazdem porządek z papierami i rachunkami. W innej sytuacji odczuwałby miły dreszcz emocji na myśl o egzotycznej podróży, lecz teraz, gdy prześladowuje go wizja ogona samolotu ze znakiem Tary, lecącego ku niemu i Sophie niczym monstrualny krążek do gry we frisbee, i gdy nie ma pojęcia o stanie Zeldy, myśl o następnych kilku dniach napawa go lękiem. Próbował dzwonić na wyspę, lecz mu się nie udało. Usłyszał, że linia jest chwilowo uszkodzona, lecz zostanie naprawiona „jeszcze dzisiaj”.

- Cześć! Wróciłem. Chcesz teraz wyjść?

Podnosi głowę i widzi przed sobą Micka, który wygląda żałośnie, gorzej nawet - jeśli to możliwe - niż kiedy wychodził. Brian, czując wyrzuty sumienia, pyta, czy stało się coś złego.

- A jak myślisz? - Jego przyjaciel z nieszczęśliwą miną wzrusza ramionami. - Umówiłem się na lunch z Sophie.

Brianowi ściska się żołądek.

- Tak? Jak się miewa? - Na wszelki wypadek dodaje: - Dzwoniłem do niej.

Ku jego uldze, Michael reaguje w miarę normalnie.

- Naprawdę? Kiedy? Nic mi o tym nie wspomniała. Co mówiła?

- A jak myślisz? - odpowiada pytaniem na pytanie. Proszę, Boże, niech się nie wyda, że to ja powiedziałem jej o dziecku. - Jest bardzo zdenerwowana tą całą sytuacją. Zaprosiłem ją na kawę. - Nie potrafi spojrzeć przyjacielowi w oczy, więc odwraca głowę i udaje, że przegląda wydruk. - Nie chcę znaleźć się w potrzasku, Mick. Bądź co bądź, jesteście naszymi przyjaciółmi.

- Spotkasz się z nią? Byłbym ci naprawdę wdzięczny. Nie musisz mi mówić, sam wiem, że jest zdenerwowana. Rozmowa z tobą dobrze jej zrobi. Ma pewien pomysł... - Mick zawiesza głos. - Lepiej niech ci sama powie. Na pewno to zrobi. - W jego głosie pojawia się żarliwa nuta. - Bardzo mi się przyda twoja rada. Jeśli Sophie nie poruszy tego tematu, zapytasz ją? Po prostu zadaj jej jedno pytanie: co zamierza zrobić z odszkodowaniem za katastrofę. Dobrze?

- Dobrze. - Brian wpatruje się w kartkę wydruku, zadowolony, że Michael nie widzi wyrazu jego twarzy. Gdy się już raz zacznie, jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie.

Rozdział 29

Krople deszczu tłuką w szklany dach oranżerii na tyłach Brian Boru, gdzie Sophie i Brian siedzą już pół godziny. W pubie jest niemal pusto i mają to pomieszczenie wyłącznie dla siebie.

Wypili po dwa drinki i rozważali, czy nie zamówić trzeciego, lecz postanowili - jako dwie dorosłe, odpowiedzialne osoby - nie przeciągać tego spotkania. Teraz milczą, jak gdyby zabrakło im tematów do rozmowy. Mimo to Brian czuje, że niemal rozsadzają go niewypowiedziane słowa.

Po jego wielokrotnych przeprosinach za niedyskrecję, jakiej się dopuścił, wymienili kilka zdań na temat dziecka Yvonne Leonard, lecz Sophie nie chciała się nad tym rozwodzić, więc ustąpił, prosząc tylko, by zadzwoniła do niego, jeśli będzie chciała porozmawiać.

Wszystko się w nim burzy. Uzgodnili, znowu jako odpowiedzialni dorośli, że to, co zaszło między nimi, więcej się nie powtórzy, i samo rozważanie takiej możliwości byłoby nie tylko niemoralne i niebezpieczne, ale po prostu głupie.

Brian nie może się z tym pogodzić. Jest wściekły, że trzeba nieodwołalnie zamknąć ten rozdział i że dwoje ludzi może jedynie, jeśli mają szczęście, przeżyć jedną słoneczną chwilę - oni zaś przeżyli swoją i powinni się cieszyć, że im się udało, teraz jednak muszą się zmierzyć z rzeczywistością.

I tak dalej. Brian temu nie zaprzecza, lecz mimo to atmosfera gęstnieje od żalu i głębokiego fizycznego pożądania.

Nie wie, czego oczekiwał, a nawet czego teraz naprawdę pragnie, ponieważ jego rozum kłóci się z sercem. To drugie każe mu rzucić wszystko, natychmiast wziąć Sophie w ramiona i uciec z nią w jakieś

miejsce, gdzie nie ma EconoCar, Micka Dolana ani żadnych cholernych zasad małżeńsko-przyjacielskich. Każe mu zabrać Sophie do łóżka. Teraz. Zaraz.

Ten pierwszy natomiast stanowczo nakazuje, by się zamknął i przyjął do wiadomości, że to coś, cokolwiek to jest, zrodziło się z szoku i rozwinęło zbyt gwałtownie, ma w sobie zbyt wiele napięcia, by przetrwać dłużej, i szanse, że wyniknie z tego coś pozytywnego, są znikome. Rozum powtarza Brianowi, żeby zachowywał się jak dorosły mężczyzna.

I rozum, i serce pragną zacząć od nowa - aby on, Eily, Michael i Sophie powrócili do beztruskich czasów, kiedy żadne z nich nie słyszało jeszcze o szpiczaku mnogim ani o Jayu Streecie, a szczyt finezji i rozrywki stanowiła impreza taneczna połączona ze zbiórką pieniędzy. I kiedy żadne nie myślało nawet o sprzeniewierzeniu się drugiemu, a najzwyklejsze rzeczy bawiły ich do łez - tak jak widok niedokończonych domów w zestawieniu z nazwą „Marmurowe Ogrody”, która wydała im się najśmieszniejszą i najgłupszą z propozycji wymyślonych przez chytrego developera w celu przyciągnięcia młodych małżeństw pod „dobry” adres. W pubie prześcigali się w wymyślaniu jeszcze głupszych nazw - bo przecież trzeba być kretynem, by próbować skusić ludzi za pomocą skojarzeń z cmentarzami, nagrobkami i ogrodami pamięci.

Jak zwykle to Eily zauważyła dodatnią stronę sprawy.

- No nie wiem. Gdy się nad tym zastanowić, marmur jest rzeczą piękną i trwałą, a ogrody ciągle rosną. Może ta nazwa ma nasuwać ludziom myśli o obcowaniu z pięknem, a nawet o niebie.

- Ty już lepiej nic nie mów, Eily. - Pozostała trójka, rycząc ze śmiechu, nie pozwoliła jej dokończyć.

Brian nie uważa już tej nazwy za śmieszna. Zapewne podobnie jak Zelda, która spędziła tutaj całe swoje krótkie życie.

Zelda. Serce podchodzi mu do gardła. Co zostanie na wyspie? Czy słusznie postąpił, zapewniając kategorycznie Donny'ego, że jego siostra nie umrze tak prędko i że przywiezie ją do domu? A te wszystkie przemyślane uwagi o lekarzach - ostatnio nie potrafi powściągnąć języka, mówi różne nieprzemyślane rzeczy...

Zdaje sobie sprawę, że Sophie go obserwuje. Obawia się tego, co mógłby zdradzić, gdyby odwzajemnił jej spojrzenie, więc patrzy na zegarek, choć nie widzi, która godzina, i przerywa ołowiane milczenie, mówiąc, że powinien się zbierać, bo ma kilka spraw do załatwienia. Sophie oznajmia, że również musi już iść.

Żadne jednak nie rusza się z miejsca.

- Wiem, że nie będzie ci łatwo - odzywa się Sophie, wpatrzona w deszcz za oknami - ale w pewien sposób ci zazdroszczę. To cudownie uciec od tej ponurej szarzyzny i poleżeć na plaży, choćby przez kilka dni.

- Naprawdę możesz lecieć ze mną. - Brian śmieje się i ma wrażenie, że słyszy śmiech wariata. - Nie miałbym nic przeciw towarzystwu w podróży, a Eily na pewno przydałaby się duchowa podpora. Jestem na nią wściekły jak wszyscy diabli, ale choćby tam było nie wiem ile słońca, ciąży na niej teraz cała odpowiedzialność za życie Zeldy, a to nie przelewki.

Pomijając słońce i egzotykę Karaibów, perspektywa długiej podróży w towarzystwie Briana wydaje się Sophie nieodpartą pokusą: siedzieć z nim ramię w ramię w samolotach, wypić drinka w poczekalni na lotnisku, prowadzić wielogodzinną, intymną rozmowę...

Ponadto bardzo się martwi o Zeldę - w pełni rozumie uczucia Donny'ego, ponieważ, poza wszystkim innym, wytrąca ją z równowagi myśl, że może już więcej nie zobaczyć swojej chrzestnej córki. Bawi się plasterkiem cytryny w szklance. Brian ma rację, Eily powitałaby ją z otwartymi ramionami.

- Naprawdę myślisz, że chciałaby, abym przyjechała? - Sophie zaczyna poważnie brać pod uwagę ten pomysł, zwłaszcza że jest obecnie wolnym strzelcem, lecz nagle pojawia się jej przed oczyma wizja jej samej i Eily: judaszowy pocałunek w policzek, przesadnie entuzjastyczny uścisk. Powtarza sobie z naciskiem, że przecież jest jeszcze drobna kwestia propozycji złożonej Michaelowi. Nie może ot tak sobie rzucić tego granatu, nie patrząc, gdzie upadnie. - Lepiej nie - dodaje pośpiesznie, unikając wzroku Briana, by nie ulec pokusie.

- Dobra, nieważne. Gdybyś zmieniła zdanie, samolot odlataje jutro rano. Wystarczy, że zjawisz się z paszportem około wpół do ósmej. Ja już tam będę. Miejsce znajdzie się na pewno, jeśli nie szukasz specjalnej oferty lub zniżki. Nie miałem z tym żadnego problemu. I

nie martw się kosztami. W tej chwili głównie mnie obchodzą pieniądze. Zaciągnę pożyczkę na dom, sprzedam firmę... to wszystko i tak diabła warte... - Głos mu się załamuje.

- Nie rób tego. - Sophie patrzy na płytki na podłodze. Fantazyjny, czarno-biało-czerwony deseń naśladuje styl wiktoriański. - Proszę.

- Dobrze, nie zrobię.

Ponownie zapada między nimi milczenie.

- Wszystko w porządku? - Barman zagląda przez drzwi. - Podać coś jeszcze?

- Nie, dziękujemy. - Mówią to jednocześnie i choć siedzą skromnie o ponad metr od siebie, podskakują niczym winowajcy przyłapani na gorącym uczynku. Barman znika, a Brian po raz kolejny zerka na zegarek.

- Naprawdę powinienem już iść. - Ja też.

Żadne jednak nie wstaje.

Im dłużej to trwa, tym bardziej gęstnieje napięcie seksualne między nimi. Sophie czuje, że musi skupić uwagę na czymś innym, bo chyba się udławi albo zrobi coś, czego będzie głęboko żałowała.

- Posłuchaj, Brianie - zaczyna cicho - muszę ci o czymś powiedzieć. Zelda mnie poprosiła. Ale to trudne.

- O co chodzi? - Udało się; jego zaniepokojenie jest niemal wyczuwalne.

- Prosiła, żebym wam przekazała, iż zdaje sobie sprawę, że ta sytuacja jest cięższa dla was niż dla niej. - Sophie patrzy mu w oczy. - Ona wie, że umiera, i już się z tym pogodziła. Teraz oczekuje od nas tego samego. - Nareszcie może mówić normalnym tonem. - Ja też to widzę. Zauważyłam to, kiedy robiłam jej zdjęcia.

Nie potrafi odczytać wyrazu twarzy Briana, który opuścił głowę i obraca w dłoniach szklankę, grzechocząc okruchami lodu.

- Wiem - jego głos jest bliski szeptu - ale nie chciałbym, żeby umarła właśnie tam. Może to samolubne z mojej strony.

- Zabierzesz Donny'ego?

Brian zaprzecza nieznacznym ruchem głowy.

- Może to także przejaw egoizmu.

- Rozmawiałeś z nim o tym? - Tak.

- Chcesz, żebym się nim zaopiekowała w czasie twojej nieobecności?

Słyszając to pytanie, Brian podnosi oczy.

- Miło z twojej strony, że to proponujesz. Zastanawiałem się, czy cię nie poprosić, ale i bez tego masz dość spraw na głowie. Zamieszka u Trevora. Miałbym do ciebie tylko jedną prośbę.

- Słucham.

Brian odstawia szklankę i z wewnętrznej kieszeni wyciąga niewielki notes. Przegląda go i zapisuje dwa numery telefonów na kartonowej podkładce, którą następnie wręcza Sophie.

- Ten pierwszy jest do rodziców Trevora, a ten poniżej to domowy numer hematologa. Czy mogłabyś ich umówić i zawieźć Donny'ego do tego lekarza? To porządny gość. Miałś rację. Obiecałem Donny'emu, że będzie wiedział o wszystkim. Lepiej późno niż wcale. Pewnie pokazywał ci swoje wydruki?

Sophie kiwa potakująco głową i wsuwa podkładkę do torebki.

- Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć. To prawdziwa tragedia.

- Nie zostało już nic do powiedzenia. Prawda?

Sophie wie, że powinna natychmiast wyjść, lecz przypomina jej się jeszcze jedna niezłałatwiona sprawa.

- Słuchaj... - Nie jest pewna, czy taka zmiana tematu go nie urazi, lecz nie wie, kiedy go znowu zobaczy, postanawia więc brnąć dalej. - Rozmawiałeś już z Nancy? Czy może się rozmyśliłeś? Bo przed wyjazdem powinienes poinformować współpracowników.

- Nancy? - Przez chwilę wpatruje się w nią nierozumiejącym spojrzeniem, a potem sobie przypomina. - Ach tak, Nancy. Mój Boże, przepraszam. Umknęło mi to z głowy. Przekaż jej, że wszystko w porządku.

- Na pewno? Ciebie nie będzie, a trzeba ją wprowadzić... - Przypominając sobie jedyne w swoim rodzaju podejście Nancy do obowiązków biurowych, Sophie odczuwa lekkie wyrzuty sumienia.

- Mniejsza o to. - Brian wzrusza ramionami. - Może zacząć od poniedziałku, kiedy ta dziewczyna wróci do college'u. Mick wszystko jej pokaże. Uprzedzę go. - Nieco innym, ostrożniejszym tonem dodaje: - Nawiasem mówiąc, wspomniałem mu, że umówiłem się z tobą. Wtedy poprosił, żebym cię o coś zapytał. To zabrzmiało dość dziwnie.

Brian rozmawiał o niej z Michael'em? Sophie ponownie czuje wzrastające napięcie, a jej kręgosłup wydaje się tkwić w imadle. Brian mylnie interpretuje jej reakcję.

- Nie denerwuj się - dodaje pośpiesznie - nie chodzi o nic kompromitującego. Mam cię zapytać, na co zamierzasz wydać pieniądze z odszkodowania za katastrofę. Zupełnie tego nie rozumiem.

Zdołała zapanować nad sobą poprzedniego dnia na lotnisku, a potem w Regency i dzisiaj, lecz w tej chwili jej cierpliwość niemal pęka pod naporem bólu i urazy. Jak jej mąż śmiał omawiać cokolwiek z Brianem i robić z niego chłopca na posyłki, żeby załatwiał jego brudne sprawy? Już go sobie wyobraża: nieszczerego, odrażającego podrywacza młodych panienek...

Zasłania oczy, całą siłą woli powstrzymując wybuch.

- Nie przejmuj się mną, musisz już iść. Ale Michael Dolan to dupek. Kompletny dupek.

- Zgadzam się. To dobre określenie, on jest dupkiem.

Z jakiegoś powodu, mimo przygnębienia, sztubacki zapach Briana bawi ją do łez i Sophie parska śmiechem przez zaciśnięte palce. Odsłoniwszy wreszcie oczy, dostrzega jego wstrząśniętą twarz.

- Och - mówi, nie wiedząc, czy bardziej współczuje jemu, czy sobie. - Pewnie myślisz, że tracę zmysły. Mnie też się tak przez chwilę wydawało. Ale to się już nie powtórzy.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem od ciebie takich słów. Jest zaskoczony, gdy Sophie gładzi go lekko po policzku.

- No cóż, jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś takiego. Musisz przyznać, że te dziesięć dni było pełne emocji! - Próbuje parsknąć śmiechem, lecz ponieważ zbiera jej się raczej na płacz, stara się powstrzymać łzy. - Całe szczęście, że jesteśmy tu sami - dodaje żałośnie. - Inaczej ktoś by już zadzwonił po panów w białych fartuchach.

- Sophie...

Tym razem pozwala mu wziąć się w ramiona i przytulić. Jest to czysty, czuły uścisk, lecz mimo to Sophie zamyka oczy i wdycha głęboko zapach kurtki Briana, woń jego wody kolońskiej.

Musi w końcu przyznać, że od dawna się na to zanosilo. Od lat wyobrażała sobie, jakby to było znaleźć się tak blisko niego, lecz w ostatnim szaleńczym okresie bezwzględnie odsuwała wszelkie niestosowne myśli dotyczące Briana McMullana. Będzie zmuszona stłumić je ponownie. Ale za chwilę. Na razie wdycha jego zapach. Brian przytula ją mocniej, zapewne dlatego, że - podobnie jak ona - wie, iż nigdy więcej nie przytulą się w ten sposób, gdy jedno wciąż pamięta dotyk tego drugiego. Sophie wysuwa się z uścisku, zanim odezwie się wspomnienie, zmieniając tę bliskość w coś bardziej namiętnego. Nie patrząc na Briana, bierze torebkę i komórkę, sprawdzając czas na wyświetlaczu.

- Już kwadrans po trzeciej. Rób, co chcesz, ale ja naprawdę musza iść. - Wstaje. - Nie martw się. Będę czuwała nad Donnym, choć z daleka, i umówię go z tym lekarzem.

- Odprowadzę cię do auta.

- Nie! - Jej głos wznosi się niemal do krzyku. Po chwili dodaje nie - co spokojniej. -
Dziękuję, ale wolałabym nie.

- Rozumiem. - On również wstaje. - Masz parasolkę?

- Nie potrzebuję.

- Przecież zmokniesz!

- Nie martw się, Brianie. - Sophie dotyka jego rękawa - nic mi nie będzie. Kilka kropli deszczu na pewno mi nie zaszkodzi.

Odwraca się, przemierza szybkim krokiem trój kolorowe płytki, mocno popycha szklane drzwi i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Na zewnątrz wita z ulgą strugi zimnego deszczu, chłoszczące jej gołą głowę. Gdy wsiada do minicoopera, zaparkowanego przodem do oranżerii, ponownie widzi Briana - nie może tego uniknąć. Nadal stoi tam, gdzie go zostawiła, choć teraz jego masywną sylwetkę zamazuje woda spływająca po szybie i łyzy, które wzbierają w oczach Sophie.

Dotarłszy cło domu, nie zamyka nawet frontowych drzwi, tylko maszeruje bez wahania prosto do kominka, zdejmując ze ściany obraz Charlesa Lamba i na jego miejscu wieszając swoją wzgardzoną i odrzuconą akwarelę. Ten obraz był w końcu prezentem ślubnym, więc nic w tym złego, że dzięki niemu będzie miała za co żyć w okresie przejściowym między burzliwym końcem małżeństwa a początkiem nowej, własnej drogi. Jeśli nawet stanowi wspólną własność, co z tego? Niech Michael poda ją do sądu, jeśli chce. Oglądając ramę i szkło, by sprawdzić, czy nie ma na nich kurzu i zadrapań, Sophie uświadamia sobie, że jest żałosna. Znowu kryzys, znowu zmiana punktu widzenia.

Pośpiesznie, zanim zapadnie w grzęzawisko narzekań i żalu nad sobą, wychodzi z domu i wrzuca obraz na tylne siedzenie auta.

Kobieta z Hallward Gallery przypomina ją sobie i dokładnie ogląda pejzaż, oświetlając go specjalną lampą.

- Nie mogę pani podać konkretnej sumy, dopóki go nie sprzedam. To może trochę potrwać. Zna pani zasady, na jakich pobieramy prowizję? Nie otrzymuje pani pełnej kwoty wpłaconej przez kupującego.

Sophie ma głęboko w nosie prowizje i tym podobne sprawy.

- Da mi pani za niego dwa tysiące? I będziemy kwita.

Kobieta, zbita z tropu, ponownie przygląda się obrazowi.

- Zgoda, jeśli pani jest pewna...

Sophie jest najzupełniej pewna. Już po chwili wspina się po schodkach prowadzących z galerii na ulicę, ściskając mocno torebkę z pokwitowaniem i czekiem na dwa tysiące funtów. Skręca w lewo i rusza szybko w stronę Merrion, a potem Nassau Street. Wreszcie, zadyszana, dociera do Dublin Camera Exchange przy Trinity.

- Czym mogę służyć?

Dziewczyna, która zadaje jej to pytanie, ma około dwudziestu lat. Zupełnie jak Yvonne Leonard. Sophie przełyka ślinę, tłumiąc przyływy zazdrości, który budzi w niej sama myśl o Yvonne i owocu jej łona. Pośpiesznie wyjmuje kartę kredytową.

- Chcę urządzić ciemnię fotograficzną. Mam na to dwa tysiące funtów. Co możecie mi zaproponować?

Po wyjściu Sophie Brian nie czuje się na siłach, aby wracać na lotnisko. Przede wszystkim nie ma ochoty rozmawiać z Mickiem Dolanem, lecz nie tylko o to chodzi. Nie ma ochoty rozmawiać z nikim.

Zamawia trzeciego drinka, tym razem mocnego: podwójną whisky i kufel heinekena. Szybko opróżnia kufel, a potem siedzi prawie godzinę nad whisky, popijając ją w roztargnieniu i zastanawiając się, co powinien teraz zrobić i czy w ogóle warto robić cokolwiek. Wyłączył komórkę, bo jego firma - jego dzieło - zupełnie przestała go obchodzić.

To, co Sophie powiedziała na temat Zeldy, dotarło do niego z opóźnieniem. Nie dość, że nie uchronił córki przed potworną chorobą, ale również nie potrafił ukryć własnej rozpacz - i biedne dziecko wzięło dodatkowo na swoje barki brzemień jego smutku. A także smutku Eily i Donny'ego.

Pogrążony w rozpacz, nie zdaje sobie sprawy z upływu czasu i przytomnieje dopiero w chwili, gdy do baru wchodzi cztery młode kobiety, mniej więcej w wieku Yvonne Leonard. Ich żywiołowość granicząca z rozpasaniem wydaje się Brianowi niemal świętokradztwem. Szybko dopija drinka i wychodzi.

Na parking, zamroczony brakiem snu i alkoholem wypitym na pusty żołądek, dochodzi do wniosku, że nie powinien siadać za kierownicą i postanawia się przejść, żeby rozjaśnić umysł. Za pubem skręca w lewo, w kierunku przeciwnym do centrum, po czym, pokonując słabość nóg, rusza najszybciej, jak potrafi, wzdłuż niedawno odnowionego muru cmentarza Glasnevin. W kilka minut jest przemoczony do nitki i cieszy się z tego, bo ziąb i deszcz rozpraszają dręczące myśli i pomagają mu wytrzeźwieć.

Pod wpływem impulsu przekracza bramę cmentarza.

W ten deszczowy i wietrzny dzień cmentarz, przeważnie pełen ludzi odwiedzających groby, a nawet zwykłych spacerowiczów, świeci pustkami.

Krocząc powoli wśród niewymagających uwagi zmarłych, Brian zaczyna się zastanawiać, czy gdzieś tu nie leżą jego rodzice. Jeżeli nie żyją, istnieje duże prawdopodobieństwo że tu ich pochowano - Glas-nevin to największy cmentarz w kraju. Brian, rzecz jasna, nie ma pojęcia, od czego zacząć. Sam sobie wybrał nazwisko McMullan; w czasach, gdy wszystko wydawało się możliwe, uznał, iż zestawienie

„Brian McMullan” będzie dobrze wyglądało na liście zawodników reprezentacyjnej irlandzkiej drużyny rugby.

Stracił kontakt z wszystkimi, którzy przyczynili się do jego wychowania, nawet z ostatnią rodziną zastępczą, i z całym zadowoleniem wykuwał własny los. A raczej tak mu się wydawało, dopóki nie zdiagnozowano choroby Zeldy i dopóki pogarszający się stan jej zdrowia nie sprawił, że ziemia zaczęła mu się usuwać spod nóg. W porównaniu z tym katastrofa samolotu wydaje się błahostką.

Na końcu alejki, gdy waha się, w którą stronę skręcić, coś przykuwa jego wzrok - coś jasnego, błyszczącego nawet w tak mroczny dzień. Balon?

Wytracony chwilowo z czarnego nastroju, Brian kieruje się w tę stronę. Jest to istotnie napęczniony helem, srebrzysty balon z napisem: „Wszystkiego najlepszego, Coley!”. Przywiązano go do pomalowanych kamieni, okalających maleńki grób. Podobne balony unoszą się nad pobliskimi nagrobkami - widać na nich także zabawki, pluszowe misie, a nawet mały jaskrawoczerwony traktor na baterie i postrzępiony różowy kocyk, przywiązany sznurkiem do drewnianego krzyża. To „Poletko Aniołków”, część cmentarza przeznaczona dla zmarłych dzieci i niemowląt.

Brian osuwa się na najbliższy grobowiec. Czuje, że opuszczają go siły. Zawiódł na całej linii, nie tylko jako ojciec, ale także jako mąż - zdradził żonę cielesnie i nie tylko, zmuszając ją, by szukała opieki innego mężczyzny.

A przecież to on miał być opiekunem rodziny. To on ma być mężczyzną.

Riba przez resztę dnia zajmowała się Zeldą i choć przeszkadzał jej ból w kostce, zachowywała się tak, jakby nic złego się nie stało. Nawet opalała się trochę na plaży przed bungalowem, udając, że śpi lub czyta, ilekroć podchodził do niej któryś z mieszkańców ośrodka. Kiedy Kalifornica zapytała ją, o której godzinie ma po nie w piątek przyjechać karetka, Riba mogła już spokojnie o tym rozmawiać.

Wymawiając się zmęczeniem i reakcją na zmianę stref czasowych, nie zasiadła do lunchu przy długim stole w „bomie”, lecz zaniósła talerze z jedzeniem do bungalowu, a po posiłku ułożyła Zeldę do snu.

Przez cały czas jednak słowa Jaya odzywały się w jej głowie niczym bicie żałobnego dzwonu, a urzekające zielone oczy i wysportowane, zdrowe ciało tego mężczyzny szydziły z niej bezlitośnie. Jay z wyspy nie był człowiekiem, którego znała. A raczej wydawało się jej, że go znała.

Po raz pierwszy od chwili, gdy nawiązała kontakt z organizacją, Riba zaczyna się zastanawiać nad własną naiwnością. Czy rzeczywiście dwutygodniowy pobyt jednej osoby na wysepce należącej do krajów trzeciego świata kosztuje dwanaście tysięcy funtów, zakładając nawet astronomiczne ceny podstawowych usług?

W dodatku wypędził Zeldę. Wprawdzie powiedział, że w tych okolicznościach, skoro po tak krótkim pobycie musi pojechać do szpitala, nie obciąży jej żadnymi kosztami. Przynajmniej obniżył cenę do sześciu tysięcy funtów.

Mimo to...

Jego medytacje, na przykład - w głowie Riby zaczęły kiełkować różne dziwne myśli. Nigdy przedtem nie wątpiła w umiejętność Jaya podporządkowywania sobie czasu i przestrzeni - wcześniej wierzyła w to święcie, lecz teraz nie była już taka pewna.

Włączyły się mechanizmy obronne. To nie jest prawdziwy Jay. Te dwie kobiety uważają go za swoją własność. Myślą tylko o zysku. Jay sam powiedział, że to one zajmują się owymi bzdurnymi kwestiami finansowymi. Dziewczęta, jak się wyraził. I napomknął coś o ich prowizji.

Dziewczęta, rzeczywiście. Riba chętnie by się dowiedziała, ile zarabiają.

Czy w Irlandii sklepy ze zdrową żywnością i ośrodki działające pod jego szyldem robią przekręty? Czy przekazują Jayowi pieniądze od klientów? A może to właśnie on jest ofiarą ich oszustw?

Cichy, natarczywy wewnętrzny głos nie dawał jej spokoju. Jay nie jest dzieckiem; nikt nie może nim manipulować ani nawet na niego wpływać.

Przypomniała sobie dziwną rozmowę, podczas której Kalifornica nalegała, by razem z Zeldą przyleciały jak najprędzej. Teraz już wszystko rozumiała - to miejsce przynosi im niezłe dochody.

Słodka idiotka, cieleń, kretynka. Wyglubiła się jak mało kto. Udręczona wyobraźnia podsunęła Ribie wizję Jaya z Kalifornica i tą całą Carmen, gdy we troje wyśmiewają jej

rozpaczliwe, bezowocne błagania, jej tuszę i słabą kondycję fizyczną, jej idiotyczne kaftany. I pokorne wręczenie prezentu tuż po tym, jak dano jej w twarz.

Nie. To niesprawiedliwe. On by tak nie postąpił. Mimo to miała ochotę walić się po głowie obcasem własnego buta.

Dlatego po powrocie z samotnej, wieczornej przechadzki z mieszanymi uczuciami powitała Jaya, siedzącego przed jej domkiem i wesoło machającego ręką.

- Przyszedłem tylko powiedzieć ci dobranoc.

Koszula, którą dała mu w prezencie, połyskuje niczym woda w świetle księżyca odbijającego się od morskich fal.

- Dobrze mi w niej? - Jay wstaje i obraca się w lewo i w prawo. -Bardzo mi się podoba. Zawsze miałaś znakomity gust, Ribo. Dziękuję ci.

Riba uśmiecha się z wysiłkiem. Nadstawia policzek do pocałunku, tak jak dawno temu w Irlandii, kiedy jeszcze nawet jej się nie śniło o podobnych komplikacjach. Później, wymawiając się zmęczeniem, oznajmia, że naprawdę bardzo chciałaby pogawędzić, ale po prostu pada z nóg i musi się położyć.

- No to dobranoc, moja droga. Zobaczymy się rano.

- Dobranoc, Jay. - Riba otwiera drzwi domku, a potem cicho zamyka je za sobą.

W mrocznym pokoju, oświetlonym jedynie nocną lampką, opiera się o płytki ze sztucznego tworzywa. Przez całe dorosłe życie, a już z pewnością od chwili wstąpienia do organizacji Jaya, ani razu nie wymówiła słowa „śmierć”. Wybierała któryś z bogatego arsenału eufemizmów - że ktoś pożegnał się z tym światem, opuścił nas, przeniósł się do wieczności, został wezwany przed oblicze Boga. Teraz jednak, odrzucona przez Jaya, zapomina o jego metodach odpędzania destrukcyjnych myśli i poraża ją bezlitosna precyzja pierwotnego określenia. Śmierć. Czarna, pochłaniająca śmierć.

Riba podchodzi do śpiącej córki.

Twarz Zeldy jest pogodna, a jej powieki drgają lekko, gdy matka gładzi ją po głowie.

- Co widzisz, kochanie?

Rozdział 30

Michael kilkakrotnie przećwiczył sposób, w jaki przedstawi Yvonne propozycję Sophie, lecz teraz, w najważniejszym momencie, ma z tym kłopoty. Nie boi się dziewczyny, nie o to chodzi, ale stawka jest bardzo wysoka. W dodatku od tak dawna wyznaje zasadę „kochaj i rzucaj”, że konieczność obchodzenia się z jakąś panienką w rękawiczkach jest dla niego nowym i dość przerażającym doświadczeniem.

Dotychczas sprawy nie układały się pomyślnie. Zaprosił ją do restauracji.

- Co powiesz na miłą kolację, Yvonne? Zarezerwowałem stolik w Chapter One o ósmej.

Wyszli razem z biura i pomyślał, że dzięki temu opóźnią powrót do jej ciasnego mieszkania. Cekał go następny koszmar: szukanie miłosego gniazdka. Restauracja w podziemiu przy Parnell Square jest droga, lecz Michael woli dmuchać na zimne. Często jadali

tu z Sophie i nigdy nie doznali zawodu. Nie ma pojęcia o kulinarnych upodobaniach Yvonne - w ich dotychczasowym związku taka wiedza była zbędna.

I nadal nie uzyskał tej wiedzy. Yvonne zamówiła łososia, lecz prawie go nie tknęła, podczas gdy Michael spałaszował swoją kaczkę do ostatniego kęska. Rozmowa również się nie kleiła, co doprowadzało go do rozpaczy - nie tylko dlatego, że nie znalazł żadnej furtki, ale także dlatego, że perspektywa utknięcia w tym niedobranym stadle na lata, a przynajmniej do narodzin dziecka, napęłniała go zgrozą. Pomijając seks, prawie zawsze spotykali się w pubach lub w barach szybkiej obsługi.

Michael rozgląda się po sali. W blasku świec, na tle łagodnych pastelowych barw, ludzie śmieją się, jedzą, patrzą sobie czule w oczy i doskonale się bawią. Wszyscy oprócz niego.

Nigdy nie chciała zbyt wiele opowiadać o swoich bliskich, spróbował więc zainteresować ją własnymi sprawami. Nie chciał mówić o Sophie, przynajmniej na razie - temat jest jeszcze zbyt świeży. Wyjaśnił tylko, dlaczego przejął tymczasowo zarządzanie firmą, gdy Eily potajemnie wywiozła Zeldę.

- Żal mi Briana. Na pewno dlatego nie wrócił po południu do biura. - Nie dodał, że ich szef umówił się z Sophie. Ani że nie miał mu nic istotnego do powiedzenia na temat tego spotkania, prócz faktu, że Sophie jest w dobrej formie. - Każdemu byłoby żal, nie sądzisz? Biedna dziewczyna. Przecież ona ma dopiero dziewiętnaście lat, wyobraź sobie tylko.

Yvonne przyznaje, że to bardzo smutne, owszem, ale takie jest życie.

- Dziwnie się to wszystko układa. Może wyrażam się brutalnie, Mick, ale taka jest prawda. Ciągłe to samo, no nie? Ktoś się rodzi, ktoś umiera. Zawsze tak było.

Trudno temu zaprzeczyć.

Michael zadaje sobie pytanie, czy warto? Opuścił żonę i dom dla... czegoś takiego. A sama Sophie? W panice, która go ogarnęła, nawet nie myślał, co właściwie do niej czuje. Czy przez te wszystkie lata było aż tak źle? Zwłaszcza na początku? Nie. Nie powinien się w to wgłębiać. Musi zachować ostrość widzenia. Z ponurą determinacją Michael powtarza sobie, dlaczego opuścił żonę. Żeby uratować od śmierci swoje dziecko. Ponownie zapala się w nim ów niezwykły, niedający się ugasić płomyk.

- Nie smakuje ci łosoś? Może wolałabyś coś innego?

- Jest w porządku.

Wszystko jest dzisiaj „w porządku”: wino, pogoda, bukiet kwiatów, który jej kupił dla poprawienia nastroju.

- No dobrze - mówi najbardziej niefrasobliwym tonem, na jaki go stać - zobaczmy, co nam proponują na deser. - Daje znak kelnerowi, kręcącemu się w pobliżu recepcji.

- Najadłam się. Nie chcę deseru.

Michael, gwałtownie tracąc cierpliwość w obliczu czegoś, co uważa za dziecinne dąsy, odchyła się na oparcie krzesła, lecz jakoś mu się udaje, choć z trudem, nie nawrzeszczyć na Yvonne.

- Co się dzieje? - pyta. - Jesteś dzisiaj w fatalnym humorze.

- Nie bądź idiotą! Może nie wiesz, co się dzieje? - Ciska sztucce na talerz i piorunuje go wzrokiem.

Michael ma ochotę ją udusić, ale liczy w myślach do dziesięciu.

- Źle się czujesz? Myślałem, że spodoba ci się ten lokal. - Gdy Yvonne otwiera usta, uprzedza ją. - Wiem, wiem! Jest w porządku!

To przynajmniej wywołuje skąpy uśmiech. Kelner zbiera talerze i podaje kartę deserów. Michael korzysta z okazji.

- Wiesz co, skoro już wybraliśmy się na tę kolację, może byśmy sobie trochę uprzyjemnili czas? Popuśćmy wodze fantazji. Co byś zrobiła, gdybyś miała, dajmy na to, sto tysięcy funtów? Załóżmy, że twój bon oszczędnościowy wylosował nagrodę albo wygrałaś na loterii. Coś w tym rodzaju.

Wymienił tę sumę na chybił trafił, przewidując, że odszkodowanie wyniesie co najmniej tyle, jeśli adwokaci umiejętnie podkoloryzują jej ból, wstrząs i tak dalej. Notuje w pamięci, by doradzić Sophie demonstrowanie chorobliwego lęku przed lataniem, a nawet paniki na sam widok samolotu. To powinno podnieść kwotę.

- Co za bzdura! - Yvonne wzgardliwie wykrzywia usta. - Nigdy nie zobaczę takiej kasy. Nie mam żadnego, kurna, bonu oszczędnościowego. Głupie gadanie.

- No, Yvonne, nie bądź taka. Jaki to ma sens, wybierać się do restauracji, a potem siedzieć z nabzdyczoną miną? Życie bez marzeń nie jest nic warte. Dobra, w takim razie ja zacznę, bo już o tym myślałem, możesz mi wierzyć! Wprawdzie za sto tysięcy nie kupisz domu ani, na przykład, lamborghini, ale na pewno by wystarczyło na trzymiesięczny luksusowy rejs dookoła świata. Nawet na półroczny, jeśli nadal będziesz się dąsać i nie pojedziesz ze mną. O tak, to by mi się podobało - ciągnie z rozmarzeniem. - Przez pół roku pełna obsługa, codziennie nowy, egzotyczny port. - Obserwując ją kątem oka, bierze kartę ze stolika. - Hej! Mają ciasto z rabarbarem! Bardzo je lubię z dodatkiem lodów. No więc - podejmuje od niechcienia - co byś zrobiła z takimi pieniędzmi?

- Nie wiem. - Mimo to, niemal wbrew sobie, Yvonne przejawia pewne zainteresowanie. - Na początek chyba kupiłabym auto, może nawet merca. I z milion par butów. Rzuciłabym tę zakichaną robotę, zrobiła sobie porządne wakacje. Tylko raz byłam na wycieczce w Lloret del Mar i Santa Ponsa. Chciałabym pojechać na Ibizę i zamieszkać w willi, a nie w jakimś podrzędnym hoteliku. Collette mówi, że Ibiza jest super. A może do Grecji albo Disneylandu? - Nagle sobie przypomina. - Ale to przecież niemożliwe. Nie wyjadę nigdzie na wakacje przez co najmniej piętnaście lat! - Spogląda na swój wciąż jeszcze płaski brzuch i podsuwa do napełnienia pusty kieliszek.

Z otuchą w sercu, Michael wyjmując butelkę z wiaderka z lodem i nalewa im wina.

- Nie wiedziałem, że tak lubisz buty.

- Bo mnie nie pytałeś, głąbie! - Yvonne pociąga łyk z kieliszka.

Teraz albo nigdy. Michael opróżnia własny kieliszek.

- To możliwe, wiesz.

- Co? - Yvonne marszczy brwi.

- Że dostaniesz te pieniądze. Sto tysięcy, może nawet więcej. Yvonne z ironią unosi brwi.

- Tak? A co zrobimy? Napadniemy na pociąg?

Michael wpatruje się w nią bacznie, z nadzieją, że przykuje jej uwagę. Udaje mu się, ponieważ oczy dziewczyny nagle się rozszerzają.

- To nie była zabawa, prawda? Nie robisz sobie ze mnie żartów?

- Nie, Yvonne, jestem śmiertelnie poważny.

- No to mów. - Odstawia kieliszek. - Zamieniam się w słuch.

- Powiem ci, skąd możesz dostać te pieniądze i pojechać na Ibizę tyle razy, ile ci się spodoba. I kupić tyle par butów, ile ci się zmieści w szafie. Ale musisz mi jedno obiecać, Yvonne. Nie urządzisz sceny, gdy usłyszysz, o co chodzi. Zgoda? - Michael nadaje głosowi prowokujące brzmienie. - Lubię tę restaurację. Chciałbym móc tu jeszcze kiedyś przyjść. - Widzi, że teraz cała jej uwaga skupia się na nim. - Obiecujesz? - pyta cicho.

- Obiecuję.

Trzyma dziewczynę w napięciu, które po chwili staje się dla niej nie do zniesienia.

- Czy to ma coś wspólnego z IRA? Bo jeśli tak, ja się na to nie piszę.

- To nie ma nic wspólnego z IRA. Chodzi o nasze dziecko. Reakcja Yvonne jest zaskakująca. Dziewczyna rumieni się – nigdy przedtem nie widział czegoś takiego - a później blednie.

- Jak to: o nasze dziecko? - Jej głos, pozbawiony ulicznych naleciałości, brzmi bardzo młodzieńczo.

Michael bierze ją za rękę.

- Obiecałaś, że nie zrobisz sceny...

- Może byś tak przeszedł do konkretów? - Yvonne cofa dłoń i wbija w niego oczy. - Jezu, to wygląda jak jakiś cholerny serial.

Rumieniec okazał się najwyraźniej chwilową słabością. Yvonne wróciła do normy. W całym znaczeniu tego słowa.

- No dobrze - zaczyna Michael - tylko nie przejmuj się tak. Ja też jestem zaskoczony, podobnie jak ty...

- Mick!

- Już mówię, już mówię. - Ma potężną tremę. Całe jego życie zależy od tego, jak Yvonne teraz zareaguje. - Sprawa dotyczy Sophie - rzuca pośpiesznie, żeby mu znowu nie przerwała. - Zawsze chciała mieć dziecko. Proponuje, że jeśli oddasz jej swoje, przekaże ci co do pensa całe odszkodowanie za katastrofę samolotową.

Wreszcie to powiedział. Oddycha płytko i szybko. Wpatruje się czujnie w Yvonne, która z grymasem na twarzy usiłuje zrozumieć jego słowa.

Nie mówił nic na własny temat, uznawszy, że lepiej to odłożyć na później. Wszystko po kolei. Jeżeli ona się zgodzi, zdążą jeszcze porozmawiać o swoim związku.

Nie docenił Yvonne.

- A co ty z tego będziesz miał? Na co liczysz, Mick? Czy to twój pomysł?

- Przysięgam na wszystkie świętości, że nie. Ona sama to zaproponowała, a ja byłem tak samo zdziwiony, jak ty teraz. Gdy się nad tym zastanowić, to nawet brzmi sensownie. Od początku pragnęła dziecka i zrobiłaby wszystko, żeby je mieć. Przez lata poddawaliśmy się badaniom...

- No to czemuście jakiegoś nie zaadoptowali? - Przynajmniej się nie wścieka.

- Słuchaj, Yvonne, czy mogę być z tobą szczerzy?

- Nie krępuj się.

- Dopóki nie zaskoczyłaś mnie tą wiadomością, nie miałem pojęcia, że w ogóle zależy mi na posiadaniu dziecka. Poddawałem się tym cholernym badaniom tylko dla Sophie. Ale teraz...

- Rozumiem. Teraz chcesz mieć dziecko. Twoja żona też chce je mieć. Obydwoje chcecie kupić je ode mnie. Mam wam oddać moje dziecko, żebyście odeszli z nim w siną dal i

odgrywali szczęśliwą rodzinę. A te wszystkie głodne kawałki o naszym wspólnym życiu? Same kłamstwa, może nie?

- Nie wydawało mi się, żebyś wykazywała szczególny entuzjazm. Przypomnij sobie, że musiałem cię usilnie namawiać. Uspokój się, Yvonne, obiecałaś nie robić scen.

- No jasne. Ale obietnice są po to, żeby je łamać, i dlatego ołówkę ma na drugim końcu gumkę. - Zrywa się z krzesła, a w restauracji zapada cisza. - Odpieprz się ode mnie, Micku Dolan! Pieprzę cię razem z twoim cholernym dzieckiem i twoją cholerną żoną! Pieprzę was wszystkich. Wychodzę, a jutro rano wsiadam do samolotu.

Chwyta torebkę i z wysoko uniesioną głową wychodzi szybkim krokiem z restauracji, mijając osłupiałych gości. Michael, raczej zdenerwowany niż zakłopotany - zapewne nigdy więcej nie spotka tych ludzi - myśli, że z tymi swoimi ponętnymi kształtami i w nieco zbyt obcisłym stroju wygląda jak dziwka, która przyszła na mecz hokejowy. I do diabła z polityczną poprawnością.

Gdy wokół ponownie rozlega się szmer przyciszonych rozmów, szybko prosi o rachunek.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - Kelner patrzy na niego z kamienną twarzą.

- Jak najbardziej. - Michael zerka na kartkę i kładzie na obrusie kilka dwudziestofuntowych banknotów. - To chyba wystarczy, proszę zatrzymać resztę.

Nie czekając na odpowiedź, wybiega za Yvonne.

Brian siedzi w szlafroku przy komputerze Donny'ego, wysyłając całą serię e-maili do EconoCar. Pod różnymi nagłówkami - VAT, arkusze kalkulacyjne, naprawy, obsługa, harmonogramy pracy - informuje personel, jak ma działać firma w czasie jego nieobecności. Dołączył polecenie dla Micka Dolana, że ma się skontaktować z Nancy i ściągnąć ją na poniedziałek. Przynajmniej zrobi coś dla Sophie.

Minęła dziewiąta, a on już od godziny tkwi nad klawiaturą, ustawioną na dawnym miejscu, mozolnie stukając w nią dwoma palcami. Pokój Donny'ego wygląda jeszcze tak, jakby przeszedł przez niego huragan, ale wyrzucili wszystko, co zostało zniszczone i przywrócili jaki taki porządek. Donny zainstalował się bezpiecznie u Jamesonów.

Brian nie pojechał już po południu do biura. O wpół do piątej, kiedy zamknięto bramy cmentarza, wrócił wolnym krokiem na parking przed pubem i długo siedział w samochodzie, udając, że przegląda papiery - na wypadek, gdyby ktoś wziął go za złodzieja. W rzeczywistości próbował zmierzyć się z tym, co go czeka - i z utratą Sophie i z utratą córki -

na zawsze. Dziecięca kwatery na cmentarzu dopełniła miary; widok tych małych, pełnych rozmachu nagrobków uświadomił mu, jak bardzo jest zagubiony.

Usiadł za kierownicą dopiero o wpół do szóstej i wpadł w popołudniowe korki. Przynajmniej podjął jakieś działanie i otrząsnął się z alkoholowego zamroczenia. Miał w samochodzie zestaw słuchawkowy, więc wlokąc się w żółtym tempie, zatelefonował do Donny'ego - mówiąc, że już wraca do domu - a potem zadzwonił do biura. Mick, rzecz jasna, zaczął go wypytywać o Sophie, lecz Brian w miarę zręcznie, jak miał nadzieję, wymigał się od odpowiedzi.

Odwożenie Donny'ego do domu Trevora okazało się niełatwym zadaniem. Chłopak wciąż się zastanawiał, czy nie lecieć z ojcem na wyspę, i gdy Brian już chciał zawracać, chłopiec postanowił mimo wszystko podtrzymać wcześniejszą decyzję. Brian nigdy nie zapomni bladej, niespokojnej twarzy syna i jego przesadnie ostrożnego tonu.

- Zadzwonisz do mnie, tato, jak tylko tam doleczysz?

- Zadzwoń. A ty masz numer tego miejsca, tak na wszelki wypadek?

Donny kiwnął głową.

- Czy mogę dzwonić do cioci Sophie w razie potrzeby? Zna sytuację?

- Oczywiście. Będzie czekała na twój telefon i sama też się odezwie do ciebie. - Zajechali już przed dom Jamesonów i Brian, zanim zgasił silnik, położył dłoń na ramieniu syna. - Nie wiem, co powiedzieć. Żadne słowa nie ułatwią nam sprawy. Przykro mi. Gdybyś znowu zmienił zdanie, zadzwoń do nas albo do cioci Sophie, albo do wujka Michaela i w ciągu doby możesz do nas przylecieć.

- W porządku, tato. Rozumiem. - Donny, nie uchylając się, jak to miał w zwyczaju, przed dotykem ojca, dzielnie próbował zachowywać się jak mężczyzna o dwadzieścia lat starszy.

Po powrocie do domu Brian, zbyt zmęczony, by zrobić sobie coś do jedzenia, opadł na kanapę w salonie. Choć dzięki swej mocnej konstrukcji fizycznej potrafił zazwyczaj wchłonać znaczną ilość alkoholu bez większej szkody dla siebie, tym razem połączenie trunku z rozterkami uczuciowymi, zmęczeniem i pustym żołądkiem okazało się zabójcze i natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń.

Obudził się po kilku godzinach z potężnym bólem głowy i mdłościami.

Teraz, złagodziwszy nieco objawy kaca klinem - wahał się między ginem a whisky i w końcu wybrał to drugie - oraz gigantyczną kanapką, składającą się z wszystkiego, co znalazł w lodówce, a co nadawało się do zjedzenia, wciśniętego między dwie grube kromki chleba,

czuje się trochę lepiej. Kończy ostatni e-mail, wysyła go, czeka aż skrzynka nadawcza się opróżni, po czym wyłącza komputer.

Wlece się do sypialni, nastawia budzik na szóstą rano i wpełza pod kołdrę.

Tymczasem Michael, który spędza trzecią noc w mieszkaniu Yvonne - muszą się wynieść do soboty - powoli czyni postępy. Dziewczyna wciąż się dąsa, ale jest zaintrygowana.

- Naprawdę dałaby mi te pieniądze?

- Najwyraźniej tak. Sama to zaproponowała, powtarzam ci. - Zastanowię się.

- Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, co? Żeby się nie rozmyśliła. A jutro przyjdź normalnie do pracy.

Yvonne leży na brzuchu, z twarzą zwróconą w stronę Michaela, który siedzi obok na łóżku. Żartobliwym gestem klepie ją po pośladku.

- Jestem teraz twoim szefem i przymknę oko na ostatnie nieobecności, ale odtąd żadnego obijania, zgoda?

Yvonne nie reaguje na klapsa.

- W każdym razie nie jutro - odpowiada obojętnym tonem. Potrząsa głową, siada i patrzy Michaelowi prosto w oczy. - Myślę, że powinnam się z nią spotkać i usłyszeć to wszystko osobiście. Jeśli mam się zastanowić nad oddaniem jej mojego dziecka, sama muszę zdecydować, czy będzie odpowiednią matką. To wyłącznie moja decyzja, niczyja inna.

Michael kuli się wewnątrz, lecz zachowuje pogodny wyraz twarzy

- Oczywiście, że decyzja należy do ciebie. Załatwię to.

Na Wyspie Palm Riba pogrąża się w rozpacz. Otrzymała z recepcji wiadomość, że Brian przylatuje nazajutrz. Powinna do niego zatelefonować, ale jaki to ma sens? Co mogłaby mu teraz powiedzieć? Że poniosła całkowitą klęskę?

Po raz pierwszy musi przyznać, że w tej chwili mąż rzeczywiście ma powody do zdenerwowania.

Gdy została dopuszczona do kręgu najbliższych współpracowników Jaya, zgłosiła się oczywiście do pomocy i całe popołudnie rozprawiała ulotki po domach, w centrach handlowych i na ulicach. Werbowała słuchaczy, gdy Jay wygłaszał odczyty w Irlandii. Dyżurowała nawet przy urywającym się telefonie w nowej siedzibie organizacji w Portobello

Harbour, co wiązało się z uciążliwymi jazdami do południowej dzielnicy miasta. Traktowała swą działalność jako przywilej, lecz Brian, który z trudem znosił tę jej „fazę”, jak to określał, nie krył niezadowolenia z jej ciągłych nieobecności i bez przerwy powtarzał, że daje się wykorzystywać.

Pomijając już istotną kwestię wypędzenia Zeldy z ośrodka, Riba drży na myśl o tryumfalnym „a nie mówiłem”, w tak oczywisty sposób uzasadnionym.

- Mam dla ciebie wiadomość - Michael mówi z wielkim pośpiechem. - Ona chce się z tobą spotkać i porozmawiać.

Sophie słyszy w tle odgłosy ruchu ulicznego, tym razem jednak nie pyta męża, gdzie jest.

- Doprawdy?

Słuchawka wyślizguje jej się z rąk, ponieważ są mokre. Sophie z trudem łapie oddech. Szorowała właśnie ką łazienki, do którego zamierza wstawić sprzęt do wywoływania zdjęć. Na sofie za jej plecami leży duży zwój grubego czarnego aksamitu, a w kieszeni dżinsów tkwi wizytówka Tony'ego Złotej Rączki. Zostawiła mu już wiadomość w poczcie głosowej, prosząc o kontakt w sprawie drobnych robót wodno-kanalizacyjnych i stolarskich.

Niezgrabnie podnosi słuchawkę z podłogi.

- Przepraszam - mówi do Michaela. - Upuściłam słuchawkę. No więc słucham cię.

- Wolałbym nie omawiać tego przez telefon. Czy moglibyśmy się spotkać? Przyszędłbym do ciebie.

- Teraz to wykluczone. Jest za kwadrans dziesiąta i właśnie chciałam się położyć. - Sophie za żadne skarby świata nie zamierza okazywać, jak bardzo jest przejęta. - Spotkam się z tobą jutro - dodaje chłodno - albo z wami obydwójkiem, to mi nie robi różnicy.

- Mogę zadzwonić rano? Nie dam rady się umówić, dopóki nie sprawdzę, ile mamy zleceń.

- Dobrze.

Po krótkiej pauzie Michael odzywa się znowu.

- Sophie?

Sophie szybko odkłada słuchawkę.

Serce wali jej mocno. Mówił pewnym tonem. Aby powściągnąć emocje, poddaje się próbie. Bądź realistką, Sophie. Zdobądź się na uczciwość. Czy zdołasz patrzeć w twarz temu dziecku bez nieustannego doszukiwania się podobieństwa do panny Leonard i bez przypominania sobie własnego bólu?

Odpowiedź jest jak spojrzenie w kryształową kulę. Sophie widzi miękkie włoski, czystą główkę, leciutki senny uśmiech, a także własny uśmiech, gdy pochyla się nad łóżeczkiem. To dziecko jest tylko sobą i nikim więcej. Tak jak każde.

Oczywiście, że zdoła spojrzeć mu w twarz.

Dobry Boże, proszę, spraw, by to doszło do skutku.

Dziecko!

Rozdział 31

Michael dzwoni w porze lunchu i tym razem jego głos, mimo naglącego tonu, brzmi normalnie, w tle zaś słychać dźwięki typowe dla lotniska.

- Czy odpowiada ci spotkanie dziś wieczorem?

Sophie znowu odebrała telefon zadyszana. Zniechęcona brakiem odzewu ze strony Tony'ego Złotej Rączki, pomimo drugiej wiadomości, jaką mu zostawiła w poczcie głosowej, kupiła elektryczną wiertarkę i próbowała wywiercić dziury w łazienkowych kafelkach, by móc przynajmniej zamontować przyzwoitą półkę pod kuwetę do wywoływania zdjęć.

- O której godzinie? - pyta krótko.

- O siódmej. Przyjedziemy prosto z pracy.

Znowu to „my”. Sophie sztywnieje w środku, lecz zachowuje spokój.

- Umówmy się na wpół do ósmej. Mam to i owo do zrobienia. A jednak! - myśli, rzucając wiertarkę z rozmachem na sofę.

- Dobrze, zatem o wpół do ósmej. - W jego głosie pojawia się nuta rezerwy. - Jedna sprawa, Soph. Kiedy jej powtórzyłem twoją propozycję, powiedziałem, że odszkodowanie wyniesie około stu tysięcy. Taka suma utrwaliła jej się w pamięci.

- Ja tego nie mówiłam. Nie wiem, czy tyle dostanę.

- Oczywiście, że dostaniesz. Co najmniej tyle. Powiem ci, jak to załatwić. Wspominam ci o tym, bo lepiej, żeby ona nie miała żadnych wątpliwości. Zapamiętała sobie tę sumę i odnoszę wrażenie, że jeśli podasz jej niższą, gotowa się wycofać. Możesz mi wierzyć albo nie, Soph, ale w tej sprawie jestem po twojej stronie.

- Dobranoc, Michaelu.

Sophie gwałtownym ruchem odkłada słuchawkę. Jak on śmie ją pouczać? Wtem świadomość tego, co może się rozstrzygnąć jeszcze dzisiaj wieczorem, uderza ją jak obuchem.

Drżącymi rękoma sięga po wiertarkę. Kto by pomyślał, że zrobienie kilku cholernych otworów jest takie trudne? Miała ambitny zamiar osobiście wywołać zdjęcia Zeldy, lecz wygląda na to, że znowu zajmie się nimi stary dobry zakład One Hour Photo.

Tak czy inaczej, jest zbyt zdenerwowana, żeby siedzieć w domu, odkłada zatem wiertarkę i biegnie na górę, by zdjąć stare dżinsy, które wkłada do „czarnej roboty”, jak to określa Michael. A raczej, jak to określał. Musi wreszcie zacząć myśleć i mówić o nim w czasie przeszłym.

Jej minicooper skręca w stronę redakcji „Wild Places”, jakby miał wbudowanego autopilota. Czeka ją jednak wstrząs: wszystko jest zamknięte na cztery spusty.

Nie ma kluczy - nigdy ich nie potrzebowała, ponieważ Imelda zawsze przestrzegała sztywnych godzin pracy. Gdzie jest Nancy? Mocniej niż wszystko inne boli ją to, że nikt nie uznał za stosowne jej zawiadomić o zakończeniu porządków w redakcji. Tak właśnie wygląda sytuacja osoby bezrobotnej. Tu włącza się czynnik „zgadnij, co się wydarzyło”, spoiwo wielu małżeństw, i Sophie odruchowo sięga po komórkę, by zadzwonić do Michaela, lecz hamuje się w porę.

Eily znajduje się daleko stąd, a Brian już tam leci. Sophie karci się za samą myśl o nim. To już dla niej strefa zakazana.

Nie jest to również sprawa, o której mogłaby opowiedzieć przez telefon rodzicom albo braciom na antypodach, ponieważ w trakcie takiej rozmowy musiałaby być w pełni sił

fizycznych i psychicznych. Jej rodzice są ludźmi starej daty - uważają, że należy przepracować całe życie w jednym miejscu, zapewniając sobie emeryturę, i zawsze martwiło ich liberalne podejście Sophie do tych spraw. Dostaną palpacji serca, gdy się dowiedzą - zwłaszcza że jednocześnie będzie musiała zawiadomić ich o rozpadzie swojego małżeństwa. Będą się zastanawiali, jaki to zły duch opętał córkę, która podczas ostatniej rozmowy uspokajała ich co do bezpośrednich następstw katastrofy lotniczej.

Nie, nie będzie im zakłócała spokoju i utrudniała sobie życia. Zadzwoń do nich za dwa tygodnie. Zdaży się do tego przygotować.

Jej bracia? Nie, z żadnym nie czuje się dość blisko związana.

Świadomość, że właściwie nie ma do kogo zadzwonić, jest przygnębiająca. Sophie czuje się tak samotna, jak jeszcze nigdy w życiu.

Codzienna poczta tkwi zatknięta starannie za ochronną kratę na poziomie oczu i Sophie wyciąga ją stamtąd. Trzy listy do Imeldy, jeden ze złowróbnym stemplem harfy - niewątpliwie z urzędu skarbowego - reklamówka „Czterogwiazdkowej Pizzy” oraz druk ze znaczkiem Towarzystwa Ochrony Wielorybów i Delfinów, adresowany do Sophie. Towarzystwo to, z siedzibą w Bath, często wymieniane w jej rubryce, wciągnęło ją na swoją listę adresową w chwili powstania, czyli w roku 1987, tym samym, w którym zaczęła pracować w „Wild Places”. Odkłada z powrotem listy adresowane do Imeldy, zmiętą reklamówkę pizzy wrzuca do najbliższego kosza na śmieci i wraca do samochodu.

Przez chwilę siedzi bez ruchu, wpatrując się w przednią szybę. Dokąd teraz? Pod wpływem impulsu dzwoni do informacji, uzyskuje numer miejscowego biura pośrednictwa pracy, kontaktuje się z nim i pyta, czy może się jeszcze zapisać na kurs fotograficzny.

- No cóż, straciła pani dwa spotkania, ale to kurs dla początkujących. Ma pani jakieś doświadczenie?

- Owszem, spore. - Sophie myśli o swoich Cygankach. - Podstawy nie są mi potrzebne. Chciałabym raczej nauczyć się wywoływać zdjęcia i robić odbitki.

- No to świetnie, pod warunkiem, że zgodzi się pani zapłacić również za te zajęcia, w których pani nie uczestniczyła. Proszę przyjść we wtorek wieczorem, o siódmej. Colaiste Ide w Finglas. Wie pani, gdzie to jest?

- Mniej więcej. - Podaje kobiecie swoje nazwisko, adres i numer telefonu, a potem się rozłącza. Tak czy inaczej, zrobiła coś pozytywnego. I choć stara się nie myśleć w ten sposób, praca fotografa-wolnego strzelca da się znakomicie pogodzić z opieką nad dzieckiem.

Nie. Dość już mazgajstwa. Od tej chwili będzie właśnie o tym myślała. Będzie tego oczekiwała i snuła plany. Szybko wraca do domu, gdzie z determinacją czyści obiektyw

aparatu i sprzęta łazienkę, w której narobiła bałaganu podczas swoich eksperymentów z wiertarką. Dom musi być bezpieczny dla dziecka. Sophie obrzuca krytycznym spojrzeniem gniazdka elektryczne w salonie, które trzeba będzie zasłonić. Porusza się po domu, usiłując patrzeć nań z dziecięcej perspektywy i stwierdza, że - z wyjątkiem gniazdek - raczej nie stwarza zagrożenia: pokoje nie są zagracone, a podłogi można bez- trudu utrzymać w sterylnej czystości.

Ponieważ do przybycia Yvonne pozostaje jeszcze sporo czasu, wyrusza ponownie do miasta, by oddać do wywołania film ze zdjęciami Zeldy. Przez cały czas towarzyszy jej wyraźna świadomość celu.

Ale gdy za kwadrans ósma Yvonne i Michael ani myślą się pojawić, zaczynają ją nachodzić mordercze myśli. Łapie za telefon, by wybrać numer jego komórki - i wtedy słyszy kroki przed domem.

Wysiłkiem woli zmusza się do wstania i wyprostowania pleców, dzięki czemu na dźwięk dzwonka z całym spokojem otwiera drzwi.

Stoją w progu obydwój, ramię w ramię. Widok dość trudny do zniesienia.

- Wejdźcie - mówi. - Jak się miewasz, Yvonne?

- Świetnie, Sophie, dziękuję.

Jeśli nawet przyjaciółeczka Michaela ma tremę, nie okazuje tego. On natomiast ma poszarzałą twarz, co dodaje Sophie odwagi.

- Macie ochotę na drinka? A może napijecie się kawy? - pyta, zamykając frontowe drzwi.

W odpowiedzi Yvonne przeszywa gniewnym spojrzeniem swego towarzysza, na co Michael mówi, że w radiu transmitują mecz, a on go sobie chętnie posłucha w samochodzie. Poza tym chyba będzie lepiej, jeśli Sophie i Yvonne porozmawiają w cztery oczy. Najprawdopodobniej zaplanowali to wcześniej, lecz Sophie jest wszystko jedno - będzie obecny czy nie, to spotkanie i tak przyprawia ją o ból głowy.

- Jak sobie życzysz. - Rusza w stronę kanapy.

Przypomina jej się niedawna sytuacja, gdy leżeli tam obydwój z Brianem McMullanem, i czuje lekkie wyrzuty sumienia - trzeba mieć pewien tupet, żeby w tych okolicznościach demonstrować wyższość moralną - które jednak szybko mijają, ponieważ Yvonne śmiało przemierza pokój i siada w fotelu przy kominku. Nawet nie zaczekała, aż zamkną się drzwi za Michaelem, myśli Sophie. Ta dziewczyna zachowuje się tak swobodnie, jakby to był jej własny dom.

Czy rzeczywiście? Kiedy mierzą się wzajemnie wzrokiem, czekając, aż ta druga zacznie mówić pierwsza, Sophie dostrzega jakby cień niepokoju w przesadnie umalowanych oczach dziewczyny. Jej spostrzeżenie się potwierdza, gdyż Yvonne po chwili kapituluje.

- Mick mówi, że chcesz wziąć nasze dziecko.

Sophie jest zadowolona, że przynajmniej nie będzie musiała niczego owijać w bawełnę.

- Jeśli dobrze rozumiem, nie byłby to dla ciebie jakiś wielki osobisty dramat. Owszem, chcę. Pragnę dziecka od lat.

- I gotowa jesteś zapłacić mi sto tysięcy funtów. Zgadza się?

- Powiedziałam Michaelowi, że oddam ci całą sumę, którą otrzymam w ramach odszkodowania.

- Ale to będzie sto tysięcy, tak?

- Na pewno. Niewykluczone, że więcej. Możemy podpisać formalną umowę, która to potwierdzi.

- Nie masz do mnie zaufania? - Yvonne marszczy brwi.

- Mam. Ale czy ty masz zaufanie do mnie? No bo wiesz, mogłabym się wycofać. Zawsze marzyłam o podróżach, zwłaszcza do miejsc, gdzie można obserwować wieloryby. Teraz mam szansę. Kto wie, czy w ogóle chciałoby mi się tu wrócić. - Sophie na chybił trafił wybiera najbardziej egzotyczną wyprawę, jaka przychodzi jej do głowy. - Na przykład Patagonia to podobno fantastyczne miejsce do obserwacji wielorybów. A słyszałaś kiedyś o słodkowodnych delfinach z Nepalu?

Yvonne, która zapewne nigdy w życiu nie słyszała o Nepalu, pomijając już Patagonię, patrzy na nią jak na bredzącą wariatkę. Sophie powściąga język. Co w nią wstąpiło? To było wredne. Nie zastanowiła się, jak właściwie ma rozmawiać z tą dziewczyną, i teraz gorączkowo szuka tematów zastępczych. Wie od Nancy, która z wypiekami na twarzy wertowała rozmaite brukowce, że niezależnie od wszelkich umów prawa biologicznej matki są najważniejsze. Ma jednak nadzieję, iż jeśli obie podpiszą odpowiednie papiery, trudniej będzie Yvonne nie dotrzymać warunków.

Lalunia Michaela wstaje i przez chwilę krąży po salonie, dotyka różnych rzeczy i przygląda się akwareli nad kominkiem. Wreszcie odwraca się z wyzywającym wyrazem twarzy.

- Chcę te pieniądze z góry. - Jeśli nawet z początku miała tremę, teraz nie przejawia najlżejszych jej oznak.

- Ale... - Sophie patrzy na dziewczynę, zaciskając usta w wąską kreskę. - Nie wiem, kiedy je dostanę, Yvonne. To może potrwać, a ja jeszcze nie złożyłam wniosku.

- To nie mój problem. Weź pożyczkę.

- Nigdzie nie uzyskam tak wysokiej pożyczki. Właśnie straciłam pracę.

- Skoro jesteś taka pewna, że dostaniesz to odszkodowanie - Yvonne wzrusza ramionami - zaciągnij kredyt hipoteczny. Ceny w Dublinie idą w górę w takim tempie, że nawet budka telefoniczna może być warta dwa razy tyle. Moja przyjaciółka Collette, która się na tym zna, mówiła mi, że taki dom w pobliżu centrum jest wart co najmniej dwieście dwadzieścia kawałków.

- Kiedy urodzisz dziecko... - wyrywa się Sophie.

- Nie! - Yvonne prowokuje ją spojrzeniem. - Teraz.

- Przepraszam, ale nie jestem idiotką.

- W porządku - Yvonne znowu zaciska usta. - Nie moje zmartwienie. - Rusza w stronę frontowych drzwi.

Sophie zrywa się w popłochu i rzuca za nią:

- Połowa teraz, połowa po narodzinach dziecka.

Yvonne odwraca się na pięcie i ich oczy się spotykają. Sophie nienawidzi się za to, ale była już tak blisko celu...

- Musimy podpisać formalną umowę, bo jaką mam gwarancję, że nie odejdziesz z pieniędzmi, zatrzymując dziecko?

Hamuje się, zanim powie za dużo. Co ona wyprawia? Zeszła do poziomu handlarki, targującej się o maleńką, bezbronną ludzką istotę.

Tupet tej dziewczyny wzbudza w niej mimowolny podziw; wygląda na to, że Michael poważnie się przeliczył. Jeśli ich związek przetrwa, Sophie nie ma wątpliwości, kto w nim będzie górą.

Ponownie przywołuje się do porządku. Nie chce zachowywać się protekcyjnie.

- Przykro mi - mówi szczerze. - Naprawdę. Nie zamierzałam się w ten sposób targować. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Przedstawiam ci czystą, jasną propozycję, ale to twoje dziecko. Twoje i Michaela. Masz wszystkie atuty w ręku, Yvonne. Bardzo chcę mieć dziecko. naprawdę bardzo, ale to pragnienie nie usprawiedliwia traktowania jej jak towaru.

- Myślisz, że to dziewczynka? - Po raz pierwszy Yvonne wydaje się poruszona; w jej zbroi pojawia się cienka szczelina. - Skąd wiesz?

- Przejęzyczenie. - Nie tylko; Sophie zdradziła niechcący swoje najskrytsze marzenia. Zawsze chciała mieć córkę, łagodną i inteligentną jak Zelda. Wpatruje się w podłogę, a potem

podnosi oczy na tę dziwną dziewczynę o nerwach ze stali. - Michael musi wyrazić zgodę na obciążenie hipoteki - mówi cicho. - Mamy współwłasność. I to on będzie spłacał odsetki, dopóki nie zacznę zarabiać jakichś pieniędzy. Chcesz to głębiej przemyśleć, Yvonne?

Jakaś część umysłu Sophie wciąż zdumiewa się jej postępowaniem. Oto ma przed sobą Yvonne Leonard, kochankę męża, a rozmawia z nią uprzejmym tonem, zamiast wziąć siekiere i roztrzaskać ten utleniony łeb. Dopiero teraz odkrywa, jak głęboko doskwierał jej brak dziecka. Gotowa oddać wszystko, co posiada: sprzęt fotograficzny, ukochanego minicoopera, ostatnią koszulę, nawet dom - choć rozsądek podpowiada, by zachowała tego ostatniego asa w rękawie. Ale w tej chwili zgodziłaby się nawet zostać służącą Yvonne; czołgałaby się na brzuchu po tłuczonym szkłe, gdyby to miało jej zapewnić prawa do tego dziecka.

- Wyrazi zgodę, nie ma obawy. - Dziewczyna śmieje się krótko. -No dobra - dodaje - umowa stoi. Połowa teraz, połowa po urodzeniu.

- Patrzy na Sophie, a jej jasnoniebieskie oczy ciemnieją nagle i nabierają dziwnego wyrazu. - Wiesz, co to oznacza, Sophie? Że będziemy musiały trochę lepiej się poznać.

- Słucham? - Sophie czuje, że brak jej tchu. Yvonne mierzy ją beznamiętnym spojrzeniem.

- Na przykład, w pewnej chwili dziecko może zechcieć się o mnie dowiedzieć. Albo ja będę chciała się dowiedzieć, co u niego. Czy u niej.

- W jej oczach pojawia się cień, który szybko ustępuje miejsca wcześniejszej determinacji. - Więc powinnaś utrzymywać ze mną kontakt. Ja już podjęłam decyzję. Dziecko nie mieści się w moich planach. Przynajmniej na razie. Ale co będzie, jak się zestarzeję? Muszę zadbać o swoje prawa.

Sophie myśli teraz tylko o dziecku. Jest tak blisko.

- Jak sobie życzysz, Yvonne.

W tych okolicznościach gotowa byłaby zawrzeć bliższą znajomość nawet z seryjną morderczynią.

I wtedy następuje coś dziwnego, kochanka Michaela się uśmiecha, teraz już zupełnie rozluźniona.

- Nigdy nie wygrałam nawet w orła i reszkę - mówi nagle. - Ani cholernej bombonierki na loterii. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mi się przytrafiło. Zdaje się, że wspominałaś coś o drinku? Mam pójść po Micka czy lepiej go zostawić, żeby się kisił we własnym sosie?

Sophie wsłuchuje się w siebie. Bądź co bądź, dla tej właśnie kobiety porzucił ją mąż. Ale choć wzbierają w niej emocje grożące wybuchem i wołałaby zostać sama, dzieje się z nią coś dziwnego, gdy tak spogląda na nową wybrankę Michaela. Zaczyna dochodzić do wniosku, że ta dziewczyna wcale nie jest taka zła. W innych okolicznościach, gdyby były bardziej zbliżone wiekiem, mogłyby się nawet polubić.

- Ty decydujesz, Yvonne - mówi spokojnie, usiłując bezskutecznie nadać głosowi surowy ton. Wie, że jej się nie udało. Rozpad małżeństwa to niełatwa sprawa i nadejdzie jeszcze wiele bolesnych dni, lecz w tej chwili Sophie unosi się na fali euforii i długo już nie wytrzyma. -. Może go tam zostawimy? - proponuje, unikając o włos dziewczęcego świergotu. - Przynajmniej na razie. Mamy to i owo do omówienia.

Samolot Briana podskakuje lekko i wreszcie odrywa się od ziemi. Kapitan uspokaja pasażerów. Jego słowa, wymówione z powolnym, amerykańskim akcentem, rozbrzmiewają kojąco z głośników.

- Proszę państwa, czekają nas... hm... pewne zmiany pogody. Wiedzieliśmy o nich wcześniej, rzecz jasna, a zapewne słyszeliście, że zmierza ku nam front atmosferyczny szybszy niż skunks i znacznie bardziej dokuczliwy. Nie zdołamy go ominąć. Jesteśmy wewnątrz powłoki powietrznej, lecz może nami trochę rzucać. Proszę mocno zapiąć pasy.

- Bardzo śmieszne! - Zachowanie człowieka siedzącego tuż obok Briana przeczy jego słowom. Jego kostki bieleją, gdy zaciska pas. -Przecież by zawrócili albo zmienili kierunek, gdyby coś nam groziło.

Brian, któremu kręci się w głowie ze zmęczenia, odwraca się, ucinając dalszą rozmowę.

- Niewątpliwie ma pan słuszność. Sąsiad milknie, pojmując aluzję.

Mimo komunikatu kapitana pogoda wydaje się rozkoszna, a gładkie morze połyskuje między jednym a drugim horyzontem, tuż pod różowiejącym niebem. Dla większości jego znajomych podróż na Karaiby byłaby życiową okazją.

Jak go powita Eily? Zostawił dla niej wiadomość, lecz nie rozmawiał z żoną bezpośrednio. Na pewno nie zrobi sceny, nie w obecności Jaya Streeta, choć Briana guzik to obchodzi. Czuje jednak, że cudzołóstwo ma wypisane wielkimi literami na czole. Czy Eily, ze swą rzekomą intuicją, zdoła to odczytać?

- Ej, chłopie, wyglądasz trochę blado. Dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Brian usiłuje otworzyć oczy, lecz mu się nie udaje. Bynajmniej nie czuje się świetnie. Raz po raz przełyka ślinę, walcząc z mdłościami.

- Jeszcze pięć minut, proszę państwa. - Kapitan powtarza polecenie zapięcia pasów i przekazuje radosną nowinę, że zmienna pogoda ma się utrzymać przez kilka dni i ustabilizować na początku przyszłego tygodnia. - Przygotujcie więc olejki do opalania i bawcie się dobrze. Dziękujemy, że wybraliście nasze linie. Polecamy się na przyszłość.

Brian zaciska dłonie na poręczach fotela, gdy samolot zaczyna schodzić do lądowania i pikuje długo, kołysząc się i podskakując jak korek na falach. Schowki bagażowe nad głową skrzypią i trzeszczą, podobnie jak rama okienka. Boi się otworzyć oczy. Przeżywa na nowo całą grozę katastrofy. Piorun może uderzyć dwa razy w to samo drzewo. Brian znowu widzi logo Tary, zbliżające się ku niemu wirowym lotem... Był szalony, że się na to zdecydował.

Riba nigdy nie widziała tak ulewnego deszczu jak ten, który teraz bije o piasek z taką siłą, że cała plaża faluje i podskakuje niczym ciemnobrązowa żywa masa. Próbuje, jak dawniej, doszukać się w tym pozytywnych stron i powtarza sobie, że to kolejne nowe doświadczenie, coś, o czym będzie można opowiadać wnukom. W tej chwili jednak trudno jej wykrzesać z siebie jakąkolwiek iskierkę entuzjazmu.

Przede wszystkim cudowne tropikalne słońce, które objawiło im się tak zjawiskowo pierwszego ranka, opuściło wyspę poprzedniego wieczoru, ustępując miejsca niesłabnącej ulewie. Skąd się bierze tyle deszczu? Riba trwała dotychczas w przeświadczeniu, że opady w tropikach to zjawisko przelotne - owszem, zdarzają się oberwania chmury, lecz szybko mijają i są w gruncie rzeczy potrzebne, gdyż oczyszczają i odświeżają atmosferę.

Dzisiaj jednak na to się nie zanosi. Niezliczone pionowe strugi łączą niebo i ziemię, nie uginając się nawet, ponieważ nie ma wiatru. Od czasu do czasu deszcz słabnie, zmieniając się w coś, z czym Riba jest bardziej oswojona, ale od rana nie udało jej się dostrzec choćby przelotnie pobliskiej wysepki. Gdy zaś mowa o nowym statku rejsowym, większym jeszcze niż ten poprzedni, jego rozmiary i wspaniałość nie mają znaczenia, gdy tak majaczy w półmroku niczym smętny duch.

Na domiar złego, do udręk duchowych dołącza się narastający dyskomfort fizyczny - coraz trudniej jest jej wytrzymać w dusznym i parnym bungalowie, gdzie nie ma co z sobą zrobić - pozostaje tylko wpatrywanie się w szare, zasnutte chmurami niebo albo uginające się pod naporem deszczu liście palm.

- Wszystko w porządku, Zel? - Wstaje i podchodzi do łóżka, na którym jej córka leży na brzuchu, z głową odwróconą od lampki. -Może przynieść ci coś do picia?

- Nie, dziękuję - Głos Zeldy brzmi apatycznie.

- Wiem - Riba zdobywa się na dziarski ton - wymasuję ci plecy. Chcesz, kochanie?

- Wszystko mi jedno...

Traktując to jako przyzwolenie, Riba maszeruje do łazienki po swoje olejki i maści. Gdy pomaga córce zdjąć nocną koszulę, wzdryga się w duchu na widok gruzłowatego kręgosłupa i żeber sterczących niczym połamane klawisze fortepianu. Doznaje wstrząsu za każdym razem, gdy na to patrzy, a dzisiaj dodatkowo rozstrajają ją nieustanny deszcz i panująca wokół posepna szarość.

A także inne rzeczy...

Zapala górną lampkę, która wydobywa z mroku panujący w pokoju nieład: wszędzie leżą ubrania, ręczniki i niepotrzebne kremy z filtrem przeciwsłonecznym. Żółtawy poblask słabej żarówki nie daje zbyt wiele światła. Riba z determinacją stawia opór negatywnym uczuciom i sięga po kasetę z walcami Straussa, najbardziej optymistyczną muzyką, jaką przywiozła.

- Wygodnie ci, kochanie?

Nie otrzymuje odpowiedzi, ale daje się unieść muzyce i zaczyna delikatnie masować aromatycznym olejkiem wychudzone plecy córki. Ostrożnie dotyka skóry, pod którą kryje się warstewka ciała tak cienka, iż sprawia wrażenie, że lada chwila pęknie.

Zazwyczaj, wykonując tego rodzaju konkretne czynności, by ulżyć Zeldzie, Riba także odnosi korzyść - dostraja rytm swoich myśli do ruchu palców. Tym razem jednak, gdy jej dłonie delikatnie naciskają i masują, świadomość trzyma się uparcie przerażających obrazów. Jedyne, do czego jest zdolna, to niekończące się i przeraźliwie wyraźne odtwarzanie wciąż na nowo okropnych wydarzeń poprzedniego dnia. Oraz próby przygotowania się do rozmowy z Brianem.

Dzięki Bogu, ten straszny dzień wypełniony deszczem i uczuciem rozczarowania wreszcie się kończy. Riba wie jednak, że najgorsze ma dopiero przed sobą.

Rozdział 32

Chory, obolały i rozgoryczony Brian stoi tuż przy dużym otworze w brudnej, niemalowanej ścianie, skąd wyłaniają się powoli nasiąknięte wodą walizki. Rozmiary otworu pozwalają dostrzec poprzez zalewające lotnisko strugi deszczu leniwe wyładowywanie bagaży. Pasażerowie musieli przebiec do budynku bez żadnej osłony, a teraz tłoczą się w dusznym pomieszczeniu, w którym zamiast czystego powietrza tropików wdychają parę z przemoczonej odzieży. Zwykła rozmowa jest wykluczona, ponieważ ulewa dudni ogłuszająco w blaszany dach, ostrzegając niczym grecki chór przed jeszcze gorszymi klęskami.

Brian odwraca głowę i przebiega spojrzeniem nieliczną grupę osób stojących za liną na drugim końcu hangaru. Nie widzi wśród nich Eily. Ale nawet z tej odległości może bez trudu odczytać grube czarne litery na transparencie, który trzymają dwie szczupłe, wysokie

blondynki, górujące nad całą resztą. „Witajcie! Zapraszamy was na przyjęcie weselne, Inge i Rudi, Margaret i John, Sylvia i John”.

Wyglądają jak bliźniaczki, obie w kusych trykotowych bluzeczkach i opiętych szortach. Najwyraźniej znają angielski - Brian zapomniał sprawdzić, jaki język urzędowy obowiązuje na tej wyspie - i niewątpliwie rzucają się w oczy. Jeśli wszystko inne zawiedzie, może je poprosić o pomoc w znalezieniu taksówki czy czegoś w tym rodzaju.

Zelda, która usnęła w trakcie masażu, wydaje cichy jęk. Riba opiera czoło o zgniecioną pościel na skraju łóżka. Ujmuje bezwładną, wychudzoną dłoń córki i kładzie ją sobie na karku, jak gdyby pragnęła w ten sposób przekazać Zeldzie cząstkę własnego nieprzyzwoitego zdrowia.

- Śpij dobrze - szepcze. - Niech ci się przyśnią zielone łąki, błękitne niebo i anielskie skrzydła. Obyś tylko uwolniła się od bólu. - Słowa więzną w jej ściśniętym gardle. -I ode mnie.

Ręka Zeldy opada, więc Riba ponownie umieszcza ją na swoim karku i przyciska oburącz, wtulając twarz w pościel.

- Ale jeszcze nie teraz. Proszę cię, kochanie. Jeszcze nie jestem gotowa i tak bardzo będzie mi ciebie brakowało. - Choć już nie szepcze, jej zdławiony głos ledwo dobiega spod przykrycia. - Przepraszam cię, Zeldy, kochanie, proszę, wybacz mi, bardzo cię przepraszam. Tak mi przykro...

Tak zastaje go Brian, gdy otwiera drzwi bungalowu.

Skierowały go tam Panny Bliźniaczki, które nawet podwiozły go do ośrodka w towarzystwie nieco speszonych, lecz rozradowanych nowożeńców.

Wysiadłszy z auta tuż za bramą, Brian ruszył w stronę wskazanego domku, zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na lejący deszcz, czy szukać jakiejś osłony. Nie odczuwał już nawet lęku. Przynajmniej strumienie wody spadające na jego głowę były ciepłe.

Przystaje na progu. Eily zwraca ku niemu oszołomioną twarz, jak gdyby dopiero co się obudziła. Klęczy przy jednym z łóżek i choć lampa, która się tam pali, nie oświetliłaby nawet króliczej nory, widać, że żona płakała. Zelda leży na plecach w łóżku, z rozchyłonymi ustami. Jej cera wydaje się bardziej woskowa niż ostatnim razem.

Te otwarte usta, klęcząca i zapłakana Eily... Brian z głuchym stuknięciem upuszcza walizkę. Czyżby zjawiał się za późno?

I wówczas zdarza się coś zupełnie nieoczekiwanego. Eily rzuca mu się w ramiona, zanosząc się rozpaczliwym szlochem. Bełkocze przy tym niezrozumiale - Brianowi wydaje się, że mówi coś o dywanie.

Nie może tego znieść. Przekonany, że jego córka nie żyje, odpycha żonę i dopada do łóżka Zeldy.

Dziewczyna oddycha. Ulga odbiera mu resztkę sił i podchodzi mdlącą falą z żołądka aż do gardła. Brian siada ciężko na brzegu łóżka, budząc córkę.

- Tato! Co ty tutaj robisz?

- Mama nic ci nie powiedziała? Chyba nie. Przyjechałem zabrać cię do domu, skarbie.

- Nie może dać po sobie poznać, jak bardzo jest wytrącony z równowagi, więc dźwiga się na nogi, podchodzi do drzwi, przy których wciąż stoi Eily, i sięga do kontaktu za jej plecami. - W tej norze jest ciemno jak w jaskini, na miłość boską, zapalmy jakieś światło.

Pstryka przełącznikiem, wiatrak pod sufitem zaczyna się obracać, rozgarniając ciężkie, wilgotne powietrze, w pokoju robi się nieco jaśniej, a Brian doznaje wstrząsu na widok znękanej, poranej zmarszczkami twarzy Eily. Nie zauważył wcześniej, że jego żona się starzeje. Teraz wygląda gorzej niż zwykle.

Jego gniew opada. Bierze ją w ramiona i przytula.

- Na miłość boską, Eily, zakręć wreszcie krany. Wiesz, że nie potrafię znieść twojego płaczu. - Wypuszcza ją z objęć i cofa się o krok. - Czy w tym cholernym miejscu zawsze jest taka pogoda? Tej całej wody, co się tu zbiera, wystarczyłoby dla średniej elektrowni.

- Nie zawsze. - Zelda unosi się z wysiłkiem do pozycji siedzącej. - Wczoraj było przepięknie, tato. Naprawdę wspaniale. Ten dzień nam obu dobrze zrobił, prawda, mammo? Chyba nawet trochę się opaliłam.

Jej lojalność ostatecznie rozbraja Briana i sprawia, że resztki złości gdzieś się ulatniają.

- O co ci chodzi z tym dywanem, Eily? Mówiłaś coś o dywanie.

- Wmiatają nas pod dywan - ciągnie pośpiesznie Eily głosem przerywanym czkawką: - Wypędzają nas, nie chcą, żebyśmy przyszły na przyjęcie weselne. Jutro Zel musi pojechać do szpitala. To okropne, Brianie, tak mi przykro... - Opiera się o ścianę i znowu zaczyna płakać.

- Mammo, proszę cię, nie płacz. - Zmartwiona Zelda z trudem gramoli się z łóżka i rusza w stronę matki.

- Wszyscy musimy się uspokoić. - Brian, zeszytniały niczym kawałek drewna, siada na najbliższym krześle. Jak rozwiązać tę sytuację? Co robić?

Dotychczas miał w planach rozprawienie się z Jayem Streetem i zabranie żony i córki do domu pierwszym możliwym samolotem. Jego zmęczony mózg zмага się z samym sobą. Głowa mu pęka od sprzecznych myśli - uczucie do żony, wyrzuty sumienia z powodu tego, co zaszło z Sophie, niepewność, co właściwie do niej czuje, obezwładniający lęk o Zeldę.

Mimo to beczynność nie leży w jego naturze.

- Nie martw się. Niedługo się zobaczymy.

Sophie odkłada słuchawkę. Zerka na zegar: pięć po siódmej. A tam pięć po trzeciej nad ranem. Głos Briana brzmiał spokojnie, gdy prosił ją o przywiezienie Donny'ego na wyspę. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Zeldą nie czuje się na siłach, jak to określił, wracać w tej chwili do domu, a obiecał synowi, że go ściągnie, jeśli uzna to za stosowne.

Sophie przynajmniej nie musi zawiadamiać Donny'ego. Brian powiedział, że sam to zrobi. Podał jej nazwisko i domowy numer kolegi z Aer Lingus.

- Aer Lingus doskonale się sprawdza w ważnych sprawach rodzinnych. Nie przejmuj się kosztami, powiedz, żeby wystawili fakturę na EconoCar. Roger już będzie wiedział, co robić.

- Dobrze się czujesz, Brianie? Jak sobie radzisz?

- Świetnie. Wprawdzie ze zmęczenia mącą mi się myśli, ale poza tym świetnie. - Z jego tonu Sophie odczytała, że nie chce dłużej rozmawiać o sobie. - Przepraszam, że daję ci tak mało czasu, ale nie chciałem cię budzić w środku nocy, a potem nie mogłem znaleźć nikogo, kto by otworzył tę przeklętą recepcję.

- Mamy mnóstwo czasu - mówi cicho Sophie. - Nie martw się. Podał jej numer ośrodka, prosząc o pozostawienie informacji o godzinie przylotu.

- Paszport Donny'ego leży w szufladzie stolika przy moim łóżku, to na wypadek, gdyby nie pamiętał.

- Nie zapomnę.

- I będę wam potrzebne dolary amerykańskie. Zadzwoń do Micka i poproszę go, żeby ci je dał na lotnisku.

- Dobrze, Brianie. Doskonale. Niedługo się tam zjawimy.

- Przepraszam cię. Jestem wykończony. - Na chwilę zawiesił głos. - Przykro mi, Sophie, że proszę cię o coś takiego, ale Donny nie dałby sobie rady sam. Wiem, że z różnych powodów wolałabyś tu nie przylatywać.

- Nie ma o czym mówić.

- Dziękuję ci.

Sophie już się zdecydowała: nie warto rozpamiętywać tego, co było. Pożegnała się - w tym sensie - z Brianem McMullanem w pubie. Teraz traktuje go jak przyjaciela. To ważniejsze niż wszelkie nieprzewidziane wytwory wyobraźni. Zawsze ważniejsze.

W każdym razie, ma teraz przed sobą najistotniejszy w życiu związek, wyczekiwany i zaplanowany. Mimo obawy, że coś może pójść nie tak, że plan zawiedzie, nadal przepełnia ją radość zabarwiona niedowierzaniem, która dominuje nad innymi uczuciami, nawet nad podświadomym lękiem przed podróżą na Wyspę Palm. Ta radość, musująca niczym szampan, odbiera jej sen.

Wokoło panują smoliste ciemności, ale przynajmniej jest cicho i spokojnie. Prognozy pogody przewidują ładny, słoneczny dzień i wcześniej szczegółowo go sobie zaplanowała. Pierwszym przystankiem miał być bank, z którego zamierzała wziąć formularz pożyczki hipotecznej; drugim - dział z wyprawkami dla niemowląt u Arnotta przy Henry Street.

Musi powierzyć Michaelowi zadanie uspokojenia Yvonne i rozpoczęcia niezbędnych procedur bankowych. Choć jako współwłaścicielka będzie musiała podpisać papiery, to jemu przypadnie w udziale zaciąganie pożyczki hipotecznej. I zrobi to, bez wątpienia - naprawdę chętnie by posłuchała rozmowy Micka z Yvonne w samochodzie tuż po odjeździe sprzed domu. Sophie wyobraża sobie jego szok i stalowe spojrzenie dziewczyny. Zważywszy na krzywdę, jaką mąż jej wyrządził, powinna się cieszyć, że dostał za swoje, ale - o dziwo - przez chwilę nawet mu współczuje. Spłacanie rat od stu tysięcy funtów kredytu, nawet chwilowe, będzie dla niego trudnym zadaniem.

Jakby się czuła, gdyby Yvonne - bądź co bądź pani tej sytuacji - zmieniła zdanie, poroniła albo nawet usunęła ciążę? Najgorzej byłoby jednak, gdyby dziewczyna odebrała dziecko przed finalizacją procedury adopcyjnej.

Nie wolno jej o tym myśleć. Prowadziła te pertraktacje, jak umiała, a teraz powinna działać krok po kroku i z dnia na dzień. Prawdopodobnie dobrze się stało, że zaczęła myśleć o Karaibach.

Podnosi słuchawkę i dzwoni do Rogera.

Za kilka godzin karetka zabierze ich do szpitala. Dawno już minął świt i przez szpary w listwach okiennic przedzierają się promienie słońca. Riba cicho odwraca głowę i widzi na sąsiednim łóżku tylko czubek głowy Briana. Nie potrafi określić, czy jej mąż śpi. Przez całą noc wstawał i kładł się z powrotem; kilka razy przyglądał się śpiącej córce, a raz nawet wyszedł z bungalowu na pół godziny i wrócił bez słowa.

Prędzej czy później będą musieli porozmawiać, ale jak ona to wyzna - jak zdoła się aż do tego stopnia upokorzyć? Jak on zareaguje? I czy nie ma prawa być wściekły? Ribę opanowuje poczucie winy za to, co zrobiła z córką.

Dobry Boże, proszę, proszę Cię, niech nie będzie bardzo źle - szuka czegoś, co mogłaby ofiarować w zamian - pojedę do Lough Derg, do Lourdes, do Knock, do Fatimy, Medjugorie, wszędzie, Panie Boże, byleby to nie było zbyt przygnębiające. Wiem, że na to nie zasługuję, ale proszę, niech to nie będzie przygnębiające.

Siedzi na plastikowym krześle przed bungalowem, przyglądając się wzmożonej aktywności mieszkańców ośrodka - gimnastyce, biegom, pływaniu, dzięki Bogu Jay nie prowadzi tych zajęć - gdy nagle pojawia się Brian w samych szortach.

- Dzień dobry - rzuca krótko.

- Dzień dobry.

Zanurza się w fale i przemierza je niczym wielka ryba, rozplamiona ogniem. To jej Brian. Słoń w morskim składzie porcelany.

Riba stopniowo uświadamia sobie pewne sprawy. Czy to jeszcze jej Brian? Czy chce być jej Brianem? Nie miałyby do niego pretensji, gdyby ją odtrącił.

Wreszcie, zasapany, wychodzi z wody i staje obok jej krzesła.

- Znajdzie się tu jakiś ręcznik? Bo nie zabrałem ani jednego.

- Przyniosę ci.

Sprawdziwszy po drodze, jak się czuje Zelda - która spokojnie śpi - Riba wraca z dużym plażowym ręcznikiem i podchodzi do męża, żeby wytrzeć mu plecy, on jednak wrywa jej ręcznik i odsuwa się, energicznie wycierając tors. Riba przygląda się temu z pokorą. Jej mąż nadal jest bardzo przystojnym mężczyzną o zgrabnych pośladkach i jędrnej skórze; ma umięśnione nogi i ramiona, zarys niewielkiego, rozczulającego brzuszka, a dwudziestoczterogodzinny zarost, zazwyczaj starannie wygolony, wydaje się w blasku słońca jaskraworudy.

- Chcesz ze mną porozmawiać? - Jej głos brzmi niepewnie.

- A o czym? - Wyraz jego twarzy wydaje się nieodgadniony. - Co mamy sobie do powiedzenia? Nie żyjemy z sobą jak mąż i żona, Eily, i to od lat. Mówię poważnie.

- Wiem, masz rację - przyznaje pokornie Riba - ale proszę...

Po krótkim wahaniu Brian opada na plastikowe krzesło, tak ciężko i niezgrabnie, że mogłoby się pod nim załamać. Przypomina sobie, gdzie jest, przyglądając się półkolu domków, a potem morzu, po którym powoli płynie statek wycieczkowy, tym razem nieduży

- Co ci się stało w nogę?

Riba spogląda w dół na owiniętą bandażem kostkę.

- Nic takiego. Po prostu źle stąpnęłam. Brian ponownie zwraca oczy ku morzu.

- Zawsze o tym marzyłem.

- O czym? - Kolejna zmiana tematu zbija ją z tropu.

- Żeby popłynąć w rejs. Może kiedyś się wybiorę.

Choć zauważyła, że to życzenie nie obejmuje jej osoby, spokojny ton wydaje się Ribie czymś w rodzaju gałązki oliwnej.

- Obserwowałam je - mówi żarliwie. - Co rano przypląwa nowy.

Bardzo wcześnie, jeszcze przed wschodem słońca. Czy nie chciałbyś się dowiedzieć, co przewozi ta mała łódka?

Patrzę na wyładowaną dingi, która sunie powoli i ociążale ku lśniącym burtom liniowca. Za relingiem widać dwie drobne sylwetki w bieli.

- Tak - odpowiada cicho Brian - to z pewnością życie, w którym wszystko, nawet wakacje, przychodzi do człowieka samo. - Odwraca się do niej, a jego zimne spojrzenie przejmuje ją dreszczem. - Co jest grane, Eily? Tylko nie wciskaj mi kitu.

Riba nawet nie próbuje wzbudzić w nim współczucia i z całą szczerością, na jaką ją stać, niczego nie pomijając, przedstawia wydarzenia, które nastąpiły od chwili pojawienia się jej i Zeldy na Wyspie Palm. O dziwo, w miarę opowiadania o tym, jak Jay je odtrącił i jak poniewczasie uświadomiła sobie, że popełniła błąd, wlokąc tu Zeldę, zaczyna czuć się nieco lepiej.

- Mimo wszystko - kończy - wyjąwszy tę sytuację, musisz przyznać, że organizacja miała na mnie bardzo dobry wpływ.

- Wcale nie! - Jego ton wyklucza dalszą dyskusję. Słuchając żalosej opowieści Riby, nie spozrzał na nią ani razu, lecz wpatrywał się w statek wycieczkowy, który opuścił sieć, by zabrać zapasy z łodzi, kołyszącej się teraz tuż koło burty. Brian odwraca głowę w stronę żony, a w jego oczach nie ma litości. - Koniec z tym, Eily. Musisz wybrać między mną a tym hochsztaplerem i jego bandą. - Pochyla się ku niej, przesywając ją gniewnym spojrzeniem i zaczyna wyliczać, co teraz nastąpi. - Po pierwsze, nie ma sensu roztrząsać krzywdy, jaką wyrządziłaś Zeldzie. Zakładam, że na swój prymitywny sposób wierzyłaś, iż postępujesz

słusznie. Co się stało, to się nie odstanie i jedyne, co możemy zrobić, to zawieźć ją do tego amerykańskiego szpitala, o którym wspomniałaś. Niewątpliwie jest w tej chwili zbyt słaba, żeby odbyć podróż powrotną do Irlandii, choć zasięgnę w tej sprawie opinii lekarzy. Przypuszczam, że podobnie jak ja wolałabyś, aby umarła w Irlandii, a nie w tym zapowietrzonym miejscu.

Riba wydaje stłumiony okrzyk. Brutalność tych słów uderza ją w piersi jak obuchem, lecz Brian ignoruje jej reakcję i ciągnie bezlitośnie:

- Po drugie, jeśli odmówisz zerwania wszelkich kontaktów z tą szajką, spotkamy się w sądzie i będę się domagał przyznania mi wyłącznych praw do opieki nad Donnym, a także alimentów, czy jak to się tam teraz nazywa. Myślę, że mam po temu solidne podstawy, choć zazwyczaj sądy orzekają inaczej. Po trzecie, nie będziesz się wtrącać, gdy poinformuję pana Streeta, że nie dostanie od nas ani pensa za swoje tak zwane usługi i zakwaterowanie. Ani jednego pensa.

Riba gwałtownie wciąga powietrze, Brian zaś pochyla się jeszcze bliżej, omal nie wywracając lekkiego krzeselka. Jego głos drży z furii, gdy pyta:

- Zgadasz się na te warunki?

- Tak - odpowiada Riba bez wahania. Nie może z nim walczyć, choćby chciała.

Brian jeszcze nie skończył.

- I ostatnia sprawa. Czy ty chcesz być moją żoną, Eily? Moją, Briana McMullana, człowieka z krwi i kości?

- Co to za pytanie? - Zdumiewa ją ten nagły zwrot w rozmowie.

- Powinienem był ci je zadać dawno temu. - Brian z pochmurną twarzą odchyła się na oparcie krzesła. - Powtarzam: czy chcesz być moją żoną? Nie po prostu zameżną kobietą z wszystkimi tego konsekwencjami, lecz mieć za męża właśnie mnie. To oznacza równość, nie upodobnienie się do siebie, oczywiście, ani kompromisy i targi, ale rzeczywiste partnerstwo. A nie wydaje się, żebyś w najmniejszym stopniu brała pod uwagę moje poglądy. - Unosi rękę, gdy Riba otwiera usta, żeby zaprzeczyć. - Proszę, zastanów się nad odpowiedzią, bo to, co powiesz, może być decydujące. - Zawiesza głos, wpatrując się w nią. - Nie śpiesz się. Co dla ciebie oznacza małżeństwo ze mną?

- Chyba... oznacza siłę, bezpieczeństwo i miejsce na ziemi, w społeczeństwie.

- Dobra odpowiedź. Ale dotyczy ciebie i twojego statusu. Nie mówi niczego konkretnego o mnie, o tym, kim jestem i co znacę w twoim życiu, jako Brian McMullan, a nie wszystko jedno jaki mężczyzna. Zauważyłem, że nie powiedziałaś ani słowa o miłości.

- To się przecież rozumie samo przez się.

- Czyżby? A właściwie dlaczego? Czemu, na przykład, zakładasz, że ja nadal cię kocham?

Niebo nad głową Riby, pogodne i dające schronienie przez tyle lat, zaczyna pękać. Wkrótce może się rozpaść, zasypując ją gradem śmiertelnie ostrych, trójkątnych odłamków, które poszarpią ją na drobne strzępki.

- Nie kochasz mnie już?

- Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że nadszedł czas, abyś zastanowiła się trochę nade mną, nad sobą, nad naszym małżeństwem. Czy ty mnie kochasz?

- Oczywiście, że tak.

- Dlaczego „oczywiście”? Co którekolwiek z nas ostatnio zrobiło, by dowieść lub choćby okazać, że to drugie jest dla niego najważniejszą osobą na świecie? Czy naprawdę by cię obeszło, Eily, gdybym od ciebie odszedł, na przykład do innej kobiety? Wiem, że na początku byłabyś wytrącona z równowagi, no i dochodzą jeszcze względy finansowe, ale w głębi serca i na dłuższą metę, czy wpłynęłoby to na twój styl życia?

Odłamki zaczynają spadać i kaleczyć Ribę.

- Inna kobieta? O co w tym wszystkim chodzi, Brianie? Mąż wstaje z krzesła.

- Dobrze wiesz, o co. - Patrzy na nią i wreszcie współczującym gestem kładzie dłoń na jej ramieniu. - Chciałbym, żebyś się uczciwie zastanowiła nad tymi sprawami, Eily. Proszę cię. Obydwoje mogliśmy zginąć w tamtej katastrofie i to dało mi do myślenia. Tobie zapewne również. Bądźmy przynajmniej z sobą szczerzy. Poważnie mówiłem, żebyś się nie śpieszyła. Nie będę cię ponaglał, ale lepiej, abym usłyszał prawdziwą odpowiedź.

Rozdział 33

Ambulans z pogodną załogą w odprasowanych uniformach to przerobiony lincoln Continental sedan z przyciemnianymi szybami; tylne siedzenia zastąpiono długą ławą i leżanką, które rozdziela wąskie przejście. Pojazd jest naszpikowany sprzętem medycznym i monitorami, zręcznie rozmieszczonymi, by maksymalnie wykorzystać ograniczoną przestrzeń.

Riba patrzy wstrząśnięta na Zeldę, słabą i uległą, gdy personel medyczny pomaga jej wsiąść do karetki. Świeci ostre, południowe słońce. Sumienie nie daje jej spokoju. Poprawa, którą - jak się wydawało - dostrzegła u córki, cofnęła się zupełnie, jeśli w ogóle nastąpiła.

Jednocześnie w skrytości ducha czuje ulgę, że już nie dźwiga tego brzemienia sama - teraz, kiedy zrozumiała, jak ciężko jest walczyć z całym światem w roli samotnego gladiatora. Jeszcze tego ranka próbowała znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, powtarzając w myślach, że Brian jako ojciec nie angażował się do tej pory tak, jak powinien; nigdy tego zresztą nie robił. Ale jej znękane serce, na które od przybycia na wyspę spadło tyle ciosów, nie mogło tego znieść i zawołało: „Dość!”.

Riba, która nie uznaje półśrodków, kapituluje całkowicie i jest gotowa do pełnej współpracy z Brianem, z Kalifornią, z lekarzami - z każdym, kto zaoferuje jakąkolwiek pomoc.

Nie ma odwagi analizować swoich uczuć w stosunku do Jaya - jej rozczarowanie i ból są jeszcze zbyt świeże - i zupełnie nie wie, jak zareaguje, gdy znowu go zobaczy, zwłaszcza teraz, w obecności Briana.

A gdy mowa o mężu, jak on postąpi?

- Jest miejsce dla jeszcze jednej osoby. - Ułożywszy Zeldę pod kocem na wyściełanej leżance, sanitariuszka uśmiecha się do rodziców chorej. - Kto z nami pojedzie?

- Ty jedź, Eily - mówi bez namysłu Brian. - Ja tu załatwię kilka spraw, wezwę taksówkę i dojadę do was.

- Dobrze. - Riba powstrzymuje się od zapytania o owe „sprawy” i siada naprzeciw Zeldy.

Z różnych powodów nawet woli nie wiedzieć. Zanim zamkną się drzwi lincolna, widzi, że jej mąż się odwraca i pośpiesznie wchodzi do bungalowu, nie czekając, aż odjadą - jak gdyby miał coś niezmiernie pilnego do zrobienia. Co ją czeka w przyszłości ze strony tego człowieka?

Kierowca stara się nie wytrząść pasażerów, prowadzi wolno, lecz nie jest w stanie ominąć wszystkich kolein i wybojów i pojazd kołysze się i podskakuje na swoich luksusowych resorach. Ściskając w jednej ręce torbę z lekami Zeldy, Riba drugą trzyma się brzegu siedzenia.

- Wygodnie ci, kochanie? - pyta szeptem, nachylając się do ucha córki.

- Tak, mamó. - Wargi Zeldy, niebieskawe w świetle jarzeniówki tuż nad ich głowami, ledwo się poruszają.

Riba odwraca się do sanitariuszki, która próbuje coś zanotować na kartce przypiętej do podkładki.

- Kiedy dojedziemy na miejsce?

- Za niecałe dziesięć minut. Pani jest z Irlandii? Zawsze chciałam tam pojechać. Podobno macie mnóstwo zieleni. Zna pani zespół Corrs?

- I jak córka? - Jedna z Panien Bliźniaczek pełniła dyżur za biurkiem, gdy Brian wszedł do recepcji, żeby zamówić taksówkę.

- Bardzo dobrze, dziękuję.

Nie miał najmniejszej ochoty na dalszą pogawędkę, więc zaczął na zewnątrz. Wydawało mu się, że upłynęły wieki, zanim zdezelowana taksówka, wygrywająca klaksonem pierwsze takty marszu z „Mostu na rzece Kwai”, dotarła na teren ośrodka. Gdy się wreszcie zjawiała, Brian zaczynał mieć dość i pocił się obficie. Powietrze poza klimatyzowanym bungalowem było nasiąknięte wilgocią niczym opary nad irlandzkim trzęsawiskiem.

Po piętnastu minutach jazdy Brian żałuje, że nie wybrał się piechotą. Kurczowo trzyma się za brzuch, gdy auto, szorujące podwoziem po wybojach i co pewien czas wygrywające „Kwai”, dociera wreszcie do długiej, niebrukowanej drogi, od której najwyraźniej zaczyna się „miasto”.

Czując, że nie wytrzyma w tym wozie ani chwili dłużej, informuje kierowcę, iż resztę drogi przejdzie pieszo.

- Jak pan sobie chce, człowieku. - Taksówka hamuje z piskiem opon. - Nie sposób go przeoczyć: duży, okrągły budynek, pomalowany na różowo.

Przyjmuje pięciodolarowy banknot i odjeżdża, wzbijając tumany kurzu.

Brian opędza się od chmary much, atakujących jego głowę i twarz. Mruży oczy w oślepiającym świetle i przygląda się ulicy, wstrząśnięty kontrastem między tym miejscem a schludnym - acz tandetnie zbudowanym - ośrodkiem, który właśnie opuścił. Oprócz zaledwie kilku murowanych budynków, większość domów i sklepów jest z drewna i blachy falistej; niektóre nawet podejrzanie przypominają przerobione kontenery. Prawie wszystkie wznoszą się na niezbyt grubych drewnianych palach, jeszcze z kawałkami kory.

Echa scysji z Eily jeszcze dudnią mu w głowie, lecz z jakiegoś powodu nie dręczy się tym. Dawniej po małżeńskich sprzeczkach zawsze było mu przykro, do tego stopnia, że po kilku godzinach Eily mogła się spodziewać jego powrotu z bukietem róż i żarliwą chęcią naprawienia wszystkiego. Martwił się, że ją zdenerwował. Teraz jednak nie czuje nic.

Podobnie po awanturze na szpitalnym korytarzu w Dublinie - nawet nie przyszło mu do głowy, żeby przeprosić żonę za ostre słowa.

I wtedy, i teraz mówił dokładnie to, co myślał, a ona w pełni zasługiwała na porządną reprimendę. Nie w tym problem. Choć Brian nienawidzi się za to, kompletnie przestało go obchodzić, co Eily czuje.

Czyżby sam nie zauważył śmierci własnego małżeństwa?

Mimo woli nawiedza go wspomnienie zapachu Sophie, który owiał jego nozdrza, gdy przytulił ją po raz ostatni w oranżerii przy hotelowym barze. Przestań natychmiast!

Spogląda w górę na ciemniejące niebo. Zaraz znowu lunie deszcz. Świetnie. Boże, błogosław Karaiby.

- Na pewno wkrótce się zjawi. Jeśli pani chce, możemy zatelefonować do ośrodka, ale jestem przekonana, że już wyjechał. - Riba uśmiecha się do dziewczyny za biurkiem izby przyjęć, zrobionym z jasnego, wygładzonego drewna.

Dziewczyna, blondynka jak Kalifornica, lecz mniej więcej o połowę od niej niższa, odwzajemnia uśmiech.

- Proszę się nie martwić, pani McMullan, nie ma pośpiechu. Przypuszczam tylko, że Zelda chciałaby się położyć do łóżka.

- Owszem, chciałaby. - Riba, która podtrzymuje córkę siedzącą na krześle obok, obejmuje ją mocniej.

Pracownica szpitala wraca do klawiatury.

Uśmiech Riby gaśnie. Czekają już prawie czterdzieści pięć minut w tym obszernym, chłodnym pomieszczeniu, wypełnionym błyszczącymi roślinami w gustownych doniczkach, i mimo pozorów spokoju narasta w niej zdenerwowanie całą sytuacją. Nie ma pojęcia, w jaki sposób Brian zamierza rozwiązać obecne problemy, i jej przekonanie, że w ogóle to zrobi, zaczyna słabnąć. Powinna była wspomnieć mu w pozostawionym liście o ubezpieczeniu - przynajmniej byłby na to przygotowany.

Wprawiło ją również w konsternację pytanie o dokumentację i kartę choroby Zeldy, których, rzecz jasna, nie ma przy sobie. Ale dziewczyna ją pocieszyła:

- To nic, proszę pani, możemy je ściągnąć e-mailem.

Gdzie jest Brian? Ma nadzieję, że nic mu się nie stało, nie zdarzył się jakiś wypadek, ponieważ na zewnątrz pogoda uległa błyskawicznej zmianie. W jednej chwili świeciło słońce, w następnej świat pociemniał i deszcz zaczął tłuc w wypielegnowany trawnik tysiącami bezlitosnych młoteczków. Przez podwójne - a może nawet potrójne - szyby prawie nie słychać ulewy, co budzi przedziwne uczucie - zupełnie jakby klimat nie miał nic wspólnego z tym

wnętrzem, w którym stukot klawiatury komputera, cichy plusk małej fontanny i szmer klimatyzacji świadczą o spokoju i komforcie.

Samopoczucie Riby jest jednak dalekie od komfortu. Przede wszystkim Zelda, dla której zażywanie antybiotyków o ściśle określonych porach ma zasadnicze znaczenie, powinna zaraz połknąć tabletki.

- Czy mogę ją zaprowadzić do holu i położyć na chwilę na którejś kozetce? - pyta. - Potrzebuję dla niej trochę wody do popicia lekarstw.

Blondynka się waha.

- No, nie wiem, pani McMullan, muszę zapytać. Wolimy, aby pacjenci zostali zarejestrowani i umieszczeni w swoich pokojach. Pani mąż z pewnością zjawi się lada chwila. Mogę nalać pani wody z dysrtrybutora.

- My jednak wyjdziemy. - Podtekst jest wyraźny: „Nie życzymy sobie, aby jacyś niechlujni ludzie zaśmiecali nasze salony”, ale Riba ma już dość i nie czekając na odpowiedź, delikatnie pomaga Zeldzie wstać. - Zostawię to tutaj, dobrze? - Wskazuje plik formularzy do wypełnienia, na których leży faktura opiewająca na sto dolarów opłaty za przewóz karetką.

Gdy kładzie Zeldę na kanapie w przestronnym, luksusowo urządzonym holu, słyszy za sobą szmer automatycznie rozsuwanych drzwi i bębnienie deszczu. Ogląda się przez ramię. Dzięki Bogu, to Brian, taki przemoczony, jakby przybył tu wpław.

Czterdzieści pięć niełatwych minut później Zelda znajduje się wreszcie w swoim pokoju. Władz amerykańskiej kliniki nie przekonały prośby, argumenty, ostre słowa ani rozmowy telefoniczne z informacją międzynarodową irlandzkiego funduszu dobrowolnych ubezpieczeń zdrowotnych. Dyrektor szpitala był uprzejmy, lecz stanowczy.

- Jesteśmy niewielką, samofinansującą się instytucją, panie McMullan. Nasz personel i wyposażenie są na najwyższym poziomie. Niestety, wasza irlandzka polisa ubezpieczeniowa nie spełnia naszych standardów. Jeśli jednak posiada pan ważną kartę kredytową...

Brian nie miał wyboru - musiał wręczyć im swoją służbową kartę American Express. Dopiero wtedy pojawił się wózek dla chorej i szpitalne procedury płynnie ruszyły z miejsca.

Teraz Zelda została podłączona do kroplówki z roztworem soli fizjologicznej, a Riba i jej mąż siedzą w fotelach na korytarzu, obok drzwi pokoju córki. Starszy mężczyzna w jedwabnym szlafroku przesuwając się powoli i z trudem po dywanie, korzystając z pomocy chodzika oraz dopingującej go łagodnie pielęgniarki. Brian nie stara się nawet ściszyć głosu.

- Czy masz pojęcie, ile to będzie kosztowało, Eily? Jak mogłaś być taka głupia?

- Nie ma jej dokąd przenieść. - Nagły lęk zagłusza w Ribie poczucie winy. - To najprawdopodobniej jedyny przyzwoity szpital na wyspie.

- Państwo są Irlandczykami? - Pielęgniarka towarzysząca starszemu panu zatrzymuje się przy nich.

- Owszem.

- Tak myślałam. - Kobieta, wyglądająca na osobę po trzydziestce, pozwala swemu pacjentowi chwilę odpocząć. - Pochodzę z Liverpoolu, uzyskałam dyplom w Beaumont i mam wielu przyjaciół w Dublinie. Przepraszam, ale usłyszałam przypadkiem... czy mają państwo jakieś kłopoty? Mogę w czymś pomóc?

Cuda się jednak zdarzają, myśli Riba pół godziny później, choć tego, który teraz nastąpił, nie przypisuje Jayowi Streetowi ani dawnym znajomym z organizacji.

- Rzucę na nią okiem - powiedziała pielęgniarka. Odprowadziwszy podopiecznego do pokoju, weszła na chwilę do Zeldy, po czym wróciła do Briana i Eily, aby im wyjaśnić, że Zelda potrzebuje raczej nadzoru i opieki pielęgniarskiej niż najnowocześniejszej szpitalnej aparatury. - Jak rozumiem, wyniki nie są złe. Jej stan wydaje się w tej chwili stabilny. Niech na tę noc tu zostanie, a jutro moglibyście państwo ją przenieść.

- Dokąd? - zapytał ostrożnie Brian.

- Jest takie miejsce na obrzeżach miasta. Dom spokojnej starości.

- Spokojnej starości? - powtórzyła z niedowierzaniem Riba. - Za nic!

- To nie to, o czym pani myśli, naprawdę. Zupełnie inny niż placówki, które są na Wyspach Brytyjskich. Bardziej przypomina sanatorium. Na jednego pacjenta przypada półtorej osoby personelu. Regularnie kierujemy tam pacjentów w różnym wieku. To miły, pogodny ośrodek, prowadzi go mój kolega ze Szkocji. Szczerze polecam tamtejszą opiekę. Piękne ogrody i wspaniałe widoki, dom nad samym morzem. W takim miejscu sama chętnie spędziłabym wakacje! - Zniżyła głos. - Zapewne w tak trudnych chwilach nie myślą państwo o pieniądzach, ale rachunki będą się piętrzyć, a w St. Rita's opłaty wynoszą mniej niż jedna trzecia tego, co tutaj. Proszę się zastanowić.

Ta współczesna Florence Nightingale zaofiarowała się z regularnymi „domowymi” wizytami u Zeldy, dopóki...

- Dopóki nie nabierze sił - dokończyła taktownie, stanowczo odmawiając przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy. - Moja mama zmarła w hospicjum i zawsze sobie powtarzałam, że kiedyś się odwdzięczę.

Po jej odejściu Brian i Eily sprzeczali się przez chwilę. Brian zwyciężył. A gdy poruszyli ten temat w rozmowie z Zeldą, nie napotkali sprzeciwu.

Donny i Sophie ścigają się z czasem, by zdążyć na samolot American Airlines do Caracas. Kolega Briana, Roger, spisał się na medal i poinformował załogę Aer Lingus o ich sytuacji; choć lot do Nowego Jorku się opóźnił, na lotnisku Kennedy'ego zabrała ich z samolotu pracownica linii lotniczych, która teraz prowadzi elektryczny wózek przez labirynt pojazdów do właściwego wyjścia.

- Nie martwcie się - woła przez ramię - zdążymy! Zaczekają na nas, pasażerowie jeszcze wsiadają.

- Dobrze się czujesz, Donny? - Sophie zerka na chłopca, trzymając się kurczowo poręczy przy siedzeniu.

- Świetnie, ciociu, dziękuję.

Był milczący przez cały lot na drugą stronę Atlantyku i Sophie zostawiła go w spokoju. Rano zaczęła coś mówić o jego rozczarowaniu w związku z wyjazdem do Anfield, ale jej przerwał.

- To nieważne, ciociu. Anfield nie ucieknie.

Zaskakująco dojrzała reakcja. Bóg jeden wie, co czeka biednego dzieciaka na tej wyspie. Brian mówił wprawdzie spokojnym tonem, ale - upewniwszy się, że Zelda żyje - nie pytała go, dlaczego wzywa ich tak pilnie. Dziwna rzecz, w jej głowie nagle pojawia się stare irlandzkie powiedzenie, którego nie słyszała od czasów dzieciństwa: „Jedno umiera, drugie się rodzi...”.

Michael stanął na wysokości zadania, gdy do niego zadzwoniła tuż po rozmowie z pracownikiem Aer Lingus. Znając dobrze męża, wiedziała, że propozycja obciążenia hipoteki domu wywołała w nim wstrząs, lecz nie rozwodził się nad tym i spotkał się z nimi w hali odlotów, by przekazać jej dolary.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. Daj mi znać, co się dzieje, Soph.

- Dobrze. Czy załatwiłbyś dla mnie kilka spraw? Mógłbyś zadzwonić do Nancy i powiedzieć jej, co się stało? Martwię się o nią i obiecałam jej lunch. Proszę cię jeszcze, żebyś zadzwonił pod ten numer - wręczyła mu kartkę pośpiesznie wyrwaną z notesu - i przekazał sekretarce, że Donny nie będzie mógł przyjść na spotkanie z lekarzem... w wiadomej sprawie.

- Zerknęła na chłopca, który zdawał się nie słuchać. - Idź do banku, najszybciej, jak się da. I czy wyszukasz dla mnie jakiegoś adwokata? To nie powinno być trudne, ogłaszają się wszędzie i nie chcą pieniędzy z góry. - Podała mu plik formularzy i listów, który zgromadził się na stoliku przy telefonie.

- Nie ma sprawy. - Wziął od niej papiery. - Gdybym mógł się jeszcze do czegoś przydać...

- Życzę ci powodzenia w nowym życiu. Przepraszam, że obciążam cię tym wszystkim.
- Zadowolona, że okazał się tak chętny do pomocy, lecz wyczuwając w tym nieco przesadną gorliwość, Sophie na wszelki wypadek postanowiła rozwiązać jego płonne nadzieje. - Dziękuję, Michaelu - dodała szczerze.

Zrozumiał sugestię i wycofał się, życząc im szczęśliwej podróży pomimo okoliczności. Następnie zostawił oboje pod opieką pracownika Aer Lingus, kręcącego się w pobliżu, który zaprowadził ich do poczekalni.

Dość dziwnie się czuła, rozmawiając z Michaelem w tak rozsądny, niemal oficjalny sposób po tym wszystkim, co między nimi zaszło. Kryzysowa sytuacja sprawiła, że patrzyli na wszystko z innej perspektywy; dla niej samej znaczenie tamtej jednej miłosnej nocy malało z każdą godziną, w miarę odliczania kolejnych kilometrów między Dublinem a Nowym Jorkiem.

Czekają ją niezręczne chwile, gdy znowu zobaczy Briana, lecz wio, że to nieuniknione, i już nie obawia się spotkania z Eily tak bardzo, jak wcześniej. Teraz ma nadzieję, że w czymś jej pomoże.

Docierają do stanowiska odprawy w momencie, kiedy urzędniczka przelicza karty pokładowe. Następuje krótkie zamieszanie, gdy dziewczyna z Aer Lingus ścisła im dłonie, życzy szczęśliwej podróży i odjeżdża swoim wehikułem. Nie wiadomo dlaczego, widok znajomego zielonego mundurka znikającego w oddali wytrąca Sophie z równowagi.

- No cóż - zwraca się do Donny'ego, podczas gdy urzędniczka stuka pracowicie w klawiaturę komputera - na razie idzie nam nieźle.

- Mhm. - Chłopiec przestępuje z nogi na nogę i Sophie wyczuwa jego lęk i samotność.

W jednej z toreb ma zdjęcia, które zrobiła Zeldzie; mimo korków dotarła okrężną drogą do centrum, kazała taksówkarzowi zaczekać, a potem pojechała prosto na lotnisko. Niektóre wyszły pięknie, lecz w kilku początkowych zbliżeniach obiektyw okazał się okrutny. Postanowiła zatrzymać te fotografie, choć nigdy nie pokaże ich rodzicom Zeldy ani Donny'emu. Zamierzała dać mu do obejrzenia te „dobre” podczas podróży, doszła jednak do wniosku, że to go jeszcze bardziej rozstroi.

Patrząc teraz na chłopca, gdy tak się kręci i szura nogami, Sophie jest w rozterce. Kilkogodzinna opieka czy zyczliwa rozmowa to nie to samo, co samotna odpowiedzialność za dziecko w tak przełomowych chwilach. Cóż, powinna zacząć się z tym oswajać - ma już zapisane w notesie nazwisko i numer telefonu pracownicy społecznej związanej z komisją adopcyjną. To również uzyskała w biegu, choć nie znalazła już czasu, żeby zadzwonić i umówić się na spotkanie. Może zatelefonuje z wyspy.

Na myśl o dziecku ciało Sophie przenika dreszcz, ostry niczym sople lodu. Fizyczne doznanie jest tak silne, że chyba wszyscy wokół musieli coś zauważyć. Na pewno aż podskoczyła. Ale nie. Urzędniczka wciąż stuka w klawiaturę, Donny nadal przebiera nogami. Nic się nie zmieniło.

Obydwoje przespali pięciogodzinny lot z Nowego Jorku do Caracas, mimo to Sophie czuje się jak przepuszczona przez wyżymaczkę, gdy ich mały rejsowy samolot rozpoczyna ostatni etap trasy obejmującej wyspy archipelagu. Straciła poczucie czasu.

Dostrzega Briana natychmiast po wejściu do hali przylotów, która jest właściwie czymś w rodzaju baraku. Trudno byłoby nie zauważyć jasnowłosego mężczyzny, górującego nad całą nieliczną grupą zgromadzoną za liną na drugim końcu pomieszczenia.

Ponieważ i ona, i Donny mają tylko bagaż podręczny, mogą iść prosto do kontroli celno-paszportowej, lecz Sophie - nagle niepewna, czy zdoła całkowicie się opanować - przepuszcza chłopca przodem i udaje, że szuka paszportu. Przeprasza urzędnika, który, rozpluwając się w uśmiechach, zapewnia ją, że nie musi się śpieszyć. Przez cały czas

jest świadoma faktu, że Brian, ściskający syna, stoi o kilka metrów od niej. Kiedy ma już pewność, że opadło z niej napięcie, „znajduje” paszport i przechodzi przez odprawę. Brian wypuszcza Donny'ego z objąć.

- Witaj, Sophie, bardzo ci dziękuję - a potem do syna: - Zanim zapytasz, Zelda jest w tutejszym szpitalu. To porządny ośrodek, ma tam dobrą opiekę. Wie, że przylatujesz, i bardzo się z tego cieszy. Jest z nią mama. Przykro jej, że nie mogła po ciebie przyjechać.

- W porządku, tato. Dziękuję, że mnie tu ściągnąłeś. - Twarz chłopca jest bardzo blada. - Jedziemy tam od razu?

- Nie ma potrzeby, synu. Chyba że wam szczególnie zależy? - To pytanie kieruje także do Sophie - Będzie spała. Ona teraz dużo śpi. Wam też przyda się chwila odpoczynku. Pojedziemy jutro, skoro świt.

- Dobrze, tato. Jak uważasz.

- Chodźmy - Brian wyjmując Sophie z rąk torbę i aparat fotograficzny - Udało nam się załatwić dla ciebie osobny pokój. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie, choć wilgotność jest tu koszmar. Nigdy więcej nie powiem złego słowa o irlandzkiej pogodzie. Raz jeszcze ci dziękuję, Sophie. Jak podróż?

- Długa! - Sophie próbuje się uśmiechnąć, gdy ruszają w stronę wyjścia, lecz jest tak zmęczona, że mięśnie twarzy odmawiają jej posłuszeństwa. Wyczerpanie działa w pewnym sensie na jej korzyść, ponieważ tłumia niepokój, spowodowany bliskością Briana.

- Przykro mi z powodu Anfield - mówi Brian do syna. - Wynagrodzę ci to jakoś.

- W nosie mam Anfield. - Donny wysuwa się naprzód, gdy przechodzą przez drzwi.

Na zewnątrz pyta, czy może usiąść na przednim siedzeniu taksówki. Nie widząc sensownego powodu, by odmówić, Sophie i Brian już po chwili podskakują razem z tyłu. Siedzą wciśnięci każde w swój kąt i pierwsze pięć minut drogi upływa im w milczeniu. Sophie twardo postanowiła zachowywać się tak naturalnie, jak to tylko możliwe, i w skupieniu wygląda przez okno, choć niewiele teraz widać - tylko wodę połyskującą w blasku księżyca i drzewa po obu stronach, oświetlane reflektorami samochodu. Zapewne las. Wyczuwa, że Brian na nią patrzy, i odwraca głowę.

- Słuchaj - odzywa się przyciszonym głosem, zerkając na Donny'ego - przepraszam, ale nie zdążyłem powiedzieć Eily o twojej sytuacji w domu.

- Masz na myśli Michaela i Yvonne? - To połączenie imion sprawia jej przykrość, lecz zarazem działa w sposób terapeutyczny, jak gdyby poprzez potwierdzenie i nazwanie sytuacja stawała się bardziej rzeczywista, a poczucie krzywdy słabło. Brian wpatruje się w nią uważnie.

- Wszystko razem - mówi. - Wszystko razem...

To znaczy, chodzi też o ciebie i o mnie, myśli Sophie. Głośno zapewnia go, że słusznie postąpił, nie obciążając tym Eily, że ona i tak ma teraz wystarczająco dużo na głowie. W ciemności nie potrafi odczytać wyrazu jego twarzy. Czy kryje się za nim ulga, że Sophie nie urządzi sceny przy jego żonie? Czy żal za tym, co mogło się jeszcze zdarzyć? Przestań, Sophie. Zachowujesz się jak głupia nastolatka.

- A teraz - zaczyna najspokojniejszym tonem, na jaki potrafi się zdobyć - opowiedz mi o Zeldzie.

Gdy taksówka zatrzymuje się przy ośrodku, położonym nad samym morzem, wszędzie jarzą się światła i widać wzmożony ruch. Co tu się dzieje? Wysiadając z auta, Sophie czuje silną, egzotyczną mieszaninę zapachów: dym z płonącej smoły i drewna, woń pieczonego mięsa, nieznanne przyprawy i mocny aromat kadzideł. Może nawet coś, co pamięta z czasów, gdy chodziła na prywatki, gdzie z ręki do ręki podawano sobie skręta.

Zapach smoły wydzielają dziesiątki płonących pochodni, wetkniętych w piasek po trzy wzdłuż całej plaży i dostarczających najwięcej światła - na zgubę setek ciem i innych owadów, wirujących wokół płomieni. Po obu stronach otwartej przestrzeni przed domkami dwa zespoły instrumentów blaszanych wygrywają tę samą monotonną, acz hałaśliwą melodię, nadrabiając radością i entuzjazmem brak muzycznego ucha.

Na trawie między muzykantami a masywnym, długim stołem, zastawionym mięsem, owocami, dzbankami i butelkami, kilkanaście młodych i niezbyt młodych par dziarsko podskakuje i wiruje wokół rzędu udekorowanych łuków. Kilka kobiet, przeważnie szczupłych, wysportowanych blondynek, tańczy ze sobą.

- Szykują się do przyjęcia weselnego. - Brian wysiada z drugiej strony. - On jutro daje ślub całej bandzie podobnych świrów. Pewnie dzisiaj odbywa się bankiet przedślubny.

Sophie przypomina sobie ogłoszenie w gazecie organizacji Jaya. W innych okolicznościach byłaby to wspaniała okazja do sprawdzenia swoich umiejętności w dziedzinie fotografii.

- Widziałeś się z nim?

- Nie. Pytałem o niego dzisiaj wczesnym popołudniem, ale mi powiedziano, że wyjechał na cały dzień. Dorwę go jutro, nie ma obawy.

Rozdział 34

W nocy Sophie budzi się z mocno bijącym sercem, gdy do jej uszu dociera straszny łoskot z zewnątrz. Uświadomiwszy sobie, że to po prostu potężna ulewa, zapada z powrotem w sen.

Po pewnym czasie budzi się ponownie, lecz tym razem przyczyną jest brak odgłosów: deszczu, ruchu ulicznego, chrapania Michaela. Nie słychać nic prócz cichego szumu, wznoszącego się i opadającego w regularnym rytmie. Dopiero po chwili domyśla się, że to fale uderzające o brzeg. Ma wrażenie, że się dusi w zamkniętym, ciemnym bungalowie - wiatrak pod sufitem zupełnie nic nie daje.

Pięć minut później, przebrana w luźną bawełnianą sukienkę bez rękawów, wymyka się z pokoju, by odetchnąć świeższym powietrzem.

Chłód wczesnego poranka rozkosznie muska jej gołe ręce i nogi. W stalowoszarym świetle jedynym dowodem nocnej ulewy są kałuże w zagłębieniach wielkiego głazu, widocznego w pobliżu, i głębokie dołki w piasku. Choć nad horyzontem rozpościera się chmura, reszta perłowego nieba nad gładkim morzem jest pogodna, a pojedyncza grzywiasta fala otwiera się niczym smukła, leniwa dłoń u stóp Sophie, składając dar w postaci półprzezroczystej piany. Sophie postępuje krok naprzód i zamyka oczy, rozkoszując się musowaniem bąbelków między palcami. Kusi ją, żeby ruszyć przed siebie i zanurzyć się w morzu, oddać mu się, by zmyło z niej cały ból, brud i winę. Czy nie byłoby cudownie położyć się po prostu twarzą w dół w tej spokojnej, czystej wodzie, zamknąć oczy i pozwolić się zabrać gdzieś daleko?

Cokolwiek ją dzisiaj czeka, powinna wykorzystać ten piękny poranek. Mimo wszystko człowiek nie może przez cały czas trwać pogrążony w smutku. Wraca do bungalowu po aparat i, wychodząc, zdejmuje osłonę z obiektywu. Jeśli ma zostać zawodowym fotografem, równie dobrze może zacząć od niezwykłego, nawet surrealistycznego widoku, który ma teraz przed sobą: szereg wypalonych pochodni niczym parkan pokonany przez morze, półkolistości ustawione łuki z kratownicami i zwisającymi z nich, przesiąkniętymi wodą girlandami ozdobnych roślin. Choć światła jest jeszcze niewiele, powinno wystarczyć przy dłuższym czasie naświetlania, Sophie ustawia zatem swój składany statyw i zabiera się do pracy. Widziane przez obiektyw łuki wydają się konstrukcją niemal prehistoryczną, jak gdyby wzniesiono je, by złożyć w tym miejscu rytualną ofiarę z ludzi, a później porzucono. Sophie skupia się na pogłębieniu tego złudzenia, ustawiając aparat pod nietypowym kątem. Dzień zbliża się wielkimi krokami, robi się coraz widniej, co wymaga korygowania czasu ekspozycji i wielkości przysłony, by zachować nastrój niesamowitości.

Przed ostatnią serią zdjęć rezygnuje ze statywu i - czując się trochę głupio, jakby odgrywała rolę fotografa, a nie była nim w rzeczywistości - kładzie się na brzuchu na wilgotnym piasku, ostrożnie opierając aparat o kamień. Ustawia ostrość, skupiając się na krzywiznach łuków, które z tej perspektywy nabierają złowrogiego wyglądu - lecz kompozycję psują nieoczekiwanie dwie posągowe blondynki; pamięta je z wczorajszych tańców. Wystrojone w kostiumy gimnastyczne z lycry, zaczynają wykonywać serię rytmicznych ćwiczeń w samym środku ujęcia. Sophie dźwiga się na nogi i składa sprzęt.

Myśl o powrocie do dusznego pokoju napawa ją odrazą. Miło byłoby przespacerować się po plaży, ale wiąże się z tym ryzyko napotkania Briana lub Eily, którzy zajmują jeden z dalej położonych bungalowów. Sophie chce być sama, potrzebuje tego, zarzuca więc na ramię torbę z aparatem, mija parking i rusza zrytą koleinami, błotnistą drogą, tą, którą przyjechali

poprzedniego wieczoru. Po kilku metrach, w momencie, gdy wschodzi słońce, widzi prymitywny, ręcznie wykonany znak w kształcie strzały, przybity do drzewa i skierowany prosto w leśny gąszcz. Zaintrygowana, skręca w tę stronę i widzi ścieżkę szerokości mniej więcej półtora metra, świeżo wytyczoną - wskazują na to ślady na drzewach - i tak nierówną, że bez wątpienia wyrąbano ją siekierami.

Wokoło natychmiast robi się ciemniej, chłodniej i - nie licząc symfonii kropelek kapiących z koron drzew - bardzo cicho, tak bardzo, że gdy tę głęboką ciszę przeszywa nagle ostry pisk z boku, Sophie aż podskakuje ze strachu. Nigdy nie słyszała podobnego dźwięku, nawet w zoo, i nie potrafi odgadnąć, czy to głos jakiegoś ptaka czy innego zwierzęcia. Przystaje i wyęęza słuch. Dźwięk się nie powtarza, lecz teraz, kiedy Sophie stoi zupełnie nieruchomo i ledwo oddycha, stopniowo docierają do niej tajemnicze odgłosy żerowania, szmery i szelesty, a także obce zapachy - żywicy, gumy, zwierzęcych odchodów - wiszące w powietrzu niczym dym z ołtarza pełnego świec. Wśród tych nieznanych jej drzew i w poszyciu buszują całe tabuny rozmaitych stworzeń, lecz mimo usilnych starań Sophie nie udaje się wypatrzeć niczego prócz mchów, liści, zamkniętych kwiatów oraz wilgotnej, zbitej masy zieleni, która napiera z obu stron na przecinającą ją ścieżkę.

Kątem oka zauważa, że na pniu drzewa około metra od niej coś się porusza. Powoli odwraca głowę i napotyka spojrzenie błyszczącego oka jaszczurki, a może kameleona - w każdym razie jakiegoś egzotycznego gada - tak doskonale zamaskowanego na tle kory, że gdyby się nie poruszył, w ogóle by go nie dostrzegła. Czy ma zaryzykować i sięgnąć po aparat? Odrzuca ten pomysł; będą jeszcze inne okazje do pstrykania zdjęć, a to spotkanie oko w oko w dzikim lesie zachowa dla siebie.

Jaszczurka, długości około dwudziestu pięciu centymetrów, nie wydaje się w najmniejszym stopniu przestraszona, jest najwyżej zaciekawiona i wpatruje się w Sophie wypukłymi, idealnie okrągłymi oczyma, wysuwając i chowając język. Sophie zbliża się o maleńki, ostrożny kroczek, a potem następny. Teraz znajduje się tak blisko stworzenia, że widzi pojedyncze łuski i różowawy brzuch. A nawet czuje przypominającą drożdże, ostrą woń. Powoli, bardzo powoli unosi rękę, by dotknąć jaszczurki, lecz gdy jej palce są już blisko, zwierzątko macha ogonem i zmyka w górę po pniu.

- Hej! Hej, ty, wracaj! - wrywa jej się głośny okrzyk, co wywołuje zamieszanie i szelesty wśród liści nad jej głową.

- Dzień dobry!

Sophie, z wyciągniętą szyją i usiłująca wysledzić wzrokiem stworzenia, którym zakłóciła spokój, wzdryga się po raz drugi od chwili wkroczenia na leśną ścieżkę. Jay Street -

rozpoznałaby go wszędzie - stoi za jej plecami. Jak mu się udało w tym cichym miejscu zbliżyć do niej tak niedosłyszalnie, to doprawdy zagadka.

- Jestem Jay. - Wyciąga rękę na powitanie. - A ty?

Kiedy mówi mu kim jest, życzliwy uśmiech rozjaśnia jego niewątpliwie przystojną twarz. Sophie, dalekiej od sympatii do tego człowieka, nie podobają się poufałość i arogancja zawarte w przedstawianiu się samym imieniem. Zupełnie jak: „Jestem Madonna”. Albo: „Jestem Prince”. Dlatego nie odwzajemnia uśmiechu ani nie podaje mu ręki. Nie wydaje się urażony i po prostu opuszcza ramię, muskając dłonią nienagannie wyprasowane białe spodnie. Ku swej irytacji, Sophie łapie się na tym, że zaczyna go - acz chłodno - przepraszać za wtargnięcie.

- Poszłam za strzałką. Nie wiedziałam, czy jest to teren prywatny czy nie.

- Ależ nie, to wszystko należy do naszego ośrodka, który obejmuje dziesięć hektarów. Obserwowałam cię, kiedy robiłaś zdjęcia na plaży. Znam cię, naturalnie, z opowiadań Riby. Idę właśnie sprawdzić, czy leśne domki, które zbudowaliśmy dla naszych młodych par, przetrwały wczorajsze biblijne ulewy. Może wybierzesz się ze mną, Sophie? Jeśli chcesz, możesz zrobić użytek ze swojego aparatu. - Nie czekając na odpowiedź, mija ją i rusza dalej ścieżką, upstrzoną teraz plamkami światła przefiltrowanego przez liście.

Co za tupet, żeby ją w ten sposób szpiegować! Niech sam sobie fotografuje swoje idiotyczne leśne domki. Towarzyszenie mu byłoby szczytem nielojalności. Sophie przeżywa chwilę wahania.

Nie może jednak powściągnąć ciekawości i rusza za swym przewodnikiem.

Kilkaset metrów dalej widać pierwszy domek: stoi na niewielkiej polance, porośniętej płożącymi się kwiatami, przypominającymi nasturcję.

- Czy to nie urocze? - Street, dostatecznie pewny siebie, by wiedzieć, że poszła za nim, nawet nie odwraca głowy. - Cóż może się równać z nocą poślubną w lesie, wśród tego wszystkiego? - Wykonuje zamaszysty gest, a potem uderza dłonią we framugę drzwi. - No cóż, ten przynajmniej nie ucierpiał. - Wzdycha. - El Nino, La Nina, globalne ocieplenie, tutejsza pora deszczowa, właściwie cały klimat, były kiedyś tak przewidywalne, a teraz zupełnie nie wiemy, na czym stoimy. To, co robimy z naszą planetą, jest straszne, Sophie, a nikt nie słucha tych spośród nas, którzy się o nią troszczą. Chodź, tam dalej jest następny domek.

Z zażenowaniem, ciesząc się, że nikt nie widzi jej kapitulacji, Sophie idzie za nim krok w krok i przez następne dziesięć minut ogląda kolejno wszystkie chatki. Miękki amerykański akcent Jaya brzmi całkiem przyjemnie...

Przestań! Pamiętaj, z kim masz do czynienia i po co tu przyleciałaś.

Mimo to, choć żywi do niego urazę, patrzy z podziwem na małe chatki, nie tylko przemyślnie ukryte przed intruzami, lecz odseparowane od siebie nawzajem. Para goszcząca w takim miejscu odnosi zapewne wrażenie, że jest sama w dziewiczym lesie.

- Chcesz zajrzeć do środka? - Jak poprzednio, nie czekając na odpowiedź, Jay otwiera drzwi na zawiasach zrobionych z grubych skórzanych pasków.

W coraz cieplejszym powietrzu wre gorączkowa owadzia aktywność i Sophie odgania ręką coś dużego i bzyczącego, co natarczywie penetruje jej włosy.

- A co z moskitami i innymi paskudztwami?

- Hej! Ona mówi! - Jay uśmiecha się szeroko i w jego policzkach pojawiają się dołeczki. Sophie zwalcza zdradziecką pokusę, by odwzajemnić uśmiech i wchodzi do domku, spodziewając się, że panuje tam taka sama duchota jak w jej bungalowie.

Okazuje się jednak, że wewnątrz jest rozkosznie chłodno. Jay wyjaśnia jej dlaczego, wskazując wąską szczelinę między glinianą ścianą a dachem, zabezpieczoną w kilku miejscach krótkimi drewnianymi kołkami.

- Możemy się wiele nauczyć od innych kultur, Sophie. A co do moskitów i tym podobnych - dodaje - miejscowy personel nauczył nas, jak sobie z nimi radzić. Ale to tajemnica. Może nawet to opatentujemy, jeśli wystarczy nam energii. życie płynie tutaj w innym tempie. Wszyscy jesteśmy nieco rozleniwieni. - Znowu prezentuje jej swój uśmiech.

Sophie z premedytacją przywołuje wizję dwóch Amazonek w sportowych strojach i nie kupuje jego bajeczki. Rozleniwieni, akurat! -myśli, obrzucając spojrzeniem skromne umeblowanie: obszerne, wyciosane z drewna przypominające pryczę łóżko, którego efekt psuje nieco materac sprężynowy seryjnej produkcji, oraz zwykły prostokątny stół i niedużą komodę.

- Gdzie można powiesić ubrania?

Jay wskazuje cztery drewniane kołki w ścianie, dwa po jednej, dwa po drugiej stronie wejścia.

- Te dla niego, te dla niej.

- A łazienka?

Tym razem jego uśmiechowi towarzyszy gest obu ramion, ogarniający cały las.

- Cóż może być lepszego niż wielki ocean? Wiedzą, czego się spodziewać, wszystko jest opisane w broszurze. To przeżycie jak z „Robinsona Crusoe”, Sophie... aczkolwiek widzę, że materac niezbyt ci się podoba. Dla nich jednak, po uroczystości, będzie jak siennik wypchany słomą i pierzem. W każdym razie - tu jego uśmiech staje się łobuzerski - jeśli

przecucie mnie nie myli, zajmą ich ważniejsze sprawy niż wystrój wnętrza i bezpośredni dostęp do ciepłej i zimnej wody. - Czy chciałabyś zrobić kilka zdjęć?

- Nie, dziękuję. - Sophie może się tylko domyślać, ile ten pobyt na „wyspie Robinsona” będzie kosztował nowożeńców, i nie zamierza w najmniejszym stopniu dawać do zrozumienia, że aprobuje to przedsięwzięcie. - Czy dużo płacą? Jak długo mogą tu przebywać?

- Tak długo, jak zechcą, oczywiście w granicach rozsądku. Do dwóch tygodni. W tym cały urok, że sami decydują. Dziewczeta mówią, że potrzeba nam co najmniej trzech grup, by zwróciły się koszty tego wszystkiego. Nie masz pojęcia, Sophie, jakie drogie jest życie na wyspie. Tylko pomyśl: nie chodzi tylko o żywność, wszystko trzeba sprowadzać z daleka. Ale warto. Nasi goście będą zachwyceni, a my również, przyczyniając się do szczęścia ludzkości. Jesteś zameżna?

- Tak. - Nie do wiary, ale ten człowiek wywiera tak niezwykły wpływ, że Sophie omal nie zaczyna mu się zwierzać, lecz powstrzymuje się w ostatniej chwili. - I jak, podoba im się tutaj? Widziałam wczoraj kilka par.

- Och, pokażemy im te domki dopiero dzisiaj, po przyjęciu weselnym. Odprowadzi ich procesja z pochodniami, będą płatki kwiatów rzucone na ścieżkę, cała oprawa, a potem, kiedy już znajdą się w swoich domkach, uroczyste zatrzaśniemy drzwi, każdej parze z osobna. Łup! Łup! Łup! Rajcowne, co? Wszystko mamy opracowane. Nigdy nie zapomną tego doświadczenia. Rzecz jasna, mamy nadzieję - znowu łobuzerski uśmiech - że opowiedzą o nim swoim znajomym.

No pewnie, myśli Sophie, biorąc się mocno w garść.

- Dziękuję za oprowadzenie - mówi chłodnym tonem. - Fascynujący pomysł.

Jay patrzy na nią z rozbawionym wyrazem twarzy.

- Nie lubisz mnie, prawda? A przecież dopiero co się poznaliśmy. Jest kompletnie zbity z tropu. Ale właściwie dlaczego miałyby ją dziwić bezpośredniość i pewność siebie tego człowieka? Przez wiele, lat doskonalił umiejętność kokietowania otoczenia. Gdy w myślach szuka odpowiedzi, Jay wzrusza ramionami.

- Nie przejmuj się, to nic takiego. Idziemy? - Odsuwa się, żeby ją przepuścić i zamyka za nimi drzwi. - A propos, Sophie, jesteś zaproszona na dzisiejsze przyjęcie weselne, jeśli masz ochotę przyjść. - Mówi to miękkiem tonem, odwracając się od drzwi i patrząc jej prosto w oczy. - Odbędzie się w bomie... widziałaś naszą bome?

Wymawia to słowo niemal pieszczotliwie i Sophie przemyka przez głowę myśl, że może ten facet się do niej przystawia. Nie udaje jej się rozstrzygnąć tej kwestii, ponieważ Jay

rusza naprzód, ona zaś - zła na siebie, że w ogóle pomyślała o czymś podobnym - idzie za nim.

W drodze powrotnej dochodzi do wniosku, że była nieuprzejma i postanawia to naprawić.

- Czy „Jay” to zdrobnienie od „Joseph”?

- Nie. - Stąpa obok niej cicho jak kot. - Czytałaś powieść „Wielki Gatsby”? Ja przeczytałem ją jako chłopak i nigdy żadnego bohatera nie podziwiałem tak bardzo.

- Zaczerpnąłeś imię od Jaya Gatsby'ego? A Street? Czy to twoje prawdziwe nazwisko?

- Zdradzę ci pewną tajemnicę, Sophie. - Mruga do niej. - Mało kto o tym wie, ale naprawdę nazywam się Stritch. Dzieciaki w szkole przezywały mnie „Stritch Znicz”. Co byś zrobiła na moim miejscu? - Pochyliła się swobodnie, by usunąć gałązkę, która uwięzła między klapkiem a podeszwą jego stopy i rusza dalej. - Wielki pisarz, F. Scott Fitzgerald, wspaniałe słowa, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Nie zna się ich w szkole podstawowej, przynajmniej nie znało się za moich czasów. Takie jak „echolalia”... Czyż to nie piękne słowo, Sophie? Dla chłopca z robotniczej dzielnicy, którym byłem, oznaczało inny świat i miłe, a nawet fascynujące doświadczenia.

Skonsternowana tym zwrotem w rozmowie, Sophie kiwa głową.

- Co to znaczy?

- Musiałem, oczywiście, sprawdzić w słowniku, ale on nie użył tego słowa w jego rzeczywistym znaczeniu. Określił w ten sposób przyjęcie i łatwo odgadnąć dlaczego. Ponieważ jest to termin medyczny, oznaczający pewien rodzaj zaburzeń psychicznych, które polegają na automatycznym powtarzaniu tego, co się usłyszy. Dla mnie jednak to słowo jest jak melodia, która ogarnia całe Dzieło Stworzenia. Mógłby to być ten las... wzajemne nawoływania ptaków i innych zwierząt, odpowiedź drzew. Posłuchaj, Sophie - kładzie dłoń na jej ramieniu, by się zatrzymała - posłuchaj uważnie.

Staje więc i wsłuchuje się w leśne szумы i wołania, choć z wyjątkiem przelotnego błysku niebieskich piór między drzewami o kilka kroków dalej nadal nie dostrzega żadnych przedstawicieli fauny. Fizycznie czuje się nieswojo - jej świadomość niezwykle mocno odbiera dotyk Jaya Streeta - i boi się poruszyć, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Choć on wcale jej nie trzyma, jego ręka po prostu spoczywa na jej ramieniu, odgłosy rozwibrowanego lasu narastają w głowie Sophie jak grzmot i z wysiłkiem powstrzymuje drżenie. Zauważa, że skóra na grzbiecie jego dłoni jest gładka, z całą pewnością inna niż zwykle u człowieka po sześćdziesiątce...

Jak długo tak stoją, blisko siebie, lecz właściwie się nie dotykając, jeśli nie liczyć tego dręczącego - a może rozkosznego - kontaktu? On przecież musi zdawać sobie sprawę, co się dzieje. Czy wciąga ją w jakąś psychologiczną grę?

Teraz już Sophie rozumie, co przyciągnęło Eily do tego człowieka. Tym czymś jest jego umiejętność zacieśniania wokół siebie ram świata - tak, że na całej planecie nie istnieje nic prócz ciebie i niego. Może sprawia to zniewalający głos Streeta, miękkie powtarzanie twojego imienia, lecz cokolwiek by to było, widzi teraz sama, z jaką łatwością Jay potrafi usidlić drugiego człowieka. Jego bliska obecność nie tylko ci pochlebia - jest porywająca.

Wciąż nie dostrzegając - lub udając, że nie dostrzega - jej skrępowania, Jay cofa dłoń i rusza lekko naprzód, nie oglądając się na Sophie.

- Czy zgodzisz się ze mną, Sophie, gdy wyznam, że dla mnie to czarowne miejsce jest echolalią? Dobroczynną echolalią.

Gorączkowo usiłując określić przyczyny swojego poruszenia, Sophie idzie za nim.

W ośrodku trwa ożywiona działalność: robotnicy ustawiają pochodnie, usuwają zniszczone i zwiędłe gałązki i kwiaty z łuków, zastępując je nowymi, zamiatają, przykrywają długi stół świeżym obrusem. Wszędzie słychać ich okrzyki i przekomarzenia. Tymczasem część młodych par, rozstawionych w pewnej odległości od siebie, próbuje naśladować leniwe, wdzięczne ruchy jednej z Amazonek, która uczy ich ćwiczeń tai chi. Dalej, za nimi, wśród akwamarynowych fal, podskakują głowy kąpiących się ludzi. Sophie chętnie by się do nich przyłączyła, ale w pośpiechu przed wyjazdem nie zapakowała kostiumu kąpielowego. Nie wzięła nawet szortów, które teraz bardzo by jej się przydały.

Dlatego przez następną godzinę tylko się przygląda.

O ósmej, tak jak uzgodnili poprzedniego wieczoru, zjawiają się Brian z Donnym, by zabrać ją do szpitala.

- Oczywiście, jeśli chcesz tam jechać, Sophie.

- Pewnie, że chcę! Czy Eily jedzie z nami?

- Teraz śpi. Wróciła dopiero nad ranem. Może jesteś głodna?

- Jedźmy zaraz, tato! - Donny kręci się niecierpliwie.

- Nie, Brianie. - Sophie zupełnie nie odczuwa głodu. Nie wiedząc,

jak wygląda na wyspie sytuacja z wodą, zabrała dwulitrową butlę wody mineralnej Tipperary i popiła nią owoc mango z koszyka w pokoju, co wystarczyło jej jako śniadanie.

- No, chodźcie już. - Każdy ruch Donny'ego zdradza nerwowe napięcie.

- O, przepraszam. - Brian wycofuje się z pokoju Zeldy. - Zdaje się, że robią jej w tej chwili transfuzję krwi - wyjaśnia Donny'emu i Sophie. Wszyscy troje czekają w milczeniu; wreszcie otwierają się drzwi i wychodzi pielęgniarka.

- Już mogą państwo wejść. Przetaczamy jej krew, żeby trochę wzmocnić organizm. Proszę się nie przejmować tymi wszystkimi rurkami. - Uśmiecha się, patrząc na Donny'ego. - Nie odczuwa najmniejszej niewygody.

- Czy mogę najpierw wejść sam? - Donny dostrzega wyraz zaskoczenia na twarzach obojga dorosłych.

- Oczywiście. - Ojciec marszczy brwi. - Jesteś pewien?

- Tak. - Chłopiec kiwa głową z nerwową determinacją. Od pierwszego telefonu taty poprzedniego ranka zbierał całą odwagę, bojąc się tego, co zobaczy, a jeszcze bardziej tego, co sam o sobie będzie myślał, jeśli w tej chwili zawiedzie.

Lepiej mieć to już za sobą. Zbyt mocno popycha ciężkie drzwi, które odbijają się od ściany pokoju.

- Przepraszam. - Odruchowo zerka na ojca, który jednak nie wygląda na zagniewanego.

Wchodzi i natychmiast ogarnia go przemożne uczucie ulgi, ponieważ spodziewał się czegoś o wiele gorszego. Oczyma wyobraźni widział szkielet lub coś w tym rodzaju, a tymczasem siostra prawie wcale się nie zmieniła: ta Zelda, którą zna, leży teraz wsparta o poduszki takie same jak w szpitalu w Dublinie, nawet w takim samym łóżku, tyle że różowym, a nie kremowym. Kroplówki, transfuzje i rurki są do zniesienia, już je oglądał - i to wiele razy.

- Siemasz!

- Hej, ludziska, kogo ja widzę! Rany, mam dzisiaj urodziny, czy co? - Uśmiech Zeldy jest pogodny i niewymuszony. Wydaje się całkowicie odprężona.

Donny, któremu z ulgi aż kręci się w głowie, przysuwa sobie krzesło i siada przy łóżku.

- Nic ci nie przyniosłem, Zel, przepraszam... nie mieliśmy z ciocią czasu.

- No to zabieraj się stąd i leć po prezent. Nie bądź takim cymbałem, Donny! Tak się cieszę, że tu jesteś. Choć nie wiem, po co ta cała panika. Czuję się świetnie.

Chłopiec wyczuwa kłamstwo, ale godzi się z nim.

- W każdym razie świetnie wyglądasz. - To z kolei zasłyszał od dorosłych, kiedy sobie nawzajem kłamali.

- Opowiedz, jak wyglądała podróż. Ja swojej prawie nie pamiętam. Boki zrywać, no nie? - Zelda znowu się uśmiecha. - Mama wywozi mnie w tajemnicy, a potem rusza za nami cała wyprawa łowiecka. Brakuje tylko Trevora i wujka Michaela.

- Tam jest coś nie w porządku, Zel. - Donny skwapliwie korzysta z okazji, by jako pierwszy przekazać wiadomość ze świata dorosłych. - Nie wiem, o co chodzi, ale spotkaliśmy się na lotnisku i myśleli, że nie słyszę, a ja usłyszałem coś dziwnego. Życzyła mu powodzenia w nowym życiu. Jak ci się zdaje, co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Ciocia Sophie i wujek Michael? E tam, oni są jak skała gibraltarska.

Donny podziwia siostrę i wierzy jej.

- Powiedz, jak tu jest?

- Ameryka! Jedna pielęgniarka pochodzi z Liverpoolu, zna Dublin i jest naprawdę fajna; druga jest miejscowa, reszta to Amerykanki. Bez przerwy szczerzą zęby. Znasz te klimaty? Trochę jak nasza mama. Ale z tego, co wiem, nie poleżę tu długo.

- Dlaczego? - W sercu Donny'ego odzywają się dzwonki alarmowe.

- Och, to nie to, co myślisz, głuptasie! Chcą mnie przenieść do domu starców. Tutaj jest za drogo, a my nie mamy ubezpieczenia. To znaczy mamy, ale zbyt niskie. Nasza polisa nie pokryje nawet części.

- Do domu starców? Zel, przecież to okropne!

- Ależ nie, to nie jest taki dom, o jakich czytałeś u nas, gdzie wszyscy siedzą i gapią się w przestrzeń. Ten zapewnia dobrą opiekę medyczną, dostanę własny pokój, a ta sympatyczna pielęgniarka z Liverpoolu będzie do mnie zaglądała. Są tam ogrody, specjalnie zaprojektowane, żeby w nich przesiadywać. Naprawdę, Donny, nie mogę się już doczekać. Mam dość szpitali i tęsknię za ciepłem. Ostatnio ciągle marznę, a tu jest tak rozkosznie ciepło, że nawet te ulewy mi nie przeszkadzają. Prawdę mówiąc, to działa na mnie uspokajająco i nawet... tylko, na miłość boską, nie mów tacie!, nawet się cieszę, że mama mnie tu przywiozła, zwłaszcza że teraz jesteśmy wszyscy razem. - Mówi coraz słabszym głosem, ale przełyka ślinę i ciągnie: - W każdym razie zostanę w tym ośrodku, dopóki nie nabiorę dość sił, żeby wrócić do domu. Co słyhać nowego w Marmurowych Ogrodach?

- Pytasz, jakby cię tam nie było przez parę lat.

- Bo tak się czuję.

Cichnie i oczy jej się zamykają. To przeraża Donny'ego, który zrywa się z krzesła. - Zel...Zelda!

- Co? - Jego siostra otwiera oczy. - O, przepraszam. Narkolepsja. Coś jak River Phoenix. A może to był Johnny Depp?

- Nie wiem - bąka Donny. Czuje się teraz skrępowany. - Jesteś zmęczona? Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie, zostań. - Ale jej powieki znowu opadają.

- Słuchaj - rzuca Donny rozpaczliwie - mam wezwać pielęgniarkę albo coś? Może napijesz się wody?

Sięga po karafkę stojącą na szafce przy łóżku i nagle zauważa, że Zelda znowu patrzy na niego przytomnie.

- Posłuchaj, Donny - odzywa się łagodnie - wiem, że to przygnębiające, ale oni wszyscy przez cały czas siedzą mi na głowie i następna taka okazja może nam się nie trafić. - Milknie na chwilę. - Powiem im, że wszystko jest dla ciebie, zgoda?

- O czym ty mówisz, Zel? - Panika chwyta Donny'ego za gardło i mocno ściska.

- Wiesz, o czym. Moja puchowa kurtka, wszystkie moje kompakty...

- Nie chcę twoich zakichanych kompaktów, co ty opowiadasz, Zel... - Ale słowa zamierają mu na ustach, bo siostra nadal patrzy na niego z wielkim współczuciem.

- Przykro mi, braciszku - mówi, biorąc go za rękę. - Naprawdę się starałam. Tak bardzo się starałam.

Rozdział 35

Właśnie minęło południe i w ośrodku panuje spokój, gdyż wszyscy zainteresowani stroją się, dokonują ablucji lub zażywają drzemki przed najważniejszym wydarzeniem dnia, wyznaczonym na szóstą, przed zachodem słońca. Sophie i Donny są u Zeldy w szpitalu, lecz Brian - zdecydowany rozprawić się z Jayem Streetem i wyrażający stanowcze żądanie, by żona mu w tym towarzyszyła - wrócił do ośrodka.

- To wszystko twoja sprawka, Eily. Nie masz wyboru. Musisz iść. Zaprotestowała, ale tylko dla zasady. Wiedziała, że jest przyparta do muru.

Czuje zamęt w głowie, stojąc w recepcji o krok za mężem, który uprzejmie, acz stanowczo nalega, by Carmen poinformowała go, gdzie może znaleźć Jaya. Riba drży na samą myśl o tym. Można zostać odartym ze złudzeń, lecz prezentowanie tego na forum

publicznym to zupełnie inna sprawa. Riba nadal czepia się resztek nadziei, że mimo wszystko Jay potrafi dokonać cudu i okazać się tym, za kogo go uważała, lecz w głębi serca wie, że tak się nie stanie.

Carmen, acz niechętnie, ulega w końcu uporczywym naleganiom Briana i ujawnia, że Jay jest teraz w domku na plaży. Próbuje się wymigać „ze względów bezpieczeństwa” od odpowiedzi na pytanie, jak tam dotrzeć, widząc jednak, że przeciąganie struny mogłoby się okazać groźne w skutkach, daje za wygraną i udziela im wskazówek.

- Gdy wyjdziecie z ośrodka, idźcie główną drogą. Mniej więcej po dwustu metrach zobaczycie dwa duże kamienie pomalowane na biało. Tam trzeba skręcić w boczną ścieżkę. Prowadzi cały czas pod górę. Na pewno zauważycie.

Po dziesięciu minutach uciążliwego marszu - Brian pierwszy, ona za nim - docierają do barierki ogrodzenia. Riba, z trudem łapiąc oddech, wbija zdumione spojrzenie w tak zwany domek na plaży.

Wyobrażała sobie prostą chatkę - swego rodzaju połączenie kabiny kąpielowej z Brighton i wiejskiej chałupy - a tymczasem dom Streeta to minipałac. Jednopiętrowy, idealnie kwadratowy, zbudowany z różowawego kamienia i otoczony trawnikami, wznosi się na nadmorskiej skale tuż ponad kotlinką pokrytą piaskiem morelowej barwy. Z każdej strony - a przynajmniej z tych trzech, które widać przez ogrodzenie - znajduje się starannie wytyczony, żwirowany, bladoróżowy półokrąg, jak gdyby dom stanowił środek otwartego kwiatu. Sięgające podłogi fasetowe okna migoczą w promieniach słońca i niczym latarnie morskie odpowiadają błyskami tęczowym łukom, wydobywającym się ze zraszaczy na trawniku. To dom jak z opowieści Mabel Lucie Attwell, myśli Riba, przypominając sobie książki, które czytała Zeldzie i Donny'emu, kiedy byli mali.

Brian, rzecz jasna, patrzy na to z innej perspektywy, gdy tak stoi obok niej z rękami wspartymi o biodra i przygląda się całej scenierii.

- No, no, no, już rozumiem. Wszystko jasne. Idziemy.

Wspina się na ogrodzenie. Po chwili wahania Riba przechodzi dołem. Brian czeka na żwirowanym półkolu.

- Ja będę mówił - rzuca przyciszonym głosem. - Zostaw to mnie.

- Oczywiście. - Riba kiwa głową, poddając się z rezygnacją.

Wchodzi za mężem przez otwarte oszklone drzwi do jasnego, pełnego luster pokoju, którego nie powstydzilby się Wersal. Jeżeli nawet te wykwintne, zgrabne meble są kopiami, to bardzo dobrze wykonanymi; nie brak nawet szpinetu, który stoi w kącie. To tyle, jeśli chodzi o wysokie koszty życia na wyspie i konieczność sprowadzania wszystkich artykułów

pierwszej potrzeby. Takie wnętrza Riba widywała dotychczas wyłącznie w ilustrowanych czasopismach w poczekalni u dentysty. Zza jednych spośród wielu drzwi w korytarzu dobiegają przyciszone odgłosy. Brian również je słyszy. Chwyta żonę za rękę, pociąga w tamtą stronę i gwałtownym ruchem otwiera drzwi.

W ogromnym pokoju, wypełnionym blaskiem od morza, który wpada przez otwarte okna, iumeblowanym w dużej mierze jak zwykły salon - kanapy, krzesła, biblioteczki, kilka stolików, rozmaite bibeloty, ale także olbrzymi telewizor, pokazujący właśnie wyścigi Formuły 1 - znajduje się pięć osób. Kalifornica pochyla się nad Jayem Streetem, który, częściowo okryty ręcznikiem i połyskujący od olejku, spoczywa na brzuchu na leżance do masażu, ustawionej pod jednym z okien; dziewczyna o orientalnej urodzie stoi przy desce do prasowania, na której widać rozpostarte białe spodnie; a na jednej z kanap rozpięta się młody czarny mężczyzna, którego Riba nigdy przedtem nie widziała, i trzyma w objęciach jakąś dziewczynę - obydwójce mają na uszach słuchawki. Riba nawet nie dostrzega jego twarzy, ponieważ zauważa ze zgrozą, że mężczyzna ma na sobie koszulę, którą z taką pieczołowitością wybrała dla Jaya na paryskim lotnisku. Cała piątka wpatruje się z zaskoczeniem w drzwi, Brian zaś, który zamierzał wmaszerować do środka, zatrzymuje się, osłupiały, na progu.

- Dzień dobry. - Street jako pierwszy otrząsa się z wrażenia. Owija biodra ręcznikiem i z wdziękiem zsuwa się z leżanki. - Muszę wyznać, że się was nie spodziewaliśmy. Witaj, Ribo. - Gdyby inny mężczyzna, przyodziały jedynie w ręcznik i błyszczący od oliwy jak zapaśnik, wykonał podobny ukłon, wyglądałby groteskowo. Ale nie on.

Riba wyczuwa, że stojący obok niej Brian napina mięśnie, więc szybko wysuwa się naprzód.

- Witaj, Jay - mówi cicho. - Przepraszam za to wtargnięcie, ale koniecznie musimy z tobą porozmawiać.

- Zawsze do usług, Ribo. - Przesuwa się o krok i wyciąga rękę. - A to zapewne Brian?

Ten ignoruje jego rękę i ton Jaya ulega zmianie, staje się bardziej rzeczowy.

- Wybaczcie nam tę swobodną atmosferę. Po prostu staramy się w pełni wykorzystać ciszę przed burzą. - Spogląda w stronę połyskującego morza. - Módlmy się, aby Bóg nie wziął tego dosłownie. Pogoda ostatnio nas nie rozpieszcza.

Głos Briana drży od powstrzymywanej furii, tłumionej przez lata.

- Moja żona przekazała mi informację, że żądasz od nas opłaty w wysokości sześciu tysięcy funtów za łaskawe wpuszczenie nas do swego małego Disneylandu. Zechciej przyjąć do wiadomości, iż nie dostaniesz ani pensa od nas, od naszej córki, od naszego syna czy od

naszej przyjaciółki. I jeszcze jedno, kolego - Brian gwałtownym ruchem przysuwa twarz do twarzy tamtego - jeśli ci się to nie podoba, z wielką chęcią spotkam się z tobą w sądzie. Jakimkolwiek sądzie. Jeżeli w ogóle się odważysz. Niewykluczone zresztą, że i tak się tam spotkamy. Niewykluczone, że pozwę cię za rozmyślne wywieranie nacisku psychicznego na moją żonę, co doprowadziło do poważnego zagrożenia zdrowia mojej córki.

Jay, niższy od Briana o osiem czy dziesięć centymetrów, lecz znacznie bardziej wysportowany, zachowuje niezmałowany spokój; nawet nie drgnął, słuchając tej przemowy. Odwraca się obojętnie i lekkim, kocim krokiem podchodzi do okna. Rozwścieczony Brian rzuca się w jego stronę i - zanim ktokolwiek zdążył zareagować - powala go na podłogę chwytem stosowanym swego czasu w meczach rugby. Pięść, którą od tak dawna zaciskał bezsilnie, wznosi się, a potem opada, by wymierzyć potężny cios... i w tej samej chwili z ust Briana wyrывa się okrzyk bólu i zaskoczenia, gdyż jego pięść uderza z całej siły w gładkie drewno. Street, śliski od olejku, uniknął ciosu i zwinnie zerwał się na nogi. Spokojnie poprawia ręcznik na biodrach, podczas gdy Brian niezgrabnie dźwiga się z podłogi, masując obolałą rękę.

- Jesteśmy pacyfistami - odzywa się Jay cichym głosem. - Bierzymy przykład z wielu proroków, także z tego, który naucza nas, że zło nie jest niczym innym niż dobrem, dręczonym przez głód i pragnienie. Potrzebujesz pomocy, przyjacielu.

- Gówno prawda! - Fizyczne starcie, choć upokarzające, osłabiło wściekłość Briana i teraz w jego głosie słychać już tylko pogardę. - Jesteś szarlatanem, Street. Naciągaczem. Widywałem już takich typków. - Jego szyderczy gest zatacza łuk, obejmujący parę na kanapie, blond piękność i cały pokój. - To ma być ten twój pieprzony celibat?

Riba wzdycha głośno, para z kanapy zrywa się na nogi, a Kalifornica z furią rusza w jego stronę.

- Ty sukinsynu!

Tylko dziewczyna przy desce do prasowania zachowuje spokój. Jay powstrzymuje Monicę stanowczym gestem i przeszywa męża Riby hipnotycznym spojrzeniem zielonych oczu.

- Nikogo nie zmuszamy, by przystąpił do naszej organizacji, panie McMullan. - Choć mówi bardzo cicho, jego głos przebija się przez okrzyki komentatora wyścigów z telewizji. - I nikogo nie zakuwamy w kajdany. Jeśli zechce pan zapytać swą małżonkę, wyjaśni panu, że przyłączyła się do nas z własnej nieprzymuszonej woli. Bardzo boleję nad ciężkim stanem waszej córki, lecz gdy spyta pan Ribę, wyjaśni panu, jeśli będzie szczerą, że przedstawiła chorobę Zeldy w nieprawdziwym świetle. Wiedzieliśmy, że pana córka jest ciężko chora, lecz

pańska żona dała nam wyraźnie do zrozumienia, że możemy pomóc. Jeżeli ma pan do nas pretensje, to nie nasza wina. A co do opłaty - teraz jego kolej, by okazać wzgardę - poradzimy sobie bez twoich pieniędzy, Brianie. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, wszyscy możecie. Pieniądze sobie zatrzymaj. A teraz proszę, abyście zechcieli opuścić mój dom. - Żegna Ribę skinieniem głowy. - Miłego dnia, Ribo. Przykro mi, że do tego doszło.

Riba czuje, że Brian spręży się do następnego ataku. Przywołuje na pomoc resztki godności.

- Brianie! - rzuca, karcąc go spojrzeniem.

Przez chwilę sprawia wrażenie, jakby jej nie słyszał, a potem odwraca się gwałtownie i wychodzi z pokoju.

Spiesząc za nim, Riba ogląda się przez ramię. Widzi Jaya, który; niespiesznie układa się z powrotem na leżance do masażu. Scysja nie poruszyła go w najmniejszym stopniu.

Riba ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Nie chce, by Jay pomyślał, że celowo nimi trzasnęła.

Sama nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Najbardziej zabolęła ją stwierdzenie Jaya, że przedstawiła stan Zeldy w fałszywym świetle. To nie było fair. Starła się tylko postępować zgodnie z jego wskazówkami, mieć pozytywne nastawienie.

Co gorsza, nigdy już nie zostanie jego zaufaną asystentką. Czy go w ogóle jeszcze zobaczy? Tak bardzo go kochała, platonicznie, ma się rozumieć. Był dla niej dobry, naprawdę.

Biegając za mężem, Riba nie potrafi stłumić iskierki nadziei, że po stosownej pokucie będzie mogła cichaczem powrócić na łono organizacji. Oczywiście musi trzymać się w cieniu, przynajmniej przez pewien czas.

Jedno jest pewne: Brian nie miał prawa napadać na Jaya w ten sposób.

Jej mąż siedzi na jednej z pomalowanych na biało ławek, rozmieszczonych strategicznie w różnych punktach szmaragdowozielonego trawnika. Gdy Riba staje obok niego, Brian opuszcza głowę, tak że dotyka nią kolan.

- Za chwilę mi przejdzie. To pewnie przez te zmiany stref czasowych.

Riba dochodzi do wniosku, że nie jest to stosowna chwila, by dyskutować o tym, co się zdarzyło w domu Jaya. Zaczyna masować kark męża, który łapie powietrze wielkimi haustami, jakby dopiero co wynurzył się z wody.

- Przykro mi, że cię nie zadowolilem, Eily. Jej dłonie nieruchomieją.

- Słucham?

- Przecież słyszałaś.

- Tak, ale co masz na myśli?

Po długim milczeniu Brian unosi głowę i wpatruje się w widnokrąg. Riba, zbita z tropu, spogląda w tę samą stronę. Słońce - przynajmniej na razie - rozświetla morze i dom Jaya Streeta nadal tonie w blasku, lecz wyspa ma kształt litery L i po lewej stronie zaczynają się kłębić złowieszcze chmury o zielonkawym zabarwieniu.

- Brian?

Mąż przygląda się knykcjom, które nie zdołały trafić w szczękę Jaya Streeta.

- Nawet mu porządnie nie przyłożyłem. I właściwie dobrze się stało. Gdybym trafił, pewnie bym teraz żałował. A najdziwniejsze - ponownie patrzy na morze - że kiedy sam zobaczyłem, jakie sztuczki ten facet wyprawia i jak działa na kobiety, już cię tak nie potępiam. To silna, charyzmatyczna osobowość i potrafię zrozumieć, że może przyciągnąć do siebie wrażliwą, bezbronną kobietę, bo udaje, że zna odpowiedzi. To wszystko jest takie sztuczne, takie... takie... - szuka odpowiedniego słowa - wyuczone. O to mi chodziło, kiedy powiedziałem, że cię nie zadowalam... bo jednocześnie przeraża mnie, że nie poznałaś się na tych jego głodnych kawałkach. Choćby z tym celibatem. Przecież on tam ma cały pieprzony harem! Ale ty niczego nie zauważyłaś, bo jesteś w nim zakochana.

- Nie jestem! Na miłość boską, Brianie, chyba tak naprawdę nie myślisz? Nigdy się nawet nie pocałowaliśmy... nigdy nie tknął mnie choćby palcem.

- Przestań - rzuca cicho Brian. - Dotyk nie jest konieczny.

Za jego słowami kryje się coś, czego Riba woli nie dociekać. Z nauk organizacji Jaya wyniesie przynajmniej nawyk samoobrony. Jeśli, rzecz jasna, będzie musiała z niej odejść.

Brian odwraca się i patrzy jej prosto w oczy.

- Myślałaś o tym, co ci powiedziałem wczoraj rano? Masz dla mnie odpowiedź?

- Chodzi ci o to, czy chcę być twoją żoną, a nie po prostu żoną?

-Tak.

Riba waha się przez chwilę.

- Powiedziałeś, że nie jesteś pewien, czy jeszcze mnie kochasz.

- Niezupełnie. Zapytałem, dlaczego moja miłość jest dla ciebie czymś oczywistym. A to wielka różnica.

Riba patrzy na Briana, któremu od lat nie przyglądała się zbyt uważnie. Wtem na jej policzki spadają duże, ciepłe krople. W pierwszej chwili myśli, że to ze zraszaczy na trawniku, lecz kropli jest coraz więcej: zapowiada się kolejna ulewa. Mimo to żadne z nich nie rusza się z miejsca.

- Masz rację - mówi cicho. - Na wiele rzeczy nie zwracałam uwagi. Kocham cię i chcę być twoją żoną.

Obydwoje siedzą teraz w strugach deszczu, który spływa im z włosów i zalewa twarze. Brian wpatruje się w przód swojego podkoszulka, jakby znalazł tam coś niezmiernie interesującego.

- Nie zamierzam udawać, że to będzie łatwe - zaczyna - dla nas obojga. I nie wiem, co w tej chwili czuję. Prosiłem, żebyś powiedziała mi prawdę, ale sam nie wiem, co jest prawdą. Przynajmniej na razie. Przepraszam cię.

Unosi głowę; jego podkoszulek jest tak mokry, że widać pod nim zlepione włosy. Ulewa kończy się równie niespodziewanie, jak się zaczęła, zupełnie jakby niebo wessało deszcz z powrotem w siebie; Riba widzi go jednak w postaci czarnego pudełka, ściśniętego między ziemią a chmurą i przesuwanego się w prawo, w stronę portu. Intuicja podpowiada jej, by uzbroić się w cierpliwość.

- Ja też cię przepraszam - mówi z prostotą.

Brian klepie ją po ramieniu i wstaje.

- Chodź, mała. Musimy się przebrać i pojechać do Zeldy. Trzeba zachować pozory.

Rano, gdy wyjeżdżała z Brianem i Donnym, weselne łuki były jeszcze nagie. Teraz, tuż po pierwszej, Sophie z zaskoczeniem przygląda się zmianom, które zaszły w czasie jej nieobecności. Gwałtowna, acz krótkotrwała ulewa najwyraźniej nie powstrzymała prac i łuki, świeżo przystrojone ciemnozielonymi pnączami i barwnymi kwiatami, wyglądają jak z obrazów Burne-Jonesa. Trawę między nimi posypano płatkami kwiatów, a od strony morza ustawiono pergolę z jedwabną markizą. Tuż obok bungalowu recepcyjnego panuje ożywiony ruch - urządzono tam tymczasowy salon piękności, w którym przyszłe panny młode poddają się zabiegom malowania paznokci i układania włosów. Widząc je po raz pierwszy w świetle dziennym, Sophie myśli, że niektóre mają już swoje lata. Wszędzie kręcą się robotnicy, którym pomagają członkowie organizacji - rozmawiają, sprzątaj, przenoszą zapasy do bomy w leniwym tempie, typowym dla Karaibów. Gorące, jaskrawe słońce świeci nad plażą, jak gdyby nigdy nie opuściło wyspy, a zupełnie suche bungalowy połyskują pocztówkową bielą, nie zdradzając żadnych śladów niedawnego oberwania chmury.

Ta pora jest równie dobra jak wszystkie inne, żeby zatelefonować do komitetu adopcyjnego w kraju. Sophie maszeruje do recepcji, tam jednak dowiaduje się, że połączenia

międzynarodowe chwilowo nie mogą zostać zrealizowane. Mówi dziewczynie, że spróbuje później, i wychodzi z powrotem w słoneczny blask.

Niecałe dziesięć metrów dalej widzi Briana i Eily, zmierzających w jej stronę.

- Sophie! - Eily porywa ją w objęcia i mocno ściska, nie pozostawiając jej czasu do namysłu. - Och, tak się cieszę, że cię widzę, taka jesteś kochana, że przyleciałaś...

- Nie ma o czym mówić. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. - Wysuwając się z ramion Eily, Sophie zauważa, że jej przyjaciółka płacze.

- Czy Donny jest z tobą? - Eily ociera oczy szerokim rękawem kaftana.

- Nie, został w szpitalu. - Sophie dostrzega kątem oka, że Brian się odwrócił, mruknąwszy coś o wezwaniu taksówki, i teraz zmierza w stronę recepcji. Przełyka ślinę. - Wróciłam, żeby chwilę odpocząć, ale pojadę z wami. Tylko się przebiorę, dobrze? Ten upał mnie dobija. - Po pauzie dodaje cicho: - Pewnie to głupio zabrzmiało, ale postaraj się nie martwić, Eily. Ona czuje się całkiem nieźle. Oczywiście nie jestem lekarzem, lecz Zelda sprawia wrażenie bardzo pogodnej i odprężonej. Oczywiście, bez przerwy chce jej się spać, ale to było do przewidzenia. I naprawdę czeka z utęsknieniem na dzisiejsze przenosiny. Mówi, że ma dość szpitali.

Eily milczy niepewnie, a wreszcie zaczyna:

- Czy rozumiesz, dlaczego to zrobiłam? Nie usprawiedliwiam się, daję słowo, ale byłam wytracona z równowagi i myślałam... - Urywa, a potem kontynuuje cichym głosem i ze spuszczoną głową: - Nie powinnam była działać w ten sposób, za plecami Briana. Och, Soph, wybaczysz mi? Tak bardzo chciałam zapewnić jej szczęśliwe dzieciństwo, inne niż moje. - Jaskrawożółty kaftan, wesoło odbijający promienie słońca, kontrastuje z jej zachowaniem. Eily przypomina oszołomioną dziewczynkę, zbesztaną przez ukochaną nauczycielkę.

Sophie, przyzwyczajona do pogodnej pewności siebie przyjaciółki, nie może znieść jej przygnębienia, które dodatkowo pogłębia kłębiące się w niej samej sprzeczne uczucia.

- Przestań, Eily - prosi - nie dręcz się tak. Zapewniłaś i Zeldzie, i Donny'emu wspaniałe życie. To cudowne dzieciaki, przynoszą ci chlubę. Chodź, usiądź. Taksówka nie przyjedzie tak od razu. - Siada na jednym z plastikowych plażowych krzeseł i pociąga Eily na sąsiednie. - Kogo jak kogo, ale mnie nie musisz przepraszać - podejmuje żarliwie. - Oczywiście, że rozumiem, dlaczego nie dostrzegałaś nic prócz choroby Zeldy... i nie powinnam była z takim zadufaniem narzucać ci własnych poglądów. Ja też cię przepraszam. - Bliska płaczu, sięga po dłoń przyjaciółki i mocno ją ściska.

Eily odwzajemnia uścisk.

- Och, Soph! Wspaniała z ciebie kumpelka.

Gdybyś tylko wiedziała! W ostatniej chwili Sophie tłumi wyznanie cisnące się na usta i zmienia je w opowieść o własnych niedolach. Stara się mówić krótko i rzeczowo, pomija jednak umowę z Yvonne i Michaeliem dotyczącą dziecka. Zbyt nietaktownie byłoby mówić o swoich nadziejach, gdy życie Zeldy wisi na włosku.

W końcu Eily, która słuchała ze współczuciem, zakrywając dłonią usta, ponownie zarzuca Sophie ręce na szyję.

- Nie miałam pojęcia. Co za świństwo. Cholerne, podłe świństwo. I Michael, i ten twój miesięcznik, wszystko razem. Nie zasłużyłaś na to, Sophie, jesteś za dobra. Tak mi przykro, to naprawdę okropne. Moje biedactwo! Dlaczego Brian nic mi nie powiedział?

- Miał inne sprawy na głowie.

Obawia się, że ton ją zdradził, gdyż Eily zerka na nią badawczo, lecz ku uldze Sophie nie analizuje głębiej tego, co przemknęło jej przez głowę.

- Chcesz posłuchać, co zaszło u Jaya? - pyta.

- Oczywiście, jeśli tylko zechcesz mi opowiedzieć.

Z pewnym wahaniem Eily zaczyna relacjonować przebieg wydarzeń w „domku na plaży”. Stopniowo jednak nabiera rozpędu, gdy zaczyna do niej docierać komizm sytuacji. Jej śmiech zawsze był zaraźliwy i już po chwili Sophie zaśmiewa się wraz z przyjaciółką.

- Wyobraź sobie tylko! - Kaftan Eily faluje, gdy jego właścicielka daje upust wesołości. - Brian jest wyższy i chyba ze dwa razy cięższy, wziął zamach, żeby go grzmotnąć i nie trafił. Z odległości mniej więcej dziesięciu centymetrów. Mój bohater! - Tym razem jej głośny śmiech brzmi nieco inaczej i słysząc w nim nie tylko rozbawienie. Poważniejąc, Eily wpatruje się w Sophie. - Popatrz na nas. Jak myślisz? Dobrana z nas para, co?

Bojąc się przesady, Sophie mimo wszystko ściska ponownie rękę przyjaciółki.

- Nie ma to jak starzy przyjaciele.

Rozdział 36

Taksówka zjawia się dopiero po czterdziestu minutach i gdy wreszcie docierają do kliniki, Donny miota się gorączkowo.

- Gdzieście się podziewali? Jakiś lekarz koniecznie chce z wami porozmawiać. To chyba Amerykanin. Nie wiedziałem, co robić.

Dorośli wymieniają spojrzenia. Brian wyciąga rękę, by dotknąć syna, lecz Donny usuwa się na bok.

- Ale już jesteśmy. Gdzie ten lekarz? Jak się nazywa?

- Nie pamiętam. To jakieś obce nazwisko. Pytał o was całe wieki temu... gdzie wyście w ogóle byli?

- Spokojnie, znajdziemy go. - Brian odwraca się do Eily i Sophie, szukając u nich wsparcia, lecz Sophie zaczyna się wycofywać.

- Jeśli nie macie nic przeciw temu, zostawię was na chwilę. Porozmawiajcie sobie z Zeldą. Muszę zatelefonować z automatu.

Podczas poprzedniej wizyty zwróciła uwagę na kabinę telefoniczną tuż za drzwiami szpitalnego barku, wciśniętego w kąt obszernego holu. Umawiają się na później i Sophie umyka w pośpiechu.

Maszeruje prosto do telefonu i - mirabile dictu - połączenia międzynarodowe działają. Modląc się, by zastać Michaela, zamawia rozmowę na koszt EconoCar.

Odbiera Yvonne.

Sophie w panice omal nie upuszcza słuchawki. W swojej głupocie nie przewidziała takiej ewentualności; powinna była zamówić rozmowę z przywołaniem. Na szczęście następuje przerwa w połączeniu, gdy telefonistka pyta, czy rozmówca zgadza się uiścić opłatę, więc nie musi rozmawiać z tą dziewczyną.

Próbując zająć czymś myśli, przygląda się wystrojowi wnętrza barku, całkiem niebrzydkiemu urządzonego w stylu wiejskiej kuchni. Dochodzi do wniosku, iż musieli zaczerpnąć pomysł z jakiegoś katalogu. Z upływem sekund narasta w niej podejrzenie, że kochanka Michaela odmawia przyjęcia rozmowy, i kruche porozumienie, jakie nawiązała z Yvonne podczas tamtego spotkania w domu, wali się w gruzy. Jak ona śmie? Sophie już zamierza trzasnąć słuchawką, lecz w tym momencie słyszy na linii głos Michaela.

- Sophie! Wszystko w porządku?

- Dzwonię tylko... - Wytrącona z równowagi szuka właściwych słów. Powinna była lepiej się przygotować. - Na wypadek, gdybyś się niepokoił. Dotarliśmy szczęśliwie na miejsce.

- I jak wygląda sytuacja? Odwołałem to spotkanie, tak jak prosiłaś. - Jego głos brzmi aż nazbyt rzeczowo.

Tak, Yvonne niewątpliwie kręci się w pobliżu.

- Nie stało się nic dramatycznego - rzuca Sophie. - Dzisiaj po południu Zelda ma opuścić szpital.

- To znaczy, że chyba nie jest aż tak źle.

- Nie, Michael, sprawa nadal wygląda bardzo poważnie. Nie przylecielibyśmy tu wszyscy, gdyby...

- Wiem. Oczywiście. Rozumiem.

To prawdziwa udręka. Sophie zdaje sobie sprawę, że dzwoni nie po to, by się odmeldować, lecz po to, by się upewnić.

- Słuchaj, Michael - zaczyna pośpiesznie - wiem, że nie możesz teraz rozmawiać i przepraszam, że tak wyszło. Odpowiadaj tylko „tak” lub „nie” na moje pytania. Czy sprawy posuwają się naprzód? Czy byłś w banku?

- To dwa pytania, Sophie - Michael zniża głos. A zatem Yvonne podsłuchuje.

Sophie zdobywa się na chłodny ton.

- Nie zmieniła zdania?

- Nie.

- Pójdiesz do banku w sprawie pożyczki?

- Oczywiście, Sophie, załatwię to.

W jego głosie pobrzmiewa nuta ożywienia, jak gdyby chodziła o kupienie główki kapusty w drodze do domu. Boli ją, że mężczyzna, który przez tyle lat był jej mężem, musi rozmawiać z nią w tak zawołowany sposób. Z całych sił powstrzymuje narastającą irytację i grzebie w torebce, szukając wizytówki pracownicy biura adopcyjnego. - Czy zechcesz zrobić dla mnie jeszcze jedno, Michael? Nie prosiłabym cię, gdyby nie to, że tutejsze telefony chwilami odmawiają posłuszeństwa i mogłabym czekać na połączenie godzinami. Sam wiesz, jak działają instytucje państwowe. Masz coś do pisania?

- Strzelaj.

Odczytuje z kartki nazwisko i numer telefonu i prosi Michaela, by umówił ją na spotkanie.

- Na pewno jest kolejka, więc ten tydzień i następny i tak odpadają. Następuje chwila ciszy. Sophie odnosi wrażenie, że jej mąż zakrył dłonią słuchawkę. Co on mówi?

- Michael! Jesteś tam?

Odzywa się po chwili, prosząc o powtórzenie nazwiska i numeru. Sophie powtarza.

- Zadzwoń za kilka dni.

- Świetnie. - W jego głosie ponownie pojawia się oficjalna nuta. - Przekaż, proszę, Brianowi, żeby się nie martwił o firmę. Wszystko działa jak w zegarku.

Odwiesiwszy słuchawkę, Sophie wścieka się, że ktoś podsłuchiwał jej rozmowę, lecz jednocześnie odczuwa niepokój. Popełniła błąd, dzwoniąc do Michaela do pracy. W przyszłości powinna dzwonić na komórkę, ponieważ w żadnym wypadku nie wolno zrażać do siebie Yvonne. Jedno nieodpowiednie posunięcie i dziecko - jej dziecko, dziecko Sophie - przestanie istnieć.

Ale nie tylko dlatego jest skonsternowana; rozmawiając z Michaelem zaszyfrowanym językiem, zawiązała z nim swojego rodzaju porozumienie. Mógł nawet pomyśleć, że przyjmie go z powrotem.

Dobrze zna swojego męża. Być może traktował w lekceważący sposób ją samą i jej drobne sprawy, lecz jednocześnie cenił sobie przytulny dom, spokój i ład, który wprowadziła

w ich wspólnym życiu. Sophie wsluchuje się w siebie: gdyby Mick wrócił, merdając ogonem - co jest mało prawdopodobne - czy podjęłaby na nowo małżeńską próbę?

Jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć, choćby przelotnie. Rozsądek doradza jej cierpliwość.

W barku nie ma tłoku, lecz sześć tandetnych stolików przykrytych obrusami w różową kratkę jest zajętych, przeważnie przez personel medyczny. Mimo to Sophie, nie chcąc tak od razu wracać do McMullanów, podchodzi do kontuaru i zamawia podwójną kawę oraz duńskie ciasto. Czuje się tu nie na miejscu, jak gdyby prawdziwe życie wymykało jej się z rąk niczym ektoplazma.

Z jednym wyjątkiem: to, co łączy Michaela z Yvonne, jest cienkie jak pajęczna nić i splata się z jego mieszanymi uczuciami do dziecka, natomiast więź Sophie z tym dzieckiem jest jak stalowa lina. Widzi je w swoich objęciach. Dziecko siedzące w wysokim krzeselku i wypływające jedzenie na podłogę. Jeżdżące po ścieżce przed domem na trzykołowym rowerku. Machające do niej sprzed szkoły, ubrane w mundurek. Mimo niepewności, co może się jej przydarzyć w ciągu najbliższych kilku miesięcy, za nic nie chce wyzbyć się tych wizji. Siłą woli sprowadzi to dziecko do siebie. Jej mąż ma teraz do czynienia z inną Sophie niż ta, którą znał.

Szczerze mówiąc, Sophie dostrzega dopiero teraz, z jaką łatwością przechodziła dotychczas przez grzęzawisko życia. Nic dziwnego, że Michael stracił cierpliwość. W tym wypadku miał prawo.

Co za strata czasu. No cóż, nigdy więcej.

Płaci za kawę i ciasto, i rozgląda się za stolikiem. Jeden, tuż pod oknem, zajmuje mężczyzna wystukujący coś na klawiaturze laptopa. Ma na sobie biały fartuch, a na szyi stetoskop, jest więc bez wątpienia lekarzem i wydaje się pochłonięty pracą.

- Czy mogę się przysiąść? - pyta Sophie.

- Ależ oczywiście. Zaraz się przesunę... - Mężczyzna, którego plakietka głosi, że jest to doktor Timothy Ocwieja, mówi z wyraźnym amerykańskim akcentem. Jest dość młody, tuż po trzydziestce, ma jasne włosy i byłby nawet atrakcyjny, gdyby nie skłonność do tycia. Obrzuca Sophie krótkim spojrzeniem i przesuwając swój laptop o kilka centymetrów, robiąc miejsce dla jej skromnego posiłku, choć właściwie nie jest to konieczne. A potem znowu wstukuje coś w komputer.

Sophie ostrożnie nadgryza ciastko. Dziwne, ale z tej odległości, nawet po tak krótkim czasie - zgodnie z porzekadłem „co z oczu, to z serca” - romans Michaela z Yvonne wydaje

się mniej wstrząsający i bolesny. Zwłaszcza w zestawieniu z problemem życia i śmierci, z którym borykają się Eily i Brian. I Donny. Biedaczysko.

Sąsiad przy stoliku przerywa bieg jej myśli, uderzając kilka razy w klawiaturę stanowczymi ruchami człowieka, który kończy pracę. Z uśmiechem podnosi głowę.

Sophie odwzajemnia uśmiech.

- Mam nadzieję, że panu nie przeszkodziłam?

- I tak już kończyłem. - Wyjmuje z komputera małą kwadratową dyskietkę, raz jeszcze stukając w klawisze i zamyka program. - Bogu niech będą dzięki za zdobycze techniki. Jeśli działają, rzecz jasna. Przyszła pani w odwiedziny?

- Tak. - Sophie mówi mu o Zeldzie.

- Ta dziewczyna z Irlandii, która ma zaledwie dziewiętnaście lat? - W oczach lekarza pojawia się błysk. - Pani jest jej mamą?

- Nie. Chrzestną matką. Czemu pan pyta? Czy zapoznał się pan z jej przypadkiem, doktorze Oc... - Bezskutecznie usiłuje wymówić jego nazwisko.

- Proszę się nie trudzić - uśmiecha się lekarz - to polskie nazwisko. Mam na imię Tim, wszyscy tak do mnie mówią. Chciałbym z panią porozmawiać. Tylko przyniosę sobie kawę, dobrze? Wziąć coś dla pani?

Sophie zaprzecza ruchem głowy. Odprowadza go wzrokiem, bojąc się snuć domysły na temat przyczyn jego zainteresowania i tego, o czym chce z nią rozmawiać. Gdy doktor wraca, nie odzywa się od razu, lecz przez chwilę patrzy ponad jej ramieniem w okno. Wreszcie pyta:

- Mogę wiedzieć, jak pani się nazywa? Sophie udziela mu tej informacji.

- Proszę posłuchać - zaczyna tłumaczyć lekarz - nie chciałbym nikogo wprowadzać w błąd. Nie jestem hematologiem, tylko zwykłym, skromnym internistą. Zastępuję tu kolegę, zarabiam na wakacje.

- Tak? - Sophie wołałaby, żeby już przeszedł do konkretów. Doktor znowu się waha.

- Mój najlepszy kumpel interesuje się szpiczakiem - mówi wreszcie niepewnie. - Zamierzam do niego dzisiaj napisać o pani chrześniaczce, ponieważ jej przypadek zostanie najprawdopodobniej przedstawiony w literaturze medycznej. Jest najmłodszą ofiarą tego nowotworu, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, że poza nielicznymi wyjątkami szpiczak przeważnie atakuje ludzi w średnim wieku i starszych. Sądzę, że mój przyjaciel będzie bardzo zainteresowany. Uczestniczy w badaniach z udziałem pacjentów ochotników nad nowym zastosowaniem talidomidu. Te badania trwają już jakiś

czas, lecz z tego, co wiem, znajdują się nadal na etapie prób. Oczywiście, musiałbym to sprawdzić.

Sophie sztywnieje na wzmiankę o leku, którego nazwa przewijała się tak uporczywie przez wydruki Donny'ego. Doktor mylnie interpretuje jej reakcję.

- Wiem, że talidomid cieszy się złą sławą - wyjaśnia pośpiesznie - ale to już przeszłość. Nie mówimy, oczywiście, o cudownym remedium, lecz wyniki badań w innych ośrodkach, na przykład na uniwersytecie w Arkansas, są obiecujące, przynajmniej dla części uczestników programu. - Milknie, a po chwili dodaje: - Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale jeśli się jest bliskim przyjacielem Gilla Leavitta, trudno nie wciągnąć się w temat. On o niczym innym nie myśli. - Patrzy na nią uważnie. - Jest związany z oddziałem hematologicznym kliniki w Butte, w stanie Montana. Zapewne nigdy pani o niej nie słyszała. Utrzymuje się z prywatnych funduszy, lecz cieszy się wysokim prestiżem w kręgach medycznych i prowadzi bardzo istotne badania, na tyle istotne, że wzbudziły zainteresowanie w całych Stanach i za granicą. Jak pani myśli, co na to powie rodzina? I jaka będzie reakcja tej młodej osoby? W tym stadium, co ma do stracenia?

Zelda wzdraga się przed podróżą do Montany. Łagodnie acz stanowczo oświadcza, że nie życzy sobie dodatkowych leków, a już z pewnością nie chce żadnych eksperymentów.

- Ale to przecież nie będzie chemia. - Dla Donny'ego jej odmowa jest najbardziej druzgocąca. - Sama mówiłaś, Zel, że przede wszystkim nie chcesz więcej chemioterapii. - Jest bliski płaczu.

Matka, w tej chwili jej najbliższa, ma zupełnie białą twarz i sprawia wrażenie, jakby lada chwila miała zemdleć pod wpływem napięcia nerwowego. Zawsze odnosiła się podejrzliwie do środków farmaceutycznych, a nazwa talidomid bardzo źle jej się kojarzy. Dlatego Zelda, która domyśliła się bez trudu, jak przedstawiają się sprawy z Jayem Streetem, i jej czułe serce krwawi, ilekroć pomyśli o oszołomieniu i rozpaczy Eily, zapewnia głośno, że o ile jej wiadomo, dawki talidomidu stosowane w tej terapii są zupełnie bezpieczne. Zrobiłaby wszystko, byle wygładzić bruzdy, które cierpienie wyrzyło na twarzy mamy.

Mój Boże, myśli w następnej chwili, co ty mówisz?

Czy to z powodu jej zapewnień, czy obłudnej zachęty dyrektora kliniki, który - odkąd uznano Zeldę za fenomen medyczny - odwiedził jej pokój aż dwa razy, Eily zaczyna się stopniowo przekonywać do pomysłu.

Ojciec natomiast wychodzi co chwila i wraca z zaczerwienionymi oczyma. W pierwszej chwili stanął po jej stronie przeciw światu.

- Zostawcie ją w spokoju - powtarzał Donny'emu i matce, których milczenie jest w pewien sposób bardziej dręczące niż ich wcześniejsza radość z biegu wydarzeń. W pewnej chwili ujął jej dłoń. - Nie poprosimy cię o nic, czego byś sobie nie życzyła, Zeldy. Obiecuję.

Ale jego stanowcza postawa stopniowo słabnie i choć nie mówi tego wprost, Zelda wyraźnie czuje, że on także pragnie wysłać ją do Stanów.

- Czy na pewno talidomid używany w tej terapii niczym nie grozi? - Ojciec zerka na matkę.

- Oczywiście, że nie! - Matka, jak to ona, wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i w tej chwili jest przekonana, że tylko to może pomóc Zeldzie. - Nie testowano by go w takiej klinice, gdyby to miało czymś grozić. Prawda, kochanie?

Zelda omija spojrzeniem naprężone ramiona i stężałe twarze, spoglądając przez okno na pogodne, błękitne niebo. Jaki to wszystko ma sens? Śmierć, nawet odroczone, pozostaje śmiercią. Powinna była siedzieć cicho i nie ułatwiać matce zadania. Żałuje z całego serca, że nie może ot tak po prostu zniknąć.

Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nigdy nie istniała, nie była córką swoich rodziców, siostrą Donny'ego. To by im wszystkim zaoszczędziło udreki.

Ale to, rzecz jasna, nie wchodzi w grę.

Brakuje jej argumentów, ponieważ - trzeźwo myśląc - jak mogłaby odrzucić taki dar? Zapewne setki pacjentów w jej położeniu dobijałyby się o tę szansę. Kto wie, co z tego wyniknie? Na pewno nie ona.

Gdy tak siedzą razem w napiętym milczeniu, wchodzi rudy lekarz o śmiesznym nazwisku i pyta delikatnie, czy już podjęli decyzję.

Zelda, wyczerpana emocjonalnie i fizycznie, czując zbliżający się cień, daje za wygraną.

Atmosfera w pokoju ulega natychmiastowej zmianie. Rozradowany Donny omal nie zaczyna tańczyć. Od dawna dążył do takiego rozwiązania.

- Mówiłem wam, mówiłem, choć nikt nie chciał mnie słuchać. Prawda, Zel? - Chwyta siostrę za rękę, trochę zbyt mocno, wywołując grymas bólu. - Przepraszam. - Cofa się i rozgląda na wszystkie strony. - Czy ktoś ma drobne do automatu?

Reakcją matki jest łzawe „dziękuję ci, kochanie, dziękuję”, a gdy brat wypada na zewnątrz w poszukiwaniu automatu z colą, tata po prostu siedzi, oklapnięty jak balon, z

którego uszło powietrze. Nigdy nie chciałyby oglądać u niego takiego wyrazu twarzy, bo ta nagła ulga boli ją bardziej niż jego cierpienie.

Nawet ciocia Sophie, opoka i wcielenie rozsądku, wybucha płaczem, gdy słyszy niespodziewaną nowinę.

- Jezu - Zelda, która pragnie tylko jednego: żeby wszyscy sobie poszli i pozwolili jej zapaść w błogi sen, zdobywa się na wysiłek i przewraca oczyma. - Wolałabym nie być przy was, kiedy usłyszycie jakąś złą wiadomość!

Zelda śpi, jej rzeczy są spakowane, a rodzice i brat idą coś zjeść do niewielkiej nadmorskiej restauracji, która proponuje rybę, drób,

ziemniaki - pieczone lub w postaci frytek - i owoce. Ku rozczarowaniu Riby, Sophie poszła do siebie, wymawiając się zmęczeniem. A byłoby miło mieć ją obok siebie w ten ostatni wieczór na wyspie.

Tym razem wyjątkowo Riba nie ma apetytu i choć ryba na jej talerzu wygląda świeżo i atrakcyjnie, skubie ją tylko niemrawo. Naprzeciw niej Brian bez zapału porusza szczękami. Jediną osobą, której posiłek wydaje się smakować, jest Donny, pochłaniający właśnie kurczaka z frytkami.

- Zupełnie jakbyś siedział w McDonalddie. - Riba usiłuje rozładować atmosferę, lecz Donny nie rozumie żartu. Przez chwilę wpatruje się z pełnymi ustami w matkę, a potem ze wzruszeniem ramion skupia się ponownie na jedzeniu. Brian nawet nie unosi głowy.

Kuchenne wonie mieszają się z piżmowym, niemal kadzidlany zapachem dzwonkowatych kwiatów bujnego pnącza, porastającego niską skarpcę od wschodniej strony. Oddychając głęboko, Riba odwraca głowę i patrzy na zachodzące słońce. Restauracja mieści się dosłownie na plaży, a stoliki osłania płócienny dach, przymocowany do blaszanego baraku kuchni i podparty rdzewiejącymi słupami, wbitymi w piasek. Kilka metrów dalej połyskuje morze niczym rozpostarte fałdy atłasowej sukni balowej koloru brzoskwini, odbijając światło, które pada z góry; fale szemrzają cicho, gdy wyspa uspokaja się przed nadciągającą nocą. Wszystko to wydawałoby się Ribie cudowne, gdyby nie pustka, jaką odczuwa w sercu.

Co ich czeka w przyszłości?

Odpycha od siebie pesymistyczne myśli i skupia się na najbliższych dniach, kiedy to ona i Donny będą towarzyszyli Zeldzie w podróży do Stanów. Spierali się o to, ponieważ Donny stracił już kawałek roku szkolnego, a w czerwcu czeka go końcowy egzamin. Ale i Riba, i Brian pojęli, że nie ma innego wyjścia. Zasłużył sobie na to, by polecieć z siostrą,

przynajmniej na pewien czas. Badania potrwać miesiąc - co oznacza cztery tygodnie podawania leków pod ścisłym nadzorem plus dodatkowy okres obserwacji. Upór Donny'ego okazał się nie do przecięcia.

- Na miłość boską, przecież to tylko kilka tygodni. Nadgonię program. Z palcem w nosie.

W końcu się zgodzili. Znalezienie mieszkania dla Eily i Donny'ego nie powinno stanowić problemu. Tak się szczęśliwie składa, że Brian ma znajomych - znowu kontakty zawodowe - w różnych miastach na Środkowym Zachodzie i w zachodnich stanach. Już zaczął wydzwaniać w poszukiwaniu rodziny mieszkającej najbliżej instytutu. Sam, co zrozumiałe, musi wracać do EconoCar, przynajmniej na razie.

Przyjedzie do nich najszybciej, jak będzie mógł, choć trochę zrzędzi, że wcale nie jest tak łatwo dostać się z Irlandii do Montany.

To tyle, jeśli chodzi o przekonanie Jaya na temat ciężkiego stanu Zeldy. Riba odgania komara, brzęczącego gdzieś koło jej ucha. Wtem wpada jej do głowy pewna myśl: właściwie, jeśli się głębiej zastanowić, cud naprawdę się wydarzył, czyż nie? Gdyby nie przewieźli Zeldy do kliniki, nie spotkaliby doktora Ocwiei i nie przeżywaliby teraz tak ekscytujących chwil. O tak, niezbadane są wyroki Boże... Zerka ukradkiem na Briana w obawie, że mógł odczytać jej zdradzieckie myśli. On jednak wpatruje się w talerz i kroi swoją rybę na drobne kawałeczki.

Nad ośrodkiem unoszą się kłęby aromatycznego dymu: płoną pochodnie, mięso piecze się na roznach, a trzy zespoły hałaśliwie wygrywają swoje melodie. Przyjęcie weselne jest w pełnym toku.

Sophie trafiła na sam koniec ślubnej uroczystości, kiedy - przy wtórce frywolnych okrzyków członków organizacji - młode pary wymieniały uściski, każda pod swoim łukiem.

Wśród barwnego, wesołego tłumu gości najbardziej imponującą postacią wydaje się Jay Street, spoglądający na wszystko z pobłażliwym uśmiechem. Ubrał się, jak zwykle, na białe - biała koszula, białe spodnie - lecz narzucił na to jeszcze długą pelerynę z białego jedwabiu, spiętą pod szyją efektowną złotą spinką w kształcie dwóch orlich głów połączonych łańcuszkiem. Według patrzącej nań niechętnym okiem Sophie z powodzeniem mógłby wcielić się w postać Nerona - brakuje mu tylko rudych loków i lutni. Albo też zagrać bohatera serialu „Star Trek”. Czy nawet papieża.

Nie mogła jednak oprzeć się urokowi kolorów i zapachów, a także panującemu wokół ożywieniu, gdy część oficjalna dobiegła końca i nowożeńcy, podziwiając nawzajem swe stroje, ruszyli całą gromadą w stronę długiego stołu.

Street dostrzegł ją, stojącą z boku, i zanim zdążyła umknąć, dogonił ją, powiewając peleryną.

- Chodź do nas, Sophie! - Wskazał stół uginający się od mięsa, ryb i sałatek.

- Nie, dziękuję, już jadłam. - Z bliska ponownie, choć mimo woli, zaczęła ulegać jego urokowi. Ten człowiek jest zagadką. Jak to możliwe, by ktoś tak próżny mógł jednocześnie być tak pociągający?

Jay nie nalegał.

- Jeśli zmienisz zdanie, zapraszamy - powiedział i oddalił się, powracając do gromady biesiadników.

Sophie została, zła na siebie, że znowu - choć trwało to zaledwie chwilę - poddała się jego urokowi. Przyglądała się jeszcze przez kilka minut, lecz znużenie dało o sobie znać i poszła do swojego bungalowu, gdzie, nawet się nie rozbierając, padła na łóżko.

Czterdzieści minut później nadal nie może usnąć, nie tylko z powodu niemilkącego rozgardiaszu za oknem. Męczą ją uparte myśli: Brian, dziecko, Michael, Brian, Eily, Donny, dziecko, Brian...

I biedna Zelda, oczywiście, wyruszająca w kolejną podróż. Sophie, przepełniona obawą, że nadzieje znowu mogą okazać się płonne, niemal żałuje, iż spotkała w szpitalnej stołówce tego lekarza.

Choć na zewnątrz jest stosunkowo chłodno, w pokoju panuje zaduch i Sophie zrzuca z siebie przykrycie. Do licha, to nie jej wina; Amerykanin od początku zainteresował się Zeldą, z uwagi na swego przyjaciela. Widział ją wcześniej. Prędzej czy później i tak porozumiałby się z Brianem i Eily.

Mimo zaproszenia, przynajmniej ze strony Eily, nie czuła się na siłach jeść kolacji w towarzystwie Briana i jego rodziny. Niezależnie od wcześniejszego ciepłego powitania nie potrafiłaby już dłużej udawać, że między nią a mężem przyjaciółki nic nie zaszło.

Rozważała, czy by nie zostać na wyspie o dzień dłużej, zważywszy na emocjonalne ryzyko, kryjące się we wspólnym z Brianem powrocie do domu, doszła jednak do wniosku, że musi to jakoś znieść. Nie przyjechała tu na wakacje, a ponadto pragnie jak najprędzej znaleźć się znowu w swoim świecie. I w pobliżu swojego dziecka. Spróbuje przespać całą podróż. Z pewnością będzie potrzebowała snu.

Która jest teraz godzina w Irlandii? Mrużąc oczy, patrzy na tarczę zegarka: ósma wieczorem tutaj, czyli tam północ. Co właściwie porabiają Yvonne i Michael?

Sophie przewraca się na brzuch i nakrywa głowę poduszką, usiłując się odgradzić od dobiegających z zewnątrz odgłosów hucznej zabawy. Po kilku minutach robi jej się zbyt gorąco. Nie może się doczekać powrotu do cichego, chłodnego domu.

Minęła północ, a Michael wciąż leży bezsennie na wąskim łóżku obok chrapiącej Yvonne. Nie przespał porządnie ani jednej nocy, odkąd został wyrzucony z domu, i zmęczenie daje mu się we znaki.

W dzień przyłapał się znowu na rozmyślaniach o dziecku. Naprawdę zaczyna się robić miękki. Przypuszczał, że gdy pierwsze objawy paniki miną, przestanie tak się przejmować. Ale się mylił.

Fakt, że to dopiero początek.

Zaskoczył go telefon Sophie. Ma wyraźną obsesję na tle tego dziecka. Michael żywi nadzieję, że jeśli zachowa spokój, właściwie to rozegra i będzie unikał dalszych kłopotów, być może uda mu się wygrzebać z kabały, w którą się wpakował. Szanse, że jego związek z Yvonne przetrwa próbę czasu, są jak dziewięćdziesiąt do dziesięciu. Po co miałby z nią zostawać, jeśli jego dziecko będzie przy Sophie? Yvonne nie jest idiotką i prawdopodobnie wie, co w trawie piszczy. Michael nie ma do niej pretensji, a nawet podziwia jej zdrowy rozsądek i twarde stanowisko w kwestii pieniędzy. Dla niej, w jej wieku, jest to przepustka do wolności.

Mimo wszystko, obydwójce muszą się dostosować do reguł gry. W każdym razie przez kilka następnych miesięcy.

Jego szanse powrotu do Sophie również nie są przesadnie wielkie, myśli ponuro, może jak trzydzieści do siedemdziesięciu, choć ludziom zdarzało się wygrywać na wyścigach mimo jeszcze niższego prawdopodobieństwa. Sophie na pewno będzie go teraz potrzebować. A jeśli Michael przypilnuje Yvonne, żeby oddała dziecko bez urządzania brewerii, jego szanse mogą wzrosnąć...

O Boże - łapie go skurcz w łydce, a nie może się nawet odwrócić, bo obudzi Yvonne. Zupełny koszmar.

Dość tego! Ostatni raz tu nocuje - jutro znajdą nowe mieszkanie albo przeniesie się na kilka nocy do hotelu.

A może... Przychodzi mu do głowy pewna myśl: czy by nie zaryzykować jednego noclegu w domu? Bez wiedzy Sophie zatrzymał zapasowy klucz. A ona o niczym się nie dowie.

Wymyka się z łóżka, zanim zdąży zmienić zdanie. Czując z ulgą, że skurcz mija, na palcach przechodzi przez pokój i ubiera się cichaczem w najdalszym kącie. Zerkając czujnie na Yvonne, która na szczęście ma mocny sen i prawie nigdy się nie budzi, dopóki budzik nie zadzwoni, pisze do niej kilka słów na odwrocie koperty: „Musiałem wyjść bardzo wcześnie. Wyjaśnię Ci w pracy. Śpij dobrze - M.”.

Wymyśli jakiś powód. Na przykład, Sophie poprosiła go przez telefon, żeby zajrzał do domu.

Nie. Nie to. Yvonne dostałaby szału.

Coś w pracy. Coś, co zapomniał załatwić. Bądź co bądź, zarządza teraz firmą. Jeszcze przynajmniej przez jeden dzień. Właściwie żałuje, że Brian wraca tak szybko. Bycie szefem ma jednak swój urok.

Po cichu wyłącza budzik. Na pewno wróci przed wpół do ósmej rano, ale na wszelki wypadek...

Skrada się do drzwi, po czym otwiera je ostrożnie. Obserwując Yvonne, wyslizguje się na korytarz i bezgłośnie zamyka drzwi za sobą. Jeżeli się obudzi i zauważy jego nieobecność, oczywiście nabierze podejrzeń, ale niech tam. Mężczyzna ma prawo do własnego łóżka.

Riba wymyka się cicho z bungalowu. Jest już prawie północ. Długo czekała, aż Brian zapadnie w głęboki sen. Donnym nie przejmowała się ani trochę: nie obudziłoby go nawet tupanie podkutych butów.

Powietrze na plaży jest przesycone balsamiczną wonią i rozbrzmiewa głośnym cykaniem nocnych owadów. Na prawo zawisł nad morzem jasny półksiężyc, lecz Riba ledwo nań zerka, ponieważ musi się śpieszyć. Musi przed wyjazdem pomówić z Jayem. Po wydarzeniach tego tygodnia, a zwłaszcza po awanturze w jego domu, obawia się, że ich stosunki nigdy nie będą takie jak przedtem, chce jednak koniecznie naprawić, ile się da, póki jeszcze ma do niego dostęp. Chce mu powiedzieć, że - czy jest tego świadom czy nie - choć niedawno nic nie rozumiała i nawet się buntowała, cuda wciąż się zdarzają.

Zajrzy najpierw do bomy. Ma przecucie, że on może tam jeszcze być. Spiesząc wzdłuż rzędu bungalowów, zauważa, że pochodnie i ogniska w pobliżu plaży wygasły, lecz

popiół jeszcze dymi. Jakaż to musiała być huczna zabawa! Riba, Brian i Donny wrócili do ośrodka w chwili, gdy pochód z nowożeńcami wyruszał do leśnych domków. Na czele kroczył Jay - który wyglądał wspaniale w swojej białej pelerynie - potem trzy przygrywające zespoły, a po bokach współpracownicy Jaya i jego pomocnicy sypali płatki kwiatów. Nowożeńcy, w wyśmienitych humorach, posuwali się naprzód tanecznym krokiem, a ich stroje wahały się między stylem dzieci-kwiatów z lat sześćdziesiątych a blichtrzem rodem z „Dynastii”. Dwie panny młode miały nawet na sobie tradycyjne suknie ślubne, jedna z górą wyszywaną drobnymi perełkami. Riba nie ośmieliła się przyłączyć do pochodu, choć bardzo tego pragnęła, i potulnie podążyła za Brianem do ich bungalowu.

Jaya nie ma jednak w bomie. Nikogo tam nie ma. Długi stół jest już nakryty do śniadania. A Riba naprawdę liczyła, że kogoś tu zastanie.

Co teraz? Skoro młode pary szczęśliwie znalazły się w swoich przytulnych gniazdkach w lesie, pozostali przenieśli się zapewne do domu na plaży.

Riba przeżywa chwilę wahania. Powinna tam pójść czy nie? Zanim dotrze na górę i odszuka Jaya - zakładając, że istotnie tam jest - porozmawia z nim i zejdzie z powrotem, może upłynąć nawet godzina. Nierozważnie byłoby oddalać się od bungalowu na tak długo.

Z drugiej strony, mąż ma wyjątkowo mocny sen, a był bardzo zmęczony.

Opuszcza bomę i - wciąż bijąc się z myślami - rusza z powrotem w stronę plaży. Gdy wychodzi na otwartą przestrzeń, dostrzega zmierzającego ku niej Briana. O Chryste!

- Co ty wyprawiasz, Eily? - Brian jest raczej smutny niż rozżłoszczony. Kiedy się obudził i zobaczył, że nie ma jej w pokoju, od razu wiedział, dokąd poszła.

- Nie mogłam spać. Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. -W świetle księżyca i resztek ogniskowego żaru jej twarz jest blada.

- Nie traktuj mnie jak idioty. - Odwraca się i rusza w stronę bungalowu.

Słyszysz za sobą kroki Eily na piasku, nierówne z powodu zwichniętej kostki. Jej głos brzmi błagalnie, gdy woła za nim:

- Zaczekaj! Zaczekaj, Brianie, proszę! To nie jest tak, jak myślisz. Brian przyśpiesza.

Rozdział 37

Michaelowi się udało.

Wszystko poszło jak z płatka. Pojechał do domu, przekręcił klucz w zamku, wsunął się do środka, przespał smacznie sześć godzin, wstał jak skowronek i wrócił. A teraz wchodzi do mieszkania Yvonne z pewną miną, tym razem nie starając się zachowywać cicho.

Właśnie się obudziła. Opiera się na łokciu, trzymając w ręku paczkę papierosów i zapalniczkę.

- Gdzie byłeś?

- W garażu, wyszedłem zapalić. Wezmę prysznic. I napiłbym się kawy.

- Nie miałabym nic przeciw małemu rżniętku... - Yvonne odkłada papierosy i zapalniczkę na nocny stolik i opada z powrotem na poduszkę. Z kuszącym uśmiechem unosi kołdrę, ukazując wdzięki ukryte pod pościelą.

Dwa tygodnie temu Michael nie wahałby się ani chwili. Teraz też nie wolno mu się wahać, a przy tym właściwie ma ochotę na szybki numer w pościeli. Zdumiewające, ile dobrego potrafi zdziałać spokojny sen. I jaki efekt może wywołać młode, nagie ciało, zwłaszcza gdy Yvonne odrzuca kołdrę i otacza dłońmi piersi. Michael z chrapliwym jękiem wsuwa się na nią i przystępują do dzieła, ignorując pełne oburzenia stukanie w ścianę tuż nad zagłówkiem.

Kilka minut później jest już po wszystkim i Michael, dysząc ciężko, całuje Yvonne w ucho.

- Niezłe z ciebie ziółko, Yvonne Leonard, wiesz o tym? Nie myśl tylko, że jeśli jesteś dobra w łóżku, możesz w nim zostać. Nadal jestem szefem i jeśli się spóźnisz do pracy, będzie awantura!

- E tam, odczep się! - Yvonne odpycha go i siada. - Musimy pogadać, Mick. - Jej ton nagle staje się poważny i Michael truchleje.

- Chyba nie teraz? Czeka nas robota.

- Chciałam tylko porozmawiać o uzgodnieniach finansowych. Postanowiłam, że jak tylko dostanę te pieniądze, rzucam pracę. W tej chwili nie ma problemu, ale kobieta w ciąży nie powinna codziennie tłuc się na lotnisko, zwłaszcza w lecie, kiedy już będę gruba jak świnia. Yych! - Wzdryga się i podciąga kołdrę pod brodę. - Te pieniądze należą do mnie. Rozumiesz? Jeszcze nie zdecydowałam, co z nimi zrobię, ale nie zamierzam ich przeznaczyć na codzienne wydatki. Będę kupowała jedzenie i tym podobne rzeczy, ale nie wynajmę za nie mieszkania. To twoja działka. - Patrzy na niego oczyma przypominającymi błękitne kamyki. - I lepiej dostarcz mi pierwszą ratę jak najszybciej, zgodnie z obietnicą twojej żony. Zanim będzie za późno, żebym wsiadła do samolotu. Wiem, że ona wraca dopiero jutro czy kiedyś tam, ale zegar ciągle tyka, Mick. Jeden wygłup i po sprawie. Możesz to przekazać swojej żonie. - Zdeterminowany wyraz drobnej twarzy dziewczyny świadczy, że Yvonne mówi najzupełniej poważnie.

Gdy dziesięć minut później Mick goli się przed upstrzonym czarnymi plamkami lustrem we wspólnej łazience, ogarnia go żal nad samym sobą. Zerka z niesmakiem na brudne, popękane płytki osłony nad umywalką. Nigdy żaden mężczyzna nie cierpiał tak za swoje grzechy, on zaś zawsze będzie tęsknił za czystymi białymi płytkami i przesuwanymi szklanymi ściankami domowego prysznica. Nawet gdyby - w najszcześniejszym razie - znaleźli coś przyzwoitego, na co byłoby ich stać, Michael dobrze wie, że Yvonne, która jest flejtuchem, niedługo utrzyma porządek w domu.

No dobra, Dolan, przestań marudzić i wymyśl jakiś plan. Czego właściwie się spodziewasz, powiedzmy, za rok? Aby dodać sobie odwagi, Michael - nietypowo dla siebie - snuje marzenia na jawie. Wywołuje wizję zupełnie jak z telewizyjnej reklamy, widząc siebie samego, Sophie i dziecko wśród jesiennych liści w parku. Obraz znika, ponieważ włącza się praktyczna strona umysłu Michaela: tej jesieni dziecko, jeszcze bardzo małe, najwyżej będzie leżało w wózek, a nie bardzo się da jeździć dziecięcym wózkiem wśród liści. Tak czy inaczej, Sophie nie od razu zgodzi się na ich wspólne życie we trójkę. Będzie musiał się naprawdę wysilić. Przejeżdża po twarzy elektryczną golarką. Co zrobić, żeby pozwoliła mu wrócić? W tej chwili jest jej potrzebny dla ułagodzenia Yvonne, ale on już sam o tym pomyślał, ponadto wydzwania tam, gdzie chciała, i robi, o co prosiła. Cóż więcej mógłby zdziałać?

A gdzie w tym scenariuszu jest miejsce dla Yvonne? Musi to być jakieś przyjemne miejsce. Na przykład Grecja. Yvonne uwielbia słońce. Poza tym, ile razy oglądała na wideo „Shirley Valentine”?

No pewnie. Nastrój Micka od razu się poprawia. To się da zorganizować. Mają z Brianem szerokie kontakty. Powinni znaleźć kogoś, kto wyszuka dla Yvonne jakieś miłe, słoneczne miejsce. Michael odzyskuje pewność siebie i postanawia być hojny. Zapłaci nawet za jej bilet lotniczy, żeby nie musiała uszczuplić swoich funduszy na czarną godzinę.

Za zamkniętymi drzwiami łazienki głos Yvonne ponagla go, żeby się sprężył.

Udaje, że nie słyszy, i starannie jeździ maszynką w okolicach prawego ucha. Jedno, co powinien, to być górą w tej sytuacji. Nie jest głupi. Da sobie radę.

- Mick! - Głos Yvonne nabiera niebezpiecznie wysokich tonów. -Będziesz tam siedział cały dzień?

- Spokojnie, nie gorączkuj się! - odkrzykuje pogodnie. - Zaraz wychodzę!

Wyłącza maszynkę do golenia, wyciąga wtyczkę z kontaktu i uśmiecha się do swego odbicia, sięgając do podręcznej kosmetyczki po wodę toaletową Paco Rabanne.

W przeciwieństwie do odprawy w regularnie kursujących liniach lotniczych, formalności w przypadku samolotu sanitarnego trwają krótko, zbyt krótko dla Riby, która - jak się okazuje - stoi na płycie międzynarodowego lądowiska Wyspy Palm, nie wyjaśnwszy jeszcze nieporozumienia z mężem. Tkwią obok siebie przed otwartymi drzwiami karetki, czekając, aż załogi obu pojazdów porównają i przedyskutują dokumenty przed przekazaniem pacjentki.

Brian zachowywał się uprzejmie, ale nie chciał z nią w ogóle rozmawiać poprzedniej nocy. A dzisiaj od rana, celowo czy nie, manewrował tak, by zawsze ktoś był w pobliżu: Donny, Sophie, personel kliniki lub ośrodka, taksówkarze.

Nie był zły ani nadąsany, po prostu daleki. I zajmował się załatwianiem różnych spraw, telefonowaniem, wypełnianiem formularzy.

Sophie także zachowuje się dziwnie i Riba zaczyna się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście doszło do ich ciepłego powitania poprzedniego dnia. W pewnej chwili, znalazłszy się z przyjaciółką sam na sam, chciała jej opowiedzieć, co zaszło między nią a Brianem, lecz Sophie przypomniała sobie nagle, że chyba zostawiła coś w szafce w swoim pokoju i odeszła pośpiesznie. Kiedy wróciła, obok kręcił się już Donny.

Aktywność Briana przyniosła przynajmniej jeden pozytywny rezultat: któryś z kolegów z branży turystycznej przypomniał sobie o irlandzkiej rodzinie mieszkającej w pobliżu kliniki w Butte, gdzie -jak. się okazuje, ku zaskoczeniu Riby - istnieje duże skupisko ludności pochodzenia irlandzkiego. Żona znajomego z Butte, radiolog, pracuje nawet w tym szpitalu. Doskonale się składa. Małżeństwo ma troje dzieci, w tym syna zaledwie o dwa lata młodszego niż Donny. (Z wyżyn swoich czternastu lat Donny uznał, rzecz jasna, że to ogromna różnica wieku. „Dwunastolatek!”. Ale wystarczyło jedno spojrzenie ojca, by przestał jęczeć. Jest zresztą podekscytowany perspektywą podróży małym szpitalnym samolotem i wszedł na pokład, gdy tylko otrzymał pozwolenie).

Procedura przekazywania pacjentki pod opiekę załogi samolotu dobiega końca i sanitariusze pomagają Zeldzie wysiąść z karetki. Dzięki Bogu, jest w stanie iść o własnych siłach i nie trzeba jej nieść, co oszczędza dziewczynie upokorzenia. Riba kroczy tuż za nią i lekarzami, Brian zamyka pochód. Wczoraj podczas rozmów - aby mąż usłyszał to na własne uszy i nie oskarżał jej o włączenie Zeldy po samolotach i dalsze narażanie na szwank zdrowia córki - z naciskiem zapytała doktora Ocwieję i dyrektora kliniki, czy są pewni, że kolejna podróż nie zaszkodzi chorej.

- To nie będzie podróż w zwykłym rozumieniu tego słowa, pani McMullan - wyjaśnił dyrektor. - Mówimy o samolocie szpitalnym, wyposażonym w specjalistyczny sprzęt medyczny i z wykwalifikowanym personelem na pokładzie. Aby rozwiać pani obawy, dodam, iż na przykład przejazd lądowym ambulansem byłby dla Zeldy znacznie bardziej traumatycznym doświadczeniem.

Riba powstrzymała się przed zerknięciem na Briana, by sprawdzić jego reakcję. Skinęła tylko głową z największą powagą.

- Dzień dobry państwu! - Pilot, który ma na uszach słuchawki, a w rękę podkładkę do pisania, odwraca się na sekundę do pasażerów. Jego towarzysz mówi coś do małego mikrofonu i obrzuca ich tylko przelotnym spojrzeniem.

- Już niedługo, kochanie. - Riba uśmiecha się krzepiąco, gdy lekarze z zawodową wprawą przypinają Zeldę do specjalnej leżanki.

Bez ostrzeżenia pilot robi coś z przełącznikami i silnik ożywa. Jego ryk wydaje się tym głośniejszy, że drzwi są jeszcze otwarte. Riba pośpiesznie zajmuje miejsce za Donnym, który - sądząc z wyrazu twarzy - jest w siódmym niebie.

- Chyba już pójde - Brian pochyla się nad córką. - Powodzenia, promyczku. Będę dzwonił codziennie, a za kilka tygodni przyjadę do ciebie. Rozumiesz, dlaczego muszę wracać? Mam w domu ważne sprawy do załatwienia.

- Jasne, tatusiu. - Zelda nastawia policzek do pocałunku.

- Bądź grzeczna! - Brian prostuje się o tyle, o ile może pod niskim dachem, a Riba dostrzega w jego oczach łzy. Czuje się bezradna i zagubiona.

- Brianie... - Wyciąga do niego ramiona.

Poklepuje ją po rękę, cmoka w policzek i odsuwa się natychmiast, udaremniając wszelkie próby uścisków.

- Na razie, Eily. Niedługo pogadamy. Zadzwoń od razu po przylocie do Dublinu, dobrze? - Obejmuje Donny'ego. - Opiekuj się mamą i siostrą, słyszysz?

Rozlega się warkot drugiego silnika i Brian jeszcze raz macha córcie na pożegnanie.

- Do widzenia, skarbie. Trzymaj się.

Riba odprowadza spojrzeniem męża, który maszeruje wzdłuż pasa startowego do drzwi terminalu. Ma nadzieję, że Brian jeszcze raz się odwróci i pomacha. Spotyka ją zawód.

Nie powinna przypisywać temu zbyt wielkiego znaczenia. Brian uspokoi się w końcu i przejdzie nad tą sprawą do porządku. Zawsze tak było. Jest po prostu zdenerwowany i tyle. Niebawem wszystko wróci do normy.

Odwraca się na siedzeniu i zerka na córkę.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Świetnie, mamo - Zelda się uśmiecha. - Nie wydziwiaj, proszę cię! - Zamyka oczy.

Zaskoczona Riba doznaje uczucia déjà vu i powraca do niej ów czarny poniedziałek, gdy po raz pierwszy wyruszyły w podróż z lotniska w Dublinie.

Na miłość boską! - beszta się w myślach, kiedy ktoś z personelu zamyka drzwi i opuszcza ciężką sztabę. - Nawet nie myśl o tym dniu!

Samolot rusza, powoli nabierając prędkości i podczas gdy lekarze zapinają pasy, Riba wygląda przez okno. Co teraz robi Jay? Z pewnością nie żywi już do niej urazy.

Pochyla się, stuka Donny'ego w ramię i podsuwa mu gumę do żucia.

- Prawda, że to ekscytujące, skarbie?

Sophie siedzi na walizce i pilnuje bagażu Briana wewnątrz ogrodzenia lotniska, spoglądając na pas startowy. Wolała wyjść na zewnątrz, gdzie przynajmniej jest czym odetchnąć; na lot do Nowego Jorku trzeba czekać półtorej godziny, a kolejka do pojedynczego biurka zrobiła się już długa i ludzie zaczynają narzekać.

Choć na zewnątrz jest znacznie lepiej, upał daje się we znaki i koszulka coraz mocniej przylega do spoconego ciała Sophie.

Pożegnała się już z Zeldą, Donnym i Eily, lecz ze swego obecnego, ukrytego punktu obserwacyjnego śledziła formalności, których dopełniano tuż obok samolotu szpitalnego. Zelda, dzięki Bogu, nie potrzebowała szczególnej pomocy.

Ponieważ była pewna, że jej nie zauważą, obserwowała każdy krok Briana, który wrócił pasem do budynku lotniska, a gdy się zbliżył, wyczuła za osłoną okularów przeciwsłonecznych jego osamotnienie. Ale jak mogłaby mu pomóc?

Sophie szybko podejmuje decyzję. Tak naprawdę w żaden sposób nie może mu pomóc. To jego prywatna, rodzinna sprawa i lepiej, żeby tak zostało.

Zwalczywszy to uczucie - choć niby już wcześniej je przezwyciężyła - odkryła, że przegrała bitwę z własnym żołądkiem, który wykonuje salta za każdym razem, ilekroć Brian zjawia się w pobliżu lub choćby na samą myśl o nim. Sophie postanowiła - gdy Brian wracał do niej - że nigdy nie pozwoli sobie nawet na przyjacielskie gesty wobec niego. Po ich wspólnej podróży powrotnej będzie musiała zorganizować życie w inny sposób. Brian i Eily tak. Sam Brian nie. Żadnej kawy ani przypadkowych lunchów, żadnych telefonów, nic - dopóki nie wygaśnie ten wewnętrzny ogień, co niewątpliwie z czasem nastąpi przy jej zdroworozsądkowym podejściu do życia.

Brian staje obok niej w chwili, gdy samolot kołuje na pasie tuż przed wzbiciem się w powietrze. Sophie prostuje się odruchowo.

- Wszystko będzie dobrze - mówi cicho Brian, przysiadając, by zerknąć przez ogrodzenie.

Jego głos brzmi niepewnie i Sophie czuje, że musi podtrzymać rozmowę.

- Wiem, że nie mam prawa nic mówić - rzuca w pośpiechu. - Pewnie to zabrzmiało jak herezja, ale nigdy nie wiadomo, co z tego może wynikać dobrego. Może na dłuższą metę okaże się, że warto było odbyć tę podróż.

Brian nadal patrzy przez otwór w ogrodzeniu i wyrazy pociechy zamierają Sophie na ustach. Obserwuje szykujący się do odlotu samolot szpitalny.

- I znowu pojawiają się my dwoje, prawda? - rzuca Brian.

- O co ci chodzi? - Sophie nie bardzo rozumie.

- Patrzymy na odlot samolotu.

Brian zdołał poradzić sobie z natłokiem zdarzeń - wszelkich zdarzeń - minionych dwóch tygodni wyłącznie dzięki temu, że zagrzebał swoje uczucia najgłębiej, jak potrafił. Od czasu do czasu coś się przebijało, lecz nie na długo. Zadbął o to.

Teraz jednak, gdy szpitalny samolot z rozpędem rusza wzdłuż pasa startowego, Brian przeżywa poważny dylemat. Samolot w połowie pasa odrywa się od ziemi, wzbija ostro w powietrze, oblatuje budynek terminalu i znika im z oczu. Tonie w otchłani nieba.

Brian powstrzymuje się z całej siły, by nie wybiec na parking i nie patrzeć za samolotem. Wszystko odbyło się zbyt szybko. Nie zdążył się przygotować.

Nie przygotował się również na gwałtowną falę miłości i pragnienia, która ogarnęła go na widok Sophie siedzącej na walizkach, i teraz musi zachować pewien dystans. Nie pytając jej, czy sobie tego życzy, oznajmia, że idzie po dwie kawy i śpieszy do budynku, a potem przedziera się przez tłum w stronę ciasnego baru. Wracając, panuje już w pełni nad sobą. Podaje jej kawę. Sophie dziękuje mu z uśmiechem, choć wyraźnie unika jego spojrzenia.

Każde spogląda teraz z własnego punktu obserwacyjnego na lotnisko, zupełnie ciche i puste, jak gdyby zamierzało im zdradzić swoją tajemnicę wyłącznie pod warunkiem, że będą patrzyli długo i uważnie.

Sophie zaczyna doskwierać milczenie.

- Czy nie powinniśmy już się zgłosić do odprawy? Brian nawet na nią nie patrzy.

- Mamy mnóstwo czasu - odpowiada i wypija łyk kawy.

Jego obecność zagraża jej postanowieniu. Musi się od niego odgrodzić lub przynajmniej znaleźć w towarzystwie innych ludzi.

- Naprawdę myślę, że powinniśmy już się ustawić w kolejce.

- Dobrze. Tylko dopiję kawę. - Nadal na nią nie patrzy i Sophie zupełnie nie wie, co robić. Przychodzi jej na myśl jedynie ucieczka.

Może powinna po prostu wyznać mu prawdę? Absolutnie nie! Wypija łyk gorzkiej kawy.

- Ale za pięć minut wchodzimy, zgoda?

- Zgoda. - Brian również pociąga łyk ze swojego kubka.

I wówczas - niewiarygodne! - Sophie zaczyna mu pośpiesznie opowiadać o spotkaniu z Yvonne, o dziecku, o swoim lęku, że coś pójdzie nie tak, o pieniądzach - o wszystkim.

Słuchając tego chaotycznego opowiadania, Brian obserwuje ją uważnie zza okularów przeciwsłonecznych. Odkąd zaczęła mówić, trwa nieporuszony jak skała i jego brak reakcji wytrąca ją z równowagi. Mógłby przynajmniej coś powiedzieć.

- No dobrze - oświadcza w końcu Sophie głosem pozbawionym emocji - widzę, że mnie potępiasz. Wiem, że niektórym ludziom moje postępowanie wyda się niemoralne. Ale...

- Kto mówi, że cię potępiam?

- A co, może pochwalasz?

W odpowiedzi Brian łapie za uchwyt walizki.

- Porozmawiamy o tym w samolocie. Chodź, była mowa o pięciu minutach. - Jego stłumiony głos dobiega od drzwi budynku. Sophie, czując się głupio - a zarazem doznając pewnego rozczarowania - zbiera swoje rzeczy i rusza za nim.

Wchodzi do hali razem z liczną grupą tutejszych mieszkańców, która wdziera się przez drzwi i rozpoczyna coś, co wygląda na przyjęcie. Towarzyszy im nawet zespół muzyczny, walący w swoje cynowe instrumenty, aż drży blaszany dach, a kakofonia dźwięków rozsadza ciasne wnętrza. Ludzie klaszczą, a niektórzy nawet tańczą.

- Co tu się dzieje? - Sophie, która chwilowo straciła z oczu Briana, kieruje pytanie do jednej z osób oczekujących w kolejce na samolot do Nowego Jorku.

- My przylatujemy do nich, a oni do nas. - Mężczyzna wzrusza ramionami. - Mam nadzieję, że nie wszyscy wsiadają do naszego samolotu!

Jakiś urzędnik w mundurze wyjaśnia, że pewna miejscowa para wybiera się w podróż poślubną do Paryża.

- Ach, rozumiem.

Sophie wycofuje się na zewnątrz, porzucając chwilowo myśl o ustawieniu się w kolejce. Wygląda na to, że wraz z nowożeńcami na lotnisko przybyli nie tylko ich liczni krewni, lecz najprawdopodobniej połowa mieszkańców wyspy; i choć w innym momencie byłaby tym oczarowana, nastrój zabawy jest jej teraz zupełnie obcy. Zawraca w stronę wyjścia, lecz gdy zmierza ku swemu schronieniu za załomem muru z pustaków, ktoś chwytą ją za ramię. To Brian.

- Dokąd idziesz?

- Straszny tu hałas. Chciałam zaczekać na zewnątrz. - Zaczekam z tobą.

Brian opiera się o ścianę w tym samym miejscu, gdzie stali wcześniej. Jest tu znacznie ciszej, choć z wnętrza budynku dochodzi wesoły zgiełk, któremu towarzyszą niezrozumiałe komunikaty z trzeszczących głośników.

Aby przerwać milczenie, Sophie zauważa, że młoda para bardzo pomyślnie rozpoczyna nową drogę życia.

- Doprawdy?

Jego ton zbijają z tropu.

- Myślisz, że nie będą szczęśliwi?

- Sam już nie wiem, co myśleć. Posłuchaj, Sophie... - zdejmuje ciemne okulary - po prostu nie wiem, co myśleć o tym wszystkim. Ty, Mick, dziecko, małżeństwo, moja rodzina... Powiedz mi jedno. Czy to możliwe, żebyście z Mickiem znowu się zeszli?

- Nie! - Jest wstrząśnięta, że ich rozmowa przybiera taki obrót.

- Na pewno? Bo znam tego sukinsyna. Będzie chciał do ciebie wrócić. To wszystko zdarzyło się tak szybko... na pewno nie chcesz dać mu drugiej szansy?

Obydwoje odwracają się jednocześnie, słysząc ryk samolotu. Trwająca wewnątrz budynku zabawa zagłusza komunikaty. Ramiona Briana i Sophie przylgnęły do siebie, lecz żadne się nie odsunęło. Ignorując ten kontakt, tym silniej go odczuwają.

Obserwując płynne lądowanie odrzutowca, Sophie czuje łoskot własnej krwi. Skóra Briana jest napięta niczym powłoka bębna. Sophie nie może tego znieść i cofa się o krok. Gdy silniki samolotu przechodzą na bieg wsteczny, decyduje się odezwać:

- Dlaczego mnie o to pytasz, Brianie?

- Co? - Przysuwa ucho do jej ust. - Nie dosłyszałem.

- Dlaczego! Mnie! O to! Pytasz? - Podnosi głos o kilka decybeli, wrzeszcząc Brianowi prosto do ucha. Silniki odrzutowca cichną.

- Nie musisz tak krzyczeć...

Patrzają na siebie. A potem dłonie Briana obejmują twarz Sophie. Całuje ją delikatnie, starając się panować nad sobą, choć serce tłucze mu się w piersi. Sophie poddaje się pocałunkowi, lecz go nie odwzajemnia. Sama także toczy wewnętrzną walkę.

Brian lekko odsuwa ją od siebie.

- Jesteśmy przyjaciółmi i ludźmi w średnim wieku, Sophie. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać przyjaciółom w średnim wieku. Walczyłem z tym, Bóg mi świadkiem.

- Ja też. Wypuszcza ją z objęć.

- Posłuchaj, będę musiał z nimi zostać, przynajmniej dopóki...

- Oczywiście. - Zamyka mu dłonią usta. - Nawet o tym nie myśl.

- I obydwójce zostaliśmy odepchnięci. I ty, i ja. To źle wróży, Sophie.

- Tak, jeśli o mnie chodzi. Ale ty? Z tobą jest przecież zupełnie inaczej.

- Niewykluczone, że Eily i ja będziemy musieli... - urywa z wahaniem - na nowo przemyśleć naszą sytuację, jeśli mogę to tak ująć. Kiedyś ci wyjaśnię, ale nie teraz.

- Nie chcę nic wiedzieć. Tak czy inaczej - dodaje pośpiesznie, w obawie, że Brian ponownie weźmie ją w ramiona - będę miała mnóstwo spraw na głowie, bo, rozumiesz, dziecko...

- Tak, rozumiem. Ja również będę bardzo zajęty. - Całuje ją ponownie, tym razem mocniej; i tym razem Sophie oddaje mu pocałunek.

- Jest jeszcze jedna ważna sprawa. - Brian oddycha z trudem, patrząc w ziemię. - Jeśli wierzyć lekarzom, wygląda na to, że zyskamy przynajmniej odrobinę czasu, ale niezależnie od tego, jak długo potrwa cała sprawa, Donny będzie potrzebował obojga rodziców, Sophie.

- Ależ naturalnie.

- I później także. Przez jakiś czas.

- To oczywiste.

Brian patrzy jej prosto w oczy.

- Ona też będzie mnie potrzebowała. Na swój znikomy sposób.

- Tak. - Sophie odczuwa przemożne pragnienie, by jeszcze raz go pocałować, lecz odsuwa się i tylko ujmuje jego dużą ciepłą dłoń. W palcach mocno pulsuje krew. Obydwójce odwracają się i spoglądają przez szczeliny w ogrodzeniu.

Samolot już wylądował. Teraz zakręca, kołuje na pasie i zbliża się powoli, by przyjąć ich na pokład i zabrać do domu.